

MOCNA HISTORIA O MORDERSTWIE I ZEMŚCIE...
„SUNDAY TELEGRAPH”

VAL McDERMID

ODLEGŁE
ECHO

VAL McDERMID

ODLEGŁE
ECHO

TŁUMACZENIE
JUSTYNA SZCZEŚNIAK

PAPIER  WYKSIEZYC

Słupsk 2023

Tytuł oryginału
The Distant Echo

Redaktor prowadzący
Artur Wróblewski

Redakcja
Iga Wiśniewska

Korekta
Beata Kozieł

Skład i łamanie
Anna Szarko
e-mail: anna.szarko@gmail.com

Konwersja do EPUB/MOBI
InkPad.pl

Projekt okładki i stron tytułowych
Mariusz Banachowicz

Copyright © 2003 by Val McDermid
Copyright © for the Polish edition by Papierowy Księżyc 2023
Copyright © for the Polish translation by Justyna Szcześniak 2023

Wydanie I
Słupsk 2023

ISBN 978-83-67339-94-0

PAPIER  WYKSIĘŻYC

Wydawnictwo Papierowy Księżyc
Grupa Wydawnicza Papierowy Księżyc
skr. poczt. 220, 76-215 Słupsk 12
tel. 59 727-34-20, fax. 59 727-34-21
e-mail: wydawnicwo@papierowyksiezyc.pl
www.papierowyksiezyc.pl

Niniejsza powieść jest całkowicie fikcyjna. Imiona, postaci i wydarzenia w niej przedstawione są wytworem wyobraźni Autorki. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób, żywych lub martwych, wydarzeń i miejsc jest przypadkowe.

RECENZJE ODLEGŁEGO ECHA

McDermid stworzyła garść najbardziej pociągających postaci w literaturze kryminalnej obecnych czasów. Wykorzystując ten gatunek, napisała powieść, która nade wszystko wysławia życie i lojalność.

— „TLS”

Prawdziwie wciągająca lektura i kolejny triumf McDermid.

— „Observer”

Fabula nakreślona przez McDermid to klasyk. Autorka daje z siebie wszystko, by oddać wrażenie narastającej udręki, gdy jej bohater próbuje się uporać z licznymi fałszywymi tropami, decyzją, wobec kogo pozostać lojalnym, rozbieżnymi celami policji i skomplikowanymi więzami rodzinnymi. Bezbłędna powieść.

— „Guardian”

Przypomina jeden z thrillerów Ruth Rendell napisanych pod pseudonimem Barbara Vine. Jeszcze kilka podobnych przebiegłych powieści w starym dobrym stylu, a autorka dołączy do krzepkich szeregów królowych kryminału i będzie na dobrej drodze do przybrania tytułu lady Val lub baronowej McDermid.

— „Sunday Times”

Prawdziwa mistrzyni porywających psychologicznych thrillerów.

— Jenni Murray, „Daily Express”

Mocna historia o morderstwie i zemście... pasjonująca lektura, od której trudno się oderwać.

— „Sunday Telegraph”

Zdolność McDermid do zanurzenia się w wypaczonym umyśle dewianta posuwającego się do zbrodni jest tak przekonująca, że wywołuje dreszcze.

— Marcel Berlins, „The Times”

*Dla wszystkich, którym udało się uciec, i dla pozostałych,
zwłaszcza dla Klubu Czwartkowego,
dzięki któremu ucieczka stała się możliwa.*

I now describe my country as if to strangers.

Cytat z piosenki *Orphans* Deacona Blue, słowa: Ricky Ross.

SPIS TREŚCI

Prolog

Część I

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Część II

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi
Rozdział dwudziesty trzeci
Rozdział dwudziesty czwarty
Rozdział dwudziesty piąty
Rozdział dwudziesty szósty
Rozdział dwudziesty siódmy
Rozdział dwudziesty ósmy
Rozdział dwudziesty dziewiąty
Rozdział trzydziesty
Rozdział trzydziesty pierwszy
Rozdział trzydziesty drugi
Rozdział trzydziesty trzeci
Rozdział trzydziesty czwarty
Rozdział trzydziesty piąty
Rozdział trzydziesty szósty
Rozdział trzydziesty siódmy
Rozdział trzydziesty ósmy
Rozdział trzydziesty dziewiąty
Rozdział czterdziesty
Rozdział czterdziesty pierwszy
Rozdział czterdziesty drugi
Rozdział czterdziesty trzeci
Rozdział czterdziesty czwarty
Rozdział czterdziesty piąty
Rozdział czterdziesty szósty

Podziękowania

PROLOG

*Listopad 2003 roku
St. Andrews, Szkocja*

ZAWSZE LUBIŁ PRZEBYWAĆ na tym cmentarzu o świcie. Nie dlatego, że wstający dzień dawał jakąkolwiek obietnicę nowego początku, ale dlatego, że o tej porze było za wcześnie, by pojawił się tam ktoś poza nim. Nawet w środku zimy, gdy blade światło zalewało świat dość późno, miał zagwarantowaną samotność. Żadnych wścibskich obserwatorów, ciekawych tego, kim jest, po co się tu znalazł i dlaczego pochyła głowę nad tym konkretnym grobem. Żadnych nadmiernie zainteresowanych osób, kwestionujących jego prawo do stania w tym miejscu.

Przebył długą i uciążliwą drogę, by się tu znaleźć. Był jednak wyjątkowo biegły w odkrywaniu informacji. Można by rzec, że obsesyjny. Sam wolał określenie „uparty”. Nauczył się, jak przeszukiwać oficjalne i nieoficjalne źródła, aż w końcu, po miesiącach szperania, znalazł odpowiedzi, których szukał. Choć nie przyniosły mu spodziewanej satysfakcji, przynajmniej udało mu się dzięki nim zdobyć namiary na ten cmentarz. Dla niektórych ludzi grób reprezentował koniec. Nie dla niego. On postrzegał go jako swego rodzaju początek.

Zawsze wiedział, że sam w sobie ten grób nie wystarczy. Czekał więc, licząc na znak, który wskaże mu dalszą drogę. I w końcu znak się pojawił. Gdy niebo zmieniło kolor z ciemnego granatu zewnętrznej części małżowej muszli na perłowy kremowy jej wnętrza, sięgnął do kieszeni i rozłożył artykuł, który wyciął z lokalnej gazety.

POLICJA Z FIFE REWIDUJE NIEROZWIAZANE SPRAWY

Jak ogłosiła w tym tygodniu Komenda Główna Policji, nierozwiązane dochodzenia dotyczące morderstw w hrabstwie Fife z ostatnich trzydziestu lat zostaną ponownie zbadane w pełnozakresowej rewizji starych spraw.

Komendant Główny Policji Sam Haig oświadczył, że dokonujące się przełomowe postępy w dziedzinie kryminalistyki oznaczają, iż sprawy, które na wiele lat utknęły w martwym punkcie, teraz można będzie wznowić z nadzieją na powodzenie. Stare materiały dowodowe leżące przez dziesięciolecia w policyjnych magazynach zostaną poddane takim badaniom, jak np. analiza DNA, by sprawdzić, czy dzięki nim uda się popchnąć dochodzenia do przodu.

Rewizję nadzorować będzie Zastępca Komendanta Głównego Policji, zwierzchnik Wydziału Kryminalnego James Lawson. W wywiadzie z dziennikarzem „Kuriera” stwierdził: „Nigdy nie zamykamy śledztw dotyczących morderstw. Jesteśmy winni ofiarom i ich rodzinom nieustającą pracę nad nimi. W niektórych przypadkach mieliśmy w swoim czasie mocnych podejrzanych, lecz nie dysponowaliśmy dostatecznym materiałem dowodowym, by powiązać ich ze zbrodniami. Jednakże przy użyciu nowoczesnych metod kryminalistycznych pojedynczy włos, plamka krwi lub ślad nasienia mogą nam zapewnić wszystko, czego potrzebujemy, by uzyskać wyrok skazujący. Nie tak dawno mieliśmy w Anglii kilka spraw, w których z powodzeniem udało się skazać sprawców po dwudziestu latach, a nawet dłuższym okresie. Zespół naszych śledczych uczyni teraz z tych dochodzeń swój priorytet”.

Zastępca komendanta Lawson nie chciał zdradzić, jakie konkretnie sprawy znajdą się na szczycie listy zadań jego podwładnych. Bez wątpienia trafi na nią jednak między innymi tragiczne morderstwo Rosie Duff.

Dziewiętnastolatka ze Strathkinness została zgwałcona, ugodzona nożem i pozostawiona na pewną śmierć na wzgórzu Hallow Hill niemal dwadzieścia pięć lat temu. Do tej pory nikt nie został aresztowany w związku z jej brutalnym morderstwem.

Brat dziewczyny, Brian (46 l.), który wciąż mieszka w ich rodzinnym domu, Caberfeidh Cottage, i pracuje w fabryce papieru w Guardbridge, zwierzył nam się zeszłego wieczoru: „Nigdy nie porzuciliśmy nadziei, że pewnego dnia zabójcę Rosie osiągnie sprawiedliwość. W czasie śledztwa wytypowano kilku podejrzanych, ale policja nigdy nie zdołała znaleźć wystarczająco wielu

dowodów, by wsadzić ich do więzienia. Niestety, moi rodzice spoczęli w grobie, zanim doczekali się odpowiedzi na pytanie, kto tak strasznie skrzywdził Rosie. Ale być może teraz dostaniemy wyjaśnienia, na jakie zasługiwali”.

Potrafił wyrecytować treść artykułu z pamięci, ale lubił na niego spoglądać.

Wycinek stał się talizmanem, który przypominał mu, że jego życie nie było już bezcelowe. Przez tak długi czas pragnął znaleźć kogoś, kogo mógłby obwiniać. Ledwie śmiał żywić nadzieję na zemstę. Ale teraz, po długim wyczekiwaniu, być może w końcu się jej doczeka.

CZĘŚĆ I

ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Rok 1978
St. Andrews, Szkocja*

CZWARTA RANO, środek grudnia. Cztery niewyraźne sylwetki brnęły chwiejnie w tumanach śniegu, sypiącego w kapryśnych smagnięciach przenikliwego północnowschodniego wiatru nadciągającego przez Morze Północne aż spod Uralu.

Osiem potykających się stóp samozwańczych Laddies fi' Kirkcaldy¹ podążało znajomą ścieżką – ich skrótem przez Hallow Hill do Fife Park, najnowocześniejszego skupiska domów studenckich z kilku stref zakwaterowania przyłączonych do Uniwersytetu w St. Andrews, do pokoi, gdzie ich wiecznie niepościelone łóżka rozdziawiały się, ziewając na powitanie z wywieszonymi jęzorami prześcieradeł i koców zwisających aż do podłogi.

Rozmowa toczyła się po torach równie dobrze im znanych, jak ta dróżka.

– Mówię wam, Bowie to król – wybełkotał głośno Sigmund Malkiewicz. Rysy jego zazwyczaj niewzruszonej twarzy rozluźniły się nieco pod wpływem alkoholu.

Kilka kroków za nim Alex Gilbey szarpnięciem zacisnął szczelniej wokół twarzy kaptur swojej parki i zachichotał w duchu, bezgłośnie formując w ustach odpowiedź, która musiała zaraz paść.

– Bzdura – zaperzył się Davey Kerr. – Bowie to tylko zniewieściały typas. Pink Floydzi są od niego o niebo lepsi. *Dark Side of the Moon* to dopiero klasa. Bowie nie stworzył nic, co sięgałoby tej płyty do pięt. –

Jego długie, ciemne kędziory rozprostowywały się pod ciężarem topniejących płatków śniegu. Odsunął je niecierpliwie ze swej filigranowej twarzy.

I się zaczęło. Niczym magowie ciskający w siebie nawzajem bitewnymi zaklęciami, Sigmund i Davey przierzucali się tytułami piosenek, tekstami i riffami gitarowymi w rytualnym tańcu sprzeczki, którą ciągnęli już od sześciu czy siedmiu lat. To, że obecnie muzyka wprawiająca w drżenie okna ich studenckich pokojów była raczej wytworem takich zespołów jak The Clash, The Jam albo The Skids, nie miało znaczenia. Nawet przezwiska chłopaków stanowiły wyraz ich wczesnych pasji. Już od tamtego popołudnia, kiedy zgromadzili się po lekcjach w pokoju Alexa, by po raz pierwszy posłuchać zakupionej przez niego płyty *The Rise and Fall of Ziggy Stardust and the Spiders from Mars*, stało się oczywiste, że charyzmatyczny Sigmund będzie już na zawsze znany jako Ziggy, trędowaty mesjasz. Inni musieli się pogodzić z tym, że będą Pająkami. Alex został Gillym, mimo jego protestów, że to babskie przezwisko dla kogoś, kto bardzo się starał, by wypracować sobie krzepką posturę gracza rugby. Ze względu na jego nazwisko ta sprawa nie podlegała jednak dyskusji. Żaden z nich nie miał także cienia wątpliwości, że czwartego członka ich kwartetu trzeba ochrzcić wyjątkowo adekwatnym przezwiskiem Weird. Bo Tom Mackie był dziwny, bez dwóch zdań. Najwyższy z ich rocznika, z długimi patykowatymi kończynami, wyglądającymi jak zmutowane i pasującymi do jego charakteru, przez który odnajdował radość w przewrotnych zachowaniach.

Po tym został jeszcze Davey, który dochował wierności Floydowi, nieugięcie odmawiając przyjęcia jakiegokolwiek przydomka związanego z kanonem Bowiego. Przez jakiś czas bez większego entuzjazmu mówili na niego Pink, ale po tym, jak po raz pierwszy wszyscy usłyszeli *Shine on, You Crazy Diamond*, wszelkie debaty się skończyły – Davey był jak szalony diament, określenie pasowało jak ulał. Zdarzały mu się nagłe,

niespodziewane wybuchy, a wyciągnięty ze swej strefy komfortu czuł się nerwowo i nieswojo. Diamond wkrótce przekształcił się w Monda i miano to przyłgnęło do Davey'ego Kerra na czas ich ostatniego roku liceum, a potem przeniosło się wraz z nim na uniwersytet.

Alex potrząsnął głową w zdumieniu. Nawet przez mącą mu umysł mgłę wywołaną spożyciem nadmiernej ilości piwa zadziwiał go fakt, że jakieś spoiwo zdołało wciąż mocno łączyć ich czwórkę mimo upływu lat. Ta myśl wywołała rozgrzewający rumieniec, który odsunął od niego bezwzględne uczucie chłodu. Wtedy potknął się o wystający korzeń ukryty pod miękką pierzyną śniegu.

– Cholera – wyburczał, wpadając na Weirda, który sprzedał mu przyjacielskiego kuksańca. Alex poleciał do przodu, rozpościerając ramiona. Wymachując rękoma, by utrzymać równowagę, pozwolił, by impet poniósł go dalej, i zatoczył się na niewielkie wzniesienie, nagle rozradowany, że czuje śnieg na swej zarumienionej skórze. Gdy dotarł na szczyt wzgórza, trafił na niespodziewane zagłębienie, które ścięło go z nóg. Poleciał w dół na łeb na szyję.

Jego upadek zatrzymało coś miękkiego. Alex z trudem próbował się podciągnąć, odpychając się od tego, na czym wylądował. Parskając śniegiem, otarł oczy mrowiącymi palcami. Oddychał ciężko przez nos, usiłując oczyścić go z lodowatego, topniejącego puchu. W chwili, w której rozejrzał się wokoło, by sprawdzić, co zamortyzowało jego lądowanie, głowy trzech jego towarzyszy wychynęły z ciemności, by napawać się jego komiczną katastrofą.

Nawet w upiornym półmroku rozjaśnianym jedynie przez śnieg dostrzegł, że to, co powstrzymało jego upadek, nie było okazem flory. Zarysu ludzkiego ciała nie dało się z niczym pomylić. Ciężkie białe płatki topniały zaraz po zetknięciu z nim, przez co Alex zdołał poznać, że należało do kobiety. Wilgotne kosmyki jej ciemnych włosów były rozrzucone na śniegu niczym loki Meduzy. Spódnicę miała podciągniętą

do pasa, a wysokie czarne kozaki odcinały się osobliwie od jej bladych nóg. Dziwne ciemne plamy znaczyły jej ciało i jasną bluzkę przylegającą do piersi. Alex wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, nic nie rozumiejąc, po czym skierował wzrok na swoje dłonie i zobaczył tę samą ciemną substancję brudzącą jego własną skórę.

Krew. Zrozumienie spłynęło na niego w tej samej chwili, w której śnieg w jego uszach stopniał i pozwolił mu usłyszeć nikły, lecz chrapliwy świst jej oddechu.

– Jezu Chryste – wykrztusił Alex, gwałtownie próbując uciec od horroru, na który wpadł. Gdy jednak odsuwał się do tyłu, objął się plecami o coś przypominającego w dotyku niewielkie kamienne murki. – Jezu Chryste. – Rozpaczliwie spojrzął w górę, jakby widok towarzyszy mógł złamać zaklęcie i sprawić, że ten straszny majak zniknie. Zerknął z powrotem na koszmarne obrazy na śniegu. To nie były alkoholowe zwiady. To się działo naprawdę. Odwrócił się znów do przyjaciół. – Tu jest jakaś dziewczyna! – zawołał.

Usłyszał przedziwnie brzmiący głos Weirda Mackiego.

– Szczęściarz z ciebie, skurczybyku.

– Nie, przestań się wygłupiać, ona krwawi.

Śmiech Weirda przeciął noc.

– To jednak mniej tego szczęścia, Gilly.

Alex poczuł, jak wzbiera w nim nagła furia.

– Kurwa, ja nie żartuję. Chodźcie tu. Ziggy, chłopie, zrób coś.

Teraz usłyszeli, jak nagłący był jego ton. Z Ziggyem na czele, jak zawsze, zaczęli przedzierać się przez zasypane grzbietowi pagórki. Ziggy przebył z bocznej strony się biegiem, Weird dał nura w stronę Alexa głową naprzód, a Mondo podążał ostatni, ostrożnie stawiając krok za krokiem.

Weird ostatecznie wywinął kozła, lądując na Alexie i spychając ich obu na ciało kobiety. Miotali się przez chwilę, próbując się rozdzielić, podczas gdy Weird chichotał jak idiota.

– Hej, Gilly, chyba jeszcze nigdy nie byłeś tak blisko żadnej kobitki.

– Za dużo przyćpałeś, bałwanie – warknął gniewnie Ziggy.

Odepchnął go na bok i kucnął przy dziewczynie, macając jej szyję, by zbadać tętno. Wyczuł puls, ale przerażająco słaby. Lęk sprawił, że Ziggy natychmiast wytrzeźwiał, gdy zdał sobie sprawę, na co patrzy w mdłym świetle. Był tylko studentem ostatniego roku medycyny, ale potrafił rozpoznać zagrażające życiu obrażenia.

Przykucnięty Weird odchylił się do tyłu na piętach i zmarszczył brwi.

– Hej, wiecie, gdzie jesteśmy? – Nikt nie zwrócił na niego uwagi, ale i tak ciągnął: – To piktyjski cmentarz. Te górki w śniegu, jakby małe ścianki? To kamienie, których używali jako trumien. Ja jebię, Alex znalazł ciało na cmentarzu. – Jego chichot rozbrzmiał niesamowicie, tłumiony przez padający śnieg.

– Zamknij mordę, Weird. – Ziggy wciąż przebiegał dłońmi po torsie dziewczyny; czuł, jak głęboka rana pod jego badawczymi palcami zapada się, co wytrącało go z równowagi. Przechylił głowę na bok, próbując uważniej przyjrzeć się rannej. – Mondo, masz swoją zapalniczkę?

Mondo niechętnie podszedł bliżej i wyciągnął swoje zippo. Pstryknął kółeczkiem i wyciągnął ramię nad ciało kobiety, oświetlając jej twarz wątląm płomykiem. Drugą ręką zakrył usta, bezskutecznie próbując stłumić jęk. Jego niebieskie oczy rozwarły się szeroko z przerażenia, a ogienek zadrgał w ściskającej go dłoni.

Ziggy gwałtownie wciągnął powietrze. Płaszczyzny jego twarzy wyglądały upiornie w migotliwym świetle.

– Cholera – sapnął. – To Rosie z Lammas.

Alex nie sądził, że mógłby się poczuć jeszcze gorzej, ale słowa Ziggy'ego były jak cios w serce. Z cichym jękiem odwrócił się i zwymiotował na śnieg breję z piwa, chipsów i chleba czosnkowego.

– Musimy wezwać kogoś na ratunek – orzekł stanowczo Ziggy. – Ona wciąż żyje, ale w takim stanie długo już nie pociągnie. Weird, Mondo,

zdejmijcie płaszcze. – Sam również ściągnął swój kozuch z owczej wełny i owinął nim delikatnie ramiona Rosie. – Gilly, jesteś najszybszy. Lec i sprowadź pomoc. Znajdź jakiś telefon. Wyciągnij ludzi z łóżka, jeśli będziesz musiał. Po prostu kogoś tu ściągnij, dobra? Alex?

Oszołomiony chłopak zmusił się, by wstać. Zsunął się z powrotem ze zbocza, ryjąc butami w śniegu, by znaleźć oparcie dla stóp. Wyszedł spomiędzy rozproszonych drzew w światło latarni biegnących wzdłuż niedawno ukończonej ślepej uliczki na nowym osiedlu mieszkaniowym, które wyrosło w tym miejscu na przestrzeni ostatnich sześciu lat. Uznał, że podąży z powrotem tą samą trasą, którą przyszli; tak będzie najszybciej.

Przycisnął podbródek do piersi i ruszył pędem środkiem drogi, ślizgając się i próbując pozbyć się z myśli obrazu tego, czego przed chwilą był świadkiem. Było to równie niemożliwe jak zachowanie stałego tempa na tym sypkim śniegu. Jakim cudem ta pokiereszowana powłoka pośród piktyjskich grobów mogła być Rosie z baru Lammas? Przecież pili tam dzisiaj, tego wieczoru, radośni i rozkrzyczani w ciepłym, żółtym świetle pubu, pochłaniali kufle piwa Tennent's, wykorzystując w pełni ostatnie chwile uniwersyteckiej wolności przed nieuchronnym powrotem w krępujące okowy świąt Bożego Narodzenia, które mieli spędzić ze swymi rodzinami niespełna pięćdziesiąt kilometrów stąd.

Nawet rozmawiał z Rosie, flirtował z nią w niezdarny sposób, typowy dla dwudziestojednolatków niepewnych, czy wciąż są durnymi dzieciakami, czy też zrobili się już z nich dojrzały, światowi mężczyźni. Nie po raz pierwszy zapytał ją również, o której kończy pracę. Powiedział jej nawet, do kogo mieli później iść na imprezę. Nagryzmolił adres na odwrocie podkładki pod piwo i przesunął w jej stronę po wilgotnym drewnie barowego kontuaru. Posłała mu litościwy uśmiech i wzięła kartonik. Podejrzewał, że pewnie posłała go wprost do kubła na śmieci. W końcu czego dziewczyna pokroju Rosie mogłaby chcieć od takiego

nieopierzonego młodzika jak on? Z takim wyglądem i figurą mogła sobie wybierać do woli, zdecydować się na kogoś, kto zapewniłby jej porządną rozrywkę, a nie na jakiegoś studenciaka bez grosza przy duszy, starającego się oszczędnie gospodarować swym uniwersyteckim grantem do czasu, aż w przerwie między zajęciami wróci do sezonowej pracy przy układaniu towaru na półkach w supermarkecie.

Więc jak ta dziewczyna leżąca we krwi w śniegu na Hallow Hill mogła być Rosie? Ziggy musiał się pomylić, przekonywał sam siebie Alex, skręcając w lewo i kierując się w stronę głównej drogi. Każdemu mogłoby się pomieszać w rozdygotanym mdłym blasku rzucanym przez zapalniczkę Monda. A poza tym Ziggy nigdy nie poświęcał zbyt wiele uwagi ciemnowłosej barmance. Zostawił to Alexowi i Mondowi. To musiała być jakaś nieszczęsna dziewczyna, która tylko przypominała Rosie z wyglądu. Na pewno tak było, utwierdzał się w swym przekonaniu. Pomyłka, ot co.

Alex zawahał się przez chwilę, łapiąc oddech i zastanawiając się, dokąd pobiec. W okolicy znajdowało się wiele domów, ale w żadnym nie paliło się światło. Nawet gdyby zdołał kogoś obudzić, wątpił, by ktokolwiek zechciał otworzyć drzwi spoconemu młodzieńcowi zalatującemu alkoholem w środku śnieżnej zamieci.

Potem coś sobie przypomniał. O tej porze jeden z policyjnych radiowozów regularnie stał zaparkowany przy głównym wejściu do Ogrodów Botanicznych, niecałe pół kilometra stąd. Widywali go dosyć często, gdy zataczając się, zmierzali do akademika we wczesnych godzinach porannych, świadomi, że samotny funkcjonariusz siedzący w środku rzuca okiem w ich stronę. Wtedy próbowali udawać trzeźwych, żeby nie musiał ich zatrzymać. Ten widok zawsze pobudzał Weirda do wygłoszenia jednej z jego gniewnych tyrad o tym, jak skorumpowani i gnuśni są policjanci. „Powinni polować na prawdziwych przestępców, łapać tych oszustów w garniturach, którzy zdzierają kasę z reszty z nas,

a nie siedzieć tak przez całą noc z termosem herbaty i paczką ciastek, licząc na to, że trafi im się jakiś pijaczek obszczywający żywopłot albo dureń przekraczający dozwoloną prędkość w drodze do domu. Leniwe dranie”.

Cóż, może dzisiaj życzenie Weirda częściowo się spełni. Wyglądało bowiem na to, że tej nocy leniwy drań z radiowozu dostanie więcej, niż się spodziewał.

Alex odwrócił się w stronę ulicy Canongate i wznowił bieg. Świeży śnieg skrzypiał mu pod butami. Żałował teraz, że wycofał się z treningów rugby, bo dopadł go kłujący ból w boku, zmieniając rytm jego biegu w wykoślawione skoki, gdy walczył, by wciągnąć do płuc dość powietrza. „Jeszcze tylko kilkadziesiąt metrów”, mruknął do siebie. Nie mógł się teraz zatrzymać, skoro życie Rosie prawdopodobnie zależało od jego szybkiego tempa. Wytężał wzrok, patrząc przed siebie, ale śnieg sypał coraz gęściej i Alex ledwo dostrzegał cokolwiek oddalonego o więcej niż parę metrów.

Prawie wpadł na policyjny samochód, zanim go zauważył. Nawet pomimo ulgi zalewającej jego pocące się ciało, poczuł, jak obawa ściska mu serce. Otrzeźwiony szokiem i wysiłkiem zdał sobie sprawę, że w ogóle nie przypomina szanowanego obywatela z rodzaju tych, którzy zazwyczaj zgłaszają spostrzeżone przestępstwa. Był rozczochrany, spocony i uwalany krwią, w dodatku chwiał się i wyglądał wyjątkowo nieszczęśliwie. W jakiś sposób musiał przekonać policjanta, który już na wpół wygramolił się ze swego autka typu panda, że nic mu się nie uroiło ani nie próbuje go w żaden sposób nabrać. Zwolnił i zatrzymał się parę kroków od radiowozu, próbując sprawiać wrażenie niegroźnego. Zaczekał, aż kierowca całkiem wysiądzie.

Policjant poprawił czapkę na swych krótkich, ciemnych włosach. Przekrzywił głowę na bok, z rezerwą taksując Alexa spojrzeniem. Mimo że

ciężka służbowa kurtka z kapturem maskowała jego sylwetkę, Alex widział, jak mężczyzna się napina.

– Co się stało, synku? – zapytał.

Chociaż użył zdrobnienia, zwracając się do niego, nie wyglądał na o wiele starszego od Alexa. Spowijała go aura niepewności, która nie pasowała do munduru.

Chłopak próbował opanować oddech, ale mu się nie udało.

– Na Hallow Hill leży dziewczyna – wyrzucił z siebie. – Ktoś ją zaatakował. Bardzo krwawi, źle z nią. Potrzebuje pomocy.

Policjant zmrużył oczy przed śniegiem i zmarszczył brwi.

– Zaatakowana, powiadasz. Skąd ta pewność?

– Jest cała we krwi i... – Alex urwał, by zebrać myśli. – Nie jest ubrana odpowiednio do pogody. Nie ma na sobie płaszcza. Czy może pan wezwać karetkę, doktora czy coś? Naprawdę stała jej się krzywda.

– A tobie przez przypadek udało się ją znaleźć w środku burzy śnieżnej, co? Piłeś coś, synku? – Słowa funkcjonariusza były protekcyjalne, lecz głos zdradzał niepokój.

Alex nie sądził, by podobne wypadki często się zdarzały w środku nocy w spokojnym, prowincjonalnym St. Andrews. Musiał jakoś przekonać tego gliniarza, że mówi poważnie.

– Jasne, że piłem – odparł tonem ociekającym frustracją. – Z jakiego innego powodu byłbym na dworze o tej godzinie? Słuchaj pan, razem z kumplami szliśmy skrótem do akademików i wygłupialiśmy się trochę. Wbiegłem na szczyt wzgórza, potknąłem się i wylądowałem prosto na niej. – Jego głos uniósł się błagalnie. – Proszę. Musi nam pan pomóc. Ona może tam umrzeć.

Policjant lustrował go wzrokiem przez chwilę, która wydawała się trwać długie minuty, po czym zgiął się, wsunął do samochodu i pogrążył w niedosłyszalnej rozmowie przez radio. Potem wytknął głowę przez okno.

– Wsiadaj. Podjedziemy do Trinity Place. Lepiej, żeby to nie były żadne wygłupy, synku – rzekł ponuro.

Auto ślizgało się na jezdni na oponach nieodpowiednich do warunków pogodowych. Kilka samochodów, które wcześniej przejechały tą drogą, zostawiło ślady, teraz stanowiące jedynie ledwo zauważalne bruzdy na gładkiej, białej powierzchni będącej świadectwem wielkiego natężenia opadów śniegu. Policjant zaklął pod nosem, gdy przy skręcie samochód wpadł w poślizg i niemal uderzył w latarnię. Gdy dojechał do końca Trinity Place, odwrócił się do Alexa.

– No dobra, zaprowadź mnie do niej.

Alex ruszył truchtem, podążając po swych wcześniejszych, znikających już szybko śladach w śniegu. Raz po raz zerkał do tyłu, by sprawdzić, czy funkcjonariusz wciąż za nim idzie. W pewnym momencie poruszał się prawie na oślep. Jego oczy potrzebowały paru chwil, by przyzwyczać się do większego mroku w miejscu, gdzie pnie drzew zasłoniły światła ulicznych lamp. Śnieg zdawał się promieniować własnym, dziwnym blaskiem, wyolbrzymiając zwaliste kępy krzewów i zmieniając ścieżkę we wstęgę węższą, niż się zazwyczaj wydawało.

– Tędy – powiedział Alex, zbacząc w lewo. Szybko zerknął przez ramię, by upewnić się, że jego towarzysz jest tuż za nim.

Policjant zawahał się.

– Na pewno nie brałeś żadnych prochów, synku? – zapytał podejrzliwie.

– Niech się pan pospieszy – zawołał ponaglająco Alex, gdy dostrzegł ciemne kształty wyżej na wzgórzu.

Nie czekając, by się przekonać, czy gliniarz idzie za nim, zaczął pięć się prędko po zboczu. Był już niemal u celu, gdy młody funkcjonariusz wyprzedził go, potrącając go przy tym lekko, i zatrzymał się gwałtownie parę kroków od niewielkiej grupki.

Ziggy wciąż pochylał się nad dziewczyną. Koszula mokra od mieszaniny śniegu i potu lepiała się do jego szczupłego torsu. Weird i Mondo stali za nim. Krzyżowali ręce na piersiach, dłonie trzymali pod pachami, a głowy kulili między uniesionymi ramionami. Próbowali tylko zachować ciepło po tym, jak zdjęli płaszcze, ale tak się niefortunnie złożyło, że wyglądali z tego powodu arogancko.

– No, co tu się wyprawia, chłopaki? – zapytał policjant agresywnym tonem, próbując w ten sposób przydać sobie autorytetu mimo przewagi liczebnej otaczających go młodzieńców.

Ziggy podniósł się ze zmęczeniem i odsunął z oczu mokre kosmyki włosów.

– Spóźniliście się. Już nie żyje.

¹ Chłopcy z Kirkcaldy. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.

ROZDZIAŁ DRUGI

NIC W DWUDZIESTOJEDNOLETNIM ŻYCIU ALEXA nie przygotowało go na policyjne przesłuchanie w środku nocy. Filmy i seriale kryminalne zawsze przedstawiały te wydarzenia w sposób bardzo zorganizowany. Jednak nieznośny zamęt, z jakim naprawdę przebiegał ten proces, bardziej wykańczał go nerwowo, niż mogłaby to sprawić wojskowa precyzja. Cała czwórka przybyła na komisariat w strasznym bałaganie. Najpierw zostali pospiesznie zgonieni ze wzgórza, skąpani w migających stroboskopowo niebieskich światłach małych policyjnych wozów i karetek.

Potem chyba nikt za bardzo nie wiedział, co z nimi zrobić.

Stali pod latarnią przez jakiś czas, który zdawał się trwać wieki, trzęsąc się pod chmurnym, intensywnym spojrzeniem posterunkowego, którego Alex ściągnął na miejsce zbrodni, oraz jednego z jego współpracowników, szpakowatego mężczyzny w mundurze, przygarbionego i patrzącego spode łba. Żaden nie odezwał się do czwórki młodych ludzi, mimo że nie spuszczała z nich wzroku nawet na chwilę.

W końcu jakiś mężczyzna o znękanym wyglądzie, opatulony w płaszcz, który zdawał się dla niego o dwa numery za duży, podszedł do nich, ślizgając się na śniegu. Jego buty na cienkich podszewkach nie zapewniały oparcia w takim terenie.

– Lawson, Mackenzie, zabierzcie tych chłopaków na komisariat. A jak już tam będziecie, trzymajcie ich osobno. Niedługo przyjedziemy, żeby z nimi porozmawiać.

Potem odwrócił się do nich plecami i potykając się, ruszył z powrotem w kierunku ich straszliwego odkrycia, teraz zasłoniętego brezentowymi płachtami, przez które przeświecało upiorne, zielone światło, tworząc plamy na śniegu.

Młodszy policjant spojrział na swego kolegę z niepokojem.

– Jak ich tam zawieziemy?

Tamten wzruszył ramionami.

– Będziesz musiał upchnąć ich w swojej pandzie. Ja przyjechałem furgonem.

– Nie możemy ich załadować na pakę? Wtedy ty mógłbyś ich pilnować, a ja bym prowadził.

Starszy mężczyzna potrząsnął głową, zaciskając usta.

– Skoro tak twierdzisz, Lawson. – Skinął na czterech Laddies fi' Kirkcaldy. – No dalej, wskakiwać do vana. I żadnego rozrabiania, jasne? – Zagonił ich w stronę policyjnego wozu, wołając przez ramię do Lawsona: – Lepiej idź po kluczyki do Tarna Watta.

Lawson ruszył w górę zbocza, zostawiając ich z Mackenzie.

– Nie chciałbym być w waszej skórze, kiedy kryminalni zejdą z tego wzgórza – odezwał się policjant swobodnym tonem, wchodząc za nimi do samochodu.

Alex zadrżał, ale nie z zimna. Powoli zaczął zdawać sobie sprawę z tego, że policja uważała ich za potencjalnych podejrzanych, a nie świadków. Nie dano im żadnej okazji, by mogli się naradzić i poukładać wszystko w głowach. Cała czwórka wymieniła zaniepokojone spojrzenia. Nawet Weird ogarnął się na tyle, by poznać, że to nie jest żadna głupia zabawa.

Gdy Mackenzie naprędce zapędził ich do vana, na kilka sekund znaleźli się w nim sami. Tyle wystarczyło, by Ziggy wymamrotał wystarczająco głośno, by jego słowa dotarły jedynie do ich uszu:

– Do kurwy nędzy, tylko ani słowa o land roverze.

W oczach pozostałych przyjaciół pojawiło się błyskawiczne zrozumienie.

– Chryste, no tak – zgodził się z nim Weird, odrzucając głowę do tyłu, gdy ze zgrozą uświadomił sobie ich położenie.

Mondo obgryzał skórkę wokół kciuka i się nie odzywał. Alex zaledwie skinął głową.

Na komisariacie panował równie wielki chaos, jak na miejscu zbrodni.

Sierżant dyżurny zaczął zawzięcie narzekać, gdy dwóch umundurowanych policjantów zjawiono się z czterema osobnikami, których trzeba było odseparować, by nie mogli ze sobą rozmawiać. Okazało się, że w budynku nie ma wystarczającej liczby pokoiów do przesłuchań, by ich wszystkich rozdzielić. Weirdowi i Mondowi kazano czekać w otwartych celach, podczas gdy Alexa i Ziggy'ego zostawiono samych sobie w dwóch osobnych pomieszczeniach.

Pokój, do którego trafił Alex, był klaustrofobicznie mały. Dało się w nim zrobić zaledwie trzy na trzy kroki, co ustalił w ciągu paru minut po tym, jak zamknęli go w środku, a on zaczął dreptać z nerwów. Nie było tam okien, a nisko zawieszony sufit pokryty szarzącymi polistyrenowymi płytkami sprawiał, że salka zdawała się jeszcze bardziej przytłaczająca. W środku stał poszczerbiony drewniany stół i cztery drewniane krzesła, każde z innej parafii, które wyglądały na tak samo niewygodne, jakie były w rzeczywistości. Alex wypróbował je wszystkie po kolei i ostatecznie zdecydował się na to, które nie wbijało mu się w uda równie boleśnie jak pozostałe.

Zastanawiał się, czy można tu zapalić. Sądząc po zapachu zatęchłego powietrza, nie byłby pierwszym, który spróbował. Był jednak porządnie wychowanym chłopakiem, więc brak popielniczki go wstrzymał. Przeszukał kieszenie i znalazł pomięte sreberko z rulonika miętówek polo. Ostrożnie je rozprostował, po czym zawinął krańce w górę, tworząc

prowizoryczną tackę. Wtedy wyjął paczkę bensonów i podniósł wieczko. Zostało mu dziewięć. Uznał, że tyle powinno wystarczyć.

Zapalił papierosa i pozwolił sobie rozważyć swoją sytuację po raz pierwszy od momentu, gdy przybyli na komisariat. Teraz, gdy o tym myślał, to było w sumie oczywiste. To oni znaleźli ciało. Musieli zostać uznani za podejrzanych. Każdy wie, że w śledztwie w sprawie morderstwa pierwszymi kandydatami do aresztowania są albo ci, którzy po raz ostatni widzieli ofiarę żywą, albo ci, którzy znaleźli zwłoki. Wychodziło na to, że w obu przypadkach byli to właśnie oni.

Pokręcił głową. Zwłoki. Zaczynał myśleć jak policja. To nie były po prostu zwłoki, to była Rosie. Ktoś, kogo znał, chociaż niezbyt dobrze. Podejrzewał, że przez to cała sprawa robiła się jeszcze bardziej podejrzana. Nie chciał jednak teraz tego roztrząsać. Pragnął wyrzucić ten koszmar jak najdalej ze swoich myśli. Kiedy tylko zamykał oczy, widział sceny ze wzgórza, jak gdyby oglądał film. Piękna, ponętna Rosie sponiewierana i krwawiąca na śniegu.

– Pomyśl o czymś innym – powiedział sobie na głos.

Zastanawiał się, jak pozostali zareagują na przesłuchanie. Weird był na bani, to pewne. Dzisiejszej nocy nie poprzestał na alkoholu. Alex widział go wcześniej z jointem w dłoni, ale w przypadku Weirda nie dało się stwierdzić, czym jeszcze mógł się uraczyć. Między imprezowiczami krążyły pastylki kwasu. Alex sam odmówił ich przyjęcia kilka razy. Nie miał nic przeciwko narkotekom, ale wolał nie spalić sobie mózgu. Za to Weird był zdecydowanie chętny na kupno wszystkiego, co ponoć mogło poszerzyć jego świadomość. Alex żywił żarliwą nadzieję, że cokolwiek Weird połknął lub wciągnął, czymkolwiek się sztachnął, przestanie działać, zanim przyjdzie jego kolej na zeznania. W przeciwnym razie pewnie naprawdę solidnie wpieni policjantów. A każdy głupol wie, że to nie jest dobry pomysł, jeśli człowiek wplątał się w dochodzenie w sprawie morderstwa.

Mondo to inna para kaloszy. Przesłuchanie wystraszy go w zupełnie inny sposób. Mondo był, jeśli dotarło się do sedna sprawy, zbyt wrażliwy, by mogło mu to wyjść na dobre. To jemu zawsze dokuczano w szkole i nazywano go panienką, po części z powodu wyglądu, a po części dlatego, że nigdy się nie bronił. Jego twarz chochlika otaczała chmura ciasno skręcających się loków, a wielkie, szafirowe oczy zawsze miał szeroko otwarte, niczym mysz zerkająca z wyrwanej w darni dziury. Oczywiście podobał się dziewczynom. Kiedyś Alex podsłuchał przypadkiem, jak dwie z nich chichotały między sobą, że Davey Kerr wygląda wypisz wymaluj jak Marc Bolan. Ale w szkole takiej jak Kirkcaldy High to, co zdobywało ci popularność u dziewczyn, mogło równie dobrze załatwić ci lanie z kopaniem w męskiej toalecie. Gdyby Mondo nie miał wsparcia ich trójki, czekałaby go w liceum trudna przeprawa. Trzeba mu jednak przyznać, że był tego świadomy i odpłacił im za to z nawiązką. Alex wiedział, że nigdy nie przebrnąłby przez zaawansowany francuski bez jego pomocy.

Ale Mondo znajdzie się z policją sam na sam. Nie będzie miał się za kim schować. Alex mógł go sobie wyobrazić, jak siedzi właśnie ze zwieszoną głową, co jakiś czas rzucając spojrzenia spode łba, skubie skórki wokół kciuka albo pstryka wieczkiem od zapalniczki, na przemian otwierając ją i zamykając. Będą sfrustrowani jego zachowaniem. Pomyślą, że coś ukrywa. Rzecz w tym, że nigdy nie odgadną, nawet za milion lat, iż wielkim sekretem Monda było to, że w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto nie było żadnego sekretu. Żadnej tajemnicy spowitej aurą zagadkowości. Był tylko koleś, który lubi Pink Floydów, rybę z frytkami polaną toną octu, lagera Tennent's i seks. I który, o dziwo, mówi po francusku, jakby wyssał tę umiejętność z mlekiem matki.

Tyle że oczywiście tej nocy pojawił się pewien sekret. A jeśli ktoś pięknie i go wyda, będzie to Mondo. Boże, błagam, tylko niech nie piśnie ani słowa o land roverze, pomyślał Alex. W najlepszym wypadku wszyscy skończą z zarzutami, że go ukradli i jeździli nim bez zgody właściciela.

W najgorszym – gliny mogłyby się połapać, że jednemu z nich albo wszystkim trafił się idealny środek transportu, by przewieźć ciało umierającej dziewczyny na odludne zbocze wzgórza.

Weird nic nie powie, ma najwięcej do stracenia. To przecież on pojawił się w Lammas, szczerząc zęby od ucha do ucha i potrząsając zawieszonym na palcu brelokiem kluczyków Henry’ego Cavendisha, jakby dopiero co zwyciężył w konkursie wymieniania się żonami.

Alex był pewien, że on sam nic nie wyjawia. Dochowywanie tajemnic było jedną z rzeczy, które wychodziły mu najlepiej. Jeśli ceną za uniknięcie podejrzeń miało być trzymanie gęby na kłódkę, nie miał wątpliwości, że da radę to zrobić.

Ziggy też nic nie zdradzi. Dla niego zawsze najbardziej liczyło się bezpieczeństwo. W końcu to on wykradł się z imprezy, żeby przestawić samochód, kiedy już pojął, na jakie wyżyny pijaństwa wspinał się Weird. Wziął wtedy Alexa na stronę, by poinformować go o swoim planie.

– Wyciągnąłem klucze z kieszeni jego płaszcza. Pójdę przeparkować land rovera, żeby go więcej nie kusiło. Już zdążył zabrać parę osób na przejażdżki po okolicy. Trzeba to przerwać, zanim zabije siebie albo kogoś innego.

Alex nie miał pojęcia, na jak długo zniknął Ziggy, ale kiedy wrócił, powiedział mu, że land rover jest bezpiecznie schowany za jednym z zakładów przemysłowych przy Largo Road.

– Możemy tam podejść rano i go zabrać – oznajmił.

Alex uśmiechnął się szeroko.

– Albo możemy go tam po prostu zostawić. Taka mała, miła zagwozodka dla Hurra Henry’ego, kiedy wróci na następny semestr.

– Nic z tego. Jak tylko zobaczy, że jego bezcenna gablota nie stoi tam, gdzie ją zostawił, pójdzie na policję i wpakuje nas po uszy w kłopoty. A ten samochód aż się klei od naszych odcisków palców.

Ziggy ma rację, pomyślał Alex. Między Laddies fi' Kirkcaldy a dwoma Anglikami, z którymi dzielili swój sześciopokojowy domek na kampusie, nie było sympatii. Nie ma szans, by Henry dostrzegł zabawną stronę wybryku Weirda, który nie oparł się pokusie zabrania jego land rovera. Henry nie dostrzegał zabawnych stron wielu rzeczy, na które pozwalali sobie jego współlokatorzy. A zatem Ziggy nie puści pary z ust. To było pewne.

Ale Mondo może to zrobić. Alex miał nadzieję, że ostrzeżenie Ziggy'ego zdołało na tyle przebić się przez egocentryzm Monda, by przemyślał konsekwencje. Gdyby powiedział glinom o tym, że Weird połakomił się na cudzy samochód, sam nie zostałby przez to skreślony z listy podejrzanych. Jedynie utwierdziłby na niej obecność całej ich czwórki. Poza tym on też przejechał się autem. Zawiózł jakąś laskę do domu w Guardbridge. *Choć raz w życiu postąp mądrze, Mondo.*

Ale kiedy potrzebny był ktoś rozsądny, to Ziggy pierwszy przychodził na myśl. Za fasadą pozornej otwartości, niewymuszonego uroku i błyskotliwego intelektu działało się o wiele więcej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Alex kumplował się z nim przez dziewięć i pół roku, a mimo to uważał, że zdołał poznać go zaledwie odrobinę. Ziggy potrafił zaskoczyć człowieka jakimś spostrzeżeniem, wybić z rytmu pytaniem, sprawić, że patrzyło się na coś świeżym okiem, bo przekreślił świat niczym kostkę Rubika i spojrział nań pod innym kątem. Alex wiedział o Ziggym parę rzeczy, z których Mondo i Weird na pewno nie zdawali sobie sprawy. Stało się tak, ponieważ Ziggy chciał, by Alex poznał jego tajemnice, i miał pewność, że przyjaciel nikomu ich nie zdradzi.

Alex wyobraził sobie, jak Ziggy radzi sobie z policjantami prowadzącymi jego przesłuchanie. Na pewno będzie się wydawał rozluźniony, spokojny i swobodny. Jeśli ktokolwiek jest w stanie przekonać funkcjonariuszy, że ich związek z ciałem znalezionym na Hallow Hill był całkowicie niewinny, to właśnie Ziggy.

Komisarz Barney MacLennan rzucił swój wilgotny płaszcz na najbliższe krzesło w biurze Wydziału Kryminalnego. Pomieszczenie przypominało wielkością klasę w szkole podstawowej, było obszerniejsze, niż zazwyczaj wymagały tego ich potrzeby. St. Andrews nie było wysoko na policyjnej liście siedlisk zbrodni hrabstwa Fife, co znajdowało odzwierciedlenie w obsadzie etatów. MacLennan stał na czele dochodzeniówki na rubieżach imperium nie z powodu braku ambicji, lecz dlatego, że był charakterystycznym członkiem niewygodnej grupy, nieustępliwym gliną z rodzaju tych, których wyżsi rangą oficerowie najbardziej lubili mieć jak najdalej od siebie. Zazwyczaj irytował go brak jakichkolwiek interesujących spraw, którymi mógłby się zająć, ale to nie znaczyło, że z radością powitał morderstwo młodej dziewczyny na swoim terenie.

Z miejsca zidentyfikowali ofiarę. Niektórzy mundurowi wpadali od czasu do czasu do pubu, w którym pracowała Rosie Duff. Posterunkowy Jimmy Lawson, pierwszy policjant na miejscu zbrodni, natychmiast ją rozpoznał. Jak większość ludzi, którzy się tam znaleźli, wydawał się zszokowany i bliski mdłości. MacLennan nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni mieli w rejonie morderstwo, które nie okazało się prostym rodzinnym przypadkiem. Ci chłopcy nie doświadczyli do tej pory wystarczająco wiele, by się zahartować i przygotować do widoku, jaki zastali na zasypanym śniegiem szczycie wzgórza. Jeśli o to chodzi, on również miał w życiu okazję oglądać jedynie kilka ofiar morderstw i nigdy wcześniej nie widział nic równie godnego współczucia jak zmalretowane ciało Rosie Duff.

Według koronera wyglądało na to, że została zgwałcona, a następnie ugodzona nożem w podbrzusze. Pojedynczy, brutalny cios wyciął swą śmiertelnością ścieżkę, kierując się w górę przez jej jelita. I zapewne minęło dość dużo czasu, zanim umarła. Na samą myśl o tym MacLennan pragnął złapać sprawcę w swoje ręce i sprać do nieprzytomności.

W podobnych przypadkach prawo wydawało się raczej zawadą niż pomocą w dopilnowaniu, by sprawiedliwości stało się zadość.

Komisarz westchnął i zapalił papierosa. Usiadł przy swoim biurku i sporządził notatkę z nielicznych informacji, jakie zgromadził do tej pory. Rosemary Duff. Dziewiętnaście lat. Pracowała w barze Lammas. Mieszkała w Strathkinness z rodzicami i dwoma starszymi braćmi. Bracia zatrudnieni w wytwórni papieru w Guardbridge; ojciec jest konserwatorem zieleni w Craigtoun Park. MacLennan nie zazdrościł szeregowemu funkcjonariuszowi ze swego wydziału, Iainowi Shaw, ani posterunkowej, których wysłał do wioski, by przekazali najbliższym Rosie tragiczną wiadomość. Wiedział oczywiście, że we właściwym czasie sam będzie musiał porozmawiać z rodziną. Na razie mógł się jednak lepiej przysłużyć sprawie, próbując ruszyć ją do przodu. W końcu nie roіło się tu od śledczych, którzy mieli jakieś pojęcie o prowadzeniu poważnego dochodzenia. Jeśli mieli zamiar nie dać się zepchnąć na boczny tor przez dużych chłopców z komendy, MacLennan musiał ruszyć z kopyta i sprawić, by wszystkie ich działania wyglądały porządnie.

Niecierpliwie spojrział na zegarek. Potrzebował jeszcze jednego funkcjonariusza z Wydziału Kryminalnego, by móc rozpocząć przesłuchania czterech studentów, którzy twierdzili, że znaleźli ciało. Kazał swojemu posterunkowemu Allanowi Burnside'owi wrócić na komisariat tak szybko, jak to możliwe, ale wciąż nie było po nim śladu. MacLennan westchnął. Matoły i pierdoły, oto na kogo był tu skazany.

Wysunął stopy z przemoczonych butów i okręcił się na krześle, by oprzeć je na kaloryferze. Boże, co za piekielna noc na rozpoczęcie dochodzenia w sprawie morderstwa. Śnieg zmienił miejsce zbrodni w koszmar, zakrył dowody i utrudnił wszystko po stokroć. Kto da radę stwierdzić, które ślady zostawił zabójca, a które świadkowie? Zakładając oczywiście, że były to osobne jednostki. Ścierając sen z oczu, MacLennan rozważył swoją strategię przesłuchań.

Wszelka wiedza ogólna sugerowała, że najpierw powinien porozmawiać z chłopakiem, który faktycznie znalazł ciało. Dobrze zbudowany, szerokie ramiona, trudno było dostrzec jego twarz schowaną w obszernym, ale ciasno przylegającym do głowy kapturze kurtki. MacLennan odchylił się do tyłu i sięgnął po swój notatnik. Alex Gilbey, tak się nazywał. Komisarz miał dziwne przeczucie co do niego. Student nie zachowywał się specjalnie chytrze, ale nie chciał spojrzeć MacLennanowi w oczy z tą rozpaczliwą otwartością, którą okazałaby większość młodych chłopaków, gdyby znaleźli się na jego miejscu. No i z pewnością wyglądał na dość silnego, by przenieść umierającą Rosie na łagodnie wznoszące się zbocze Hallow Hill. Może działo się tu coś więcej, niż się na pozór wydawało. Nie byłby to pierwszy przypadek, w którym morderca zaaranżował odkrycie ciała swej ofiary w taki sposób, by on też był przy tym obecny. Nie, MacLennan uznał, że pozwoli młodemu panu Gilbeyowi niepokoić się w pokoju przesłuchań jeszcze trochę dłużej.

Sierżant dyżurny powiedział mu, że drugi pokój przesłuchań był zajęty przez studenta medycyny z polskim nazwiskiem. To właśnie on niewzruszenie obstawał przy tym, że Rosie jeszcze żyła, gdy ją znaleźli. Twierdził, że zrobił wszystko, co w jego mocy, by nie pozwolić jej umrzeć. Wydawał się dość opanowany, biorąc pod uwagę okoliczności. Bardziej opanowany, niż byłby MacLennan w takiej sytuacji. Pomyślał, że zacznie właśnie od niego. Jak tylko Burnside w końcu się pokaże.

Pomieszczenie, w którym trzymano Ziggy'ego, było dwa razy większe od tego, do którego trafił Alex. W jakiś sposób Ziggy zdołał stworzyć wrażenie, że jest mu tam wygodnie. Siedział zgarbiony na swoim krześle, na wpół opierając się o ścianę. Wzrok utkwiał gdzieś w dalszym planie. Był tak wyczerpany, że mógłby z łatwością zasnąć, tyle że za każdym razem, gdy zamykał oczy, obraz ciała Rosie rozjarzał się jaskrawo w jego głowie. Żadna ilość teoretycznej nauki medycyny nie przygotowała Ziggy'ego na

brutalną rzeczywistość ujrzenia istoty ludzkiej zniszczonej tak bez skrpułów. Zwyczajnie nie potrafił dość dużo, by w jakikolwiek sposób pomóc Rosie, gdy pomoc naprawdę miała znaczenie, i ta świadomość piekielnie go irytowała. Wiedział, że powinien czuć litość wobec martwej dziewczyny, ale frustracja nie zostawiła miejsca na żadne inne uczucie. Nawet na strach.

Ziggy był jednak na tyle mądry, by wiedzieć, że powinien się bać. Ubrania miał całe umazane krwią Rosie Duff; znalazła się nawet pod jego paznokciami. Zdał sobie sprawę, że pewnie ma ją również we włosach, bo przecież odsunął z oczu przemoczoną grzywkę, gdy desperacko usiłował zlokalizować ranę, z której wypływała krew. Samo w sobie było to dość niewinne, jeśli policja uwierzy w jego sprawozdanie. Jednakowoż nie miał alibi, dzięki skrzywionemu pojęciu Weirda co do tego, jak wygląda odrobina rozrywki. Naprawdę nie mógł sobie pozwolić na to, by śledczy odnaleźli pojazd najbardziej nadający się do jazdy podczas śnieżycy, w dodatku cały pokryty jego odciskami palców. Ziggy był z natury bardzo powściągliwy, ale teraz jego życie mogło się rozpaść na kawałki przez jedno nieostrożne słowo. Nie mógł znieść tej myśli.

Niemal poczuł ulgę, gdy drzwi otwarły się i do środka weszło dwóch policjantów. Rozpoznał tego, który nakazał dwóm mundurowym zawieźć ich na komisariat. Wyłuskany z przytłaczającego płaszcza okazał się chudym mężczyzną, sylwetką przypominającym charta. Mysie włosy miał nieco dłuższe, niż sugerowałaby moda. Nieogolone policzki zdradzały, że wyrwano go z łóżka w środku nocy, ale porządna biała koszula i garnitur wyglądały, jakby zostały dopiero co zdjęte z wieszaka po powrocie z pralni.

Policjant opadł na krzesło naprzeciwko Ziggy'ego i przedstawił się:

– Jestem komisarz Maclennan, a to jest posterunkowy Burnside. Musimy sobie troszkę porozmawiać o wydarzeniach z dzisiejszej nocy. –

Skinął na Burnside'a. – Mój kolega będzie sporządzał notatki, a potem przygotujemy dla ciebie zeznanie do podpisania.

Ziggy kiwnął głową.

– W porządku. Niech pan pyta. – Wyprostował się na krześle. – Czy jest szansa, bym dostał filiżankę herbaty?

MacLennan odwrócił się do Burnside'a i skinął głową. Podwładny wstał, po czym wyszedł z pokoju. Komisarz oparł się z powrotem o krzesło i zmierzył wzrokiem swojego świadka. Zabawne, że fryzury na modsów wróciły do łask. Siedzący przed nim ciemnowłosy chłopak kilkanaście lat temu bez problemu wpasowałby się do zespołu Small Faces. Według MacLennana nie wyglądał na Polaka. Miał bladą skórę i rumiane policzki rodowitego mieszkańca Fife, chociaż brązowy kolor oczu był tu odrobinę niespotykany. Szerokie kości policzkowe nadawały jego twarzy rzeźbionego, egzotycznego wyrazu. Przypominał trochę tego rosyjskiego tancerza, Rudolpha Nearenough, czy jak mu tam było.

Burnside wrócił niemal natychmiast.

– Herbata już się robi – oznajmił, zajmując miejsce i podnosząc długopis.

MacLennan oparł przedramiona na stole i splótł palce.

– Zaczniemy od danych osobowych. – Szybko uporali się ze wstępnymi pytaniami, po czym komisarz przeszedł do rzeczy. – Straszna sprawa. Musisz się czuć bardzo roztrzęsiony.

Ziggy odniósł wrażenie, że został uwięziony w krainie banałów.

– Można tak powiedzieć.

– Chciałbym, żebyś opowiedział mi własnymi słowami o tym, co się stało dzisiejszej nocy.

Ziggy odchrząknął.

– Wracaliśmy właśnie do Fife Park...

MacLennan przerwał mu, unosząc otwartą dłoń.

– Cofnijmy się jeszcze trochę. Opowiedz mi, jak przebiegł cały wieczór, dobrze?

Ziggy’emu zamarło serce. Miał nadzieję, że uda mu się pominąć fakt, iż wcześniej odwiedzili bar Lammas.

– Dobrze. Nasza czwórka mieszka w tym samym domu na kampusie Fife Park, więc zazwyczaj jemy razem. Dzisiaj była moja kolej na gotowanie. Zjedliśmy jajka, frytki i fasolkę, a potem koło dziewiątej wyszliśmy na miasto. Później mieliśmy iść na imprezę, więc chcieliśmy najpierw wypić parę piw. – Urwał, by dać Burnside’owi czas na zapisanie wszystkiego.

– Gdzie poszliście na piwo?

– Do Lammas. – Słowa Ziggy’ego zawisły w powietrzu między nimi.

Maclennan nie zareagował w żaden widoczny sposób, ale jego puls przyspieszył.

– Często chodziliście się tam napić?

– Dosyć często. Mają tanie piwo i nie przeszkadzają im studenci, czego nie można powiedzieć o paru innych miejscach w mieście.

– A zatem widzieliście Rosie Duff? Zabitą dziewczynę?

Ziggy wzruszył ramionami.

– Nie zwróciłem szczególnie uwagi.

– Co? Taka ładna dziewczyna, a ty jej nie zauważyłeś?

– To nie ona mnie obsłużyła, kiedy poszedłem zamówić kolejkę.

– Ale kiedyś na pewno musiałeś z nią rozmawiać?

Ziggy wziął głęboki oddech.

– Tak jak mówiłem, nigdy specjalnie nie zwracałem na nią uwagi. Nie kręci mnie podrywanie barmanek.

– Nie są dla ciebie dość dobre, co? – zapytał ponuro Maclennan.

– Nie jestem snobem, panie komisarzu. Wychowałem się w mieszkaniu komunalnym. Mówię tylko, że nie jara mnie zgrywanie

macho w pubie, jasne? Tak, wiem, kim była Rosie, ale nigdy nie odbyłem z nią rozmowy wykraczającej poza: „Cztery tennentsy poproszę”.

– Czy któryś z twoich przyjaciół był nią bardziej zainteresowany niż ty?

– Nie zauważyłem. – Ziggy nonszalancją zamaskował nagłą czujność, jaką wzbudził w nim tok przesłuchania.

– A zatem wypiliście parę piw w Lammas. Co było potem?

– Tak jak mówiłem, udaliśmy się na imprezę. Do takiego Pete’a, studenta matematyki z trzeciego roku. To znajomy Toma Mackiego. Mieszka w St. Andrews, w Learmonth Gardens. Nie wiem, jaki numer ma jego dom. Jego rodzice wyjechali i zorganizował domówkę. Dotarliśmy tam koło północy, a wyszliśmy tak trochę przed czwartą.

– Czy podczas imprezy wszyscy trzymaliście się razem?

Ziggy prychnął.

– Był pan kiedyś na studenckiej imprezie, komisarzu? Wie pan, jak to jest. Wchodzi się razem, bierze piwko i rozchodzi po domu. Jak już ma się dość, to się patrzy, kto jeszcze trzyma się na nogach, zbiera się ich do kupy i wytacza w noc. Ja jestem tym dobrym pasterzem. – Uśmiechnął się ironicznie.

– Czyli wasza czwórka przyszła i wyszła razem, ale nie masz pojęcia, co twoi trzej koledzy robili w międzyczasie?

– Tak, mniej więcej tak.

– Nie mógłbyś więc przysiąc, że żaden z nich nie opuścił wcześniej imprezy i na nią potem nie wrócił?

Jeśli Maclennan oczekiwał, że Ziggy okaże niepokój, to się rozczarował. Zamiast tego chłopak przekrzywił głowę na bok w zamyśleniu.

– Nie, pewnie bym nie mógł – przyznał. – Spędziłem większość czasu w oranżerii z tyłu domu. Ja i paru Anglików. Przykro mi, ale nie pamiętam ich imion. Rozmawialiśmy o muzyce, polityce, tego typu sprawach.

Zrobiło się trochę gorąco, kiedy zeszliśmy na temat szkockiej decentralizacji, jak pewnie może pan sobie wyobrazić. Przeszedłem się kilka razy po domu, żeby wziąć następne piwo, byłem też w jadalni po coś do przekąszenia, ale nie, nie byłem stróżem braci moich.

– Czy zazwyczaj wracacie razem po takich wyjściach? – MacLennan nie był do końca pewien, dokąd zmierza, ale miał wrażenie, że to właściwe pytanie.

– To zależy, czy któryś znajdzie sobie przygodę na daną noc.

Teraz zdecydowanie przeszedł do defensywy, pomyślał policjant.

– Często się to zdarza?

– Od czasu do czasu. – Uśmiech Ziggy’ego był nieco wymuszony. – Hej, jesteśmy zdrowymi, młodymi ludźmi, wie pan? Płynie w nas gorąca krew.

– Ale zazwyczaj kończy się tak, że wasza czwórka wraca do domu razem? Bardzo wygodnie.

– Wie pan, komisarzu, nie wszyscy studenci mają obsesję na punkcie seksu. Niektórzy z nas wiedzą, jak wielkie mają szczęście, że udało im się tu znaleźć, i nie chcą tego zepsuć.

– A więc wolicie własne towarzystwo? Tam, skąd pochodzę, ludzie mogliby uznać, że są z was pedały.

Na krótką chwilę maska opanowania spadła Ziggy’emu z twarzy.

– No i co z tego? To nie jest sprzeczne z prawem.

– Zależy od tego, co robisz i z kim – odparł MacLennan, odrzucając wszelkie dotychczasowe pozory życzliwości.

– A co to wszystko ma wspólnego z tym, że natknęliśmy się na umierającą dziewczynę? – zażądał odpowiedzi Ziggy, wychylając się do przodu. – Co pan próbuje sugerować? Jesteśmy gejami, a zatem zgwałciliśmy ją, a potem zamordowaliśmy?

– Twoje słowa, nie moje. To dobrze znany fakt, że niektórzy homoseksualiści nienawidzą kobiet.

Ziggy z niedowierzaniem potrząsnął głową.

– Dobrze znany komu? Ludziom uprzedzonym i ignorantom? Niech pan posłucha, to, że Alex, Tom i Davey wyszli z imprezy ze mną, nie robi z nich gejów, tak? Mogliby dać panu listę dziewczyn, które uświadomiłyby panu, jak bardzo się pan myli.

– A co z tobą, Sigmundzie? Czy i ty mógłbyś mi dać taką listę?

Ziggy siedział sztywno, licząc na to, że jego ciało go nie zdradzi. Różnica między tym, co legalne, a tym, co zrozumiałe, była równie wielka jak Szkocja. Dotarł do punktu, gdzie prawda nie była jego przyjaciółką.

– Możemy wrócić do sedna sprawy, panie komisarzu? Wyszedłem z imprezy około czwartej nad ranem z trzema przyjaciółmi. Poszliśmy ulicą Learmonth Place, skręciliśmy w lewo w Canongate, a potem szliśmy Trinity Place. Przez Hallow Hill wiedzie skrót do Fife Park...

– Czy widzieliście kogoś jeszcze, kiedy szliście w stronę wzgórza? – przerwał mu MacLennan.

– Nie. Ale widoczność była okropna z powodu śniegu. W każdym razie szliśmy ścieżką u stóp wzgórza i Alex zaczął biec pod górę. Nie wiem dlaczego. Byłem przed nim i nie widziałem, co go do tego skłoniło. Kiedy dotarł na szczyt, potknął się i wpadł do dołka. Następne, co usłyszałem, to jak wołał do nas, żebyśmy wdrapali się do niego na górę, bo jest tam młoda kobieta, która krwawi. – Ziggy zamknął oczy, ale zaraz pospiesznie je otworzył, ponieważ znów ujrzał pod powiekami martwą dziewczynę. – Wspięliśmy się na szczyt i znaleźliśmy Rosie leżącą w śniegu. Sprawdziłem puls jej tętnicy szyjnej. Był bardzo słaby, ale wciąż wyczuwalny. Wydawała się krwawić z rany w brzuchu. Po dotyku poznałem, że to było dość duże rozcięcie. Długie może na osiem, dziesięć centymetrów. Kazałem Alexowi sprowadzić pomoc. Zadzwoić po policję. Okryliśmy Rosie naszymi płaszczami, a ja próbowałem uciskać ranę, ale było za późno. Zbyt poważne obrażenia wewnętrzne, straciła za dużo

krwi. Umarła w ciągu paru minut. – Ziggy wolno wypuścił powietrze. – Nie mogłem nic zrobić.

Nawet Maclennan ucichł na moment, porażony intensywnością tego wyznania. Zerknął na Burnside'a, który pisał zawzięcie.

– Dlaczego poprosiłeś właśnie Alexa Gilbeya, żeby pobiegł po pomoc?

– Bo był trzeźwiejszy niż Tom. A Davey z zasady idzie w rozsypkę w chwilach kryzysu.

Pasowało idealnie. Niemal zbyt idealnie. Maclennan odsunął swoje krzesło od stołu.

– Panie Malkiewicz, jeden z moich ludzi odwiezie pana teraz do domu. Będziemy chcieli zabrać ubrania, które ma pan na sobie, do analizy kryminalistycznej. Pobierzemy też pańskie odciski palców w celu eliminacji. Na pewno zechcemy też ponownie z panem porozmawiać.

Były rzeczy, których Maclennan pragnął się dowiedzieć o Sigmundzie Malkiewicz. Ale to mogło poczekać. Uczucie niepokoju, jakie wywoływali w nim ci czterej młodzieńcy, narastało z minuty na minutę. Chciał zacząć na nich naciskać. A teraz miał przeczucie, że ten, który idzie w rozsypkę w chwilach kryzysu, będzie tym, który się złamie.

ROZDZIAŁ TRZECI

POEZJA BAUDELAIRE'A zdawała się działać. Mondo, zwinięty w kłębek na materacu tak twardym, że w zasadzie nie zasługiwał na to miano, recytował sobie w myślach wiersze z *Les Fleurs du Mal*. Wydawały się ironicznie odpowiednie w świetle wydarzeń tej nocy. Melodyczna płynność języka uspokajała go, ścierała z jego umysłu realność śmierci Rosie Duff i policyjnej celi, w której się przez nią znalazł. Była transcendentna, wynosiła go ponad jego ciało w inne miejsce, gdzie gładka sekwencja sylab była wszystkim, co mogła przyjąć jego świadomość. Nie chciał się mierzyć ze śmiercią, poczuciem winy, strachem ani podejrzeniami.

Jego kryjówka implodowała raptownie, gdy drzwi do celi otworzyły się z trzaskiem. Nad leżącym Mondem zamajaczył groźnie posterunkowy Jimmy Lawson.

– Wstawaj, synku. Chcą cię zobaczyć.

Chłopak szarpnął się do tyłu, byle dalej od młodego policjanta, który w jakiś sposób zmienił się z wybawcy w prześladowcę. Uśmiech Lawsons wcale nie ukoił jego nerwów.

– Coś ty taki zestrachany? No już, ruszaj się. Komisarz Maclennan nie lubi, jak każe mu się czekać.

Mondo zsunął się z kozetki i wyszedł za Lawsonem z celi na jaskrawo oświetlony korytarz. Wszystko było zbyt ostre, zbyt mocno zarysowane jak na jego gust. Naprawdę źle się tu czuł.

Policjant minął załom korytarza, po czym z rozmachem otworzył drzwi. Mondo zawahał się na progu. Przy stole w pokoju siedział

mężczyzna, którego widział wcześniej na Hallow Hill. Wygląda zbyt niepozornie, by być gliniarzem, pomyślał Mondo.

– Pan Kerr, zgadza się? – padło pytanie.

Mondo skinął głową.

– Tajest – potwierdził. Zaskoczyło go brzmienie własnego głosu.

– Wejdz i usiądź. Jestem komisarz MacLennan, a to jest posterunkowy Burnside.

Mondo zajął miejsce na krześle naprzeciwko obu mężczyzn i wbił wzrok w blat stołu.

Burnside przeprowadził go przez wstępne pytania z uprzejmością, która go zaskoczyła; spodziewał się gliniarzy takich jak w serialu *The Sweeney*, wrzeszczących i pyszałkowatych typów macho.

Gdy MacLennan przejął rolę pytającego, do rozmowy wkradła się nuta surowości.

– Znałeś Rosie Duff – stwierdził.

– Tak. – Mondo wciąż nie podnosił wzroku. – No, wiedziałem, że była barmanką w Lammas – dodał, gdy cisza wokół nich zaczęła narastać.

– Niczego sobie dziewczyna – rzekł MacLennan.

Mondo nie odpowiedział.

– Musiałeś zauważyć przynajmniej to.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie myślałem o niej.

– Nie była czasem w twoim typie?

Mondo podniósł wzrok i uniósł kącik ust w półuśmiechu.

– Sądzę, że ja zdecydowanie nie byłem w jej typie. Nigdy nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi. Zawsze znaleźli się jacyś inni koleś, którymi była bardziej zainteresowana. W Lammas za każdym razem musiałem czekać, aż zostanę obsłużony.

– To musiało być dla ciebie irytujące.

W oczach Monda błysnęła panika. Zaczął pojmować, że Maclennan jest inteligentniejszy, niż w jego przypuszczeniach mógłby być jakiś glina. Będzie musiał go przechytrzyć i zachować przytomność umysłu.

– Tak naprawdę to nie. Jak nam się spieszyło, to po prostu prosiłem Gilly’ego, żeby zamówił dla nas piwo, kiedy przychodziła moja kolej, żeby stawiać.

– Gilly’ego? Czyli Alexa Gilbeya?

Mondo skinął głową, znów spuszczać wzrok. Nie chciał pozwolić temu mężczyźnie, by zobaczył jakiegokolwiek emocje, które burzyły się w jego wnętrzu. *Śmierć, poczucie winy, strach, podejrzenia*. Desperacko pragnął stąd zniknąć, z komisariatu, z tego śledztwa. Nie chciał wkopać po drodze nikogo innego, ale nie mógł znieść tej sytuacji. Wiedział, że nie będzie w stanie jej podołać, i nie chciał zachować się przypadkiem w sposób, który podsunąłby glinom myśl, że jest w nim coś podejrzanego, coś sugerującego winę. Bo nie on był najbardziej podejrzany z ich czwórki. Nie zagadał do Rosie Duff, chociaż bardzo tego chciał. Nie ukradł land rovera. On tylko pożyczył auto, żeby odstawić jedną panienkę do domu w Guardbridge. To nie on potknął się o ciało leżące w śniegu. To była sprawka Alexa. To przez pozostałych znalazł się w samym środku tej gównianej sytuacji. Jeśli ceną za ochronę własnej osoby będzie zwrócenie uwagi policjantów w inną stronę, cóż... Gilly nigdy się o tym nie dowie. A nawet gdyby się dowiedział, Mondo był pewien, że kumpel by mu wybaczył.

– A zatem lubiła Gilly’ego, czy tak? – Maclennan nie odpuszczał.

– Nie mam pojęcia. Z tego, co mi wiadomo, był dla niej tylko kolejnym klientem.

– Ale takim, na którego zwracała więcej uwagi niż na ciebie.

– Ach, cóż, to nie robiło z niego jakiegoś wielkiego wyjątku.

– Mówisz, że Rosie była flirciarą?

Mondo potrząsnął głową, zniecierpliwiony samym sobą.

– Nie. Wcale nie. To była jej praca. Była barmanką. Musiała być miła dla ludzi.

– Ale nie dla ciebie.

Mondo pociągnął nerwowo za kędziory opadające mu na uszy.

– Przekręca pan moje słowa. Ona była dla mnie nikim i ja byłem dla niej nikim. Czy mogę już iść?

– Jeszcze nie, panie Kerr. Czyj to był pomysł, żeby dzisiejszej nocy wracać przez Hallow Hill?

Mondo zmarszczył brwi.

– Niczyj. To najkrótsza droga z miejsca, w którym byliśmy, do Fife Park. Często tamtędy wracamy. Nikt się nad tym nie zastanawiał.

– A czy któryś z was poczuł kiedykolwiek potrzebę, żeby wbiec na górę, na piktyjski cmentarz?

Mondo pokręcił głową.

– Wiedzieliśmy, że on tam jest. Poszliśmy raz na wzgórze, żeby popatrzeć, kiedy trwały tam prace archeologiczne. Tak jak połowa St. Andrews. Wie pan, to nie czyni z nas dziwaków.

– Nic takiego nie sugerowałem. Ale nigdy wcześniej podczas powrotu do domu nie nadłożyście drogi, żeby tam zajrzeć?

– A po co mielibyśmy robić coś takiego?

Maclennan wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Głupie chłopięce zabawy. Może obejrzelście *Carrie* o kilka razy za dużo.

Mondo pociągnął za jeden ze swoich loków. *Śmierć, poczucie winy, strach, podejrzenia.*

– Nie interesują mnie horrory. Niech pan posłucha, komisarzy, patrzy pan na to wszystko ze złej strony. Jesteśmy tylko czwórką zwykłych chłopaków, którzy wdepnęli w coś absolutnie niecodziennego. Ni mniej, ni więcej. – Rozłożył ręce w geście niewinności, modląc się, by wypadł

przekonująco. – Przykro mi z powodu tego, co spotkało tę dziewczynę, ale nie mam z tym nic wspólnego.

Maclennan odchylił się do tyłu na krześle.

– To ty tak twierdzisz.

Mondo nie odpowiedział, wypuścił tylko oddech w długim, pełnym frustracji westchnieniu.

– Co możesz mi powiedzieć o imprezie? Co tam robiliście?

Mondo wykręcił się na bok na swoim siedzisku. Pragnienie ucieczki emanowało oczywistością z każdego jego mięśnia. Czy dziewczyna się wygada? Wątpił w to. Musiała się wkraść z powrotem do domu, miała wrócić parę godzin wcześniej. No i nie była studentką, prawie nikogo tam nie znała. Przy odrobinie szczęścia nikt o niej nawet nie wspomni i nie zostanie wezwana na przesłuchanie.

– Co to pana w ogóle obchodzi? Wie pan, my jedynie znaleźliśmy ciało.

– Musimy zbadać wszelkie możliwości.

– Wykonuje pan tylko swoją pracę, co? – Mondo wykrzywił się drwiąco. – No cóż, marnuje pan czas, jeśli pan myśli, że mieliśmy cokolwiek wspólnego z tym, co się z nią stało.

Maclennan wzruszył ramionami.

– Mimo to chciałbym, żebyś mi opowiedział o tej imprezie.

Czując mdłości, Mondo podzielił się okrojoną wersją wydarzeń, która, jak miał nadzieję, przejdzie pomyślnie krytyczną ewaluację.

– No nie wiem. Trudno zapamiętać każdy szczegół. Niedługo po tym, jak przyszliśmy, zagadywałem taką laskę. Marg, tak się nazywała. Z Elgin. Tańczyliśmy przez jakiś czas. Myślałem, że ją mam, wie pan? – Zrobił żalospną minę. – Wtedy pojawił się jej chłopak. Wcześniej o nim nie wspomniała. Byłem dosyć rozdrażniony, więc wypłem jeszcze parę piw i poszedłem na piętro. Był tam mały gabinet, w zasadzie taka komórka z biurkiem i krzesłem. Posiedziałem tam przez chwilę, użalając się nad

sobą. Niezbyt długo, tyle, ile trzeba, żeby osuszyć jedną puszkę. Potem wróciłem na dół i pokręciłem się tam trochę. Ziggy deklamował jakimś Anglikom *Deklarację z Arbroath* w ogrodzie zimowym, więc nie zbliżałem się tam za bardzo. Słyszałem to już zbyt wiele razy. W zasadzie nie zwróciłem uwagi na nikogo innego. Nie było tam zbyt wielu atrakcyjnych dziewczyn, a te, które przyszły, były już zajęte, więc po prostu pałętałem się po domu. Szczerze mówiąc, byłem gotowy się stamtąd zabrać wieki przed tym, zanim faktycznie wyszliśmy.

– Ale nie zasugerowałeś, żebyście poszli wcześniej?

– Nie.

– Dlaczego nie? Nie masz własnego zdania?

Mondo posłał mu nienawistne spojrzenie. Nie po raz pierwszy został oskarżony o podążanie za innymi na wzór bezmyślnej owcy.

– Oczywiście, że mam. Po prostu mi się nie chciało, jasne?

– No dobrze – rzekł MacLennan. – Sprawdzimy twoją wersję wydarzeń. Możesz już iść. Będziemy chcieli wziąć ubrania, które masz na sobie. Poślemy funkcjonariusza do waszego domu, żeby je zabrał. – Komisarz wstał. Nogi jego krzesła zazgrzytały po podłodze z piskiem, który podziałał Mondowi na nerwy. – Będziemy w kontakcie, panie Kerr.

Posterunkowa Janice Hogg zamknęła drzwi radiowozu tak cicho, jak potrafiła. Nie chciała obudzić całej ulicy. I tak wszyscy szybko się dowiedzą, co zaszło. Wzdrygnęła się, gdy posterunkowy Iain Shaw bezmyślnie trzasnął drzwiami od strony kierowcy i popatrzyła wilkiem na tył jego łysiejącej głowy. Ma zaledwie dwadzieścia pięć lat, a już obnosi starczą linię włosów, pomyślała z przelotnym poczuciem zadowolenia i wyższości. I jeszcze myśli, że taka z niego dobra partia.

Shaw odwrócił się z gniewną miną, jakby jej myśli jakoś do niego dotarły.

– No chodź. Miejmy to już za sobą.

Janice ponownie rzuciła okiem na dom, podczas gdy Shaw popchnął drewnianą furtkę i dziarsko pomaszerował niedługą dróżką. Budynek był typowy dla okolicy: niski, z kilkoma oknami mansardowymi wypychającymi się spod dachu krytego esówką, ze schodowymi szczytami daszków przyozdobionych śniegiem. Mała weranda wychylająca się spomiędzy parterowych okien, szorstki tynk pomalowany na jakiś bury kolor, który trudno było zidentyfikować w słabym świetle rzucanym przez uliczne latarnie. Wygląda na dość zadbany, uznała Janice, zastanawiając się, który pokój należał do Rosie.

Przegnała tę myśl z głowy, przygotowując się mentalnie do nadchodzącej przeprawy. Zlecano jej dostarczanie złych wieści o wiele częściej, niż nakazywałyby sprawiedliwość. Kwestia płci. Zebrała się w sobie, gdy Shaw zabębnił w drzwi ciężką żelazną kołatką. Z początku nic się nie wydarzyło. Potem przyćmione światło rozbłysło za kotarami w oknie na prawo od drzwi. Pojawiła się dłoń i odciągnęła zasłonę na bok. Potem ukazała się twarz, oświetlona z jednej strony. Mężczyzna w późniejszym etapie wieku średniego, z szarzejącymi, rozczochranymi włosami, zagapił się na ich dwójkę, rozdziawiając usta.

Shaw wyciągnął swoją policyjną legitymację i podsunął do okna. Tego gestu nie dało się z niczym pomylić. Zasłona opadła. Parę chwil później drzwi frontowe otworzyły się, ukazując tego samego jegomościa zawiązującego wokół talii pasek grubego, wełnianego szlafroka. Nogawki jego piżamy opadały na wytarte kapcie w tartanową kratę.

– O co chodzi? – odezwał się mężczyzna roszczeniowo, nieudolnie ukrywając niepokój za maską wojowniczości.

– Pan Duff? – zapytał Shaw.

– Tak, to ja. Czego państwo szukają w moim domu o takiej porze?

– Jestem posterunkowy Shaw, a to jest posterunkowa Hogg. Czy możemy wejść, panie Duff? Musimy z panem porozmawiać.

– Co też ci moi chłopcy narozrabiali? – Mężczyzna cofnął się i gestem zaprosił ich do środka.

Wewnętrzne drzwi prowadziły prosto do salonu. Zestaw mebli, składający się z kanapy i dwóch foteli obitych brązowym sztruksem, ustawiony był dookoła największego telewizora, jaki Janice widziała w życiu.

– Proszę spocząć – zachęcił pan Duff.

Gdy skierowali się ku sofie, zza drzwi w drugim końcu pokoju wyłoniła się Eileen Duff.

– Co się dzieje, Archie? – zapytała. Nieumalowaną twarz miała tłustą od kremu na noc, a na głowie beżowy, szyfonowy szal osłaniał nawinięte na papiloty włosy. Jej pikowana, nylonowa podomka była krzywo zapięta.

– Przyszła policja – odparł jej mąż.

Zatrwożona kobieta wytrzeszczyła oczy.

– Co się stało?

– Czy może pani usiąść tu z nami, pani Duff? – zapytała Janice, podchodząc do niej, by ująć ją za łokieć. Pokierowała kobietę do kanapy i gestem skłoniła jej małżonka, żeby do niej dołączył.

– To jakieś złe nowiny, czuję to – stwierdziła żałośnie pani Duff, ściskając kurczowo ramię męża. Archie Duff wpatrywał się niewzruszenie w czarny ekran telewizora, zacisnąwszy mocno usta.

– Bardzo mi przykro, pani Duff, ale obawiam się, że ma pani rację. Przynosimy państwu bardzo złe wieści. – Shaw stał niezręcznie z lekko pochyloną głową, wbijając wzrok w różnokolorowe zawijasy na dywanie.

Pani Duff szturchnęła męża.

– Mówiłam ci, żebyś nie pozwalał Brianowi kupić tego motocykla. Mówiłam ci.

Shaw posłał Janice oczyma krótkie wezwanie o pomoc. Posterunkowa podeszła o krok bliżej do państwa Duffów i odezwała się łagodnie:

– To nie ma związku z Brianem. Chodzi o Rosie.

Z ust pani Duff wyrwał się cichy, skamlący jęk.

– Chyba wam się coś pomyliło – zaprotestował jej mąż.

Janice zmusiła się, by mówić dalej.

– Kilka godzin temu na Hallow Hill znaleziono ciało młodej kobiety.

– Musiało wam się coś pomylić – obstawał przy swoim Archie Duff.

– Obawiam się, że nie. Paru funkcjonariuszy przybyłych na miejsce zbrodni rozpoznało Rosie. Znali ją z Lammas. Bardzo mi przykro, że muszę państwu przekazać takie wieści, ale państwa córka nie żyje.

Janice przynosiła wiadomości o podobnych ciosach na tyle często, by zdawać sobie sprawę, że większość ludzi reagowała na jeden z dwóch sposobów. Zaprzeczeniem, tak jak Archie Duff, albo obezwładniającą rozpaczą, która uderzała we wciąż żywych członków rodziny niczym klęska żywiołowa. Eileen Duff odrzuciła głowę do tyłu i zawyła, wykrzykując swój ból w stronę sufitu. Wykręcała i załamywała dłonie złożone na podołku, a całym jej ciałem zawładnęła udręka. Jej mąż wlepił w nią wzrok, jakby była kimś obcym; ściągnął brwi, twardo odmawiając przyjęcia do wiadomości tego, co się właśnie działo.

Janice stała wciąż w tym samym miejscu, pozwalając, by pierwsza fala załamała się na niej jak pływ syzygijny na West Sands. Shaw przestępował z nogi na nogę, niepewny, co powinien teraz powiedzieć.

Nagle rozległy się ciężkie kroki na schodach wiodących na piętro z krańca pokoju. Na stopniach pojawiły się nogi odziane w spodnie od piżamy, potem ukazała się naga klatka piersiowa, a następnie rozespana twarz zwieńczona czupryną rozwichrzonych ciemnych włosów. Młody mężczyzna zatrzymał się niemal u dołu schodów i obrzucił wzrokiem całą scenę.

– Co tu się, u diabła, dzieje? – burknął.

Archie odpowiedział mu, nie odwracając głowy:

– Twoja siostra nie żyje, Colinie.

Colinowi Duffowi opadła szczęka.

– Co takiego?

Janice znów wkroczyła w wyłom tej rozmowy.

– Bardzo mi przykro, Colinie. Niedawno znaleziono ciało twojej siostry.

– Gdzie? Co się stało? Jak to: „znaleziono jej ciało”? – Słowa wylatywały z jego ust, podczas gdy nogi ugięły się pod nim i Colin osunął się na ostatni stopień schodów.

– Znaleziono ją na Hallow Hill. – Janice wzięła głęboki oddech. – Mamy podstawy sądzić, że Rosie została zamordowana.

Colin schował głowę w dłoniach.

– O Jezu – szeptał raz za razem.

Shaw wychylił się do przodu.

– Panie Duff, będziemy musieli zadać panu parę pytań. Czy moglibyśmy przejść do kuchni?

Pierwszy paroksyzm żalu Eileen zaczął już ustępować. Przestała zawodzić i zwróciła swą poznaczoną łzami twarz ku Archiemu.

– Zostańcie tutaj. Nie jestem dzieckiem, przed którym trzeba ukrywać prawdę. – Przełknęła ślinę.

– Czy macie jakąś brandy? – zapytała Janice. Archie spojrzał na nią obojętnym wzrokiem. – Albo whisky?

Colin niezgrabnie podniósł się na nogi.

– Mamy butelkę w komórcie w kuchni. Zaraz ją przyniosę.

Eileen zwróciła zapuchnięte oczy na Janice.

– Co się stało mojej Rosie?

– Nie możemy jeszcze być niczego pewni. Wygląda na to, że została dźgnięta nożem. Będziemy jednak musieli poczekać na raport koronera, by zyskać pewność.

Słyszając to, Eileen szarpnęła się, jakby sama została ugodzona.

– Kto miałby zrobić Rosie coś takiego? Przecież ona muchy by nie skrzywdziła.

– Tego również jeszcze nie wiemy – odparł Shaw. – Ale znajdziemy sprawcę, pani Duff. Znajdziemy go. Wiem, że to najgorszy czas na świecie, by zadawać państwu pytania, ale im szybciej uzyskamy potrzebne nam informacje, tym prędzej zrobimy postęp w śledztwie.

– Czy mogę ją zobaczyć? – zapytała Eileen.

– Zorganizujemy to dzisiaj w późniejszych godzinach – zapewniła Janice. Przykucnęła przy kobiecie i położyła dłoń na jej ręce w geście pocieszenia. – O której Rosie zazwyczaj wracała do domu?

Colin wyszedł z kuchni, niosąc butelkę bells i trzy szklanki.

– Lammas przyjmuje ostatnie zamówienia o dziesiątej trzydzieści. Zazwyczaj kwadrans po jedenastej była już w domu. – Postawił szklanki na stoliku kawowym i nalał do nich solidne porcje.

– Ale w niektóre noce wracała później? – chciał wiedzieć Shaw.

Colin wręczył whisky rodzicom. Archie wypił połowę swego drinka jednym haustem. Eileen zacisnęła dłoń na szklance, ale nie podniosła jej do ust.

– Tak. Jeśli szła na imprezę albo coś takiego.

– A zeszłej nocy?

Colin przełknął trochę alkoholu.

– Nie wiem. Mamo? O czymś ci wspominała?

Eileen podniosła na niego wzrok, oszołomiona i zagubiona.

– Mówiła, że idzie się spotkać z przyjaciółmi. Nie powiedziała z kim, a ja nie pytałam. Ma prawo do własnego życia. – Przybrała obronny ton, który zdradził Janice, że ta kwestia była kością niezgody, pewnie między nią a Archiem.

– W jaki sposób Rosie zwykle dostawała się do domu? – zapytała funkcjonariuszka.

– Jeśli ja albo Brian akurat byliśmy w mieście, podjeżdżaliśmy po nią, kiedy bar się zamykał. Jedna z barmanek, Maureen, podrzucała ją tu, jeśli

pracowały akurat na tej samej zmianie. Jak Rosie nie mogła znaleźć kogoś, kto by ją podwiózł, brała taksówkę.

– Gdzie jest Brian? – zapytała nagle Eileen, niespokojna o swego drugiego syna.

Colin wzruszył ramionami.

– W domu go nie ma. Pewnie został na noc w mieście.

– Niech tu wróci. Nie powinien o tym usłyszeć od kogoś obcego.

– Wróci na śniadanie – wtrącił opryskliwie Archie. – Musi się przygotować do pracy.

– Czy Rosie z kimś się spotykała? Miała chłopaka? – Shaw pozwolił, by górę wzięła nad nim chęć opuszczenia tego miejsca, i skierował rozmowę z powrotem na pasujące mu tory.

Archie wykrzywił usta w grymasie.

– Chłopaków to jej nigdy nie brakowało.

– Czy był ktoś szczególny?

Eileen upiła maleńki łyk whisky.

– Ostatnio chodziła z kimś na randki. Ale nie chciała mi nic o nim powiedzieć. Pytałam ją, lecz stwierdziła, że dowiem się w odpowiednim czasie.

Colin prychnął.

– Z tego, co słyszę, to pewnie ktoś żonaty.

Archie spiorunował syna wzrokiem.

– Bacz na słowa, kiedy mówisz o swojej siostrze, słyszysz?

– No ale z jakiego innego powodu trzymała to w tajemnicy? – Colin wyzywająco wysunął szczękę.

– Może nie chciała, żebyście się razem z bratem znowu wtrącali w jej sprawy – odparował Archie. Odwrócił się do Janice. – Kiedyś stłukli jednego chłopaka, bo uznali, że nie traktuje Rosie odpowiednio.

– Kto to był?

Zaskoczony Archie otworzył szeroko oczy.

– To było wiele lat temu. Ta sprawa nie ma z tym nic wspólnego. Ten chłopak już tu nawet nie mieszka. Przeprowadził się do Anglii niedługo po tej bójce.

– Mimo to chcielibyśmy poznać jego imię – nalegał Shaw.

– John Stobie – burknął buntowniczo Colin. – Jego ojciec jest ogrodnikiem w Old Course. Tata ma rację, nie odważyłby się zbliżyć do Rosie.

– To nie był żaden żonaty mężczyzna – odezwała się Eileen. – Spytałam ją o to. Odparła, że nie sprowadziłaby nam na próg takich kłopotów.

Colin pokręcił głową i odwrócił się, powoli sącząc swoją whisky.

– Ostatnio z nikim jej nie widziałem – przyznał. – Ale Rosie lubiła mieć tajemnice.

– Będziemy chcieli obejrzeć jej pokój – oznajmił Shaw. – Nie teraz, ale jeszcze dzisiaj. Bardzo nam pomoże, jeśli nie będą tam państwo nic ruszać. – Odchrząknął. – Czy chcieliby państwo, żeby posterunkowa Hogg została z wami?

Archie pokręcił głową.

– Poradzimy sobie.

– Może się zdarzyć tak, że zlecą się tu dziennikarze – ostrzegł Shaw. – Będzie wam łatwiej, jeśli na miejscu zostanie funkcjonariusz policji.

– Słyszał pan, co powiedział tata. Poradzimy sobie lepiej sami – wtrącił Colin.

– Kiedy będę mogła zobaczyć Rosie? – zapytała Eileen.

– Przyślemy samochód jeszcze dzisiaj. Dopilnuję, by ktoś do państwa zadzwonił, żeby wszystko ustalić. A jeśli komuś przypomni się cokolwiek, co Rosie powiedziała o tym, gdzie się wybierała zeszłej nocy albo z kim miała się spotkać, proszę nas powiadomić. Przydałaby nam się lista jej znajomych. Zwłaszcza tych, którzy mogą wiedzieć, gdzie wczoraj poszła

i z kim. Czy mogą to państwo dla nas zrobić? – Shaw zachowywał się teraz delikatnie, widział już wyraźnie przed sobą drogę ucieczki.

Archie skinął głową i podniósł się z kanapy.

– Później. Przygotujemy taką listę.

Janice wstała. Jej kolana wyraziły niezadowolenie, że kucała przez tak długi czas.

– Trafimy do wyjścia.

Podążyła za Iainem do drzwi. W pokoju wyczuwało się wręcz namacalne cierpienie, wypełniające powietrze i utrudniające oddychanie. Zawsze wyglądało to tak samo. Melancholia zdawała się stopniowo narastać w ciągu pierwszych godzin po otrzymaniu wiadomości.

Ale to się zmieni. Już niedługo zastąpi ją gniew.

ROZDZIAŁ CZWARTY

WEIRD WPATRYWAŁ SIĘ ze złością w Maclennana, swe chude ręce splótł na wąskiej piersi.

– Chcę papierosa – zażądał. Kwas, który połknął wcześniej, przestał już działać i teraz chłopak stał się roztrzęsiony i marudny. Nie chciał tu tkwić i był zdeterminowany, by opuścić komisariat najszybciej, jak się da. Ale to nie znaczyło, że zamierzał ustąpić policjantom choćby na krok.

MacLennan potrząsnął głową.

– Przykro mi, synku. Nie palę.

Weird skierował wzrok na drzwi.

– Wie pan chyba, że nie wolno wam stosować tortur.

MacLennan nie dał się sprowokować.

– Musimy zadać ci kilka pytań o to, co się stało w nocy.

– Nic z tego, nie bez prawnika. – Weird uśmiechnął się lekko, zadowolony z siebie.

– Po co ci prawnik, jeśli nie masz nic do ukrycia?

– Bo pan należy do systemu. No i trafiła się panu martwa dziewczyna. Potrzebny panu ktoś, na kogo będzie można zrzucić winę. Nie podpiszę żadnych fałszywych zeznań, choćby nie wiem jak długo mnie pan tu trzymał.

MacLennan westchnął. Dobijał go fakt, że wątpliwej jakości błazenady niektórych policjantów dały takim przemądrzałym chłoptasiom kijek, którym mogli równo smagać wszystkich stróżów prawa. Był gotów założyć się o tygodniową pensję, że ten zadufany w sobie młodzieniaszek miał na ścianie w swoim pokoju plakat z Che Guevarą. I pewnie myślał, że jako

pierwszy zaklepał sobie rolę bohatera klasy robotniczej. Żadna z tych rzeczy nie znaczyła jednak, że nie mógł zabić Rosie Duff.

– Masz bardzo zabawne wyobrażenia o metodach naszych działań.

– Powiedz pan to Szóstce z Birmingham i Czwórcie z Guildford – odparował Weird, jakby właśnie wyłożył asa na stół.

– Jeśli nie chcesz skończyć tak jak oni, synku, to radziłbym ci, żebyś zaczął ze mną współpracować. Możemy to załatwić w prosty sposób: ja zadam ci parę pytań, a ty na nie odpowiesz. Albo możemy zamknąć cię w celi na kilka godzin, dopóki nie znajdziemy prawnika, który aż tak rozpaczliwie potrzebuje pracy.

– Czy odmawia mi pan mojego prawa do reprezentacji prawnej? – W głosie Weirda zabrzmiała pompatyczna nuta. Gdyby jego koledzy to usłyszeli, pewnie by się załamali.

Jednak MacLennan uznał, że jest nadzwyczaj godnym przeciwnikiem dla wywyższającego się studenciaka.

– Jak uważasz. – Odsunął się od stołu.

– Tak uważam – potwierdził nieprzejednanie Weird. – Nie mam panu nic do powiedzenia, dopóki nie zjawi się tu adwokat.

Komisarz ruszył do drzwi, Burnside tuż za nim.

– Więc kogoś pan tu ściągnie, tak?

MacLennan odwrócił się na progu.

– To nie moja broszka, synku. Jak chcesz adwokata, musisz sam wykonać telefon.

Weird oszacował swą sytuację. Nie znał żadnych prawników. A nawet gdyby jakiegoś znał, nie byłoby go stać na jego usługi. Mógł sobie wyobrazić, co powiedziałyby ojciec, gdyby zadzwonił do domu i poprosił o pomoc w takiej sprawie. Nie była to przyjemna wizja. Poza tym musiałby wtedy opowiedzieć prawnikowi całą historię, a spec opłacony przez jego ojca byłby zobowiązany zdać panu Mackiemu pełny raport z tej

rozmowy. Weird uznał, że istnieją o wiele gorsze rzeczy niż aresztowanie za kradzież land rovera.

– Wie pan co, zrobimy tak – odezwał się z niechęcią. – Niech pan zada te swoje pytania. Jeśli będą tak nieszkodliwe, jak pan twierdzi, to na nie odpowiem. Ale jeśli nabiorę podejrzeń, że próbuje mnie pan zrobić, to będzie oznaczało koniec zwierzeń.

Maclennan zamknął drzwi i znów usiadł przy stole. Obrzucił Weirda długim, przenikliwym spojrzeniem. Zauważył inteligencję w jego oczach, spiczasty, podobny do dzioba nos i osobiwie pełne wargi. Nie sądził, by Rosie Duff uznała go za pożądaną zdobycz. Pewnie by go wyśmiała, gdyby kiedykolwiek zaproponował jej randkę. Taka reakcja mogła zrodzić jątrzącą się urazę. Urazę zdolną doprowadzić do morderstwa.

– Jak dobrze znałeś Rosie Duff? – zapytał.

Weird przekrzywił głowę na bok.

– Nie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, jak miała na nazwisko.

– Próbowalesz się z nią kiedyś umówić?

Weird prychnął.

– Chyba pan żartuje. Mam nieco większe aspiracje. Małomiasteczkowe laski z małomiasteczkowymi marzeniami to nie dla mnie.

– A twoi koledzy?

– Nie wydaje mi się. Jesteśmy tu właśnie dlatego, że dążymy do czegoś więcej, niż pan sugeruje.

Maclennan uniósł brwi.

– Doprawdy? Przybyłeś do St. Andrews aż z Kirkcaldy, żeby poszerzać horyzonty? Mój Boże, świat pewnie wstrzymuje oddech. Słuchaj no, synku, Rosie Duff została zamordowana. Jej marzenia, jakiegokolwiek by były, umarły razem z nią. Więc zastanów się dwa razy, zanim palniesz kolejną protekcyjną bzdurę pod jej adresem.

Weird nie ugiął się pod wściekłym spojrzeniem komisarza.

– Chciałem przez to tylko powiedzieć, że nasze życie nie miało nic wspólnego z jej życiem. Gdyby nie fakt, że natknęliśmy się na jej ciało, nigdy by pan nawet o nas nie usłyszał w związku z tą sprawą. I szczerze mówiąc, jeśli to my wydajemy wam się najbardziej podejrzani, to nie zasługujecie na miano policjantów.

Powietrze między nimi aż trzeszczało od napięcia. Zazwyczaj Maclennana cieszyły gorące dyskusje w trakcie przesłuchania. Był to użyteczny środek, który sprawiał, że ludzie mówili więcej, niż pierwotnie zamierzali. A on miał przeczucie, że pozorna arogancja tego młodego człowieka stanowi zasłonę dymną. Może ukrywał coś absolutnie nieważnego, a może klucz do całej sprawy. Nawet jeśli naciskanie na niego zapewni komisarzowi jedynie ból zatok, nie mógł się oprzeć tej okazji. Jedynie na wszelki wypadek.

– Opowiedz mi o imprezie – rzekł.

Weird lekceważąco spojrział w sufit.

– No jasne, nie sędzę, żeby pana często gdzieś zapraszano. Wygląda to tak. Osobniki płci męskiej i żeńskiej zbierają się w jakimś lokum, wypijają parę browarków i tańczą w rytm muzyki. Czasami się obściskują. Czasami nawet uda im się kogoś zaliczyć. A potem wszyscy rozchodzą się do domów. Tak było i tej nocy.

– A czasami się upalają – dodał łagodnie Maclennan, nie pozwalając, by sarkazm chłopaka jeszcze bardziej go zirytował.

– Na pewno nie wtedy, kiedy pan jest w pobliżu – odparł Weird z pogardliwym uśmiechem.

– Czy ty się dziś upaliłeś?

– No i widzi pan? O tym właśnie mówiłem. Próbuje mnie pan zrobić.

– Z kim tam byłeś?

Weird zastanowił się.

– Wie pan, w zasadzie to nie pamiętam. Przyszedłem z chłopakami i wyszedłem z chłopakami. A pomiędzy? Nic sobie nie przypominam. Ale

jeśli usiłuje pan sugerować, że wymknąłem się, żeby popełnić morderstwo, to coś się panu pokićkało. Niech pan zapyta, gdzie byłem, to panu powiem. Całą noc spędziłem w salonie, pomijając moment, kiedy poszedłem na piętro się odlać.

– A co z twoimi kolegami? Gdzie oni byli?

– Nie mam pojęcia. Nie jestem stróżem braci moich.

MacLennan natychmiast odnotował echo słów Sigmunda Malkiewicza.

– Ale troszczycie się o siebie nawzajem, czyż nie?

– No tak, przecież pan na pewno nie wie z doświadczenia, ale tak właśnie postępują przyjaciele – zadrwił Weird.

– A zatem skłamalibyście, żeby pomóc sobie nawzajem?

– Ach, podchwytliwe pytanie. A kiedy pan przestał bić żonę? Nie ma potrzeby, żebyśmy dla siebie kłamali, jeśli chodzi o Rosie Duff, bo nie zrobiliśmy niczego, co wymagałoby od nas kłamstwa. – Weird potarł skronie. Tak bardzo chciał się już znaleźć w swoim łóżku, że odczuwał to jak swędzenie głęboko w kościach. – Po prostu mieliśmy pecha, to wszystko.

– Opowiedz mi, jak ją znaleźliście.

– Alex i ja trochę się wygłupialiśmy. Przepychaliśmy się w śniegu. On jakoś tak stracił równowagę i z rozpędu wbiegł na wzgórze. Jakby śnieg go ekscytował. Tam się potknął i upadł, no i zaraz potem wołał, żebyśmy prędko się wspięli tam do niego. – Na krótką chwilę tupet Weirda zniknął, a chłopak wyglądał na młodszego, niż był w rzeczywistości. – I znaleźliśmy ją. Ziggy próbował... ale nie mógł nic zrobić, żeby ją uratować. – Pstryknięciem palców strzepnął jakiś brud z nogawki spodni.

– Mogę już iść?

– Nie widziałeś tam na wzgórzu nikogo innego? Albo po drodze?

Weird pokręcił głową.

– Nie. Szalony morderca z siekierą musiał odbiec w przeciwnym kierunku.

Znów wzniósł swoje obronne mury i MacLennan wiedział, że dalsze próby wydobywania z niego informacji najprawdopodobniej okażą się bezowocne. Ale przecież jeszcze z nim porozmawia. Podejrzewał też, że znajdzie inną drogę, by obejść zasieki Toma Mackiego. Musiał tylko odkryć, co mogłoby mu w tym pomóc.

Janice Hogg szła po oblodzonym parkingu za Iainem Shaw. W drodze powrotnej na komisariat pogrążyli się w niemal całkowitym milczeniu. Oboje porównywali spotkanie z państwem Duff do swojego życia z różnym poziomem ulgi. Janice zrównała się z Iainem, gdy ten napał na drzwi prowadzące do upragnionego ciepła budynku.

– Ciekawi mnie, dlaczego Rosie nie chciała powiedzieć matce, z kim się spotyka – zagała.

Shaw wzruszył ramionami.

– Może jej brat miał rację. Może to był jakiś żonaty facet.

– A co, jeśli mówiła prawdę? Jeśli to nie był ktoś żonaty? Z jakiego innego powodu mogła być taka skryta?

– Ty tu jesteś kobietą, Janice. Ty mi powiedz.

Shaw maszerował dalej, aż dotarł do kanciapy należącej do funkcjonariusza, którego obowiązkiem było uaktualnianie danych o mieszkańcach. W środku nocy biuro było puste, ale szafki na akta, pełne fiszek ułożonych w alfabetycznym porządku, były niezakluczone i dostępne.

– Cóż, jeśli jej bracia mają udokumentowaną historię odstraszenia nieodpowiednich mężczyzn, to pewnie powinnam się zastanowić, jakich kandydatów Colin i Brian uznaliby za niepożądanych – zadumała się Janice.

– To jakie miałoby ku temu powody? – zapytał Shaw, wyciągając szufladę oznaczoną literą „D”. Zaczął przebierać w kartach zaskakująco długimi, szczupłymi palcami.

– Hm, tak sobie myślę... Patrząc na ich rodzinę, na tę sztywniaką szacowność na miarę Fife... powiedziałabym, że nie spodobałby im się nikt, kogo by uznali za niegodnego jej albo zbyt godnego.

Shaw odwrócił głowę, by na nią spojrzeć.

– To naprawdę zawęża nam grono potencjalnych konkurentów.

– Mówiłam, że tylko głośno sobie myślę – wymamrotała Janice. – Jeśli to był jakiś gnojek, to pewnie by uznała, że dałby sobie radę z jej braćmi. Ale jeśli to był ktoś z nieco bardziej elitarnych kręgów...

– Elitarnych kręgów? Wykwintne określenie jak na osobę w lichym mundurku dzielnicowej, Janice.

– Lichy mundurek nie oznacza lichego umysłu, Shaw. Nie zapominaj, że sam też jeszcze niedawno byłeś krawężnikiem.

– Dobra, już dobra. To co z tym elitarnym gościem? Czy to mógłby być na przykład student?

– Zdecydowanie.

– Jak jeden z tych, którzy ją znaleźli? – Shaw wrócił do swoich poszukiwań.

– Nie przekreślałabym tej możliwości. – Janice oparła się o framugę drzwi. – W pracy na pewno trafiało jej się mnóstwo okazji, żeby poznawać studentów.

– Mam. – Shaw wyciągnął z szafki parę fiszek. – Wiedziałem, że nazwisko Colin Duff już kiedyś obito mi się o uszy. – Przeczytał pierwszą karteczkę, po czym podał ją Janice.

Notatka sporządzona schludnym, odręcznym pismem brzmiała:

Colin James Duff. Data urodzenia: 5/3/55. Ostatni znany adres: Caberfeidh Cottage, Strathkinness. Miejsce zatrudnienia: wytwórnia

papierni w Guardbridge jako kierownik wózka widłowego.

9/74 Naruszenie porządku publicznego w stanie nietrzeźwym, grzywna 25 funtów.

5/76 Zakłócenie porządku publicznego, areszt tymczasowy.

6/78 Przekroczenie prędkości, grzywna 37 funtów.

Znani współnicy: Brian Stuart Duff, brat. Donald Angus Thomson.

Janice odwróciła kartonik.

Tym samym charakterem pisma, ale tym razem ołówkiem, żeby można było wymazać notatkę, jeśli kiedyś trzeba by ją było dołączyć do dowodów, ktoś zapisał:

Duff lubi się wdawać w bójkę po alkoholu. Dobry w walce, dobry w unikaniu odpowiedzialności. Czerpie pewną radość z zastraszania ludzi. Nie jest nieuczciwy, tylko rozrabia.

– Nie jest to typ, którego chciałoby się mieć w pobliżu, żeby wdawał się w kłótnie z twoim ukochanym, wrażliwym studentem – zauważyła Janice, biorąc od Iaina drugą fiszkę.

Brian Stuart Duff. Data urodzenia: 27/5/57. Ostatni znany adres: Caberfeidh Cottage, Strathkinness. Miejsce zatrudnienia: wytwórnia papieru w Guardbridge jako magazynier.

6/75 Napaść, grzywna 50 funtów.

5/76 Napaść, skazany na 3 miesiące, karę odbył w Perth.

3/78 Zakłócenie porządku publicznego, areszt tymczasowy.

Znani współnicy: Colin James Duff, brat. Donald Angus Thomson.

Kiedy odwróciła karteczkę, przeczytała:

Młodszy Duff to chuligan, któremu się zdaje, że jest twardy. Miałby o wiele dłuższą kartotekę, gdyby starszy brat nie odciągał go, zanim zaczną się prawdziwe kłopoty. Rozpoczął wcześniej – złamane żebra i ramię Johna Stobiego w 1975 roku to zapewne jego sprawka, chociaż Stobie odmówił złożenia zeznań i twierdził, że miał wypadek na motorze. Duff jest podejrzany o uczestnictwo w niewyjaśnionym włamaniu do sklepu monopolowego w West Port 8/78. Któregoś dnia pójdzie siedzieć na długi, długi czas.

Janice zawsze doceniała osobiste uwagi, które ich miejscowy archiwista załączał do oficjalnych rejestrów. Były pomocne, kiedy szło się kogoś aresztować, bo dobrze jest zawczasu wiedzieć, czy może się zrobić nieprzyjemnie. A wyglądało na to, że z chłopakami Duffów mogło się zrobić wręcz paskudnie. W sumie to szkoda, pomyślała. Colin był dość atrakcyjny.

– Co o tym sądzisz? – zapytał Shaw, zaskakując ją zarówno z powodu toku jej myśli, jak i dlatego, że nie była przyzwyczajona do sytuacji, w których członkowie dochodzeniówki uważają ją za wystarczająco inteligentną, by zaprosić ją do wspólnych rozważań.

– Sądzę, że Rosie ukrywała, z kim się widuje, bo wiedziała, że jej związek sprowokuje braci. Duffowie wyglądają na zżyłą rodzinę. Może chroniła nie tylko swojego chłopaka, lecz także ich.

Shaw zmarszczył czoło.

– To znaczy?

– Nie chciała, żeby jej bracia narobili sobie jeszcze więcej kłopotów. Zwłaszcza Brian z tą kartoteką. Kolejna poważna napaść załatwiłaby im obu pobyt w więzieniu. Dlatego trzymała język za zębami. – Janice odłożyła fiszki do szuflady.

– To ma sens. Słuchaj, idę do pokoju kryminalnych napisać raport. Ty zejdź do kostnicy i zajmij się organizacją przyjazdu rodziny, żeby mogli

zobaczyć ciało. Ktoś z dziennej zmiany może zaprowadzić Duffów na dół, ale dobrze by było, gdyby wiedzieli, kiedy oni się zjawią.

Janice wykrzywiła wargi w grymasie.

– Jak to jest, że właśnie mnie zawsze trafia się najlepsza robota?

Shaw uniósł brwi.

– Jeszcze musisz pytać?

Janice nie odpowiedziała. Zostawiła Iaina w biurze danych i skierowała się do damskiej szatni, poziewując po drodze. Trzymały tam czajnik, o którym faceci nie mieli pojęcia. Jej ciało desperacko pragnęło dawki kofeiny, a skoro miała iść do kostnicy, należała jej się jakaś przyjemnostka. W końcu Rosie Duff nigdzie się stamtąd nie ruszy.

Alex palił już piątego papierosa, zastanawiając się, czy jego zapas zdoła mu wystarczyć, gdy drzwi do pokoju przesłuchań w końcu się otworzyły. Rozpoznał policjanta o chudej twarzy, którego widział na Hallow Hill. Mężczyzna wyglądał na o wiele bardziej odświeżonego, niż Alex się czuł. Nic dziwnego, skoro dla większości społeczeństwa zbliżał się już czas śniadania. Poza tym Alex bardzo wątpił, by gliniarz także odczuwał tępy ból rozwijającego się kaca u podstawy czaszki. Policjant podszedł do krzesła naprzeciwko niego, nie spuszczając wzroku z jego twarzy. Alex zmusił się, by wytrzymać to spojrzenie, zdeterminowany nie pozwolić, aby wyczerpanie nadało jego rysom przebiegły wyraz.

– Jestem komisarz Maclennan – przedstawił się mężczyzna głosem szorstkim i energicznym.

Alex zastanowił się, jaka panowała tu etykieta.

– Ja jestem Alex Gilbey – rzekł na próbę.

– Wiem, synku. Wiem też, że podobała ci się Rosie Duff.

Alex poczuł, jak na policzki wypełza mu rumieniec.

– To nie zbrodnia – odparł. Nie było sensu zaprzeczać czemuś, czego Maclennan zdawał się taki pewny. Ciekawe, który z jego przyjaciół

zdradził policjantowi, że był zainteresowany martwą barmanką. Niemal na sto procent Mondo. Pod presją sprzedałby własną babkę, a potem przekonał samego siebie, że takie rozwiązanie było dla staruszki najlepsze.

– Nie, to akurat nie. Ale to, co w nocy spotkało Rosie, było najgorszą możliwą zbrodnią. A moim zadaniem jest odkryć, kto się jej dopuścił. Do tej pory jedyną osobą w jakiś sposób związaną z zabitą dziewczyną oraz mającą udział w odkryciu jej ciała jesteś ty, panie Gilbey. Nie ulega wątpliwości, że bystry z ciebie chłopak. A zatem nie muszę ci tego wyjaśniać, prawda?

Alex nerwowo postukał palcem w papierosa, chociaż nie było na nim popiołu do strząśnięcia.

– Przypadki się zdarzają.

– Rzadziej, niż mogłoby ci się wydawać.

– Cóż, to jest jeden z nich. – Wzrok Maclennana był niczym owady pełzające pod skórą. – Po prostu miałem pecha, że znalazłem Rosie w ten sposób.

– To ty tak mówisz. Ale gdybym to ja zostawił Rosie Duff na pewną śmierć na lodowato zimnym wzgórzu i martwił się, że może mam gdzieś na sobie jej krew, jako bystry chłopak tak bym wszystko zorganizował, by wyglądało na to, że przypadkiem pierwszy ją znalazłem. W ten sposób zapewniłbym sobie idealne wytłumaczenie, dlaczego jestem umazany jej krwią. – Maclennan wskazał koszulę Alexa, poznaczoną zaschniętymi brudnordzawymi plamami.

– Jestem pewien, że tak by pan zrobił. Ale ja nie. Ani na chwilę nie opuściłem imprezy. – Alex zaczął czuć prawdziwe przerażenie. Co prawda oczekiwał niezręcznych momentów w rozmowie z policją, ale nie spodziewał się, że Maclennan zacznie go przyciskać tak mocno i tak prędko. Wnętrza dłoni pokryła mu warstewka lepkiego potu i musiał walczyć z odruchem nakazującym mu wytarcie ich o dzinsy.

– Czy może pan wskazać świadków, którzy by potwierdzili pańskie słowa?

Alex mocno zacisnął powieki, próbując uciszyć łomotanie w głowie na tyle, by przypomnieć sobie swoje poczynania podczas imprezy.

– Kiedy przyszliśmy, przez jakiś czas rozmawiałem z dziewczyną, która chodzi ze mną na zajęcia. Nazywa się Penny Jamieson. Potem ona poszła potańczyć, a ja pokręciłem się po jadalni, poskubałem trochę jedzenia. Różni ludzie wchodzili i wychodzili, nie zwracałem na nich specjalnej uwagi. Poczułem się trochę pijany. Później wyszedłem do ogrodu na tyłach, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Sam? – MacLennan wychylił się odrobinę do przodu.

Nagle wspomnienie rozbłysło w umyśle Alexa, przynosząc ze sobą cień ulgi.

– Tak. Ale pewnie będzie pan w stanie odnaleźć krzak róży, obok którego się porzygałem.

– Mogłeś się porzygać w dowolnym momencie – wytknął mu MacLennan. – Na przykład zaraz po tym, jak zgwałciłeś dziewczynę, dźgnąłeś ją nożem i zostawiłeś na pewną śmierć. To by ci mogło zaszkodzić na żołądek.

Chwilowa nadzieja Alexa błyskawicznie zgasła.

– Może, ale tak nie było – odparł buntowniczo. – Gdybym cały ubabrał się w jej krwi, to jak pan myśli, chyba ktoś by coś zauważył po moim powrocie na imprezę? Jak zwymiotowałem, poczułem się lepiej. Wszedłem z powrotem do środka i też sobie potańczyłem w salonie. Całkiem sporo ludzi musiało mnie wtedy widzieć.

– A my ich wszystkich wypytamy. Będzie nam potrzebna kompletna lista osób, które znalazły się na tej imprezie. Porozmawiamy z gospodarzem i wszystkimi, których uda nam się zlokalizować. A jeśli Rosie Duff pokazała się tam choćby na minutę, ty i ja odbędziemy zdecydowanie mniej przyjazną rozmowę, panie Gilbey.

Alex poczuł, że twarz znów go zdradza i prędko odwrócił wzrok. Nie dość szybko. MacLennan rzucił się na tę okazję.

– Była tam?

Alex pokręcił głową.

– Nie widziałem jej po tym, jak wyszliśmy z Lammas.

Dostrzegł, jak MacLennanowi świta jakaś myśl.

– Ale zaprosiłeś ją na tę imprezę. – Komisarz zacisnął dłonie na brzegu stołu i wychylił się do przodu tak mocno, że Alex wyczuł dziwnie niepasujący do tego miejsca zapach szamponu dopływający z jego włosów.

Pokiwał głową, zbyt rozdarty niepokojem, by zaprzeczyć.

– Zapisałem jej adres, kiedy byliśmy w pubie. Ale się nie pokazała. A ja nigdy nie wierzyłem, że przyjdzie. – W jego głosie pojawił się teraz żałosny ton; wątle opanowanie kruszyło się, gdy przypomniał sobie Rosie stojącą za barem, ożywioną, kokietującą, przyjacielską. Łzy wezbrały mu w oczach, kiedy spojrzał na komisarza.

– Czy to cię rozzłościło? Że nie przyszła?

Alex zaprzeczył.

– Nie. Tak naprawdę wcale nie oczekiwałem, że się zjawi. Niech pan posłucha, tak bym chciał, żeby nie była martwa. Żebym to nie ja ją znalazł. Ale musi mi pan uwierzyć. Nie miałem z tym nic wspólnego.

– To ty tak twierdzisz, synku. Ty tak twierdzisz.

MacLennan wciąż nachylał się nad stołem parę centymetrów od twarzy Alexa. Wszystkie jego instynkty podpowiadały mu, że coś czaiło się pod powierzchnią każdego z tych przesłuchań. A on dowie się co, w taki czy inny sposób.

ROZDZIAŁ PIĄTY

POSTERUNKOWA JANICE HOGG zerknęła na zegarek, zmierzając w stronę recepcji. Jeszcze godzina i jej dyżur się skończy, przynajmniej w teorii. W trakcie idącego pełną parą śledztwa w sprawie morderstwa zanosilo się na to, że utknie w pracy, wyrabiając nadgodziny, zwłaszcza że w St. Andrews nie było wielu policjantek poza nią. Pchnęła drzwi wahadłowe prowadzące do recepcji dokładnie w chwili, w której drzwi od ulicy rozwarły się z rozmachem tak mocno, że trzasnęły w ścianę.

Odpowiedzialny za ten pokaz siły okazał się młody mężczyzna z ramionami niemal tak szerokimi jak framuga obramowująca wejście. Śnieg przyłgnał do jego ciemnych, falowanych włosów wokół twarzy mokrej od łez, potu lub roztopionych płatków. Nowo przybyły pomknął ku ladzie, z wściekłością warcząc z głębi gardła. Dyżurny funkcjonariusz odskoczył zdumiony, niemal spadając przy tym z wysokiego stołka.

– Gdzie są te dranie? – zaryczał mężczyzna.

Trzeba przyznać, że posterunkowy zdołał odzyskać nieco zimnej krwi, przywołując z najgłębszych zakamarków umysłu to, czego nauczono go w trakcie szkolenia.

– Jak mogę panu pomóc? – zapytał, przesuwał się poza zasięg pięści tłukących w blat.

Janice trzymała się z tyłu, niezauważona. Jeśli sprawy pójdą w złym kierunku, na co się zanosilo, najlepiej będzie, jeśli pojawi się na scenie jako element zaskoczenia.

– Chcę dostać w swoje ręce tych pierdolonych drani, którzy zabili mi siostrę – zawył facet.

A zatem, pomyślała Janice, wieści dotarły do Briana Duffa.

– Proszę pana, nie wiem, o czym pan mówi – odparł łagodnie policjant.

– Moja siostra. Rosie. Została zamordowana. A wy macie ich tutaj. Tych sukinsynów, którzy ją zabili. – Duff sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał wdrapać się na kontuar w swym desperackim pragnieniu zemsty.

– Proszę pana, myślę, że dotarły do pana jakieś nieprawdziwe informacje.

– Nie próbuj wciskać mi kitu, ty piździelcu! – wrzasnął Duff. – Moja siostra leży martwa i ktoś musi za to zapłacić.

Janice zdecydowała się wkroczyć do akcji.

– Panie Duff? – odezwała się cicho, podchodząc bliżej.

Obrócił się gwałtownie i spiorunował ją wzrokiem; oczy miał wytrzeszczone, a w kącikach ust zebrała mu się biała, spieniona ślina.

– Gdzie oni są? – warknął.

– Bardzo mi przykro z powodu pana siostry, ale nikt nie został jeszcze aresztowany w związku z jej śmiercią. Znajdujemy się wciąż na wczesnym etapie śledztwa i przesłuchujemy świadków. Nie podejrzanych. Świadków.

– Ostrożnie położyła dłoń na jego przedramieniu. – Będzie lepiej, jeśli wróci pan do domu. Pańska matka potrzebuje teraz swoich synów.

Duff strząsnął jej rękę.

– Mówili mi, że ich przymknęliście. Tych gnojów, którzy ją zabili.

– Ktokolwiek to panu powiedział, pomylił się. Wszyscy jak najusilniej próbujemy złapać osobę, która dopuściła się tego straszliwego czynu, i czasem to sprawia, że ludzie pochopnie wyciągają błędne wnioski. Proszę mi zaufać, panie Duff. Gdybyśmy mieli podejrzanego w areszcie, nie zatajałabym tego przed panem. – Janice wpatrywała się w jego oczy, modląc się, by jej spokojne, opanowane podejście zadziało. Bo inaczej mógłby jej złamać szczękę jednym ciosem. – Kiedy aresztujemy sprawcę, pańska rodzina dowie się o tym pierwsza. Obiecuję to panu.

Duff zdawał się zbity z tropu i rozsierdzony. Wtedy niespodziewanie jego oczy wypełniły się łzami i opadł na jedno z krzeseł w poczekalni. Objął rękoma głowę i zatrzęsął się w paroksyzmie gwałtownego szloch. Janice wymieniła bezradne spojrzenia z dyżurnym za kontuarem. Policjant gestem pokazał założenie kajdanek, ale ona pokręciła głową i usiadła koło brata Rosie.

Stopniowo Brian Duff zdołał się opanować. Dłonie opadły mu jak kamienie na kolana i zwrócił zalaną łzami twarz na Janice.

– Ale dopadnięcie go, tak? Tego parszywca, który to zrobił?

– Zrobimy, co w naszej mocy, panie Duff. Może odwiozę pana do domu? Pańska matka martwiła się o pana wcześniej. Musi się upewnić, że z panem wszystko w porządku. – Wstała i spojrzała na niego oczekująco.

Jego gniew przygasł na moment. Duff podniósł się potulnie i kiwnął głową.

– Niech będzie.

Janice odwróciła się do dyżurnego.

– Powiedz posterunkowemu Shaw, że zabieram pana Duffa do domu. Nadgonię pozostałe rzeczy, które mam do zrobienia, kiedy wrócę.

Choć raz nikt nie będzie jej robił problemów za przejawianie inicjatywy. Wszystko, co dało się odkryć o Rosie Duff i jej rodzinie, mogło się teraz przydać, a ona ustawiła się doskonale, by złapać Briana Duffa z opuszczoną gardą.

– Rosie była śliczną dziewczyną – zagaiła swobodnie. Wyprowadziła mężczyznę frontowymi drzwiami, po czym obeszli budynek, kierując się na parking.

– Znała ją pani?

– Chodzę się czasem napić do Lammas. – Drobne kłamstewko, korzystne w tych okolicznościach. Janice uważała, że Lammas był równie kuszący, jak miska zimnej owsianki. W dodatku o smaku papierosowego dymu.

– Nie mogę tego pojąć – wyznał Duff. – Takie rzeczy to się widzi w telewizji. One się nie zdarzają ludziom takim jak my.

– Jak się pan o tym dowiedział? – Janice była autentycznie zaintrygowana. Wieści z zasady rozchodziły się po takiej miejscinie jak St. Andrews z prędkością dźwięku, ale zazwyczaj nie w środku nocy.

– Przekiwnałem u jednego z moich kumpli. Jego dziewczyna pracuje na śniadaniowej zmianie w garkuchni na South Street. Usłyszała o tym, kiedy przyszła do pracy o szóstej, i pierwsze co, to pobiegła do telefonu. Kurwa! – wybuchnął. – Na początku myślałem, że to jakiś głupi kawał w złym stylu. Pani też by tak pewnie pomyślała, nie?

Janice otworzyła samochód, myśląc: nie, otóż nie. Ja nie mam przyjaciół, którzy uznaliby podobny żart za zabawny. Na głos powiedziała jednak:

– Nawet przez sekundę nie chce się uwierzyć, że coś takiego mogło się stać naprawdę.

– No właśnie – przytaknął Duff, gramoląc się na siedzenie pasażera. – Ale kto miałby zrobić coś takiego Rosie? Wie pani, ona była dobrą osobą. Miłą dziewczyną. Nie jakąś zdzirą.

– Razem z bratem mieliście na nią oko. Czy zauważyliście kogoś, kto kręcił się koło niej i wam się nie spodobał? – Janice odpaliła silnik i zadrżała, gdy mocny podmuch zimnego powietrza buchnął z wentylacji. Chryste, co za okropny poranek.

– Cały czas kręciły się koło niej jakieś szumowiny. Ale wszyscy wiedzieli, że jeśli będą zaczepiać Rosie, ja i Colin sobie z nimi pogadamy. Więc trzymali się z dala. Zawsze jej pilnowaliśmy. – Nagle Duff walnął pięścią w otwartą dłoń. – Więc gdzie byliśmy w nocy, kiedy naprawdę nas potrzebowała?

– Nie możesz się obwiniać, Brianie. – Janice powoli wyjechała pandą z parkingu na oblodzony, ubity śnieg na głównej drodze. Bożonarodzeniowe lampki wyglądały niezdrowo na tle żółtawoszarego

nieba, a efektowny laser, dar uniwersyteckiego Wydziału Fizyki, był nieczytelnym bladym gryzmołem padającym na nisko wiszące chmury.

– Nie obwiniam siebie. Obwiniam tę gnidę, która ją zabiła. Chciałbym tylko się tam znaleźć i wszystko powstrzymać. Za późno, kurwa, na wszystko zawsze za późno – wymamrotał niejasno.

– Zatem nie wiedziałeś, z kim miała się spotkać?

Pokręcił głową.

– Okłamała mnie. Powiedziała, że idzie na świąteczne przyjęcie z Dorothy, koleżanką z pracy. Ale Dorothy zjawiała się na imprezie, na której byłem ja. Wygadała się, że Rosie poszła się zobaczyć z jakimś typem. Miałem zamiar ją ochrzanić, kiedy ją zobaczę. W sensie, nic nie mówić mamie i tacie to jedno. Ale ja i Colin zawsze byliśmy po jej stronie.

– Brian potarł oczy wierzchem dłoni. – Nie mogę tego znieść. Ostatnia rzecz, jaką mi powiedziała, to było kłamstwo.

– Kiedy widziałeś ją po raz ostatni? – Janice wyhamowała ostro przed rondem przy West Port, po czym wtoczyli się na drogę prowadzącą do Strathkinness.

– Wczoraj po pracy. Spotkaliśmy się na mieście i poszliśmy kupić mamie prezent na święta. Złożyliśmy się we trójkę, żeby jej sprezentować nową suszarkę do włosów. Potem zaszliśmy do Boots, żeby dokupić jeszcze jakieś ładne mydło. Odprowadziłem Rosie do Lammas i wtedy mi powiedziała, że potem idzie na imprezę z Dorothy. – Pokręcił głową. – Skłamała. A teraz nie żyje.

– Może wcale nie kłamała, Brianie – rzekła Janice. – Może zamierzała iść na tę imprezę, ale później tego wieczoru coś jej wyskoczyło. – Taka wersja była pewnie równie prawdziwa jak ta podsunięta przez Rosie, ale Janice wiedziała z doświadczenia, że osoby pogrążone w smutku po stracie kogoś bliskiego chętnie chwytają się każdej podsuniętej brzytwy, byle tylko zachować nieskazitelny obraz ukochanej osoby.

Duff nie stanowił wyjątku od reguły. Nadzieja rozjaśniła jego twarz.

– Wie pani, pewnie tak właśnie się stało. Bo Rosie nie była kłamczuchą.

– Ale jednak miała swoje sekrety. Tak jak każda dziewczyna.

Brian znowu się skrzywił.

– Sekrety oznaczają kłopoty. Powinna była to wiedzieć. – Jakaś myśl uderzyła go nagle i stężał. – Czy została... no wie pani. Wzięta siłą?

Żadne słowa Janice nie byłyby w stanie ulżyć mu w cierpieniu. Jeśli dobre stosunki, jakie najwyraźniej nawiązała z Duffem, miały przetrwać, nie mogła sobie pozwolić na to, by uznać, że ona również kłamała.

– Nie będziemy mieli pewności, dopóki nie zostanie przeprowadzona autopsja, ale owszem, wygląda na to, że tak się stało.

Duff walnął pięścią w deskę rozdzielczą.

– Skurwiel! – zaryczał. Gdy samochód, zarzucając trochę na lodzie, zaczął wtaczać się na wzgórze po drodze do Strathkinness, Brian obrócił się na swoim siedzeniu. – Ktokolwiek to zrobił, niech się, kurwa, modli, żebyście złapali go przede mną, bo przysięgam na Boga, że go zabiję.

Dom wydaje się sprofanowany, pomyślał Alex, otwierając drzwi do wolno stojącego budynku, który Laddies fi' Kirkcaldy przekształcili w swe osobiste królestwo. Cavendish i Greenhalgh, dwaj Anglicy, absolwenci prywatnych szkół, którzy dzielili z nimi dom, spędzali w nim tylko tyle czasu, ile musieli. Taki układ wszystkim odpowiadał. Pojechali już do domu na święta, ale dziś Alex przyjąłby wysłuchiwanie ich irytujących akcentów, które brzmiały tak natarczywie wytwornie, o wiele chętniej niż obecność policjantów, zdającą się dominować nawet powietrze, którym oddychał. Alex wbiegł na piętro do swojej sypialni z Maclennanem deptającym mu po piętach.

– Nie zapomnij, że chcemy dostać wszystko, co masz na sobie. Bieliznę również – przypomniał mu komisarz, gdy Alex otworzył drzwi. Policjant stanął na progu, wyglądał na lekko zdziwionego widokiem

dwóch łóżek w małym pomieszczeniu wyraźnie zaprojektowanym tylko dla jednej osoby. – Z kim dzielisz ten pokój? – zapytał napastliwie.

Zanim Alex zdołał odpowiedzieć, ciszę przerwał oziębły głos Ziggy'ego.

– On myśli, że wszyscy tu jesteśmy gejami i ze sobą sypiamy – rzekł sarkastycznie. – I oczywiście właśnie dlatego zamordowaliśmy Rosie. Nieważne, że to się kompletnie nie trzyma kupy; on tak to sobie wszystko zgrabnie połączył. Tak naprawdę, panie Maclennan, wyjaśnienie jest o wiele bardziej prozaiczne. – Ziggy wskazał znajdujące się za jego plecami zamknięte drzwi po drugiej stronie korytarza. – Niech pan spojrzy.

Zaciekawiony Maclennan przyjął zaproszenie Ziggy'ego. Alex skorzystał z okazji, że komisarz odwrócił się do niego tyłem, i pospiesznie się rozebrał, po czym szybko owinął się szlafrokiem, by ukryć zażenowanie. Potem poszedł za nimi na drugi koniec korytarza i nie mógł powstrzymać uśmiechu wyższości, obserwując zakłopotaną minę Maclennana.

– Widzi pan? – odezwał się Ziggy. – Po prostu żadna z tych króliczych klatek nie jest na tyle duża, by pomieścić pełny zestaw perkusyjny, organy Farfisa, dwie gitary i jeszcze łóżko. Dlatego ciągnęliśmy słomki i Weird i Gilly dzielą teraz pokój.

– A więc macie swój zespół, chłopcy?

Maclennan brzmi jak mój ojciec, pomyślał Alex, czując przeblysk sympatii, którego się nie spodziewał.

– Tworzymy razem muzykę od około pięciu lat – wyjaśnił Ziggy.

– Ach tak? Chcecie być następnymi Beatlesami? – Maclennan nie potrafił odpuścić.

Ziggy wzniósł oczy ku niebu.

– Są dwa powody, dla których nigdy nie zostaniemy następnymi Beatlesami. Po pierwsze, gramy wyłącznie dla własnej przyjemności.

W przeciwieństwie do Rezillos nie pragniemy wskoczyć na listę przebojów *Top of the Pops*. Po drugie, to kwestia talentu. Jesteśmy w pełni kompetentnymi muzykami, ale nikt z nas nie ma żadnego pomysłu na oryginalny utwór. Kiedyś nazywaliśmy się Muse, dopóki nie zdaliśmy sobie sprawy, że w zasadzie nie mamy żadnej muzy. Teraz używamy nazwy The Combine.

– The Combine? – powtórzył słabo MacLennan, zbity z tropu przez nagły dostęp do poufnych informacji, jakich udzielił mu Ziggy.

– Znowu są ku temu dwa powody. Kombajny zbierają plony wszystkich rolników. Tak jak my. No i dlatego, że The Jam mają piosenkę o takim tytule. My po prostu nie wyróżniamy się z tłumu.

MacLennan odwrócił się, kręcąc głową.

– Wiecie, że będziemy musieli przeszukać również to pomieszczenie. Ziggy prychnął.

– Jedyne dowody na złamanie prawa, jakie w nim odkryjecie, to naruszenie praw autorskich – oznajmił. – Wie pan co, wszyscy współpracowaliśmy z panem i pańskimi funkcjonariuszami. Kiedy w końcu zostawicie nas w spokoju?

– Kiedy tylko zapakujemy do toreb na dowody wszystkie wasze ubrania. Weźmiemy też pamiętniki, terminarze i książki adresowe.

– Alex, daj mu wszystko, czego chce. My trzej już oddaliśmy nasze rzeczy. Im prędzej odzyskamy naszą przestrzeń, tym prędzej zdołamy się uspokoić – rzekł Ziggy, po czym zwrócił się z powrotem do MacLennana. – Pan i pańscy podwładni zdajecie się w ogóle nie zauważać, że spotkało nas okropne doświadczenie. Przypadkiem znaleźliśmy zakrwawioną, umierającą dziewczynę, którą znaleźliśmy, mimo że ledwie. – Głos mu się załamał, ujawniając kruchość skrywaną pod maską opanowania. – Jeśli wydajemy się panu dziwni, panie MacLennan, powinien pan pamiętać, że może to mieć coś wspólnego z faktem, że dzisiejszej nocy przydarzyła nam się jebana tragedia.

Ziggy przepchnął się obok policjanta i zbiegł po schodach, po czym skręcił gwałtownie do kuchni i zatrzasnął za sobą drzwi. Rysy wąskiej twarzy Macleannana napięły się nieco wokół ust.

– On ma rację – odezwał się łagodnie Alex.

– W Strathkinness jest rodzina, która przeżyła o wiele koszmarniejszą noc niż wy, synku. A moim zadaniem jest znaleźć odpowiedzi dla tych ludzi. Jeśli to oznacza, że będę musiał nadebrać wam czasem na wasze delikatne odciski, to trudno. A teraz dawaj te ciuchy. I pozostałe rzeczy.

Stał na progu pokoju, gdy Alex wrzucał poplamione ubrania do worka na śmieci.

– Buty też? – zapytał, trzymając je ze zmartwioną miną.

– Wszystko – odparł Macleannan, przykazując sobie w myślach, by kazać technikom zbadać obuwie Gilbeya ze szczególną uwagą.

– Tylko że nie mam żadnej innej porządnej pary. Jedynie wysokie tenisówki, z których nie będzie ani pożytku, ani ozdoby przy takiej pogodzie.

– Moje serce krwawi. Buty do worka, synku.

Alex dorzucił je na kupkę ubrań.

– Wie pan, marnuje pan tu czas. Każda minuta, którą pan spędza, skupiając się na nas, to minuta stracona. Nie mamy nic do ukrycia. Nie zabiliśmy Rosie.

– Z tego, co wiem, nikt do tej pory nie wysunął twierdzenia, że ją zabiliście. Ale sposób, w jaki uparcie wracacie do tej kwestii, sprawia, że zaczynam się nad tym zastanawiać. – Macleannan chwycił worek z rąk Alexa, wziął też podany mu przez chłopaka uniwersytecki dziennik. – Jeszcze tu wrócimy, panie Gilbey. Proszę nigdzie nie wyjeżdżać.

– Ale my mieliśmy dziś jechać do domu – zaprotestował Alex.

Macleannan, schodzący już po schodach, zatrzymał się na drugim stopniu.

– Pierwsze słyszę – rzekł podejrzliwie.

– Pewnie pan nawet nie zapytał. Planowaliśmy złapać autobus dziś po południu. Wszyscy zaczynamy jutro dorywczą pracę. No, wszyscy oprócz Ziggy’ego. – Alex na moment wygiął usta w sardonicznym uśmiechu. – Jego tata uważa, że studenci w trakcie ferii powinni siedzieć nad książkami, a nie układać towary na półkach w Safeway.

MacLennan rozważył tę kwestię. Podejrzenia oparte głównie na jego przeczuciach nie uzasadniały żądania, by studenci pozostali w St. Andrews. Przecież nie zamierzali uciec spod jego jurysdykcji. Kirkcaldy nie było w końcu daleko stąd.

– Możecie jechać do domu – oznajmił ostatecznie. – O ile nie będziecie mieli nic przeciwko temu, żebym wraz ze swym zespołem odwiedził waszych rodziców.

Alex patrzył na odchodzącego komisarza z konsternacją, która wyłącznie pogłębiała jego wielkie przygnębienie. Tylko tego brakowało. Wolał, żeby świąteczny czas minął bez żadnych zgrzytów.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

WEIRD W KOŃCU PODDAŁ SIĘ stresom minionej nocy. Gdy Alex poszedł na górę po wypiciu kawy z Ziggym w ponurej atmosferze, Tom spał w swej zwyczajowej pozycji. Leżąc płasko na plecach, z patykowatymi rękami i nogami rozrzuconymi na boki i wystającymi spod kołdry, niszczył relatywny spokój poranka mrukliwym chrapaniem, które co jakiś czas przechodziło w przenikliwe świsty. Zazwyczaj Alex nie miał problemów ze snem przy akompaniamencie tej piskliwej ścieżki dźwiękowej. Okna jego sypialni w rodzinnym domu wychodziły na tory kolejowe, więc nigdy nie miał okazji przyzwycząić się do nocnej ciszy.

Ale tego ranka nie musiał nawet próbować. Wiedział, że nigdy nie uda mu się odpłynąć przy rżeniu Weirda rozlegającym się w tle jego galopujących myśli. Chociaż czuł się oszołomiony z braku odpoczynku, nie był ani odrobinę śpiący. Zgarnął trochę ciuchów ze swego krzesła, pomacał rękoma pod łóżkiem w poszukiwaniu trampek i opuścił pokój. Ubrał się w łazience i chyłkiem zszedł na dół, nie chcąc obudzić Weirda ani Monda. Choć raz nie miał nawet ochoty na towarzystwo Ziggy'ego. Zatrzymał się w holu przy wieszakach na płaszcze. Policja zabrała jego parkę. Wybór sprowadzał się zatem do dżinsowej kurtki lub przeciwdeszczowego płaszcza. Złapał oba okrycia i wyszedł z domu.

Śnieg przestał już padać, ale ciężkie chmury wciąż wisiały nisko na niebie. Miasteczko wydawało się pokryte watą. Świat stał się monochromatyczny. Gdyby zmrużył oczy, zniknęłyby białe budynki Fife Park; nieskazitelność widoku psuły jedynie prostokąty pustych okien. Dźwięki również ucichły, stłumione ciężarem opadów.

Alex ruszył energicznie przez przykryty puchem trawnik w stronę głównej drogi. Dzisiaj przypominała szlak w górach Cairngorm. Ubity śnieg wskazywał, w którym miejscu przez zaspy przedzierały się wcześniej pojedyncze samochody. Nikt, kto absolutnie nie musiał, nie wyjeżdżał na drogę przy takich warunkach. Zanim Alex dotarł do uniwersyteckich boisk sportowych, stopy miał mokre i zmarznięte, co w jakimś sensie wydawało mu się zasłużone. Skręcił na podjazd, po czym ruszył ku boiskom do hokeja. Na środku bezmiaru bieli otrzepał ze śniegu osłonę dolnej części bramki na przedpolu i przycupnął na niej. Siedział z łokciami opartymi na kolanach, obejmując dłońmi brodę, i wpatrywał się w nienaruszony obrus śniegu, aż przed oczami zaczęły mu tańczyć małe światełka.

Chociaż bardzo się starał, nie mógł sprawić, by jego umysł stał się równie czysty jak rozciągający się przed nim widok. Obrazy Rosie Duff przemykały mu po głowie niczym zakłócenia w odbiorniku. Rosie nalewająca guinnessa do kufła, z miną świadczącą o koncentracji. Rosie na w pół odwrócona od niego, zaśmiewająca się z żartu jakiegoś klienta. Rosie unosząca brwi, drocząca się z nim z powodu czegoś, co powiedział. To były wspomnienia, z którymi mógł sobie poradzić, choć ledwo. Ale one nie osiadały przy nim na dobre. Były wciąż przeganiane przez inną Rosie. Z twarzą wykrzywioną cierpieniem. Wykrwawiającą się na śniegu. Z trudem łapiącą ostatnie oddechy w swoim życiu.

Alex pochylił się i podniósł parę garści śniegu. Zacisnął go mocno w pięściach, aż jego dłonie zaczęły się robić sinoczerwone z zimna, a krople wody pociekły na nadgarstki. Zimno zmieniło się w ból, ból w odrętwienie. Pragnął, by dało się zrobić coś, co wywołałoby tę samą reakcję w jego głowie. Wyłączyć to, wyłączyć to wszystko. Zostawić lśniącą, białą pustkę przestrzeni pokrytej śniegiem.

Gdy czyjaś dłoń dotknęła jego ramienia, niemal się posikał. Zatoczył się do przodu, trochę się przy tym prostując, i niemal padł jak długi

w śnieg, ale w ostatniej chwili odzyskał równowagę. Obrócił się gorączkowo, wciąż trzymając zaciśnięte pięści przy klatce piersiowej.

– Ziggy! – krzyknął. – Chryste, prawie się przez ciebie posrałem ze strachu.

– Wybacz. – Przyjaciel wyglądał, jakby zaraz miał się rozpłakać. – Mówiłem do ciebie, ale nie reagowałeś.

– Nie słyszałem cię. Jezu, tak się podkradać do ludzi. Wyrobisz sobie złą reputację. – Alex wydał z siebie roztrzęsiony śmiech, próbując obrócić swoje przerażenie w żart.

Ziggy zaszurał w śniegu czubkiem kalosza.

– Wiem, że pewnie chciałeś pobyć trochę sam, ale kiedy zobaczyłem, jak wychodzisz, poszedłem za tobą.

– W porządku, Zig. – Alex pochylił się i zmiotł kolejną porcję śniegu z belki. – Dołącz do mnie na mej luksusowej kanapie, gdzie haremowe dziewczęta będą nas częstować sorbetem i wodą różaną.

Ziggy zdobył się na słaby uśmiech.

– Za sorbet dziękuję. Szczypie mnie od niego język. Na pewno nie masz nic przeciwko?

– Nie mam.

– Po prostu martwiłem się o ciebie. Znałeś ją lepiej niż my wszyscy. Nie wiedziałem, czy może chciałbyś porozmawiać z dala od pozostałej dwójki?

Alex skulił się w swojej kurtce i pokręcił głową.

– Nie mam zbyt wiele do powiedzenia. Tylko ciągle widzę przed sobą jej twarz. Uznałem, że pewnie nie zasnę – westchnął. – Nie, do diabła. Tak w zasadzie to za bardzo się wystraszyłem, żeby chociaż spróbować. Jak byłem mały, przyjaciel mojego taty ucierpiał podczas wypadku w stoczni. Jakiś wybuch, nie wiem dokładnie, co to było. W każdym razie została mu tylko połowa twarzy. Dosłownie. Miał pół twarzy. Drugie pół zasłaniał plastikową maską, którą musiał nosić na poparzonej skórze.

Pewnie widziałeś go kiedyś na ulicy albo na meczu. Trudno go nie zauważyć. Tata zabrał mnie ze sobą do szpitala, kiedy poszedł do niego w odwiedzin. Miałem tylko pięć lat. Bardzo mnie to przeraziło, paranoicznie wręcz. Ciągle sobie wyobrażałem, co miał za tą maską. W nocy budziłem się z krzykiem, bo pojawiał się w moich snach. Czasem, kiedy zdejmował maskę, były tam czerwie. Czasem krwawa miazga, tak jak na ilustracjach w twoich podręcznikach do anatomii. W najgorszych koszmarach maska spadała, a pod nią nie było nic, tylko gładka skóra z odbiciem tego, co powinno się tam znajdować. – Alex odkaszlnął. – Dlatego boję się iść spać.

Ziggy objął go ramieniem.

– Trudna sprawa, Alex. Ale wiesz, teraz jesteś starszy. To, co widzieliśmy w nocy, było tak przerażające, jak to tylko możliwe. Nie zostało nic, czego twoja wyobraźnia mogłaby użyć, żeby podsunąć ci gorsze obrazy. Cokolwiek zobaczysz teraz w snach, nie będzie nawet w połowie tak straszne, jak widok Rosie tam na wzgórzu.

Alex bardzo chciał, by słowa Ziggy'ego zdołały dodać mu więcej otuchy. Wyczuwał jednak, że były tylko w połowie prawdziwe.

– Myślę, że po tej nocy wszystkich nas będą nawiedzać demony, z którymi będziemy musieli się uporać.

– Niektóre bardziej praktyczne od innych – zgodził się Ziggy, cofając rękę i splatając dłonie. – Nie wiem, w jaki sposób, ale MacLennan się zorientował, że jestem gejem. – Zagryzł wargę.

– O cholera – zaniepokoił się Alex.

– Jesteś jedyną osobą, której o tym powiedziałem, wiesz? – Ziggy wygiął usta w krzywym uśmiechu. – Oczywiście oprócz tych gości, z którymi byłem.

– No tak. Skąd się o tym dowiedział?

– Tak się starałem nie kłamać, że wypatrzył prawdę w moich niedopowiedzeniach. A teraz tajemnica może się wydać.

– Dlaczego miałyby się wydać?

– Wiesz, jak ludzie uwielbiają plotkować. Nie sądzę, żeby gliniarze różnili się w tej kwestii od innych. Na pewno porozmawiają z ludźmi z uniwersytetu. Jeśli postanowią na nas ponaciskać, będą to mogli zrobić przy użyciu tej informacji. A co, jeśli przyjadą się z nami spotkać w naszych domach w Kirkcaldy? Jeśli Maclennan uzna ujawnienie moich preferencji moim rodzicom za mądre posunięcie?

– Nie zrobi niczego podobnego, Ziggy. Jesteśmy świadkami. Zrażenie nas do siebie w niczym mu nie pomoże.

Ziggy westchnął.

– Chciałbym w to wierzyć, ale z tego, co widzę, pan komisarz traktuje nas bardziej jak podejrzanych niż świadków. A to oznacza, że użyje czego tylko się da, żeby wyrzucić na nas presję, czyż nie?

– Sądzę, że popadasz w paranoję.

– Może. Ale co będzie, jak wygada coś Weirdowi albo Mondowi?

– To twoi przyjaciele. Nie odwrócą się od ciebie z takiego powodu.

Ziggy parsknął pogardliwie.

– Powiem ci, co się według mnie stanie, jeśli Maclennanowi się wymyśli, że ich najlepszy kumpel to pedzio. Weird będzie chciał się ze mną bić, a Mondo już nigdy więcej nie pójdzie razem ze mną do kibla. To homofoby, Alex. Wiesz o tym.

– Znaie się pół życia. To na pewno będzie się liczyło bardziej niż głupie uprzedzenia. Ja nie zacząłem svirować, kiedy mi powiedziałeś.

– Powiedziałem ci właśnie dlatego: bo wiedziałem, że nie będziesz svirował. Nie jesteś myślącym przedpotopowo idiotą.

Alex zrobił minę skromnego świętoszka.

– No tak, nie ryzykowałeś wiele, mówiąc osobie, której ulubionym malarzem jest Caravaggio. Ale z nich też nie są żadne dinozaury, Ziggy. Pogodzą się z tym. Zrewidują swoje poglądy na świat w świetle tego, co o tobie wiedzą. Naprawdę nie sądzę, żebyś miał powody tak się martwić.

Ziggy wzruszył ramionami.

– Może masz rację. Wolałbym jednak tego nie sprawdzać. A nawet jeśli oni się z tym pogodzą, to co będzie, jeśli ta informacja pójdzie w świat? Ilu otwarcie przyznających się do swojej orientacji gejów potrafisz wskazać na naszym uniwersytecie? Ci wszyscy Anglicy z prywatnych szkół, którzy spędzili nastoletnie lata, dając sobie nawzajem dupy, jeszcze się nie ujawnili, no nie? Wszyscy tylko latają z Fionami i Fenellami u boku i zapewniają sukcesję swoich rodów. Taki Jeremy Thorpe. Stoi przed sądem za spisek i podżeganie do zabójstwa byłego kochanka, bo próbował utrzymać swój homoseksualizm w tajemnicy. Nie jesteśmy w San Francisco, Alex, tylko w St. Andrews. Minie jeszcze wiele lat, zanim zdobędę dyplom lekarski, i mówię ci teraz: jeśli Maclennan mnie wyda, to będzie koniec mojej kariery.

– Tak się nie stanie, Ziggy. Za bardzo to rozdmuchujesz. Jesteś zmęczony i, jak sam stwierdziłeś, przydarzyła nam się jebana tragedia, więc wszyscy mamy przez to mętlik w głowach. Powiem ci, czym ja o wiele bardziej się martwię.

– Czym?

– Land roverem. Co my, do cholery, z nim zrobimy?

– Musimy go przeparkować z powrotem pod dom. Nie mamy innego wyjścia. W przeciwnym razie Henry zgłosi kradzież i wpadniemy po uszy w gówno.

– No tak, tyle to i ja wiem. Ale kiedy?

– Nie możemy się za to zabrać dzisiaj. Ktokolwiek porzucił Rosie na wzgórzu, musiał mieć jakiś środek transportu, a jedyna rzecz, która zmniejsza nieco podejrzenia wobec nas, to fakt, że żaden z nas nie posiada samochodu. Natomiast jeśli ktoś nas przyuważy, jak bez krępacji jeździmy sobie przez śniegi land roverem, trafimy prosto na szczyt listy przebojów Maclennana. Tak samo będzie zresztą, jeśli auto pojawi się z nienacka centralnie przed naszym domem – tłumaczył Ziggy.

– No to co zrobimy?

Ziggy kopnął nieco śniegu leżącego między jego stopami.

– Myślę, że musimy po prostu poczekać, aż to całe zamieszanie trochę przycichnie. Wtedy wrócę tam i przestawię auto. Dzięki Bogu przypomniałem sobie o kluczykach na czas i wcisnąłem je pod gumkę od gaci, bo inaczej mielibyśmy przechlapane, kiedy MacIennan kazał nam wyrzucić kieszenie na drugą stronę.

– Ty nie żartujesz. Naprawdę chcesz przestawić ten samochód?

– Wasza trójka ma tę dorywczą robotę. Ja mogę z łatwością się wymknąć. Będę musiał tylko rzucić jakąś wymówką, że potrzebuję skorzystać z uniwersyteckiej biblioteki.

Alex poruszył się nerwowo na belce.

– Pewnie przyszło ci do głowy, że ukrywając pożyczkę land rovera, możemy wybawić z opresji zabójcę?

Ziggy wyglądał na zszokowanego.

– Chyba poważnie nie sugerujesz...?

– Czego? Że któryś z nas mógł to zrobić? – Alex nie wierzył, że właśnie wypowiedział na głos podstępne podejrzenia, które cichaczem zaległy się w jego świadomości. Naprędce próbował to zamaskować. – Nie. Ale te kluczyki przeszły podczas imprezy przez wiele rąk. Może ktoś zobaczył w tym swoją szansę i z niej skorzystał. – Jego głos cichł stopniowo.

– Wiesz, że tak się nie stało. I w głębi serca tak naprawdę nie wierzysz w to, że jeden z nas mógł zamordować Rosie – rzekł z przekonaniem Ziggy.

Alex chciałby być tego taki pewien. Ale kto wie, co się działo w głowie Weirda, kiedy był naćpany po uszy? No i co z Mondem? Odwiózł tę dziewczynę do domu, bez wątpienia myśląc, że ją zaliczy. A co, jeśli go spławiła? Byłby wkurzony i sfrustrowany, i może na tyle pijany, że chciałby wyładować złość na innej dziewczynie, która go odrzuciła, tak

jak wielokrotnie zrobiła to Rosie w Lammas. Co, jeśli spotkał ją w drodze powrotnej? Alex pokręcił głową. Nie mógł ścierpieć tych myśli.

Ziggy, jak gdyby wyczuwając, co krąży mu po głowie, odezwał się miękko:

– Jeśli myślisz o Weirdzie i Mondzie, to musisz dodać do tej listy także mnie. Miałem równie dobrą okazję jak oni. I mam nadzieję, że wiesz, jaka to absurdalna myśl.

– Czyste szaleństwo. Ty byś nigdy nikogo nie skrzywdził.

– Oni również. Alex, podejrzenia są jak wirus. Zaraziłeś się nimi od Maclennana. Ale musisz się z nich otrząsnąć, zanim przejmą nad tobą kontrolę, zainfekują umysł i serce. Nie zapomnij o tym, co o nas wiesz. Żaden z nas nie pasuje do profilu bezwzględnego mordercy.

Słowa Ziggy'ego nie do końca rozwiały jego niepokój, lecz Alex nie chciał już dłużej o tym dyskutować. Zamiast tego objął przyjaciela ramieniem.

– Dobry z ciebie kumpel, Zig. Wstawaj. Pójdziemy do miasta. Postawię ci naleśnika.

Ziggy wyszczerzył zęby.

– Ostatnie chwile rozrzutności, co? Jeśli pozwolisz, to jednak dziękuję. Jakoś nie jestem głodny. I pamiętaj: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Tu nie chodzi o przymykanie oka na wady swoich przyjaciół, tylko o wzajemne zaufanie. Zaufanie oparte na wielu latach porządnej znajomości. Nie pozwól Maclennanowi go podkopać.

Barney Maclennan rozejrzał się po biurze Wydziału Kryminalnego. Choć raz było wypełnione po brzegi. Jako zwolennik niespotykanego podejścia wśród policjantów pracujących po cywilnemu, Maclennan wierzył w skuteczność zapraszania mundurowych na odprawy, gdy prowadzili ważne dochodzenia. Rozumieli dzięki temu, o jaką stawkę toczy się gra. Poza tym byli o tyle bliżej społeczności, że z dużym

prawdopodobieństwem mogli wyłapać rzeczy, które przeoczyli śledczy. Dzięki poczuciu, że należą do zespołu, chętniej sprawdzali trofy zdobyte dzięki swoim obserwacjom, zamiast odsunąć je na bok i uznać za nieistotne.

Komisarz stał w dalszym krańcu sali, po bokach mając Burnside'a i Shaw. Jedną rękę trzymał w kieszeni spodni, obsesyjnie obracając schowane tam monety. Zmęczenie i napięcie dały mu się we znaki, ale wiedział, że dzięki adrenalinie będzie pobudzony jeszcze przez wiele godzin. Zawsze tak się działo, kiedy podążał za swym instynktem.

– Wiecie, dlaczego tu jesteśmy – odezwał się, gdy zgromadzeni już się pousadzali. – We wczesnych godzinach rannych na Hallow Hill znaleziono ciało młodej kobiety. Rosie Duff zginęła w wyniku pojedynczej, głębokiej rany ciętej zadanej w brzuch. Nie znamy jeszcze zbyt wielu szczegółów, ale wygląda na to, że została również zgwałcona. Nie trafia nam się dużo podobnych spraw, ale to nie powód, by nie udało nam się rozwiązać tej. I to szybko. W Strathkinness czeka na to rodzina, która zasługuje na odpowiedzi. Poszłak na razie nie ma zbyt wiele. Rosie znalazło czterech studentów wracających do Fife Park z imprezy w Learmonth Gardens. Być może są wyłącznie niewinnymi przechodniami, ale równie prawdopodobne jest to, że są zdecydowanie bardziej zamieszani w tę sprawę. To jedyni ludzie, o których wiemy, że znajdowali się w tamtej okolicy w środku nocy zachlapani krwią. Chcę, by jeden zespół prześwietlił dokładnie tę imprezę. Kto na niej był? Co widział? Czy nasi chłopcy naprawdę mają alibi? Czy są jakieś chwile, gdy nie da się potwierdzić ich obecności? Jak się zachowywali? Na czele tej grupy stanie posterunkowy Shaw; chcę też, żeby pracowało z nim kilku umundurowanych funkcjonariuszy. Wzbudźmy w tych imprezowiczach trochę strachu przed Bogiem.

Urwał na chwilę.

– Następna rzecz. Rosie pracowała w pubie Lammas, jak niektórzy z was pewnie wiedzą. – Rozejrzał się i dostrzegł, że parę osób kiwa głowami, w tym posterunkowy Jimmy Lawson, pierwszy policjant na miejscu zbrodni. Znał Lawsona. Młody, ambitny chłopak. Dobrze sobie poradzi, gdy spocznie na nim trochę odpowiedzialności. – Czwórka naszych studentów poszła tam na piwo wczorajszego wieczoru przed imprezą. Posterunkowy Burnside weźmie kolejny zespół, by porozmawiać ze wszystkimi ludźmi, którzy byli tam zeszłej nocy i których uda nam się zlokalizować. Czy ktoś zwracał szczególną uwagę na Rosie? Co robili nasi czterej chłopcy? Jak się zachowywali? Posterunkowy Lawson, pan chodzi tam na piwo. Chcę, żeby współpracował pan z posterunkowym Burnside'em i udzielił mu wszelkiej niezbędnej pomocy, by wycisnąć odpowiedzi ze stałych bywalców Lammas. – MacLennan rozejrzał się po sali. – Będziemy również musieli pochodzić od drzwi do drzwi na Trinity Place. Rosie nie dotarła na Hallow Hill piechotą. Sprawca musiał mieć jakiś rodzaj transportu. Może nam się poszczęści i znajdziemy na tej ulicy kogoś, kto cierpi na bezsenność. Albo przynajmniej kogoś, kto wstał w nocy, żeby skorzystać z toalety. Chcę wiedzieć o wszystkich samochodach widzianych na tej ulicy we wczesnych godzinach rannych. – MacLennan znów obrzucił wzrokiem pomieszczenie. – Istnieje szansa, że Rosie znała swego zabójcę. Jakiś obcy, który porwałby ją z ulicy, nie zawracałby sobie głowy przenoszeniem umierającej dziewczyny. Musimy więc pogrzebać także w jej życiu osobistym. Jej rodzinie i przyjaciołom na pewno się to nie spodoba, dlatego powinniśmy ich traktować delikatnie ze względu na żalobę. Ale to nie oznacza, że mamy się zadowalać niepełnymi opowieściami. W okolicy jest ktoś, kto zeszłej nocy zabił. Chcę, by został ukarany, zanim trafi mu się okazja, by zrobić to znowu. – Przez salę przeszedł pomruk aprobaty. – Jakież pytania?

Ku jego zaskoczeniu Lawson z lekkim zawstydzeniem podniósł rękę.

– Panie komisarzu? Zastanawiam się, czy wybór miejsca na porzucenie ciała może mieć jakieś znaczenie.

– To znaczy?

– Skoro to piktyjski cmentarz, może to był jakiś satanistyczny rytuał? Czy w takim przypadku sprawcą nie mógłby być jednak ktoś obcy, kto po prostu wybrał Rosie, bo pasowała do tego, co mu było potrzebne do złożenia ofiary z człowieka?

Maclennanowi ścierpła skóra, gdy słuchał o tej możliwości. Co on sobie myślał, że nawet nie rozważył podobnego scenariusza? Skoro Jimmy Lawson wpadł na coś takiego, równie dobrze może to zrobić prasa, a ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył, były nagłówki wieszczące, że w okolicy grasuje rytualny zabójca.

– To ciekawa teoria. Wszyscy powinniśmy wziąć ją pod uwagę. Proszę jednak, byście nie wspominali o niej poza obrębem tych czterech ścian. Na razie skoncentrujmy się na tym, co wiemy na pewno. Studenci, bar Lammas i chodzenie od drzwi do drzwi. To nie znaczy, że mamy przemykać oczy na inne możliwości. Do roboty.

Po skończonej odprawie Maclennan przeszedł się po sali, zatrzymując się tu i tam, by przekazać słowa zachęty funkcjonariuszom tworzącym grupki przy biurkach i organizującym swe zadania. Nie mógł stłumić nadziei, że uda im się powiązać zabójstwo Rosie z jednym ze studentów. W ten sposób prędko rozwiązaliby sprawę, a w podobnych wypadkach to właśnie liczyło się w oczach opinii publicznej. Co więcej, w ten sposób miasteczko nie skończyłoby ze smakiem podejrzeń na języku. Zawsze łatwiej było się pogodzić z taką zbrodnią, jeśli ci źli pochodzili z zewnątrz. Nawet jeśli zewnątrz, tak jak w tym przypadku, było oddalone o niespełna pięćdziesiąt kilometrów.

Ziggy i Alex wrócili do swego lokum z godziną zapasu do wyjścia na stację autobusową. Poszli tam najpierw, by wszystko sprawdzić, i zostali

zapewnieni, że kursy wciąż się odbywają, mimo że w większości raczej niezgodnie z rozkładem jazdy.

– Wasze ryzyko – powiedział im pracownik w kasie. – Autobusy będą, ale Bóg jeden wie, o której godzinie.

Po powrocie zastali Weirda i Monda w kuchni, zgarbionych nad kawą. Obaj wyglądali gderliwie i byli nieogoleni.

– Myślałem, że będziecie spać jak susły – oznajmił Alex, nalewając wody do czajnika, by zaparzyć świeżą porcję.

– Kurwa, zero szans – mruknął Weird.

– Nie wzięliśmy pod uwagę sępów – wyjaśnił Mondo. – Dziennikarzy. Ciągłe łomoczą do drzwi, a my im ciągle powtarzamy, żeby spierdalali. Ale to nie działa. Po dziesięciu minutach znowu szturmują.

– Jakbyśmy odgrywali ten cholerny żart z pukaniem. Ostatniemu, który próbował, powiedziałem, że jak się nie odpieprzy, to tak mu przywalę, że będzie musiał szukać swojej mordy w przyszłym tygodniu.

– Mmm – mruknął Alex. – A zwycięzcą w tegorocznym konkursie na Mistera Taktu i Dyplomacji zostaje...

– No co? Miałem ich wpuścić? – wybuchnął Weird. – Do tych dupków trzeba mówić w języku, który rozumieją. Oni nie przyjmują odmowy do wiadomości.

Ziggy opłukał dwa kubki i nasypał do nich kawy łyżeczką.

– Nikogo nie widzieliśmy, jak wchodziliśmy przed chwilą, co nie, Alex?

– Nikogo. Weird musiał im uświadomić, że nic nie wskórają. Ale jeśli wrócą, nie sądzicie, że powinniśmy po prostu wygłosić jakieś oświadczenie? W końcu nie mamy nic do ukrycia.

– Wtedy by się od nas odczepili – zgodził się Mondo, lecz w sposób, w jaki zawsze się z nimi zgadzał. Specjalizował się w tonie głosu, który sugerował wątpliwości; zawsze zostawiał sobie drogę ucieczki, na wypadek gdyby okazało się, że jednak płynie pod prąd. Jego potrzeba

bycia kochanym zabarwiała wszystko, co mówił, wszystko, co robił. To, i jeszcze samoasekuracja.

– Jeśli sądzicie, że zgodzę się rozmawiać z sługusami kapitalistycznego imperializmu, to jesteście w błędzie. – Z kolei Weird nigdy nie miał żadnych skrupułów. – To gnidy. Czy kiedykolwiek czytaliście jakieś sprawozdanie sportowe, które w choćby niewielkim stopniu przypominało obejrzany właśnie mecz? Przypomnijcie sobie, jak ośmieszyli Ally’ego McLeoda. Zanim pojechaliśmy do Argentyny, był bogiem, bohaterem, który miał nam przywieźć Puchar Świata. A teraz? Uważają go za niegodnego, żeby choćby podetrzeć nim dupę. Skoro nie potrafią dobrze sobie poradzić z czymś tak nieskomplikowanym jak piłka nożna, to jakie mamy szanse, że oświadczenie wyjdzie nam na dobre, a oni nie poprzekręcą naszych wypowiedzi?

– Uwielbiam, kiedy Weird budzi się w dobrym nastroju – skomentował Ziggy. – Ale wiesz, Alex, on ma rację. Lepiej się nie wychylać. Do jutra znajdą sobie następny wielki temat. – Zamieszał kawę i ruszył w stronę drzwi. – Muszę dokończyć pakowanie. Lepiej nie zwlekajmy do ostatniej chwili i wyjdźmy trochę wcześniej niż zwykle. W tym śniegu ciężko się chodzi, a za sprawą Maclennana żaden z nas nie ma porządnych butów. Nie wierzę, że jestem zmuszony do paradowania w kaloszach.

– Uważaj, bo dorwie cię modowa policja! – zawołał za nim Weird, po czym ziewnął, przeciągając się. – Nie do wiary, jaki jestem zmęczony. Ktoś ma jakieś piguły dexy?

– Nawet jeśli jakieś mieliśmy, to na pewno splukaliśmy je w kiblu kilka godzin temu – odparł Mondo. – Zapomniałeś, że psy węszyły po całym domu?

Weird wyglądał na speszonego.

– No przecież. Nie myślę logicznie. Wiecie, że jak się obudziłem, to prawie zdołałem sobie wmówić, że to, co się stało w nocy, to był tylko

straszny zjazd po prochach? Tyle by wystarczyło, żebym przez resztę życia nawet nie spojrział na kwas, mówię wam. – Pokręcił głową. – Biedna dziewczyna.

Alex uznał to za sygnał, by zniknąć na piętrze i wepchnąć ostatnich kilka książek do swej podręcznej torby. Nie żałował, że jedzie do domu. Po raz pierwszy od chwili, gdy wprowadził się tu z pozostałą trójką, poczuł się klaustrofobicznie. Tęsknił za własną sypialnią, za drzwiami, które mógłby zamknąć, i nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby je otworzyć bez pozwolenia.

Nadszedł czas wyjazdu. W holu leżały spiętrzone trzy torby podróżne i górujący nad nimi plecak Ziggy’ego. Laddies fi’ Kirkcaldy byli gotowi, by jechać do domu. Zrzucili bagaże na ramiona i otworzyli drzwi, Ziggy na czele. Niestety, skutek dosadnych docinków Weirda najwyraźniej już ustąpił. Gdy wyszli na ścieżkę pokrytą zrytą butami breją, znikąd zmaterializowało się wokół nich pięciu mężczyzn. Trzech z nich niosło aparaty i zanim czwórka studentów w ogóle zorientowała się, co się dzieje, powietrze wypełniły dźwięki szybkiego przewijania taśmy w urządzeniach Nikona.

Dwóch dziennikarzy podchodziło już do nich, okrążając fotografów i wykrzykując pytania. Jakimś cudem chłopcy poczuli się przez nich jak na konferencji prasowej, gdy reporterzy wypluwali z siebie zdania z prędkością karabinu maszynowego. „Jak znaleźliście dziewczynę?” „Który z was dokonał odkrycia?” „Co robiliście na Hallow Hill w środku nocy?” „Czy to był jakiś satanistyczny rytuał?” No i oczywiście nieuniknione: „Jak się czujecie?”.

– Won stąd! – ryknął na nich Weird, machając przed sobą swą ciężką torbą niczym przeciążoną kosą. – Nie mamy wam nic do powiedzenia!

– Jezu, Jezu, Jezu... – mamrotał Mondo, jakby igła utknęła w jednym z rowków gramofonowej płyty.

– Z powrotem do środka! – zawołał Ziggy. – Wracajcie do środka!

Alex, zajmujący pozycję na tyłach, natychmiast się cofnął. Mondo wtoczył się do przedSIONKA i wpadł na niego, niemal się wywracając, gdy w pośpiechu próbował uciec przed natarczywym gradem pytań i pstrykającymi aparatami. Weird i Ziggy wbiegli za nim i zatrzasnęli drzwi. Wszyscy popatrzyli po sobie, zaszczuci i udręczeni.

– I co teraz? – zapytał Mondo, wyrażając na głos myśli całej czwórki. Każdy wyglądał na zagubionego. Ta sytuacja zdecydowanie przerastała ich ograniczone doświadczenia ze światem. – Nie możemy tylko tak tu siedzieć – ciągnął nadąsany Mondo. – Musimy się dostać do Kirkcaldy. Zaczynam pracę w Safeway jutro o szóstej rano.

– Ja i Alex też – dodał Weird. Wszyscy spojrzeli wyczekująco na Ziggy'ego.

– No dobra. Moglibyśmy wyjść tyłem.

– Z tyłu nie ma żadnego wyjścia, Ziggy. Mamy tylko drzwi frontowe – wytknął Weird.

– Mamy też okno w łazience. Wy trzej możecie się przez nie wymknąć, a ja zostanę tutaj. Położę trochę po piętze, będę włączał światła i takie tam, żeby pomyśleli, że wciąż tu jesteśmy. Mogę pojechać do domu jutro, kiedy sprawa trochę przycichnie.

Pozostała trójka wymieniła spojrzenia. To nie był taki zły pomysł.

– Poradzisz sobie sam? – zapytał Alex.

– Nic mi nie będzie. Tylko niech jeden z was zadzwoni do moich rodziców i wyjaśni, dlaczego wciąż jestem w St. Andrews. Nie chcę, żeby dowiedzieli się o wszystkim z gazet.

– Ja do nich zadzwonię – zaoferował Alex. – Dzięki, Ziggy.

Ziggy uniósł rękę, a pozostali poszli za jego przykładem. Zwarli dłonie w dobrze im znanym czterostronnym uścisku.

– Jeden za wszystkich – zaintonował Weird.

– Wszyscy za jednego – dokończyła chórem reszta. Ich hasło wciąż niosło ze sobą tyle samo mocy jak wtedy, gdy zainicjowali ów zwyczaj

dziewięć lat temu. Po raz pierwszy od chwili, gdy wpadł na Rosie Duff leżącą w śniegu, Alex poczuł małą iskierkę otuchy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ALEX Z MOZOŁEM PRZEBRNĄŁ przez wiadukt kolejowy, po czym skręcił w prawo w Balsusney Road. Kirkcaldy było jak inny kraj. Podczas gdy autobus meandrował po drogach wzdłuż wybrzeża Fife, śnieg stopniowo ustępował miejsca błotnej brei, a potem przenikliwej, szarej wilgoci. Zanim północno-wschodni wiatr dotarł aż tak daleko, zdążył już zrzucić swój ładunek śniegu i bardziej osłoniętym miasteczkom znajdującym się bliżej ujścia rzeki nie miał do zaoferowania nic ponad ziębiące porywy chłostającego deszczu. Alex czuł się jak jeden z ponurych wieśniaków z obrazów Breughla, wlokących się ze zmęczeniem do domu.

Przesunął zasuwkę, otwierając znajomą bramkę z kutego żelaza, a potem pokonał krótką ścieżkę wiodącą do niewielkiej kamiennej willi, w której się wychował. Wygrzebał klucze z kieszeni spodni i wszedł do środka. Spowiła go eksplozja ciepła. W lecie zainstalowali sobie centralne ogrzewanie, a to był pierwszy raz, gdy miał okazję poczuć na własnej skórze różnicę, jaką robiło. Rzucił torbę na podłogę koło drzwi i zawołał:

– Wróciłem!

Jego matka wyszła z kuchni, wycierając dłonie w ścierkę do naczyń.

– Alex, dobrze, że jesteś. Chodź, jest zupa i gulasz. My zjedliśmy już podwieczorek. Spodziewałam się ciebie wcześniej. To pewnie przez pogodę? Widziałam w lokalnych wiadomościach, że nieźle was tam zasypało.

Pozwolił, by jej słowa spływały po nim, ich znajome tony i treść otulały go i przynosiły ze sobą poczucie bezpieczeństwa. Energicznie

ściągnął płaszcz przeciwdeszczowy i przeszedł przez korytarz, by ją uścisnąć.

– Wydajesz się zmęczony – skomentowała z troską.

– Zeszła noc była straszna, mamo – odparł, idąc za nią do maleńkiej kuchni.

Z salonu dobiegł go głos ojca.

– Alex, czy to ty?

– Tak, tato – odkrzyknął. – Za chwilę do ciebie przyjdę.

Matka już nalewała mu zupę. Podała Alexowi miskę i łyżkę. Gdy w grę wchodziło serwowanie jedzenia, Mary Gilbey nie przejmowała się takimi nieistotnymi szczegółami, jak osobista żaloba.

– Bierz zupę i usiądź z ojcem. Podgrzeję ci gulasz. W piekarniku jest pieczony ziemniak.

Alex przeszedł do salonu, gdzie jego tata siedział w swoim fotelu naprzeciwko telewizora. Na stole w kącie pokoju było nakryte miejsce i Alex usadowił się tam ze swoją miską.

– Wszystko gra, synu? – zapytał ojciec, nie odrywając wzroku od wyświetlanego na ekranie teleturnieju.

– Nie, tato, nie do końca.

To zwróciło uwagę jego rodziciela. Jock Gilbey odwrócił się i wpatrzył w niego z uwagą, w jakiej nauczyciele odznaczają się szczególną biegłością.

– Nie wyglądasz dobrze – zauważył. – Co cię gnębi?

Alex przełknął łyżkę zupy. Wcześniej nie miał chęci na jedzenie, ale gdy posmakował szkockiego krupniku domowej roboty, zdał sobie sprawę, że jest głodny jak wilk. Ostatni posiłek zjadł na imprezie i zdążył już stracić go dwa razy. Teraz pragnął tylko napełnić żołądek, ale musiał najpierw zarobić na swoją kolację.

– Wczoraj w nocy stało się coś strasznego – powiedział między łykami zupy. – Zamordowano dziewczynę. I to my ją znaleźliśmy. No,

w zasadzie to ja, ale Ziggy, Weird i Mondo byli wtedy ze mną.

Ojciec wpatrywał się w niego z rozdziawionymi ustami. Matka wkroczyła do salonu pod koniec tych rewelacji i podniosła dłoń do twarzy z oczyma szeroko rozwartymi i pełnymi zgrozy.

– Och, Alex, to... Och, mój ty biedaku – powiedziała, ruszając prędko ku niemu, by złapać go za rękę.

– To było okropne – ciągnął Alex. – Została ugodzona nożem. Wciąż żyła, kiedy ją znaleźliśmy. – Zamrugnął gwałtownie. – Koniec końców wylądowaliśmy na komisariacie, gdzie trzymali nas przez resztę nocy. Zabrali wszystkie nasze ubrania i inne rzeczy, jakby myśleli, że mieliśmy z tym coś wspólnego. Bo widzicie, znaleźliśmy tę dziewczynę. No, nie tak naprawdę. Ale była barmanką w jednym z pubów, do którego czasem zaglądamy. – Na to wspomnienie opuścił go apetyt i Alex odłożył łyżkę, pochylając głowę. W kąciку oka zebrała mu się łza i spłynęła po policzku.

– Strasznie mi przykro, synu – rzekł ojciec. Słowa te nie wyrażały w pełni jego uczuć. – To musiał być potworny szok.

Alex spróbował przełknąć gulę, którą miał w gardle.

– Zanim zapomnę – odezwał się, odsuwając krzesło. – Muszę zadzwonić do pana Malkiewicza i powiedzieć mu, że Ziggy nie przyjedzie dziś do domu.

Jock Gilbey wybałuszył oczy ze zdziwienia.

– Nie zatrzymali go chyba na komisariacie?

– Nie, nie, nic z tych rzeczy – odparł Alex, ocierając oczy wierzchem dłoni. – Przed naszym domem w Fife Park zebrali się dziennikarze. Próbowali zdobyć zdjęcia i wywiady, a my nie chcieliśmy z nimi rozmawiać. No więc ja, Weird i Mondo wyleźliśmy przez okno w łazience i wymknęliśmy się tyłem. Wiecie, że wszyscy mamy jutro zacząć pracę w Safeway. Ale Ziggy nie ma załatwionej roboty, więc zaproponował, że pojedzie jutro. Nie chcieliśmy zostawiać tego okna otwartego, sami rozumiecie. Dlatego muszę zadzwonić do jego taty i mu to wyjaśnić.

Alex łagodnie wyswobodził się z uścisku matki i przeszedł do holu. Podniósł słuchawkę i z pamięci wybrał numer Ziggy'ego. Usłyszał sygnał, a potem znajomy głos Karela Malkiewicza, mówiącego po szkocku z polskim akcentem. No i znów to samo, pomyślał Alex. Będzie musiał po raz kolejny wyjaśnić, co się stało ubiegłej nocy. Miał przeczucie, że nie po raz ostatni.

– Oto co się dzieje, kiedy marnujecie czas, chodząc sobie wieczorami na piwko i Bóg wie, co jeszcze – orzekł z goryczą Frank Mackie. – Już narobiliście sobie problemów z policją. Cieszę się w okolicy szacunkiem, wiesz? Nigdy nie miałem glin na progu swojego domu. Ale wystarczy jeden taki niedojda jak ty i zaraz będziemy na językach całego miasta.

– Gdybyśmy nie wracali tak późno, leżałaby tam do rana. Umarłaby w samotności – zaprotestował Weird.

– To mnie w najmniejszym stopniu nie obchodzi – odparł jego ojciec, przechodząc przez pokój, by nalać sobie whisky z narożnego barku, który postawił w salonie, żeby robić wrażenie na tych ze swoich klientów, których uznał za dość szacownych, aby zaprosić ich do domu. Uważał, że jako księgowy powinien eksponować oznaki swego powodzenia. Wszystko, czego pragnął, to by jego syn okazał jakiegokolwiek ślady aspiracji, ale zamiast tego spłodził bezużytecznego próżniaka, który nocami włóczył się po barach. Co gorsza, Tom wyraźnie miał głowę do liczb. Niestety, zamiast okiełznać ten dar w praktyczny sposób i studiować rachunkowość, wybrał wydumany świat matematyki spekulatywnej. Jakby to miał być pierwszy krok na drodze do dobrobytu i przyzwoitego życia. – Tym razem się doigrałeś, bratku. Koniec z wychodzeniem wieczorami. Żadnych imprez i żadnych pubów w te święta. Masz zakaz opuszczania koszar. Będziesz wychodził do pracy, a potem wracał prosto do domu.

– Ale tato, jest Boże Narodzenie – zaproponował Weird. – Wszyscy będą wychodzić na miasto. Chcę zobaczyć, co tam u moich kumpli.

– Trzeba było o tym pomyśleć, zanim naraziłeś się policji. W tym roku masz egzaminy. Ten czas przyda ci się na naukę. Jeszcze mi za to podziękujesz.

– Ale tato...

– To moje ostatnie słowo w tym temacie. Póki mieszkasz pod moim dachem i to ja płacę za twoje studia, będziesz robił, co ci każę. Kiedy zaczniesz zarabiać dość pieniędzy, żeby samodzielnie się utrzymać, wtedy możesz sobie wymyślać własne zasady. Ale zanim to nastąpi, moje słowo jest prawem. A teraz zejdź mi z oczu!

Kipiący ze złości Weird wypadł z pokoju i pognął po schodach na górę. Boże, jak on nienawidził tej rodziny. I tego domu. Raith Estate z założenia miało być na niezrównanym poziomie, jeśli chodzi o nowoczesne mieszkanie, ale Weird uznał, że był to po prostu kolejny szwindel ukartowany przez szarych ludzi w garniturach. Nie potrzeba było wiele sprytu, żeby poznać, że to nie była lepsza wersja miejsca, w którym mieszkali kiedyś. Kamienne ściany, solidne drewniane drzwi z panelami i ozdobnymi rowkami, witraż w oknie na półpiętrze. To był dom. W porządku, te cztery ściany miały więcej pokoiów, ale za to ciasnawych; sufity i framugi w drzwiach były okropnie niskie i Weird odnosił wrażenie, że musi się ciągle schylać, by móc odnaleźć się w tej przestrzeni przy stu dziewięćdziesięciu centymetrach wzrostu. No i ściany były cienkie jak papier. Można było usłyszeć, jak ktoś pierdzi w drugim pokoju. Co w sumie było dosyć śmieszne. Ale jego rodzice byli tak zamknięci w sobie, że nie poznaliby tej emocji, gdyby ta ugryzła ich w nogę. A mimo to wydali fortunę na dom, który odzierał wszystkich z prywatności. Dzielenie pokoju z Alexem wydawało się większym przywilejem niż mieszkanie pod jednym dachem z rodzicami.

Dlaczego nigdy nawet nie podjęli żadnej próby, by zrozumieć, kim jest ich syn? Czuł się tak, jakby spędził całe życie na buntowaniu się. Nic, co osiągnął, nie przełamało między nimi żadnych lodów, bo nie mieściło się w wąskich ramach aspiracji jego rodziców. Gdy zdobył miano szkolnego mistrza szachowego, ojciec chrząknął głośno, że lepiej by dla niego było, gdyby dołączył do zespołu brydżowego. Gdy poprosił o jakiś instrument muzyczny, ojciec odmówił mu wprost i w zamian zaoferował, że podaruje mu zestaw kijów do golfa. Gdy w liceum każdego roku wygrywał nagrody w konkursach matematycznych, ojciec w odpowiedzi kupował mu książki o rachunkowości, kompletnie mijając się z celem. W oczach Weirda w matematyce nie chodziło o sumowanie liczb, tylko o piękno wykresu funkcji kwadratowej, elegancję analizy matematycznej, tajemniczy język algebry. Gdyby nie jego kumple, czułby się jak kompletny dziwoląg. Jako że byli przy nim, dali mu przestrzeń, by mógł bezpiecznie się wyładować, szansę, by rozwinął skrzydła, nie ponosząc przy tym błyskawicznej klęski.

A on odplacił im się, dodając im jedynie zmartwień. Zalała go fala poczucia winy, gdy przypomniał sobie swój ostatni szalony wyskok. Tym razem posunął się za daleko. Wszystko zaczęło się jako żart, podwędzenie auta Henry'ego Cavendisha. Nie miał wtedy pojęcia, jak to się skończy. Zdał sobie sprawę, że jeśli to się wyda, żaden z pozostałych chłopaków nie będzie w stanie uchronić go przed konsekwencjami. Miał tylko nadzieję, że nie pociągnie ich za sobą na dno.

Weird włożył swoją nową kasetę Clashów do odtwarzacza i rzucił się na łóżko. Przesłucha jedną stronę, a potem zacznie szykować się do snu. Musi wstać o piątej, żeby spotkać się z Alexem i Mondem na ich porannej zmianie w supermarkecie. Zazwyczaj perspektywa tak wczesnej pobudki wywoływała u niego piekielną załamkę, ale w związku z tym, jak się czuł u rodziców, z ulgą powita wyjście z domu, a praca, która powstrzyma jego

myśli od kręcenia się w kółko, będzie aktem miłosierdzia. Chryste, ale żałował, że nie ma żadnego jointa.

Przynajmniej emocjonalne okrucieństwo jego ojca odeгнаło na bok inwazyjne myśli o Rosie Duff. Zanim Joe Strummer zaśpiewał *Julie's in the Drug Squad*, Weird pograżył się już w głębokim, pozbawionym snów śnie.

Karel Malkiewicz nawet w najlepszych chwilach prowadził samochód jak staruszek: z wahaniem, powoli, absolutnie nieprzewidywalnie na skrzyżowaniach. W dodatku jeździł głównie przy ładnej pogodzie. W normalnych okolicznościach pierwsze oznaki mgły lub mrozu decydowały o tym, że wóz nie ruszał się spod domu, a Karel udawał się pieszo w dół stromego wzgórza z Massareene Road do Bennochy, gdzie łapał autobus, który wiozł go na Factory Road, do pracy w zawodzie elektryka w firmie zajmującej się pokrywaniem podłóg. Minał już długi czas, odkąd zniknęła stamtąd chmura oleju lnianego, przez którą miasto zyskało reputację „śmierdzącego pedałami”, lecz choć linoleum drastycznie straciło na popularności, produkty wyjeżdżające z fabryki Nairna wciąż pokrywały podłogi w milionach kuchni, łazienek i korytarzy. Ta praca zapewniła Karelowi Malkiewiczowi godziwe życie, gdy po wojnie opuścił RAF², i był za to wdzięczny losowi.

Nie znaczyło to jednak, że zapomniał o powodach, dla których w ogóle opuścił Kraków. Nikt nie zdołałby przeżyć toksycznej atmosfery nieufności i perfidii bez blizn, a już na pewno nie polski Żyd, mający dość szczęścia, by wydostać się z kraju przed pogromem, który zostawił go bez rodziny, którą mógłby nazwać swoją.

Karel musiał odbudować swoje życie, stworzyć dla siebie nową rodzinę. Jego zmarli bliscy nigdy nie byli szczególnie gorliwi w kwestii wiary, więc nie czuł się zbyt osamotniony, gdy sam porzucił swą religię. „W Kirkcaldy nie ma Żydów” – pamiętał, jak ktoś powiedział mu te słowa parę dni po tym, jak przybył do miasta. Przesłanie było jasne: „I taki stan

rzeczy nam odpowiada”. Więc zasymilował się, posunął się nawet do tego, że poślubił swoją wybrankę w katolickim kościele. Nauczył się, jak przynależeć do tego dziwnego, wyspiarskiego kraju, który go przyjął. Zaskoczyło go uczucie żarliwej, zaborczej dumy, jaką poczuł niedawno, kiedy jego rodak został papieżem. Tak rzadko ostatnimi czasy myślał o sobie jako o Polaku.

Dobiegał już czterdziestki, gdy syn, o którym zawsze marzył, w końcu pojawił się na świecie. Był to powód do radości, ale również odnowienie strachu.

Teraz miał o wiele więcej do stracenia. Mieszkał w cywilizowanym kraju. Nie było szans, by faszyści kiedykolwiek przejęli tu władzę. Tak w każdym razie brzmiała powszechna opinia. Ale Niemcy również byli cywilizowanym narodem. Nikt nie potrafi przewidzieć, co może się stać w jakimkolwiek kraju, w którym liczba ludzi pozbawionych środków do życia osiągnie masę krytyczną. Każdy, kto obiecywałby wtedy ocalenie, znalazłby popleczników.

A ostatnio podstaw, by się bać, było wiele. Front Narodowy rozpełzał się po podszyciu politycznych sfer. Strajki i przemysłowe niepokoje wywoływały nerwowość w rządzie. Kampania bombowa IRA dała politykom pretekst, którego potrzebowali, by wprowadzić środki represyjne. A ta zimna suka na czele partii torysów grzmiała o imigrantach zalewających rdzenną kulturę. O tak, wszystkie zwiastuny były już widoczne.

Dlatego kiedy Alex Gilbey zadzwonił do niego i powiedział, że jego syn spędził noc na komisariacie, Karel Malkiewicz nie miał wyboru. Chciał, by jego syn znalazł się z powrotem pod jego dachem, pod jego opieką. Nie pozwoli, by ktokolwiek zjawił się w środku nocy i zabrał go nie wiadomo gdzie. Ubrał się ciepło, poinstruował żonę, by przygotowała mu termos z gorącą zupą i zawiniątko z kanapkami. A potem wyruszył w podróż przez hrabstwo, by sprowadzić syna do domu.

Przejechanie blisko pięćdziesięciu kilometrów jego starym vauxhallem zajęło mu prawie dwie godziny. Poczł jednak ulgę, gdy zobaczył zapalone światła w domku, który Sigmund dzielił z przyjaciółmi. Zaparkował samochód, zabrał swoje zapasy i pomaszerował ścieżką do drzwi.

Z początku nie doczekał się żadnej reakcji na swoje pukanie. Ostrożnie przeszedł po śniegu i zajrzał przez okno do jasno oświetlonej kuchni. Była pusta. Zabębnił w szybę i zawołał:

– Sigmund! Otwórz, tu ojciec!

Usłyszał tupot stóp, gdy ktoś zbiegał po schodach, po czym drzwi rozwarły się, a w nich stanął jego przystojny syn, uśmiechając się od ucha do ucha i rozkładając szeroko ramiona na powitanie.

– Tato – powiedział, wychodząc boso w śnieżną breję, by go uścisnąć.
– Nie spodziewałem się ciebie.

– Alex do mnie zadzwonił. Nie chciałem, żebyś siedział tu sam, więc przyjechałem zabrać cię do domu. – Karel mocno objął syna, czując, jak motyl strachu wciąż tłucze skrzydłami w jego piersi. Miłość, pomyślał, to straszna rzecz.

Mondo siedział po turecku na łóżku, z gramofonem w zasięgu ręki. Raz po raz odtwarzał swój osobisty motyw: *Shine On, You Crazy Diamond*. Gitary wędrujące swobodnie po skali, płynąca z głębi serca boleść głosu Rogera Watersa, elegijne syntezatory, lekko chropawy saksofon – wszystkie te elementy stanowiły doskonałą ścieżkę dźwiękową do uzalania się nad sobą.

A Mondo właśnie tego pragnął, poużalać się nad sobą. Wyrwał się spod tłamszącej troski matki, którą otoczyła go, gdy tylko wyjaśnił, co zaszło w nocy. Przez jakiś czas było to nawet dość przyjemne, znajomy kokon tkliwości tkany wokół niego. Ale stopniowo Mondo zaczął się w nim dusić, więc uprzejmię wymówił się od towarzystwa; oznajmił, że

musi teraz побыć trochę sam. Sposób na Grete Garbo zawsze działał na jego matkę, która uważała go za intelektualistę, bo czytał książki po francusku. Fakt, że był to konieczny wymóg, gdy studiowało się jakiś przedmiot na uniwersytecie, zdawał się jej umykać.

W sumie to i dobrze. Nie potrafił choćby zacząć wyjaśniać, jaki kipisz emocji groził, że go zaleje. Przemoc była dla niego niezrozumiała, niczym obcy język, którego gramatyki i słownictwa nigdy sobie nie przyswoił. Konfrontacja z nią ubiegłej nocy sprawiła, że teraz czuł się roztrzęsiony i nieswój. Nie mógł z całą uczciwością stwierdzić, że przykro mu z powodu śmierci Rosie Duff. Niejeden raz upokarzała go w obecności jego przyjaciół, gdy próbował poderwać ją tekstami, które zdawały się działać na inne laski. Było mu jednak przykro, że przez jej śmierć znalazł się w tym trudnym miejscu, do którego nie należał.

Tak naprawdę potrzebował teraz seksu. To by odwróciło jego uwagę od koszmaru ostatniej nocy. Jak swego rodzaju terapia. Jak powrót do gry. Niestety nie miał żadnej dziewczyny w Kirkcaldy. Może powinien trochę podzwonić. Parę jego byłych rzuciłoby się na okazję, żeby odnowić związek z nim. Z chęcią wysłuchałyby jego biadolenia i dzięki temu przetrwałyby przynajmniej okres świąt. Może Judith. Albo Liz. Tak, raczej Liz. Te pyzate zawsze były tak żałośnie wdzięczne za randkę, że były gotowe spełniać jego zachcianki bez większego wysiłku z jego strony. Czuł, że zaczyna mieć erekcję na samą myśl.

Już miał wstać z łóżka i zejść na parter do telefonu, gdy ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę – westchnął ze znużeniem, zastanawiając się, czego matka znowu od niego chce. Przesunął się nieco, by ukryć twardniejącego penisa.

Ale to nie była matka, tylko jego piętnastoletnia siostra Lynn.

– Mama pomyślała, że może miałbyś ochotę na colę – powiedziała, machając szklanką w jego stronę.

– Przychodzi mi do głowy mnóstwo innych rzeczy, na które miałbym większą ochotę – odparł.

– Na pewno czujesz się paskudnie – rzekła Lynn. – Nie potrafię sobie tego wyobrazić. To musiało być straszne.

Z braku dziewczyny Mondo musiał zadowolić się zrobieniem wrażenia na siostrze.

– Było dość ciężko – przyznał. – Zdecydowanie nie chciałbym przechodzić przez to wszystko jeszcze raz. A policjanci okazali się prymitywnymi imbecylami. Nigdy się nie dowiem, dlaczego uznali za stosowne przesłuchiwać nas, jakbyśmy byli zamachowcami z IRA i podkładali bomby. Trzeba było prawdziwej odwagi, żeby się im postawić, mówię ci.

Z jakiegoś powodu Lynn nie obdarzyła go bezmyślną adoracją i wsparciem, na jakie zasługiwał. Oparła się o ścianę z miną osoby, która czeka na przerwę w monologu rozmówcy, by móc wejść mu w słowo i porozmawiać na temat, który naprawdę ją interesuje.

– Na pewno – odparła mechanicznie.

– Zdaje się, że będziemy musieli zmierzyć się z kolejnymi przesłuchaniami – dodał Mondo.

– Alex musiał strasznie to przeżyć. Jak on się czuje?

– Gilly? Żaden tam z niego pan wrażliwy. Dojdzie do siebie.

– Alex jest o wiele wrażliwszy, niż ci się wydaje – zaperzyła się Lynn.
– Tylko dlatego, że grał w rugby, myślisz, że jest mięśniakiem bez serca. Musiał być strasznie załamany, zwłaszcza że znał tę dziewczynę.

Mondo zaklął w duchu. Zapomniał, że jego siostra podkochuje się w Alexie. Nie przyszła tu, żeby ofiarować mu cołę i współczucie, tylko dlatego, że dzięki temu miała pretekst, by pogadać o jego kumplu.

– To pewnie tym lepiej dla niego, że nie znał jej tak dobrze, jak by pragnął.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Kochał się w niej na zabój. Nawet zaprosił ją na randkę. Widzisz, gdyby się zgodziła, to możesz być pewna, że stałby się głównym podejrzanym.

Lynn oblała się rumieńcem.

– Zmyślasz. Alex nie uganiałby się za barmankami.

Mondo posłał jej okrutny uśmiezek.

– Ach tak? Myślę, że nie znasz swojego kochanego Alexa tak dobrze, jak ci się wydaje.

– Ale z ciebie popapraniec, wiesz? – rozzłościła się Lynn. – Dlaczego mówisz o nim takie okropne rzeczy? Przecież jest podobno jednym z twoich najlepszych przyjaciół.

Wypadła z pokoju i zostawiła go zamyślonego nad jej pytaniem. Dlaczego mówił takie okropne rzeczy o Alexie, skoro w normalnych okolicznościach nie dałby powiedzieć o nim złego słowa?

Powoli zaczął zdawać sobie sprawę, że w głębi serca wini Alexa za cały ten bałagan. Gdyby normalnie poszli prosto ścieżką, ktoś inny znalazłby ciało Rosie Duff. Ktoś inny musiałby stać tam i słuchać ostatnich oddechów ulatujących przeciągle z jej ust. Ktoś inny czułby się zbrukany przez godziny spędzone w policyjnej celi.

To Alex ponosił winę za to, że Mondo najwyraźniej stał się podejrzanym w śledztwie o morderstwo. Nie dało się temu zaprzeczyć. Skręcił się niezręcznie na samą myśl. Próbował ją odepchnąć, ale wiedział, że nie zdoła zamknąć puszkę Pandory. Kiedy już jakaś myśl zakorzeniła się w głowie, nie dało się jej wyrwać i odrzucić na bok, by zwiędła. To nie była dobra pora, by wynajdywać powody, które by ich skłóciły. Potrzebowali teraz siebie nawzajem bardziej niż kiedykolwiek. Ale nie dało się temu zaprzeczyć. Nie wpadłby w to bagno, gdyby nie Alex.

A co, jeśli ich sytuacja jeszcze się pogorszy? Nie można było zignorować faktu, że Weird woził się skradzionym land roverem przez pół nocy. Zabierał dziewczyny na przejażdżki, chcąc się przed nimi popisać.

Jego alibi było gównem warte, tak samo jak alibi Ziggy'ego, który w pewnym momencie wymknął się z imprezy i porzucił samochód gdzieś, gdzie Weird nie miał szans go znaleźć. On sam też nie mógł się czuć bezpiecznie. Co go opętało, że pożyczył auto, by odwieźć tę laskę do Guardbridge? Szybkie ruchanko na tylnym siedzeniu nie było warte kłopotów, jakie by go czekały, gdyby ktoś sobie przypomniał, że była na tej imprezie. Jeśli policja zacznie zadawać pytania o pozostałych uczestników domówki, ktoś ich wsypie. Nie miało znaczenia, jak donośnie studenci ogłaszali swą pogardę dla organów władzy; ktoś wymięknie i zacznie donosić. I wskaże palcem prosto na nich.

Nagle obwinianie Alexa zaczęło się Mondowi wydawać najmniejszym z jego zmartwień. Gdy rozkładał na czynniki pierwsze wydarzenia z ostatnich paru dni, przypomniał sobie coś, co zauważył raz późnym wieczorem. Coś, co mogło mu pomóc odwrócić od siebie podejrzania. Coś, czym na razie nie zamierzał się z nikim podzielić. Do dupy z tym „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. Pierwszą osobą, wobec której Mondo powinien pozostać lojalny, był on sam. Niech reszta sama zatroszczy się o siebie.

² Royal Air Force (Królewskie Siły Powietrzne) – siły lotnicze Wielkiej Brytanii.

ROZDZIAŁ ÓSMY

MACLENNAN ZAMKNAŁ ZA SOBĄ DRZWI. Pokój, gdy znajdował się w nim wraz z posterunkową Janice Hogg, wydawał się klaustrofobicznie ciasny, a niski skos dachu wręcz ich osaczał. To jest właśnie element budzący największą litość w przypadku niespodziewanej śmierci, pomyślał komisarz. Człowiek nie ma okazji po sobie posprzątać, zaprezentować obrazu, który chciałby pokazać światu. Utyka się na zawsze z tym, co zostawiło się po sobie przed ostatnim zamknięciem drzwi. MacLennan doświadczył w życiu licznych smutnych widoków, ale niewiele bardziej przejmujących od tego.

Ktoś zadał sobie trud, by urządzić to pomieszczenie w jasny i radosny sposób, mimo ograniczonej ilości światła wpadającego do środka przez wąskie mansardowe okno wychodzące na ulicę wioski. W oddali mógł dostrzec St. Andrews, wciąż błyskające bielą wczorajszego śniegu, choć komisarz wiedział, że rzeczywistość wygląda inaczej. Chodniki już były brudne od błotnistej mazi, drogi zmieniły się w śliskie bagno żwiru i wody z roztopów. Za miasteczkiem szara smuga morza wtapiała się niepostrzeżenie w niebo. W słoneczny dzień musi być stąd ładny widok, pomyślał, odwracając się z powrotem ku płycie wiórowej pomalowanej farbą w kolorze magnolii i białej pluszowej narzucie na łóżko, wciąż pogniecionej w miejscu, gdzie Rosie usiadła na niej po raz ostatni. Na ścianie wisiał samotny plakat. Jakiś zespół o nazwie Blondie; główna wokalistka była piersiasta, wydymała wargi i miała niemożliwie krótką spódniczkę. Zastanawiał się, czy do tego właśnie aspirowała Rosie.

– Od czego mam zacząć, panie komisarzu? – zapytała Janice, patrząc na szafę ubraniową z lat pięćdziesiątych i toaletkę, które zostały pomalowane na biało w próbie nadania im bardziej współczesnego charakteru. Przy łóżku stał niewielki stolik z szufladą. Poza tym jedynymi innymi potencjalnymi schowkami były: mały pojemnik na pranie utknięty za drzwiami i metalowy kosz na śmieci pod toaletką.

– Ty zajmij się toaletką – rozkazał. W ten sposób nie będzie musiał przeglądać kosmetyków do makijażu, które nigdy już nie zostaną użyte, gorszych staników i starych majtek upchniętych w tyle szuflady na wypadek sytuacji awaryjnych z praniem, które nigdy się nie zdarzają. MacLennan znał swe czułe punkty i wolał unikać zgłębiania ich, jeśli tylko mógł.

Janice usiadła na brzegu łóżka, gdzie Rosie musiała się sadować, by zaglądać w lustro i nakładać makijaż. Komisarz odwrócił się ku stolikowi i wysunął szufladę. W środku leżała gruba książka zatytułowana *Dalekie pawilony*. MacLennan uznał, że właśnie takiego rodzaju czytadeł używała jego była żona, by trzymać go na dystans w łóżku. „Barney, przecież widzisz, że czytam” – mawiała tonem pełnym cierpliwego cierpienia, wymachując mu przed nosem powieścią ciężką jak podpórka do drzwi. Co jest z tymi kobietami i książkami? Wyciągnął tomiszczce, starając się nie zwracać uwagi na Janice, metodycznie odkrywając zawartość szuflad. Pod spodem był pamiętnik. MacLennan podniósł go, nie pozwalając sobie na optymizm.

Gdyby liczył na jakieś wyznania, przeżyłby bolesne rozczarowanie. Rosie Duff nie była dziewczyną piszącą: „Drogi pamiętniczku”. Kartki wypełniała notatkami o swoich zmianach w Lammas, urodzinach krewnych i przyjaciół oraz wydarzeniach typu „ impreza u Boba” albo „hulanka u Julie”. Niektóre daty były oznaczone: Rosie zapisywała przy nich godzinę, miejsce oraz słowo „On” i następujący po nim numer. Wyglądało na to, że w ciągu ostatniego roku spotykała się po kolei

z numerami czternaście, piętnaście i szesnaście. „On numer 16” był oczywiście najświeższą sympatią. Pojawił się po raz pierwszy na początku listopada i prędko stał się regularnym wpisem dwa lub trzy razy w tygodniu. Zawsze po pracy, zauważył Maclennan. Będzie musiał wrócić do Lammas i jeszcze raz zapytać, czy ktoś widział Rosie z jakimś mężczyzną po zamknięciu pubu. Zastanawiało go, dlaczego spotykali się właśnie wtedy, zamiast w wolne wieczory Rosie albo w ciągu dnia, kiedy akurat nie pracowała. Jedno albo drugie wydawało się zdeterminowane, by utrzymać tożsamość amanta w tajemnicy.

Zerknął przez pokój na Janice.

– Znalazłaś coś?

– Nic, czego bym się nie spodziewała. Wszystko, co tu ma, jest z rodzaju rzeczy, które kobiety kupują sobie same. Nic z tej tandety, jaką obdarowują mężczyźni.

– Mężczyźni kupują tandetne rzeczy?

– Obawiam się, że tak, panie komisarzu. Drapiące koronki. Nylon, w którym skóra się poci. Rzeczy, które mężczyźni lubią widzieć na kobiecie, a nie takie, które kobieta wybrałaby sobie sama.

– A więc to tu popełniałem błąd przez te wszystkie lata. Powinienem był po prostu kupować wielkie majty z Marksa i Spencera.

Janice wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Zadowolona kobieta potrafi się odwdzięczyć, panie komisarzu.

– Czy cokolwiek wskazuje, że Rosie brała tabletki antykoncepcyjne?

– Na razie nic. Może Brian miał rację, kiedy mówił, że to była dobra dziewczyna.

– Nie do końca. Patolog twierdzi, że nie była dziewicą.

– Dziewictwo można stracić na kilka sposobów, panie komisarzu – wytknęła Janice, nie dość odważna, by oczerniać patologa. Było tajemnicą poliszynele, że gość bardziej skupiał się na swoim następnym drinku i emeryturze niż na ciałach, które trafiały na stół w kostnicy.

– To prawda. A tabletki są pewnie w jej torebce, która do tej pory się nie odnalazła. – MacLennan westchnął i zamknął szufladę z powieścią oraz dziennikiem w środku. – Zajrzę teraz do szafy.

Pół godziny później musiał przyznać, że Rosie Duff nie miała w zwyczaju chomikować rzeczy. Jej garderoba zawierała ubrania i buty, wszystkie zgodne z panującą obecnie modą. W jednym kącie leżała sterta czasopism, grubych papierowych cegieł, obiecujących w równym stopniu splendor, bogactwo i miłość.

– Marnujemy tu czas – oznajmił.

– Została mi już tylko jedna szuflada. Może pan niech zerknie do jej pudełka z biżuterią? – Janice podała mu kuferek w kształcie pirackiej skrzyni na skarby, obity białą sztuczną skórą.

MacLennan odpiął cienkie mosiężne zapięcie i podniósł wieczko. Górna tacka zawierała asortyment kolczyków w całej gamie kolorów. Były w większości duże i śmiałe, ale niedrogie. Zawartością dolnej tacki okazały się: dziecięcy zegarek Timex, parę tanich srebrnych łańcuszków i kilka zabawkowych broszek. Jedna wyglądała jak robótka ręczna, miała nawet miniaturowe druty. Druga przedstawiała muchę wędkarską, a trzecia jaskrawo emaliowane stworzenie przypominające kota z innej planety. Nie wyglądało na to, by którakolwiek z tych rzeczy miała jakieś znaczenie w sprawie.

– Lubiała nosić kolczyki – rzekł MacLennan, zamykając pudełko. – Facet, z którym się spotykała, nie był z rodzaju tych, którzy dają kobietom drogą biżuterię.

Janice sięgnęła w głąb szuflady i wyjęła plik zdjęć. Najwyraźniej Rosie ograbiła domowe albumy i stworzyła własną kolekcję. Była to typowa zbieranina rodzinnych fotografii: weselne zdjęcie jej rodziców, cała trójka dorastającego rodzeństwa, różne konfiguracje członków rodziny uchwycone w ciągu ostatnich trzydziestu lat, parę ujęć niemowlęcych i kilka fotek Rosie oraz jej przyjaciół ze szkoły w mundurkach Madras

College, strzelających miny do aparatu. Żadnych zdjęć z budki fotograficznej, na których byłaby Rosie ze swoimi chłopakami. W sumie nie było tu śladu żadnych chłopaków.

Maclennan przejrzał fotografie, po czym wepchnął je z powrotem do koperty.

– Chodź, Janice. Zobaczmy, czy uda nam się znaleźć jakieś bardziej produktywne zajęcie.

Rozejrzał się po raz ostatni po pokoju, który powiedział mu o Rosie Duff o wiele mniej, niż na to liczył. Dziewczyna pragnąca czegoś bardziej olśniewającego od tego, co miała. Dziewczyna zamknięta w sobie. Dziewczyna, która zabrała swoje tajemnice do grobu, prawdopodobnie chroniąc w ten sposób swego zabójcę.

Gdy Maclennan i Janice jechali z powrotem do St. Andrews, radio w samochodzie zatrzeszczało. Policjant pokręcił gałkami, próbując pozbyć się zakłóceń. Parę sekund później z odbiornika popłynął donośny i wyraźny głos Burnside'a. Wydawał się podekscytowany.

– Panie komisarzu? Chyba coś mamy.

*

Alex, Mondo i Weird skończyli swoją zmianę, polegającą na układaniu towarów na półkach w Safeway. Pochylali przy tym nisko głowy, licząc na to, że nikt ich nie rozpozna ze zdjęcia z pierwszej strony „Daily Record”. Kupili pakiet różnych gazet i przeszli wzdłuż High Street do kawiarni, gdzie zwykli spędzać wczesne wieczory, kiedy byli jeszcze nastolatkami.

– Czy wiecie, że z „Record” czerpie informacje pięćdziesiąt procent dorosłych Szkotów? – obwieścił ponuro Alex.

– Bo pozostałe pięćdziesiąt procent nie potrafi czytać – sarknął Weird, oglądając zdjęcie zrobione im z nienacka, gdy wszyscy czterej stali na progu swojego domku. – Chryste, patrzcie na nas. Równie dobrze

mogli je podpisać: „Szemrane dranie podejrzane o gwałt i morderstwo”. Każdy, kto to zobaczy, uzna, że jesteście winni.

– Nie jest to moje najbardziej pochlebne zdjęcie – przyznał Alex.

– Tobie się upiekło. Stoisz całkiem z tyłu. Ledwo da się dojrzeć twoją twarz. A Ziggy akurat się odwraca. To ja i Weird jesteście na pełnym widoku – poskarżył się Mondo. – Sprawdźmy, co udało się cyknąć pozostałym.

Podobne zdjęcia zamieściły gazety „The Scotsman”, „The Glasgow Herald” i „The Courier”, ale na szczęście w środku. Jednakże wszystkie nagłówki krzyczały o morderstwie z pierwszej strony. Wyjątek stanowił „Courier”. Nic równie nieznaczącego jak zabójstwo nie mogło zmieść z jego strony tytułowej cen bydła tucznego i ogłoszeń drobnych.

Siedzieli i sączyli swe kawy z pianką, w ciszy studiując szpalty.

– Chyba mogło być gorzej – oznajmił Alex.

Weird spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Gorzej? Niby jak?

– Napisali nasze nazwiska poprawnie. Nawet Ziggy’ego.

– Wielkie mi co. No dobra, niech ci będzie: powstrzymali się od nazwania nas podejrzanymi. Ledwo, ale jednak. Tylko że to w zasadzie jedyna rzecz w tych artykułach, która działa na naszą korzyść. Przez to wypadamy źle, Alex. Wiesz o tym.

– Wszyscy nasi znajomi to zobaczą – dodał Mondo. – Będą chcieli o tym z nami gadać. Jeśli to ma być moje piętnaście minut sławy, to ja dziękuję.

– Wszyscy i tak by się o tym dowiedzieli – zauważył Alex. – Wiecie, jak to działa w tym mieście. Wioskowa mentalność. Ludzie nie mają nic lepszego do roboty, więc plotkują o sąsiadach. Gazety nie są tu potrzebne, żeby szerzyć wieści. Na plus możemy zaliczyć fakt, że połowa studentów z naszego uniwersytetu mieszka w Anglii, więc o niczym nie usłyszą.

A zanim wrócimy na zajęcia po Nowym Roku, cała sprawa przejdzie już do historii.

– Tak sądzisz? – Weird złożył egzemplarz „Scotsmana” w ponurym nastroju. – Pozwól, że coś ci powiem. Powinniśmy się modlić, żeby MacLennan wykrył sprawcę i zamknął go w celi.

– Dlaczego? – zapytał Mondo.

– Bo jeśli tego nie zrobi, przez resztę życia będziemy znani jako faceci, którym morderstwo uszło płazem.

Mondo wyglądał jak człowiek, który właśnie się dowiedział, że cierpi na nieuleczalnego raka.

– Chyba żartujesz.

– W życiu nie byłem bardziej poważny – odparł Weird. – Jeśli nikogo nie aresztują za morderstwo Rosie, ludzie zapamiętają z tej sprawy jedynie czwórkę chłopaków, którzy spędzili noc na komendzie. To oczywiste. Wydadzą na nas wyrok mimo braku dowodów i procesu. „Wszyscy wiemy, że to oni. Policja po prostu nie była w stanie im tego udowodnić” – dopowiedział, udając kobiecy głos. – Pogódź się z tym, Mondo, nigdy już nie zaznasz seksu. – Wyszczrzył złośliwie zęby, wiedząc, że zadał przyjacielowi cios w najczulsze miejsce.

– Odwal się, Weird. Ja przynajmniej będę miał jakieś wspomnienia – warknął Mondo.

Zanim którykolwiek z nich zdążył coś dodać, przerwało im przybycie kolejnej osoby. Ziggy wszedł do kawiarni, otrząsając włosy z kropel deszczu.

– Tak myślałem, że was tu znajdę – przywitał ich.

– Ziggy, Weird twierdzi... – zaczął Mondo.

– Nieważne. Słuchajcie, MacLennan tu jest. Chce znowu z nami wszystkimi porozmawiać.

Alex uniósł brwi.

– Mamy z powrotem wlec się do St. Andrews?

Ziggy potrząsnął głową.

– Nie. Jest tu, w Kirkcaldy. Chce, żebyśmy się stawili na tutejszym komisariacie.

– Cholera – obruszył się Weird. – Mój stary się wścieknie. Dał mi szlaban na wyjścia. Pomyśli, że celowo zachowuję się tak, jakbym miał go w dupie. No a przecież nie mogę mu powiedzieć, że poszedłem na kolejną randkę z glinami.

– Podziękowania za to, że nie musimy jechać do St. Andrews, należą się mojemu tacie – oznajmił Ziggy. – Strasznie się zezłościł, kiedy MacIannan pojawił się u nas w domu. Odczytał mu, jakie mamy prawa, i oskarżył o to, że traktują nas jak przestępców, choć zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby pomóc Rosie. Przez chwilę myślałem, że zaraz zacznie go bić *Kodeksem karnym*. – Uśmiechnął się. – Mówię wam, ale byłem z niego dumny.

– Dobrze, że mu się postawił – stwierdził Alex. – To gdzie jest teraz MacIannan?

– Czeka w samochodzie przed kawiarnią. Z moim tatą na ogonie. Zaparkował tuż za nim. – Ramiona Ziggy'ego zaczęły się trząść od śmiechu. – Myślę, że pan komisarz nie spotkał do tej pory nikogo takiego jak mój ojciec.

– Czyli musimy od razu iść na komendę? – zapytał Alex.

Ziggy potwierdził skinieniem głowy.

– MacIannan na nas czeka. Powiedział, że mój tata może nas tam zawieźć, ale nie jest w nastroju, żeby za długo tu tkwić.

Dziesięć minut później Ziggy siedział sam w pokoju przesłuchań. Kiedy dotarli na komisariat, Alexa, Weirda i Monda zaprowadzono do osobnych pomieszczeń pod czujnym okiem umundurowanego policjanta. Zatroškany Karel Malkiewicz został bezceremonialnie porzucony przy recepcji po tym, jak MacIannan obcesowo kazał mu tam czekać. Ziggy'ego

zaś zapędzono do salki, ściśniętego między komisarzem i Burnside'em, którzy następnie bezzwłocznie zostawili go samego sobie.

Wiedzą, co robią, pomyślał żałośnie. Przetrzymanywanie człowieka w takiej izolacji było sprawdzonym sposobem na wywołanie w nim niepokoju.

Ich metoda działała. Mimo że Ziggy nie okazywał zewnętrznych symptomów zdenerwowania, czuł się napięty jak fortepianowy drut, wręcz drżał z obaw. Najdłuższe pięć minut w jego życiu dobiegło końca, kiedy dwóch policjantów wróciło i usiadło naprzeciwko niego.

Oczy Maclennana płonęły, gdy wwiercał się nimi w Ziggy'ego, a jego wąska twarz była ściągnięta od tłumionych emocji.

– Okłamywanie policji to poważna sprawa – powiedział bez żadnych wstępów szorstkim, oziębłym tonem. – Nie tylko jest to wykroczenie. To także sprawa, że musimy się zastanowić, co też dokładnie próbujesz ukryć. Miałeś czas, by się przespać ze swoimi myślami. Czy chcesz coś skorygować w swoim wcześniejszym oświadczeniu?

Zimny ładunek strachu skręcił się w piersi Ziggy'ego. Coś wiedzieli, to jasne. Ale co dokładnie? Nic nie odpowiedział, czekając, aż Maclennan wykona swój ruch.

Komisarz otworzył teczkę i wyciągnął kartę z odciskami palców, którą Ziggy podpisał poprzedniego dnia.

– Czy to twoje odciski?

Ziggy kiwnął głową. Wiedział już, na co się zanosilo.

– Czy możesz mi wyjaśnić, jakim cudem znalazły się one na kierownicy i dźwigni zmiany biegów land rovera zarejestrowanego jako własność pana Henry'ego Cavendisha, który to samochód znaleźliśmy dziś rano porzucony na parkingu jednego z zakładów przemysłowych przy Largo Road w St. Andrews?

Ziggy na moment zamknął oczy.

– Tak, mogę. – Urwał, próbując zebrać myśli. Przecwiczyl sobie tę rozmowę w łóżku po przebudzeniu, ale wszystkie argumenty, na które wpadł, opuściły go, gdy przyszło mu się zmierzyć ze zniechęcającą rzeczywistością.

– Czekam, panie Malkiewicz – ponaglił go Maclennan.

– Land rover należy do jednego z pozostałych dwóch studentów, którzy dzielą z nami dom. Pożyczyliśmy go tamtego wieczoru, żeby się dostać na imprezę.

– Pożyczyliście go? Chcesz powiedzieć, że pan Cavendish udzielił wam pozwolenia na jeżdżenie po mieście jego land roverem? – Komisarz naskoczył na Ziggy’ego, nie dając mu okazji do odzyskania kontroli nad sytuacją.

– Nie, nie do końca. – Chłopak odwrócił wzrok, nie mogąc znieść spojrzenia Maclennana. – Niech pan posłucha, wiem, że nie powinniśmy byli zabierać tego samochodu, ale to nie było nic wielkiego.

Gdy tylko te słowa wyleciały z jego ust, Ziggy wiedział, że popełnił błąd.

– To przestępstwo. I jestem pewien, że byliście tego świadomi. A zatem ukradliście land rovera i pojechaliście nim na imprezę. To nie wyjaśnia, dlaczego znalazł się na tym parkingu.

Oddech kołatał się Ziggy’emu w piersi jak złapana w pułapkę ćma.

– Przetawilem go tam dla bezpieczeństwa. Piliśmy i nie chciałem, żeby któregoś z nas kusilo, by potem jechać po alkoholu.

– Kiedy dokładnie go przestawiles?

– Dokładnie to nie wiem. Pewnie gdzieś między pierwszą a drugą w nocy.

– Do tego czasu sam musiales pewnie sporo wypić. – Maclennan był teraz w swoim żywiole. Wypchnął ramiona do przodu, gdy pochylił się ku Ziggy’emu, kontynuując przesłuchanie.

– Tak, zapewne przekroczyłem dozwoloną ilość. Ale...

– Kolejne przestępstwo. A zatem okłamałeś nas, mówiąc, że w ogóle nie opuszczałeś imprezy? – Oczy Maclennana przypominały chirurgiczne sondy.

– Nie było mnie tylko tyle czasu, ile zajęła mi jazda samochodem na parking i spacer z powrotem. Może ze dwadzieścia minut.

– Na to mamy jedynie twoje słowo. Rozmawialiśmy już z niektórymi osobami również obecnymi na tej imprezie i niewiele z nich pamięta, by cię tam widziało. Myślę, że zniknąłeś na o wiele dłuższy czas. Myślę, że po drodze natknąłeś się na Rosie Duff i zaproponowałeś jej podwózkę.

– Nie!

Maclennan nieubłaganie mówił dalej.

– Potem coś się stało, coś cię rozzłościło i ją zgwałciłeś. Wtedy zdałeś sobie sprawę, że jeśli pójdzie na policję, może zniszczyć ci życie. Spanikowałeś i zabiłeś ją. Wiedziałeś, że musisz porzucić gdzieś ciało, ale miałeś land rovera, więc to nie stanowiło wielkiego problemu. Potem doprowadziłeś się do porządku i wróciłeś na imprezę. Czy nie tak się to odbyło?

Ziggy pokręcił głową.

– Nie. Myli się pan. W ogóle jej nie spotkałem, nigdy jej nawet nie tknąłem. Po prostu pozbyłem się land rovera, zanim ktoś miał szansę spowodować wypadek.

– To, co spotkało Rosie Duff, to nie był żaden wypadek. I to ty jesteś za to odpowiedzialny.

Ogarnięty strachem Ziggy przeczesał dłońmi włosy.

– Nie. Musi mi pan uwierzyć. Nie miałem nic wspólnego z jej śmiercią.

– Dlaczego miałbym ci wierzyć?

– Bo mówię prawdę.

– Wcale nie. Opowiadasz mi nową wersję wydarzeń, która uwzględnia to, co według ciebie wiem. Nie sądzę, by ta wersja przypominała

nieokrojoną prawdę.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Ziggy zacisnął mocno szczęki, czując, jak napinają się mięśnie jego policzków.

Maclennan znów się odezwał, tym razem łagodniejszym tonem.

– Odkryjemy, co się stało. Wiesz o tym. Właśnie teraz zespół naszych biegłych sądowych sprawdza każdy centymetr tego land rovera. Jeśli znajdziemy choćby kroplę krwi, jeden włos z głowy Rosie Duff, jedno włókno z jej ubrań, minie bardzo długi czas, zanim znów prześpisz się we własnym łóżku. Możesz zaoszczędzić sobie i swojemu ojcu wiele bólu, jeśli po prostu wyznasz nam teraz wszystko.

Ziggy niemal wybuchnął śmiechem. Był to tak oczywisty zabieg, tak bardzo odsłonił lukę w rozumowaniu Maclennana.

– Nie mam panu nic więcej do powiedzenia.

– Jak sobie chcesz, synku. Aresztuję cię pod zarzutem kradzieży pojazdu samochodowego i jazdę nim bez zgody właściciela. Zapłacisz kaucję i za tydzień stawisz się do kontroli na komisariacie. – Maclennan odsunął krzesło. – Sugeruję, żeby znalazł pan sobie adwokata, panie Malkiewicz.

Potem nieuchronnie przyszła kolej na Weirda. Musi chodzić o land rovera, uznał, gdy siedzieli w ciszy w pokoju przesłuchań. No dobra. Przyzna się, poniesie odpowiedzialność. Nie zamierzał pozwolić, by jego przyjaciele zostali obarczeni winą za jego głupotę. Gliny nie wyślą go do więzienia za coś równie trywialnego. Wlepią mu grzywnę i jakoś da radę ją spłacić. Mógłby załatwić sobie dorywczą pracę. Matematykiem można zostać nawet z kartoteką.

Zgarbił się na krześle naprzeciwko Maclennana i Burnside'a. Z kącika ust zwisał mu papieros, gdy próbował sprawiać wrażenie nonszalancji.

– Jak mogę panom pomóc? – zapytał.

– Na początek mógłbyś powiedzieć prawdę – rzekł komisarz. – Przy poprzednich zeznaniach jakoś umknęło ci z pamięci, że jeździłeś po mieście skradzionym samochodem w czasie, kiedy podobno byłeś na imprezie.

Weird rozłożył ręce.

– Nakryliście mnie. To była tylko młodzieńcza zabawa, panie władzo. MacLennan grzmotnął dłońmi w stół.

– To nie jest jakaś gra! Mówimy o morderstwie, więc przestań się wydurniać.

– Ale to naprawdę była tylko zabawa. Wie pan, pogoda była do dupy. Chłopaki poszli już do Lammas, a ja kończyłem zmywać naczynia. Stałem w kuchni, wpatrując się przez okno w land rovera, i pomyślałem: dlaczego nie? Henry był już z powrotem w Anglii i nikt by się nie dowiedział, gdybym pożyczył jego auto na parę godzin. No i pojechałem nim do pubu. Pozostała trójka była na mnie wściekła, ale kiedy zobaczyli, jak strasznie sypie, nawet się trochę ucieszyli, więc pojechaliśmy nim na domówkę. Potem Ziggy ukrył auto, żebym nie zrobił z siebie kompletnego głąba. No i na tym się skończyło. – Wzruszył ramionami. – Słowo honoru. Nie wspomnieliśmy o tym wcześniej, bo nie chcieliśmy marnować pańskiego czasu na kwestię niezwiązaną ze śledztwem.

MacLennan spiorunował go wzrokiem.

– Och, ale przecież teraz marnujesz mój czas. – Otworzył teczkę. – Mamy tu zeznanie Helen Walker, którą namówiłeś na przejażdżkę land roverem. Twierdzi, że próbowałeś ją wtedy obmacywać. Jechałeś tak nieobliczalnie, że samochód wpadł w poślizg i stuknął w krawężnik. Dziewczyna wyskoczyła z auta i pobięła z powrotem na przyjęcie. Powiedziała, i tu cytuję: „Stracił nad sobą kontrolę”.

Przez twarz Weirda przebiegł nerwowy skurcz, przez co spadło mu na sweter trochę popiołu z papierosa.

– Głupiutka dziewczyna – powiedział głosem mniej pewnym, niż sugerowałyby jego słowa.

– Do jakiego stopnia straciłeś nad sobą kontrolę, synku?

Weird zdobył się na roztrzęsiony śmiech.

– Kolejne z pana podchwytliwych pytań. Dobra, może trochę mnie poniosło. Ale istnieje wielka różnica między odrobiną zabawy w pożyczonym wozie a zabiciem kogoś.

Komisarz spojrział na niego z pogardą.

– Tak według ciebie wygląda zabawa, co? Molestowanie kobiety i wystraszenie jej do tego stopnia, że bieg pośród zamieci śnieżnej w środku nocy jest lepszy niż siedzenie z tobą w samochodzie?

Weird odwrócił wzrok i westchnął.

– Musiałeś się nieźle wściec. Udało ci się zwabić dziewczynę do skradzionego land rovera, myślisz, że jej zaimponujesz i pozwoli ci na igraszki, ale zamiast tego ona ucieka. Co się dzieje potem? Widzisz w śniegu Rosie Duff i przychodzi ci do głowy, że teraz popróbujesz swoich czarów na niej? Tylko że ona nie chce z tobą iść, opiera ci się. Niemniej jednak udaje ci się ją obezwładnić. Wtedy tracisz panowanie nad sobą, bo wiesz, że może zniszczyć ci życie.

Weird zerwał się na równe nogi.

– Nie muszę tu siedzieć i tego wysłuchiwać. Pieprzy pan od rzeczy. Nic pan na mnie nie ma i dobrze pan o tym wie.

Burnside też już stał, blokując Weirdowi drogę do drzwi.

Maclennan odchylił się do tyłu na krześle.

– Nie tak szybko, synku – powiedział. – Jesteś aresztowany.

Mondo tak się kulił, że ramionami dotykał uszu, choć była to marna obrona przed tym, czego się spodziewał.

Maclennan rzucił mu przeciągłe, chłodne spojrzenie.

– Odciski palców – oznajmił. – Twoje odciski palców na kierownicy skradzionego land rovera. Chciałbyś to jakoś skomentować?

– Nie był skradziony. Tylko pożyczony. Skradziony jest wtedy, kiedy nie planuje się go oddać, prawda? – Mondo wydawał się nadąsany.

– Czekam – rzekł komisarz, ignorując tę odpowiedź.

– Dobra, już dobra, odwiozłem kogoś do domu.

Komisarz wychylił się do przodu jak ogar, który zwęszył zwierzynę.

– Kogo?

– Jedną laskę z imprezy. Musiała się dostać do Guardbridge, więc zaproponowałem, że ją tam zabiorę. – Mondo sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął kawałek papieru. Zapisał na nim dane dziewczyny, gdy czekał na policjantów, spodziewając się właśnie tego momentu. Dziwne, ale przez to, że nie wymówił jeszcze na głos jej imienia, wydawało się ono mniej prawdziwe, mniej ważne. Poza tym uznał, że jeśli odpowiednio to rozegra, może uda mu się jeszcze bardziej oczyścić z podejrzeń. Nieważne, że w ten sposób wkopie dziewczynę w gównianą przeprawę z rodzicami. – Proszę bardzo. Możecie ją zapytać. Potwierdzi moje słowa.

– O której to było?

Mondo wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może koło drugiej?

MacLennan spuścił wzrok na świstek i odczytał nazwisko oraz adres. Ani jedno, ani drugie nie brzmiało znajomo.

– Co się stało potem?

Mondo wykrzywił usta w znaczącym uśmiešku, w światowy sposób dzieląc się z pozostałymi mężczyznami w pokoju swoim triumfem.

– Zawiozłem ją do domu. Uprawialiśmy seks. Pożegnaliśmy się. Tak więc widzi pan, komisarzu, nie miałem powodu interesować się Rosie Duff, nawet gdybym ją spotkał po drodze. Co nie miało miejsca. Właśnie udało mi się zaliczyć. Byłem z siebie dość zadowolony.

– Mówisz, że uprawialiście seks. Gdzie dokładnie?

– Na tylnym siedzeniu land rovera.

– Użyłeś prezerwatywy?

– Nigdy nie wierzę kobietom, kiedy mówią, że biorą pigułki. A pan wierzy? Oczywiście, że użyłem prezerwatywy. – Mondo zaczął się rozluźniać. Wkroczyli na terytorium, które rozumiał, gdzie mężczyźni dogadywali się ze sobą potajemnie, bo tak samo podchodzili do życia.

– Co z nią potem zrobiłeś?

– Wyrzuciłem przez okno. Gdybym ją zostawił w samochodzie, tobym nas zdradził przed Henrym, czyż nie?

Mondo widział, jak MacLennan zastanawia się usilnie przed zadaniem kolejnego pytania, jaką strategię powinien przyjąć. Jego plan się powiódł. Przyznając się, zniszczył taktykę ich przesłuchania. Nie jeździł sfrustrowany po ulicach w zaspach śniegu, desperacko pragnąc seksu. Zatem jaki prawdopodobny motyw mógłby mieć, by zgwałcić i zabić Rosie Duff?

MacLennan uśmiechnął się posepnie, nie dołączając do koleżeńskigo kółka, które Mondo w zamierzeniu właśnie formował.

– Sprawdzimy twoją wersję, panie Kerr. Zobaczymy, czy ta młoda kobieta potwierdzi twoje zeznania. Bo jeśli tego nie zrobi, to nam bardzo zmieni obraz sytuacji, czyż nie?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

BARNEY MACLENNAN NIE CZUŁ wigilijnej atmosfery. Gdy w porze lunchu szedł po placek do piekarni, ogarnęło go wrażenie, że został wrzucony do wszechświata równoległego. Sklepowe witryny rozkwitały krzykliwymi bożonarodzeniowymi dekoracjami, lampki migotały w zapadającym zmierzchu, a na ulicach kłębiły się tłumy kupujących, którzy słaniali się na nogach pod ciężarem wybrzuszonych toreb pełnych nabytków. To wszystko wydawało mu się obce. Zmartwienia tych ludzi były inne od jego trosk. Oni mogli wyczekiwać czegoś więcej niż świąteczna kolacja zaprawiona smutnym smakiem porażki. Od morderstwa Rosie Duff minęło osiem dni, a komisarz wciąż nie miał w perspektywie żadnego aresztowania.

Był taki pewien, że odkrycie land rovera okaże się podstawą oskarżenia któregoś z czterech studentów, a może nawet kilku z nich. Zwłaszcza po przesłuchaniach w Kirkcaldy. Ich wersje wydarzeń wydawały się dość wiarygodne, ale w końcu półtora dnia to wystarczająco wiele czasu, żeby je dopracować w najdrobniejszych szczegółach. Wciąż miał też przecucie, że nie wyznali mu całej prawdy, choć trudno było dokładnie określić, w którym miejscu krył się fałsz. Nie uwierzył w ani jedno słowo Toma Mackiego, ale był sam ze sobą na tyle szczery, by przyznać, że mogło to mieć coś wspólnego z głęboką antypatią, jaką czuł wobec studenta matematyki.

Ziggy'ego Malkiewicza trudno było rozgryźć, to pewne. Gdyby to on okazał się zabójcą, Maclennan wiedział, że nic by nie wskórał bez

solidnych dowodów. Student medycyny nie zamierzał się ugiąć pod presją.

Uznał, że udowodnił nieprawdziwość historyjki Davey'ego Kerra, kiedy dziewczyna z Guardbridge zaprzeczyła, jakoby mieli uprawiać seks. Jednakże Janice Hogg, którą zabrał wtedy ze sobą z racji przyzwoitości, była przekonana, że dziewczyna skłamała, w niewłaściwy sposób próbując chronić swą reputację. Te podejrzania potwierdziły się, gdy wysłał tam posterunkową z powrotem, by przesłuchała małodatę sam na sam. Wtedy dziewczyna złamała się i przyznała, że pozwoliła Kerrowi na zbliżenie. Nie brzmiało to tak, jakby była chętna owo doświadczenie powtórzyć. Co, pomyślał Maclennan, było interesujące. Może Davey Kerr wcale nie był tak usatysfakcjonowany i w skowronkach po tym przygodnym seksie, jak próbował mu wmówić.

Alex Gilbey był potencjalnym kandydatem, choć nie znaleźli żadnego dowodu wskazującego na to, by prowadził land rovera. Jego odciski palców pokrywały całe wnętrze samochodu oprócz okolic siedzenia kierowcy. To jednak nie zwalniało go z podejrzeń. Jeśli to Gilbey zabił Rosie, pewnie poprosiłby swoich kolegów o pomoc, a oni by mu jej udzielili. Maclennan nie wyrobił sobie żadnego błędnego przeświadczenia na temat siły więzi łączącej tych chłopaków. Gdyby Gilbey umówił się z Rosie Duff i ich randka przybrałaby tragiczny obrót, komisarz był pewien, że Malkiewicz by się nie wahał i zrobiłby wszystko, co w jego mocy, by chronić przyjaciela. Czy Gilbey o tym wiedział, czy nie, Malkiewicz był w nim zakochany. Maclennan doszedł do tego wniosku, bazując wyłącznie na swoich przeczuciach.

W grę wchodził jednak nie tylko jego instynkt. Już miał wracać do St. Andrews po irytującej serii przesłuchań, gdy ktoś zawołał go znajomym głosem.

– Barney, cześć. Słyszałem, że zawitałeś do Kirkcaldy. – Powitanie poniosło się echem po przygnębiającym parkingu.

Maclennan obrócił się w miejscu.

– Robin? Czy to ty?

Szczupła postać w mundurze posterunkowego stanęła w kręgu światła. Robin Maclennan był o piętnaście lat młodszy od brata, ale podobieństwo między nimi było uderzające.

– Myślałeś, że możesz się tak wymknąć bez słowa?

– Powiedziano mi, że jesteś na patrolu.

Robin podszedł bliżej i uścisnęli sobie dłonie.

– Właśnie wróciłem na przekąskę. Tak mi się wydawało, że to ty, kiedy zajeżdżaliśmy na parking. Chodź, wypijmy razem kawę, zanim pojedziesz. – Wyszczrzył zęby i przyjacielsko stuknął brata pięścią w ramię. – Mam pewne informacje, które chyba docenisz.

Komisarz zmarszczył brwi, patrząc na brata, który już zdążył odwrócić się do niego plecami. Robin, nieodmiennie pewny działania swego uroku, zmierzał w stronę budynku i znajdującej się w nim stołówki, nie czekając na jego reakcję. Barney dogonił go tuż przy drzwiach.

– O jakich informacjach mowa? – zapytał.

– Ci studenci, których masz na oku w śledztwie o morderstwo Rosie Duff. Pomyślałem, że trochę poszperam, sprawdzę, jakie plotki chodzą po mieście.

– Robinie, nie powinieneś się w to mieszać. To nie twoja sprawa – zaprotestował Maclennan, podążając za nim przez korytarz.

– Takie morderstwo to sprawa każdego policjanta.

– Mimo wszystko. – Jeśli Barney miał zawieść w tym dochodzeniu, nie chciał, by jego błyskotliwy, charyzmatyczny brat został wrzucony razem z nim do jednego worka. Robin wiedział, jak zadowalać ludzi. Miał szansę wspiąć się wyżej niż on w policyjnej hierarchii i w pełni na to zasługiwał. – Żaden z nich i tak nie ma kartoteki. Już to sprawdziłem.

Robin odwrócił się do niego, gdy weszli do stołówki, i znów posłał mu uśmiech jasny jak stuwatowa żarówka.

– Zrozum, to mój teren. Potrafię sprawić, że ludzie powiedzą mi rzeczy, których za nic nie zdradziliby tobie.

Zaintrygowany komisarz podążył za bratem do cichego stolika w rogu i zaczekał cierpliwie, aż Robin przyniesie im kawę.

– No dobra, to czego się dowiedziałeś?

– Ci twoi chłopcy to nie są żadne niewiniątka. Kiedy mieli około trzynastu lat, zostali przyłapani na kradzieży w sklepie.

Maclennan wzruszył ramionami.

– A kto za dzieciaka nie kradł w sklepie?

– Ale tu nie chodziło wyłącznie o skubnięcie paru batonów albo paczki fajek. Oni odstawili coś, co można by nazwać Formułą Jeden Rabunków Sklepowych. Zdaje się, że podjudzali się nawzajem do kradzieży naprawdę trudnych do zdobycia towarów. Ot tak, dla zgrywu. Kradli głównie z małych sklepów. Nic, co byłoby im potrzebne albo co jakoś szczególnie chcieli mieć. Wszystko od sekatorów po perfumy. To Kerra złapano na gorącym uczynku z chińskim imbirowym słojem ze sklepu spożywczego z koncesją na alkohol. Pozostałą trójkę zgarnięto spod budynku, gdzie na niego czekali. Złamali się jak krzesło pod grubasem, gdy tylko znaleźli się na komendzie. Zaprowadzili policjantów do szopy w ogrodzie Gilbeya, gdzie chowali swoje łupy. Wszystko wciąż w oryginalnych opakowaniach. – Robin ze zdumieniem pokręcił głową. – Funkcjonariusz, który ich wtedy aresztował, powiedział, że szopa wyglądała jak Sezam z tej arabskiej baśni.

– Co się stało potem?

– Pociągnięto za sznurki. Ojciec Gilbeya jest dyrektorem szkoły, ojciec Mackiego gra w golfa z nadinspektorem. Chłopcy najedli się tylko trochę strachu i wywinęli jedynie z pouczeniem.

– Ciekawa sprawa. Mimo to daleko jej do napadu stulecia.

Robin przyznał mu rację skinieniem głowy.

– Ale słuchaj dalej, to nie wszystko. Parę lat później mieliśmy tu problem z serią chuligańskich wyskoków związanych z zaparkowanymi samochodami. Właściciele wracali i znajdowali graffiti wymalowane szminką od środka na przednich szybach. Wszystkie auta były porządnie zamknięte. Te wybryki skończyły się równie niespodziewanie, jak się zaczęły, mniej więcej wtedy, gdy znaleźliśmy pewien skradziony samochód doszczętnie spalony. Nigdy nie było przeciwko nim solidnych dowodów, ale nasz miejscowy człowiek od wywiadu policyjnego sądzi, że to była ich sprawka. Zdaje się, że mają smykałkę do robienia sobie jaj z ludzi.

MacLennan pokiwał głową.

– Muszę się z tym zgodzić.

Zaintrygowała go ta informacja o samochodach. Może land rover nie był jedynym pojazdem, który wyjechał tamtej nocy na drogę z któryś z jego podejrzanych za kółkiem.

Robin pałał chęcią, by dowiedzieć się więcej o śledztwie, ale komisarz starannie unikał tego tematu. Rozmowa zeszła na znajome tory – rodzina, piłka nożna, co kupić rodzicom na święta – zanim Barneyowi udało się w końcu pożegnać z bratem. Co prawda informacje od Robina nie wносиły wiele do sprawy, ale dzięki nim MacLennan poczuł, że w działaniach Laddies fi' Kirkcaldy był jakiś wzór, który trącił zamiłowaniem do podejmowania ryzyka. Przy tego rodzaju zachowaniach łatwo o utratę kontroli, a zwykły wybryk może się zmienić w coś o wiele bardziej niebezpiecznego.

Jednak bez względu na to, jak poważne miał przeczucia, były one bezwartościowe bez podparcia w postaci solidnych dowodów. A tych boleśnie mu brakowało. Land rover okazał się kryminalistycznym ślepym zaułkiem. Praktycznie rozebrali na kawałki całe wnętrze, ale nie znaleźli nic, co potwierdzałoby tezę, że Rosie Duff kiedykolwiek znalazła się w tym aucie. Podekscytowanie wybuchło i przepaliło się w zespole jak

bezpiecznik, gdy śledczy badający miejsce zbrodni odkryli ślady krwi, ale dokładniejsze oględziny wykazały, że krew nie tylko nie należała do Rosie, lecz także nie była nawet ludzka.

Jedyną nikłą iskierką nadziei na horyzoncie było odkrycie, którego dokonano zaledwie wczoraj. Pewien mieszkaniec z ulicy Trinity Place robił sezonowe porządki w ogrodzie i znalazł przemoczone zawiniątko wciśnięte w swój żywopłot. Pani Duff zidentyfikowała je jako własność Rosie. Teraz materiał został wysłany do laboratorium na testy, ale MacLennan wiedział, że mimo jego nalegań, by zbadano go jak najpilniej, nie dostanie żadnych wyników przed nowym rokiem. Kolejny punkt na liście jego frustracji.

Nie mógł się nawet zdecydować, czy przymknąć Mackiego, Kerra i Malkiewicza za kradzież pojazdu. Sumiennie spełnili warunki wyjścia za kaucją, a on już prawie nabrał pewności, że wysunie przeciwko nim oskarżenie, gdy przypadkiem podsłuchał pewną rozmowę w policyjnym klubie towarzyskim. Był zasłonięty przed wzrokiem konwersujących funkcjonariuszy przez tylną część swojego boksu, ale rozpoznał głosy Jimmy'ego Lawsona i Iaina Shaw. Shaw perorował, że powinni oskarżyć studentów o wszystko, co tylko mogli wymyślić. Jednak ku zdziwieniu MacLennana, Lawson się z nim nie zgodził.

– To nas tylko postawi w złym świetle – rzekł mundurowy. – Wyjdziemy na małoszkowych i mściwych. Równie dobrze moglibyśmy postawić billboard z napisem: „Hej, nie możemy ich oskarżyć o morderstwo, ale i tak zrobimy im z życia piekło”.

– A co w tym złego? – odparł Iain Shaw. – Jeśli są winni, powinni cierpieć.

– Ale może nie są winni – rzekł z naciskiem Lawson. – Naszym zadaniem jest troszczyć się o sprawiedliwość, tak? A w tym nie chodzi tylko o karanie winnych, lecz także o ochronę niewinnych. Tak, wiem, że

okłámali MacLennana w sprawie land rovera. To jednak nie znaczy, że są mordercami.

– Jeśli to nie był żaden z nich, to w takim razie kto? – Shaw zakwestionował jego wypowiedź.

– Ja wciąż uważam, że ta sprawa wiąże się z Hallow Hill. Z jakimś pogańskim rytuałem czy czymś takim. Wiesz równie dobrze jak ja, że każdego roku dostajemy raporty z Tentsmuir Forest o zwierzętach, które wyglądają jak ofiary jakichś rytualnych mordów. I zawsze je ignorujemy, bo w ogólnym rozrachunku nie mają większego znaczenia. Ale co, jeśli jakiś szajbus przez lata zbierał się w ten sposób do zabójstwa człowieka? W końcu to był mniej więcej czas Saturnaliów.

– Saturnaliów?

– Rzymianie świętowali przesilenie zimowe siedemnastego grudnia. Ale to było dość ruchome święto.

Shaw parsknął z niedowierzaniem.

– Chryste, Jimmy, widzę, że się doksztalcałeś.

– Poprzytałem tylko trochę w bibliotece. Wiesz, że chcę dołączyć do dochodzeniówki. Próbuję wykazać inicjatywę.

– Czyli myślisz, że to jakiś świrnięty satanista zabił Rosie?

– Nie wiem. To tylko teoria. Ale wyjdziemy na skończonych idiotów, jeśli zrzucimy winę na tych czterech studentów, a w Beltane znajdziemy kolejną rytualną ofiarę.

– Beltane? – zapytał słabo Shaw.

– Koniec kwietnia, początek maja. Ważne pogańskie święto. Dlatego myślę, że nie powinniśmy za bardzo nękać tych dzieciaków, dopóki nie znajdziemy jakichś obciążających dowodów przeciwko nim. W końcu gdyby nie natknęli się na ciało Rosie, odstawiłiby land rovera na miejsce i nikt by nawet nie wiedział, że zniknął na jakiś czas. Nic by się nie stało. Po prostu mieli pecha.

Potem policjanci dopili piwo i poszli. Jednak słowa Lawsona utknęły Maclennanowi w głowie. Był sprawiedliwym człowiekiem i musiał przyznać, że posterunkowy miał rację. Gdyby od początku znali tożsamość tajemniczego mężczyzny, z którym spotykała się Rosie, nawet nie spojrzeliby ponownie na kwartet z Kirkcaldy. Może ścigał tych studentów z taką zapalczywością, bo po prostu nie miał żadnego innego tropu, na którym mógłby się skupić? Mimo zawstydzenia faktem, że zwykły posterunkowy musiał mu przypomnieć o jego obowiązkach, Maclennan wziął sobie do serca jego słowa i uznał, że wstrzyma się z oskarżeniem Malkiewicza i Mackiego.

Przynajmniej na razie.

W międzyczasie wybada nieco grunt w pewnej kwestii. Sprawdzi, czy ktoś wie cokolwiek o satanistycznych rytuałach w tej okolicy. Problem w tym, że nie miał pojęcia, gdzie zacząć. Może każe Burnside'owi zamienić słowo z paroma miejscowymi pastorami. Uśmiechnął się ponuro. To na pewno odwróci ich uwagę od dzieciątka Jezus.

Weird pomachał na do widzenia Alexowi i Mondowi, gdy skończyli zmianę w supermarkecie, po czym skierował się w stronę promenady. Zgarbił ramiona dla ochrony przed przenikliwym wiatrem, chowając brodę głęboko w zwojach szalika. Miał dziś w planie uporać się z resztą świątecznych zakupów, ale potrzebował trochę czasu dla siebie, zanim będzie gotów się zmierzyć z bezwzględnie radosną bożonarodzeniową aurą High Street.

Trwał odpływ, więc zszedł po oślizgłych stopniach z bulwaru na plażę. Wilgotny piasek w matowym, szarawym świetle popołudnia miał kolor starego kitu do okien i nieprzyjemnie zasysał stopy podczas marszu. Tego rodzaju spacer idealnie pasował do nastroju Weirda. Chłopak nie potrafił sobie przypomnieć, by kiedykolwiek był równie zdołowany swoim życiem.

Atmosfera w domu była jeszcze bardziej konfliktowa niż zazwyczaj. Musiał opowiedzieć ojcu o aresztowaniu, a to oświadczenie sprowokowało niekończącą się tyradę pełną krytycyzmu i przytyków o tym, jaką był porażką i jak nie spełniał podstawowych wymagań bycia dobrym synem. Musiał się spowiadać z każdej minuty spędzonej poza domem, jakby znowu miał raptem kilka lat. Najgorsze było to, że Weird nie mógł nawet zareagować na te awantury z wyższością, bo wiedział, że zrobił źle. Czuł niemal, że zasłużył sobie na pogardę ojca, a to było w tym wszystkim najbardziej przygnębiające. Wcześniej zawsze mógł się pocieszać myślą, że jego poglądy na świat były lepsze od poglądów Franka Mackiego. Ale tym razem przekroczył granicę.

Praca wcale nie pomagała. Nudna, powtarzalna i pozbawiona godności. Kiedyś pewnie zmieniłby ją w jeden wielki żart, potraktował jako okazję do siania zamętu i płatania figli. Osoba, która rozkoszowałaby się szansą na denerwowanie przełożonych i namówiła Alexa oraz Monda do pomocy w swych szelmostwach, teraz wydawała się Weirdowi straszliwie obca. Śmierć Rosie Duff i jego udział w całej sprawie zmusiły go do przyjęcia do wiadomości, że naprawdę był próżniakiem, za którego zawsze uważał go ojciec. Nie był to przyjemny wniosek.

Nie mógł również szukać pocieszenia u swoich przyjaciół. Tym razem przebywanie w ich towarzystwie nie dawało mu poczucia, że ma na kogo liczyć. Sprawiało za to, że przypominały mu się wszystkie jego wady. Przy kumplach – mimo że nigdy nie robili mu wyrzutów z tego powodu – nie mógł uciec od poczucia winy, bo to właśnie ich swoimi czynami uwikłał w wielki problem.

Nie miał pojęcia, jak da radę zmierzyć się z następnym semestrem na uczelni. Śliski morszczyzn wpłynął mu pod nogi, gdy Weird dotarł do końca plaży i zaczął wspinać się po szerokich stopniach ku Port Brae. Całe jego wnętrze zdawało się śluzowate i niestałe jak wodorosty.

Gdy blask słońca gasł już na zachodzie, Weird odwrócił się w stronę sklepów. Czas znów poudawać, że jest częścią świata.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

*31 grudnia 1978 roku
Kirkcaldy, Szkocja*

GDY LADDIES FI' KIRKCALDY mieli po piętnaście lat, a ich rodzice po raz pierwszy dali się przekonać, że można im pozwolić na samodzielne wyjście w noc sylwestrową, zawarli pakt. O północy spotykali się na miejskim rynku, by razem powitać nowy rok. Jak na razie każdego roku dotrzymywali słowa, stali tam i poszturchiwali się nawzajem, podczas gdy wskazówki ratuszowego zegara pełzły po tarczy w stronę dwunastki. Ziggy przynosił swoje radio tranzystorowe, by mieć pewność, że usłyszą dzwony, i podawali sobie w koło wszelkie napoje wyskokowe, które udało im się zdobyć na tę okoliczność. Za pierwszym razem świętowali z butelką słodkiej sherry i czterema puszkami carlsberga special. Obecnie z większą klasą dzielili flaszkę famous grouse.

Na rynku nie odbywały się oficjalne uroczystości, ale w ciągu ostatnich lat grupki młodych ludzi zaczęły gromadzić się tam w tym celu. Miejsce nie wprawiało w zachwyt, głównie dlatego, że ratusz wyglądał jak jeden z mniej urzekających produktów sowieckiej architektury, a jego wieża zegarowa pozieleniała od patyny. Rynek był jednak jedyną otwartą przestrzenią w centrum miasta, jeśli nie liczyć dworca autobusowego, który był jeszcze mniej urokliwy. Plac chlubił się też choinką i bożonarodzeniowymi lampkami, przez co stwarzał nieznacznie bardziej świąteczną atmosferę niż dworzec.

W tym roku Alex i Ziggy zjawili się tam razem. Ziggy wpadł po przyjaciela do domu i poczarował Mary Gilbey, aż ta dała im obu kapkę

szkockiej, by nie zmarzli po drodze. Z kieszeniami pełnymi maślanych ciastek domowej roboty, szkockiego keksu, którego nikt nie tknie, i babki z rodzynkami ruszyli w stronę rynku. Minęli dworzec oraz bibliotekę, potem Adam Smith Centre obwieszane plakatami reklamującymi *Babes in the Wood* – w rolach głównych Russel Hunter i bracia Patton – i Memorial Gardens. Rozmowę zaczęli od spekulacji, czy Weird zdoła przekonać ojca, by ten spuścił go ze smyczy na Hogmanay³.

– Ostatnio strasznie dziwnie się zachowuje – zauważył Alex.

– Gilly, on zawsze się dziwnie zachowywał. Dlatego właśnie mówimy na niego Weird.

– Wiem, ale teraz jest inaczej. Zauważyłem to, bo pracuję z nim ramię w ramię. Zrobił się taki przygaszony. Prawie wcale się nie odzywa.

– To pewnie ma coś wspólnego z jego obecnym brakiem dostępu do alkoholu i innych używek – rzucił cierpko Ziggy.

– Ale widzisz, on nawet nie zrzędzi. Przez to właśnie nabrałem pewności, że coś jest nie tak. Przecież znasz Weirda. Jak tylko pomyśli, że ktoś robi sobie z niego jaja, wybucha. A teraz się nie wychyla, nie wyklóca się, kiedy szefowie coś krytykują. Stoi tylko i słucha, a potem robi to, czego sobie zażyczą. Myślisz, że tak się przejął tym, co się stało z Rosie?

Ziggy wzruszył ramionami.

– Możliwe. Tamtej nocy w zasadzie to zbagatelizował, ale z drugiej strony był wtedy ostro naćpany. Szczerze mówiąc, prawie wcale z nim nie rozmawiałem od tamtego dnia, kiedy Maclennan tu przyjechał.

– Ja go widuję wyłącznie w pracy. Zmywa się, gdy tylko wybija koniec naszej zmiany. Nie chce nawet iść na kawę ze mną i z Mondem.

Ziggy skrzywił się.

– Jestem zaskoczony, że Mondo ma w ogóle czas na kawę.

– Nie bądź dla niego zbyt surowy. W ten sposób radzi sobie z całą sytuacją. Kiedy bzyka jakąś laskę, na pewno nie myśli o morderstwie.

I dlatego pewnie próbuje ustanowić rekord w zaliczaniu wszystkich chętnych – rzekł Alex, szczerząc zęby.

Przeszli przez jezdnię i ruszyli Wemyssfield, krótką uliczką prowadzącą na rynek. Szli pewnym krokiem mężczyzn będących na swoim terytorium, w miejscu tak znajomym, że prawie czuli się jego właścicielami. Była za dziesięć dwunasta, gdy potruczali w dół po szerokich, niskich schodach wiodących na wybrukowany plac przed ratuszem. Zgromadziło się tam już kilka grup ludzi podających sobie butelki z rąk do rąk. Alex rozejrzał się w poszukiwaniu reszty ich paczki.

– Tam, od strony poczty. – Ziggy wypatrzył znajomych. – Mondo przyprowadził swoją najświeższą zdobycz. O, jest też Lynn. – Wskazał na lewo, po czym do nich dołączyli.

Gdy wszyscy się już przywitali i doszli do ogólnego wniosku, że Weird, zdaje się, jednak nie przyjdzie, Alex znalazł się koło Lynn. Dorasta, pomyślał. Już nie jest dzieckiem. Z elfimi rysami twarzy i ciemnymi lokami wyglądała jak kobieca wersja Monda. Paradoksalnie jednak te cechy, które sprawiały, że Mondo wydawał się słabeuszem, wywoływały u Lynn całkiem przeciwny efekt. Nie było w niej żadnej kruchości.

– Jak leci? – zapytał. Kiepska odzywka, ale nie chciał, by ktokolwiek pomyślał, że podrywa piętnastolatki.

– Świetnie. Miałeś udane święta?

– Całkiem niezłe. – Zmarszczył czoło. – Ale trudno było nie myśleć o... no, sama wiesz.

– Wiem. Też nie mogłam przestać o niej myśleć. Ciągle się zastanawiałam, jak to znosi jej rodzina. Pewnie zdążyli już kupić dla niej prezenty, zanim umarła. Co za okropne przypomnienie, tak mieć je w domu.

– Myślę, że w zasadzie wszystko musi być dla nich okropnym przypomnieniem. Wiesz co, porozmawiajmy o czymś innym. Jak ci idzie w szkole?

Lynn zrzędała mina. Alex zdał sobie sprawę, że nie chciała, by jej przypominano o różnicy wieku między nimi.

– Dobrze. W tym roku dostałam mój certyfikat podstawowy. Teraz pora na zaawansowany. Nie mogę się doczekać, kiedy będę go miała z głowy i zacznę prawdziwe życie.

– Masz już jakieś plany? – zapytał Alex.

– Edinburgh College of Art. Będę studiować sztuki piękne, dostanę dyplom, a potem pojedę do Courtauld w Londynie i zdobędę wykształcenie w restaurowaniu obrazów.

Jej pewność siebie jest piękna, pomyślał Alex. Czy on był kiedykolwiek równie przekonany o swojej wartości? W zasadzie popłynął z prądem na historię sztuki, bo nigdy do końca nie wierzył w swój talent praktyczny. Gwizdnął cichutko.

– Siedem lat studiów? To spore zobowiązanie.

– To właśnie chcę robić i tak mogę to osiągnąć.

– Skąd to pragnienie, żeby odrestaurowywać obrazy? – Alex był szczerze zaciekawiony.

– Fascynuje mnie ta dziedzina. Najpierw prowadzisz badania, potem wykorzystujesz naukę, a potem... skok w nieznaną, gdzie musisz dostosować się do tego, co artysta naprawdę chciał pokazać. To ekscytujące.

Zanim zdążył odpowiedzieć, pozostali zaczęli wznosić okrzyki.

– A jednak przyszedł!

Alex odwrócił się i zobaczył sylwetkę Weirda na tle szarego budynku Sądu Okręgowego wzniesionego w szkockim stylu magnackim. Ich przyjaciel wymachiwał rękoma jak rozczłonkowany strach na wróble. Biegając w ich stronę, krzyknął radośnie. Alex spojrział na zegar. Do północy została zaledwie minuta.

Wtedy Weird skoczył na nich, by wszystkich uściskać, szczerząc zęby.

– Pomyślałem, że to przecież głupota. Jestem dorosłym facetem, a mój stary próbuje mnie powstrzymać przed spotkaniem z przyjaciółmi

w Hogmanay. Co to ma być? – Pokręcił głową. – Jeśli wyrzuci mnie z domu, zawsze mogę przekimać u ciebie, co nie, Alex?

Alex szturchnął go w ramię.

– Czemu nie? Zdażyłem się już przyzwyczaić do twojego wstrętnego chrapania.

– Hej, cicho już! – przekrzyczał ogólny harmider Ziggy. – Słysząc dzwony.

Wszyscy zamilkli, usiłując dosłyszeć metaliczne dźwięki Big Bena z radia Ziggy’ego. Gdy rozległo się bicie dzwonów, Laddies fi’ Kirkcaldy spojrzeli na siebie. Unieśli ramiona, jakby były poruszane jednym sznurkiem, i złączyli dłonie, gdy o północy wybrzmiał ostatni bom.

– Szczęśliwego nowego roku! – zawołali chórem. Alex widział, że jego przyjaciół emocje ścisnęły w gardle tak samo jak jego.

Potem oderwali się od siebie i chwila minęła. Odwrócił się do Lynn i pocałował ją niewinnie w usta.

– Szczęśliwego nowego roku – powiedział.

– Myślę, że taki będzie – odparła, rumieniąc się lekko.

Ziggy otworzył butelkę Grouse i puścił ją w obieg. Pozostałe grupki na placu już się rozpadały, ludzie zaczęli mieszać się ze sobą, życząc nieznanym wszystkim najlepszego na nowy rok, z oddechem pachnącym whisky i obfitością uścisków. Parę osób, które znały ich ze szkoły, wspomniało współczująco o tym, jakiego mieli pecha, że przypadkiem znaleźli w śniegu umierającą dziewczynę. W ich słowach nie było złośliwości, ale Alex poznał po oczach przyjaciół, że było to dla nich równie nieznośne jak dla niego. Kilka dziewczyn zaczęło spontanicznie tańczyć ósemkowego reela przy choince. Alex rozejrzał się dookoła, niezdolny wyrazić uczuć wzbierających mu w piersi.

Lynn ukradkiem ujęła jego dłoń.

– O czym myślisz?

Spojrzał na nią i zmusił się do uśmiechu, z którego wyzierało zmęczenie.

– Myślałem właśnie, jakie wszystko byłoby proste, gdyby czas się teraz zatrzymał. Gdybym już nigdy w życiu nie musiał wracać do St. Andrews.

– Nie będzie tak źle, jak ci się wydaje. Poza tym zostało ci już tylko sześć miesięcy, a potem będziesz wolny.

– Mógłbym przyjeżdżać tu w weekendy. – Słowa wytoczyły się z jego ust, zanim Alex w ogóle się zorientował, że chciał je powiedzieć. Oboje wiedzieli, co miał przez to na myśli.

– Podoba mi się ten pomysł – odparła Lynn. – Ale nic o tym nie wspomnimy mojemu paskudnemu bratu.

Kolejny nowy rok, kolejny pakt.

W policyjnym klubie towarzyskim w St. Andrews alkohol lał się strumieniami już od jakiegoś czasu. Bicie dzwonów prawie utonęło w hałaśliwej jowialności noworocznych tańców. Porywczość ludzi, dla których bolesne ograniczenia stanowiły nieodłączny element pracy, hamowała jedynie obecność żon, narzeczonych i wszystkich kobiet, które zostały podstępem wmanewrowane w udział w tej imprezie, by ratować twarze tych, którzy wciąż nie znaleźli drugiej połówki.

Czerwony z wysiłku Jimmy Lawson znajdował się między dwiema paniami w średnim wieku, które organizowały właśnie grupy do tańca *Dashing White Sergeant*. Śliczna recepcjonistka z gabinetu dentystycznego, z którą tu przyszedł, uciekła do łazienki, zmęczona jego najwyraźniej bezgranicznym entuzjazmem wobec szkockich tańców ludowych. Nie dbał o to. W Hogmanay zawsze znajdowało się mnóstwo kobiet chętnych do wywijania na parkiecie, a Lawson lubił wyładowywać się w ten sposób. Rekompensowało mu to intensywność, z jaką wykonywał swoją pracę.

Barney MacLennan oparł się o bar, po bokach mając Iaina Shaw i Allana Burnside'a, obu trzymających po okazałej whisky.

– O Boże, spójrzcie na nich – jęknął. – Skoro zaraz nadejdzie *Dashing White Sergeant*, na pewno niedługo potem zagrają *Strip the Willow*.

– W takie dni jak ten dobrze jest być samotnym – orzekł Burnside. – Nikt cię nie odciąga od szklaneczki i nie wlecze na parkiet.

MacLennan nie skomentował opinii podwładnego. Stracił już rachubę, ile razy próbował przekonać samego siebie, że lepiej mu jest bez Elaine. Nigdy nie zdołał przeciągać tego udawania dłużej niż przez parę godzin. Wciąż byli razem w ostatnie Hogmanay, chociaż ich małżeństwo wisiało już wtedy na włosku. Trzymali się siebie z widocznie mniejszym zapałem niż grupy tancerzy wirujących w kołach na parkiecie. Zaledwie parę tygodni później powiedziała mu, że odchodzi. Zmęczyło ją, że praca zawsze była dla niego na pierwszym miejscu.

W przebłysku ironii MacLennan przypomniał sobie jedną z jej tyrad: „Nie przeszkadzałoby mi to tak bardzo, gdybyś rozwiązywał ważne sprawy, takie jak gwałty i morderstwa. Ale ty marnujesz cały czas dany ci przez Boga na jakieś liche włamania i kradzieże samochodów. Jak myślisz, jak ja się czuję, będąc w cieniu austina maxi jakiegoś zgreda w średnim wieku?”. Cóż, jej życzenie się spełniło. Oto siedział tu rok później, uwikłany w największą sprawę w swojej karierze. A udawało mu się jedynie kręcić w kółko.

Każdy potencjalny trop, który badali, okazywał się ślepą uliczką. Nie znaleźli żadnego świadka, który widziałby Rosie z jakimś mężczyzną od początku listopada. Tajemniczy typ miał szczęście, że panowała sroga zima i ludzie byli bardziej zainteresowani płytami chodnikowymi przed sobą niż zwracaniem uwagi na to, kto przestawał z kimś, z kim nie powinien. On miał szczęście; dla policji był to pech. Wyśledzili dwóch wcześniejszych chłopaków Rosie. Jeden z nich zostawił ją dla dziewczyny, z którą spotykał się do tej pory. Nie miał na pieńku z martwą barmanką.

Drugiego Rosie rzuciła na początku listopada i na pierwszy rzut oka wydawał się to obiecujący trop. Chłopak najwyraźniej nie chciał przyjąć końca związku do wiadomości i pojawił się parę razy w barze, gdzie sprawiał kłopoty. Miał jednak niepodważalne alibi na czas morderstwa. Do północy był na bożonarodzeniowej imprezie w swoim biurze, a potem poszedł do domu z sekretarką szefa i spędził z nią resztę nocy. Przyznał, że gdy Rosie z nim zerwała, żywił do niej pewną urazę, ale szczerze mówiąc, o wiele lepiej bawi się z kobietą, z którą spotyka się teraz, bo ona hojniej go obdarza seksualnymi przysługami.

Gdy MacLennan przycisnął go, by wytłumaczyć, co przez to rozumie, uaktywniła się jego męska duma i nie chciał powiedzieć nic więcej. Pod presją wyznał jednak, że on i Rosie nigdy nie uprawiali ze sobą seksu. Dużo ze sobą baraszkowali, Rosie nie była jakąś cnotką, ale po prostu nie chciała iść na całość. Chłopak wymamrotał coś o obciążaniu i robieniu dobrze ręką, ale dodał, że na tym się kończyło.

A zatem Brian miał w pewnym sensie rację, mówiąc, że jego siostra była dobrą dziewczyną. MacLennan pojmował, że w hierarchii tych spraw Rosie plasowała się daleko od pozycji dziewczyny, z którą można się nieźle zabawić. Ale wiedza o jej seksualnych skłonnościach nie zbliżyła go ani trochę do znalezienia jej zabójcy. W głębi serca wiedział, że mężczyzna, z którym się spotkała tamtej nocy, był tym samym mężczyzną, który wziął od niej to, czego chciał, po czym odebrał jej życie. Może był to Alex Gilbey albo jeden z jego przyjaciół, a może nie.

Jego koledzy po fachu próbowali go przekonać, że mógł istnieć dobry powód, dla którego tajemniczy adorator Rosie się do nich nie zgłosił.

– Może jest żonaty – stwierdził Burnside.

– Może się boi, że go wrobimy w to morderstwo – dodał cynicznie Shaw.

MacLennan uznał, że te wyjaśnienia brzmiały sensownie. Nie zdołały jednak zachwiać jego osobistym przekonaniem. Odrzucił też teorie

Jimmy'ego Lawsona o satanistycznych rytuałach. Żadnego z pastorów, z którymi skontaktował się Burnside, nie doszły słuchy, nawet cichutkie, o podobnych sprawach dziejących się w okolicy. Maclennan zaś wierzył, że jeśli ktoś miałby mieć takie informacje, to najpewniej oni. W pewnym sensie poczuł ulgę; niepotrzebne mu były żadne mylne tropy tego typu. Był przekonany, że Rosie znała swojego zabójcę i bez oporów poszła z nim w noc. Tak jak zrobią to tego wieczoru tysiące innych kobiet w całym kraju. Komisarz żywił żarliwą nadzieję, że wszystkie wrócą bezpiecznie do swoich łóżek.

Pięć kilometrów dalej, w Strathkinness, nowy rok zawitał do pewnego domu w całkiem innej atmosferze. Nie było w nim świątecznych dekoracji. Sarta zlekceważonych kartek leżała porzucona na półce. Telewizor, który zwykle pierwszego stycznia był ustawiony na pierwszy lepszy kanał, stał w kącie czarny i milczący. Eileen i Archie Duff siedzieli skuleni w fotelach, pod ręką mając nietknięte szklanki z whisky. Przytłaczający bezruch był wyrazem ciężaru rozpacz i dojmującego smutku. Duffowie w głębi duszy wiedzieli, że nigdy już nie będą mieli szczęśliwego nowego roku. Ten radosny czas został na zawsze skażony śmiercią ich córki. Inni świętowali; oni mogli tylko opłakiwać zmarłą.

Brian i Colin ulokowali się w kuchni, zgarbieni na dwóch plastikowych krzesłach. W przeciwieństwie do rodziców nie mieli problemu z zapijaniem nowego roku. Od śmierci Rosie łatwo im przychodziło lanie sobie alkoholu do gardeł tak długo, aż nie mogli już trafić szklanką do ust. W reakcji na tragedię nie wycofali się w głąb siebie, tylko zaczęli emanować swoim charakterem wyjątkowo agresywnie. Właściciele pubów w St. Andrews musieli z rezygnacją zaakceptować pijackie wysoki braci Duffów. Nie mieli w zasadzie wyboru, jeśli chcieli uniknąć mierzenia się z wściekłością swej buńczucznej klienteli, w opinii

której Colinowi i Brianowi należało się niczym nieograniczone współczucie.

Dziś wieczorem butelka bell's została już opróżniona w ponad połowie. Colin popatrzył na zegarek.

– Przegapiliśmy północ – zauważył.

Brian spojrział na niego mętnym wzrokiem.

– No i co z tego? Rosie ominie sylwester każdego roku.

– No tak. Ale gdzieś tam ten typ, który ją zabił, pewnie wznosi teraz toast za to, że udało mu się uniknąć sprawiedliwości.

– Oni to zrobili. Jestem tego pewien. Widziałeś to zdjęcie? Widziałeś kiedyś kogoś, kto miałby większą winę wypisaną na mordzie?

Colin wychylił swoją whisky do dna i sięgnął po butelkę, kiwając głową na znak, że zgadza się z bratem.

– Nikogo innego nie było w pobliżu. A oni mówili, że Rosie wciąż żyła. No więc jeśli to nie oni, to gdzie niby zniknął morderca? Przecież nie rozpułynał się w powietrzu.

– Powinniśmy zrobić noworoczne postanowienie.

– Niby jakie? Chyba nie zamierzasz znowu przestać palić, co?

– Mówię serio. Powinniśmy złożyć uroczystą obietnicę. Przynajmniej tyle możemy zrobić dla Rosie.

– O czym ty mówisz? Jaką uroczystą obietnicę?

– To w sumie dość proste, Col. – Brian dolał sobie whisky do szklanki i podniósł ją wyczekująco. – Jeśli gliny nie zdołają zmusić nikogo do przyznania się do winy, my to zrobimy.

Colin zastanawiał się przez chwilę nad tą propozycją. Potem uniósł swoją szklankę i stuknął nią z brzękiem o szklankę brata.

– Jeśli gliny nie zdobędą wyznania, my to zrobimy.

³ Szkocki sylwester.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

NA SKALISTYM CYPLU między dwiema piaszczystymi zatokami, z którego roztacza się majestatyczny widok na ujście rzeki Forth oraz na drogi dostępu na sam przylądek, stoją dość znaczne pozostałości zamku Ravenscraig. Od strony wschodniej długi, kamienny mur zapewniał kiedyś ochronę przed morskimi falami i grasującymi rabusiami, gdyby się jacyś trafili. Mur ten biegnie hen daleko, aż do przystani w Dysart, teraz w dużej mierze zamulonej, lecz niegdyś cieszącej się mianem dobrze prosperującego i kwitnącego portu. W górnej części zatoki, która łukiem okala zamek, za gołębnikiem, wciąż zamieszkanym przez gołębie i morskie ptaki, tam gdzie mur kończy się, przybierając kształt litery „V”, znajduje się mała strażnica ze stromym, skośnym dachem i wąskimi otworami dla łuczników wykutymi w ścianach.

Od czasu, gdy dopiero wkraczali w wiek nastoletni, Laddies fi' Kirkcaldy uznawali to miejsce za swoje osobiste królestwo. Jednym z najlepszych sposobów na pozbycie się nadzoru dorosłych niezmiennie było chodzenie na spacer. Czynność ta była postrzegana jako zdrowa i stwarzała małe prawdopodobieństwo, że przez nią chłopcy zejną na „złą drogę”. Kiedy więc obiecywali, że znikną na cały dzień, by odkrywać wybrzeże i lasy, zawsze byli hojnie obdarowywani prowiantem.

Czasami szli w przeciwnym kierunku, wzdłuż Inveriel i dalej. Mijali szkaradny szyb kopalni Seafiel, zmierzając ku Kinghorn. Głównie jednak przychodzili pod zamek Ravenscraig, a jednym z powodów był z pewnością fakt, że niedaleko, w pobliskim parku, stała furgonetka z lodami. W gorące dni kładli się na trawie i oddawali dzikim fantazjom

o tym, jak będzie wyglądało ich życie zarówno w bliskiej, jak i dalekiej przyszłości. Opowiadali sobie historie z czasów szkolnych, ubarwiając je i przekształcając w scenariusze, które mogłyby się wydarzyć. Grali w karty, niekończące się rundy blackjacka na zapalki. Tu wypalili swojego pierwszego papierosa. Ziggy pozieleniał wtedy na twarzy i rzygał haniebnie w krzak janowca.

Czasami wspinali się na wysoki mur i obserwowali żeglugę w delcie. Wiatr chłodził ich i wywoływał wrażenie, jakby stali na dziobie okrętu, skrzypiącego wśród pluszczących fal pod nimi. A gdy padało, chronili się w strażnicy. Ziggy miał wodoodporną matę, którą mogli rozścielić na błocie. Nawet teraz, gdy uznawali się już za dorosłych, wciąż lubili schodzić po kamiennych stopniach wiodących z zamku na plażę i meandrując między resztkami węgla oraz muszlami, zmierzać do strażnicy.

Dzień przed powrotem do St. Andrews spotkali się w barze Harbour na piwo w porze lunchu. Nadziani po sezonowej pracy, Alex, Mondo i Weird chętnie zostaliby tam na dłuższą popijawę, ale Ziggy wyperswadował im to i wyszli na dwór. Dzień był rześki i bezchmurny, słońce wyglądało wodniście na tle bladobłękitnego nieba. Przemierzyli przystań, poszli na skróty między dwoma wysokimi silosami śrutownika, po czym wyszli na zachodnią plażę. Weird został trochę z tyłu za pozostałą trójką; oczy miał utkwione w odległym horyzoncie, jakby szukał inspiracji.

Gdy zbliżyli się do zamku, Alex odłączył się od grupy i wgramolił na skalną wychodnię, która w czasie przyływu zanurzała się niemal w całości pod wodą.

– Powiedzcie mi jeszcze raz, ile za to dostał?

Mondo nie musiał się nawet zastanawiać.

– Magister David Boys, mistrz kamieniarski, otrzymał z rozkazu królowej Marii z Geldrii, wdowy po Jakubie II, królu Szkocji, sumę

sześciuset funtów szkockich na wybudowanie zamku Ravenscraig. Zważ, że musiał wysupłać z tej kwoty pieniądze na materiały.

– A te nie były tanie. W tysiąc czterysta sześćdziesiątym pierwszym roku czternaście legarów drewnianych spławiono, po zrzuceniu ich z brzegów rzeki Allan, i przetransportowano do Stirling za opłatą wynoszącą siedem szylingów. Zaś jegomość znany jako Andrew Balfour otrzymał potem kwotę dwóch funtów i dziesięciu szylingów za cięcie, heblowanie i przewiezienie tych legarów do Ravenscraig – wyrecytował Ziggy.

– Cieszę się, że ja zdecydowałem się jednak na pracę w Safeway – zażartował Alex. – O wiele lepiej płacą. – Odchylił się do tyłu i spojrzał na stojący na klifie zamek. – Uważam, że klan Sinclairów dokończył budowę ładniej, niżby się to stało, gdyby królowa Maria nie kopnęła w kalendarz przed jej ukończeniem.

– Zamków nie buduje się po to, żeby były ładne – dołączył do rozmowy Weird. – Mają służyć za schronienie i spełniać funkcję militarną.

– Jakież to utylitarne – poskarżył się Alex, zeskakując na piasek. Inni podążyli za nim, szurając butami w śmieciach leżących na plaży wzdłuż górnej granicy przypląwu.

Gdy przeszli połowę plaży, Weird odezwał się tak poważnie, jak jeszcze nigdy wcześniej.

– Muszę wam coś powiedzieć.

Alex odwrócił się do niego i szedł dalej tyłem. Pozostała dwójka również spojrzała na Weirda.

– Brzmi złowieszczo – rzekł Mondo.

– Wiem, że wam się to nie spodoba, ale wierzę, że uszanujecie moją decyzję.

Alex dostrzegł, jak w oczach Ziggy'ego błysnęła czujność. Nie sądził jednak, by jego przyjaciel musiał się martwić. Cokolwiek Weird zamierzał

im powiedzieć, narodziło się to z jego egocentryzmu, nie z potrzeby ujawnienia cudzych sekretów.

– No to dawaj. Co to za sprawa? – powiedział Alex, starając się brzmieć zachęcająco.

Weird wcisnął ręce do kieszeni dżinsów.

– Zostałem chrześcijaninem – wydusił opryskliwie.

Alex zagapił się na niego z otwartymi ustami. Uznał, że byłby tylko odrobinę mniej zdziwiony, gdyby Weird obwieścił, że zabił Rosie Duff.

Ziggy ryknął śmiechem.

– Jezu, Weird, myślałem, że zamierzasz nam objawić coś strasznego. Chrześcijaninem?

Chłopak zacisnął szczęki w uporze.

– To było objawienie. A ja przyjąłem Jezusa do mojego życia jako mego wybawiciela. Byłbym wdzięczny, gdybyście z tego nie szydzili.

Rozbawiony Ziggy zgiął się wpół, trzymając się za brzuch.

– To najśmieszniejsza rzecz, jaką słyszałem od lat... O Boże, chyba się posikam. – Oparł się o Monda, który szczyrzył zęby od ucha do ucha.

– I byłbym też wdzięczny, gdybyś nie wzywał imienia Pana nadaremno – dodał Weird.

Ziggy zaczął parskać w kolejnym wybuchu śmiechu.

– O rany. Co oni tam mówią? W niebie większa będzie radość z jednego grzesznika, który się nawraca?⁴ Mówię ci, będą tańczyć na ulicach raj, skoro udało im się przekabacić takiego grzesznika jak ty.

Weird wydawał się urażony.

– Nie zamierzam zaprzeczać, popełniłem w przeszłości wiele błędów. Ale ten etap jest już za mną. Narodziłem się na nowo, a to oznacza, że moje dawne winy są zmasane.

– To chyba musieli je zmazywać naprawdę porządną ścierą. Kiedy to się stało? – zaciekał się Mondo.

– Poszedłem w Wigilię na pasterkę – wyjaśnił Weird. – I nagle coś po prostu zaskoczyło. Pojąłem, że pragnę być obmyty w krwi baranka. Chciałem zostać oczyszczony.

– Ale obłąd – skwitował Mondo.

– Nic o tym nie wspomniałeś w Hogmanay – zauważył Alex.

– Chciałem, żebyście byli trzeźwi, kiedy wam o tym powiem. To wielki krok, ofiarować swe życie Chrystusowi.

– Wybacz – rzekł Ziggy, gdy zdołał się już opanować – ale jesteś ostatnią osobą na ziemi, od której spodziewałbym się usłyszeć coś takiego.

– Wiem – przyznał Weird. – Ale naprawdę tak się czuję.

– Wciąż będziemy się z tobą kumplować – obiecał Ziggy, starając się powstrzymać ironiczny uśmiezek cisnący mu się na usta.

– O ile tylko nie będziesz próbował nas nawrócić – zastrzegł Mondo.

– Wiesz, Weird, kocham cię jak brata, ale to nie wystarczy, bym porzucił seks i alkohol.

– Nie na tym polega miłość do Jezusa, Mondo.

– Słuchajcie – przerwał im Ziggy – zamierzam, jak tak tu stoimy. Chodźmy do strażnicy.

Ruszył w tamtą stronę z Mondem u boku. Alex ustawił się tak, by iść koło Weirda. Czuł zastanawiające współczucie dla swego przyjaciela. To musiało być okropne, doświadczać tak obezwładniającego uczucia izolacji, że poczuł przymus, by szukać pocieszenia u bandy nadgorliwych parafian. Powinienem być okazać mu wsparcie, pomyślał z ukłuciem winy. Może jeszcze nie jest na to za późno.

– Musiałeś się czuć strasznie dziwnie – zagaił.

Weird pokręcił głową.

– Wręcz przeciwnie. Poczułem spokój. Jakbym w końcu przestał być kwadratowym kołkiem w okrągłej dziurce i znalazł miejsce, do którego od początku należałem. Nie potrafię tego lepiej opisać. Poszedłem na tę

mszę tylko po to, żeby dotrzymać towarzystwa mamie. No i siedziałem tam, w Abbotshall Kirk, wszędzie wokół mnie migotały świece, jak to na nocnej mszy. Ruby Christie śpiewała solo *Cichą noc* bez akompaniamentu. Włoski na ciele stanęły mi dęba i nagle wszystko nabrało sensu. Zrozumiałem, że Bóg dał nam swego jedyne go syna, by ten odpuścił wszystkie grzechy tego świata. To znaczy, że moje też. To znaczy, że mogę zostać zbawiony.

– Brzmi poważnie. – Alex był zażenowany, słysząc tę emocjonalną szczerość. Przez wszystkie lata ich przyjaźni nigdy nie odbył z Weirdem podobnej rozmowy. Z Weirdem, którego jedyną zasadą wiary było, zdaje się, pochłonięcie przed śmiercią tak wielu odurzających substancji, ile tylko mógł strawić. – I co wtedy zrobiłeś? – Naszła go nagła wizja Weirda biegnącego pędem pod ołtarz i żądającego, by jego grzechy zostały mu odpuszczone. To by było naprawdę upokarzające, pomyślał. Jak jedna z tych rzeczy, które sprawiają, że człowieka zlewa zimny pot, gdy je sobie przypomni, kiedy już przebrnie przez ten przykry etap swej egzystencji i zaczyna znów żyć normalnie.

– Nic. Przesiedziałem w ławce resztę mszy i poszedłem do domu. Pomyślałem, że to było tylko jednorazowe, cudaczne, mistyczne doświadczenie. Może miało związek z tym wszystkim, co wywołała śmierć Rosie. Może był to nawet jakiś rodzaj nawrotu haju po kwasie. Ale kiedy obudziłem się następnego dnia rano, wciąż czułem to samo. Sprawdziłem więc w gazecie, jaki kościół odprawia bożonarodzeniową mszę i poszedłem do ewangelików na Links Street.

O nie, pomyślał Alex.

– Założę się, że w bożonarodzeniowy poranek miałeś cały kościół dla siebie.

Weird się roześmiał.

– Chyba żartujesz. Kościół pękał w szwach. Było genialnie. Grali świetną muzykę, a ludzie odnosili się do mnie, jakbyśmy byli przyjaciółmi

od lat. A po nabożeństwie poszedłem porozmawiać z duchownym. – Weird spuścił głowę. – To było bardzo emocjonalne spotkanie. W każdym razie skończyło się tak, że ochrzcił mnie w zeszłym tygodniu. Podał mi też nazwę ich siostrzanego zgromadzenia w St. Andrews. – Posłał Alexowi błogi uśmiech. – Dlatego właśnie chciałem wam o tym dziś powiedzieć. Bo jak tylko wrócimy jutro do Fife Park, pójdę do kościoła.

Pierwsza okazja do obgadania damasceńskiego nawrócenia Weirda trafiła się trójce jego kolegów następnego wieczoru, gdy spakował swą gitarę elektryczno-akustyczną do pokrowca i powędrował przez miasto na ewangelickie nabożeństwo do kościoła niedaleko przystani. Usiedli w kuchni, obserwując, jak energicznie odchodzi w noc.

– To koniec naszego zespołu – orzekł bezapelacyjnie Mondo. – Nie będę, kurwa, grał żadnych gospeli ani *Jezus mnie kocha*. Nikt mnie do tego nie przekona.

– Elvis zszedł ze sceny – powiedział Ziggy. – Mówię wam, stracił nawet to marne połączenie z rzeczywistością, jakie miał do tej pory.

– Hej, on naprawdę w to wierzy – zaproponował Alex.

– I myślisz, że to coś zmienia na lepsze? Czekają nas trudne czasy, chłopaki – skwitował Ziggy. – Zacznie nam tu sprowadzać brodatych dziwaków zdeterminowanych, żeby nas ocalić, czy tego chcemy, czy nie. Rozpad zespołu będzie naszym najmniejszym zmartwieniem. Koniec z „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”.

– Czuję się winny z tego powodu – przyznał Alex.

– Niby dlaczego? – zdziwił się Mondo. – Nie zaciągnąłeś go przecież do kościoła i nie zmusiłeś, żeby słuchał Ruby Christie.

– Nie wyskoczyłyby z czymś takim, gdyby nie był naprawdę zdołowany. Wiem, że wydawał się z nas wszystkich najmniej poruszony morderstwem Rosie, ale myślę, że w głębi serca bardzo się nim przejął.

A my trzej byliśmy tak zaabsorbowani własnymi uczuciami, że nic nie zauważyliśmy.

– Może chodzi tu o coś więcej niż smutek – odezwał się Mondo.

– To znaczy? – zapytał Ziggy.

Mondo poskrobał noskami butów o podłogę.

– No weźcie, chłopaki. Nie mamy pojęcia, co, do kurwy nędzy, robił Weird, jeżdżąc tym land roverem tam i siam w noc śmierci Rosie. Mamy tylko jego słowo na to, że w ogóle jej nie widział.

Alex poczuł, jak ziemia usuwa mu się spod nóg. Odkąd zrobił aluzję do swoich podejrzeń w rozmowie z Ziggym, zmuszał się do tłamszenia tak zdradzieckich myśli. Teraz jednak Mondo nadał nowego kształtu rzeczy nie do pomyślenia.

– To straszne, że tak mówisz – powiedział.

– Założę się, że wam też to przyszło to głowy – odparował wyzywająco Mondo.

– Nie myślisz chyba, że Weird by kogoś zgwałcił, a co dopiero zamordował – zaprotestował Alex.

– Tamtej nocy był tak naćpany, że sam siebie by nie poznał. Nie możesz zagwarantować, co mógł, a czego nie mógł zrobić, kiedy był w takim stanie – wytknął Mondo.

– Dostyc tego. – Głos Ziggy'ego przeciął atmosferę nieufności i zdenerwowania niczym miecz. – Zaczniecie coś takiego i gdzie to się skończy? Ja też wyszedłem z imprezy tamtej nocy. Alex nawet zaprosił na nią Rosie. A skoro już o tym mowa, to cholernie dużo czasu ci zabrało obrócenie do Guardbridge z tą laską. Co cię zatrzymało, Mondo? – Spiorunował przyjaciela wzrokiem. – Takich pierdolonych dyrdymałów chcesz wysłuchiwać?

– Nic nie mówiłem o waszej dwójce. Nie masz powodu, żeby tak na mnie naskakiwać.

– O, ale ty możesz spokojnie naskakiwać na Weirda, kiedy go tu nie ma i nawet nie może się bronić? Ale z ciebie przyjaciel.

– No cóż, teraz ma przyjaciela w Jezusie – zadrwił Mondo. – Co, jak się o tym pomyśli, jest dość ekstremalną reakcją. Mnie to wygląda na poczucie winy.

– Przestańcie! – zawołał Alex. – Czy wy siebie słyszycie? Będzie całe mnóstwo innych ludzi gotowych szerzyć o nas jadowite pogłoski. Nie ma potrzeby, żebyśmy na dodatek zwrócili się przeciwko sobie. Musimy trzymać się razem albo będzie po nas.

– Alex ma rację – przyznał ze zmęczeniem Ziggy. – Koniec z oskarżaniem się nawzajem, okej? MacLennan tylko czeka na okazję, żeby nas skłócić. Nie obchodzi go, kogo przyskrzyni za to morderstwo, byle tylko kogoś skazać. Musimy dopilnować, żeby to nie był żaden z nas. Mondo, na przyszłość zachowaj te obrzydliwe przypuszczenia dla siebie. – Ziggy wstał. – Idę do całodobowego kupić jakieś mleko i chleb, żebyśmy wszyscy mogli napić się kawy, zanim ci torysi o włochatych dupach wrócą i zaśmiecą nam dom swoim angielskim akcentem.

– Pójdę z tobą. Muszę kupić fajki – powiedział Alex.

Gdy wrócili pół godziny później, cały świat zdążył się już wywrócić do góry nogami. Po domu znów krążyli liczni policjanci, a ich dwaj współlokatorzy stali na progu z bagażami, mając na twarzach studium niedowierzania.

– Dobry wieczór, Harry. Dobry wieczór, Eddie – przywitał ich uprzejmie Ziggy, zerkając nad ich ramionami do holu, gdzie Mondo dąsał się właśnie na funkcjonariuszkę. – Dobrze, że kupiłem dwie butelki mleka.

– Co tu się dzieje, do diaska? – oburzył się Henry Cavendish. – Tylko mi nie mów, że tego kretyna Mackiego zamknęli za narkotyki.

– Nic równie prozaicznego – odparł Ziggy. – Nie przypuszczam, aby wieści o morderstwie dotarły do pubów Tatler lub Horse and Hounds.

Cavendish jęknął.

– Och, na litość boską, nie bądź żałosny. Myślałem, że już wyrosłeś z tych pseudobohaterskich bzdur, którymi karmi się klasa robotnicza.

– Zważ na słowa, mamy teraz chrześcijanina w naszym gronie.

– O czym ty mówisz? Morderstwo? Chrześcijanie? – zdziwił się Edward Greenhalgh.

– Weird odnalazł Boga – skwitował zwięźle Alex. – Nie tego waszego anglikańskiego z Kościoła Wysokiego, tylko takiego z tamburynami i *Chwalcie Pana*. Będzie organizował w kuchni spotkania modlitewne. – Alex uważał, że nie istnieje lepsza rozrywka niż podpuszczanie osób wierzących w swoje uprzywilejowanie. A w St. Andrews było ku temu wiele okazji.

– Ale co to ma do tego, że w naszym domu roi się od policjantów? – zapytał Cavendish.

– Czeka cię odkrycie, że ten w holu to tak naprawdę kobieta – oznajmił Ziggy. – No chyba że policja hrabstwa Fife zaczęła rekrutować wyjątkowo atrakcyjnych transwestytów.

Cavendish zgrzytnął zębami. Nie cierpiał tego, że Laddies fi' Kirkcaldy uparcie traktowali go jak karykaturę. Był to główny powód, dla którego spędzał w tym domu tak mało czasu.

– To skąd się tu wzięła policja? – zapytał ponownie.

Ziggy uśmiechnął się do niego słodko.

– Policja znalazła się tutaj, ponieważ jesteśmy podejrzani o morderstwo.

– On chce powiedzieć – wtrącił pospiesznie Alex – że jesteśmy świadkami. Jedna z barmanek z Lammas została zamordowana tuż przed świętami. A my przypadkiem znaleźliśmy jej ciało.

– To przerażające – zdumiał się Cavendish. – Nie miałem o niczym pojęcia. Jej rodzina musi to strasznie przeżywać. Dość ponura sprawa i dla was.

– Nie było za wesoło – przyznał Alex.

Cavendish znów zerknął do środka, wyglądał na zawstydzonego.

– Słuchajcie, widzę, że trafiliśmy na zły moment. Pewnie będzie łatwiej dla nas wszystkich, jeśli znajdziemy sobie na jakiś czas inne lokum. Chodź, Ed. Dzisiaj przenocujemy u Tony’ego i Simona. Rano pójdziemy sprawdzić, czy pozwolą nam się przenieść do innego budynku.

– Odwrócił się, po czym znów spojrzął na nich, marszcząc brwi. – Gdzie jest mój land rover?

– Ach – westchnął Ziggy. – To trochę skomplikowane. Widzisz, pożyczylimy go sobie i...

– Pożyczyliście go? – oburzył się Cavendish.

– Wybacz. Ale pogoda była paskudna i uznaliśmy, że nie będziesz się gniewał.

– To gdzie on teraz jest?

Ziggy wyglądał na zawstydzonego.

– O to będziesz musiał zapytać policjantów. Tej nocy, kiedy go pożyczylimy, doszło do morderstwa.

Współczucie Cavendisha zdążyło już wyparować.

– No ludzie, nie wierzę – warknął. – Mój land rover jest zamieszany w sprawę morderstwa?

– Obawiam się, że tak. Wybacz, głupio wyszło.

Cavendish dostał białej gorączki.

– Nie myślcie sobie, że na tym to się skończy!

Alex i Ziggy obserwowali w ponurej ciszy, jak ich dwaj współlokatorzy chwiejnie odchodzą ścieżką, dźwigając swoje walizy. Zanim zdążyli znów się odezwać, musieli odsunąć się na bok, by przepuścić funkcjonariuszy wychodzących z budynku. Była tam czwórka mundurowych i paru

mężczyzn w cywilnych ubraniach. Zignorowali Alexa oraz Ziggy'ego i skierowali się do swych samochodów.

– A ci po co tu przyjechali? – zapytał Alex, gdy w końcu weszli do domu.

Mondo wzruszył ramionami.

– Nie powiedzieli. Zbierali próbki farby ze ścian, sufitów i z drewna. Podsłuchałem, jak jeden z nich mówił coś o kardiganie, ale nie wydaje mi się, żeby przeglądali nasze ciuchy. Węszyli po wszystkich kątach i pytali, czy ostatnio cokolwiek malowaliśmy.

Ziggy parsknął śmiechem.

– Chyba wierzą w cuda. A potem się dziwią, że ludzie nazywają ich pajacami.

– Nie podoba mi się to – rzekł Alex. – Myślałem, że dali już sobie spokój z podejrzeniem nas. Ale nie, znów tu są i wywracają nam dom do góry nogami. Musieli znaleźć jakieś nowe dowody.

– Cokolwiek to jest, nie mamy powodu do zmartwień – oznajmił Ziggy.

– Skoro tak twierdzisz – rzucił sarkastycznie Mondo. – Ja na razie będę się jednak martwił. Tak jak mówi Alex, zostawili nas w spokoju na jakiś czas, a teraz wrócili. Nie sądzę, że możemy tak po prostu to zignorować.

– Mondo, zapomniałeś, że jesteśmy niewinni? To znaczy, że nie musimy się niczym przejmować.

– Taa, racja. A co z Henrym i Eddiem? – zapytał Mondo.

– Nie chcą mieszkać z szalonymi mordercami – rzucił Ziggy przez ramię, idąc do kuchni.

Alex poszedł za nim.

– Nie powinieneś był tego mówić.

– Czego? Szaleni mordercy?

– Nie. Nie powinieneś być mówić Harry’emu i Eddiemu, że jesteśmy podejrzewani o tę zbrodnię.

Ziggy wzruszył ramionami.

– To był tylko żart. Harry’ego bardziej interesuje jego ukochany land rover niż cokolwiek, co mogliśmy zrobić. No ale oczywiście to mu daje wymówkę, której zawsze pragnął, żeby się stąd wyprowadzić. Poza tym to ty na tym skorzystasz. Jak będziemy mieli dwa dodatkowe wolne pokoje, nie będziesz już musiał gnieździć się z Weirdem.

Alex sięgnął po czajnik.

– Mimo wszystko wolałbym, żebyś nie posiał tego ziarna. Mam okropne przeczucie, że to, co z niego wyrośnie, dotknie nas wszystkich.

⁴ Łk 15, 7 (wszystkie cytaty z Biblii pochodzą z Biblii Tysiąclecia, wyd. 5, Poznań 2000).

ROZDZIAŁ DWUNASTY

PRZEWIDYWANIA ALEXA sprawdziły się o wiele szybciej, niż się tego spodziewał. Parę dni po konfrontacji na progu domu, zmierzając North Street w stronę Wydziału Historii Sztuki, dostrzegł Henry'ego Cavendisha i bandę jego koleżków. Zbliżali się do niego dumnym krokiem w swoich czerwonych rozchełstanych togach, jakby posiadali to miejsce na własność. Zobaczył, jak Cavendish szturcha jednego z nich i coś mówi. Gdy stanęli z nim twarzą w twarz, Alex zorientował się, że otoczyła go grupa młodych mężczyzn w standardowych mundurkach uczelni: tweedowych marynarkach i spodniach o ukośnym splocie. Łypali na niego złowrogo.

– Jestem zaskoczony, że masz czelność się tu pokazywać, Gilbey – rzekł Cavendish, patrząc na niego pogardliwie.

– Myślę, że mam większe prawo do chodzenia tymi ulicami niż ty i twoi kumple – odparł łagodnie Alex. – To mój kraj, nie wasz.

– Marny ten kraj, skoro ludziom wolno tu bezkarnie kraść cudze samochody. Nie mogę uwierzyć, że cała wasza banda nie znalazła się w sądzie po tym, co żeście zrobili. Jeśli wykorzystaliście mojego land rovera, żeby zatrzeć ślady morderstwa, będziecie musieli się martwić nie tylko policją.

Alex próbował przepchnąć się poza krąg, ale był ściśle otoczony, potrącany łokciami i dłońmi.

– Odwal się, Henry. Nie mieliśmy nic wspólnego z morderstwem Rosie Duff. Wręcz przeciwnie, to my wezwaliśmy do niej pomoc. To my próbowaliśmy utrzymać ją przy życiu.

– A policja w to wierzy, co? – odparował Cavendish. – Te gliny muszą być głupsze, niż myślałem. – Błyskawicznie walnął Alexa pięścią pod żebra. – Zachciało wam się kraść moje auto?

– Nie wiedziałem, że potrafisz myśleć – sapnął Alex, niezdolny powstrzymać się od podjudzania swego prześladowcy.

– To hańba, że wciąż nie wyrzucono cię z uniwersytetu! – zawołał któryś ze studentów, dźgając Alexa w pierś kościstym palcem. – W najlepszym wypadku jesteś tylko zasranym złodziejaszkiem.

– Boże, posłuchajcie się przez chwilę. Brzmicie jak fatalny komediowy skecz. – Alex poczuł nagłą złość. Opuścił głowę i runął naprzód; jego ciało przypomniało sobie niezliczone natarcia na boisku do rugby. – A teraz zejście mi z drogi! – ryknął. Dysząc, wydostał się na drugą stronę kręgu i odwrócił z szyderczo wywiniętymi ustami. – Muszę iść na wykład.

Jego dręczyciele, zaskoczeni tym wybuchem, pozwolili mu odejść. Gdy oburzony ruszył w swoją stronę, Cavendish zawołał za nim:

– Sądziłem, że pójdziesz raczej na pogrzeb, nie na wykład. Czy nie tak właśnie postępują mordercy?

Alex odwrócił się.

– Co takiego?

– Nie powiedzieli ci? Dzisiaj grzebią Rosie Duff.

Alex gniewnie odmaszerował ulicą, trzęsąc się z wściekłości. Musiał przyznać, że był przerażony. Przez chwilę czuł autentyczny strach. Nie mógł uwierzyć, że Cavendish próbował dobrać mu się do skóry, wykorzystując do tego pogrzeb Rosie. Nie mógł również pojąć, jakim cudem nikt ich nie poinformował, że ceremonia ma się odbyć dzisiaj. Nie chodziło o to, że chciał na nią pójść. Ale dobrze by było zostać uprzedzonym.

Zastanawiał się, jak radzą sobie jego przyjaciele i po raz kolejny pożałował, że Ziggy nie trzymał tamtego wieczoru gęby na kłódkę.

Ziggy wszedł na zajęcia z anatomii i natychmiast powitały go okrzyki: „Idzie złodziej zwłok”.

Wyrzucił ręce w górę w uznaniu dobrodusznym docinków ze strony swych kolegów medyków. Jeśli ktokolwiek miał dostrzec czarny humor w śmierci Rosie, to właśnie oni.

– Co ci nie pasuje w truposzach, których dają nam do ćwiczeń? – zawołał ktoś przez salę.

– Są za stare i za brzydkie dla Ziggy’ego – nadeszła czyjaś odpowiedź.
– Musiał iść i sam sobie poszukać jakiegoś lepszej jakości mięska.

– Dobra, dajcie już spokój – odezwał się Ziggy. – Po prostu zazdrościcie mi, że jako pierwszy miałem okazję przetestować moje umiejętności w praktyce.

Kilkoro kolegów zgromadziło się wokół niego.

– Ziggy, jak to było? Słyszeliśmy, że ona wciąż żyła, kiedy ją znaleźliście. Bałeś się?

– No jasne. Pewnie, że się bałem. Ale byłem bardziej sfrustrowany tym, że nie zdołałem utrzymać jej przy życiu.

– Hej, stary, dałeś z siebie wszystko – pocieszył go jeden ze znajomych.

– Moje wszystko okazało się do dupy. Poświęcamy lata na napychanie sobie głów wiedzą, ale w starciu z prawdziwym przypadkiem nie miałem pojęcia, od czego zacząć. Pierwszy lepszy kierowca karetki miałby większe szanse, żeby uratować Rosie, niż ja. – Ziggy strząsnął z siebie płaszcz i rzucił na krzesło. – Czuję się bezużyteczny. Zdałem sobie sprawę, że nie staniemy się prawdziwymi lekarzami, dopóki nie pójdziemy w świat i nie zaczniemy leczyć żywych pacjentów.

Za ich plecami odezwał się głos:

– To bardzo cenna lekcja do przyswojenia, panie Malkiewicz. – Wykładowca, niezauważony, wszedł do sali podczas ich rozmowy. – Wiem, że to żadne pocieszenie, ale koroner poinformował mnie, że Rosie

nie miała szans na przeżycie już w chwili, w której ją znaleźliście. Straciła zdecydowanie zbyt wiele krwi. – Ścisnął ramię Ziggy’ego. – Obawiam się, że nie jesteśmy w stanie czynić cudów. A teraz, panowie i panie, usiądźcie, proszę. W tym semestrze czeka nas dużo ważnej pracy.

Po zajęciach Ziggy szedł do domu, lecz myślami był zupełnie gdzie indziej. Wciąż czuł na rękach śliską krew, niknące, nieregularne bicie serca, zimno ciała Rosie. Słyszał jej zamierający oddech. Czuł na języku miedziany posmak. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek zdoła zostawić to za sobą. Czy kiedykolwiek będzie mógł zostać lekarzem, wiedząc, że porażka zawsze będzie stanowić ostateczny wynik jego działań?

Parę kilometrów dalej rodzina Rosie przygotowywała się do złożenia córki na wieczny spoczynek. Policja w końcu wydała im jej ciało i Duffowie mogli wykonać pierwszy formalny krok na długiej drodze żałoby. Eileen popatrzyła w lustro i wyprostowała kapelusz, nie zważając na to, jak wynędzniale i surowo wygląda jej twarz. Ostatnimi czasy nie przejmowała się makijażem. Bo i po co? Oczy miała otępiełe i ociężałe. Tabletki, które przepisał jej doktor, nie wymazały bólu; po prostu odmawiały jej bezpośredniego dostępu do niego, zmieniając go w coś, co rozważała, a nie w coś, czego doświadczała.

Archie stał przy oknie, patrząc na karawan. Kościół parafialny Strathkinness znajdował się zaledwie kilkaset metrów od ich domu. Podjęli decyzję, że rodzina pójdzie pieszo za trumną, dotrzymując Rosie towarzystwa w jej ostatniej podróży. Szerokie ramiona pana Duffa opadły. W ciągu paru ostatnich tygodni stał się starym człowiekiem, który stracił wolę, by interesować się światem.

Brian i Colin, wystrojeni jak nigdy, siedzieli w kuchni, pokrzepiając się whisky.

– Mam nadzieję, że ta czwórka ma dość rozsądku, żeby trzymać się z daleka – powiedział Colin.

– Niech przyjdą. Jestem gotowy się nimi zająć – odparł Brian. Jego przystojna twarz zastygła w wyrazie uporu.

– Nie dzisiaj, Brian. Do kurwy nędzy. Miej trochę szacunku, co? – Colin osuszył szklanę i odstawił ją z rozmachem na ociekacz.

– Już tu są! – zawołał ich ojciec.

Colin i Brian wymienili spojrzenia, składając sobie milczącą obietnicę, że przebrną przez dzień pogrzebu bez żadnych wyskoków, które mogłyby przynieść ujmę im samym lub pamięci ich siostry. Z determinacją naprężyli barki i dołączyli do rodziców.

Karawan stał zaparkowany przed domem. Duffowie pokonali ścieżkę, pochylając głowy. Eileen opierała się ciężko na ramieniu męża. Zajęli swoje miejsca za trumną. Za nimi przyjaciele i krewni zebrali się w posępnych grupkach. Pochód zamykali policjanci. MacLennan prowadził ich oddział, dumny, że kilkoro funkcjonariuszy przybyło, choć był to ich dzień wolny. Choć raz przedstawiciele prasy zachowywali się delikatnie, zgodzili się między sobą na wspólny reportaż.

Mieszkańcy wioski ustawili się wzdłuż ulicy aż do kościoła. Wielu z nich dołączało do konduktu pogrzebowego, gdy ten przesuwiał się wolnym marszem w stronę szarego kamiennego budynku, który usadowił się solidnie na wzgórzu, wznosząc się nad miasteczkiem leżącym w dole. Gdy wszyscy już weszli do środka, mały kościół był wypełniony po brzegi. Część żałobników musiała stać w bocznych nawach i z tyłu za ławkami.

Nabożeństwo było krótkie i formalne. Eileen nie była w stanie myśleć o detalach, a Archie poprosił, by ograniczyć je do niezbędnego minimum.

– To tylko coś, przez co musimy przejść – wyjaśnił pastorowi. – Nie ten moment będziemy wspominać, myśląc o Rosie.

MacLennan uznał proste słowa mszy pogrzebowej za nieznośnie przejmujące. Były to frazy przeznaczone do opowiadania o ludziach, którzy przeżyli swoje życie w pełni; nie powinny służyć do opisanie młodej kobiety, która ledwie zdążyła posmakować tego, jak jej życie

mogło wyglądać. Pochylił głowę w modlitwie, świadomy, że nabożeństwo nie przyniesie ukojenia nikomu, kto znał Rosie. Żaden z tych ludzi nie zazna spokoju, dopóki on nie wykona swojej pracy.

A wydawało się coraz mniej prawdopodobne, że zdoła zaspokoić tę potrzebę. Śledztwo w zasadzie utknęło w miejscu. Jedyne nowe dowody sądowe pochodziły z kardiganu. Ten zaś dostarczył im tylko śladów farby. Jednak żadne z próbek zebranych w domu studentów w Fife Park nie pasowały w najmniejszym stopniu do tych znalezionych na swetrze. Komenda Główna przysłała inspektora, by ten ocenił pracę, jaką MacLennan wykonał ze swoim zespołem, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że w jakiś sposób zawiedli. Zwierzchnik musiał jednak przyznać, że komisarz wykonał godną pochwały robotę. Nie był w stanie wysunąć ani jednej sugestii, która mogłaby doprowadzić do nowych postępów w śledztwie.

MacLennan zdał sobie sprawę, że co i rusz wraca do czterech studentów. Alibi każdego z nich było tak wątle, że w zasadzie nie zasługiwało na to miano. Gilbey i Kerr durzyli się w Rosie. Dorothy, jedna z pozostałych barmanek z Lammas, wspomniała o tym kilka razy, składając swoje zeznanie. „Ten duży, co wygląda trochę jak ciemnowłosy Ryan O’Neal” – w ten sposób określiła Alexa. On sam by tak tego nie ujął, ale wiedział, o co jej chodziło. „Strasznie się w niej podkochał – mówiła Dorothy. – I był też mikrus, który przypomina tego gościa z T. Rex. Ten zawsze wodził za nią wzrokiem. Nie żeby ona miała kiedykolwiek zwrócić na niego uwagę, wie pan. Mówiła, że za bardzo kocha się w sobie, jak na jej gust. Ale za to ten drugi, większy. O tym powiedziała, że nie miałyby nic przeciwko randce z nim, gdyby był z pięć lat starszy”.

Istniał więc cień motywu. No i oczywiście mieli dostęp do pojazdu nadającego się idealnie do transportu umierającej dziewczyny. To, że policja nie znalazła w nim żadnych śladów, nie znaczyło, że studenci nie użyli land rovera w tym celu. Brezent, jakaś wodoodporna płachta, czy

nawet gruba plastikowa folia nie przepuściłyby krwi i pozostawiły wnętrze samochodu czyste. Nie ulegało wątpliwości, że ten, kto zabił Rosie, musiał mieć auto.

No chyba że był jednym z szanowanych właścicieli któregoś z domów przy Trinity Place. Problem w tym, że każdy mężczyzna z tej ulicy w przedziale wiekowym od czternastu do siedemdziesięciu lat miał alibi. Albo byli gdzieś poza domem, albo spali w swoich łóżkach, co zostało potwierdzone bez żadnych wątpliwości. Przyjrzeni się bliżej paru nastoletnim chłopcom, ale nie znaleźli nic, co by ich łączyło z Rosie lub z samą zbrodnią.

Kolejną rzeczą, która sprawiała jednak, że Gilbey wydawał się mniej podejrzany, były ekspertyzy kryminalistyczne. Sperma znaleziona na ubraniach Rosie należała do tak zwanego wydzielacza, czyli osoby, u której antygeny grupy krwi są wydzielane również do pozostałych płynów ustrojowych. Jej gwałciciel, i zapewne również morderca, miał grupę krwi 0. Alex Gilbey miał grupę krwi AB, co oznaczało, że jej nie zgwałcił, chyba że użył przy tym prezerwatywy. Natomiast Malkiewicz, Kerr i Mackie mieli grupę 0, więc w teorii mógł to być każdy z nich.

MacLennan naprawdę nie sądził, by Kerr był do tego zdolny. Ale Mackie już pewnie tak, był o tym przekonany. Komisarza doszły słuchy o jego nagłym nawróceniu na chrześcijaństwo. W jego oczach wyglądało to na desperacki czyn zrodzony z poczucia winy. A Malkiewicz to była z kolei zupełnie inna historia. MacLennan odkrył problem z orientacją chłopaka przez przypadek, ale jeśli ten był zakochany w Alexie, mógł chcieć się pozbyć Rosie, bo uznał ją za konkurencję. Brzmiało to dość prawdopodobnie.

MacLennan był tak pogrążony w myślach, że z zaskoczeniem zauważył, iż nabożeństwo dobiegło właśnie końca, a zgromadzeni ludzie podnoszą się z ławek. Trumnę już niesiono przez nawę, a Colin i Brian Duffowie trzymali kir z przodu. Brianowi łzy spływały po twarzy,

natomiast Colin wyglądał tak, jakby każdą odrobinę siły zużywał na powstrzymywanie szlochu.

MacLennan popatrzył na policyjną delegację. Gdy trumna zniknęła z pola widzenia, kiwnięciem głowy wskazał im wyjście z kościoła. Rodzina miała zjechać ze wzgórza na Cmentarz Zachodni, gdzie odbędzie się prywatny pochówek. Wymknął się na dwór i stanął przy drzwiach, skąd obserwował rozchodzących się żałobników. Nie był przekonany, że zabójca znalazł się dzisiaj w ich gronie. Był to zbyt płytki wniosek, by mógł go swobodnie zaakceptować. Jego ludzie zebrali się za jego plecami, rozmawiając cicho między sobą.

Janice Hogg schowała się za rogiem kościoła i zapaliła papierosa. W końcu nie była na służbie, a po tym strasznym doświadczeniu potrzebowała strzału nikotyny. Zaciągnęła się zaledwie parę razy, zanim podszedł do niej Jimmy Lawson.

– Tak myślałem, że czuję dym. Pozwolisz, że się dołączę? – Zapalił i oparł się o ścianę. Włosy opadały mu na czoło, ocieniając oczy. Janice pomyślała, że stracił ostatnio na wadze, przez co lepiej wyglądał. Miał teraz bardziej zapadnięte policzki i wyraźniej zarysowaną szczękę. – Zdecydowanie nie chciałbym znów przez to przechodzić – wyznał.

– Ani ja. Czułam się tak, jakby wszyscy patrzyli na nas, czekając na odpowiedź, której nie mamy.

– I raczej prędko nie zdobędziemy. Dochodzeniówka nie ma żadnego poważnego podejrzanego – rzekł Lawson z rozgoryczeniem, gdy wschodni wiatr odwiewał im dym sprzed ust.

– Nie wygląda to jak w tym serialu *Starsky i Hutch*, co?

– Dzięki Bogu nie. No bo chybabyś nie chciała nosić tych rozpinanych sweterków?

Janice zachichotała wbrew sobie.

– Kiedy tak stawiasz sprawę...

Lawson zaciągnął się głęboko.

– Janice... nie chciałabyś kiedyś wyjść ze mną na drinka?

Posterunkowa spojrzała na niego zaskoczona. Nigdy nie sądziła, nawet przez chwilę, że Jimmy Lawson zauważył, że jest kobietą, oprócz tych momentów, kiedy trzeba było zaparzyć herbatę albo dostarczyć komuś złe wieści.

– Zapraszasz mnie na randkę?

– Na to wygląda. Co o tym myślisz?

– Sama nie wiem, Jimmy. Nie jestem pewna, czy wiązanie się z kimś z pracy to dobry pomysł.

– A gdzie indziej mamy szansę kogoś spotkać? No chyba że akurat zakuwamy potencjalnych kandydatów w kajdanki. Zgódź się, Janice. Jedno małe piwko. Sprawdźmy, czy dobrze się dogadujemy. – Uśmiech dodał mu uroku, którego nigdy wcześniej nie zauważyła.

Popatrzyła na niego, zastanawiając się nad jego propozycją. Nie dało się go określić mianem ósmego cudu świata, ale w sumie był niebrzydki. Miał reputację podrywacza, zwykle dostawał to, czego chciał, nie musząc się zbytnio wysilać. Ale zawsze traktował ją uprzejmie, w przeciwieństwie do tak wielu innych współpracowników, którzy nawet nie próbowali specjalnie ukrywać swojej pogardy wobec niej. A ona nie była na randce z interesującym facetem dłużej, niż sięga pamięć.

– No dobrze – zgodziła się. – Zerknę na grafik, jak wieczorem zaczniemy zmianę. Sprawdźę, kiedy oboje mamy wolne.

Jimmy rzucił peta na ziemię i zagrzebał go czubkiem buta. Janice patrzyła, jak znika za rogiem kościoła, by dołączyć do reszty. Wygląda na to, że czeka ją randka. Była to ostatnia rzecz, jakiej by się spodziewała po pogrzebie Rosie Duff. Może pastor miał rację. To powinien być czas patrzenia nie tylko w przeszłość, ale i w przyszłość.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ŻADEN Z TRZECH PRZYJACIÓŁ Weirda nigdy nie opisałby go jako rozsądnego, nawet zanim odnalazł Boga. Zawsze odznaczał się niestabilnym połączeniem cynizmu i naiwności. Na nieszczęście, jego nowo odnalezione uduchowanie odarło go z cynizmu, nie dając mu w zamian komplementarnego dostępu do zdrowego rozsądku. Stąd też, gdy jego nowi przyjaciele w Jezusie oznajmili, że nie będzie lepszej okazji do ewangelizacji niż wieczór w dniu pogrzebu Rosie Duff, Weird przystał na ich sugestię. Wysunięty argument brzmiał tak, że ludzie będą myśleli o własnej śmiertelności. To był najlepszy możliwy czas, by przypomnieć im, że Jezus oferuje jedyną bezpośrednią drogę do królestwa niebieskiego.

Myśl o podzieleniu się świadectwem swojej wiary z obcymi jeszcze kilka tygodni temu sprawiłaby, że Weird turlałby się ze śmiechu po podłodze, ale teraz wydawała mu się najbardziej naturalną rzeczą na świecie. Zgromadzili się w domu pastora, ochoczego młodego Walińczyka, którego entuzjazm był niemal chorobliwy. Nawet zachłyśnięty swym niedawnym nawróceniem Weird uważał jego żarliwość za nieco przytłaczającą. Lloyd naprawdę wierzył, że jedynym powodem, dla którego całe St. Andrews nie przyjęło jeszcze Chrystusa do swego serca, była niedoskonałość w głoszeniu wiary przez niego i jego parafian. Widać, pomyślał Weird, że nigdy nie spotkał Ziggy'ego, najbardziej ateistycznego z ateistów.

Niemal każdy posiłek, który jadł w domu w Fife Park od czasu ich powrotu, był okraszony pełną pasji dyskusją o wierze i religii. Weird czuł się już tym zmęczony. Nie był jeszcze dość biegły w tych sprawach, by

odeprzeć wszystkie argumenty, lecz instynktownie wiedział, że nie wystarczy odpowiedzieć: „I w tym właśnie miejscu musisz zdać się na wiarę”. Był jednak pewien, że studiowanie Biblii z czasem rozwiąże ten problem. Do tego czasu będzie się modlił o cierpliwość i celne riposty.

Lloyd wcisnął mu w rękę garść ulotek.

– Zawierają krótkie wprowadzenie na temat naszego Pana i niewielki wybór cytatów z Biblii – wyjaśnił. – Spróbuj wciągać ludzi w rozmowę, a potem spytaj, czy zechcą poświęcić pięć minut swego czasu, by uratować się przed katastrofą. Wtedy dajesz im ulotkę i prosisz, by ją przeczytali. Powiedz, że jeśli chcą ci zadać na jej temat jakieś pytania, mogą przyjść się z tobą spotkać podczas niedzielnej mszy. – Lloyd rozłożył ręce, jakby chciał stwierdzić, że to naprawdę nieskomplikowane.

– Dobra – odparł Weird.

Rozejrzał się po ich małej grupce, składającej się z pół tuzina osób. Oprócz Lloyda i niego był w niej jeszcze tylko jeden mężczyzna. Miał ze sobą gitarę, a na twarzy wyraz zapału. Niestety jego gorliwość nie szła w parze z talentem. Weird wiedział, że nie powinien nikogo oceniać, ale przypuszczał, że nawet w swój najgorszy dzień mógłby bez trudu pokonać go w gitarowym pojedynku. Niestety nie znał jeszcze piosenek, więc nie mógł dzisiaj występować dla Chrystusa.

– Rozłożymy się z muzyką na North Street. Tam zawsze jest mnóstwo ludzi. Reszta z was niech pokręci się przy pubach. Nie musicie wchodzić do środka. Po prostu łapcie ludzi, jak będą wchodzić albo wychodzić. A teraz pomódlmy się jeszcze szybciotko, zanim pójdziemy pracować dla Pana.

Złapali się za ręce i pochylili głowy. Weird poczuł, jak zalewa go od niedawna znajome poczucie spokoju, gdy powierzał życie swemu zbawcy.

Zabawne, jak wiele się zmieniło, pomyślał później, gdy spacerowym krokiem szedł od jednego pubu do drugiego. Kiedyś nigdy by nawet nie brał pod uwagę opcji, by podejść do kompletnie obcej osoby po coś innego

niż wskazówki, jak gdzieś dotrzeć. Ale teraz nawet mu się to podobało. Większość ludzi go spławiała, ale kilku przyjęło od niego ulotki i miało pewność, że zobaczy niektórych ponownie. Był przekonany, że nie uszło ich uwadze poczucie spokoju ducha i radości, którymi emanował.

Zbliżała się dziesiąta wieczorem, gdy przeszedł pod masywnym kamiennym łukiem bramy West Port i skierował się w stronę Lammas. Teraz, gdy o tym myślał, był zszokowany, ile czasu zmarnował tam w ciągu ostatnich lat. Nie wstydził się swojej przeszłości. Lloyd nauczył go, że był to zły sposób patrzenia na sprawy. Przeszłość stanowiła podstawę do porównania, jak wspaniałe jest jego nowe życie. Żałował jednak, że nie odnalazł tego spokoju i azylu wcześniej.

Przeszedł przez ulicę i ustawił się przy drzwiach do Lammas. W ciągu dziesięciu minut od przybycia wręczył pojedynczą ulotkę jednemu ze stałych klientów, który spojrzał na niego dziwnie, wchodząc do środka. Parę sekund później drzwi otworzyły się gwałtownie. Brian i Colin Duffowie wytoczyli się na ulicę, a za nimi podążało jeszcze paru młodych mężczyzn. Wszyscy mieli czerwone twarze i napędzała ich alkohol.

– Co ty tu, kurwa, wyprawiasz? – zaryczał Brian, łapiąc Weirda za przód jego parki. Popchnął go mocno na ścianę.

– Ja tylko...

– Zamknij mordę, ty gnoju! – wrzasnął Colin. – Dzisiaj, dzięki tobie i twoim podłym koleżkom, pogrzebaliśmy moją siostrę. A ty masz czelność przyłazić tu i głądzić o Jezusie?

– Nazywasz siebie pieprzonym chrześcijaninem? Zabiłeś mi siostrę, pizdo! – Brian uderzał nim rytmicznie o ścianę budynku. Weird próbował zmusić go do puszczenia jego kurtki, ale Brian był od niego o wiele silniejszy.

– Nigdy jej nawet nie dotknąłem – zawył. – To nie my.

– No to, kurwa, kto? Tylko wy tam byliście – pienił się Brian. Puścił parkę Weirda i wzniosł pięść do ciosu. – Zobaczmy, jak ci się to spodoba,

łajzo.

Trzasnął prawym sierpowym w szczękę Weirda, po czym poprawił miażdżącym uderzeniem z lewej strony. Pod Weirdem ugięły się kolana. Przez głowę przemknęła mu myśl, że dolna połowa jego twarzy zaraz się oderwie i zostanie mu w dłoniach.

A to był dopiero początek. Nagle wokół zaświstały stopy i pięści, waląc okrutnie w jego ciało. Krew, łzy i smarki ściekały mu po twarzy. Czas zwolnił do powolnej strużki, zniekształcając padające słowa i nasilając piekielny ból po każdym kontakcie. Nigdy wcześniej nie brał udziału w poważnej bójce i jej niczym nieprzesłonięta agresja przerażała go.

– Jezu, Jezu... – szlochał.

– On ci teraz nie pomoże, jebana szczyno – zawołał ktoś.

Wtedy, o błogosławieństwo, atak zniecka się skończył. Równie nagle, jak się zaczęły, ciosy przestały na niego spadać i zapadła cisza.

– Co tu się dzieje? – Usłyszał kobiecy głos. Podniósł głowę z pozycji płodowej, w której się skulił. Stała nad nim posterunkowa. Za nią dostrzegł policjanta, którego Alex przyprowadził przez zasy śniegu. Jego napastnicy stali naokoło, posepni, z rękoma w kieszeniach.

– Tylko się tak bawimy – odezwał się Brian Duff.

– Nie wygląda mi to na zabawę, Brianie. Na szczęście właściciel pubu miał dość rozumu, żeby zgłosić rozróbę – odparła kobieta, pochylając się, by zerknąć na twarz Weirda. Odepchnął się od ziemi i przysiadł na chodniku. Wykaszał trochę smarków zmieszanych z krwią. – Jesteś Tom Mackie, prawda? – zapytała funkcjonariuszka, pojmując, co tu zaszło.

– Tak – jęknął.

– Wezwę karetkę.

– Nie. – Weird jakoś zdołał odzyskać czucie w stopach i wstał chwiejnie. – Nic mi nie będzie. To była tylko zabawa. – Mówienie, jak

odkrył, wymagało wysiłku. Czuł się tak, jakby przeszedł przeszczep szczęki i jeszcze się nie nauczył, jak się nią posługiwać.

– Wydaje mi się, że masz złamany nos, synku – zauważył policjant.

Jak on się nazywał? Morton? Lawton? Lawson. Nazywał się Lawson.

– To nic. Mieszkam z lekarzem.

– Z tego, co pamiętam, jest tylko studentem medycyny – poprawił go Lawson.

– Zawieziemy cię do domu naszym radiowozem – zarządziła kobieta.

– Jestem posterunkowa Hogg, a to jest posterunkowy Lawson. Jimmy, miej na niego oko, dobrze? Ja muszę zamienić słowo z tymi kretynami. Colin, Brian? Chodźcie no tu. Reszta niech stąd zmiata.

Janice odprowadziła braci na stronę. Przezornie jednak została na tyle blisko Lawsons, by mógł przyjść jej z pomocą, gdyby coś poszło nie tak.

– Do diabła, co to miało być? – zażądała odpowiedzi. – Patrzcie, w jakim on jest stanie.

Brian, z lekko rozdziawionymi ustami, szklistym wzrokiem i spocony z wysiłku, uśmiechnął się z pijacką drwiną.

– Lepszym, niż na to zasługuje. Wie pani, o co nam poszło. Wykonywaliśmy tylko za was waszą pracę, bo jesteście bandą bezużytecznych cip, które nie znalazłyby wyjścia z papierowej torby.

– Zamknij się, Brian – uciszył go pospiesznie Colin. Był jedynie ociupinę trzeźwiejszy od swojego brata, ale zawsze miał więcej wrodzonej zdolności do unikania kłopotów. – Widzi pani, przepraszamy, dobra? Sprawy trochę się wymknęły spod kontroli.

– Mało powiedziane. Skatowaliście go prawie na śmierć.

– Ano tak, on i jego kumple nie przerwali w połowie, kiedy już zaczęli – rzucił wojowniczo Brian, po czym zniechęca wykrzywił usta i gorące łzy pociekły mu po policzkach. – Moja siostrzyczka. Moja Rosie. Psa byś nie potraktował tak, jak oni potraktowali ją.

– Mylisz się, Brianie. Są świadkami, a nie podejrzanymi – rzekła znużonym tonem Janice. – Powiedziałam ci to tamtej nocy, kiedy to się stało.

– Ze wszystkich ludzi tylko wam się tak wydaje – odparł Brian.

– Zamkniesz się wreszcie? – wtrącił Colin, po czym zwrócił się do Janice. – Aresztuje nas pani czy nie?

Posterunkowa westchnęła.

– Wiem, że dzisiaj był pogrzeb Rosie. Byłam tam. Widziałam, jak załamani byli wasi rodzice. Dla ich dobra dzisiaj jestem skłonna wam darować. Nie wydaje mi się, żeby pan Mackie chciał wnieść przeciwko wam oskarżenie. – Colin otworzył usta, ale powstrzymała go, podnosząc ostrzegawczo palec. – Ten układ zadziała wyłącznie wtedy, jeśli ty i ten Cassius Clay będziecie trzymać ręce przy sobie. Zostawcie tę sprawę nam, Colinie.

Skinął głową.

– Okej, Janice.

Brian wydawał się zaskoczony.

– Od kiedy to mówisz do niej Janice? Wiesz, że ona nie jest po naszej stronie, nie?

– Do cholery, Brian, zamknij się wreszcie – wycedził Colin, sylaba po zjadliwej sylabie. – Przepraszam za mojego brata. Wypił dziś odrobinę za dużo.

– Nie przejmuj się tym. Ale, Colinie, nie jesteś głupi. Wiesz, co mam na myśli, kiedy mówię, że Mackie i jego kumple są dla was poza zasięgiem. Czy to jasne?

Brian zachichotał.

– Brachu, chyba jej się podobasz.

Ta myśl wyraźnie polechtała pijaną część mózgu Colina Duffa.

– Naprawdę? No, co powiesz, Janice? Może byś tak sprowadziła mnie na drogę cnoty? Chciałabyś gdzieś się wybrać? Pokażę ci, jak się można

zabawić.

Janice zauważyła ruch kątem oka i zerknęła do tyłu akurat w porę, by zobaczyć, jak Jimmy Lawson wyciąga policyjną pałkę i rusza w stronę Colina Duffa. Uniosła dłoń, by go powstrzymać, ale sama groźba wystarczyła, by Duff cofnął się lekliwie, szeroko otwierając oczy.

– Hej – zaprotestował.

– Uważaj, co mówisz, ty żałosna kupo gówna – warknął Lawson. Minę miał zaciętą i rozzłoszczoną. – Nigdy, przenigdy, nie odzywaj się tak do funkcjonariusza policji. A teraz zejdź nam z oczu, zanim przekonam posterunkową Hogg do zmiany zdania i zamkniemy was w ciupie na bardzo długi czas – powiedział brutalnie, obnażając zęby.

Janice zachnęła się. Nienawidziła, kiedy inni policjanci czuli potrzebę demonstrowania swojej męskości, broniąc jej honoru.

Colin złapał Briana za ramię.

– Chodź. W środku czeka już na nas piwo. – Odprowadził swojego łypiącego obleśnie brata, zanim ten zdążył narobić im więcej kłopotów.

Janice odwróciła się do Lawsona.

– Nie musiałeś tego robić, Jimmy.

– Nie musiałem? Przystawiał się do ciebie. Nie jest godny lizać ci butów. – Posterunkowy miał głos przesiąknięty pogardą.

– Jestem w pełni zdolna obronić się sama, Jimmy. Radziłam sobie z gorszymi typami niż Colin Duff i nie potrzebowałam do tego ciebie odgrywającego rolę rycerza w lśniącej zbroi. A teraz chodź, odstawimy chłopaka do domu.

Razem zdołali pomóc Weirdowi przejść do samochodu i posadzili go delikatnie na tylnym siedzeniu. Gdy Lawson obchodził auto, idąc do drzwi kierowcy, Janice przerwała milczenie.

– Jimmy... To wyjście na drinka? Myślę, że jednak odpuszczę.

Lawson obrzucił ją długim, twardym spojrzeniem.

– Jak sobie chcesz.

Dojechali do Fife Park w grobowej ciszy. Pomogli Weirdowi dojść do drzwi frontowych, po czym skierowali się z powrotem do samochodu.

– Słuchaj, Janice, przepraszam, jeśli uznałaś, że wyskoczyłem tam z nadmierną siłą. Ale Duff na zbyt wiele sobie pozwalał. Nie można się tak zwracać do funkcjonariusza – odezwał się Lawson.

Janice oparła się o dach auta.

– Pozwalał sobie na zbyt wiele, to prawda. Ale ty nie zareagowałaś w ten sposób dlatego, że obrażał policyjny mundur. Wyciągnąłeś pałkę, bo gdzieś w głowie zrodziła ci się myśl, że jestem twoją własnością, tylko dlatego, że zgodziłam się wyjść z tobą na piwo. A on wkroczył na twoje terytorium. Przykro mi, Jimmy, ale nie potrzebuję teraz w życiu czegoś takiego.

– To wcale nie było tak, Janice.

– Jimmy, zapomnijmy o tym. Bez urazy, dobra?

Rozdrażniony policjant wzruszył ramionami.

– Twoja strata. W końcu nie brakuje mi kobiet do towarzystwa. – Usiadł na fotelu kierowcy.

Janice potrząsnęła głową, niezdolna powstrzymać uśmiechu wypełzającego jej na usta. Mężczyźni – tacy przewidywalni. Wyczuwają pierwszą oznakę feminizmu i od razu dają drapak.

W domu w Fife Park Ziggy badał obrażenia Weirda.

– Mówiłem ci, że to się źle skończy – obsztorcował go, delikatnie obmacując spuchnięte ciało wokół żeber i brzucha przyjaciela. – Wychodzisz pouczyć trochę lekkostrawnego ewangelizmu, a wracasz jak jakiś statysta z *Och! Co za urocza wojenka* z pieśnią na ustach. *Naprzód, żołnierze Chrystusa.*

– To nie miało nic wspólnego z dzieleniem się moim świadectwem wiary – odparł Weird, krzywiąc się z bólu, jaki powodowało mówienie. – Pobili mnie bracia Rosie.

Ziggy przerwał oględziny.

– Bracia Rosie ci to zrobili? – zapytał, marszcząc czoło w zatroskaniu.

– Stałem przed Lammas. Ktoś musiał im o tym powiedzieć. Wypadli ze środka i rzucili się na mnie.

– Cholera. – Ziggy podszedł do drzwi. – Gilly! – zawołał w stronę piętra.

Monda nie było, jak w większość wieczorów od ich powrotu. Czasami zjawiał się na śniadaniu, ale najczęściej nie.

Alex z łomotem zbiegł po schodach i stanął jak wryty na widok pokiereszowanej twarzy Weirda.

– O w mordę! Co ci się stało?

– Bracia Rosie – oznajmił zwięźle Ziggy. Napełnił miskę ciepłą wodą i zaczął delikatnie obmywać twarz Weirda za pomocą kłębków waty.

– Pobili cię? – Alex nic z tego nie rozumiał.

– Oni myślą, że to my ją zabiliśmy – obwieścił Weird. – Au! Nie możesz się ze mną obchodzić trochę ostrożniej?

– Masz złamany nos. Powinieneś iść do szpitala – poradził Ziggy.

– Nienawidzę szpitali. Ty mi go nastaw.

Ziggy uniósł brwi.

– Nie wiem, jak mi to wyjdzie. Możesz skończyć z wyglądem kiepskiego boksera.

– Zaryzykuję.

– Przynajmniej nie złamali ci też szczęki – westchnął Ziggy, pochylając się nad twarzą Weirda. Złapał go za nos obiema dłońmi i przekręcił, próbując powstrzymać mdłości wywołane zgrzytliwymi trzaskami przesuwającej się chrząstki. Weird wrzasnął, ale Ziggy ciągnął dalej. Na górnej wardze zaperlił mu się pot. – No i proszę – oznajmił. – Najlepiej, jak potrafiłem.

– Dzisiaj był pogrzeb Rosie – rzekł Alex.

– Nikt nam nic nie powiedział. – Ziggy był urażony. – To wyjaśnia te podminowane nastroje.

– Nie sądzisz więc, że w następnej kolejności przyjdą po nas? – zapytał Alex.

– Gliny ich postraszyły – powiedział Weird. Coraz ciężiej mu było mówić, w miarę jak jego szczęka sztywniała.

Ziggy obejrzał uważnie swojego pacjenta.

– Powiem ci, Weird, że patrząc na twój stan, modłę się do Boga, żeby ich posłuchali.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

WSZELKIE NADZIEJE, jakie mieli, że śmierć Rosie okaże się tylko chwilową sensacją, rozwiały się po tym, jak artykuły o jej pogrzebie zostały opublikowane w gazetach. Sprawa morderstwa znów była na pierwszych stronach i jeśli nawet jacyś mieszkańcy St. Andrews przegapili pierwsze relacje, trudno by im było to powtórzyć przy następnych sprawozdaniach.

I znów pierwszą ich ofiarą padł Alex. Wracając do domu z supermarketu parę dni później, szedł skrótem wzdłuż dolnej części Ogrodów Botanicznych, gdy nagle Henry Cavendish i jego kumple przebiegli nieopodal w krzepkiej grupie, ubrani w stroje do rugby. Pewnie mieli trening. Gdy tylko dostrzegli Alexa, wygwizdali go, po czym osaczyli i zaczęli popychać i szturchać. Otoczyli go luźnym kołem, przeciągnęli na trawiaste pobocze i przewrócili na rozmokłą ziemię. Alex turlał się, próbując uniknąć dźgnięć ich butów. W ich ataku było mniej zagrożenia prawdziwą przemocą niż w tym, którego doświadczył Weird, więc był raczej wściekły niż przestraszony. Zbłąkany but trafił go w nos i Alex poczuł, jak chlusta z niego krew.

– Odpierdolicie się ode mnie – krzyknął, ocierając z twarzy błoto, krew i topniejący śnieg. – Dlaczego się po prostu wszyscy nie odpierdolicie?

– To wy się powinniście odpierdolić, wstrętny nożowniku. Nikt was tu nie chce.

Cichy głos wtrącił się do tej wymiany zdań.

– A skąd wiesz, że was tu chcą?

Alex starł brud z oczu i zobaczył Jimmy'ego Lawsons stojącego na obrzeżach grupy. Zajęło mu chwilę, zanim poznał go bez munduru, ale poczuł w sercu otuchę, gdy w końcu dotarło do niego, kto im przerwał.

– Zabieraj się stąd – powiedział Edward Greenhalgh. – To nie twoja sprawa.

Lawson sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki z kapturem, wyciągnął legitymację policyjną i otworzył ją od niechcienia.

– Wydaje mi się, że jednak moja. A teraz, jak wasza godność, panowie? Myślę, że trzeba będzie zgłosić tę sprawę władzom uczelni.

Jak za pstryknięciem palców, natychmiast zmienili się znów w małych chłopców. Szurali nogami i wlepiali wzrok w ziemię, mamrocząc pod nosem swoje dane, które Lawson zapisywał w notatniku. W międzyczasie Alex wstał, przemoczony i brudny, i dumął nad szczątkami zakupów. Zawartość butelki mleka rozbryznięła się po całych jego spodniach, a pasta cytrynowa z pękniętego plastikowego słoika ubabrała mu rękaw parki.

Lawson odprawił napastników i teraz patrzył na Alexa z uśmiechem na twarzy.

– Wyglądasz okropnie – zauważył. – Masz szczęście, że akurat tędy przechodziłem.

– Nie jest pan dziś w pracy?

– Nie. Mieszkam tuż za rogiem. Wskoczyłem tylko szybko nadać parę listów. Chodź, pójdziemy do mnie, żebyś mógł się trochę ogarnąć.

– To bardzo miło z pana strony, ale nie trzeba.

Lawson wyszczerzył zęby.

– Nie możesz się przechadzać po St. Andrews w takim stanie. Pewnie by cię aresztowano za straszenie golfistów. Poza tym cały się trzęsiesz. Potrzebujesz filiżanki herbaty.

Alex nie zamierzał się z nim sprzeczać. Temperatura szybko spadała znów w okolice zera, a jemu nie uśmiechał się marsz do domu

w kompletnie przemoczonych ciuchach.

– Dzięki – powiedział.

Skręcili w całkiem nową ulicę, tak nową, że wciąż nie miała jeszcze położonych chodników. Domy na pierwszych kilku działkach były gotowe, ale za nimi znajdowały się place budowy w coraz mniejszym stadium ukończenia robót. Lawson przeszedł koło ukończonych domów i zatrzymał się przy przyczepie kempingowej zaparkowanej w miejscu, które kiedyś zmieni się we frontowy ogródek. Za nią cztery ściany i drewniana więźba dachowa pokryta brezentem obiecywały na przyszłość coś bardziej imponującego niż czteroosobowa przyczepa.

– Sam go buduję – pochwalił się Lawson, przekręcając klucz w drzwiach do swego lokum. – Tak jak cała ulica. Wszyscy wnosimy swoje umiejętności i pracę w budowę każdego z tych domów. W ten sposób będę miał rezydencję godną nadinspektora przy wypłacie posterunkowego. – Wspiął się do przyczepy. – Ale na razie mieszkam tutaj.

Alex podążył za nim. W środku było przytulnie. Przenośny grzejnik gazowy dmuchał suchym, ciepłym powietrzem w ograniczoną przestrzeń. Alexowi zaimponował panujący w przyczepie porządek. Większość samotnych mężczyzn, których znał, mieszkała w chlewach, ale siedziba Lawsons była nieskazitelna. Chromowane elementy lśniły. Ściany i sufit były czyste i odświeżone, zasłonki jasne i elegancko związane. Żadnego bałaganu. Wszystkie rzeczy zostały równo poukładane: książki na półkach, kubki na kołkach, kasety w pudełku; rysunki architektoniczne wisiały oprawione w ramki na przegrodach. Jedynym śladem, że ktoś tu mieszkał, był ronderek bulgoczący na kuchence. Zapach zupy z soczewicy otulił serce Alexa.

– Bardzo tu miło – oznajmił, chłonąc cały obraz.

– Jest trochę ciasno, ale jeśli się wszystko utrzymuje w czystości, człowiek nie czuje się zbyt klaustrofobicznie. Zdejmij kurtkę, powiesimy

ją przy grzejniku. Będziesz chciał umyć twarz i ręce. Łazienka jest tam, zaraz za kuchenką.

Alex wszedł do maleńkiej kabiny i spojrzął w lustro nad miniaturowym zlewem. Boże, jak on wyglądał. Zasnęta krew, błoto. I cytrynowy krem żelujący mu włosy w szpice. Nic dziwnego, że Lawson namawiał go, by tu przyszedł i doprowadził się do porządku. Nalał wody do zlewu i wyszorował się do czysta. Gdy wyłonił się z łazienki, policjant pochylał się nad palnikiem.

– O wiele lepiej. Usiądź przy grzejniku, to szybko wyschniesz. Herbaty? A może miałbyś ochotę na trochę domowej zupy?

– Zupa brzmi świetnie. – Alex przycupnął przy grzejniku, tak jak mu polecono, podczas gdy Lawson nakładał chochlą do miski parującą złotawożółtą zupę z pływającymi w niej kawałkami golonki. Postawił ją przed chłopakiem i wręczył mu łyżkę. – Nie chcę być niegrzeczny, ale dlaczego w zasadzie jest pan dla mnie taki miły? – zapytał Alex.

Lawson usiadł naprzeciwko niego i zapalił papierosa.

– Bo żal mi ciebie i twoich przyjaciół. Zrobiliście tylko to, co powinien zrobić każdy przykładowy obywatel, a teraz chcą wam przykleić łatkę złoczyńców. Czuję się też chyba częściowo odpowiedzialny. Gdybym wyszedł na patrol, zamiast siedzieć opatulony w samochodzie, może złapałbym tego gościa na gorącym uczynku. – Odchylił głowę do tyłu i wypuścił kłąb dymu w powietrze. – Dlatego właśnie uważam, że to nie był nikt miejscowy. Każdy, kto wie, jak ta okolica wygląda w nocy, ma świadomość, że często w pobliżu parkuje radiowóz. – Lawson skrzywił się. – Nie dostajemy dość dodatku na benzynę, żeby jeździć po mieście przez całą noc, więc musimy gdzieś przystawać.

– Czy MacLennan wciąż uważa, że to mogliśmy być my?

– Nie wiem, co on uważa, synku. Będę z tobą szczery. Utknęliśmy w martwym punkcie. I dlatego wasza czwórka znalazła się na linii ognia.

Duffowie są żądni waszej krwi, a z tego, co właśnie widziałem, nawet twoi koledzy zwrócili się przeciwko tobie.

Alex prychnął.

– To nie byli moi koledzy. Naprawdę zamierza pan zgłosić ten incydent?

– A chcesz, żebym to zrobił?

– Nie do końca. Wtedy po prostu znajdą inny sposób, żeby się na mnie odegrać. Nie sądzę, że będą nas dalej zaczepiać. Będą zbyt przerażeni, że mamusia i tatuś się o tym dowiedzą i wstrzymają im kieszonkowe. Bardziej się martwię Duffami.

– Myślę, że oni też zostawią was w spokoju. Moja koleżanka po fachu nagadała im do słuchu. Twój kumpel Mackie niestety trafił na ich chwilę słabości. Byli bardzo rozeźleni po pogrzebie.

– W sumie to ich nie winię. Ale nie chcę dostać takiego manta jak Weird.

– Weird? To znaczy pan Mackie? – Lawson zmarszczył czoło.

– Tak. To przezwisko ze szkoły. Z piosenki Davida Bowiego.

Lawson pokazał zęby w uśmiechu.

– No jasne. Ziggy Stardust i Pajaki z Marsa. To znaczy, że ty jesteś Gilly, tak? A Sigmund to Ziggy.

– Brawo.

– Nie jestem wiele starszy od was. Ale jak w takim razie wpasowuje się w to pan Kerr?

– On nie przepada za Bowiem. Woli Floydów. Dlatego mówimy na niego Mondo. Od *crazy diamond*. Rozumie pan?

Lawson skinął głową.

– A tak w ogóle, to pyszna ta zupa.

– Przepis mojej matki. Pewnie długo jesteście przyjaciółmi?

– Poznaliśmy się pierwszego dnia liceum. Od tamtej pory jesteśmy nierozłączni.

– Każdy potrzebuje przyjaciół. To tak jak w mojej robocie. Pracuje się z tymi samymi ludźmi przez jakiś czas i stają się dla ciebie jak bracia. Poświęciłoby się dla nich życie, gdyby zaszła taka potrzeba.

Alex uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Wiem, co pan chce przez to powiedzieć. Z nami jest tak samo. – Czy raczej kiedyś było, pomyślał, czując, jak serce mu się ściska. W tym semestrze sprawy miały się inaczej. Weird częściej bywał poza domem niż w nim. Czas spędzał z Bożą Brygadą. A tylko Bóg wie, gdzie zazwyczaj znikał Mondo. Alex nagle zdał sobie sprawę, że nie tylko Duffowie płacili emocjonalną cenę z powodu śmierci Rosie.

– Zatem nie mielibyście oporów, by skłamać dla siebie nawzajem, gdybyście uznali, że to konieczne?

Łyżka, którą Alex unosił do ust, zastygła w połowie drogi. A więc to o to mu chodziło. Odsunął od siebie miskę, wstał i sięgnął po kurtkę.

– Dziękuję za zupę – powiedział. – Już mi lepiej.

Ziggy rzadko czuł się samotny. Jako jedynak był przyzwyczajony do własnego towarzystwa i nigdy nie brakowało mu rozrywek. Jego matka zawsze patrzyła na innych rodziców jak na szaleńców, gdy narzekali, że ich dzieci nie wiedzą, co ze sobą zrobić w czasie szkolnych wakacji. Nuda nigdy nie była problemem, z którym ona musiała się zmagać.

Ale dzisiejszego wieczoru samotność wsączyła się do małego domku w Fife Park. Ziggy miał mnóstwo pracy, którą mógłby zająć myśli, ale choć raz tym, czego pragnął, było towarzystwo. Weird wyszedł ze swoją gitarą, by uczyć się, jak wychwalać Boga za pomocą trzech akordów. Alex wrócił w ponurym nastroju po burdzie z Anglikami i spotkaniu z tym gliną Lawsonem, które nieprzyjemnie się skończyło. Przebrał się w czyste ubranie i zaraz wybył na jakiś wykład ze slajdami na temat weneckich malarzy. Mondo też był poza domem i pewnie właśnie zaliczał jakąś laskę.

No, to był jakiś pomysł. Ostatni raz uprawiał seks na długo przed tym, jak znaleźli Rosie Duff. Pojechał na wieczór do Edynburga, by spędzić go w jedynym pubie chętnie przyjmującym gejów, w którym kiedykolwiek był. Stał przy barze, sącząc piwo, i ukradkiem zerkał na prawo i lewo, pilnując, by nie nawiązać z nikim kontaktu wzrokowego. Po upływie mniej więcej pół godziny dołączył do niego mężczyzna wyglądający na dwadzieścia kilka lat. Miał dzinsowe spodnie, koszulę i kurtkę. Przystojny, w typie twardziela. Rozpoczął rozmowę i skończyła się tak, że odbyli pospieszny, lecz satysfakcjonujący stosunek, opierając się o ścianę w toalecie. Było po sprawie na długo przed odjazdem ostatniego pociągu do domu.

Ziggy pragnął czegoś więcej niż anonimowe przygody z nieznanymi, które stanowiły jego jedyne seksualne doświadczenia. Chciał tego, co jego heteroseksualni przyjaciele dostawali pozornie bez wysiłku. Chciał zalotów i romantyczności. Chciał kogoś, z kim mógłby dzielić intymne chwile nieograniczające się do wymiany płynów ustrojowych. Chciał chłopaka, kochanka, partnera. I nie miał pojęcia, jak kogoś takiego znaleźć.

Na uniwersytecie istniało Stowarzyszenie Gejów, tyle wiedział. Z jego obserwacji wynikało jednak, że składało się z jakiegoś pół tuzina chłopaków, którzy zdawali się niemal rozkoszować kontrowersją bycia rozpoznawanymi jako homoseksualiści. Idee Ruchu Wyzwolenia Gejów interesowały Ziggy'ego, ale gdy patrzył na członków stowarzyszenia afiszujących się po kampusie, zrozumiał, że nie angażowali się oni poważnie w politykę. Po prostu lubili, kiedy było o nich głośno. Ziggy nie wstydził się swojej orientacji, ale nie chciał, by ludzie oceniali go wyłącznie przez jej pryzmat. Poza tym miał ambicje zostać lekarzem i żywił słuszne podejrzenia, że jego kariera geja-aktywisty nie pomogłaby mu w osiągnięciu celu.

Zatem na razie jedynym ujściem dla jego uczuć były niezobowiązujące flirty.

Z tego, co wiedział, w St. Andrews nie było pubów, w których miałyby szansę znaleźć to, czego szukał. Istniało jednak parę miejsc, gdzie przechadzali się mężczyźni gotowi na anonimowy seks z obcym człowiekiem. Wadą tego rozwiązania był fakt, że spotkania odbywały się pod gołym niebem, a przy tej pogodzie nie znajdzie się wielu chętnych, by stawić czoła aurze. Mimo to na pewno nie był jedynym facetem w St. Andrews, który chciał tej nocy zaznać seksu.

Ziggy włożył swój kożuch, zawiązał buty i wyszedł w przeraźliwie mroźną noc. Żwawym krokiem w piętnaście minut dotarł na tyły zrujnowanej katedry. Przeszedł przez ulicę The Scores, kierując się do pozostałości kościoła mariackiego. W cieniu zawałonych ścian często czaili się mężczyźni, udając, że wyszli tam tylko na wieczorny spacer obejmujący odrobinę dziedzictwa kulturowego. Ziggy wyprostował ramiona i postarał się wyglądać swobodnie.

*

W dole przy przystani Brian Duff brał udział w popijawie z kumplami. Nudzili się. I byli akurat na tyle zaprawieni, że chcieli coś z tym zrobić.

– Co za piekielna nuda – narzekał najlepszy druh Briana, Donny. – I jeszcze jesteśmy zbyt spłukani, żeby iść gdzieś, gdzie można się porządnie zabawić.

Ta sama skarga pobrzmiwała w grupie przez jakiś czas. Wtedy Kenny doświadczył nagłej aktywności mózgu.

– Wiem, co możemy zrobić. Będzie i zabawa, i kasa. I żadnych problemów po fakcie.

– No, co to takiego? – ożywił się Brian.

– Chodźmy obrobić parę ciot.

Spojrzeni na niego, jakby mówił w suahili.

– Co? – zapytał Donny.

– Będzie kupa śmiechu. A oni będą mieli przy sobie forszę. No i nie będą się za bardzo stawiać. To banda mięczaków.

– Chcesz iść okradać ludzi? – W głosie Donny’ego zabrzmiały wątpliwości.

Kenny wzruszył ramionami.

– To pedały, więc się nie liczą. A poza tym nie pobiegną zaraz po gliny, nie? Bo wtedy będą musieli im wytłumaczyć, czemu kręcili się po nocy przy starym kościele.

– Może być ubaw – wybełkotał Brian. – Napędzimy stracha jebanym ciotom – zachichotał. – Pewnie się posrają ze strachu. Ktoś będzie miał dzisiaj pecha. – Obalił do końca swoje piwo i wstał. – No to do dzieła. Czemu jeszcze siedzicie?

Chwiejnie ruszyli w ciemności, trącając się w żebra i rechocząc. Krótki spacerek ulicą The Shore i już byli przy ruinach. Półksiężyc wychynął zza niespokojnych chmur, posrebrzając morze i oświetlając im drogę. Gdy podeszli bliżej, uciszyli się i zaczęli stąpać na palcach. Okrążyli róg budynku. Pusto. Podkradli się z boku i wślizgnęli przez zawalone wejście do środka. Tam, we wnęce, znaleźli to, czego szukali.

Jeden mężczyzna opierał się o ścianę z odchyłoną do tyłu głową, wydając jęki rozkoszy. Przed nim klęczał drugi, poruszając rytmicznie głową.

– No, no, no – wybełkotał Danny. – A co my tu mamy?

Zaskoczony Ziggy odwrócił głowę, wpatrując się z przerażeniem w swój najgorszy koszmar.

Brian Duff podszedł o krok bliżej.

– To będzie dla mnie naprawdę świetna rozrywka.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ZIGGY NIGDY W ŻYCIU tak się nie bał. Podniósł się niezdarnie i cofnął, ale Brian już był przy nim i złapał go za poję kożucha. Przycisnął go do ściany, aż Ziggy'emu zabrakło tchu w piersi. Donny i Kenny stali niezdecydowani, gdy drugi z mężczyzn pospiesznie zapiął rozporek, po czym dał nogi za pas.

– Brian, chcesz, żebyśmy za nim pobiegli? – zapytał Kenny.

– Nie, ten się nada idealnie. Wiecie, co to za obleśny pedał?

– Nie – odparł Donny. – Kto to?

– Och, tylko jeden z tych gnojów, co zabili Rosie. – Brian zacisnął dłoń w pięści, wzrokiem prowokując Ziggy'ego, by spróbował uciec.

– Nie zabiliśmy Rosie – zaprotestował Ziggy, ze strachu nie mogąc powstrzymać drżenia w głosie. – Próbowałem ją ratować.

– No tak, zaraz po tym, jak ją zgwałciłeś i zadźgałeś. Co, próbowałeś udowodnić tym swoim kumplom, że jesteś prawdziwym mężczyzną, a nie pedziem? – krzyknął Brian. – No to słuchaj, przyszedł czas na spowiedź. Powiesz mi teraz prawdę o tym, co się stało z moją siostrą.

– Cały czas mówię ci prawdę. Nie zrobiliśmy jej najmniejszej krzywdy.

– Nie wierzę ci. I zmuszę cię, żebyś mi powiedział, co tam się naprawdę stało. Już ja się o to postaram. – Nie odrywając oczu od Ziggy'ego, zwrócił się do swego kolegi. – Kenny, leć na przystań i przynieś mi linę. Tylko długą.

Ziggy nie miał pojęcia, co go czeka, ale wiedział, że nie będzie to nic przyjemnego. Jego jedyną szansą, by się z tego wykaraskać, była

rozmowa.

– To nie jest dobry pomysł – oznajmił. – Nie zabiłem twojej siostry. Wiem też, że gliny już cię ostrzegały, żebyś zostawił nas w spokoju. Nie myśl, że tego nie zgłoszę.

Brian wybuchnął śmiechem.

– Masz mnie za idiotę? Co, pójdziesz na policję i powiesz: „Proszę, panie władzo, ciągnąłem właśnie druta takiej jednej piździe i nagle przyszedł Brian Duff i mnie sponiewierał”? Masz mnie chyba za durnia. Nie piśniesz o tym nikomu ani słowa, bo wtedy wszyscy się dowiedzą, że lubisz w dupę.

– Nie obchodzi mnie to – odparł Ziggy. W tym momencie wydawało mu się to mniej strasznym losem niż jakakolwiek kara wymierzona przez niekontrolowanego Briana Duffa. – Zaryzykuję. Naprawdę chcesz przysporzyć swojej matce kolejnych zmartwień?

Zdał sobie sprawę, że się przeliczył, gdy tylko wyrzekł te słowa. Twarz Briana stężała. Uniósł rękę i spoliczkował Ziggy'ego tak mocno, że ten usłyszał, jak strzeliły mu kręgi szyjne.

– Nie waż się gadać o mojej matce, lachociągu. Nigdy nie miała żadnych zmartwień, dopóki wy, dranie, nie zamordowaliście mi siostry. – Uderzył go znów na odlew. – Przyznaj się. Wiesz, że prędzej czy później będziesz musiał za to zapłacić.

– Nie zamierzam się przyznać do czegoś, czego nie zrobiłem – wykrztusił Ziggy. Czuł smak krwi. Wnętrze jego policzka rozdarła ostra krawędź któregoś zęba.

Brian wziął zamach i walnął go w brzuch z całą swą znaczną siłą. Ziggy zgiął się wpół, próbując ustać na nogach. Zwymiotował gwałtownie ciepłą zawartość żołądka, obryzgując sobie stopy. Próbując złapać oddech, poczuł za plecami szorstki kamień, jedyną rzecz, która wciąż trzymała go w pionie.

– Gadaj – syknął Brian.

Ziggy zamknął oczy.

– Nie mam ci nic do powiedzenia – wyrzęził.

Zanim wrócił Kenny, otrzymał jeszcze kilka ciosów. Nie wiedział, że dało się przeżywać tak wielkie katusze i przy tym nie zemdleć. Krew spływała mu po brodzie z rozciętej wargi, a nerki wysyłały ostre dźgnięcia piekielnego bólu po całym ciele.

– Co tak długo? – warknął Brian. Szarpnął Ziggy’ego za rękę, wyciągając je do przodu. – Zwiąż mu nadgarstki jednym końcem – nakazał Kenny’emu.

– Co chcesz ze mną zrobić? – zapytał Ziggy przez spuchnięte usta.

Brian wyszczerzył zęby.

– Zmuszę cię do gadania, zjebie.

Gdy Kenny wykonał polecenie, Brian wziął od niego linę. Zrobił pętlę, obwiązał Ziggy’ego w pasie i zacisnął ją mocno. Teraz Ziggy miał ręce dociśnięte do ciała i nie mógł nimi ruszać.

Brian szarpnął za linę.

– Rusz się, mamy sprawę do załatwienia.

Ziggy zaparł się piętami, ale Donny złapał za sznur wraz z Brianem i pociągnęli tak mocno, że prawie zbili go z nóg.

– Kenny, sprawdź, czy nikogo tam nie ma – polecił Duff.

Kenny wybiegł przez łukowate wejście. Spojrzał w górę The Scores. Ani śladu innych ludzi. Było za zimno na spacer dla przyjemności i wciąż za wcześnie na ostatnie wyjścia z psami.

– Nikogo nie widać, Bri – zawołał cicho.

Brian i Donny wyszli z ruin kościoła, ciągnąc linę.

– Szybciej – ponaglił Donny’ego Brian.

Potruchtali w górę The Scores. Ziggy desperacko starał się utrzymać równowagę, równocześnie szarpiąc dłońmi za linę, by sprawdzić, czy uda mu się wyswobodzić. Co, do diabła, oni chcieli mu zrobić? Trwał przypiływ. Chyba nie zamierzali opuścić go na linie do wody? Ludzie

umierali w Morzu Północnym w ciągu paru minut. Cokolwiek mieli w planie, instynktownie wiedział, że będzie to gorsze niż najokropniejsza rzecz, jaką potrafił sobie wyobrazić.

Ziemia uciekła mu spod stóp bez ostrzeżenia i Ziggy potoczył się, obracając kilka razy, aż uderzył w nogi Briana i Donny'ego. Rozgrzmiały przekleństwa, potem poczuł na sobie ich dłonie, podnoszące go brutalnie. Popchnęli go twarzą prosto na jakąś ścianę. Ziggy powoli zaczął się orientować w okolicy. Znajdowali się na ścieżce biegnącej wzdłuż muru otaczającego zamek. Nie było to średniowieczne obwarowanie, tylko współczesna bariera, mająca za zadanie odstraszać wandalów i kochanków. Czyżby chcieli go zabrać do środka i powiesić z blanek?

– Co my tu robimy? – zapytał z niepokojem Donny. Nie był pewien, czy da radę wcielić w życie plan Briana, bez względu na to, na czym miałby on polegać.

– Kenny, dawaj za mur – polecił Brian.

Kenny, przyzwyczajony, że to Duff zawsze dowodzi, zrobił, co mu kazano. Wdrapał się na prawie dwumetrowy mur i zniknął po jego drugiej stronie.

– Rzucam linę, Kenny! Złap ją i trzymaj – zawołał Brian, po czym odwrócił się do Donny'ego. – Będziemy musieli go przerzucić. To będzie jak rzut kłodą, tylko taką, co ma dwie ręce.

– Złamiecie mi kark – zaprotestował Ziggy.

– Nie, jeśli będziesz ostrożny. Podsadzimy cię. Jak już będziesz na górze, możesz się odwrócić i spaść w kontrolowany sposób.

– Nie dam rady.

Brian wzruszył ramionami.

– Twój wybór. Możesz polecieć głową naprzód albo nogami, ale polecisz tak czy siak. No chyba że jesteś w końcu gotowy wyznać mi prawdę.

– Powiedziałem ci prawdę! – zawołał Ziggy. – Musisz mi uwierzyć!

Brian pokręcił głową.

– Poznam prawdę, jak ją usłyszę. Donny, wszystko gra?

Ziggy rzucił się do ucieczki, ale złapali go w okamgnieniu. Potem obrócili go gwałtownie tak, że przed oczami miał mur. Złapali go za nogi, każdy za jedną, i niepewnie dźwignęli. Ziggy nie ośmielił się wyrywać. Wiedział, jak krucha jest osłona kręgosłupa u podstawy czaszki, a nie chciał skończyć jako paraplegik. Zawisł przewieszony przez mur jak worek ziemniaków. Powolutku, z nieskończoną ostrożnością, obracał się centymetr po centymetrze, aż udało mu się spuścić jedną nogę po drugiej stronie obwarowania. Potem, jeszcze wolniej, przesuwiał się dalej, aż zdołał oprzeć drugą nogę na szczycie muru. Zdarte kłykcie zapiekły go świeżym bólem promieniującym aż do ramion.

– No dalej, pedale – zawołał niecierpliwie Brian. Skoczył na mur i w ciągu paru sekund siedział już koło stopy Ziggy’ego. Zepchnął ją bez ceregieli, wytrącając chłopaka z równowagi. Ziggy poczuł, jak jego pęcherz oddaje swą zawartość, gdy on spadał. Przerazenie podwyższało jego poziom adrenaliny jeszcze bardziej. Wylądował ciężko na stopach. Kolana i kostki ugięły się pod nim z wysiłku. Padł, zwinięty, na ziemię. Łzy upokorzenia i bólu zapiekły go w oczy.

Brian zeskoczył koło niego.

– Nieźle, Kenny – powiedział, ujmując z powrotem linę.

Donny wystawił twarz ponad murem.

– Zamierzacie mi powiedzieć, co się tam dzieje? – zażądał.

– I zepsuć niespodziankę? Nic z tego. – Brian szarpnął linę. – Ruchy, pojebie. Pójdziemy na spacer.

Wdrapali się na trawiaste zbocze, kierując się w stronę niskiego kikuta wschodniej ściany zrujnowanego zamku. Ziggy potknął się i upadł parę razy, ale zawsze wyciągały się ku niemu ręce gotowe postawić go na nogi. Przeszli przez dziurę w ścianie i znaleźli się na dziedzińcu. Księżyc wysunął się zza chmury i skąpał ich w upiornej poświacie.

– Ja i mój brat uwielbialiśmy tu przychodzić, kiedy byliśmy dziećmi – zwierzył się Brian i zwolnił kroku. Teraz szedł niespiesznym tempem. – To kościół postawił ten zamek, nie król. Wiedziałaś o tym, dupodajcu?

Ziggy pokręcił głową.

– Nigdy tu wcześniej nie byłem.

– A powinieneś. To świetne miejsce. Mają tu historyczny podkop z czasów oblężenia i kontrpodkop wydrążony w odpowiedzi przez obrońców. Dwa najwspanialsze przykłady wojskowej inżynierii na całutkim świecie.

Zmierzali w stronę północnej części; po prawej mieli Wieżę Kuchenną, a po lewej Basztę Morską.

– Co to było za miejsce. Rezydencja, ale też forteca. – Brian odwrócił się do Ziggy’ego i szedł teraz tyłem. – I więzienie.

– Dlaczego mi o tym mówisz? – zapytał Ziggy.

– Bo to ciekawe. Zamordowali tu też kardynała. Zabili go i powiesili jego nagie ciało na murze. Założę się, że nic takiego nie przyszło ci do głowy, co, cioto?

– Nie zabiłem twojej siostry – powtórzył Ziggy.

Doszli już do wejścia do Baszty Morskiej.

– Na dolnym poziomie są tu dwie sklepione komnaty – mówił konwersacyjnym tonem Brian, prowadząc ich do środka. – Wschodnia zawiera coś niemal równie interesującego jak podkopy. Wiesz, co to może być?

Ziggy stał w milczeniu, ale Kenny odpowiedział za niego.

– Chyba nie zamierzasz go wrzucić do Butelkowego Lochu?

Brian wyszczerzył zęby.

– Brawo, Kenny. Dostajesz najwyższą ocenę w klasie. – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej zapalniczkę. – Donny, daj mi twoją gazetę.

Donny wyjął z wewnętrznej kieszeni egzemplarz „Evening Telegraph”. Brian zwinął go ciasno i podpalił jeden koniec, po czym

wszedł do wschodniej komnaty. W świetle prowizorycznej pochodni Ziggy dostrzegł otwór w ziemi przykryty masywną żelazną kratą.

– Wycięli dziurę w skale. Ma kształt butelki. Długo się tam spada – oznajmił Brian.

Donny i Kenny wymienili spojrzenia. Sytuacja robiła się zbyt poważna jak na ich gust.

– Brian, zaczekaj – zaproponował Donny.

– Co znowu? Sami mówiliście, że pedały się nie liczą. No już, pomóżcie mi. – Duff przywiązał koniec sznura do kraty. – Trzeba będzie całej naszej trójki, żeby to podnieść.

Chwycili mocno żelastwo, gotując się do zadania. Stęknęli, wyężdżając siły. Przez długą, szczęśliwą minutę Ziggy był przekonany, że nie zdołają podnieść kraty. W końcu jednak metal zazgrzytał okropnie o kamień i ustąpił. Jego oprawcy przesunęli kratę na bok i jak jeden mąż odwrócili się, by na niego spojrzeć.

– Masz mi coś do powiedzenia? – spytał apodyktycznie Brian Duff.

– Nie zabiłem twojej siostry – odparł Ziggy, teraz czując desperację.
– Naprawdę myślisz, że ujdzie ci to na sucho, jeśli wrzucisz mnie do lochu i zostawisz, kurwa, na śmierć?

– W zimie zamek jest otwarty w weekendy. To tylko parę dni czekania. Nie umrzesz. No, chyba nie. – Brian szturchnął Donny'ego w zębra i parsknął śmiechem. – Dobra, chłopaki, zrzucamy go.

Opadli go całą grupą i brutalnie przenieśli do wąskiej dziury. Wierzgał jak szalony i skręcał się w ich uścisku, ale trzech na jednego, sześć rąk przeciwko zeru... nie miał żadnych szans. W ciągu paru sekund posadzili go na skraju okrągłego otworu tak, że jego nogi dyndały w dole.

– Nie róbcie tego – zaskomlił. – Proszę, nie róbcie tego. Wsadzą was za to do więzienia na bardzo długi czas. Nie róbcie tego. Błagam. – Pociągnął nosem, starając się nie zalać łzami paniki, które dławily go w gardle. – Błagam was.

– Po prostu powiedz mi prawdę – rzekł Brian. – To twoja ostatnia szansa.

– Ja nigdy... – zaszlochał Ziggy. – Nigdy.

Brian kopnął go w krzyż, posyłając go w mgnieniu oka o jakiś metr w dół. Ramiona Ziggy'ego obijały się boleśnie o kamienne ściany wąskiego leja. Potem zatrzymał się z szarpnięciem, a lina wgryzła mu się okrutnie w brzuch.

Śmiech Briana rozbrzmiał echem wokół niego.

– Myślałeś, że zrzucimy cię na sam dół?

– Proszę – załkał Ziggy. – Nie zabiłem jej. Nie wiem, kto to zrobił. Proszę...

Znowu zaczął się ruszać: opuszczali go na linie w krótkich zrywach. Pomyślał, że sznur przerznie go na pół. Słyszał ciężkie oddechy mężczyzn nad sobą, sporadyczne przekleństwa, gdy lina oparzyła nieostrożną dłoń. Z każdą chwilą opadał coraz głębiej w mrok, a nikłe migotanie z góry gasło w zawilgłym, mroźnym powietrzu.

Zdawał się tak spadać w nieskończoność. W końcu poczuł różnicę w jakości powietrza wokół siebie i przestał uderzać o ściany. Wypadł już z szyjki i teraz butelka rozszerzała się. Oni naprawdę zamierzają to zrobić. Naprawdę chcą go tu zostawić.

– Nie! – wrzasnął ile sił w płucach. – Nie!

Zaszurał palcami stóp o ziemię i lina miłosiernie przestała wpijać mu się w brzuch. Sznur nad nim poluzował się nieco. Z góry dobiegł go dysonansowy, bezcielesny głos, odbijający się echem od skał.

– Ostatnia szansa, pedale. Przyznaj się, to cię wyciągniemy.

To by było takie proste. Ale podobne kłamstwo zaprowadziłoby go w beznadziejne miejsce. Ziggy nie był w stanie nazwać się mordercą nawet po to, by ratować skórę.

– Mylisz się – krzyknął z głębi swoich obitych płuc.

Lina wylądowała mu na głowie, jej smagające zwoje okazały się zaskakująco ciężkie. Usłyszał ostatni szyderczy śmiech i zapadła cisza. Całkowita, przytłaczająca cisza. Błysk światła z ujścia szybu zgasł. Został uwięziony w czerni. Nie miało znaczenia, jak mocno wyteżał wzrok; nie mógł dojrzeć absolutnie nic. Pogrążyli go w kompletnej ciemności.

Ziggy powoli zaczął przesuwać się w bok. Nie dało się stwierdzić, w jakiej odległości od niego znajdowały się ściany, a on nie chciał wpaść swą pokiereszowaną twarzą prosto w twardą skałę. Przypomniało mu się, jak czytał o ślepych białych krabach, które ewoluowały w podziemnej jaskini. Chyba gdzieś na Wyspach Kanaryjskich, uznał. Żyły w ciemnościach od tak wielu pokoleń, że zmysł wzroku okazał się dla nich zbędny. Tym właśnie się stał – ślepy m białym krabem sunącym w bok w nieprzeniknionym mroku.

Natrafił na ścianę szybciej, niż się spodziewał. Odwrócił się i dotknął czubkami palców ziarnistego piaskowca. Z trudem próbował nie poddać się panice przez koncentrowanie się na otaczającym go środowisku fizycznym. Nie mógł sobie pozwolić na spekulowanie, jak długo będzie tu siedział. Oszalałby, rozkleił się kompletnie. Rozbiłby sobie głowę na kamieniu na samą myśl o tym, co mogło się wydarzyć. Przecież nie zostawiliby go tutaj na śmierć? Brian Duff mógłby, ale Ziggy nie uważał, że jego kumple tak by zaryzykowali.

Odwrócił się plecami do ściany i powoli osunął się po niej, aż usiadł na zimnym podłożu. Bolało go całe ciało. Nie sądził, żeby cokolwiek mu złamali, ale teraz już wiedział, że nie trzeba mieć pogruchotanych kości, by cierpieć ból wymagający poważnego znieczulenia.

Był też świadomy, że nie może sobie pozwolić na bierne czekanie. Jeśli nie będzie się ruszał, ciało mu zesztynnieje i będą go nękały skurcze stawów. Przy takiej temperaturze umrze z powodu wyziębienia, o ile nie uda mu się utrzymać krążenia krwi, a on nie miał zamiaru dać tym barbarzyńskim draniom satysfakcji. Musi uwolnić ręce. Pochylił głowę tak

nisko, jak tylko mógł, krzywiąc się z bólu promieniującego z obitych żeber i kręgosłupa. Wyciągając ręce na tyle daleko, na ile pozwalała mu lina, mógł ledwo, ledwo sięgnąć zębami do zawiązanego na jej końcu węzła.

Z bezszelestnymi łzami bólu i żalu nad sobą skapującymi mu z nosa Ziggy rozpoczął najważniejszą bitwę w swoim życiu.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

GDY ALEX WRÓCIŁ DO DOMU, z zaskoczeniem stwierdził, że było w nim pusto. Ziggy nie wspominał, że będzie gdzieś wychodził, i Alex założył, że przyjaciel zaplanował sobie pracę na wieczór. A może poszedł się spotkać z jakimś kolegą z medycyny. Może Mondo wrócił i wyszli razem na piwo. W zasadzie się nie martwił. Nie miał powodu przypuszczać, że coś złego przydarzyło się Ziggy'emu tylko dlatego, że sam był wcześniej nękanym przez Cavendisha i jego bandę.

Przygotował sobie kawę i stertę tostów. Usiadł przy stole w kuchni i rozłożył przed sobą notatki z wykładu. Zawsze miał problemy z wyraźnym odróżnianiem w głowie weneckich malarzy, ale dzisiejszy pokaz slajdów wyjaśniał pewne elementy i Alex chciał mieć pewność, że wszystkie je wychwytił. Bazgrolił coś właśnie na marginesie, gdy Weird wpadł do kuchni, emanując najszczerzą jowialnością.

– Ho ho, co to był za wieczór! – zachwycił się. – Lloyd przeprowadził wybitnie inspirującą lekcję o Liście św. Pawła do Efezjan. Niesamowite, ile on potrafi wyciągnąć z tego tekstu.

– Cieszę się, że miło spędziłeś czas – odparł z roztargnieniem Alex.

Powroty Weirda były równie powtarzalne, co dramatyczne, odkąd zaczął przestawać z chrześcijanami. Alex już dawno przestał zwracać na nie uwagę.

– Gdzie Zig? Uczy się?

– Gdzieś poszedł. Nie wiem gdzie. Jeśli gotujesz wodę, poproszę o jeszcze jedną kawę.

Woda w czajniku dopiero co zawrzała, gdy usłyszeli, jak otwierają się drzwi frontowe. Ku ich zdziwieniu do domu wszedł nie Ziggy, lecz Mondo.

– Witaj, nieznajomy – rzekł Alex. – Wyrzuciła cię?

– Panikuje nad jakimś wypracowaniem – odparł Mondo, sięgając po kubek, by wsypać do niego kawę. – Gdybym tam został, nie mógłbym zasnąć przez jej jęki. Pomyślałem więc, że zaszczycę was moją obecnością. Gdzie Ziggy?

– Nie wiem. Czyż jestem stróżem brata mego?

– Księga Rodzaju, rozdział czwarty, wers dziewiąty – wtrącił Weird, zadowolony z siebie.

– Na litość boską, Weird – zdenerwował się Mondo. – Jeszcze ci nie przeszło?

– Jezus tak po prostu nie przechodzi, Mondo. Ale nie oczekuję, że zrozumie to ktoś tak płytki jak ty. Ty wielbisz fałszywych bogów.

Mondo wyszczerzył zęby.

– Może. Ale ta moja bogini wspaniale robi laskę.

Alex jęknął.

– Nie mogę tego dłużej słuchać. Idę do łóżka.

Zostawił ich docinających sobie nawzajem, by rozkoszować się ciszą pokoju, który miał teraz cały dla siebie. Uczelnia nie przysłała nikogo na miejsce Cavendisha i Greenhalgha, więc wprowadził się do pomieszczenia, które wcześniej służyło Henry’emu za sypialnię. Zatrzymał się na progu i zerknął na pokój muzyczny. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio zgromadzili się tam wszyscy i zagrali coś razem. Przed tym semestrem rzadko trafiał się dzień, w którym nie usiedliby poimpro wizować przez pół godziny albo i dłużej. Ale to również się skończyło, razem z ich zażyłością.

Może zawsze tak się działo, kiedy człowiek dorastał. Alex podejrzewał jednak, że miało to więcej wspólnego ze śmiercią Rosie Duff i tym, czego ich ona nauczyła o nich samych i o sobie nawzajem. Do tej pory nie była

to zbyt budująca podróż. Mondo znalazł ucieczkę w egoizmie i seksie. Weird przepadł na odległej planecie, gdzie nawet język był niezrozumiały. Tylko Ziggy pozostał mu bliski. A nawet on najwyraźniej upodobał sobie teraz znikanie bez śladu. A pod powłoką tego wszystkiego, jak dysharmonijny kontrapunkt do codziennego życia, stopniowo zżerały ich podejrzania i niepewność. Może to i Mondo wyrzekł jadowite słowa, ale zanim to się stało, Alex sam zdążył już zacząć sownie podkarmiać robaka w załączku.

Jakaś jego część miała nadzieję, że wszystko się uspokoi i wróci do normy. Ale inna część wiedziała, że niektórych rzeczy raz zepsutych nie da się już naprawić. Naprawianie przywiodło mu na myśl Lynn i wywołało uśmiech na jego twarzy. Planował pojechać do domu na weekend. Udadzą się do Edynburga na film *Niebiosa mogą zaczekać* z Julie Christie i Warrenem Beattym. Komedia romantyczna wydawała się dobra na początek. Panowało między nimi niepisane porozumienie, że nie będą chodzić na randki w Kirkcaldy. Zbyt wiele tam było mielących ozorami plotkarzy wydających szybkie osądy. Uznał jednak, że powie o swoim związku Ziggy'emu. Miał zamiar wyznać mu to dziś wieczorem. Ale, jak niebiosa, to wyznanie mogło zaczekać. W końcu żaden z nich nigdzie się nie wybierał.

Ziggy oddałby wszystko, co miał, by znaleźć się w innym miejscu. Zdawało mu się, że upłynęło już wiele godzin od chwili, gdy został wrzucony do lochu. Był przemarznięty do szpiku kości. Wilgotna plama w miejscu, gdzie obsikał sobie spodnie, była lodowata; penis i jądra skurczyły mu się do maleńkich rozmiarów. I wciąż nie zdołał oswobodzić dłoni. Skurcz przeszył spazmatycznie jego ręce i nogi, aż wrzasnął z potwornego bólu. W końcu jednak poczuł, że węzeł chyba zaczyna puszczać.

Jeszcze raz złapał nylonową linę obolałą szczęką i pokręcił głową we wszystkie strony. Tak, było zdecydowanie więcej luzu. Albo faktycznie robił postępy, albo był tak zdesperowany, że je sobie wyhalucynował. Pociągnął w lewo, potem szarpnął do tyłu. Powtórzył ten ruch kilka razy. Gdy koniec sznura w końcu wywinął się z węzła i smagnął go po twarzy, Ziggy wybuchnął płaczem. Po tym, jak rozplątał pierwszy splot, reszta łatwo się poddała.

Naraz miał wolne ręce. Bez czucia, ale wolne. Palce spuchły i były zimne jak kiełbaski z supermarketu. Wepchnął je pod kurtkę, pod pachy. Dół pachowy – *fossa axillaris*, pomyślał, przypominając sobie, że zimno jest wrogiem umysłu i spowalnia pracę mózgu.

– Skup się na anatomii – przykazał sobie na głos, wracając pamięcią do chichotów z kolegą, gdy czytali, jak nastawić zwichnięte ramię. „Oprzyj waść upończosznioną stopę w dole pachowym”, instruował tekst.

– Transwestytyzm dla lekarzy – skomentował jego kolega. – Muszę pamiętać, żeby spakować czarną jedwabną pończochę do torby na wypadek zwichnięcia.

Oto sposób na przeżycie, uznał Ziggy. Myślenie i ruch. Teraz, gdy po rozwiązaniu rąk odzyskał równowagę, mógł się swobodnie poruszać. Mógł truchtać w miejscu. Minuta biegu, dwie minuty odpoczynku. Wszystko pięknie, tylko szkoda, że nie widzę swojego zegarka, pomyślał głupio. Choć raz pożałował, że nie pali. Wtedy miałby ze sobą zapalki albo zapalniczkę. Coś, co rozproszyłoby te potworne, puste ciemności.

– Deprywacja sensoryczna – rzekł na głos. – Przerwij ciszę. Mów do siebie. Śpiewaj.

Poczuł mrowienie w dłoniach i aż się wzdrygnął. Wyciągnął ręce spod pach i zaczął energicznie potrząsać nadgarstkami. Potem niezdarnie rozmasował jedną dłoń o drugą i stopniowo zaczęło mu wracać czucie. Dotknął ściany, ciesząc się osadową szorstkością piaskowca. Trochę się

już martwił trwałym uszkodzeniem spowodowanym odcięciem krążenia. Palce miał wciąż spuchnięte i sztywne, ale przynajmniej znów je czuł.

Wstał, odpychając się od ziemi, i zaczął unosić stopy w niespiesznym biegu. Pozwolił, by wzrosło mu tętno, po czym przerwał ćwiczenia i odczekał, aż wróciło do normy. Pomyślał o tych wszystkich popołudniach, które spędził, pielęgnując swą nienawiść do lekcji wychowania fizycznego. Sadystyczni nauczyciele, niekończące się treningi kondycyjne, biegi przełajowe i rugby. Myślenie i ruch.

Da radę wyjść z tego cało. Prawda?

Nastał poranek, a Ziggy wciąż nie pokazał się w kuchni. Alex, teraz już zaniepokojony, zajrzał do jego pokoju. Nie zastał go tam. Trudno było stwierdzić, czy spał w swoim łóżku, bo Alex wątpił, by Ziggy pościelił je choćby raz od rozpoczęcia semestru. Wrócił do kuchni, gdzie Mondo pałaszował wielką micę płatków Coco Pops.

– Martwię się o Ziggy’ego. Chyba nie wrócił na noc do domu.

– Ale z ciebie gderliwa babunia, Gilly. Czy w ogóle nie przyszło ci do głowy, że może udało mu się kogoś wyhaczyć?

– Myślę, że wspomniałby nam o takiej możliwości.

Mondo prychnął.

– Nie Ziggy. Jeśliby nie chciał, żebyś się dowiedział, w życiu byś się nie domyślił. Nie jest łatwy do przejrzania tak jak ty czy ja.

– Mondo, jak długo już mieszkamy razem?

– Trzy i pół roku – odparł przyjaciel, podnosząc wzrok na sufit.

– A ile razy Ziggy został na noc poza domem?

– Nie wiem, Gilly. W razie gdybyś nie zauważył, sam często spędzam noce poza bazą. W przeciwieństwie do twojego życia, moje nie ogranicza się do tych czterech ścian.

– Wiesz, że żaden ze mnie mnich, Mondo, ale z tego, co mi wiadomo, Ziggy nigdy nie spędził poza domem całej nocy. I martwię się, bo nie

minęło wiele czasu od tego, jak bracia Duff zbili Weirda na kwaśne jabłko. Ja wczoraj miałem przepychankę z Cavendishem i jego kumplami torysami. A co, jeśli wdał się w jakąś bójkę? A co, jeśli wylądował w szpitalu?

– A co, jeśli kogoś przeleciał? Gilly, posłuchaj sam siebie. Głędzisz jak moja matka.

– Udław się, Mondo. – Alex chwycił kurtkę z wieszaka w holu i skierował się do drzwi.

– Dokąd idziesz?

– Zadzwoń do Maclennana. Jeśli on też mi powie, że głędzę jak jego matka, to się zamknę, okej?

Po wyjściu trzasnął drzwiami. Martwił się jeszcze jedną możliwością, o której nie wspomniał Mondowi. A co, jeśli Ziggy poszedł poszukać sobie partnera do seksu i został aresztowany? To był koszmarny scenariusz.

Przeszedł przez ulicę do budek telefonicznych w budynku administracji i wykręcił numer komisariatu. Ku jego zaskoczeniu, od razu połączono go z Maclennanem.

– Panie komisarzu, tu Alex Gilbey – przedstawił się. – Wiem, że to pewnie zabrzmiało jak strata pańskiego czasu, ale martwię się o Ziggy’ego Malkiewicza. Nie wrócił na noc do domu, a nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło...

– ...i po tym, co spotkało pana Mackiego, czujesz się trochę zaniepokojony? – dokończył policjant.

– No właśnie.

– Jesteś teraz w Fife Park?

– Tak.

– Zostań tam. Już do was jadę.

Alex nie wiedział, czy powinien poczuć ulgę, czy większą troskę, że komisarz potraktował go poważnie. Mozolnie zabrnął z powrotem do domu i oznajmił Mondowi, że spodziewa się wizyty policjanta.

– Ziggy naprawdę ci za to podziękuje, kiedy tu wejdzie z pokopulacyjną miną – skomentował Mondo.

Weird dołączył do nich jeszcze przed przyjazdem Maclennana. Potarł obolały, na wpół zaleczony nos, po czym wygłosił swoją opinię.

– Zgadzam się z Gillym. Jeśli Ziggy naraził się braciom Duff, może być teraz na oddziale intensywnej terapii.

Maclennan wysłuchał sprawozdania Alexa z wypadków poprzedniego wieczoru.

– I nie masz pojęcia, dokąd mógł się udać?

Alex pokręcił głową.

– Nic nie wspominał, że będzie gdzieś wychodził.

Komisarz posłał mu przenikliwe spojrzenie.

– Wiesz, czy szuka czasem partnerów po toaletach?

– Jakich toaletach? – zdziwił się Weird.

Mondo zignorował go i spiorunował Maclennana wzrokiem.

– Co pan sugeruje? Że mój kumpel to pedzio?

Weird był coraz bardziej skonfundowany.

– O co chodzi z tymi toaletami? Jak to pedzio?

Wściekły Mondo warknął na niego.

– Geje łążą po toaletach. Podrywają tam nieznajomych i się z nimi pieprzą. – Wskazał kciukiem Maclennana. – Z jakiegoś powodu ten tu gliniarz uważa, że Ziggy jest ciotą.

– Mondo, zamknij się – wtrącił Alex. – Pogadamy o tym później.

Weird i Mondo zamilkli, zbici z tropu jego nagłym zwierzchnictwem i oszołomieni rozwojem wypadków.

Alex zwrócił się z powrotem do Maclennana.

– Czasami jeździ do takiego baru w Edynburgu. Ale nic mi nigdy nie mówił o żadnym miejscu w St. Andrews. Myśli pan, że został aresztowany?

– Przed wyjściem sprawdziłem cele. Nie przewinał się przez nasze ręce.

Jego radio zatrzeszczało, budząc się do życia, i komisarz przeszedł do korytarza, by wysłuchać wiadomości. Jego słowa dolatywały do kuchni.

– Na zamku? Chyba żartujesz. W sumie mam pewną teorię, kto to może być. Ściągnij tam straż pożarną. Zobaczymy się na miejscu. – Wrócił do studentów ze zmartwioną miną. – Myślę, że właśnie go znaleźliśmy. Skontaktował się z nami jeden z zamkowych przewodników. Ma w zwyczaju każdego ranka obchodzić cały teren. Zadzwoił do nas i twierdzi, że ktoś jest w Butelkowym Lochu.

– Butelkowym Lochu? – powtórzyła chórem cała trójka.

– To cela wykuta w skale pod jedną z baszt. Ma kształt butelki. Jak tam trafisz, nie ma sposobu, żeby się wydostać. Muszę tam pojechać i sprawdzić, co się dzieje. Każę komuś powiadomić was o rozwoju sytuacji.

– Nie. My też jedziemy – oznajmił z uporem Alex. – Jeśli utknął tam na całą noc, na pewno się ucieszy na widok znajomych twarzy.

– Wybaczcie, chłopaki. Nie mogę was tam zabrać. Jeśli chcecie się udać do zamku na własną rękę, przekażę komu trzeba, żeby dopuszczono was bliżej. Ale nie chcę, żebyście siali zamęt w czasie akcji ratunkowej.

I już go nie było.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Mondo naskoczył na Alexa.

– Co to, do diabła, miało być? Jak śmiałeś nas tak uciszać? Łaźnienie po kiblach?

Alex odwrócił wzrok.

– Ziggy jest gejem – wyznał.

Weird spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Wcale nie. Jak mógłby być gejem? Jesteśmy jego najlepszymi przyjaciółmi, przecież byśmy o tym wiedzieli.

– Ja wiem – przyznał Alex. – Powiedział mi o tym parę lat temu.

– Świetnie – oburzył się Mondo. – Dzięki, że się tym z nami podzieliłeś, Gilly. To tyle, jeśli chodzi o „jednego za wszystkich i wszystkich za jednego”. My nie zasłużyliśmy, żeby usłyszeć te wieści, co? Ty może sobie i wiedziałeś, ale my nie mieliśmy prawa się dowiedzieć, że nasz niby najlepszy kumpel to pedał?

Alex zgromił go wzrokiem.

– Wnioskując po waszej tolerancyjnej i spokojnej reakcji, powiedziałbym, że Ziggy podjął dobrą decyzję.

– Musiało ci się coś pomylić – obstawał uparcie przy swoim Weird. – Ziggy nie jest gejem. Przecież jest normalny. A geje są chorzy. Obrzydliwi. Ziggy taki nie jest.

Nagle Alex miał już tego dość. Nie wybuchał gniewem często, ale kiedy już tak się działo, było to zapierające dech w piersi widowisko. Twarz oblała mu się szkarłatem i walnął dłonią w ścianę.

– Zamknijcie się obaj! Teraz mi wstyd, że się z wami przyjaźnię. Nie chcę słyszeć więcej ani jednego słowa uprzedzenia od żadnego z was. Ziggy zajmował się nami trzema przez prawie dziesięć lat. Był naszym przyjacielem i zawsze nam pomagał. Nigdy nas nie zawiódł. No i co z tego, że woli facetów od kobiet? Chuj mnie to obchodzi. To nie znaczy, że podobam mu się ja czy wy, tak samo jak mnie nie podoba się każda kobieta tylko dlatego, że ma cycki. To nie znaczy, że teraz muszę się, do kurwy nędzy, pilnować pod prysznicem! To wciąż ten sam Ziggy. Wciąż kocham go jak brata. Wciąż powierzyłbym mu własne życie i wy też powinniście tak się czuć. A ty – dodał, dziabiąc Weirda palcem w klatkę piersiową – ty się uważasz za chrześcijanina? Jak śmiesz osądzać człowieka, który jest wart tuzina takich jak ty i ci twoi kościelni wariaci? Nie zasługujesz na takiego przyjaciela jak Ziggy. – Zamaszystym ruchem zgarnął swój płaszcz. – Idę na zamek. I nie chcę was tam widzieć, dopóki się w końcu nie ogarniecie!

Tym razem trzasnął drzwiami tak mocno, że zadrżały też szyby w oknach.

Gdy Ziggy zobaczył leciutki błysk światła, pomyślał najpierw, że coś znowu mu się roi. Był w szponach jakiegoś delirium, tracił i odzyskiwał świadomość, a w chwilach dostatecznej przytomności pojmował dość dużo, by zdawać sobie sprawę, że zaczął wpadać w hipotermię.

Mimo najszczęśliwszych wysiłków, by wciąż się ruszać, ospałość okazała się silnym przeciwnikiem. Od czasu do czasu osuwał się półprzytomny na ziemię, a jego myśli wędrowały w najdziwniejszych kierunkach. Raz wydawało mu się, że był tu z nim jego ojciec i rozmawiali o szansach na awans klubu Raith Rovers. To było dopiero surrealistyczne. Nie miał pojęcia, jak długo już siedzi w tym lochu. Kiedy jednak mignęło mu światełko, wiedział, co musi zrobić. Zaczął podskakiwać i krzyczeć ile sił w płucach.

– Ratunku! Pomocy! Jestem tu na dole! Pomocy!

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Potem światło oślepiło go boleśnie. Ziggy osłonił oczy przed blaskiem.

– Halo? – Głos z góry odbił się echem od ścian szybu i wypełnił otwór.

– Proszę mnie stąd wydostać! – wrzasnął Ziggy. – Proszę mnie stąd wyciągnąć!

– Wezwę pomoc! – zawołał pozbawiony ciała głos. – Jeśli wrzucę ci tam latarkę, dasz radę ją złapać?

– Chwileczkę! – odkrzyknął Ziggy. Nie mógł ufać swoim dłoniom. Poza tym latarka spadnie tu niczym wystrzelona kula. Zdjął kurtkę i sweter, złożył je i położył na środku bladego kręgu padającego z góry. – Dobrze, proszę rzucać! – zawołał.

Światło drżało i odbijało się od ścian szybu, malując szalone wzory na siatkówkach spłoszonego Ziggy'ego. Wirujący snop jasności wypadł nagle

z szyjki butelki i ciężka, gumowa latarka spadła elegancko na miękki kozuch. Oczy Ziggy'ego zapiekły od łez, fizjologiczna i emocjonalna reakcja zlały się w jedno. Złapał latarkę i przycisnął do piersi niczym talizman.

– Dziękuję – załkał. – Dziękuję, dziękuję, dziękuję.

– Wrócę tak szybko, jak się da – zawołał głoś, cichnąc, w miarę jak jego właściciel oddalał się od otworu.

Teraz dam radę to znieść, pomyślał Ziggy. Mam światło. Omiótł loch blaskiem latarki. W niektórych miejscach szorstki czerwony piaskowiec był wygładzony, sufit i ściany nosiły ślady poczerniałych łat sadzy i zwierzęcego łoju. Trzymanym tu więźniom komnata wydawała się pewnie przedsionkiem piekieł. On przynajmniej wiedział, że wkrótce zostanie uwolniony. W ich przypadku światło musiało jedynie pogłębiać rozpacz, wydobywając z mroku daremność jakiegokolwiek nadziei na ucieczkę.

Gdy Alex dotarł pod zamek, zobaczył przed nim dwa radiowozy, wóz strażacki i karetkę. Widok tej ostatniej sprawił, że mocniej zabiło mu serce. Co się stało Ziggy'emu? Nie miał problemu z wejściem na teren twierdzy; MacLennan dotrzymał słowa. Jeden ze strażaków pokierował go przez trawiasty dziedziniec do Baszty Morskiej, gdzie Alex zobaczył akcję przeprowadzaną ze spokojną skutecznością. Strażacy zamontowali na miejscu przenośną prądnicę do zasilania potężnych lamp łukowych i wyciągarki. Do otworu na środku posadzki wrzucono linę. Alex zadrzał na ten widok.

– To na pewno Ziggy, mamy potwierdzenie. Jeden ze strażaków właśnie się tam opuścił na czymś w rodzaju wyciągarki. Ma na sobie takie spodnie z kołem ratunkowym. Wiesz, jak to wygląda? – mówił MacLennan.

– Tak mi się zdaje. Co tu się stało?

Komisarz wrzucił ramionami.

– Jeszcze nie wiemy.

Gdy się odezwał, z dołu doleciał ich cichy głos.

– Można wciągać.

Strażak obsługujący wyciągarkę nacisnął przycisk i maszyna zawyła, budząc się do działania. Lina hipnotyzująco nawijała się na bęben centymetr po centymetrze. Zdawało się to trwać w nieskończoność. Potem nad otworem ukazała się znajoma głowa Ziggy’ego. Wyglądał strasznie. Twarz miał poznaczoną zaciekami krwi i brudu, jedno oko podpuchnięte i posiniaczone, wargę rozciętą i pokrytą zaskorupiałym skrzepem. Mrugał w świetle lamp, ale gdy tylko wyostrzył mu się wzrok i zobaczył Alexa, zdołał się uśmiechnąć.

– Cześć, Gilly – powiedział. – Jak miło, że wpadłeś.

Gdy jego tors wyłonił się z leja, uczynne dłonie wyciągnęły go z dziury i pomogły wydostać się z brezentowej uprząży. Ziggy zachwiał się, zdezorientowany i wycieńczony. Alex, wiedziony impulsem, podbiegł do przyjaciela i chwycił go w ramiona. Drażniący zapach potu i uryny przyłgnął do Ziggy’ego, nakładając się na ziemistą woń gruntu.

– Już dobrze – powiedział Alex, tuląc go. – Już wszystko dobrze.

Ziggy przywarł do niego, jakby od tego zależało jego życie.

– Bałem się, że tam umrę – wyszeptał. – Nie mogłem sobie pozwolić na takie myśli, ale tak strasznie się bałem, że tam umrę.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

MACLENNAN JAK BURZA WYPADŁ ZE SZPITALA. Gdy dotarł do samochodu, walnął dłońmi o jego dach. To śledztwo było koszmarem. Od tamtej nocy, gdy zginęła Rosie Duff, nic nie szło tak, jak trzeba. A teraz miał ofiarę porwania, napaści i bezprawnego ograniczenia wolności, która odmawiała złożenia oświadczenia na temat sprawców. Ziggy stwierdził tylko, że zaatakowało go trzech mężczyzn. Było ciemno, nie zdołał im się dobrze przyjrzeć. Nie rozpoznał ich po głosach, nie zwracali się do siebie po imieniu i bez żadnego dobrego powodu wrzucili go do Butelkowego Lochu. MacLennan zagroził mu aresztowaniem za utrudnianie śledztwa, ale blady i zmęczony Ziggy spojrzał mu prosto w oczy.

– Nie proszę pana o wszczęcie żadnego śledztwa, więc co miałbym niby utrudniać? To był tylko żart, w którym ktoś zapędził się za daleko, nic ponadto.

Komisarz szarpnął za drzwi od strony pasażera i rzucił się na siedzenie.

Janice Hogg, siedząca za kierownicą, spojrzała na niego pytająco.

– On twierdzi, że to żart, w którym ktoś posunął się za daleko. Nie chce złożyć zeznania, nie wie, kto mu to zrobił.

– Brian Duff – oznajmiła bez wahania Janice.

– Na jakiej podstawie?

– Kiedy był pan w środku, czekając, aż go przebadają, popytałam trochę w okolicy. Duff i dwa jego przydupasy pili wczoraj wieczorem na przystani. To rzut beretem od zamku. Zabrali się stamtąd koło wpół do

dziesiątej. Właściciel stwierdził, że wyglądali, jakby mieli jakieś nieczne plany.

– Brawo, Janice. Ale to wciąż trochę naciągane.

– Jak pan myśli, dlaczego Malkiewicz nie chce złożyć zeznania? Boi się odwetu?

Maclennan westchnął.

– Nie takiego, o jakim myślisz. Myślę, że szukał przygodnego kochanka przy ruinach kościoła. Boi się, że jak wyda nam Duffa i jego kumpli, oni pojawią się na rozprawie i obwieszczą światu, że Ziggy Malkiewicz to gej. Chłopak chce zostać lekarzem. Nie podejmie żadnego ryzyka, które mogłoby mu w tym przeszkodzić. Boże, jak ja nienawidzę tej sprawy. Gdzie się nie obrócę, trafiam na ślepy zaułek.

– Zawsze może pan postraszyć trochę Duffa.

– I co miałbym mu powiedzieć?

– Nie wiem, panie komisarzu. Ale może potem poczułby się pan lepiej.

Maclennan zerknął na posterunkową z zaskoczeniem. Potem uśmiechnął się szeroko.

– Masz rację, Janice. Może i Malkiewicz wciąż jest podejrzany, ale jeśli ktokolwiek miałby go bić, to tylko my. Jedźmy do Guardbridge. Już od bardzo dawna nie zaglądałem do piwni.

Brian Duff wkroczył do biura kierownika buńczucznym krokiem człowieka, który jest przekonany, że wie coś, co daje mu przewagę nad innymi. Oparł się o ścianę i rzucił Maclennanowi aroganckie spojrzenie.

– Nie lubię, jak mi się przeszkadza w pracy – oznajmił.

– Zawrzyj gębę, Brian – odparł pogardliwie Maclennan.

– Nieładnie tak mówić do obywatela, komisarzu.

– Nie mówię do obywatela, mówię do gównianego śmiecia. Wiem, co ty i twoi durnowaci kumple zrobiliście zeszłej nocy. Wiem też, że

uważasz, że ujdzie ci to na sucho z powodu informacji, które posiadasz o Ziggym Malkiewiczzu. I dlatego coś ci powiem. – Przysunął się bliżej do Duffa, aż dzieliło ich zaledwie kilka centymetrów. – Od teraz, Brianie, ty i twój brat jesteście na naszym celowniku. Przekroczysz ograniczenie prędkości o kilometr na godzinę na tym swoim motorku, to cię zgarniemy. Wypijesz o jedno piwko za dużo i zaraz będziesz dmuchał w alkomat. Wystarczy, że choćby chuchniesz na kogoś z tej czwórki, a trafisz do aresztu. A z twoją kartoteką od razu pójdiesz do pierdła. Tym razem na o wiele dłużej niż cholerne trzy miesiące. – MacLennan urwał, by złapać oddech.

– To nękanie przez policję – zripostował Brian. Jego samozadowolenie wyszczerbiło się jedynie odrobinę.

– Otóż nie. Nękanie będzie wtedy, jak przypadkiem spadniesz ze schodów w drodze do celi. Jak się potkniesz i złamiesz nos, kiedy wpadniesz na ścianę. – W niespodziewanym, błyskawicznym ruchu ręka MacLennana wystrzeliła i złapała Duffa za krocze. Komisarz zacisnął pięść tak mocno, jak potrafił, po czym ostro przekręcił nadgarstek.

Duff wrzasnął, a cały kolor odpłynął mu z twarzy. MacLennan puścił go i odsunął się elegancko. Brian zgiął się wpół, miotając przekleństwa.

– To było nękanie przez policję, chuju. Lepiej zacznij się do niego przyzwyczajać. – Komisarz szarpnął za klamkę, otwierając drzwi. – Mój Boże. Brian przypadkiem wpadł na biurko i się poobijał – rzekł do zaskoczonej sekretarki siedzącej w przedpokoju. Uśmiechnął się i przeszedł obok niej, po czym wyszedł na dwór w chłodny blask słońca. Po chwili wsiadł do samochodu.

– Miałaś rację, Janice. Czuję się teraz o niebo lepiej – powiedział z szerokim uśmiechem.

W małym domku w Fife Park nie wykonano tego dnia żadnej pracy. Mondo i Weird pałętali się po pokoju muzycznym, ale sama gitara

z perkusją nie tworzyły oszałamiającej kombinacji, a Alex wyraźnie dał im do zrozumienia, że do nich nie dołączy. Leżał na łóżku, starając się rozszyfrować swoje uczucia względem tego, co stało się z nimi wszystkimi. Zawsze zastanawiał się, dlaczego Ziggy tak niechętnie podchodził do pomysłu podzielenia się swym sekretem z pozostałą dwójką. W głębi duszy Alex wierzył, że Weird i Mondo zaakceptowałyby prawdę, bo zbyt dobrze znali Ziggy'ego, by tego nie zrobić. Nie docenił jednak potęgi odruchowej bigoterii. Nie podobało mu się to, co reakcja jego przyjaciół o nich mówiła. To z kolei sprawiło, że zaczął podawać w wątpliwość swój własny osąd. Co on wyprawiał, inwestując tyle czasu i energii w ludzi, którzy w gruncie rzeczy byli tak ograniczonymi zgniłkami jak Brian Duff?

Gdy szli do karetki, Ziggy wyszeptał mu na ucho historię całego zajścia. Alexa przeraziła myśl, że jego przyjaciele żywili te same uprzedzenia.

Jasne, Weird i Mondo raczej nie pójdą wieczorem w miasto, żeby katować gejów z braku lepszego zajęcia. Ale z drugiej strony nie każdy mieszkaniec Berlina brał udział w „nocy kryształowej”. I proszę, dokąd ich zaprowadziło to wydarzenie.

Zgadając się na podobną nietolerancję, człowiek udziela ekstremistom milczącego wsparcia. Jediną rzeczą potrzebną złu do zwycięstwa, przypomniał sobie Alex pewien cytat, jest bierność dobrych ludzi⁵.

Mógł niemal zrozumieć stanowisko Weirda. Tom wkopał się w towarzystwo bandy fundamentalistów, którzy wymagali od innych przełknięcia swojej doktryny w całości. Nie można było odrzucić sobie fragmentów, które ci nie pasowały. Ale dla Monda nie istniało żadne usprawiedliwienie. W takim stanie, w jakim był teraz, Alex nie chciał nawet usiąść z nim przy jednym stole. Wszystko, co ich łączyło, rozchodziło się w szwach i Alex nie wiedział, jak zatrzymać ten proces.

Usłyszał, że otwierają się drzwi frontowe. W ciągu paru sekund wyskoczył z łóżka i zbiegł po schodach. Ziggy opierał się o ścianę z wąłym uśmiechem na twarzy.

– Nie powinieneś być w szpitalu? – zapytał Alex.

– Chcieli mnie zatrzymać na obserwacji. Ale obserwować to się mogę sam. Nie ma potrzeby, żebym przy tym zajmował im łóżko.

Alex pomógł mu dojść do kuchni i nastawił czajnik.

– Myślałem, że zdiagnozowali u ciebie hipotermię.

– Spokojnie, bardzo łagodną, żadnych odmrożeń ani nic takiego. Przywrócili mi do normy temperaturę wnętrza ciała, więc wszystko gra. Nie mam też żadnych połamanych kości, tylko sińce. Nie sikam krwią, co oznacza, że nerki też uchowały się w porządku. Wolę raczej pocierpieć we własnym łóżku, niż żeby lekarze i pielęgniarki poszturchiwali mnie i rzucali zarcikami o doktorach, którzy nie potrafią się sami wyleczyć.

Rozległy się kroki na schodach, po czym Mondo i Weird stanęli na progu kuchni, wyglądali na zmieszanych.

– Dobrze cię widzieć, stary – przywitał Ziggy’ego Weird.

– Ano – przytaknął Mondo. – Co ci się, u diabła, stało?

– Ziggy, oni wiedzą – wtrącił Alex.

– Powiedziałeś im? – Oskarżenie wybrzmiało raczej zmęczeniem niż złością.

– MacLennan nam powiedział – sprostował ostro Mondo. – Alex tylko potwierdził.

– A niech tam – mruknął Ziggy. – Nie wydaje mi się, żeby Duff i jego durni kumple szukali konkretnie mnie. Myślę, że po prostu poszli tam, żeby natłuc paru gejom i akurat trafili na mnie i jeszcze jednego gościa w kościele mariackim.

– Uprawiałeś seks w kościele? – zbulwersował się Weird.

– To ruina – oznajmił Alex – więc nie jest to już poświęcona ziemia.

Weird wyglądał, jakby chciał coś dodać, ale mina Alexa wybiła mu to z głowy.

– Uprawiałeś seks z kompletnie obcym facetem pod gołym niebem w paskudnie mroźną zimową noc? – spytał Mondo z mieszaniną obrzydzenia i pogardy.

Ziggy posłał mu długie, uważne spojrzenie.

– Wolałbyś raczej, żebym przyprowadził go tutaj? – Mondo nie odpowiedział. – Tak właśnie myślałem. W przeciwieństwie do parady obcych kobiet, które ty regularnie narzucasz nam.

– To co innego – odparł Mondo, przestępując z nogi na nogę.

– A niby dlaczego?

– Zaczniemy od tego, że to nie jest nielegalne.

– Dziękuję ci za wsparcie, Mondo. – Ziggy wstał, wolno i niepewnie jak staruszek. – Pójdę się położyć.

– Wciąż nam nie powiedziałaś, co się właściwie stało – zatrzymał go Weird, jak zwykle nieświadomy panującej atmosfery.

– Kiedy się skumali, że przyłapali właśnie mnie, Duff chciał, żebym się przyznał do zabójstwa Rosie. Odmówiłem, więc związali mnie i opuścili do Butelkowego Lochu. Nie była to najlepsza noc w moim życiu. A teraz przepraszam, czy mogę?

Mondo i Weird odsunęli się na bok, robiąc mu przejście. Schody były zbyt wąskie dla dwóch osób, więc Alex nie zaoferował przyjacielowi pomocy. Uznał, że Ziggy i tak nie przyjąłby teraz takiej oferty, nawet od niego.

– Dlaczego i wy dwaj nie wyprowadzicie się do ludzi, z którymi będzie wam wygodniej? – zapytał i przepchnął się obok Weirda i Monda. Podniósł swoją torbę na książki i płaszcz. – Idę do biblioteki. Byłoby naprawdę miło, gdyby już was tu nie było, kiedy wrócę.

Parę następnych tygodni minęło w stanie przypominającym krępujące zawieszenie broni. Weird spędzał większość czasu na nauce w bibliotece albo ze swymi ewangelicznymi przyjaciółmi. Ziggy zdawał się odzyskiwać zimną krew, w miarę jak goiły się jego fizyczne obrażenia, lecz Alex zauważył, że nie lubił zostawać sam poza domem po zapadnięciu zmroku.

Alex zaczął poważniej zajmować się pracą, ale dokładał starań, by zawsze być w pobliżu, gdy Ziggy potrzebował towarzystwa. Pojechał na weekend do Kirkcaldy, zabrał Lynn do Edynburga. Zjedli posiłek w małej włoskiej restauracyjce o radosnym wystroju i wybrali się do kina. Po powrocie przeszli spacerem pięć kilometrów ze stacji kolejowej do jej domu na obrzeżach miasta. Gdy przecinali pas drzew zasłaniający Dunnikier Estate od głównej drogi, wciągnęła go w cienisty zakątek i pocałowała tak, jakby od tego zależało jej życie. Alex szedł potem do domu ze śpiewem na ustach.

Paradoksalnie osobą, która zdawała się najbardziej dotknięta niedawnym incydentem, był Mondo. Historia ataku na Ziggy'ego rozprzestrzeniła się po uniwersytecie jak pożar lasu. W wersji, którą poznała opinia publiczna, na szczęście pominięto pierwszą część zdarzenia, więc prywatność Ziggy'ego pozostała nienaruszona. Znaczna większość ludzi mówiła jednak o ich czwórce jak o podejrzanych, jakby było to pewne usprawiedliwienie napaści na Ziggy'ego. Stali się pariasami.

Dziewczyna Monda bezceremonialnie go rzuciła. Powiedziała, że martwi się o swoją reputację. Nie znalazł też innej chętnej, by ją zastąpić. Dziewczyny przestały patrzeć mu w oczy. Odsuwały się od niego, gdy próbował je zagadywać w pubach i na dyskotekach. Studenci z jego zajęć z francuskiego także dali mu jasno do zrozumienia, że nie chcą go w pobliżu. Został odizolowany w sposób, jakiego nie doświadczył żaden z pozostałej trójki. Weird miał swoich chrześcijan. Koledzy Ziggy'ego z medycyny stali nieugięcie po jego stronie. Alex w ogóle nie dbał o to, co

myślą inni; miał również Ziggy'ego i – choć Mondo nic o tym nie wiedział – miał też Lynn.

Mondo zastanawiał się, czy wciąż ma asa w rękawie, ale bał się odkryć karty, na wypadek gdyby ten as zmienił się w jokera. Nie dało się tak po prostu zacząć na osobę, z którą musiał porozmawiać, a dotychczasowe próby nawiązania kontaktu wychodziły mu fatalnie. Nie zdołał nawet zorganizować spotkania leżącego w obopólnym interesie. Przekonał bowiem sam siebie, że tak to właśnie wyglądało. Nie żaden szantaż, tylko wyświadczenie sobie nawzajem po małej przysłudze.

Ale nawet coś takiego wykraczało obecnie poza jego możliwości. Naprawdę okazał się całkowitą porażką. Wszystko, czego tylko dotknął, zmieniało się w chłam.

Do tej pory świat stał przed nim otworem, ale teraz Mondowi wydawało się, że ten otwór jest przepaścią. Zawsze był najbardziej kruchy emocjonalnie z całej ich czwórki i bez wsparcia przyjaciół po prostu się rozpadał. Przygnębienie opadło na niego jak ciężki koc, tłumiąc odgłosy otaczającego go świata. Nawet chodzić zaczął jak człowiek z brzemieniem na plecach. Nie mógł pracować, nie mógł spać. Przestał się kąpać i golić, tylko okazjonalnie przebierał się w czyste ubrania. Spędzał niezliczone godziny, leżąc na łóżku, wpatrując się w sufit i słuchając kaset Pink Floydów. Wychodził do pubów, w których nikogo nie znał, i pośepnie zapijał smutki. Potem wytaczał się w noc i łąził po mieście aż do rana.

Ziggy próbował z nim porozmawiać, ale Mondo nie chciał go słuchać. W głębi serca winił Ziggy'ego, Weirda i Alexa za to, co się z nim działo, i nie chciał przyjąć od nich tego, co uważał za litość. To by było ostateczne upokorzenie. Chciał prawdziwych przyjaciół, którzy by go docenili, a nie ludzi, którym było go żal. Chciał przyjaciół, którym mógłby zaufać, a nie takich, przez których musiał się martwić, co też sama znajomość z nimi oznacza dla niego.

Pewnego popołudnia jego runda po pubach zaprowadziła go do małego hotelu na ulicy The Scores. Chwiejnie podszedł do baru i bełkotliwie zamówił piwo. Barman spojrzał na niego z ledwie skrywaną pogardą.

– Wybacz, chłopie. Nie obsłużę cię.

– A to z jakiej racji?

– To przyzwoity lokal, a ty wyglądasz jak włóczęga. Mam prawo odmówić obsługi, jeśli widzę kogoś, kogo tu nie chcę. – Barman wskazał kciukiem tabliczkę przy kasie, która potwierdzała jego słowa. – Spływaj stąd.

Mondo gapił się na niego z niedowierzaniem. Rozejrzał się, szukając wsparcia u pozostałych klientów, ale wszyscy starannie unikali jego wzroku.

– Wal się – powiedział, zrzucając popielniczkę na podłogę, i jak burza wypadł na zewnątrz.

W tym nie za długim czasie, który spędził w środku, ulewa grożąca miastu przez cały dzień w końcu spadła, chłoszcząc ulice pod wpływem silnego wschodniego wiatru. Mondo natychmiast przemókł do suchej nitki. Otarł krople z twarzy i zdał sobie sprawę, że płacze. Miał już tego dość. Nie był w stanie przeżyć kolejnego dnia pełnego cierpienia i bezsensu. Nie miał przyjaciół, kobiety nim pogardały i po prostu wiedział, że zawali egzaminy końcowe, bo w ogóle nie przykładał się do nauki. Nikogo to nie obchodziło, bo nikt go nie rozumiał.

Pijany i przybity powlókł się ulicą The Scores w stronę zamku. Miał dość. Już on im pokaże. Zmusi ich, żeby dostrzegli jego punkt widzenia. Przelazł przez barierkę przy ścieżce i stanął, chwiejąc się, na krawędzi klifu. Pod nim morze waliło gniewnie w skały, posyłając fontanny piany wysoko w powietrze. Mondo odetchnął głęboko, wciągając w płuca słone rozbryzgi, i poczuł zadziwiający spokój, gdy zapatrzył się na szalejące

odmęty w dole. Rozłożył szeroko ramiona, uniósł twarz, wystawiając ją na deszcz, i wykrzyczał swój ból ku niebu.

⁵ Słowa przypisywane Edmundowi Burke'owi, irlandzkiemu filozofowi i politykowi żyjącemu w XVIII wieku.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

MACLENNAN PRZECHODZIŁ WŁAŚNIE obok pomieszczenia z radiostacją, gdy nadawano zgłoszenie. Przetłumaczył sobie numery kodu. Potencjalny samobójca na klifach nad Castle Sands. Nie była to tak naprawdę sprawa dla Wydziału Kryminalnego, a poza tym dziś miał wolne. Przyszedł tu tylko po to, by zrobić porządek w papierach. Mógł dalej zmierzać w stronę drzwi jak gdyby nigdy nic, dojechać do domu w dziesięć minut, rozsiąść się z puszką lagera w ręku i dodatkiem sportowym z gazety rozpostartym na kolanach. Jak praktycznie każdego wolnego dnia od czasu, gdy Elaine go zostawiła.

Decyzja była prosta.

Wetknął głowę do dyspozytorni.

– Powiedzcie im, że jestem w drodze – polecił. – I poślijcie po łódź ratunkową z Anstruther.

Operator spojrział na niego z zaskoczeniem, ale uniósł oba kciuki w odpowiedzi. MacLennan przeszedł przez komisariat i udał się na parking. Boże, co za straszne popołudnie. Już sama cholerna pogoda wystarczyła, by wzbudzić w człowieku myśli samobójcze. Pojechał na miejsce zdarzenia. Wycieraczki ledwie nadążały ze ścieraniem potoków deszczu z przedniej szyby.

Klify stanowiły ulubione miejsce desperatów na próby samobójcze. W większości, jeśli pływy akurat pasowały, próby te kończyły się sukcesem. W tym miejscu działał pod powierzchnią bezwzględny prąd przeciwny, który wciągał niczego niepodważających ludzi w odmęty w ciągu paru minut. A nikt nie dawał rady przeżyć długo w Morzu

Północnym w zimie. Zdarzały się też spektakularne fiaska. Maclennan pamiętał przypadek woźnego z jednej z miejscowych szkół podstawowych, który kompletnie się przeliczył przy swoim skoku. Runął z klifu do wody o głębokości raptem pół metra, całkiem ominął skały i spadł na piasek. Połamał obie kostki i był tak upokorzony swym absurdalnym niepowodzeniem, że w dniu, w którym wypisano go ze szpitala, złapał autobus do Leuchars, podreptał o kulach wzdłuż torów kolejowych i rzucił się pod pociąg ekspresowy z Aberdeen.

Dzisiaj tak by się jednak nie stało, pomyślał Maclennan. Był pewien, że teraz trwał przypływ, a wiatr ze wschodu, porywający fale, utworzył pod klifami tętniący nieubłaganie wir wodny. Miał nadzieję, że dotrą tam na czas.

Gdy dojechał na miejsce, znajdowała się tam już policyjna panda. Janice Hogg i drugi umundurowany funkcjonariusz stali niepewnie przy niskiej barierce, obserwując młodego mężczyznę nachylającego się do wiatru z ramionami rozłożonymi niczym Chrystus na krzyżu.

– Nie stójcie jak kołki – rzekł Maclennan, podnosząc kołnierz, by osłonić się od deszczu. – Tam dalej jest koło ratunkowe. Jedno z tych z doczepioną liną. No już, przynieście je.

Policjant ruszył z kopyta we wskazanym kierunku. Komisarz pokonał barierkę i uszedł parę kroków ku skrajowi urwiska.

– Już dobrze, synku – powiedział łagodnie.

Młodzieniec obrócił się nieco i Maclennan zdał sobie sprawę, że patrzy na Davey’ego Kerra. A konkretnie Davey’ego Kerra zalanego w trupa i wyglądającego jak obraz nędzy i rozpaczy. Nie dało się jednak pomylić tej elfiej twarzy i przerażonych oczu jelonka Bambi.

– Przyszedł pan za późno – wybełkotał Kerr, zataczając się pijacko.

– Nigdy nie jest za późno – odparł Maclennan. – Jeśli coś jest nie tak, możemy to naprawić.

Mondo odwrócił się twarzą do niego. Opuścił ramiona.

– Naprawić? – Jego oczy zapłonęły gniewem. – Przecież to wy wszystko spieprzyliście. To przez was wszyscy myślą, że jestem zabójcą. Nie mam przyjaciół, nie mam przyszłości.

– Oczywiście, że masz przyjaciół. A Alex, Ziggy i Tom? Oni są twoimi przyjaciółmi.

Wiatr wył, a deszcz siekł go po twarzy, ale MacLennan nie zwracał uwagi na nic oprócz przerażonej twarzy przed sobą.

– Też mi przyjaciele. Nie chcą mnie znać, bo mówię prawdę. – Mondo podniósł dłoń do ust i zaczął obgryzać paznokiec. – Nienawidzą mnie.

– Nie sądzę, by tak było. – MacLennan zrobił kolejny mały krok w jego stronę. Jeszcze kilka i znajdzie się na tyle blisko, by go chwycić.

– Stop. Niech pan do mnie nie podchodzi. To moja sprawa. Nie pańska.

– Davey, pomyśl o tym, co robisz. Pomyśl o ludziach, którzy cię kochają. To zniszczy twoją rodzinę.

Mondo pokręcił głową.

– Ja ich nie obchodzę. Zawsze bardziej kochali moją siostrę.

– Powiedz mi, co cię gnębi. – Zaangażuj go w rozmowę; póki mówi, póty żyje, nakazał sobie w duchu MacLennan. Niech to nie będzie kolejna koszmarowa porażka.

– Ogłuchłeś, człowieku? Już ci powiedziałem! – krzyknął Mondo z twarzą zastygłą w grymasie bolesnego uśmiechu. – Zrujnowaliście mi życie.

– To nieprawda. Masz przed sobą wspaniałą przyszłość.

– O nie, już nie mam. – Davey Kerr znów rozpostarł ramiona, jakby były skrzydłami. – Nikt nie rozumie, co przeżywam.

– Pozwól mi zrozumieć. – MacLennan przysunął się bliżej.

Mondo próbował odsunąć się na bok, ale był pijany i stopa poślizgnęła mu się na wydeptanej, mokrej trawie. Twarz zmieniła mu się w maskę szoku i przerażenia. W chwili walki z grawitacją wyglądał, jakby

pokazywał gwiazdę w mrożącej krew w żyłach pantomimie. Przez kilka rozciągniętych w czasie sekund miało się wrażenie, że uda mu się odzyskać równowagę. Wtedy ścięło go z nóg i w jednej zaskakującej chwili zniknął im z oczu.

Maclennan rzucił się do przodu, ale o wiele za późno. Zachwiał się na krawędzi klifu, lecz wiatr był po jego stronie i utrzymał go, dopóki komisarz znów nie stanął pewnie na nogach. Spojrzał w dół. Wydawało mu się, że dostrzegł rozbryzg. Wtedy zobaczył bladą twarz Monda przebijającą się przez białą pianę na wodzie. Odwrócił się gwałtownie, gdy Janice i towarzyszący jej policjant dotarli do niego. Następny radiowóz podjechał pod zamek. Wysiedli z niego Jimmy Lawson i dwóch kolejnych mundurowych.

– Podajcie to koło! – krzyknął Maclennan. – I trzymajcie mocno linę. – Sam już zdzierał z siebie płaszcz i marynarkę, jednocześnie zsuwając też buty. Złapał koło ratunkowe i znów spojrział w dół. Tym razem zobaczył ramię, czarne na tle piany. Wziął głęboki oddech i skoczył z urwiska.

Nagłość upadku sprawiła, że serce prawie zamarło mu w piersi. Szarpany wiatrem Maclennan poczuł się nieważki i nieznaczący. Ten stan trwał raptem kilka sekund. Uderzenie w wodę odczuł jak upadek na ubitą ziemię. Zabrakło mu tchu w płucach. Desperacko łapiąc powietrze i łykając przy tym wielkie hausty lodowatej morskiej wody, Maclennan zdołał utrzymać się przy powierzchni. Wokół siebie widział jedynie wodę, mgiełkę kropli i pianę. Wierzgał nogami, próbując określić swoje położenie.

Wtedy w dolinie między falami mignął mu Mondo. Chłopak był tylko parę metrów na lewo od niego. Maclennan zaczął energicznie płynąć ku niemu, hamowany przez koło ratunkowe, które miał zawieszony na ręku. Fala uniosła go i zaraz ściągnęła z powrotem na dół, ciskając nim prosto w Monda. Złapał go za kark.

Kerr młócił ramionami w jego uścisku. Z początku Maclennan sądził, że chłopak był zdeterminowany wyrwać mu się i utopić. Po chwili zrozumiał jednak, że Mondo walczy z nim o koło ratunkowe. Komisarz wiedział, że nie da rady trzymać go w nieskończoność. Puścił koło, ale zdołał się uczepić Monda.

Ten złapał koło, precyzyjnie przecisnął przez nie ramię i próbował przeciągnąć je przez głowę. Maclennan wciąż jednak ścisnął go za kołnierz, wiedząc, że od tego zależy jego życie. Mondo mógł zrobić tylko jedną rzecz. Walnął swym wolnym łokciem do tyłu tak mocno, jak tylko potrafił. Nagle nic go już nie ograniczało.

Wcisnął się w koło ratunkowe, desperacko chwyając oddech w nasyconym wodą powietrzu. Za jego plecami Maclennan walczący z żywiołem podpłynął bliżej i jakimś cudem zdołał złapać jedną ręką linę doczepioną do koła. Wymagało to nadludzkiego wysiłku, gdyż nasiąknięte ubrania utrudniały mu każdy ruch. Zimno nadweręzało już jego siły, zabierało czucie w palcach. Trzymał się liny jedną ręką, drugą machając nad głową swoją i Monda, by zasygnalizować zespołowi na klifie, że już mogą ich wciągnąć.

Czuł, jak lina się napręża. Czy pięć osób zdoła wciągnąć ich obu na górę? Czy ktoś miał na tyle rozsądku, by zarekwirować łódź z przystani? Umrą z wyziębienia na długo przed przybyciem jednostki ratunkowej z Anstruther.

Byli już blisko podnóża klifu. W jednej chwili Maclennan był świadomy, że unoszą się na wodzie jak korki; w następnej jedynym wrażeniem, do którego ograniczyło się jego postrzeganie, było szarpnięcie, gdy wynurzył się z morza, ze wszystkich sił trzymając się koła ratunkowego i Monda. Podniósł wzrok, z wdzięcznością dostrzegł bladą twarz pierwszego z mężczyzn ciągnących linę, którego rysy rozmywały się w deszczu i rozpryskującej się wokół pianie.

Byli już dwa metry nad wodą, gdy Mondo, przerażony, że MacLennan ściągnie go z powrotem w kipieli, wierzgnął nogami. Palce MacLennana poddały się. Bezsilnie wpadł z powrotem do wody. Znow się zanurzył, znow z trudem zdołał wypłynąć na powierzchnię. Widział sylwetkę Monda wciągającego powoli na tle ściany klifu. Nie mógł w to uwierzyć. Ten drań skopał go, żeby ratować własną skórę. Wcale nie chciał się zabić. Pozer tylko próbował zwrócić na siebie uwagę.

MacLennan wypluł kolejny haust wody. Był teraz zdeterminowany, by przeżyć, choćby po to, by Davey Kerr jeszcze pożałował, że jednak nie utonął. Musiał tylko utrzymać głowę nad wodą. Zrzucą mu z powrotem koło ratunkowe. Przyślą tu jakąś łódź. Prawda?

Siły opuszczały go prędko. Nie mógł walczyć z falami, więc pozwolił, by go unosiły. On będzie się koncentrował na utrzymaniu twarzy ponad powierzchnią.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Prąd przeciwny zasysał go pod wodę, wzburzone morze ciskało swe czarne masy w jego usta i nos. Nie czuł już zimna, co było miłe. Niewyraźnie usłyszał, jak powietrze tnie śmigło helikoptera. Dryfował teraz w miejscu, gdzie wszystko wydawało się bardzo spokojne. Ratownictwo powietrzno-morskie, oto co słyszał. *Swing low, sweet chariot. Coming for to carry me home.* Zabawne, co czasem przychodzi człowiekowi do głowy. Zachichotał i zachłysnął się kolejną porcją wody.

Czuł się teraz bardzo lekki, morze było jak hamak kołyszący go łagodnie do snu.

Barney MacLennan śpiący na fali oceanu.

Załoga helikoptera przeczesywała reflektorem powierzchnię morza przez godzinę. Nic nie znaleźli. Na sumieniu zabójcy Rosie Duff znalazła się druga ofiara.

CZĘŚĆ II

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

*Listopad 2003 roku
GLENROTHES, SZKOCJA*

ZASTĘPCA KOMENDANTA GŁÓWNEGO POLICJI James Lawson ostrożnie wjechał samochodem na miejsce oznaczone jego imieniem na parkingu przy Komendzie Głównej. Nie było dnia, w którym nie gratulowałby sobie tego osiągnięcia. Całkiem nieźle, jak na nieślubnego syna górnika, dorastającego w ciasnym mieszkaniu komunalnym w wiosce będącej zwykłą dziurą, wzniesioną naprędce w latach pięćdziesiątych, by zapewnić lokum przemieszczonym pracownikom, których jedyną opcją zatrudnienia było powiększające się zagłębie węglowe Fife.

Co to była za kpina. W ciągu dwudziestu pięciu lat ta gałąź przemysłu skurczyła się nie do poznania, porzucając swych byłych pracowników w paskudnych oazach redukcji etatów. Wszyscy kumple śmiali się z niego, gdy odwrócił się plecami do kopalni, by stanąć po stronie klawiszy, jak to postrzegali. No i kto się śmieje ostatni? Lawson rozmyślał o tym z ponurym uśmiechem, wyciągając ze stacyjki kluczyki swego służbowego rovera. Thatcher pousuwała górników i zmieniła policję w swą osobistą armię nowego rodzaju. Lewica umarła, a feniks, który odrodził się z jej popiołów, uwielbiał grozić użyciem sił militarnych niemal w takim samym stopniu, jak torysi.

To były dobre czasy dla policjantów-karierowiczów. Zaświadczy o tym wysokość jego emerytury.

Wziął aktówkę z siedzenia pasażera i żwawo pomaszerował w stronę budynku, pochylając głowę pod naporem przenikliwego wiatru wiejącego

od wschodniego wybrzeża, zapowiadającego zjadliwe przelotne opady jeszcze zanim poranek dobiegnie końca. Wstukał swój kod bezpieczeństwa na klawiaturze numerycznej przy tylnych drzwiach i skierował się do windy. Zamiast udać się prosto do swojego biura, ruszył do pomieszczenia na czwartym piętrze, gdzie miał swą siedzibę zespół zajmujący się starymi sprawami. W Fife nie trafiało się zbyt wiele nierozwiązanych morderstw, więc każdy ich sukces zostanie uznany za spektakularny. Lawson zdawał sobie sprawę, że jeśli to przedsięwzięcie zostanie potraktowane w odpowiedni sposób, będzie mogło potencjalnie jeszcze polepszyć jego reputację. Za wszelką cenę chciał uniknąć spapranej roboty. Żaden członek zespołu nie mógł sobie na to pozwolić.

Pokój, który przejął na potrzeby grupy, był przyzwoitych rozmiarów. Znalazło się w nim miejsce na sześć stanowisk z komputerami i choć nie wpadało tam wcale naturalne światło, oznaczało to, że dla każdego otwartego śledztwa było dużo przestrzeni na wielkich tablicach korkowych porozwieszanych na wszystkich ścianach. Obok każdej sprawy przypięto też wydrukowaną listę czynności, które należało wykonać. W miarę jak funkcjonariusze rozprawiali się z tymi zadaniami, nowe polecenia dopisywano do list odręcznie. Pudła z aktami piętrzyły się do wysokości pasa wzdłuż dwóch ścian. Lawson lubił uważnie śledzić postępy zespołu. O ich operacji było głośno, ale nie oznaczało to, że nie ograniczały jej boleśnie budżetowe kontrole. Większość nowych analiz kryminalistycznych do zlecenia była droga, a on był zdecydowany nie pozwolić członkom jego grupy dać się do tego stopnia oczarować urokiem technologii, by zmarnowali wszystkie przydzielone im fundusze na rachunki z laboratorium i nie zostawili nic na zwyczajową harówkę rutynowych zadań śledczych.

Z jednym wyjątkiem Lawson własnoręcznie wybrał do swojej ekipy sześcioro ludzi; zdecydował się na tych znanych ze skrupulatnego przykładania wagi do szczegółów i inteligencji, która pozwalała im

kojarzyć różnorakie informacje. Ów wyjątek stanowił policjant, którego obecność w tym biurze martwiła Lawsona. Nie dlatego, że był nieodpowiednim gliną, ale dlatego, że jedno z dochodzeń dotyczyło go osobiście. Brat komisarza Robina Maclennana, Barney, zginął w trakcie prowadzenia jednej z ich nierozwiązanych spraw i gdyby to zależało od Lawsona, Robin nigdy nie zostałby dopuszczony w pobliże zespołu prowadzącego jej rewizję. Maclennan odwołał się jednak bez jego wiedzy do Komendanta Głównego Policji, który odrzucił decyzję swego zastępcy.

Jedyne, co udało się osiągnąć Lawsonowi, to utrzymanie Maclennana z dala od samej sprawy Rosie Duff. Po śmierci Barneya Robin przeniósł się z Fife na południe kraju. Wrócił w te okolice dopiero w zeszłym roku, po śmierci ojca, by przepracować ostatnie lata dzielące go od emerytury, będąc blisko matki. Przypadek sprawił, że miał luźne robocze powiązanie z jedną z pozostałych spraw, więc Lawson przekonał swego szefa, by ten pozwolił mu przydzielić komisarzowi Maclennanowi śledztwo dotyczące Lesley Cameron, studentki zgwałconej i zamordowanej w St. Andrews osiemnaście lat temu. W tamtym czasie Robin Maclennan pracował na komisariacie niedaleko domu jej rodziców i wyznaczono go na oficera łącznikowego dla rodziny Lesley, prawdopodobnie z powodu jego własnych powiązań z policją hrabstwa Fife. Lawson był przekonany, że Maclennan zagląda przez ramię funkcjonariuszce zajmującej się sprawą Rosie Duff, ale przynajmniej jego osobiste uczucia nie wpływały bezpośrednio na to dochodzenie.

W ten listopadowy poranek tylko dwoje policjantów siedziało przy swoich biurkach. Phil Parhatka, posterunkowy z Wydziału Kryminalnego, dostał do rewizji chyba najbardziej delikatną sprawę. Denat był młodym mężczyzną, który padł ofiarą morderstwa we własnym domu. Jego najlepszy przyjaciel został postawiony w stan oskarżenia i uznany za winnego, ale wtedy wyszła na jaw seria żenujących zaniedbań, których dopuściła się policja w trakcie dochodzenia, i przy apelacji unieważniono

wyrok skazujący. W następstwie tych wydarzeń kariery kilku osób poszły na dno, a teraz wywierano presję, by policja znalazła prawdziwego mordercę. Lawson wybrał Parhatkę po części z powodu jego reputacji. Śledczy był znany z delikatności i dyskrecji. Lawson dostrzegał też jednak w młodym policjancie ten sam głód sukcesu, który napędzał jego samego, gdy był w podobnym wieku. Parhatka chciał rozwiązać tę sprawę tak bardzo, że Lawson niemal widział, jak spala go to pragnienie.

Gdy Lawson wszedł do biura, druga funkcjonariuszka właśnie wstawiała ze swego miejsca. Posterunkowa Karen Pirie ściągnęła niemodny, acz funkcjonalny płaszcz z owczej wełny z oparcia krzesła i włożyła na siebie. Podniosła wzrok, wyczuwając w pomieszczeniu nową obecność, po czym posłała Lawsonowi zmęczony uśmiech.

– Nie ma tu nic innego, na czym mogłabym się oprzeć. Będę musiała porozmawiać z oryginalnymi świadkami.

– To nie ma sensu, dopóki nie zajmiesz się najpierw fizycznymi dowodami – rzekł Lawson.

– Ale panie komendancie...

– Będziesz musiała zejść do magazynu i sama ich poszukać.

Karen zatrwożyła się.

– To może zająć wiele tygodni.

– Wiem. Ale to wszystko, co mamy.

– Ale panie komendancie... co z budżetem?

Lawson westchnął.

– Pozwól, że budżetem będę się martwił ja. Nie widzę w tym przypadku innego wyjścia. Potrzebujemy tych dowodów do wywarcia presji, a nie ma ich w pudle, w który którym powinny być. Jedyne wyjaśnienie, na jakie wpadli ludzie z depozytu dowodów, to że gdzieś się „zapodziały” podczas przenoszenia do nowego magazynu. Nie mają też ludzi, których mogliby oddelegować do szukania, więc będziesz musiała zająć się tym sama.

Karen dźwignęła swą torbę na ramię.

– Tak jest, panie komendancie.

– Od początku mówiłem, że jeśli mamy zrobić jakikolwiek postęp w tej sprawie, kluczem będą fizyczne dowody. Jeśli ktoś może je znaleźć, to właśnie ty. Daj z siebie wszystko, Karen.

Obserwował, jak kobieta się oddala; nawet jej chód dawał świadectwo uporczywości, z powodu którego przydzielił Karen Pirie sprawę morderstwa Rosemary Duff sprzed dwudziestu pięciu lat. Lawson rzucił jeszcze parę słów otuchy Parhatce i udał się do własnego gabinetu na trzecim piętrze.

Zasiadł za swym ogromnym biurkiem i poczuł lekki niepokój na myśl, że projekt rewizji nierozwiązanych spraw nie potoczy się tak, jak na to liczył. Zdecydowanie nie wystarczy, jeśli ogłoszą jedynie, że zrobili, co mogli. Potrzebowali przynajmniej jednego przełomu zakończonego sukcesem. Pociągnął łyk słodkiej, mocnej herbaty i sięgnął po dostarczoną mu dziś pocztę. Przebiegł wzrokiem parę notatek służbowych, machnął swoje inicjały na górze stron i przełożył papiery na tackę z pocztą wewnętrzną. Następnie podniósł list od jakiegoś cywila, zaadresowany konkretnie do niego. Już to samo w sobie było niezwykle. Jednak to zawartość przesyłki sprawiła, że James Lawson wzdrygnął się i wyprostował z uwagą w fotelu.

8 listopada 2003 r.

Carlton Way 12

St. Monans, Fife

Do Zastępcy Komendanta Głównego Policji Jamesa Lawsons,

Komenda Główna Policji, Detroit Road, KY6 2RJ Glenrothes

Szanowny Panie Komendancie Lawsonie,

z zainteresowaniem przeczytałem w gazecie reportaż obwieszczający, że policja hrabstwa Fife podjęła kroki, by ponownie

przeanalizować sprawy nierozwiązanych morderstw. Jak miemam, wśród nich pod lupą znajdzie się znowu także sprawa morderstwa Rosemary Duff. Chciałbym zaaranżować spotkanie z Panem, by porozmawiać o tym śledztwie.

Jestem w posiadaniu informacji, które – choć może nie są bezpośrednio znaczące dla sprawy – mogą pomóc policji zrozumieć tło wydarzeń sprzed lat.

Proszę nie uznać tego listu za pisaninę jakiegoś maniaka. Mam powody przypuszczać, że policja nie była świadoma tych faktów w czasie właściwego śledztwa.

Będę z niecierpliwością czekał na odpowiedź.

Łączę wyrazy szacunku

Graham Macfadyen

Graham Macfadyen ubrał się starannie. Chciał wywrzeć odpowiednie wrażenie na zastępcy komendanta Lawsonie. Obawiał się, że policjant zignoruje jego list, gdyż uzna go za dzieło jakiegoś świra pragnącego rozgłosu. Jednak ku swemu zaskoczeniu otrzymał pocztą odpowiedź. Jeszcze bardziej zdziwił go fakt, że Lawson odpisał mu osobiście i poprosił go o telefon, by mogli umówić się na spotkanie. Spodziewał się, że zastępca komendanta po prostu przekaże list temu ze swych podwładnych, który zajmuje się sprawą Rosemary Duff. To, że policja wyraźnie traktowała swą rewizję poważnie, zrobiło na nim wrażenie. Kiedy zadzwonił, Lawson zasugerował, by spotkali się w domu Macfadyena w St. Monans.

– Będzie tam swobodniej niż na komendzie – powiedział.

Macfadyen podejrzewał, że Lawson chce się z nim zobaczyć na jego terenie, by móc lepiej ocenić jego stan psychiczny. Z zadowoleniem przystał jednak na tę propozycję, choćby dlatego, że przez całe życie nie

cierpiał nawigowania po labiryncie rond, z których Glenrothes zdawało się składać.

Spędził zeszły wieczór na sprzątanii salonu. Zawsze uważał się za relatywnie schludnego mężczyznę i nieodmiennie zaskakiwała go liczba rzeczy, które trzeba było uporządkować na te okazje, gdy w jego domu miała się pojawić inna osoba. Może działo się tak, bo bardzo rzadko trafiała mu się szansa, by wykazać się gościnnością. Nigdy nie widział sensu w randkowaniu i szczerze mówiąc, nie odczuwał braku kobiety w swoim życiu. Relacje ze współpracownikami zdawały się zużywać całą energię na społeczne interakcje, jaką w sobie miał, a przecież rzadko widywał się z nimi poza pracą, tylko na tyle często, by nie wydawać się im dziwakiem. Już jako dziecko nauczył się, że lepiej pozostawać niewidzialnym, niż w jakiś sposób się wyróżniać. Jednak bez względu na to, ile czasu spędzał na rozwoju oprogramowania, nigdy nie męczyła go praca z urządzeniami. Kiedy surfował po sieci, wymieniał się informacjami na forach dyskusyjnych lub grał w wieloosobowe gry online, Macfadyen był najszcześliwszy; krzemowa bariera odgradzała go wtedy od reszty świata. Komputer nigdy go nie osądzał, nigdy nie uznał, że czegoś mu brakuje.

Ludzie myślą, że komputery są skomplikowane i trudne do zrozumienia, ale to nieprawda. Komputery są przewidywalne i bezpieczne. Komputery cię nie zawiodą. Z komputerem było jasne, jaką zajmuje się pozycję.

Spojrzał na swe odbicie w lustrze. Nauczył się, że wtapianie się w tło jest idealnym sposobem, by uniknąć niepożądanego uwagi. Dzisiaj chciał wyglądać na odprężonego, przeciętnego, niegroźnego człowieka. Nie dziwaka. Wiedział, że większość ludzi automatycznie uważa każdą osobę związaną z branżą informatyczną za zbzikowaną, a nie chciał, by Lawson wyciągnął podobny wniosek. Nie był dziwny, tylko inny. Zdecydowanie usiłował jednak nie dopuścić, by Lawson odniósł takie wrażenie.

Najlepszą drogą do uzyskania tego, czego się chce, jest pozostawanie niezauważonym.

Zdecydował się na parę lewisów i koszulkę polo firmy Guinness. Nic ostentacyjnego. Przeczesał grzebieniem swe gęste, ciemne włosy, krzywiąc się lekko do swego odbicia. Kiedyś pewna kobieta powiedziała mu, że przypomina Jamesa Deana, ale zignorował tę uwagę, uznając ją za żalostną próbę wzbudzenia w nim zainteresowania. Wsunął stopy w czarne skórzane mokasyny i zerknął na zegarek. Do umówionej godziny zostało jeszcze dziesięć minut. Przeszedł do gościnnej sypialni i usiadł przy jednym z trzech komputerów. W rozmowie musiał przemycić jedno kłamstwo, więc musiał się uspokoić, by zabrzmieć przekonująco.

*

James Lawson powoli jechał ulicą Carlton Way. Tworzyła ona półkole niewielkich domków jednorodzinnych powstałych w latach dziewięćdziesiątych na wzór tradycyjnego stylu budowniczego East Neuk. Ściany pokryte szorstkim wapiennym tynkiem, strome, kryte dachówką dachy i ich schodkowe szczyty stanowiły charakterystyczne cechy rodzimej architektury tego rejonu, a domy były na tyle indywidualne, że bez wysiłku wtapiały się w otoczenie. Siedziby te, znajdujące się około ośmiuset metrów w głąb lądu od wioski rybackiej St. Monans, były idealne dla młodych, pracujących ludzi, którzy nie mogli sobie pozwolić na bardziej tradycyjne budynki, ponieważ rzucali się na nie przyjezdni pragnący kupić osobliwe lokum, by spędzić w nim emeryturę albo wynająć je wczasowiczom.

Dom Grahama Macfadyena był jednym z mniejszych. Dwa pokoje dzienne i dwie sypialnie, uznał Lawson. Nie miał garażu, ale za to podjazd był na tyle duży, by pomieścić dwa niewielkie samochody. Teraz stał tam niezbyt nowy srebrny volkswagen golf.

Lawson zaparkował na ulicy i ruszył ścieżką. Spodnie garnituru trzepotały mu przy nogach, poruszane silnym wiatrem wiejącym od zatoki Firth of Forth. Wcisnął dzwonek i czekał z niecierpliwością. Nie uśmiechałoby mu się życie w tak przygnębiającej okolicy. Latem musiało tu być dość uroczo, ale w zimny listopadowy wieczór panował dżdżysty i ponury nastrój.

Drzwi otworzyły się i Lawson ujrzał mężczyznę w wieku dwudziestu kilku lat. Średniego wzrostu, szczupłej budowy, zarejestrował automatycznie. Czupryna ciemnych włosów falujących w sposób, który prawie uniemożliwiał utrzymanie ich w ładzie. Niebieskie oczy, głęboko osadzone, szerokie kości policzkowe i pełne, niemal kobiece usta. Niekarany, zdążył to już sprawdzić w bazach danych. Był jednak zdecydowanie za młody, by posiadać jakieś osobiste informacje w sprawie Rosie Duff.

– Pan Macfadyen? – zapytał Lawson.

Mężczyzna skinął głową.

– A pan to zapewne komendant Lawson. Czy tak powinienem się do pana zwracać?

Lawson uśmiechnął się uspokajająco.

– Nie ma potrzeby używać stopnia. Wystarczy „panie Lawson”.

Macfadyen cofnął się o krok.

– Proszę wejść.

Lawson podążył za nim wąskim korytarzem do zadbanego salonu. Kanapa i dwa fotele obite brązową skórą stały zwrócone ku telewizorowi, obok którego znajdowały się odtwarzacze wideo i DVD. Półki po obu stronach zestawu były zastawione kasetami i płytami. Z mebli w pokoju znajdowała się jeszcze tylko serwantka ze szklankami i kilkoma butelkami whisky słodowej. Lawson zauważył to jednak dopiero później. Najpierw rzuciła mu się w oczy jedyna rzecz zawieszona na ścianie. Zdjęcie zrobione z powietrza i powiększone do rozmiarów pięćdziesiąt na

siedemdziesiąt pięć centymetrów było natychmiast rozpoznawalne dla każdej osoby zaangażowanej w sprawę Rosie Duff. Uchwycone, gdy słońce wisało już nisko na niebie, ukazywało długie, odkryte groby piktyjskiego cmentarza na Hallow Hill, gdzie odkryto jej ciało. Lawson stał jak zaczarowany. Dopiero głos Macfadyena przywrócił go do rzeczywistości.

– Czy mogę panu zaproponować coś do picia? – zapytał młodzieniec. Stał tuż przy progu, nieruchomy jak ofiara zahipnotyzowana spojrzeniem drapieżnika.

Lawson pokręcił głową zarówno po to, by wyprzeć obraz z myśli, jak i odrzucić ofertę.

– Nie, dziękuję. – Usiadł, biorąc pozwolenie za pewnik, co wynikało z wielu lat spędzonych w policyjnej służbie.

Macfadyen wszedł do pokoju i wybrał fotel naprzeciwko niego. Lawson w ogóle nie mógł go przejrzeć, co wywoływało w nim delikatny niepokój.

– W swoim liście napisał pan, że ma jakieś informacje w sprawie Rosemary Duff – zagał ostrożnie.

– To prawda. – Macfadyen lekko wychylił się do przodu. – Rosie Duff była moją matką.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Grudzień 2003 roku

CZASOMIERZ WYMONTOWANY Z KAMERY WIDEO, puszka po farbie, ćwierć litra benzyny, kawałeczki drutu bezpiecznikowego. Nic szczególnego; nic, czego nie dałoby się znaleźć w stosie zbieranych przez lata domowych gratów trzymanyh w piwnicy lub w ogrodzie. Dość nieszkodliwe rzeczy. Chyba że połączy się je w pewien szczególny sposób. Wtedy stają się czymś całkiem nieudomowionym.

Czasomierz dotarł do wyznaczonego dnia i godziny, iskra skoczyła między dwoma kawałkami drutu i zapaliła opary benzyny. Pokrywa puszek wystrzeliła w górę, obrzucając leżące wokół stare papiery i wióry drewna kroplami płonącej benzyny. Operacja przebiegła podręcznikowo, idealnie dopracowana i zabójcza.

Ogień znalazł nową pożywkę w postaci rolek starej wykładziny, na wpół opróżnionych puszek farby, lakierowanego kadłuba łódki. Włókno szklane i doczepiany kanister z paliwem, meble ogrodowe i pojemniki z aerozolami zmieniły się w pochodnie i miotacze ognia, gdy pożar nabierał rozmachu. Rozżarzone drobiny wylatywały w powietrze jak podczas skąpego pokazu fajerwerków.

Nad tym wszystkim dym zbierał się coraz gęściej. Gdy ogień ryczał w ciemnościach piwnicy, dym rozchodził się po domu, z początku leniwie, lecz potem coraz intensywniej. Pierwsze kłęby były niewidoczne gołym okiem, rozrzedzone opary sączyły się między deskami podłogi i unosiły, niesione gorącym powietrzem. Były na tyle skoncentrowane, że śpiący mężczyzna zakaszał z trudem, ale nie dość gryzące, by się obudził. Potem

dym stał się dostrzegalny, przypominał mgliste upiory unoszące się tam, gdzie blask księżyca wpadał przez niezastłonięte firanami okna. Zapach również stał się wyczuwalny i zaalarmowałby każdego, kto byłby w stanie go poczuć. Jednakże dym przytępił już zmysły śpiącego mężczyzny. Gdyby ktoś potrząsnął go za ramię, może dałby radę wstać i dotrzeć do okna, do obietnicy ratunku. Ale on sam nie był już w stanie sobie pomóc. Sen przeszedł w utratę przytomności, a po chwili ustąpił miejsca śmierci.

Płomienie trzaskały i strzelały iskrami, posyłając w niebo szkarłatne i złote kometarne warkocze. Drewno jęknęło i z hukiem zawaliło się kompletnie. Było to najbardziej spektakularne i bezbolesne morderstwo, jakie można by sobie wyobrazić.

Alex Gilbey zadrżał, mimo że zamontowany w biurze termostat miał ustawiony na grzanie. Szare niebo, szary łupek, szary kamień. Siwy szron pokrywający dachy po drugiej stronie ulicy prawie w ogóle nie zniknął w ciągu dnia. Albo w tamtejszych budynkach mieli fantastyczną izolację, albo temperatura nie wzrosła ponad zero od późnego grudniowego świtu. Alex spojrzął w dół na Dundas Street. Spaliny samochodów kłębiły się jak duchy minionych świąt, sprawiając, że centrum wydawało się jeszcze bardziej zakorkowane niż zazwyczaj. Ludzie spoza miasta przyjeżdżali na świąteczne zakupy, nie zdając sobie sprawy, że znalezienie wolnego miejsca parkingowego w środku Edynburga w ciągu kilku tygodni przed Bożym Narodzeniem było większym wyzwaniem niż odkrycie idealnego prezentu dla wybrednej nastolatki.

Alex znów podniósł wzrok na niebo. Ołowiane i niskie chmury zwiastowały śnieg z subtelnością równą reklamie wystawowych salonów meblarskich ogłaszających styczniowe przeceny. Humor jeszcze bardziej mu się pogorszył. W tym roku wciąż dawał sobie radę dość dobrze, ale jeśli spadnie śnieg, jego determinacja pójdzie w strzępy i znów wpadnie w swój zwyczajowy posępny nastrój związany z trwającą właśnie porą

roku. Ze wszystkich możliwych dni dzisiaj naprawdę mógłby się obejść bez śniegu. Dokładnie dwadzieścia pięć lat temu potknął się o coś, co zmieniło wszystkie następne święta Bożego Narodzenia w wir okropnych wspomnień. Żadne natężenie pokładów dobrej woli ze strony wszystkich mężczyzn i kobiet nie mogło wymazać rocznicy śmierci Rosie Duff z jego mentalnego kalendarza.

Pewnie jestem jedynym wytwórcą kartek okolicznościowych, który nienawidzi najbardziej zyskowej pory roku, pomyślał. W biurach w dalszym końcu korytarza pracownicy z działu sprzedaży telefonicznej przyjmowali właśnie zamówienia od hurtowni na ostatnią chwilę uzupełniających zapasy i korzystając z okazji, próbowali zwiększyć zamówienia towaru na Walentynki, Dzień Matki i Wielkanoc. Obsługa magazynu właśnie zaczynała się odprężać, wiedząc, że czas pracy w największym pośpiechu już za nimi. Korzystali z okazji, by ocenić sukcesy i porażki ostatnich kilku tygodni. A ludzie z księgowości tak dla odmiany pewnie się właśnie uśmiechali. Wyniki z tego roku wzrosły o prawie osiem procent w porównaniu z zeszłorocznymi, częściowo dzięki nowej serii kartek, które Alex zaprojektował własnoręcznie. Mimo że minęło już ponad dziesięć lat, od kiedy przestał zarabiać na życie przy pomocy swoich przyborów do rysowania i tuszów, lubił od czasu do czasu wnosić własny wkład do oferty produktów. Był to najlepszy sposób na dopilnowanie, by pozostali członkowie zespołu nie spoczywali na laurach.

Ale zaprojektował te kartki w kwietniu, gdy duchy przeszłości na dłuższy czas dały mu spokój. Aż dziw, do jakiego stopnia sezonowa była jego apatia. Gdy tylko nastawało Święto Trzech Króli i bożonarodzeniowe dekoracje zniknęły z witryn sklepowych, by powędrować z powrotem do schowków, cień Rosie Duff zaczynał stopniowo zniknąć, odchodząc z jego myśli wraz z ciemnymi chmurami wspomnień. Znowu będzie w stanie cieszyć się życiem. Na razie musiał po prostu przetrwać. Pies

Przez lata zdążył wypróbować wiele różnorodnych metod, usiłując pozbyć się wszystkich kłębiących się w nim uczuć. W drugą rocznicę upił się do nieprzytomności. Do tej pory nie miał pojęcia, w jakim barze w końcu wylądował ani kto odprowadził go wtedy z powrotem do jego kawalerki w Glasgow. Ale w ten sposób zapewnił sobie jedynie paranoiczne sny, w których pojawiła się Rosie ze swym ironicznym uśmiechem i przyjaznym chichotem w nieprzerwanym, szalonym kalejdoskopie, z którego nie mógł się obudzić, mimo że cały zlewał się potem.

Rok później odwiedził jej grób na Cmentarzu Zachodnim w St. Andrews, na samych obrzeżach miasteczka. Zaczekał do zmierzchu, nie chcąc, by ktokolwiek rozpoznał jego twarz. Zaparkował swego bezosobowego, zdezelowanego forda escorta tak blisko bramy, jak tylko zdołał, naciągnął tweedową czapkę nisko na oczy, postawił kołnierz płaszcza i ruszył chyłkiem w wilgotny mrok. Problem polegał na tym, że nie wiedział dokładnie, gdzie pogrzebano Rosie. Widział jedynie zdjęcia z pogrzebu, które miejscowa gazeta rzuciła na całą pierwszą stronę. Z tego wywnioskował tylko, że grób znajdował się gdzieś w tylnej części cmentarza.

Przekradał się z pochyloną głową między nagrobkami, czując się jak jakiś maniak. Pożałował, że nie wziął ze sobą latarki, ale zaraz zdał sobie sprawę, że jej światło najbardziej przyciągałoby uwagę. Przytłumiony blask ulicznych latarni sączył się na cmentarz akurat w takim natężeniu, że pozwalał mu odczytać większość inskrypcji. Alex już miał się poddać, gdy w końcu natknął się na pomnik na grobie Rosie w ustronnym rogu tuż przy murze.

Był to prosty blok czarnego granitu. Litery pociągnięto złotą farbą i wciąż wyglądały na równie nowe jak w dniu, w którym je wyryto. Z początku Alex uciekł w rolę artysty, patrząc na nagrobek jak na wyłącznie estetyczny obiekt. W tych ramach był satysfakcjonujący. Lecz

Alex nie mógł zbyt długo ukrywać przed samym sobą znaczenia słów, które próbował postrzegać jedynie jako kształty wycięte w kamieniu. „Rosemary Margaret Duff. Urodzona 25 maja 1959 roku. Odebrana nam okrutnie 16 grudnia 1978 roku. Kochająca córka i siostra stracona na zawsze. Niech spoczywa w pokoju”.

Alex przypomniał sobie, że policja zorganizowała zbiórkę na zakup pomnika. Musiało dobrze im pójść, skoro zdołali ufundować takie długie epitafium, uznał, wciąż usiłując nie myśleć o wydarzeniach, z którymi łączył się napis.

Kolejną rzeczą, której nie dało się zignorować, był zbiór wyrażających kondolencje bukietów starannie rozłożonych u stóp nagrobka. Znajdował się tu przynajmniej tuzin pęków kwiatów i stroików, kilka stało w przysadzistych urnach, które kwiaciarze sprzedawali właśnie w tym celu. Kwiaty, które się tam nie zmieściły, leżały na trawie jako dobitne przypomnienie, w ilu sercach wciąż mieszkała Rosie Duff.

Alex rozpiął płaszcz i wyjął z kieszeni pojedynczą białą różę, którą przyniósł ze sobą. Przykucnął przy grobie, by położyć ją dyskretnie między pozostałymi kwiatami i wtedy prawie się posikał. Czyjaś dłoń z nienacką opadła mu na ramię. Wilgotna murawa stłumiła kroki, a on był tak pogrążony w myślach, że nie ostrzegł go nawet jego zwierzęcy instynkt.

Odwrócił się błyskawicznie, odtrącając obcą rękę. Poślizgnął się na trawie i upadł na plecy w przyprawiającym o mdłości podobieństwie do sceny z tamtej grudniowej nocy sprzed trzech lat. Wzdrygnął się, oczekując kopnięcia lub ciosu, gdy osoba, która mu przeszkodziła, zorientuje się, z kim ma do czynienia. Absolutnie nie spodziewał się znajomego głosu zwracającego się do niego z troską i przezwiskiem używanym jedynie przez ludzi z jego najbliższego kręgu.

– Gilly, wszystko w porządku? – Sigmund Malkiewicz wyciągnął rękę, by pomóc mu wstać. – Nie chciałem cię przestraszyć.

– Chryste, Ziggy, a myślałeś, że jak to wyjdzie, skoro podkradłeś się do mnie w nocy na cmentarzu? – oburzył się Alex, gramoląc się na nogi o własnych siłach.

– Wybacz. – Ziggy wskazał głową różę przyniesioną przez Alexa. – Miły gest. Ja nigdy nie zdołałem wymyślić, co byłoby odpowiednie.

– Przychodziłeś tu już wcześniej? – Alex otrzepał się i zwrócił twarzą do swego najdawniejszego przyjaciela. Ziggy wyglądał w mdłym świetle jak duch, jego blada skóra zdawała się emanować własnym blaskiem.

Ziggy skinął głową.

– Tylko w rocznice. Ale nigdy wcześniej nie widziałem tu ciebie.

Alex wzruszył ramionami.

– Jestem tu pierwszy raz. Próbuję wszystkiego, żeby o tym zapomnieć, sam rozumiesz.

– Nie sądzę, żeby mnie kiedykolwiek się to udało.

– Ani mnie.

Już bez słowa odwrócili się i ruszyli w stronę bramy, każdy zatopiony we własnych okropnych wspomnieniach.

Odkąd skończyli uniwersytet, mieli niepisaną umowę, by nie rozmawiać o wydarzeniu, które w tak znaczący sposób odmieniło ich życie. Jego cień wisiał nad nimi nieustannie, ale teraz nie przyznawali się do tego przed sobą. Być może to właśnie unikanie owych rozmów, które nie oferowały żadnego rozwiązania, pozwoliło, by ich przyjaźń przetrwała. Nie widywali się obecnie zbyt często, bo Ziggy podlegał piekielnemu grafikowi lekarza stażysty w Edynburgu, ale gdy już udało im się umówić na jakieś wyjście, okazywało się, że dawna zażyłość w ogóle nie osłabła.

Ziggy zatrzymał się przy bramie.

– Masz ochotę na piwo?

Alex pokręcił głową.

– Jeśli zacznę, nie będę chciał przestać. A dla ciebie i dla mnie źle by się to skończyło, gdybyśmy się schlali akurat w tym zakątku świata. Wciąż mieszka tu zbyt wielu ludzi, którzy sądzą, że morderstwo uszło nam na sucho. Nie, wracam prosto do Glasgow.

Ziggy uścisnął go mocno.

– Ale widzimy się w sylwestra, tak? O północy na rynku?

– Jasne. Będziemy tam z Lynn.

Ziggy pokiwał głową, pojmując wszystkie implikacje zawierające się w tych kilku słowach. Podniósł rękę w żartobliwym salucie i odszedł w gęstniejący mrok.

Od tamtej pory Alex nie odwiedził już grobu Rosie ani razu. W niczym mu to nie pomogło, a poza tym nie chciał widywać Ziggy'ego w taki sposób. Było to zbyt świeże, zbyt naładowane znaczeniem, o którym woleli zapomnieć, by nie zniszczyło ich przyjaźni.

Przynajmniej nie musiał cierpieć w tajemnicy, tak jak w jego opinii robili to pozostali. Lynn dowiedziała się wszystkiego o śmierci Rosie Duff jak najszybciej. Byli w związku od tamtej zimy. Czasem zastanawiał się, czy jedynym powodem, dla którego zdołał ją pokochać, był fakt, że jego największy sekret już wcześniej stanowiło coś, czego oboje byli świadomi.

Trudno było opierać się przekonaniu, że okoliczności tamtej nocy w jakiś sposób ograbiły go z innej przyszłości. Był to jego osobisty kamień u szyi, plama na pamięci, przez którą czuł się na zawsze skażony. Nikt nie chciałby się z nim zaprzyjaźnić, gdyby wiedział, jaką Alex ma przeszłość, jakie podejrzenia wciąż ciążyły na nim w opinii wielu osób. Lynn wiedziała i kochała go mimo wszystko.

Przez ostatnie lata dawała temu wyraz na tak wiele sposobów. Wkrótce zaś ostateczny dowód jej uczucia miał przyjść na świat. Za dwa krótkie miesiące, daj Boże, miała urodzić dziecko, którego od tak dawna pragnęli. Oboje chcieli poczekać z powiększeniem rodziny, aż się ustatkują, a potem zaczęło się wydawać, że zwlekali z tą decyzją zbyt

długo. Po trzech latach bezskutecznych prób mieli już umówioną wizytę w klinice leczenia niepłodności, gdy niespodziewanie Lynn zaszła w ciążę. To wydarzenie było dla Alexa jak pierwszy świeży start od dwudziestu pięciu lat.

Oderwał wzrok od okna. Jego życie miało się niedługo zmienić. Może, jeśli podejmie ten wysiłek z prawdziwą determinacją, zdoła w końcu zerwać z siebie okowy przeszłości. Zaczynając już dzisiaj. Zarezerwuje stolik na dachu restauracji w Muzeum Szkocji. Zabierze Lynn na wyjątkową kolację, zamiast siedzieć w domu i smęcić.

Gdy wyciągnął rękę po telefon, ten zaczął dzwonić. Zaskoczony Alex przez chwilę gapił się na niego w osłupieniu, po czym odebrał.

– Halo, tu Alex Gilbey.

Zajął mu chwilę, zanim skojarzył głos po drugiej stronie z jego właścicielem. Nie był to ktoś obcy, ale nigdy by się nie spodziewał, że zadzwoni do niego któregoś popołudnia, a już zwłaszcza nie tego.

– Alex, mówi Paul. Paul Martin. – Jeszcze trudniej było go rozpoznać, bo był wyraźnie czymś wstrząśnięty.

Paul. Paul od Ziggy’ego. Fizyk zajmujący się cząstkami elementarnymi, czymkolwiek one są. Zbudowany jak rozgrywający. Facet, który przez ostatnie dziesięć lat przywoływał blask na twarz Sigmunda.

– Cześć, Paul. Co za niespodzianka.

– Alex, nie wiem, jak to powiedzieć... – Głos Paula załamał się. – Mam złe wieści.

– Coś z Ziggym?

– Alex, on nie żyje. Ziggy nie żyje.

Alex niemal potrząsnął telefonem, jakby jakaś mechaniczna usterka sprawiła, że źle dosłyszał słowa Paula.

– Nie – powiedział. – Nie, to musi być jakaś pomyłka.

– Jakże bym tego pragnął – odparł Paul. – To nie jest żadna pomyłka.

W nocy wybuchł pożar. Dom spłonął do cna. Mój Ziggy... nie żyje.

Alex wpatrywał się w ścianę niewidzącym wzrokiem. Ziggy grał na gitarze, mruczał bezsensownie jego mózg.

Nie, nie zagra już nigdy więcej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

CHOĆ JAMES LAWSON spędził pół dnia, zapisując dzisiejszą datę obok swoich inicjałów na zbieraniu dokumentów, zdołał pozostać całkowicie nieświadomy jej znaczenia. Potem dotarł do wniosku o autoryzację analizy DNA, złożonego przez Parhatkę; chodziło o kogoś, kto w toku jego śledztwa stawał się coraz bardziej podejrzany. Połączenie daty i myśli o zespole powołanym do rewizji dawnych spraw spowodowało, że trybiki w jego głowie zaczęły się obracać w dobrą stronę. Od tej wiedzy nie było ucieczki. Dzisiaj przypadała dwudziesta piąta rocznica śmierci Rosie Duff.

Lawson zastanawiał się, jak Graham Macfadyen sobie z tym radził i wspomnienie ich niezręcznej rozmowy sprawiło, że zaczął się wiercić na krześle. Z początku nie dał wiary jego oświadczeniu. W ciągu całego dochodzenia w sprawie śmierci Rosie nigdy nie padła żadna wzmianka o dziecku. Nikt ze znajomych ani rodziny nie rzucił choćby aluzji o istnieniu podobnego sekretu. Ale Macfadyen niewzruszenie obstawał przy swoim.

– Musieliście wiedzieć, że urodziła dziecko – upierał się. – Przecież patolog na pewno napisał o tym w swoim raporcie z sekcji.

Umysł Lawsons natychmiast przywołał obraz powłóczącej nogami postaci doktora Kennetha Frasera. W czasie morderstwa Rosie był już jedną nogą na emeryturze i zwykle śmierdział bardziej whisky niż formaliną. Większa część spraw, z którymi się zetknął w swojej karierze, była oczywista, więc rzadko miał do czynienia z ofiarami zabójstw.

Lawson pamiętał, jak Barney MacLennan zastanawiał się na głos, czy powinni sprowadzić kogoś z bardziej wszechstronnym doświadczeniem.

– Sekcja nie wykazała niczego takiego – rzekł, nie wnikając głębiej w temat.

– Niesamowite – zdziwił się Macfadyen.

– Może rana zniszczyła ślady po ciąży.

– Przypuszczam, że istnieje taka możliwość – odparł Macfadyen z powątpiewaniem. – Zakładałem, że wiedzieliście o moim istnieniu, ale nigdy nie zdołaliście mnie odnaleźć. Od początku wiedziałem, że byłem adoptowany – dodał – ale uznałem, że jedynym sprawiedliwym rozwiązaniem będzie poczekać, aż adopcyjni rodzice zejdą z tego świata, zanim zacznę poszukiwania biologicznej matki. Mój tata zmarł trzy lata temu. A matka... Cóż, jest w domu opieki. Ma Alzheimera. To, czy cokolwiek odkryję, nie ma dla niej znaczenia, więc w tym sensie również jest jakby martwa. Dlatego kilka miesięcy temu zacząłem swoje poszukiwania. – Wyszedł z pokoju, po czym wrócił prawie natychmiast z niebieską kartonową teczką. – Proszę – powiedział, podając ją Lawsonowi.

Policjant odniósł wrażenie, jakby wręczono mu słoik z nitrogliceryną. Nie mógł do końca pojąć lekkiego poczucia odrazy, które przeszło go delikatnym dreszczem, ale nie pozwolił, by to doznanie powstrzymało go od otwarcia teczki. Plik umieszczonych w niej papierów był uporządkowany chronologicznie. Na wierzchu leżał list Macfadyena z zapytaniem. Lawson przekartkował go, chłonąc sedno korespondencji. Dotarł do aktu urodzenia i zatrzymał się przy nim. W rubryce zarezerwowanej dla matki w oczy wręcz kłuły go znajome informacje: „Rosemary Margaret Duff. Data urodzenia: 25 maja 1959 roku. Zawód: bezrobotna”. Tam, gdzie powinno znajdować się nazwisko ojca, słowo „nieznany” widniało na karcie jak szkarłatna litera na purytańskiej sukni. Podany adres nie wyglądał jednak znajomo.

Lawson podniósł wzrok. Macfadyen tak mocno ścisnął oparcia fotela, że jego kłykcie przypominały żwirowe kamyki obciążnięte lateksem.

– Livingstone House, Saline? – zapytał go policjant.

– Wszystko znajdzie pan w teczce. To dom należący do Kościoła Szkocji, gdzie odsyłano dziewczyny, które narobiły sobie kłopotów, by tam urodziły. Teraz mieści się tam dom dziecka, ale w tamtych czasach wysyłano tam kobiety, by ukryć ich hańbę przed sąsiadami. Zdołałem odnaleźć panią, która zarządzała wtedy tą instytucją. Nazywa się Ina Dryburgh. Teraz ma ponad siedemdziesiąt lat, ale umysłowo jest w pełni sprawna. Byłem zaskoczony, jak chętnie zgodziła się ze mną porozmawiać. Spodziewałem się większych trudności. Oznajmiła mi jednak, że to sprawy ze zbyt odległej przeszłości, by mogły jeszcze komukolwiek zaszkodzić. Zostaw umarłym grzebanie ich umarłych – tak zdaje się brzmieć jej filozofia.

– I co panu powiedziała? – Lawson wychylił się do przodu ze swego siedziska, nakłaniając Macfadyena do wyjawienia mu tajemnicy, która jakimś cudem oparła się pełnej skali śledztwa w sprawie morderstwa.

Młody mężczyzna rozluźnił się odrobinę, skoro wyglądało na to, że policja bierze go na serio.

– Rosie zaszła w ciążę, kiedy miała piętnaście lat. Znalazła w sobie odwagę, by przyznać się matce, gdy była mniej więcej w trzecim miesiącu, zanim jeszcze ktokolwiek się tego domyślił. Pani Duff zadziałała szybko. Skontaktowała się z pastorem, który dał jej namiary na Livingstone House. Następnego dnia wsiadła do autobusu i pojechała się spotkać z panią Dryburgh. Ta zgodziła się przyjąć Rosie i zasugerowała, by rozpuścić informację, że dziewczyna pojechała na jakiś czas do krewnej, która przeszła operację i potrzebowała w domu dodatkowej pary rąk do pomocy przy dzieciach. W pierwszy weekend po tej wizycie Rosie opuściła Strathkinness i udała się do Saline. Resztę ciąży spędziła pod skrzydłami pani Dryburgh. – Macfadyen z trudem przełknął ślinę. – Nigdy nie wzięła

mnie w ramiona. Nigdy mnie nawet nie widziała. Miała tylko jedno zdjęcie i nic poza tym. Wtedy inaczej się to wszystko odbywało. Zabrano mnie od niej i tego samego dnia zostałem przekazany moim adopcyjnym rodzicom. A pod koniec tygodnia Rosie była już z powrotem w Strathkinness, jak gdyby nigdy nic. Pani Dryburgh powiedziała mi, że ponownie usłyszała o Rosie dopiero w wiadomościach w telewizji. – Zrobił krótki, ostry wydech. – A potem wyznała mi, że moja matka nie żyje już od dwudziestu pięciu lat. Zamordowana. Że nigdy nikogo nie skazano za tę zbrodnię. Nie wiedziałem, co robić. Chciałem się skontaktować z pozostałymi członkami mojej rodziny. Zdołałem się dowiedzieć, że oboje dziadkowie nie żyją. Ale najwyraźniej mam jeszcze dwóch wujków.

– Nie odezwał się pan do nich do tej pory?

– Nie wiedziałem, czy powinienem. Wtedy przeczytałem w gazecie artykuł o rewizji nierozwiązanych spraw i pomyślałem, że najpierw porozmawiam z panem.

Lawson wbił wzrok w podłogę.

– O ile diametralnie się nie zmienili przez te dwadzieścia pięć lat, od kiedy ich znam, powiedziałbym, że lepiej by było nie wywoływać wilka z lasu. – Poczul na sobie spojrzenie Macfadyena, więc podniósł głowę. – Brian i Colin zawsze byli bardzo opiekuńczy wobec Rosie. Zawsze też rwali się do bitki. Mam wrażenie, że odbiorą twoje wyznanie jako obrazę jej charakteru. Nie wydaje mi się, żeby to oznaczało szczęśliwe rodzinne spotkanie.

– Pomyślałem, że wie pan... może zobaczą we mnie część Rosie, która wciąż żyje?

– Nie liczyłem na to – odparł stanowczo Lawson.

Macfadyen nadal wyglądał na nieprzekonanego.

– Ale gdyby ta informacja pomogła w waszym na nowo otwartym śledztwie? Wtedy może spojrzeliby na mnie inaczej, nie sądzi pan? Na

pewno chcą, żeby zabójca Rosie został w końcu schwytany.

Lawson wzruszył ramionami.

– Szczerze mówiąc, nie widzę, jak to miałyby nas popchnąć naprzód. Urodził się pan prawie cztery lata przed śmiercią swojej matki.

– A jeśli wciąż się spotykała z moim ojcem? Może to miało coś wspólnego z jej morderstwem?

– W przeszłości Rosie nie było żadnych dowodów wskazujących na tego rodzaju długotrwały związek. W roku, w którym zginęła, miała kilku chłopaków, ale żadnego z nich nie traktowała poważnie. To jednak nie zostawiało już miejsca na kogokolwiek innego.

– No to może on wyjechał, a potem wrócił? Czytałem reportaże prasowe o jej zabójstwie i pojawiła się tam sugestia, że z kimś się spotykała, tylko że nikt nie wiedział z kim. Może mój ojciec znów pojawił się na horyzoncie, a ona nie chciała, żeby jej rodzice dowiedzieli się, że wciąż zadaje się z chłopakiem, przez którego zaszła w ciążę. – W głosie Macfadyena zabrzmiała natarczywość.

– No cóż, jest to pewna teoria. Skoro jednak nikt nie wie, kim był ojciec jej dziecka, i tak nic nam to nie daje.

– Ale wtedy w ogóle nie byliście świadomi, że miała dziecko. Założę się, że nikogo nie pytaliście, z kim się spotykała cztery lata przed śmiercią. Może jej bracia wiedzą, kim jest mój ojciec.

Lawson westchnął.

– Nie zamierzam dawać panu fałszywych nadziei, panie Macfadyen. Jedno jest pewne, Brian i Colin desperacko pragnęli, żebyśmy znaleźli zabójcę Rosie. – Zaczął wyliczać na palcach przytaczane argumenty. – Gdyby ojciec jej dziecka wciąż mieszkał gdzieś w pobliżu albo gdyby znów się pojawił w okolicy, mógłby pan śmiało się założyć, że już pukaliby do naszych drzwi, krzycząc, żebyśmy go aresztowali. A gdybyśmy nie spełnili ich żądania, pewnie osobiście połamaliby mu nogi. Co najmniej nogi.

Macfadyen zacisnął wargi w cienką linię.

– Zatem nie zamierza pan podążyć tym tropem?

– Jeśli mogę, chciałbym zabrać ze sobą tę teczkę i skserować jej zawartość dla policjantki, która zajmuje się sprawą pańskiej matki. Nie zaszkodzi, jeśli dołączymy te informacje do naszych akt, a kto wie, może nawet okażą się przydatne.

Błysk triumfu zatańczył przelotnie w oczach Macfadyena, jak gdyby odniósł on właśnie wielki sukces.

– A więc mi pan wierzy? Wierzy pan, że Rosie była moją matką?

– Na to wygląda. Chociaż oczywiście będziemy musieli sami sprawdzić te rewelacje.

– Pewnie zechcecie wziąć ode mnie próbkę krwi?

Lawson zmarszczył czoło.

– Próbkę krwi?

Macfadyen zerwał się na równe nogi w nagłym przypływie energii.

– Proszę chwilę poczekać – powiedział i znów wyszedł z salonu. Wrócił, ściskając grubą książkę w miękkiej oprawie, która otwierała się wzdłuż linii pękniętego grzbietu. – Przeczytałem wszystko, co zdołałem znaleźć o morderstwie mojej matki – oznajmił, wciskając książkę Lawsonowi.

Policjant zerknął na okładkę. *Morderstwa, które uszły zabójcom na sucho: Największe nierozwiązane sprawy dwudziestego wieku*. Rosie Duff zasłużyła na pięć stron. Lawson przebiegł wzrokiem poświęcony jej rozdział. Był pod wrażeniem, jak mało błędów popełnili autorzy, opisując to dochodzenie. Z nieprzyjemną ostrością przypominała mu się ta okropna chwila, gdy stał, patrząc na leżące w śniegu ciało dziewczyny.

– Obawiam się, że wciąż nie rozumiem – powiedział.

– W książce jest napisane, że na jej ciele i ubraniach znaleziono ślady nasienia. W dodatku, mimo że analiza sądowa była wtedy na prymitywnym poziomie, zdołaliście wykazać, że potencjalnie tę spermę mogło zostawić trzech z czworga studentów, którzy odkryli ciało. Ale przy

obecnych możliwościach bez wątpienia będziecie w stanie porównać DNA z tego nasienia z moim DNA. Jeśli należało do mojego ojca, uda się to potwierdzić.

Lawson zaczynał odnosić wrażenie, że przypadkiem znalazł się po drugiej stronie lustra. To, że Macfadyen żarliwie pragnął dowiedzieć się czegokolwiek o swoim ojcu, było całkowicie zrozumiałe. Ale zatracenie się w tej obsesji do tego stopnia, że uznanie go winnym morderstwa stanowiło lepszą alternatywę od niepoznania go wcale, było po prostu chore.

– Jeśli mielibyśmy robić jakiegokolwiek porównania, nie użylibyśmy twojej próbki, Grahamie – oznajmił z taką uprzejmością, na jaką mógł się zdobyć – tylko wzięlibyśmy próbki od tych czterech chłopaków wspomnianych w książce. Tych, którzy znaleźli Rosie.

Macfadyen zaatakował.

– Powiedział pan: „jeśli”.

– „Jeśli”?

– Powiedział pan: „Jeśli mielibyśmy robić porównania”. Nie „kiedy”. Jeśli.

Zła książka. Zdecydowanie znalazł się w *Alicji w Krainie Czarów*. Lawson czuł się dokładnie jak ktoś, kto wpadł głową naprzód do stromej, ciemnej nory, tracąc bezpieczny grunt pod nogami. Jego lumbago wkroczyło rwąco do akcji. U niektórych ludzi bóle stanowiły reakcję na pogodę. Nerw kulszowy Lawsons był dolegliwym barometrem stresu.

– Panie Macfadyen, to dla nas wyjątkowo zawstydzająca sytuacja – powiedział, wycofując się za falangę formalności. – W którymś momencie podczas minionych dwudziestu pięciu lat fizyczne dowody związane z morderstwem pańskiej matki gdzieś się zapodziały.

Twarz Macfadyena wykrzywiła się w wyrazie wściekłego niedowierzania.

– Co pan ma na myśli, mówiąc, że „gdzieś się zapodziały”?

– Dokładnie to, co powiedziałem. Dowody przenoszono z miejsca na miejsce trzy razy. Raz, gdy komisariat w St. Andrews zmieniał siedzibę. Potem dowody wysłano do centralnego magazynu przy Komendzie Głównej. A nie tak dawno przenosiliśmy rzeczy do nowego magazynu oddanego nam do użytku. W którymś momencie torby z dowodami, które zawierały ubrania pańskiej matki, gdzieś się zawieruszyły. Gdy próbowaliśmy je odszukać, nie było ich w pudle, w którym powinny się znajdować.

Macfadyen wyglądał, jakby chciał kogoś uderzyć.

– Jak mogło do tego dojść?

– Jedyńm wytłumaczeniem, które mogę podać, jest błąd człowieka.

– Lawson skręcał się pod spojrzeniem swego młodego rozmówcy, pełnym złości i pogardy. – Nie jesteśmy nieomylni.

Macfadyen pokręcił głową.

– To nie jest jedyne możliwe wyjaśnienie. Ktoś mógł celowo usunąć te dowody.

– Po co ktokolwiek miałyby to zrobić?

– Cóż, to oczywiste. Zabójca nie chciałby, żeby się odnalazły, prawda? Wszyscy wiedzą o DNA. Gdy tylko ogłosiliście rewizję starych spraw, musiał się zorientować, że nie może tak tego zostawić.

– Dowody były zamknięte w policyjnym magazynie. Nie dostaliśmy raportów o żadnym włamaniu.

Macfadyen prychnął.

– Nie trzeba się zaraz włamywać. Równie dobrze można pomachać wystarczającą ilością pieniędzy pod odpowiednim nosem. Każdy ma swoją cenę, nawet stróże prawa. Wystarczy otworzyć gazetę albo włączyć telewizor, by dostać potwierdzenie policyjnej korupcji. Może powinien pan sprawdzić, który z pańskich ludzi niedawno niespodziewanie się wzbogacił.

Lawson poczuł się nieswojo. Maskę rozsądnego Macfadyena zsunęła się nieco, ukazując skraj wcześniej niewidocznej paranoi.

– To bardzo poważne oskarżenie – oznajmił. – A w dodatku całkowicie bezpodstawne. Proszę mi wierzyć, to, co się stało z dowodami w tej sprawie, wynikało z ludzkiego błędu.

Macfadyen buntowniczo piorunował go wzrokiem.

– A więc na tym koniec, tak? Będzie pan po prostu próbował zatuszować fakty?

Lawson usiłował przywołać na twarz pojednawczą minę.

– Nie mamy nic do tuszowania, panie Macfadyen. Mogę pana zapewnić, że policjantka prowadząca tę sprawę jest w trakcie przeszukiwania magazynu. Możliwe, że jeszcze znajdzie te dowody.

– Ale niezbyt prawdopodobne – rzekł ponuro Macfadyen.

– Owszem – zgodził się z nim Lawson. – Nie ma co specjalnie na to liczyć.

Minęło kilka dni, zanim James Lawson miał okazję sprawdzić rewelacje, które ujawnił mu w trakcie męczącej rozmowy nieślubny syn Rosie Duff. Zamienił słówko z Karen Pirie, ale ona z markotnym pesymizmem oceniała szanse jakichkolwiek rezultatów szperania w magazynie dowodowym.

– To jak szukanie igły w stogu siana, panie komendancie – poskarżyła się. – Już znalazłam trzy inne torby z dowodami w niewłaściwych miejscach. Gdyby opinia publiczna się o tym dowiedziała...

– W takim razie dopilnujmy, żeby te wiadomości nigdy nie wypłynęły – mruknął ponuro Lawson.

Karen zrobiła przerażoną minę.

– O Boże, no tak.

Lawson liczył wcześniej na to, że wieści o ich partactwie z dowodami w sprawie Rosie Duff da się ukryć. Jednak ta nadzieja umarła z powodu

jego własnej nieostrożności w postępowaniu z Macfadyenem. A teraz będzie musiał wyznać to wszystko raz jeszcze. Gdyby kiedykolwiek wyszło na jaw, że zataił tę konkretną informację przed rodziną Rosie, wszystkie gazety bezlitośnie by go obsmarowały. A to nikomu nie wyszłoby na dobre.

Strathkinness nie zmieniło się za bardzo przez dwadzieścia pięć lat, zauważył Lawson, parkując swój samochód przed Caberfeidh Cottage. Stało tu kilka nowych domów, ale ogółem wioska oparła się pochlebstwom deweloperów. W sumie to zaskakujące, pomyślał. Z takimi widokami miejsce to stanowiło naturalny wybór na lokalizację luksusowego hotelu w stylu wiejskiej posiadłości, który zaspokajałby potrzeby branży golfowej. Choć mieszkańcy na pewno się zmienili, dalej panowała tu atmosfera wioski klasy robotniczej.

Otworzył bramkę, odnotowując, że ogródek przed domem jest równie zadbane jak wtedy, gdy Archie Duff wciąż żył. Może Brian skonfundował proroków wieszczących mu upadek i z wiekiem upodabniał się do swego ojca. Lawson nacisnął dzwonek i odczekał chwilę.

Mężczyzna, który otworzył mu drzwi, był w dobrej formie. Lawson wiedział, że Brian Duff liczył sobie czterdzieści kilka lat, ale wyglądał o dekadę młodziej. Jego skóra miała zdrowy blask charakterystyczny dla osób, które lubią spędzać czas na świeżym powietrzu, krótkie włosy prawie wcale mu nie rzedły na skroniach, a koszulka z krótkim rękawem opinała szeroką klatkę piersiową i najlżejszą warstwę tłuszczu na umięśnionym brzuchu. Przy Brianie Lawson poczuł się jak starzec.

Duff zmierzył go wzrokiem i pozwolił sobie na minę wyrażającą lekceważenie.

– A, to ty – powiedział.

– Zatajanie dowodów może zostać zinterpretowane jako utrudnianie śledztwa. A to przestępstwo. – Lawson nie zamierzał dać się zdeklasować

Brianowi Duffowi.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Trzymam się z dala od kłopotów od ponad dwudziestu lat. Nie masz prawa tak tu przychodzić, pukać do moich drzwi i rzucać oskarżeniami.

– Chodzi mi o coś, co stało się ponad dwadzieścia lat temu, Brianie. Mówię o morderstwie twojej siostry.

Brian Duff nawet nie mrugnął.

– Słyszałem, że próbujesz odejść w pełnej chwale po tym, jak wrobiłeś swoich pacholków w rozwiązywanie swych dawnych porażek.

– Nie można powiedzieć, że to moja porażka. Byłem wtedy zwykłym krawężnikiem. Zaprosisz mnie do środka, czy będziemy rozmawiać tutaj, żeby wszyscy sąsiedzi mogli sobie popatrzeć?

Duff wzruszył ramionami.

– Nie mam nic do ukrycia, więc równie dobrze możesz wejść.

Wnętrze domu przeszło transformację. Salon, niezagracony i utrzymany w pastelowej kolorystyce, pokazywał, że urządził go ktoś z dobrym gustem.

– Nigdy nie poznałem twojej żony – odezwał się Lawson, podążając za Brianem do nowoczesnej kuchni, powiększonej dwukrotnie dzięki dobudówce stylizowanej na ogród zimowy.

– I to się raczej nie zmieni. Nie będzie jej w domu jeszcze przez co najmniej godzinę. – Duff zajrzał do lodówki, by wyjąć z niej puszkę lagera. Otworzył ją i oparł się o kuchenkę. – To o czym mowa? Jakie zatajanie dowodów? – Brian ostentacyjnie koncentrował się na puszcze piwa, ale Lawson wyczuwał, że był czujny niczym kot w obcym ogrodzie.

– Nikt z was nie wspomniał ani słowem o synu Rosie – powiedział.

Jego śmiałe stwierdzenie nie wywołało żadnej widocznej reakcji.

– To pewnie dlatego, że ta sprawa nie miała nic wspólnego z jej morderstwem – odparł Duff, nerwowo napinając ramiona.

– Nie sądzisz, że to my powinniśmy o tym zdecydować?

– Nie. To była prywatna sprawa sprzed kilku lat. Chłopak, z którym się wtedy spotykała, już tu nawet dłużej nie mieszkał. A poza rodziną nikt nie wiedział o dziecku. Jakim cudem to miałoby mieć jakikolwiek związek z jej śmiercią? Nie chcieliśmy, żeby dobre imię Rosie zostało zmieszane z błotem, a tak by się stało, gdybyście dostali w swoje łapska tę informację. Przedstawilibyście moją siostrę jako zdzirę, która zasłużyła sobie na to, co ją spotkało. Zrobilibyście, co w waszej mocy, byle tylko odwrócić uwagę ludzi od faktu, że nie potrafiliście wykonać tego, co do was należało.

– To nieprawda, Brianie.

– A właśnie że prawda. Zaraz poszedłby od was jakiś przeciek do gazet i w artykułach dziennikarze pisaliby o Rosie jak o wioskowej kurwie. A ona taka nie była i dobrze o tym wiesz.

Lawson przyznał mu rację z lekkim grymasem na twarzy.

– Wiem, że taka nie była. Ale wy powinniście byli nam powiedzieć o dziecku. Ta informacja mogła mieć znaczenie dla śledztwa.

– Szukalibyście wiatru w polu. – Duff pociągnął duży łyk lagera. – Jak to odkryliście po tak długim czasie?

– Syn Rosie ma więcej społecznej świadomości niż wy. Odezwał się do nas, gdy zobaczył w gazecie artykuł o rewizji nierozwiązanych spraw.

Tym razem Lawson doczekał się reakcji. Duff zamarł z puszką w połowie uniesioną do ust. Po chwili odstawił ją gwałtownie na blat.

– Chryste. Czego od was chciał?

– Odnalazł kobietę, która prowadziła dom dla dziewcząt z kłopotami, w czasie gdy Rosie była w ciąży. Ona opowiedziała mu o morderstwie. Chłopak pragnie odnaleźć zabójcę swojej matki równie mocno jak wy.

Duff pokręcił głową.

– Bardzo w to wątpię. Czy on wie, gdzie mieszkamy?

– Wie, że ty mieszkasz tutaj. Wie też, że Colin ma dom w Kingsbarns, chociaż przebywa głównie na zatoce. Wyznał mi, że wyszedł was obu

przez archiwa państwowe, co zapewne jest prawdą. Nie ma powodu, by kłamać. Powiedziałem mu, że nie sędzę, byście przyjęli go z otwartymi ramionami.

– Przynajmniej w tej kwestii miałeś rację. Może byłoby inaczej, gdybyście zdołali przymknąć mordercę Rosie. Ja w każdym razie nie chcę, żeby mi przypominano o tym etapie jej życia. – Potarł oko wierzchem dłoni. – To jak, zamierzacie w końcu przyskrzytnić tych cholernych studentów?

Lawson przesunął się nieco na krześle.

– Nie wiemy, czy to oni są sprawcami. Ja od początku byłem przekonany, że tę zbrodnię popełnił ktoś obcy.

– Nie wciskaj mi kitu. Wiesz, że byli najbardziej podejrzani. Na pewno znów im się przyglądacie.

– Robimy, co w naszej mocy, ale nie wygląda to obiecująco.

– Ale macie teraz DNA. To na pewno zmienia postać rzeczy? Macie spernę z ubrań Rosie.

Lawson odwrócił wzrok. Rzucił mu się w oczy magnes na lodówce zrobiony ze zdjęcia. Promienny uśmiech Rosie Duff sprzed lat był jak ukłucie winy dźgające go głęboko w serce.

– Jest pewien problem – przyznał, bojąc się spodziewanej reakcji Briana.

– Jaki problem?

– Dowody gdzieś się zapodziały.

Duff odepchnął się od kuchenki i stanął prosto, opierając się na przedniej części stóp.

– Zgubiliście dowody? – Jego oczy zapłonęły gniewem, który Lawson pamiętał mimo upływu wielu lat.

– Nie powiedziałem, że je zgubiliśmy, tylko że się zapodziały. Nie ma ich tam, gdzie powinny być. Robimy, co się da, by je zlokalizować

i zapatruję się optymistycznie na to, że je znajdziemy. Na razie jednak ich brak krzyżuje nam szyki.

Duff zacisnął dłonie w pięści.

– Więc ci czterej gnoje wciąż nie muszą się niczym martwić?

Miesiąc później, podczas urlopu spędzonego na wędkowaniu, który rzekomo miał być odprężający, wspomnienie furii Briana Duffa wciąż rozbrzmiewało echem w piersi Lawsona. Od tamtej pory nie miał żadnych wieści od brata Rosie, ale jej syn dzwonił do niego regularnie. Wiedza o ich uzasadnionym gniewie sprawiała, że Lawson czuł w dwójnasób potrzebę uzyskania rezultatów ich akcji z rewizją starych spraw. Rocznicą śmierci Rosie przyczyniła się tylko do tego, że potrzeba ta stała się jeszcze bardziej nagląca. Lawson westchnął, odsunął fotel od biurka i udał się do pokoju zespołu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ALEX WPATRYWAŁ SIĘ w podjazd przed swoim domem, jakby go nigdy wcześniej nie widział. Nie zapamiętał nic z powrotu z Edynburga, przejazdu mostem Forth Bridge i dalej przez wioskę North Queensferry. W oszołomieniu zmienił bieg i zaparkował na dalszym krańcu wybrukowanej przestrzeni, robiąc Lynn dużo miejsca, by mogła zostawić swój samochód bliżej drzwi.

Ich kwadratowy, kamienny dom przycupnął na skarpie w pobliżu olbrzymich filarów wspornikowego mostu kolejowego. Tak blisko morza śnieg toczył przegraną walkę z nasyconym solą powietrzem. Breja pod stopami była zdradliwa i Alex niemal przewrócił się parę razy, idąc od samochodu do drzwi frontowych. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił po wytarciu butów i zamknięciu drzwi, by nie wpuszczać zimna do środka, było wykonanie telefonu do Lynn. Zostawił jej wiadomość z ostrzeżeniem, by uważała w drodze do domu.

Przechodząc przez korytarz, zerknął na stojący zegar szafkowy; włączał też mijane światła. Nieczęsto zdarzało mu się wracać do domu w dzień roboczy w zimie, gdy wciąż było jasno, ale dziś niebo było takie ciemne, że wydawało się, iż jest później niż w rzeczywistości. Minie jeszcze co najmniej godzina, zanim wróci Lynn. Alex potrzebował towarzystwa, ale w tej sytuacji musiał przez jakiś czas zadowolić się asystą butelki. W salonie nalał sobie brandy. Nie za dużo, przestrzegł się. Gdyby się upił, poczułby się gorzej, nie lepiej. Wziął swoją szklanke i poszedł do przestronnej oranżerii, z której roztaczał się panoramiczny widok na zatokę Firth of Forth. Usiadł w ponurej szarości, nie zwracając

uwagi na światła statków migoczące na wodzie. Nie wiedział, jak w ogóle zacząć przetrwać wieści otrzymane tego popołudnia.

Nikt nie osiąga wieku czterdziestu sześciu lat bez żadnych strat po drodze. Alex miał jednak więcej szczęścia niż inni. Pewnie, między dwudziestką a trzydziestką był na pogrzebach wszystkich swoich dziadków i babć. Ale tego trzeba się spodziewać po ludziach zbliżających się do osiemdziesiątki czy dziewięćdziesiątki, a żywi w taki czy inny sposób określali wszystkie te cztery śmierci jako „zasłużony odpoczynek”. Zarówno jego rodzice, jak i teściowie wciąż żyli. Tak jak – do dzisiaj – wszyscy jego bliscy przyjaciele. Wszedł w najbardziej intymny kontakt ze śmiercią parę lat temu, gdy naczelny drukarz z jego firmy zginął w wypadku samochodowym. Alex był zasmucony utratą człowieka, do którego żywił sympatię oraz na którym polegał na gruncie zawodowym, ale nie potrafił udawać żałoby, jakiej tak naprawdę nie czuł.

Teraz było inaczej. Ziggy stanowił część jego życia przez ponad trzydzieści lat. Przeszli razem przez każdą inicjację; byli dla siebie nawzajem bazą, na której opierały się ich wspomnienia. Bez Ziggy’ego Alex czuł się oderwany od historii własnego życia. Przypomniawszy sobie ostatnie spotkanie z przyjacielem. Razem z Lynn pod koniec lata spędzili dwa tygodnie w Kalifornii. Ziggy i Paul dołączyli do nich na trzy dni pieszych wycieczek po Yosemite. Niebo lśniło błękitem, promienie słońca malowały zjawiskowe góry w ostre reliefy, każdy ich szczegół zdawał się tak wyraźny, jakby został wytrawiony kwasem na płycie drukarskiej. Podczas ostatniego wieczoru, który spędzili wspólnie, pojechali na wybrzeże i zameldowali się w hotelu na skarpie, z którego widać było Pacyfik.

Po kolacji Alex i Ziggy rozsiedli się w jacuzzi z sześciopakami piwa z miejscowego minibrowaru. Gratulowali sobie tego, jak dobrze poukładali sobie życie. Rozmawiali o ciąży Lynn i Alex został wynagrodzony nieukrywanym zachwytem przyjaciela.

– Oczywiście to mnie poprosisz na ojca chrzestnego – oznajmił Ziggy, brzęknąwszy butelką swego bursztynowego piwa w butelkę Alexa.

– Nie sądzę, byśmy zdecydowali się na chrzciny – odparł Alex. – Ale jeśli rodzice nas do tego przymuszą, nie ma nikogo, kogo chętniej zobaczyłbym w tej roli.

– Nie pożałujesz tego wyboru – rzekł Ziggy.

I Alex wiedział, że naprawdę by nie żałował. Nawet przez sekundę. Ale teraz to się już nigdy nie wydarzy.

Następnego ranka Ziggy i Paul wyruszali wcześniej, bo czekała ich długa droga powrotna do Seattle. Stali na werandzie wynajętego domku w perłowym blasku świtu, ściskając się na pożegnanie. Kolejna rzecz, która już nigdy się nie powtórzy.

Jakie były ostatnie słowa, które Ziggy wykrzyknął przez okno ich SUV-a, gdy odjeżdżali już ścieżką? Coś o tym, żeby Alex nie zapomniał teraz spełniać każdej zachcianki Lynn, bo to go przygotowuje do roli rodzica. Nie mógł sobie przypomnieć dokładnych słów ani tego, co zawołał w odpowiedzi. Ale to było typowe dla Ziggy'ego, że ich ostatnia rozmowa dotyczyła opieki nad kimś innym. Bo to właśnie on zawsze otaczał ich opieką.

W każdej grupie nieodmiennie znajduje się jedna osoba, która staje się opoką, zapewnia schronienie, które daje słabszym członkom plemienia czas na odnalezienie w sobie własnej siły. Dla Laddies fi' Kirkcaldy tą osobą zawsze był Ziggy. Nie chodziło o to, że był apodyktyczny albo lubił wszystkimi dyrygować. Miał po prostu wrodzone predyspozycje do tej roli, a pozostała trójka bezustannie korzystała z jego zdolności do rozwiązywania problemów. Nawet gdy byli już dorośli, to do niego zawsze zwracał się Alex, gdy potrzebował konsultacji. Kiedy zastanawiał się nad wielkim krokiem w karierze, a mianowicie porzuceniem zwykłej działalności zarobkowej i skorzystaniem z szansy na założenie własnej firmy, spędzili weekend w Nowym Jorku, gdzie omówili

wady i zalety tego pomysłu, a pewność, jaką Ziggy pokładał w zdolnościach Alexa, była – szczerze mówiąc – bardziej decydującym argumentem niż przekonanie Lynn, że Alex odniesie sukces.

To również już nigdy się nie powtórzy.

– Alex?

Głos żony przeciął jego pełną otępienia zadumę. Tak pogrążył się w zamyśleniu, że nie usłyszał, jak zajechała samochodem pod dom i weszła do środka. Na wpół obrócił się ku ulotnemu tchnieniu jej perfum.

– Dlaczego tak siedzisz po ciemku? I dlaczego jesteś w domu tak wcześnie? – W jej tonie nie było wyrzutu, jedynie troska.

Potrząsnął głową. Nie chciał się dzielić tą wieścią.

– Coś się stało. – Lynn nie dała się zbyć. Przeszła przez pokój i usiadła na krześle koło niego. Położyła mu dłoń na ramieniu. – Alex? Co się stało?

Słyszając jej niepokój, Alex poczuł, jak znieczulający go szok wyparowuje gwałtownie. Palący ból przeszył go jak cios nożem, aż przez moment zabrakło mu tchu. Spojrzał w zmartwione oczy Lynn i wzdrygnął się. Bez słowa wyciągnął rękę, by łagodnie dotknąć jej krągłego brzucha.

Lynn przykryła jego dłoń swoją.

– Alex... powiedz mi, co się stało.

Własny głos brzmiał obco w jego uszach, niczym łamiąca się, urywana atrapa jego normalnej mowy.

– Ziggy – wydusił z siebie. – Ziggy nie żyje.

Lynn otworzyła usta. Jej czoło zmarszczyło się w wyrazie niedowierzania.

– Ziggy?

Alex odchrząknął.

– Naprawdę – powiedział. – Mieli w domu pożar. W nocy.

Lynn zadrżała.

– Nie. Nie Ziggy. Musiała zająć jakaś pomyłka.

– Niestety nie. Paul mnie powiadomił. Zadzwoił, żeby mnie o tym poinformować.

– Jak to możliwe? Przecież spał z Ziggy w jednym łóżku. Jak Paul może być cały i zdrowy, a Ziggy martwy? – Lynn mówiła głośno, a jej niedowierzający ton odbijał się echem od szyb oranżerii.

– Paula tam nie było. Dawał gościnny wykład na Uniwersytecie Stanforda. – Alex zamknął oczy, myśląc o tym. – Przyleciał z powrotem rano. Pojechał z lotniska prosto do domu. I zastał tam strażaków oraz policjantów grzebiących w gruzach tego, co z niego zostało.

Bezszelestne łzy zalśniły na rzęsach Lynn.

– To musiało być... o Boże. Nie mogę w to uwierzyć.

Alex skrzyżował ręce na piersi.

– Człowiek nigdy nie myśli o tym, jak kruche jest życie ludzi, na których mu zależy. W jednej chwili są, a w następnej już ich nie ma.

– Czy wiadomo, jak to się stało?

– Powiedzieli Paulowi, że jeszcze za wcześnie, by cokolwiek stwierdzić. Ale zdradził mi, że zadawali mu dość dociekliwe pytania. Wydaje mu się, że w tym wypadku jest coś podejznanego, a służby uznały, że to odrobinę zbyt wygodne, że akurat w tym czasie był poza domem.

– O Boże, biedny Paul. – Lynn ze zmartwienia splatała palce na podołku. – Utrata Ziggy'ego sama w sobie jest okropna. A teraz będzie miał jeszcze na karku policję... Biedny, biedny Paul.

– Poprosił mnie, żebym powiadomił Weirda i Monda. – Alex pokręcił głową. – Nie zdołałem się jeszcze za to zabrać.

– Ja zadzwonię do Monda – zaoferowała Lynn. – Ale później. W końcu nie ma obaw, że ktoś nas ubiegnie.

– Nie, ja powinienem to zrobić. Obiecałem Paulowi...

– To mój brat. Wiem, jaki jest. Ale Weirda zostawiam tobie. Nie sądzę, bym dała teraz radę wysłuchiwać, że Jezus mnie kocha.

– No tak. Ale ktoś musi mu powiedzieć. – Alex zdołał przywołać na twarz zgorzkniały uśmiech. – Pewnie będzie chciał wygłosić kazanie na pogrzebie.

Lynn struchlała.

– O nie. Nie możesz mu na to pozwolić.

– Wiem. – Alex wychylił się i sięgnął po swoją szklankę. Przełknął ostatnie parę kropel brandy. – Wiesz, jaki mamy dzisiaj dzień?

Lynn zamarła.

– O Jezu Przenajświętszy.

Wielebny Tom Mackie odłożył telefon na podstawkę i musnął srebrny, pozłacany krzyż zwisający mu z szyi na purpurową jedwabną sutannę. Jego amerykańscy parafianie byli zachwyceni faktem, że trafił im się pastor z Wielkiej Brytanii, a skoro nigdy nie potrafili odróżnić Szkotów od Anglików, zaspokajał ich pragnienie widowiska najbardziej wystawnymi pułapkami Wysokiego Anglikanizmu. Powodowała nim próżność, był gotów to przyznać, ale ostatecznie była to próżność nieszkodliwa.

Jednak jego sekretarz skończył już pracę na dziś i poszedł do domu, więc puste biuro dało mu przestrzeń potrzebną do skonfrontowania sprzecznych emocjonalnych reakcji na szokującą wieść o śmierci Ziggy’ego Malkiewicza bez konieczności przybierania maski dla publiczności. Choć w sposobie, w jaki Weird podchodził do praktycznej strony swego duszpasterstwa, było trochę cynicznej manipulacji, przekonania, które stanowiły fundament jego ewangelicznych rządów, poważał prawdziwie i z namaszczeniem. A w duszy wiedział, że Ziggy był grzesznikiem, człowiekiem nieodwracalnie skażonym przez sromotę swej homoseksualnej orientacji. W tej kwestii fundamentalistyczny światopogląd Weirda nie pozostawiał cienia wątpliwości. W Biblii wyraźnie wyszczególniono zakaz i odrazę wobec tego grzechu. Ziggy’emu trudno by było osiągnąć zbawienie, nawet gdyby odczuwał szczery żal za

swe grzechy, ale z tego, co wiedział Weird, Ziggy umarł tak, jak żył – z entuzjazmem biorąc swój grzech w objęcia. Niewątpliwie sposób, w jaki zszedł z tego świata, miał coś wspólnego z jego bezbożnym stylem życia. Zależność ta byłaby bardziej oczywista, gdyby Pan zesłał na niego plagę AIDS. Niemniej jednak Weird zdążył już stworzyć w umyśle scenariusz, który obarczał Ziggy’ego winą za jego własny zgubny wybór. Może jakiś przygodny kochanek zaczekał, aż Ziggy zaśnie, a potem obrabował go i podłożył ogień, by zatrzeć ślady przestępstwa. A może palili marihuanę i ćmiący się joint stał się zarzewiem pożaru.

Jakkolwiek do niej doszło, śmierć Ziggy’ego stanowiła dla Weirda dosadne przypomnienie, że można potępiać grzech, a mimo to kochać grzesznika. Nie dało się zaprzeczyć prawdziwości przyjaźni, stanowiącej jego podporę w czasach, gdy był nastolatkiem, a jego dziki duch trwał ślepy na światło wiary – kiedy Weird naprawdę był dziwny. Bez Ziggy’ego nigdy nie przetrwałby okresu dojrzewania, nie pakując się przy tym w poważne tarapaty. Albo i gorzej.

Jego umysł bez zachęty wrócił myślami do wydarzenia sprzed lat. To była zima tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku. Rok ich egzaminów podstawowych. Alex odkrył w sobie talent do włamywania się do samochodów bez niszczenia przy tym zamków. Wymagało to giętkiego paska metalu i wyjątkowej zręczności. Pozwalało im na anarchiczne działania, które tak naprawdę nie robiły z nich przestępców. Przebieg akcji był prosty. Wypijali parę nielegalnych carlsbergów special w barze Harbour, a potem wyruszali na nocną misję. Wybierali jakieś pół tuzina przypadkowych aut po drodze z pubu na dworzec autobusowy. Alex urywanymi, posuwistymi ruchami wciskał swój kawałek metalu za drzwi samochodu i otwierał zamek. Wtedy Ziggy albo Weird włązili do środka i wysmarowywali wiadomość po wewnętrznej stronie przedniej szyby. Używali do tego czerwonej szminki ukradzonej wcześniej z Boots the

Chemist, którą okrutnie trudno się zmywało. Ich przesłaniem był refren z piosenki Bowiego *Laughing Gnome*. Zawsze pękali wtedy ze śmiechu.

Potem odbiegali chwiejnym krokiem, chichocząc jak opętani; pamiętali jednak o tym, by z powrotem zamknąć samochód. Była to gra w jakiś sposób zarazem durna, jak i genialna.

Pewnej nocy Weird wgramolił się za kierownicę forda escorta. Gdy Ziggy pisał na szybie, on otworzył popielniczkę i z zachwytem zapatrzył się na zapasowy kluczyk. Wiedział, że nie mieli w planie kradzieży i Ziggy na pewno ukróciłby jego dobrą zabawę, więc odczekał, aż przyjaciel wysiadzie z samochodu, po czym wcisnął kluczyk do stacyjki i odpalił silnik. Włączył światła, wyławiając z mroku zszokowane twarze pozostałej trójki. Z początku chciał jedynie zaskoczyć kumpli, jednak skonfrontowany z okazją do siania zamętu, dał się ponieść chwili. Nigdy wcześniej nie prowadził samochodu, ale znał teorię i obserwował ojca wystarczająco często, by nabrać przekonania, że da radę. Wrzucił bieg, opuścił hamulec ręczny i ruszył skokami do przodu.

Udało mu się wyjechać z miejsca parkingowego i skierował się do zjazdu, który wiódł na promenadę, trzykilometrowy pas biegnący wzdłuż falochronu. Światła latarni rozmywały się pomarańczowo, szkarłatne litery ich wiadomości przybrały na szybie czarny kolor, gdy pędził coraz dalej, zgrzytając skrzynią biegów. Tak mocno się zaśmiewał, że ledwo był w stanie jechać prosto.

Koniec promenady zaskoczył go niewiarygodnie szybko. Szarpnął kierownicą w prawo, jakimś cudem zachowując kontrolę nad pojazdem, gdy pokonywał zakręt i mijał zajezdnię autobusową. Na szczęście na drodze było raptem parę samochodów, bo większość ludzi postanowiła w ten mroźny lutowy wieczór zostać w domu. Wcisnął do dechy pedał gazu, pomykając w Invertiel Road i dalej pod wiaduktem. Potem minął Jawbanes Road.

Zgubiła go prędkość. W miejscu, gdzie jezdnia biegła nieco w górę, zbliżając się do łuku po lewej stronie, Weird wjechał na ściętą lodem kałużę i wpadł w poślizg. Czas zwolnił. Samochód wirował w powolnym walcu przez wszystkie trzysta sześćdziesiąt stopni. Weird targnął kierownicą, ale chyba tylko pogorszył sprawę. Przednią szybę przesłoniła mu stroma, porośnięta trawą skarpa, po czym nagle auto przechyliło się na bok, Weirda rzuciło na drzwi, a korbka do otwierania okna wbiła się boleśnie w jego żebra.

Nie miał pojęcia, jak długo leżał tam zamroczony i obolały, wsłuchując się w tykanie wygasłego silnika, który chłodził się w nocnym powietrzu. Następną rzeczą, jaką zarejestrował, było zniknięcie drzwi znad jego głowy. Na ich miejscu pojawiły się wpatrujące się w niego przerażone twarze Alexa i Ziggy'ego.

– Ty pieprzony idioto – krzyknął Ziggy, gdy tylko upewnił się, że życie Weirda nie było bezpośrednio zagrożone.

Jakoś zdołał podciągnąć się z trudem do pozycji siedzącej, gdy wyciągali go z wraku. Wrzeszczał z bólu, gdy jego połamane żebra protestowały przeciwko ruchowi. Potem padł, dysząc, na oszronioną trawę, a każdy oddech był bolesny jak cios nożem. Dopiero po jakiejś minucie zorientował się, że na drodze za rozbitym escortem stał austin allegro. Jego światła przecinały ciemności i rzucały dziwaczne cienie.

Ziggy podźwignął go na nogi i poprowadził poboczem.

– Ty pieprzony idioto – powtarzał raz po raz, wciskając go na tylne siedzenie austina.

Przez mgłę bólu Weird usłyszał pertraktacje.

– I co teraz zrobimy? – zapytał Mondo.

– Alex zawiezie was wszystkich z powrotem na promenadę i odstawi ten samochód tam, gdzie go znaleźliście. Potem pójdziecie do domu. Jasne?

– Ale Weird jest ranny – zaproponował Mondo. – Musi iść do szpitala.

– No pewnie. Nagłośnijmy fakt, że miał wypadek drogowy. – Ziggy zgiął się, zaglądając do auta, i wyciągnął dłoń przed twarz Weirda. – Ile widzisz palców, głąbie?

Otumaniony Weird spróbował się skupić.

– Dwa – wyjęczał.

– No widzisz? Nawet nie ma wstrząśnienia mózgu. Zadziwiające. Ale w sumie zawsze mi się wydawało, że ma beton między uszami. Mondo, tylko potłukł sobie żebra. W szpitalu dali mu jedynie jakieś tabletki przeciwbólowe.

– Ale on strasznie cierpi. Co powie, jak już dotrze do domu?

– To już jego problem. Może skłamać, że spadł gdzieś ze schodów. Cokolwiek. – Ziggy znów pochylił się nad Weirdem. – Będziesz po prostu musiał uśmiechać się przez łzy i jakoś to znieść, ty matole.

Weird podciągnął się do pionu, krzywiąc się z bólu.

– Dam radę.

– A co z tobą? – zapytał autorytatywnie Alex, wślizgując się za kierownicę austina.

– Dam wam pięć minut, żebyście się stąd zmyli. Potem podpalę samochód.

Trzydzieści lat po tych wydarzeniach Weird wciąż pamiętał zszokowaną minę Alexa.

– Co?

Ziggy potarł dłonią twarz.

– Pełno w nim naszych odcisków. Ma nasze charakterystyczne hasło na całej przedniej szybie. Kiedy tylko sobie tak mazaliśmy, policja nie zawracała sobie nami głowy. Ale teraz mamy tu skradziony, rozbity samochód. Myślisz, że potraktują to jako żart? Musimy go spalić. I tak nadaje się już tylko na złom.

Nie dało się zaprzeczyć. Alex odpalił auto i odjechał gładko jak po maśle, wypatrując bocznej drogi, na której mógłby zawrócić. Dopiero

kilka dni później Weirdowi przyszło do głowy, by zapytać:

- Gdzie się nauczyłeś prowadzić?
- Zeszłego lata na plaży w Barra. Mój kuzyn pokazał mi co i jak.
- A jak ci się udało odpalić tego austina allegro bez kluczyków?
- Nie poznałeś go?

Weird pokręcił głową.

- To auto „Sammy’ego” Scale’a.
- Tego gościa ze szkoły, który zajmuje się obróbką metali?
- Dokładnie.

Weird wyszczerzył zęby. Pierwszą rzeczą, jaką wykonali na jego zajęciach, było namagnesowane pudełeczko, które można było przyczepić do podwozia samochodu i trzymać w nim zapasowy kluczyk.

- Poszczyściło wam się.
- Chyba tobie, idioto. To Ziggy przyuważył to auto.

Jak inaczej mogło to wszystko wyglądać, zadumał się Weird. Gdyby Ziggy nie przybył mu na ratunek, skończyłby w areszcie z kartoteką i zrujnował sobie życie. Zamiast porzucić go na pastwę konsekwencji jego własnej głupoty, Ziggy znalazł sposób, by go ocalić, narażając w ten sposób siebie. Podpalenie samochodu to poważna sprawa dla z natury praworządnego, ambitnego chłopaka. Ale Ziggy w ogóle się nie zawahał.

Dlatego teraz Weird powinien odpłacić mu za tę przysługę oraz za wiele innych. Wygłosi mowę na jego pogrzebie. Będzie nauczał, czym są skrucha i przebaczenie. Było już za późno, by uratować Ziggy’ego, ale z łaski dobrego Boga może ocali jakąś inną nieoświeconą duszę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

CZEKANIE BYŁO JEDNĄ Z CZYNNOŚCI, które wychodziły Grahamowi Macfadyenowi najlepiej. Jego adopcyjny ojciec był zapalonym ornitologiem amatorem i chłopiec zmuszony był spędzić dużą część swego dzieciństwa na zabijaniu czasu między obserwacjami ptaków na tyle interesujących, że warto było dla nich podnieść lornetkę do oczu. Nauczył się bezruchu w młodym wieku – wszystko, byle tylko uniknąć złośliwych, sarkastycznych uwag ojca. Rany potępienia cięły równie głęboko jak fizyczne ciosy i Macfadyen zrobiłby, co tylko znajdowało się w jego ograniczonej mocy, by ich uniknąć. Prędko pojął, że sekret tkwi w tym, by ubierać się odpowiednio do pogody. Stąd też, mimo że spędził większość dnia, znosząc tumany śniegu i zimne podmuchy północnego wiatru, wciąż było mu przyjemnie ciepło w długiej puchowej kurtce z kapturem, wodoodpornych spodniach wyłożonych polarem i solidnych butach do pieszych wędrówek. Był szczególnie zadowolony, że zabrał ze sobą rozkładane krzeselko, bo w wybranym przez niego punkcie obserwacyjnym nie było gdzie usiąść, jeśli nie liczyć nagrobków. A to wydawało mu się niegrzeczne.

Wziął sobie w pracy dzień wolny. Musiał skłamać, ale nie dało się tego uniknąć. Wiedział, że zawiedzie współpracowników, a jego nieobecność może oznaczać, że nie wyrobią się na czas z niezwykle ważnym zleceniem, ale niektóre rzeczy były ważniejsze niż wyznaczony w umowie termin płatności. Nikt też nie będzie podejrzewał tak sumiennego pracownika jak on o udawanie. Kłamstwa, tak jak wtapianie się w otoczenie i trwanie w bezruchu, wychodziły mu niezwykle udatnie.

W jego opinii Lawsonowi nie przyszedł do głowy choćby cień wątpliwości, gdy Macfadyen stwierdził, że kochał swoich przybranych rodziców. Bóg jeden wie, że próbował ich pokochać, ale ich emocjonalny dystans wraz z wyniszczającym go brakiem aprobaty i rozczarowaniem z ich strony odarł go z wszelkich cieplejszych uczuć. W efekcie stał się odrętwiały i wyobcowany.

Był pewien, że gdyby mieszkał ze swą biologiczną matką, jego życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Pozbawiono go jednak tej szansy, zostawiając mu jedynie fantazje, że zdoła w jakiś sposób przyczynić się do ukarania jej mordercy. Wiązał wielkie nadzieje z rozmową z Lawsonem, ale niekompetencja policji wyrwała mu grunt spod nóg. Najoczywistsza droga została przed nim zamknięta, lecz nie oznaczało to, że powinien zrezygnować ze swej misji. Przez wiele lat programowania nauczył się wytrwałości.

Nie miał pewności, czy jego czuwanie się opłaci, ale i tak czuł wewnętrzny przymus, by tu przyjść. Jeśli ten plan nie wypali, znajdzie inny sposób, by uzyskać to, na czym mu zależy. Przyjechał tu tuż po siódmej rano i ruszył przez cmentarz do znajomego grobu. Stał przy nim już wcześniej, rozczarowany, że nie doświadczył dzięki temu żadnego poczucia większej bliskości z matką, której nigdy nie poznał. Tym razem złożył jej w hołdzie dyskretny bukiet kwiatów u stóp nagrobka, a potem udał się do punktu obserwacyjnego, który odkrył podczas ostatniej wizyty w tym miejscu. Siedząc tam, był prawie całkowicie ukryty za bogato zdobionym pomnikiem radnego miejskiego, a zarazem mógł bez przeszkód spoglądać na miejsce spoczynku Rosie.

Ktoś się zjawi. Był tego pewien. Teraz jednak, po całym dniu, gdy wskazówki jego zegarka pełzły ku siódemce, zaczął mieć wątpliwości. Niech Lawson idzie do diabła z tą gadką, że powinien się trzymać z dala od swoich wujów. Zamierzał się z nimi skontaktować. Przypuszczał, że jeśli zagadnie ich w miejscu tak naładowanym emocjami, może przebić

się przez osłonę ich wrogości, co pozwoli im spojrzeć na niego jak na kogoś, kto – tak jak oni sami – miał prawo uważać się za członka rodziny Rosie. Teraz zaczynało wyglądać na to, że się przeliczył. Ta myśl go rozzłościła. Wtedy dostrzegł jednak ciemniejszy kształt na tle grobów.

Sylwetka okazała się należeć do mężczyzny, który szedł po ścieżce energicznym krokiem w jego stronę. Macfadyen gwałtownie wciągnął powietrze.

Przybyły człowiek pochylał głowę, chroniąc się przed złą pogodą. Zszedł z dróżki i pewnie podążał między oznaczeniami grobów. Gdy był już blisko, Macfadyen dostrzegł w jego dłoni mały bukiet. Mężczyzna zwolnił i zatrzymał się kilka kroków od nagrobka Rosie. Skłonił głowę i stał tak przez dłuższą chwilę. Gdy pochylił się, by położyć kwiaty, Macfadyen ruszył naprzód. Śnieg tłumiał jego kroki.

Nieznajomy wyprostował plecy i cofnął się nieco, wpadając na niego raptownie.

– Co, do... – zawołał, obracając się na pięcie.

Macfadyen podniósł ręce w uspokajającym geście.

– Przepraszam. Nie chciałem pana wystraszyć. – Ściągnął kaptur, by wydawać się mniej groźnym.

Mężczyzna posłał mu gniewne spojrzenie, przechylając głowę na bok i wpatrując się bacznie w jego twarz.

– Czy my się znamy? – zapytał głosem, który był równie wojowniczy, jak jego postawa.

Macfadyen w ogóle się nie zawahał.

– Myślę, że jest pan moim wujkiem – powiedział.

Lynn opuściła pomieszczenie, dając Alexowi przestrzeń, by wykonał swój telefon. Jej własny żal ciążył jej w piersi jak twarda, uwierająca gula. W rozkojarzeniu poszła do kuchni, nieprzytomnie pokroiła kurczaka w kostkę i wrzuciła do żeliwnego naczynia żaroodpornego wraz z niedbale

poszatkowaną cebulą i papryką. Zalała wszystko całym słoikiem gotowego sosu, dodała chlust białego wina i wsunęła do piekarnika. Jak zwykle zapomniała go najpierw nagrzać. Nakłuła widelcem dwa ziemniaki do upieczenia i ułożyła na kratce nad zapiekanką. Alex powinien już skończyć rozmowę z Weirdem, pomyślała. Nie mogła dłużej odkładać telefonu do brata.

Gdy zastanowiła się przez chwilę nad tym tematem, wydało jej się odrobinę dziwne, że mimo łączących ich więzów krwi, mimo jej pogardy dla Weirda głoszącego kazania o ogniu piekielnym i potępieniu, to Mondo stał się najbardziej wyobcowanym członkiem oryginalnego kwartetu. Często myślała, że gdyby nie byli bratem i siostrą, pewnie zniknęłyby kompletnie z radaru Alexa. Geograficznie znajdował się najbliżej, w Glasgow. Jednak pod koniec ich uniwersyteckiej kariery wyszło na to, że zapragnął przeciąć wszystkie sznurki łączące go z dzieciństwem i okresem nastoletniości.

Jako pierwszy wyjechał z kraju. Po otrzymaniu dyplomu ukończenia studiów wyruszył do Francji, by spełnić swe akademickie ambicje. Przez następne trzy lata prawie w ogóle nie wracał do Szkocji; nie pojawił się nawet na pogrzebie ich babci. Lynn wątpiła, by pofatygował się zaszczycić ich swą obecnością na jej ślubie z Alexem, gdyby akurat nie przebywał wtedy w Wielkiej Brytanii, gdzie prowadził wykłady na Uniwersytecie Manchesterskim. Za każdym razem, gdy Lynn próbowała odkryć powód jego nieobecności, udawało mu się uchylić od odpowiedzi. O tak, jej starszy brat zawsze był dobry w unikach.

Lynn, która pozostała mocno przywiązana do swych korzeni, nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ktoś miałby chcieć całkiem odciąć się od swej osobistej historii. W końcu Mondo nie miał gównianego dzieciństwa ani okropnego okresu dojrzewania. Jasne, zawsze był trochę mięczakiem, ale jak już zakolegował się z Alexem, Weirdem i Ziggym, usypał sobie wał obronny przeciwko dokuczającym mu dręczycielom. Pamiętała, jak

zazdrościła czwórce chłopaków ich nierozdzielnej przyjaźni i poufałości, która zawsze pozwalała im rozrywkowo organizować sobie czas. Ich okropnej muzyki, wywrotowych impulsów, kompletnego lekceważenia opinii rówieśników. Odwracanie się od takiego systemu wsparcia wydawało jej się w pełni masochistycznym posunięciem.

Jej brat zawsze był słaby, zdawała sobie z tego sprawę. Gdy kłopoty pchały się drzwiami, Mondo od razu wyskakiwał oknem. Według światopoglądu Lynn tym bardziej powinien podejmować próby podtrzymania przyjaźni, które pozwoliły mu przetrwać tak wiele trudnych chwil. Zapytała kiedyś Alexa, co o tym myśli, a on wzruszył ramionami.

– Ten ostatni rok w St. Andrews był trudny. Może Mondo po prostu nie chce, żeby cokolwiek mu o tym przypominało.

Było to w miarę sensowne wyjaśnienie. Lynn знаła swego brata na tyle dobrze, by rozumieć wstyd i poczucie winy, jakie odczuwał z powodu śmierci Barneya Maclennana. Przetrwał gorzkie drwiny barowych dręczycieli, którzy sugerowali, by przy następnej próbie samobójczej bardziej się postarał. Cierpiał, osobiście się zadreczając, bo wiedział, że jego samolubne granie pod publiczność pozbawiło kogoś życia. Musiał znieść terapię, która głównie przypominała mu o tym strasznym momencie, kiedy zwykłe domaganie się uwagi zmieniło się w najgorszy z koszmarów. Lynn przypuszczała, że obecność pozostałej trójki działała na niego jak sygnał do ponownego przeżywania wspomnień, które chciał usunąć z pamięci. Wiedziała też, że Alex, choć nigdy nie wyraził tej opinii na głos, nie zdołał całkiem pozbyć się uporczywie powracającego podejrzenia, że Mondo mógł być w posiadaniu większej ilości informacji o śmierci Rosie Duff, niż się do tego przyznał. Co tak naprawdę było bzdurą. Gdyby którykolwiek z nich był w stanie popełnić tę konkretną zbrodnię tamtej konkretnej nocy, byłby to Weird – całkowicie przyćpany mieszanką alkoholu i narkotyków, sfrustrowany, że jego wygłupy z land

roverem nie robiły na dziewczynach tak wielkiego wrażenia, na jakie liczył. Zawsze zastanawiało ją to jego nagłe, damasceńskie nawrócenie.

Nieważne jednak, jakie jej brat naprawdę miał powody, by trzymać się z daleka – tęskniła za nim przez ostatnich dwadzieścia lat. Gdy była młodsza, zawsze wyobrażała sobie, że Mondo ożeni się z dziewczyną, która zostanie jej najlepszą przyjaciółką, że staną się sobie jeszcze bliżsi, gdy oboje dorobią się dzieci, że zmienią się w jedną z tych naprawdę zżytych poszerzonych rodzin, które praktycznie cały czas przesiadują u siebie nawzajem. Żadna z tych wizji się jednak nie spełniła. Po serii na wpół poważnych związków Mondo w końcu wziął ślub z Hélène, francuską studentką młodszą od niego o dziesięć lat, która nie próbowała nawet ukrywać poczucia wyższości wobec każdego, kto nie potrafił prowadzić konwersacji o Foucaulcie czy *couture* z dorównującą jej łatwością. Alexem otwarcie gardziła, bo przedłożył handel nad sztukę. Na Lynn patrzyła z góry, obojętnie traktując jej karierę restauratorki dzieł. Tak jak ona i Alex, Mondo i Hélène wciąż nie mieli dzieci, ale Lynn podejrzewała, że raczej z wyboru i że pewnie tak zostanie.

Pomyślała, że może dzięki dzielącej ich odległości łatwiej jej będzie przekazać Mondowi nowiny. Mimo to podniesienie słuchawki było jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie przyszło jej zrobić w życiu. Po drugim sygnale odebrała Hélène.

– Witaj, Lynn. Jak miło cię słyszeć. Już wołam Davida – powiedziała, a jej niemal perfekcyjny angielski sam w sobie zabrzmiał jak wyrzut. Zanim Lynn zdołała ostrzec ją, że powód, dla którego dzwoni, jest dramatyczny, Hélène już nie było. Minęła dłużąca się minuta, po czym usłyszała w słuchawce znajomy głos brata.

– Lynn – przywitał się. – Jak się masz? – Jakby w ogóle go to obchodziło.

– Mondo, przykro mi, ale mam złe wieści.

– Chyba nie rodzice? – wtrącił, zanim zdążyła powiedzieć coś więcej.

– Nie, z rodzicami wszystko w porządku. Rozmawiałam z mamą wczoraj wieczorem. To będzie dla ciebie szok. Alex odebrał dziś po południu telefon z Seattle. – Lynn poczuła, jak gardło jej się ściska na samą myśl o tym, co miała przekazać. – Ziggy nie żyje. – Cisza. Nie potrafiła stwierdzić, czy milczenie, które zapadło, było spowodowane szokiem, czy niepewnością co do tego, jak należałoby zareagować. – Przykro mi – dodała.

– Nie wiedziałem, że chorował – odezwał się w końcu Mondo.

– Bo nie chorował. Jego dom spłonął w nocy w pożarze. Ziggy spał w swoim łóżku. Zginął w ogniu.

– To okropne. O Jezu, biedny Ziggy. Nie mogę w to uwierzyć. Zawsze był taki ostrożny. – Mondo wydał z siebie dziwny dźwięk, prawie jak parsknięcie śmiechem. – Gdyby któryś z nas miał zginąć w płomieniach, bez wahania obstawiałbym Weirda. Zawsze miał skłonności do wypadków. Ale Ziggy?

– Wiem, trudno to przyjąć do wiadomości.

– Boże, biedny Ziggy.

– Dokładnie. Tak wspaniale się bawiliśmy we wrześniu z nim i Paulem w Kalifornii. Mam wrażenie, że to mi się śni.

– A Paul? Czy on też nie żyje?

– Nie. Był w nocy poza domem. Wrócił i zastał same zgliszcza, a Ziggy był martwy.

– Boże. Będzie się przez to wydawał podejrzany.

– To jest na pewno ostatnia rzecz, o której teraz myśli. – Lynn puściły nerwy.

– Nie, źle mnie zrozumiałaś. Chodzi mi o to, że takie okoliczności mogą całą tę sprawę jeszcze dla niego pogorszyć. Chryste, Lynn, ja przecież wiem, jak to jest, gdy wszyscy patrzą na ciebie, jakbyś był mordercą. – Mondo cofnął się myślami do wydarzeń sprzed lat.

Zapadła krótka cisza, gdy oboje wycofali się z konfrontacji.

– Alex wybiera się na pogrzeb – podsunęła Lynn w ramach gałązki oliwnej.

– Och, nie wydaje mi się, żebym ja zdołał pojechać – wykręcił się pospiesznie Mondo. – Za parę dni wybieramy się do Francji. Mamy już zarezerwowane loty i całą resztę. Poza tym ostatnimi czasy nie byłem z Ziggyem tak blisko, jak ty i Alex.

Lynn z niedowierzaniem wbiła wzrok w ścianę.

– Wy czterej byliście jak rodzeni bracia. Czy takie uczucie nie jest warte małej zmiany w twoich wojażerskich planach?

Zapadła długa cisza. Potem Mondo znów się odezwał.

– Nie chcę tam jechać, Lynn. To nie znaczy, że Ziggy mnie nie obchodzi. Po prostu nienawidzę pogrzebów. Oczywiście napiszę do Paula. Jaki to ma sens, jechać przez pół świata na pogrzeb, który tylko mnie przygnębi? To nie przywróci Ziggy’emu życia.

Lynn zniechęta poczuła się wykończona. Dobrze, że zdecydowała się zdjąć ciężar tej raniącej rozmowy z barków Alexa. Najgorsze było to, że w sercu wciąż żywiła jakieś współczucie dla swego nadmiernie wrażliwego brata.

– Nikt z nas nie chciałby, żeby coś cię przygnębiło. – Westchnęła. – Cóż, Mondo, to by było na tyle.

– Jeszcze chwileczkę, Lynn – zatrzymał ją. – Czy Ziggy zmarł dzisiaj?

– Tak, dzisiaj wcześniej rano.

Mondo gwałtownie wciągnął powietrze.

– To dosyć upiorne. Wiesz, że dzisiaj mija dwadzieścia pięć lat od śmierci Rosie Duff?

– Nie zapomnieliśmy o tym. Jestem zaskoczona, że ty o tym pamiętasz.

Mondo roześmiał się z goryczą.

– Myślisz, że mógłbym zapomnieć o dniu, który zrujnował mi życie? Ta data jest wyryta w moim sercu.

– No to przynajmniej zawsze będziesz pamiętał o rocznicy śmierci Ziggy’ego – odparła Lynn, ponownie czując przyrost niechęci, gdy zdała sobie sprawę, że oto Mondo znowu obracał kalejdoskop tak, żeby wszystko kręciło się wokół niego. Czasami naprawdę pragnęła, by rodzinne więzy dało się rozwiązać.

Lawson piorunował wzrokiem telefon, odkładając słuchawkę na miejsce. Nienawidził polityków. Właśnie musiał wysłuchać posta szkockiego parlamentu, reprezentującego nowego głównego podejrzanego Phila Parhatki, gdy ten głądził przez dziesięć minut o prawach człowieka tego śmiecia. Lawson chciał wrzasnąć: „A co z prawami człowieka tego biednego gościa, którego zabił?”, ale miał zdecydowanie dość rozumu, by nie dać ujścia swej irytacji. Zamiast tego wydał z siebie parę uspokajających dźwięków i zanotował sobie w myślach, by odezwać się do rodziców zamordowanego, aby ci przypomnieli posłowi, że jego lojalność powinna być po stronie ofiar, a nie sprawców. Mimo wszystko ostrzeże też Phila Parhatkę, żeby na siebie uważał.

Zerknął na zegarek i z zaskoczeniem stwierdził, jak późno się zrobiło. Równie dobrze w drodze do wyjścia może zajrzeć do biura zespołu od starych spraw. A nuż Phil wciąż będzie siedział przy swoim biurku.

Jedyną osobą w pomieszczeniu o tak późnej porze okazał się jednak Robin MacLennan. Ślęczał nad plikiem zeznań świadków, marszcząc brwi w wyrazie koncentracji. W kręgu światła rzucanego przez biurową lampkę jego podobieństwo do brata było uderzające. Lawson zadrzał mimowolnie. Miał wrażenie, jakby zobaczył ducha, ale takiego, który postarzał się o dwanaście lat od czasu, gdy po raz ostatni stąpał po ziemi.

Lawson odchrząknął i Robin podniósł wzrok. Iluzja roztrzaskała się, gdy jego własne, charakterystyczne ruchy nałożyły się na obraz bratniego podobieństwa.

– Dobry wieczór, panie komendancie – powitał go komisarz.

– Widzę, że siedzisz do późna – rzekł Lawson.

Robin wzruszył ramionami.

– Diane zabrała dzieciaki do kina. Pomyślałem, że równie dobrze mogę posiedzieć tutaj zamiast w pustym domu.

– Doskonale cię rozumiem. Sam często się tak czuję, odkąd Marian zmarła w zeszłym roku.

– Pańskiego syna nie ma w domu?

Lawson prychnął.

– Mój Michael ma teraz dwadzieścia dwa lata, Robinie. Latem ukończył studia. Zdobył tytuł magistra ekonomii. A obecnie pracuje jako motocyklowy kurier w Sydney, w Australii. Czasami się zastanawiam, po jaką cholere tak ciężko harowałem. Masz może ochotę na piwo?

Robin zdawał się lekko zaskoczony.

– Ach, czemu nie – zgodził się, zamykając teczkę i podnosząc się z krzesła.

Wybrali mały pub na obrzeżach Kirkcaldy, z którego obaj mieli blisko do domu. W środku panowało ożywienie, pomruki rozmów walczyły o dominację z wiązką świątecznych hitów, których najwyraźniej nie dało się uniknąć o tej porze roku. Frędzle błyszczących łańcuchów choinkowych zwieszały się z zabudowy baru, a jaskrawa choinka ze światłowodów opierała się pijacko o kraniec kontuaru. Gdy chłopaki z zespołu Wizzard śpiewali, że marzą, by każdego dnia było Boże Narodzenie, Lawson zamówił dwa piwa i dwie whisky na popitkę, Robin zaś znalazł relatywnie cichy stolik w najdalszym końcu sali.

Komisarz zdawał się odrobinę zaskoczony, patrząc na dwie szklanki alkoholu przed sobą.

– Dziękuję, panie komendancie – rzekł z rezerwą.

– Nie ma potrzeby tytułować mnie stopniem, Robinie. Dziś wieczorem zrobimy wyjątek, co? – Lawson pociągnął spory łyk piwa. – Szczerze mówiąc, ucieszyłem się, jak zobaczyłem cię wciąż przy biurku.

Miałem ochotę się dzisiaj napić, ale nie chciałem tego robić sam. – Spojrzał na podwładnego z ciekawością. – Wiesz, jaki mamy dziś dzień?

Twarz Robina natychmiast nabrała wyrazu ostrożności.

– Szesnasty grudnia.

– Sądzę, że potrafisz bardziej się postarać.

Robin podniósł swoją whisky i wychylił jednym haustem.

– Dziś mija dwadzieścia pięć lat od morderstwa Rosie Duff. Czy to właśnie chciał pan ode mnie usłyszeć?

– Tak myślałem, że będziesz wiedział.

Żaden nie miał pojęcia, co rzec po tym wstępie, więc przez kilka minut popijali w niezręcznym milczeniu.

– Jak idzie Karen z tym śledztwem? – zapytał Robin.

– Pewnie wiesz lepiej ode mnie. Szef zawsze dowiaduje się ostatni, czyż nie?

Robin uśmiechnął się cierpko.

– Nie w przypadku tej sprawy. Karen ostatnio prawie nie zagląda do biura. Chyba spędza całe dni w magazynie dowodów. A kiedy już siedzi przy biurku, jestem ostatnią osobą, z jaką miałyby ochotę pogadać. Jak wszystkich innych, krępuje ją rozmowa o wielkiej porażce Barneya. – Przełknął ostatni łyk piwa i wstał. – Jeszcze raz to samo?

Lawson skinął głową. Gdy Robin wrócił, zapytał:

– Czy tak właśnie to postrzegasz? Jako wielką porażkę Barneya?

Robin niecierpliwie zaprzeczył.

– Tak na to patrzył on sam. Pamiętam tamte święta. Nigdy wcześniej nie widziałem go w takim stanie. Pełnego żalu do siebie. Obwiniął się o to, że nie dokonali żadnego aresztowania. Był przekonany, że umykało mu coś oczywistego, coś, co miało kluczowe znaczenie. Ta sprawa zżerała go żywcem.

– Pamiętam, że podchodził do niej bardzo osobiście.

– Można tak powiedzieć. – Robin wbił wzrok w swoją whisky. – Chciałem mu pomóc. Zacząłem pracę w policji tylko dlatego, że Barney był dla mnie jak bóg. Pragnąłem być taki jak on. Poprosiłem o przeniesienie do St. Andrews, by dostać się do jego wydziału, ale ukrócił moje starania – westchnął. – Nie potrafię przestać myśleć, że może gdybym tam był...

– Nie mógłbyś go uratować, Robinie – rzekł Lawson.

Śledczy wypił swą drugą whisky.

– Wiem. Ale nie mogę przestać się nad tym zastanawiać.

Lawson przytaknął mu.

– Barney był świetnym gliniarzem. Trudnym do zastąpienia. A gdy myślę o tym, jak zginął, aż skręca mnie ze złości. Zawsze uważałem, że powinniśmy byli oskarżyć Davey’ego Kerra.

Zdziwiony Robin podniósł wzrok.

– Oskarżyć? O co? Próba samobójcza to nie przestępstwo.

Lawson był wyraźnie zaskoczony.

– Ale... tak, oczywiście masz rację, Robinie. O czym to ja mówiłem? – zająknął się. – Zapomnij o tym.

Robin wychylił się do przodu.

– Proszę mówić.

– To nic takiego. – Lawson próbował zamaskować zmieszanie, upijając łyk whisky. Zakaszłał i zakrztusił się, opluwając sobie brodę alkoholem.

– Zamierzał pan powiedzieć coś o tym, jak zginął Barney. – Robin przygwaźdżał go wzrokiem do stołka.

Zastępca komendanta otarł usta i westchnął.

– Wydawało mi się, że o tym wiesz.

– O czym?

– Zabójstwo zawinione. Tak powinno brzmieć oskarżenie przeciwko Davey’emu Kerrowi.

Robin zmarszczył czoło.

– To nigdy by nie przeszło w sądzie. Kerr nie miał zamiaru spaść z klifu, to był wypadek. Chciał tylko zwrócić na siebie uwagę, a nie naprawdę popełnić samobójstwo.

Lawson wyglądał, jakby czuł się niekomfortowo. Odsunął swoje krzesło od stolika.

– Potrzebna ci będzie jeszcze jedna whisky. – Tym razem wrócił z podwójną. Usiadł i spojrzał na Robina. – Chryste – mruknął miękko. – Wiem, że zdecydowaliśmy się nie nagłaśniać tej sprawy, ale byłem pewien, że o tym słyszałeś.

– Wciąż nie mam pojęcia, o czym pan mówi – odparł Robin z twarzą napiętą z ciekawości. – Ale myślę, że zasługuję na wyjaśnienie.

– Stałem na samym przodzie, trzymając linę – wyznał Lawson. – Wszystko widziałem na własne oczy. Gdy wciągaliśmy ich z powrotem na klif, Kerr spanikował i kopnął Barneya, zrzucając go do morza.

Robin wykrzywił usta w niedowierzaniu.

– Twierdzi pan, że Kerr zrzucił go z powrotem do wody, żeby ratować własną skórę? – zapytał nieufnie. – Jakim cudem dowiaduję się o tym dopiero teraz?

Lawson wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Gdy powiedziałem o tym inspektorowi, był zszokowany. Uznał jednak, że nie ma sensu ciągnąć tej sprawy. Prokurator nigdy by się nie podjął oskarżenia. Obrona dowodziłaby, że w takich warunkach nie mógłbym dojrzeć tego, co widziałem, i że chcemy się zemścić, bo Barney zginął, próbując ratować Kerra. Szykanujemy go, oskarżając o zabójstwo zawinione naszego kolegi, bo nie byliśmy w stanie przyskrzynić Kerra ani jego kumpli za śmierć Rosie Duff. Zdecydowali się więc trzymać gęby na kłódkę.

Robin podniósł szklanekę do ust. Dłoń tak mu się trzęsła, że szkło zadzwoniło o zęby. Z jego twarzy odpłynął wszelki kolor, zostawił ją

poszarzałą i spoconą.

– Nie wierzę.

– Robinie, wiem, co widziałem. Wybacz, zakładałem, że o tym słyszałeś.

– Słyszę o tym po raz pierwszy... – Komisarz rozejrzał się, jakby nie mógł pojąć, gdzie jest i jak się tu znalazł. – Przepraszam, muszę stąd wyjść. – Podniósł się gwałtownie i ruszył w stronę drzwi, ignorując narzekania innych gości, których potraçał, przepychając się między nimi.

Lawson zamknął oczy i odetchnął głęboko. Niemal trzydzieści lat w policyjnej służbie, a wciąż nie przywykł do uczucia pustki w brzuchu, które wywoływało przekazywanie komuś złych wieści. Robak niepokoju zaczął drążyć go w środku. Co on najlepszego uczynił, wyjawiając prawdę Robinowi MacIennanowi po tych wszystkich latach?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

KÓŁKA WALIZKI TURKOTAŁY ZA ALEXEM, gdy wyłonił się w hali przylotów lotniska Sea Tac. Trudno mu było się skupić na ludziach czekających, by powitać pasażerów, i gdyby Paul nie pomachał ręką, pewnie by go przegapił. Alex pospieszył ku niemu i uściskali się bez żadnego skrępowania.

– Dziękuję, że przyleciałeś – rzekł cicho Paul.

– Lynn przesyła pozdrowienia – odparł Alex. – Bardzo chciała tu być, ale...

– Rozumiem. Tak długo staraliście się o dziecko, że nie będziecie podejmować żadnego ryzyka. – Paul wziął od Alexa jego walizkę i poprowadził go w stronę wyjścia z terminalu. – Jak ci się leciało?

– Przespałem większą część lotu nad Atlantykiem. Ale w drugim samolocie jakoś nie mogłem się uspokoić. Cały czas myślałem o Ziggym i o pożarze. Co za straszliwa śmierć.

Paul wbijał wzrok prosto przed siebie.

– Ja nie mogę przestać myśleć, że to moja wina.

– Jak to? – zapytał Alex, idąc za nim na parking.

– Wiesz, że przekształciliśmy całe poddasze w jedną wielką sypialnię z łazienką dla nas? Powinniśmy byli dobudować zewnętrzne schody przeciwpożarowe. Miałem w planach wynajęcie budowniczego, żeby znowu przyszedł i je zamontował, ale zawsze trafiało się coś pilniejszego do zrobienia...

Paul zatrzymał się przy swoim SUV-ie i wrzucił walizkę Alexa do bagażnika. Jego szerokie ramiona napięły się pod kraciastą kurtką.

– Wszyscy odkładamy rzeczy na później – powiedział Alex, kładąc Paulowi rękę na plecach. – Wiesz, że Ziggy by cię za to nie winił. Odpowiedzialność za coś takiego spoczywała w równym stopniu na nim.

Paul wzruszył ramionami, po czym wspiął się na siedzenie kierowcy.

– Jakieś dziesięć minut od domu jest całkiem porządny motel. Tam się zatrzymałem. Tobie też zarezerwowałem pokój, jeśli ci to odpowiada. Gdybyś jednak wolał wynająć coś w mieście, możemy odwołać rezerwację.

– Nie. Wolałbym zostać z tobą. – Alex posłał Paulowi blady uśmiech.
– Wtedy będziemy mogli rozkleić się razem.

– No tak.

Umilkli, gdy Paul wjechał na autostradę i skierował się w stronę Seattle. Okrążyli je po obwodnicy i zmierzali dalej na północ. Dom Ziggy’ego i Paula znajdował się poza granicami miasta. Był to dwupiętrowy drewniany budynek postawiony na zboczu wzgórza z zapierającymi dech widokami na Puget Sound, Possession Sound i – w oddali – Mount Walker. Gdy odwiedzili ich z Lynn po raz pierwszy, Alex pomyślał, że trafili do zakątka raj.

– Zaczekaj, aż zacznie padać – powiedział mu wtedy Ziggy.

Dzisiaj było pochmurnie, z klarownym światłem, które towarzyszy chmurom wiszącym wysoko na niebie. Alex pragnął, by spadł deszcz, bo pasowałby do jego nastroju, jednak pogoda wydawała się niechętna, by wyświadczyć mu tę przysługę. Wyglądał przez okno, od czasu do czasu zauważając przebłęski białych czap na pasmach gór Olympics i Gór Kaskadowych. Jezdnia była pokryta szarym rozjeżdżonym śniegiem; kryształki lodu migotały sporadycznie, łapiąc światło. Cieszył się, że wcześniej odwiedzał Ziggy’ego i Paula wyłącznie latem. Widok z okna na tyle się teraz różnił, że nie przywoływał potoku zbyt wielu bolesnych wspomnień.

Paul skręcił z autostrady parę kilometrów przed zjazdem, który prowadził do jego zrujnowanego domu. Droga wiodła między licznymi

sosnami do skarpy, z której przez zatokę dało się dostrzec Whidbey Island. Motel zbudowano, stawiając na styl domku z drewnianych bali, co Alex uznał za śmieszne w przypadku budynku tak wielkiego jak ten, który mieścił recepcję, bar i restaurację. Jednakże pojedyncze chatki stojące w rzędzie nieco dalej na skraju lasu wydawały się dość przyjemne. Paul, który mieszkał w chatce obok tej przydzielonej Alexowi, dał mu czas, by mógł się rozpakować.

– Zobaczymy się w barze za pół godziny, dobrze?

Alex powiesił swój garnitur na pogrzeb i koszulę na wieszakach, pozostałe ubrania zostawił w walizce. Spędził część swego transkontynentalnego lotu na szkicowaniu i teraz wydarł jedną kartę, z której był zadowolony, by oprzeć ją o lustro. Ziggy patrzył na niego w trzech czwartych z profilu, a krzywy uśmiech sprawiał, że przy oczach pojawiły mu się zmarszczki. Całkiem nieźle jak na portret z pamięci, pomyślał Alex ze smutkiem. Spojrzał na zegarek. W domu była już prawie północ. Lynn nie będzie przeszkadzało, że dzwoni tak późno. Wybrał jej numer. Krótka rozmowa z żoną złagodziła nieco przenikliwy ból, który przez chwilę groził przejęciem nad nim kontroli.

Alex napuścił trochę zimnej wody do zlewu i ochlapał twarz. Czując się nieco bardziej rozbudzony, powlókł się do baru, gdzie bożonarodzeniowe dekoracje wydawały się niestosowne w obliczu jego przygnębienia. Johnny Mathis nucił ckliwie w tle i Alex zapragnął zasłonić głośniki, tak jak kiedyś otulano kopyta koniom idącym w procesjach pogrzebowych. Znalazł Paula w boksie, sączącego piwo z browaru Pyramid. Gestem pokazał barmanowi, że prosi o to samo, po czym wślizgnął się na siedzenie naprzeciwko Paula. Teraz, gdy miał w końcu okazję uważnie mu się przyjrzeć, zobaczył oznaki stresu i rozpacz. Jasnobrązowe włosy Paula były zmierzwiłone i nieumyte, niebieskie oczy zmęczone, z czerwonymi obwódkami. Skrawek szczeciny

pod lewym uchem ukazywał nietypową niedbałość u kogoś, kto zawsze wyglądał porządnie i schludnie.

– Zadzwoiłem do Lynn – oznajmił Alex. – Pytała o ciebie.

– Ma dobre serce – odparł Paul. – Odnoszę wrażenie, że w tym roku poznałem ją o wiele lepiej. Jakby ciąża spowodowała, że bardziej się otworzyła.

– Wiem, co masz na myśli. Sądziłem, że przez cały ten okres będzie ją paraliżowało mnóstwo obaw, ale od początku jest bardzo zrelaksowana.

Kelner przyniósł Alexowi piwo.

Paul uniósł swoją szklankę.

– Wypijmy za przyszłość – zaproponował. – Na razie nie wydaje mi się, że będzie mogła mi wiele zaoferować, ale wiem, że Ziggy utarłby mi nosa za rozpamiętywanie tego, co było.

– Za przyszłość – powtórzył za nim Alex i upił łyk trunku. – Jak się trzymasz?

Paul pokręcił głową.

– Chyba jeszcze to do mnie nie dotarło. Musiałem się zająć tyloma sprawami. Powiadomić ludzi, zorganizować pogrzeb i tym podobne. Co mi przypomniało... twój przyjaciel Tom, ten, na którego Ziggy mówił Weird? Przylatuje tu jutro.

Ta wiadomość wywołała w Alexie mieszane uczucia. Po części tęsknił za połączeniem z przeszłością, jakie mógł mu zapewnić Weird. Pamiętał jednak niepokój, który wciąż wiercił go w brzuchu, gdy wspominał noc śmierci Rosie Duff. Lękał się też rozdrażnienia, które Weird sprowokuje, jeśli zacznie szerzyć swe fundamentalistyczne, homofobiczne poglądy.

– Nie będzie wygłaszał kazania na pogrzebie, prawda?

– Nie. Zorganizowałem świecką ceremonię. Ale przyjaciele Ziggy'ego będą mieli okazję, by wstać i powiedzieć o nim parę słów. Jeśli Tom zechce wygłosić jakąś mowę, będzie miał ku temu okazję.

Alex jęknął.

– Wiesz, że to radykalny bigot, który cały czas gada o ogniu piekielnym i potępieniu?

Paul uśmiechnął się z lekką drwiną.

– Powinien stąpać ostrożnie. Nie tylko na południu organizuje się samosądy. Zamienię z nim słówko przed pogrzebem.

Co będzie równie skuteczne, jak patyczek rzucony przed rozpędzony pociąg, pomyślał Alex.

Przez kilka minut popijali w milczeniu swoje piwa. W końcu Paul odchrząknął.

– Muszę ci coś powiedzieć. Chodzi o ten pożar.

Alex był zdezorientowany.

– Pożar?

Paul pomasaował grzbiet nosa.

– Ten ogień to nie był wypadek. Został podłożony. Celowo.

– Jesteś tego pewien?

Paul westchnął.

– Śledczy od podpaleń przeczesali całe gruzowisko, gdy tylko ostygło na tyle, że dało się tam wejść.

– Ale to okropne. Kto miałby powód, żeby zrobić Ziggy’emu coś takiego?

– Alex, policja przede wszystkim patrzy na mnie.

– Przecież to szaleństwo. Kochałeś go.

– I właśnie dlatego jestem ich głównym podejrzanym. Zawsze najpierw biorą pod lupę współmałżonka, no nie?

Alex nie mógł tego pojąć.

– Taka możliwość w ogóle nie przyszlaby do głowy nikomu, kto was zna.

– Ale gliny nas nie znają. I nieważne, jak bardzo starają się udawać, że jest inaczej, większość policjantów lubi gejów mniej więcej w tym samym stopniu, jak twój przyjaciel Tom. – Paul przełknął haust piwa,

jakby chciał zmyć z języka smak tej opinii. – Większą część wczorajszego dnia spędziłem na komisariacie, odpowiadając na pytania.

– Nie rozumiem. Przecież byłeś setki kilometrów stąd. Jak niby miałeś spalić swój dom do gołej ziemi, skoro byłeś w Kalifornii?

– Pamiętasz rozkład pomieszczeń? – Alex potaknął, więc Paul kontynuował. – Mówią, że ogień został zaproszony w piwnicy, przy zbiorniku z olejem opałowym. Według gościa ze straży pożarnej wygląda na to, że ktoś poustawiał puszki z farbą i benzyną z jednej strony zbiornika, a wokół nich spiętrzył papiery i drewno. Czego my z całą pewnością nie zrobiliśmy. Znaleźli także coś, co wygląda jak resztki bomby zapalającej. Twierdzą, że całkiem łatwo jest zbudować takie ustrojstwo.

– I ogień nie zniszczył tej bomby?

– Ci ludzie są profesjonalistami w rekonstruowaniu przebiegu pożarów. Na podstawie różnych drobiazgów, jakie znaleźli, odtworzyli potencjalny bieg wydarzeń: odkryli fragmenty szczelnie zaklejonej puszkę po farbie; do pokrywki przyczepiono od środka elektroniczny czasomierz, z którego zostały tylko szczątki. Wnioskują, że w puszcze była benzyna albo jakaś inna substancja, przez którą ogień szybciej się rozprzestrzenił. Coś, co wydzielało opary. Te opary zajmowały prawie całą przestrzeń w puszcze. Gdy zegar skończył odliczanie, iskra zapaliła je i pojemnik wybuchł, rozchlapując płonący przyspieszacz na inne łatwopalne materiały. A ponieważ dom był drewniany, spłonął jak pochodnia. – Niewzruszona recytacja Paula zachwiała się, a jego usta zadrżały. – Ziggy nie miał najmniejszych szans.

– I oni myślą, że to twoja robota? – Alex nie mógł w to uwierzyć. Jednocześnie czuł przemożne współczucie dla Paula. Doskonale wiedział, jakie są konsekwencje nieuzasadnionych podejrzeń i jakie żniwa zbierają.

– Nie mają innych podejrzanych. Ziggy nie był typem człowieka, który narobiłby sobie wrogów. A ja jestem głównym spadkobiercą w jego

testamencie. Co więcej, jestem fizykiem.

– A to oznacza, że wiesz, jak zbudować bombę zapalającą?

– Policja zdaje się tak uważać. Trochę trudno wyjaśnić, czym się w zasadzie zajmuję, ale w ich oczach wygląda to tak: „Hej, ten tu jest naukowcem, więc na pewno wie, jak wysadzać ludzi w powietrze”. Gdyby cała sytuacja nie była tak tragiczna, roześmiałbym im się w twarz.

Alex dał znak barmanowi, by przyniósł im po następnym piwie.

– Zatem sądzą, że podłożyłeś bombę i poleciałeś z wykładem do Kalifornii?

– Chyba tak to sobie tłumaczą. Myślałem, że fakt, iż spędziłem trzy noce poza domem, oczyści mnie z podejrzeń, ale najwyraźniej się przeliczyłem. Śledczy od podpaleń powiedział mojemu prawnikowi, że zegar, którego użył zabójca, mógł być nastawiony nawet na tydzień przed wybuchem. Dlatego wciąż jestem podejrzany.

– Przecież podejmowałbyś w ten sposób piekielne ryzyko. A co, gdyby Ziggy zszedł po coś do piwnicy i zobaczył pułapkę?

– Zimą prawie w ogóle tam nie zaglądamy. Trzymamy w niej rzeczy na lato: pontony, deski do windsurfingu, meble ogrodowe. Narty chowaliśmy w garażu, co jest kolejnym argumentem przeciwko mnie. Skąd niby ktoś inny mógł mieć pewność, że może spokojnie podłożyć bombę w piwnicy?

Alex zbył ten komentarz machnięciem ręki.

– A kto w ogóle regularnie schodzi zimą do piwnicy? Przecież nie trzymasz tam pralki. Jak trudno byłoby się tam włamać?

– Niezbyt trudno – przyznał Paul. – Nie była podłączona do naszego systemu alarmowego, bo ogrodnik, który pracuje u nas latem, musi tam wchodzić i wychodzić. A tak nie trzeba było mu dawać kodów do alarmu chroniącego dom. Myślę, że każdy odpowiednio zdeterminowany człowiek mógłby z łatwością się tam dostać.

– No i oczywiście wszystkie ślady włamania zostałyby strawione przez ogień – westchnął Alex.

– Sam więc widzisz, że kiepsko to dla mnie wygląda.

– Ale to szaleństwo. Tak jak mówiłem, każdy, kto was zna, wie, że nigdy nie skrzywdziłbyś Ziggy’ego, a co dopiero go zabił.

Wąsy Paula ledwo się uniosły w mdłym uśmiechu.

– Doceniam twoją pewność w tym względzie. Nie zamierzam też w ogóle uczynić policji tego zaszczytu i zacząć zaprzeczać ich oskarżeniom. Chciałem jednak, żebyś wiedział, co się o mnie mówi. Sam też rozumiesz, jak okropnie jest być podejrzanym o coś, z czym nie miało się nic wspólnego.

Dreszcz przebiegł Alexowi po plecach, mimo że siedzieli w ciepłym, przytulnym barze.

– Nie życzyłbym tego najgorszemu wrogowi, a już na pewno nie komuś, z kim łączy mnie przyjaźń. To straszne. Jezu, Paul, mam nadzieję, że znajdą sprawcę. Dla twojego dobra. To, co przytrafiło się nam, zatrało mi życie.

– Ziggy’emu też. Nigdy nie zapomniał, jak prędko rasa ludzka może obrócić się przeciwko tobie. Przez to zrobił się naprawdę ostrożny w kontaktach ze światem. Dlatego właśnie cała ta sprawa nie trzyma się kupy. Ziggy dokładał wszelkich starań, żeby nie mieć wrogów. Ale nie był przy tym popychadłem.

– Nikt nie mógłby tego o nim powiedzieć – zgodził się Alex. – Ale masz rację. Odpowiedź łagodna uśmierza zapalczywość. To było jego motto. A co z jego pracą? Znaczący się, w szpitalu czasem coś idzie nie tak. Dzieci umierają albo im się nie polepsza, mimo że powinno. Rodzice szukają kogoś, kogo można by obwiniać.

– Alex, jesteśmy w Ameryce – mruknął ironicznie Paul. – Tutaj lekarze nie podejmują niepotrzebnego ryzyka, bo za bardzo się boją pozwów. Jasne, zdarzało się, że Ziggy tracił pacjentów, a czasami tok

leczenia nie przebiegał dokładnie po jego myśli. Ale jednym z powodów, dla których był tak szanowanym pediatrą, było to, że zaprzyjaźniał się z pacjentami i ich rodzinami. Ufali mu i mieli rację, bo był wspaniałym lekarzem.

– Wiem o tym. Ale czasem, kiedy umiera dziecko, rodzice nie myślą racjonalnie.

– Nie było żadnego takiego przypadku. Gdyby się trafił, wiedziałbym o tym. Alex, ja i Ziggy rozmawialiśmy ze sobą. Nawet po dziesięciu latach mówiliśmy sobie wszystko.

– A co ze współpracownikami? Może kogoś czymś zdenerwował?
Paul zaprzeczył.

– Nie sędzę. Miał wysokie wymagania i zdaje się, że nie każdy, kto z nim pracował, dawał radę utrzymać ten poziom przez cały czas. Ale dobrał sobie pomocników bardzo starannie. W klinice panuje świetna atmosfera. Nie sędzę, by znalazła się tam choćby jedna osoba, która go nie szanowała. Do diabła, ci ludzie to nasi przyjaciele. Przychodzą do nas na grilla, opiekujemy się czasem ich dziećmi. Bez Ziggy’ego u sterów kliniki na pewno bardziej się martwią o swoją przyszłość.

– Mówisz o nim, jakby był doskonały – zauważył Alex. – A obaj wiemy, że taki nie był.

Tym razem uśmiech Paula sięgnął jego oczu.

– Nie, nie był doskonały. Ale był perfekcjonistą. Czasem można było od tego oszaleć. Ostatnim razem, gdy pojechaliśmy na narty, myślałem, że będę musiał siłą ściągać go z tej góry. Na zjeździe był taki jeden zakręt, który za nic mu nie wychodził. Wywalał się tam za każdym razem. A to oznaczało, że musieliśmy znów wjeżdżać na górę. Ale nie zabija się kogoś tylko dlatego, że ma obsesyjnie pedantyczne tendencje. Gdybym chciał pozbyć się Ziggy’ego ze swego życia, po prostu bym go zostawił, wiesz? Nie musiałbym go zabijać.

– Ale właśnie o to chodzi: nie chciałeś się go pozbyć ze swego życia.

Paul przygryzł wargę i wbił wzrok w kręgi zostawione przez butelki na blacie stołu.

– Oddałbym wszystko, by go odzyskać – przyznał miękko.

Alex dał mu chwilę, by się pozbierał.

– Znajdą tego, kto to zrobił – oznajmił w końcu.

– Tak sądzisz? Chciałbym móc się z tobą zgodzić. Cały czas myślę o tym, co wasza czwórka przeżyła tyle lat temu. Nigdy nie znaleźli zabójcy tej dziewczyny i z tego powodu wszyscy patrzyli na was inaczej. – Paul podniósł wzrok na Alexa. – Nie jestem tak silny, jak Ziggy. Nie wiem, czy dam radę tak żyć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

ALEX PRÓBOWAŁ PRZEZ ŁZY ĆMIAĆCE MU WZROK skupić się na słowach wydrukowanych na planie ceremonii. Gdyby ktoś go kiedyś zapytał, jaka muzyka z listy na pogrzebie Ziggy'ego doprowadzi go do łez, pewnie wybrałby *Rock and Roll Suicide* Bowiego, biorąc pod uwagę jej ostateczne, wyzywające zaprzeczenie izolacji. Przetrwał jednak tę piosenkę, doznał nawet poczucia euforii na widok żywych obrazów młodego Ziggy'ego wyświetlanych na wielkim ekranie na skraju krematorium. Złamał go Gejowski Chór Męski San Francisco śpiewający oprawę Brahmsa do ustępu z Listu św. Pawła do Koryntian o wierze, nadziei i miłości. *Wir sehen jetzt durch einen Spiegel in einem dunkeln Worte*; Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno. Te słowa zdawały się boleśnie trafiać w samo sedno. Nic, co usłyszał o śmierci Ziggy'ego, nie miało sensu, ani pod względem logicznym, ani metafizycznym.

Łzy spływały mu kaskadami po policzkach, ale nic go to nie obchodziło. Nie tylko on szlochał w zatłoczonym krematorium, a to, że był daleko od domu, zdawało się go wyzwalać od jego zwyczajowej emocjonalnej powściągliwości. Obok niego górował Weird w nienagannie skrojonej sutannie, w której przypominał pawia o wiele bardziej niż którykolwiek z gejów przybyłych tu, by pożegnać Ziggy'ego. On oczywiście nie płakał. Jego usta poruszały się bez przerwy.

Alex zakładał, że miała to być oznaka pobożności, a nie choroby psychicznej, bo dłoń Weirda regularnie błędziła do absurdalnie ostentacyjnego, srebrnego, pozłacanego krzyża wiszącego mu na piersi. Gdy Alex zobaczył go po raz pierwszy na lotnisku Sea Tac, niemal

roześmiał się w głos. Weird podszedł do niego zamaszystym, pewnym krokiem i rzucił na ziemię pokrowiec na garnitur, by przyciągnąć starego przyjaciela do piersi w teatralnym uścisku. Alex zauważył, jak gładko wyglądała jego skóra, i przyszło mu do głowy, że Weird mógł poddać się operacji plastycznej.

– To miło z twojej strony, że zdecydowałeś się przyjechać – powiedział, prowadząc Weirda do samochodu, który wynajął tego ranka.

– Ziggy był moim najdawniejszym przyjacielem. Tak jak ty i Mondo. Wiem, że los rzucił nas w zupełnie inne strony, ale nic nie zmieni tego faktu. To, jak wygląda teraz moje życie, w dużej mierze zawdzięczam łączącej nas przyjaźni. Ładnym byłbym chrześcijaninem, gdybym o tym zapomniał.

Alex nie mógł pojąć, dlaczego wszystko, co wychodziło z ust Weirda, brzmiało, jakby docelowo miało trafić do ogółu społeczeństwa. Cokolwiek mówił, robił to tak, jakby niewidzialne zgromadzenie wiernych wsłuchiwało się chciwie w każde jego słowo. W ciągu ostatnich dwudziestu lat widzieli się raptem kilka razy, ale wszystkie te spotkania okazywały się takie same. Świętoszek – takim mianem ochrzciła go Lynn, gdy po raz pierwszy odwiedzili go w małym miasteczku w Georgii, gdzie miał swoją parafię. Przewisko wydawało się wciąż tak samo aktualne, jak wtedy.

– A co u Lynn? – zapytał Weird, gdy już usadowił się na fotelu pasażera, wyglądzisz swój idealnie skrojony księżowski garnitur.

– Jest w siódmym miesiącu ciąży i wręcz kwitnie – odparł Alex.

– Chwalmy Pana! Wiem, jak bardzo oboje pragnęliście dziecka. – Twarz Weirda rozpromieniła się w uśmiechu, który wydawał się szczery. Ale w końcu spędzał mnóstwo czasu przed kamerami, nagrywając swój misyjny program dla lokalnej stacji telewizyjnej, więc trudno było odróżnić prawdziwe emocje od aktorstwa. – Dziękuję Bogu za błogosławieństwo potomstwa. Najszczęśliwsze wspomnienia, jakie mam,

dotyczą mojej piątki. Miłość człowieka do jego dzieci jest większa i czystsza niż cokolwiek innego na tym świecie. Alexie, wiem, że ta życiowa zmiana dostarczy ci ogromu radości.

– Dzięki, Weird.

Wielebny wykrzywił twarz.

– Nic z tego, kolego – użył starego młodzieżowego powiedzonka. – Nie wydaje mi się, żeby to był obecnie właściwy sposób zwracania się do mnie.

– Wybacz. Trudno się pozbyć starych nawyków. Dla mnie zawsze będziesz Weirdem.

– A kto jeszcze mówi na ciebie Gilly?

Alex pokręcił głową.

– Masz rację. Postaram się o tym nie zapomnieć. Tomie.

– Doceniam to, Alexie. A jeśli będziesz chciał ochrzcić swoje dziecko, chętnie odprawię ceremonię.

– Wydaje mi się, że nie pójdziemy tą drogą. Pozwolimy mu podjąć własną decyzję, kiedy już wystarczająco dorośnie.

Weird zacisnął usta.

– To oczywiście wasz wybór. – Podtekst był głośny i wyraźny. *Skażcie swoje dziecko na wieczne potępienie, skoro już musicie.* Pastor spojrział przez okno na mijany krajobraz. – Dokąd jedziemy?

– Paul zarezerwował dla ciebie domek w motelu, w którym obaj się zatrzymaliśmy.

– Czy to blisko pogorzelska?

– Jakieś dziesięć minut samochodem. A co?

– Chciałbym najpierw pojechać właśnie tam.

– Dlaczego?

– Pragnę odmówić modlitwę.

Alex głośno wypuścił powietrze.

– No dobrze. Słuchaj, jest coś, o czym powinieneś wiedzieć. Policja sądzi, że to było celowe podpalenie.

Weird ociężale skłonił głowę.

– Tego się obawiałem.

– Naprawdę? A to dlaczego?

– Ziggy obrał niebezpieczną ścieżkę. Kto wie, kogo sobie sprowadził do domu? Kto wie, jaką zniszczoną duszę doprowadził do desperackiego kroku?

Alex walnął pięścią w kierownicę.

– Do kurwy nędzy, Weird! Biblia nie mówi czasem: „Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni”? Co ty sobie myślisz, że kim, do cholery, jesteś, żeby pieprzyć takie głupoty? Jakiegokolwiek osądy wyrobiłeś sobie z góry na temat życia Ziggy’ego, natychmiast o nich zapomnij. Ziggy i Paul byli w monogamicznym związku. Żaden z nich nie sypiał z nikim innym przez ostatnich dziesięć lat.

Weird wykrzywił usta w protekcyjnym uśmiešku, który sprawił, że Alex zapragnął go uderzyć.

– Zawsze wierzyłeś we wszystko, co mówił Ziggy.

Alex nie chciał się z nim kłócić. Zmełł w ustach ciętą ripostę i powiedział:

– Próbowałem cię tylko uświadomić, że policjanci wbili sobie do głowy tę głupotę, że to Paul podłożył ogień. Więc spróbuj być dla niego choć trochę miły, okej?

– Dlaczego myślisz, że to głupota? Nie wiem zbyt dużo o policyjnej pracy, ale z tego, co słyszałem, większość zabójstw, które nie są powiązane z wojnami gangów, jest popełniana przez współmałżonków. A skoro poprosiłeś, żebym był miły dla Paula, sądzę, że powinniśmy uznać go za męża Ziggy’ego. Gdybym był funkcjonariuszem policji, byłbym we własnych oczach winien zaniedbania, gdybym nie wziął pod uwagę takiej możliwości.

– Jasne, to ich praca. Ale my jesteśmy przyjaciółmi Ziggy’ego. Lynn i ja spędziliśmy z nim i z Paulem mnóstwo czasu przez te wszystkie lata. I wierz mi na słowo, ich związek nigdy nie zmierzał ku morderstwu. Powinieneś pamiętać, jak to jest, kiedy podejrzewają cię o coś, czego nie zrobiłeś. Wyobraź sobie, o ile gorzej musi to wyglądać, jeśli ofiara jest kimś, kogo kochałeś. Przez coś takiego przechodzi właśnie Paul. I to on zasługuje na nasze wsparcie, a nie policja.

– Dobrze, już dobrze – wymamrotał skrepowany Weird.

Jego maska opadła na chwilę, gdy uderzyło go pewne wspomnienie i przypomniał sobie pierwotny strach, który tak naprawdę popchnął go w ramiona Kościoła. Milczał przez resztę drogi, kręcąc głową i patrząc na widoki, by uniknąć sporadycznych spojrzeń rzuconych mu przez dawnego przyjaciela.

Alex skręcił w znajomy zjazd z autostrady i skierował się na zachód, w stronę zniszczonego domu Ziggy’ego i Paula. Żołądek ścisnął mu się, gdy zjechał w wąską drogę tłuczniową, wijącą się między drzewami. Jego wyobraźnia już wcześniej szalała, produkując wizje pożaru. Lecz gdy pokonał ostatni zakręt i zobaczył, co zostało z domu, przekonał się, że siła jego inwencji okazała się żałośnie nieadekwatna. Oczekiwał poczerńiałej, poblížnionej skorupy. Przed nim roztaczał się jednak obraz niemal całkowitej destrukcji.

Oniemiały, wyhamował i zatrzymał samochód. Wsiadł z niego i wolno podszedł bliżej ruin. Ku jego zaskoczeniu swąd spalenizny wciąż wisiał w powietrzu, drażniąc gardło i nozdrza. Zagapił się na zwęglone rumowisko przed sobą, ledwo był w stanie nałożyć na ten widok swe wspomnienie o stojącym tu wcześniej domu. Kilka ciężkich belek sterczało pod dziwnymi kątami, ale nie dało się rozpoznać w zasadzie nic poza nimi. Budynek musiał buchnąć ogniem niczym pochodnia zanurzona w smole. Spłonęły także drzewa najbliżej domu, a ich

powykręcane szkielety odcinały się ostro od stanowiącego tło widoku morza i wysp na horyzoncie.

Ledwo zauważył, że minął go Weird. Duchowny zatrzymał się tuż przy taśmie odgradzającej okręgiem miejsce zbrodni pełne wypalonych do szczytu gruzów i pochylił głowę. Potem odrzucił ją do tyłu, a gęsta grzywa jego posiwiałych włosów zamigotała w słońcu.

– O Panie! – zawołał. Jego głos poniósł się dźwięcznie w otwartej przestrzeni.

Alex zwalczył chichot wzbierający mu w piersi. Wiedział, że była to po części nerwowa reakcja na intensywność emocji, które targnęły nim na widok ruin domu. Nie mógł jej jednak powstrzymać. Żaden człowiek, który widział odjazdu Weirda po halucynogenach albo jego rzyganie do rynsztoku po zamknięciu pubów, nie mógłby potraktować tego przedstawienia poważnie. Obrócił się na pięcie i pomaszerował z powrotem do samochodu. Trzasnął drzwiami, by odciąć się od bredni, które Weird wygłaszał ku chmurom. Kusiło go, by odjechać i zostawić kaznodzieję na łaskę żywiołów. Ale Ziggy nigdy nie porzucił Weirda, a skoro już o tym mowa, nie porzucił nigdy żadnego z nich. Teraz zaś jedynym sposobem, w jaki Alex mógł przysłużyć się Ziggy'emu, było zachowanie wiary. Dlatego został.

W jego umyśle pojawiła się seria obrazowych wizji. Ziggy śpiący w łóżku; nagły rozbłysk płomieni; języki ognia liżące drewno; dym rozpełzający się po znajomych pokojach; Ziggy poruszający się lekko, gdy podstępne opary wsuwają swe macki do jego dróg oddechowych; rozmazany kształt domu, chwiejny w powietrzu rozedrganym od gorąca i dymu; i Ziggy, nieprzytomny, w samym sercu pożogi. Było to niemal nie do zniesienia i Alex desperacko pragnął wypędzić te obrazy ze swojej głowy. Próbował wyobrazić sobie Lynn, ale nie mógł się na niej skupić. Chciał tylko opuścić to miejsce, być gdziekolwiek indziej, gdzie mógłby się skoncentrować na odmiennym widoku.

Po około dziesięciu minutach Weird wrócił do samochodu, wpuszczając ze sobą falę zimnego powietrza.

– Brrr – powiedział. – Nigdy nie byłem przekonany, że w piekle jest gorąco. Gdyby to zależało ode mnie, byłoby w nim bardziej lodowato niż w zamrażarce do mięsa.

– Na pewno będziesz mógł wspomnieć o tym Bogu, kiedy już trafisz do nieba. To co, jedziemy teraz do motelu?

Ta podróż najwyraźniej zaspokoila oczekiwania Weirda co do towarzysztwa Alexa. Gdy tylko zameldował się w motelu, oznajmił, że zamówił taksówkę i jedzie do Seattle.

– Mam tam znajomego kaznodzieję, z którym chciałbym spędzić trochę czasu.

Umówił się z Alexem na poranek następnego dnia, by wraz z nim pojechać na pogrzeb. Wydawał się osobliwie przygaszony. Mimo to Alex wciąż obawiał się, z czym też wyskoczy podczas ceremonii.

Muzyka Brahmsa ucichła i Paul podszedł do mównicy.

– Zgromadziliśmy się tu dzisiaj wszyscy, bo Ziggy był dla nas kimś szczególnym – zaczął, z wyraźnym trudem usiłując utrzymać głos pod kontrolą. – Gdybym opowiadał przez cały dzień, i tak nie dałbym rady przekazać choćby połowy tego, ile dla mnie znaczył. Nie będę więc nawet próbował. Ale jeśli ktoś z was chciałby się podzielić jakimś wspomnieniem związanym z Ziggym, wszyscy chętnie go wysłuchamy.

Jeszcze zanim skończył mówić, starszy pan siedzący w pierwszym rzędzie podniósł się i sztywno zbliżył do pulpitu. Gdy odwrócił się do zebranych, Alex pojął, jakie brzemie odczuwa człowiek grzebiący swoje dziecko. Karel Malkiewicz wyglądał, jakby się skurczył, jego szerokie barki przygarbiły się, a ciemne oczy zapadły w głąb czaszki. Alex nie widział owdowiałego ojca Ziggy'ego od paru lat, ale zmiana, jaka w nim zaszła, była przygnębiająca.

– Tęsknię za synem – zaczął Karel. W jego szkockiej mowie wciąż dało się słyszeć polski akcent. – Przez całe swoje życie był dla mnie powodem do dumy. Nawet jako dziecko troszczył się o innych. Zawsze był bardzo ambitny, ale nie dla osobistej sławy. Celował jak najwyżej, bo w ten sposób mógł najlepiej pomagać ludziom. Ziggy nigdy nie dbał o to, co myślą o nim inni. Zawsze mówił, że ludzie będą go oceniać po jego czynach, a nie po cudzych opiniach. Cieszę się, widząc was tu dziś tak wielu, bo to oznacza, że wszyscy rozumieliśmy, jaki był. – Staruszek upił łyk wody ze szklanki stojącej na mównicy. – Kochałem mojego syna. Może nie powtarzałem mu tego dość często. Mam jednak nadzieję, że umarł, wiedząc o tym. – Pochylił głowę i wrócił na swoje miejsce.

Alex uszczypnął się w grzbiet nosa, próbując powstrzymać łzy cisnące mu się do oczu. Jeden po drugim, przyjaciele i współpracownicy Ziggy’ego wychodzili naprzód. Niektórzy wspominali jedynie, jak go kochali i jak bardzo będzie im go brakowało. Inni opowiadali anegdoty ze swych znajomości z nim, wiele zabawnych i ciepłych. Alex chciał podnieść się i coś rzec, ale bał się, że głos go zawiedzie. Wtedy nadeszła chwila, przed którą się wzdragał. Poczul, jak Weird przesuwają się na swoim miejscu i wstaje. Jęknął w duchu.

Patrząc, jak jego przyjaciel kroczy w stronę podium, zastanawiał się nad prezencją, którą Weird zdołał sobie wyrobić przez minione lata. To Ziggy zawsze był charyzmatyczny; Weird był tykowaty i niezgrabny. Zawsze można było liczyć na to, że powie coś nie tak, zrobi coś nie tak, czy pomyli nuty. Ale porządnie przyswoił sobie niezbędną lekcję. W ciszy, która zapadła, gdy szykował się do przemówienia, upuszczona szpilka zabrzmiałaby jak ostatnia trąba apokalipsy.

– Ziggy był moim najstarszym przyjacielem – rzekł Weird. – W mojej opinii droga, którą wybrał, była niewłaściwa. On uważał, że jestem, jak to mówią u nas w kraju: tumanem. Może nawet szarlatanem. Ale to nigdy nie miało znaczenia. Łącząca nas więź była dość silna, by przetrwać

podobne napięcia. Działo się tak, ponieważ lata, które spędziliśmy razem, były najcięższymi latami w życiu każdego mężczyzny: czasem, gdy z dziecka staje się dorosłym. Wszyscy borykamy się ze sobą w tych latach, próbując odkryć, kim jesteśmy i co możemy zaoferować światu. Niektórzy z nas mają tyle szczęścia, że jest z nimi wtedy taki przyjaciel jak Ziggy, który zbiera nas z podłogi, gdy damy plamę.

Alex wpatrywał się w niego ze zdumieniem. Nie wierzył własnym uszom. Oczekiwał gadki o piekle i potępieniu, a zamiast tego słyszał słowa niewątpliwej miłości. Odkrył, że mimo wszystko się uśmiecha.

– Było nas czterech – ciągnął Weird. – Laddies fi’ Kirkcaldy. Poznaliśmy się pierwszego dnia liceum i stało się coś magicznego. Stworzyliśmy więź. Dzieliliśmy się ze sobą naszymi najgłębszymi lękami i największymi triumfami. Przez wiele lat byliśmy najgorszym zespołem świata i w ogóle nam to nie przeszkadzało. W każdej grupie istnieje podział na role. Ja byłem oferumą. Głupkiem. Tym, który zawsze posuwa się za daleko. – Wzruszył lekko ramionami, przyznając się do swych słabości. – Niektórzy pewnie powiedzą, że wciąż taki jestem. Ziggy ocalił mnie przede mną samym. Ziggy nie pozwolił mi zniszczyć mojego życia. Chronił mnie przed moimi najgorszymi przywarami, dopóki nie odnalazłem większego Zbawcy. Ale nawet wtedy Ziggy mnie nie opuścił. Nie spotykaliśmy się często w ostatnich latach. W naszym życiu byliśmy zbyt skupieni na teraźniejszości. To jednak nie znaczy, że przeszłość przestała mieć dla nas znaczenie. Ziggy wciąż pozostawał dla mnie wzorem w wielu kwestiach. Nie będę udawał, że popieram wszystkie decyzje, jakie podjął. Gdyby tak było, uznalibyście mnie za hipokrytę. Ale tutaj, teraz, żadna z tych rzeczy nie ma znaczenia. Liczy się tylko to, że mój przyjaciel nie żyje, a wraz z jego śmiercią zgasło w moim życiu jedno światło. Nikt z nas nie może sobie pozwolić na utratę światła. Dlatego dzisiaj oplakuję odejście człowieka, dzięki którego pomocy zostałem ocalony. Jedyne sposoby, w jaki mogę oddać cześć pamięci Ziggy’ego, to

zrobić to samo dla każdego człowieka w potrzebie, którego napotkam na swej drodze. Jeśli mogę pomóc dziś któremuś z was, nie wahajcie się podejść do mnie. Dla Ziggy'ego. – Weird rozejrzał się po sali z anielskim uśmiechem. – Dziękuję Panu za Jego dar w postaci Sigmunda Malkiewicza. Amen.

No dobrze, pomyślał Alex. Na końcu wszedł znowu w swoją skórę. Ale na swój sposób Ziggy mógłby być dumny z Weirda. Gdy przyjaciel na powrót zajął swoje miejsce, Alex wyciągnął rękę i ścisnął jego dłoń. A Weird tej ręki nie puścił.

Po tym, jak uroczystość dobiegła końca, ruszyli gęsiego do drzwi, przystając, by uścisnąć dłonie Paulowi i panu Malkiewiczowi. Wyszli w mdłe światło słońca, pozwalając, by tłum opływał ich ze swymi kwiatowymi wyrazami hołdu. Mimo prośby Paula, by tylko rodzina przysłała kwiaty, znalazły się ze dwa tuziny dodatkowych bukietów i wieńców.

– Ziggy miał talent do wywoływania w nas uczucia, że jesteśmy rodziną – mruknął do siebie Alex.

– Byliśmy jak rodzeni bracia – rzekł miękko Weird.

– To była dobra mowa, tam w środku.

Weird uśmiechnął się.

– Nie tego się spodziewałeś, co? Widziałem po twojej minie.

Alex nie odpowiedział. Zamiast tego schylił się, by przeczytać jeden z bilecików. „Najdroższy Ziggy, świat jest zbyt wielki bez ciebie. Kochamy cię – przyjaciele z kliniki”. Znał to uczucie. Zerknął na pozostałe karteczki, po czym zatrzymał się przy ostatnim wieńcu. Był mały i nierzucający się w oczy: ciasno spleciony krąg białych róż i rozmarynu. Alex przeczytał karteczkę i zmarszczył brwi. „Rozmaryn ku pamięci”.

– Widziałeś to? – zapytał Weirda.

– Gustowny – stwierdził z aprobatą przyjaciel.

– Nie sądzisz, że jest trochę... bo ja wiem... zbyt sugestywny w naszym przypadku?

Weird skrzywił się.

– Sądzę, że widzisz duchy tam, gdzie ich nie ma. To całkowicie odpowiedni wyraz uznania.

– Weird, Ziggy zginął w dwudziestą piątą rocznicę śmierci Rosie Duff. Ta karteczka nie jest podpisana. Nie wydaje ci się to trochę podejrzane?

– Alexie, ta sprawa to już przeszłość. – Weird rozłożył ręce w geście obejmującym wszystkich żałobników. – Czy naprawdę myślisz, że oprócz nas ktoś tu w ogóle słyszał o Rosemary Duff? Ten wieniec to tylko odrobinę teatralny hołd, co nie powinno stanowić zaskoczenia, jeśli się weźmie pod uwagę rodzaj zgromadzonych tu dziś ludzi.

– Wiesz, że ponownie otworzyli śledztwo w jej sprawie? – Gdy Alex wpadał w odpowiedni nastrój, potrafił być równie uparty jak Ziggy.

Weird wydawał się zdumiony.

– Nie, nie wiedziałem.

– Przeczytałem o tym w gazecie. Policja przeprowadza rewizję nierozwiązanych morderstw w świetle nowych technologicznych postępów. DNA i tym podobnych.

Weird położył dłoń na swym krzyżu.

– Dzięki Bogu.

Alex był zaskoczony.

– Nie martwisz się, że wszystkie te stare kłamstwa znów ujrzą światło dzienne?

– Dlaczego miałbym się martwić? Nie mamy się czego bać. W końcu oczyszczą nas z podejrzeń.

Alex wydawał się zatroskany.

– Coś mi się wydaje, że to nie będzie takie proste.

Doktor David Kerr gwałtownie odsunął od siebie laptop, syknął przy tym ze zdenerwowaniem. Przez ostatnią godzinę próbował doszlifować pierwszą wersję roboczą artykułu o współczesnej poezji francuskiej, ale im dłużej gapił się w ekran, tym mniej sensu miały słowa. Ściągnął okulary i potarł powieki, próbując przekonać samego siebie, że nie dręczy go nic poza wyczerpaniem związanym z końcem semestru. Wiedział jednak, że się oszukuje.

Chociaż bardzo się starał o tym nie myśleć, nie mógł uciec przed faktem, że gdy siedział sobie w domu, cyzelując swą prozę, przyjaciele i krewni Ziggy'ego żegnali się z nim po raz ostatni na drugim końcu świata. Nie było mu żal, że tam nie pojechał. Ziggy reprezentował tak odległe czasy z jego przeszłości, że wydawały się wręcz wydarzeniami z innego życia.

Uważał też, że nie był winien staremu przyjacielowi aż tyle, by zrównoważyło to wszystkie kłopoty i emocjonalne wstrząsy związane z wyjazdem do Seattle na pogrzeb. Niemniej jednak wiadomość o śmierci Ziggy'ego obudziła w nim wspomnienia, które dużym nakładem pracy pogrzebał tak głęboko, że rzadko wynurzały się, by go dręczyć. Nie były to myśli, z którymi czuł się swobodnie.

Mimo to, gdy zadzwonił telefon, podniósł słuchawkę bez żadnych obaw.

– Halo, czy to doktor Kerr? – Głos nie brzmiał znajomo.

– Tak. Kto mówi?

– Komisarz Robin Maclennan z policji hrabstwa Fife. – Policjant mówił wolno i cedził słowa jak człowiek, który wie, że wypił o jednego drinka za dużo.

David zadrżał odruchowo; nagle zrobiło mu się tak zimno, jakby znowu wpadł do Morza Północnego.

– W jakiej sprawie pan dzwoni? – zapytał, asekuracyjnie przybierając agresywny ton.

– Jestem członkiem zespołu zajmującego się rewizją nierozwiązanych spraw sprzed lat. Może czytał pan o tym w gazecie.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie – warknął David.

– Chciałbym z panem porozmawiać o okolicznościach śmierci mojego brata. Komisarza Barneya Maclennana.

David oniemiał. Był wręcz zszokowany bezpośredniością swego rozmówcy. Żył w strachu, że ten moment kiedyś nadejdzie, ale po niemal dwudziestu pięciu latach zdołał wmówić sobie, że tak się jednak nie stanie.

– Jest pan tam jeszcze? – zapytał Robin. – Mówiłem, że chciałbym z panem porozmawiać...

– Tak, słyszałem – odburknął David. – Nie mam panu nic do powiedzenia. Ani teraz, ani nigdy. Nawet jeśli mnie pan aresztuje. Wy, policjanci, już raz zrujnowaliście mi życie. Nie dam wam okazji do powtórzenia tego numeru.

Walnął słuchawką w aparat, dysząc urywanie. Trzęsły mu się dłonie. Objął się ramionami. Co u diabła? Nie wiedział, że Barney Maclennan miał brata. I dlaczego ten brat tak długo zwlekał z konfrontacją na temat tamtego tragicznego popołudnia? I dlaczego zrobił to właśnie teraz? Gdy komisarz wspomniał o rewizji starych spraw, David był pewien, że chciał z nim pomówić o Rosie Duff, co już samo w sobie byłoby oburzające. Ale Barney Maclennan? Przecież policja hrabstwa Fife nie podjęłaby decyzji, by po dwudziestu pięciu latach nazwać ten wypadek morderstwem?

Znów zadrżał, wpatrując się przez okno w noc. Migoczące lampki na choinkach w domach wzdłuż ulicy wyglądały jak tysiąc oczu wbijających się w niego. Zerwał się na nogi i szarpnięciem zaciągnął zasłony w gabinecie, po czym oparł się o ścianę i zamknął oczy, czując, jak serce tłucze mu się w piersi. David Kerr zrobił wszystko, co w jego mocy, by pogrzebać przeszłość. Zrobił, co tylko mógł, by nigdy go nie dopadła.

Najwyraźniej to było za mało. Co znaczyło, że miał wyłącznie jeden wybór. Pytanie tylko, czy wystarczy mu na to odwagi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

ŚWIATŁO Z GABINETU nagle zniknęło, zasłonięte ciężkimi kotarami. Obserwator zmarszczył brwi. Odstępstwo od rutyny. Nie podobało mu się to. Martwił się, co też spowodowało zmianę. W końcu jednak sprawy wróciły do normalności. Światła na parterze pogasły. Zdążył już poznać rozkład dnia małżeństwa Kerrów. Zapali się lampa w dużej sypialni od frontu willi w Bearsden i w oknie pojawi się sylwetka żony Davida Kerra. Kobieta zaciągnie ciężkie zasłony, odcinając prawie całkowicie przebliski światła z wnętrza domu. Niemal w tym samym momencie jasny prostokąt padnie z góry na dach garażu. Z łazienki, jak przypuszczał. David Kerr dokona swych ablucji przed snem. Nigdy nie domyje rąk, tak jak lady Macbeth. Około dwudziestu minut później sypialnia pogrąży się w mroku. Tej nocy nic więcej się już nie wydarzy.

Graham Macfadyen przekręcił kluczyk w stacyjce i odjechał w ciemności. Zaczynał mieć pewne pojęcie o życiu Davida Kerra, ale pragnął się dowiedzieć o wiele więcej. Na przykład, dlaczego nie postąpił jak Alex Gilbey i nie wsiadł do samolotu zmierzającego do Seattle. Co za oziębłość. Jak można tak zignorować pogrzeb osoby, która była nie tylko jednym z twoich najlepszych przyjaciół, lecz także współnikiem zbrodni?

No chyba że stosunki między nimi się popsuły. Mówi się o tym, że złodzieje często kłócą się po napadzie. O ileż naturalniejsza byłaby podobna waśń w przypadku morderców? Taki rozłam na pewno wymagał czasu i odległości. Nic równie oczywistego nie miało miejsca od razu po dokonanej przez nich zbrodni. Wiedział o tym teraz dzięki swojemu wujowi Brianowi.

Wspomnienie ich rozmowy kręciło się na jałowym biegu z tyłu jego głowy przez większość czasu, kiedy nie spał. Było jak myślowy sznurek paciorków zmartwienia, które, kołysząc się, wzmacniały jego determinację. On chciał jedynie odnaleźć swych rodziców. Nigdy nie przypuszczał, że te poszukiwania wyższej prawdy tak go zaabsorbują. Ale tak, dał się pochłonąć w całości. Inni mogliby uznać jego zachowanie za obsesję, ale takie oceny były typowe dla ludzi, którzy nie rozumieli natury oddania i potrzeby sprawiedliwości. Był przekonany, że niespokojny duch jego matki obserwuje go, ponagłając, by zrobił wszystko, co konieczne. Była to jego ostatnia myśl przed snem i pierwsza świadoma myśl po obudzeniu. Ktoś musi za to zapłacić.

Jego wuj zdecydowanie nie był zachwycony ich spotkaniem na cmentarzu. Z początku przez głowę Macfadyena przemknęła nawet myśl, że starszy mężczyzna zaatakuje go fizycznie. W końcu zwinął dłonie w pięści i pochylił głowę jak byk szykujący się do szarży.

Macfadyen nie ustąpił mu pola.

- Chcę tylko porozmawiać o mojej matce – oznajmił.
- Nie mam ci nic do powiedzenia – odwarknął Brian Duff.
- Chcę się tylko dowiedzieć, jaka była.
- Myślałem, że Jimmy Lawson kazał ci trzymać się od nas z daleka.
- Lawson rozmawiał z tobą o mnie?
- Nie pochlebiaj sobie, chłopcze. Przyszedł się ze mną zobaczyć, żeby poinformować mnie o nowym śledztwie w sprawie morderstwa mojej siostry.

Macfadyen ze zrozumieniem kiwnął głową.

- A zatem powiedział ci o zaginionych dowodach?

Duff potaknął. Opuścił ręce i odwrócił wzrok.

- Bezużyteczne pizdy.
- Skoro nie chcesz nic mówić o mojej matce, czy powiesz mi przynajmniej, jak wyglądały sprawy po jej śmierci? Muszę wiedzieć, co

zaszło. A ty tam byłeś.

Duff był w stanie rozpoznać upór, gdy na niego patrzył. W końcu ów nieznajomy dzielił tę cechę z nim i jego bratem.

– Nie przestaniesz mnie męczyć, co? – zapytał kwaśno.

– Nie. Nie przestanę. Zrozum, nigdy nie oczekiwałem, że moja biologiczna rodzina powita mnie z otwartymi ramionami. Pewnie sądzisz, że w ogóle do niej nie należę. Ale mam prawo dowiedzieć się, skąd pochodzę i co spotkało moją matkę.

– A jeśli ci powiem, odejdziesz i zostawisz nas w spokoju?

Macfadyen zastanowił się przez chwilę. Lepsze to niż nic. W dodatku może uda mu się znaleźć wyłom w murze, jaki Brian Duff zbudował wokół siebie, który zostawiłby mu otwartą furtkę na przyszłość.

– Niech będzie – zgodził się.

– Wiesz, gdzie jest bar Lammas?

– Byłem tam parę razy.

Duff uniósł brwi.

– Zobaczymy się tam za pół godziny. – Odwrócił się na pięcie i odszedł, nabuzowany.

Gdy ciemność połknęła jego wuja, Macfadyen poczuł, jak w gardle, niczym żółć, wzbiera mu podekscytowanie. Od tak dawna poszukiwał odpowiedzi, że perspektywa uzyskania kilku z nich już zaraz była niemal nie do zniesienia.

Pospieszył z powrotem do swojego auta i pojechał prosto do Lammas, gdzie znalazł cichy stolik w rogu, by mogli porozmawiać w spokoju. Powiódł oczami po sali, zastanawiając się, jak wiele się tu zmieniło od czasów, gdy Rosie pracowała za barem. Wyglądało na to, że pub przeszedł gruntowną renowację we wczesnych latach dziewięćdziesiątych, ale sądząc po porysowanej farbie i ogólnej atmosferze przygnębienia, nigdy nie stał się jedną z popularnych miejscówek.

Macfadyen zdążył wypić połowę swego piwa, gdy Brian Duff przekroczył próg i podszedł prosto do baru. Nie ulegało wątpliwości, że go tu znają, bo barmanka sięgnęła po szklanke, jeszcze zanim zdążył złożyć zamówienie. Uzbrojony w kufel piwa 80 Shilling dołączył do Macfadyena przy jego stoliku.

– No dobra – rzucił. – To ile wiesz?

– Wyszukałem artykuły z archiwów różnych gazet. Znalazłem też trochę informacji w jednej książce o prawdziwych zbrodniach, którą odkryłem. Ale to były tylko suche fakty.

Duff pociągnął długi łyk piwa, ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Macfadyena.

– Fakty może i tak. Ale prawda? Na pewno nie. Bo nie można nazywać ludzi mordercami, dopóki sąd tego nie zrobi.

Puls Macfadyena przyspieszył. Wyglądało na to, że nie mylił się w swoich przypuszczeniach.

– Co masz na myśli? – zapytał.

Duff wziął głęboki oddech, po czym wolno wypuścił powietrze. Było jasne, że nie chciał prowadzić tej rozmowy.

– Pozwól, że coś ci opowiem. W noc swojej śmierci Rosie pracowała tutaj. Stała za barem. Czasami odwoziłem ją po pracy do domu, ale tamtej nocy akurat nie. Powiedziała nam, że idzie na imprezę, chociaż tak naprawdę miała się z kimś spotkać po swojej zmianie. Wszyscy wiedzieliśmy, że kogoś ma, ale nie chciała nam zdradzić jego imienia. Rosie lubiła te swoje tajemnice. Razem z Colinem uznaliśmy, że nie chciała puścić pary z ust o chłopaku, bo sądziła, że go nie zaakceptujemy.

– Duff podrapał się po brodzie. – Może byliśmy trochę surowi, kiedy w grę wchodziła opieka nad Rosie. Po tym, jak zaszła w ciążę... cóż, powiedzmy tylko, że nie chcieliśmy, żeby zaczęła się zadawać z kolejnym nieudacznikiem. W każdym razie wyszła stąd po zamknięciu baru i nikt nie widział, z kim się spotkała. Tak jakby na cztery godziny zniknęła

z powierzchni ziemi. – Zacisnął dłoń na szklance, aż pobiełały mu kłykcie. – Około czwartej nad ranem czterej pijani studenci wracali do domu z imprezy i znaleźli ją leżącą w śniegu na Hallow Hill. Oficjalna wersja brzmi tak, że wpadli na nią przypadkiem. – Potrząsnął głową. – Ale leżała w takim miejscu, że nie dałoby się na nią natknąć przypadkowo. To jest pierwsza rzecz, którą musisz zapamiętać. Otrzymała jeden cios w brzuch. Ale to była makabryczna rana. Długa i głęboka. – Brian uniósł ramiona, jakby chciał kogoś ochronić. – Wykrwawiła się na śmierć. Ten, kto ją zabił, zaniósł ją na wzgórze w środku śnieżycy i porzucił jak worek górny. To druga rzecz, którą musisz zapamiętać. – Głos miał stłumiony i szorstki; nawet dwadzieścia pięć lat po tych wydarzeniach emocje wciąż brały nad nim górę. – Policja powiedziała, że najpewniej została zgwałcona. Mówili też, że mógł to być po prostu ostry seks, ale ja nigdy w to nie wierzyłem. Rosie dostała nauczkę. Nie sypiała z kolesiami, z którymi się umawiała. Gliny uznały, że w tej kwestii wciskała nam bajeczki, mnie i Colinowi. Ale my pogadaliśmy sobie z paroma jej byłymi i wszyscy przysięgali, że nigdy się z nią nie przespali. A ja im wierzę, bo nie obeszlśmy się z nimi łagodnie. Jasne, trochę dokazywali. Seks oralny, numerki ręczne. Ale na normalny seks się nie zgadzała. Dlatego na pewno została zgwałcona. Na jej ubraniach była sperma. – Prychnął gniewnie. – Normalnie nie mogę uwierzyć, że te bezużyteczne pierdoły pogubiły dowody. Nic innego nie było im potrzebne. Testy DNA załatwiłyby sprawę. – Przełknął kolejny łyk piwa.

Macfadyen czekał, spięty jak pies myśliwski, który zwietrzył zwierzynę. Nie chciał się odzywać, by czar nie prysł.

– I to właśnie spotkało moją siostrę. A my chcieliśmy wiedzieć, kto jej zrobił coś takiego. Jebani gliniarze nie mieli zielonego pojęcia. Przyjrzeni się tym czterem studentom, którzy ją znaleźli, ale nigdy nie wzięli ich w obroty. Wiesz, jak to jest w tym mieście? Nikt nie chce zadrzeć z uniwerkiem. A w tamtych czasach było jeszcze gorzej. Zapamiętaj sobie

te nazwiska: Alex Gilbey, Sigmund Malkiewicz, Davey Kerr, Tom Mackie. To oni znaleźli Rosie. Oni byli cali w jej krwi, ale mieli niby zasadne wytłumaczenie. A gdzie się podziewali przez te cztery godziny, kiedy Rosie zniknęła? Byli na imprezie. Jakiejś studenckiej popijawie, gdzie nikt nie zwraca na nikogo uwagi. Mogli pojawiać się i znikać, a nikt by tego nawet nie zauważył. Kto może potwierdzić, że w ogóle tam byli, jeśli nie liczyć trochę ponad pół godziny na początku i może kolejnej półgodziny pod koniec imprezy? A poza tym mieli dostęp do land rovera.

Macfadyen był zaskoczony.

– Tej informacji nie podano w żadnych moich materiałach.

– Nie, oczywiście, że nie. Ukradli land rovera należącego do jednego z ich ziomków. Jeździli nim po mieście tamtej nocy.

– Dlaczego nie zostali oskarżeni o kradzież samochodu? – zapytał surowo Macfadyen.

– Dobre pytanie. I to takie, na które nigdy nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Pewnie z tego samego powodu, o którym już wspomniałem. Nikt nie chce zadrzeć z uniwersytetem. Może gliniarze nie chcieli zawracać sobie głowy mniejszym wykroczeniem, skoro nie mogli udowodnić im zbrodni. Wyszliby przez to na dość żałosnych.

Brian Duff odstawił szklankę i zaczął wyliczać argumenty na palcach.

– Czyli tak, nie mają solidnego alibi. Byli w posiadaniu samochodu idealnie nadającego się do przewiezienia gdzieś ciała w środku burzy śnieżnej. Przychodzili pić do tego baru. Znali Rosie. Ja i Colin mieliśmy studentów za bandę nieudaczników, którzy wykorzystują dziewczyny takie jak Rosie, a potem odrzucają jak śmieci, gdy tylko trafi im się odpowiedni materiał na żonę. A Rosie o tym wiedziała, więc nigdy by się nam nie przyznała, że umawia się ze studentem. Jeden z nich nawet się wygadał, że zaprosił Rosie na tę imprezę, na którą poszli. A z tego, co mi powiedziano, sperma na jej ubraniach mogła pochodzić od Sigmunda

Malkiewicza, Davey'ego Kerra albo Toma Mackiego. – Odchylił się na krześle, chwilowo wyczerpany intensywnością swego monologu.

– Nie było żadnych innych podejrzanych?

Duff wzruszył ramionami.

– Był ten tajemniczy chłopak. Ale tak jak mówiłem, to mógł bez problemu być jeden z ich czwórki. A Jimmy Lawson wbił sobie do głowy ten głupi pomysł, że została wybrana na ofiarę satanistycznego rytuału przez jakiegoś szaleńca i dlatego została porzucona akurat w tamtym miejscu. Ale nigdy nie znalazły się żadne dowody na poparcie tej tezy. Poza tym, jak taki świr miałby ją znaleźć? Nie chodziłaby sobie po mieście w taką pogodę.

– Co według ciebie stało się tamtej nocy? – Macfadyen nie mógł się powstrzymać od zadania tego pytania.

– Myślę, że spotkała się z jednym z nich. Myślę, że on się wkurzył, bo nie chciała się z nim przespać, i ją zgwałcił. Jezu, może oni wszyscy ją zgwałcili, nie można mieć pewności. Kiedy zdali sobie sprawę, co takiego zrobili, wiedzieli, że nie mogą jej puścić wolno, bo mogłaby komuś o tym powiedzieć. To byłby koniec ich studiów, zero szans na świetlaną przyszłość. I dlatego ją zabili.

Na długą chwilę zapadła cisza. Macfadyen przerwał ją pierwszy.

– Nigdzie nie napotkałem wzmianki o tym, na których trzech wskazywały ślady spermy.

– Policja nie upowszechniła tej wiedzy. Ale tak czy siak to prawda. Jeden z moich kumpli spotykał się z dziewczyną, która pracowała na komisariacie. Była cywilem, ale wiedziała, co w trawie piszczy. To karygodne, że policja pozwoliła im się wyślizgnąć, biorąc pod uwagę wszystko, co wiedzieli o tej czwórce.

– Nigdy nie zostali aresztowani?

Duff pokręcił głową.

– Byli przesłuchiwani, ale to do niczego nie doprowadziło. Nie, wciąż chodzą, gdzie chcą. Wolni jak ptaki. – Dokończył swoje piwo. – No, to teraz już wiesz, co się wtedy stało. – Odsunął krzesło od stołu, jakby chciał wstać i odejść.

– Zaczekaj. – Macfadyen zatrzymał go natarczywie.

Duff zamarł z wyrazem zniecierpliwienia na twarzy.

– Jak to możliwe, że nigdy nic nie zrobiliście w tej sprawie?

Brian odchylił się do tyłu, jakby ktoś go uderzył.

– A kto mówi, że nic nie zrobiliśmy?

– Sam powiedziałaś, że wciąż chodzą, gdzie chcą, wolni jak ptaki.

Duff westchnął tak głęboko, że zapach zatechłego piwa w jego oddechu owiał twarz Macfadyena.

– Nie mogliśmy działać zbyt wiele. Mieliśmy utarczki z paroma z nich, ale potem znaleźliśmy się na celowniku policji. W zasadzie ostrzegli nas, że jeśli któremuś z tej czwórki cokolwiek się stanie, to my trafimy za kratki. Gdyby chodziło tylko o mnie czy Colina, w ogóle by nas to nie obeszło. Ale nie mogliśmy narazić naszej matki na coś takiego. Nie po tym, co już wycierpiała. Więc daliśmy spokój. – Brian przygryzł wargę. – Jimmy Lawson ciągle powtarzał, że nigdy nie zamkną tej sprawy. Mówił, że któregoś dnia zabójca Rosie dostanie to, na co zasłużył. A ja naprawdę wierzyłem, że teraz, gdy poddali sprawę rewizji, ten czas w końcu nadszedł. – Potrząsnął głową. – Ale ze mnie frajer. – Tym razem wstał od stolika. – Dotrzymałem mojej części umowy. Teraz ty dotrzyмай swojej. Trzymaj się z dala ode mnie i od mojej rodziny.

– Jeszcze tylko jedna rzecz. Proszę?

Duff zawahał się, opierając się o oparcie krzesła; tylko jeden krok dzielił go od ucieczki.

– Co jeszcze?

– Mój ojciec. Kim on był?

– Będzie dla ciebie lepiej, jeśli się nie dowiesz, chłopcze. To był beznadziejny typ.

– Mimo wszystko chciałbym wiedzieć. Połowa moich genów pochodzi od niego. – Macfadyen dostrzegł niepewność w oczach Briana, więc naciskał dalej. – Powiedz mi, kto jest moim ojcem, a już nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

Jego wuj wzruszył ramionami.

– Nazywa się John Stobie. Przeprowadził się do Anglii trzy lata przed śmiercią Rosie. – Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Macfadyen siedział przez jakiś czas zapatrzony w dal, zapomniał o swoim piwie. Nazwisko. Punkt zaczepienia do rozpoczęcia poszukiwań. W końcu poznał tożsamość ojca. Ale to nie koniec sukcesów. Uzyskał uzasadnienie dla swej decyzji podjętej po rozmowie z Jamesem Lawsonem, podczas której policjant przyznał się do niekompetencji. Nazwiska czterech studentów nie były dla niego niczym nowym. Pojawiały się w końcu w prasowych reportażach na temat morderstwa. Znał je od wielu miesięcy. Wszystko, co wyczytał w swych materiałach, umacniało jego desperacką potrzebę, by znaleźć kogoś, kogo mógłby obarczyć winą za to, co spotkało jego matkę. Gdy rozpoczął poszukiwania, by wydobyć na światło dzienne miejsca pobytu czterech mężczyzn, którzy w jego opinii okrutnie pozbawili go szansy poznania prawdziwej matki, z rozczarowaniem odkrył, że wszyscy wiodą pełne sukcesów, przyzwoite życie, a ludzie ich poważają. To nie była sprawiedliwość wedle żadnej miary.

Natychmiast ustawił w swej przeglądarce funkcję powiadomień o wszelkich informacjach na ich temat. Gdy zaś Lawson spuścił swoją bombę, Macfadyen tylko zyskał pewność, że podejrzanym nie powinno się upiec. Skoro policji z Fife nie udało się ich ukarać za popełnioną zbrodnię, trzeba będzie znaleźć inny sposób, by za nią zapłacili.

Następnego dnia po spotkaniu z wujem Macfadyen obudził się wcześniej rano. Nie pojawił się w pracy już od ponad tygodnia. Programowanie stanowiło zajęcie, które wychodziło mu fantastycznie, i zawsze było jedyną rzeczą, przy której udawało mu się odprężyć, jednak od niedawna myśl o siedzeniu przed monitorem i rozpracowywaniu zawiłych struktur obecnego projektu wywoływała w nim jedynie poczucie zniecierpliwienia. W porównaniu ze wszystkimi innymi rzeczami bużującymi mu w głowie rutynowe sprawy wydawały mu się błahe, nieważne i bezcelowe. Nic w jego dotychczasowym życiu nie przygotowało go do tej misji i pojął właśnie, że musi się nią zająć bezkompromisowo, a nie tylko urywkami po dniu spędzonym na robocie w pracowni komputerowej. Udał się więc do lekarza i obwieścił, że cierpi z powodu stresu. Nie było to w zasadzie kłamstwo i okazał się na tyle przekonujący, że dostał zwolnienie chorobowe do Nowego Roku.

Wyczołgał się z łóżka i poczłapał do łazienki, czując się tak, jakby przespał kilka minut, a nie godzin. Ledwo zerknął w lustro, nie zauważał cieni pod oczami ani zapadniętych policzków. Miał zadanie do wykonania. Poznanie zwyczajów zabójców jego matki było ważniejsze niż pamiętanie o tym, by prawidłowo się odżywiać.

Nie zatrzymując się, by się ubrać czy choćby zrobić kawę, przeszedł prosto do pokoju, gdzie stały jego komputery. Kliknął myszką przy jednym z nich. Migająca ikonka w rogu ekranu oznajmiała, że w skrzynce czeka na niego nowa wiadomość. Otworzył okienko z pocztą. Dwie wiadomości. Wybrał pierwszą. David Kerr opublikował artykuł w najnowszym numerze pisma naukowego. Jakieś bajdy o francuskim pisarzu, o którym Macfadyen w życiu nie słyszał. Nic nie mogłoby go zainteresować mniej niż te wypociny. Niemniej jednak wiadomość o artykule oznaczała, że odpowiednio ustawił parametry swych internetowych powiadomień. Miano David Kerr nie było rzadko

spotykane, więc zanim skalibrował swe wyszukiwania, dostawał kilkadziesiąt trafień każdego dnia. Co było jak wrzód na dupie.

Następna wiadomość była o wiele bardziej interesująca. Przekierowała go na stronę internetową „Seattle Post-Intelligencer”. Gdy przeczytał artykuł, na twarz powoli wypełził mu uśmiech.

WYBITNY PEDIATRA GINIE W TAJEMNICZYM POŻARZE

Założyciel renomowanej Kliniki Fife zginął w pożarze, będącym być może wynikiem podpalenia, w swym domu w King County.

Dr Sigmund Malkiewicz, znany jako doktor Ziggy zarówno wśród współpracowników, jak i pacjentów, nie przeżył pożogi, która zniszczyła jego stojący na odludziu dom wczoraj we wczesnych godzinach rannych.

Na miejscu pojawiły się trzy zastępy straży pożarnej, lecz płomienie zdążyły już pochłonąć większą część drewnianego budynku. Jak powiedział nam komendant straży, Jonathan Ardiles: „Dom stał już całkowicie w płomieniach, zanim zostaliśmy powiadomieni o pożarze przez najbliższego sąsiada doktora Malkiewicza. Nie mogliśmy zrobić praktycznie nic, oprócz podjęcia działań w celu zapobieżenia rozprzestrzenianiu się ognia na pobliski las”.

Śledczy Aaron Bronstein wyjawiał dzisiaj, że policja traktuje pożar jako podejrzaną: „Nasi specjaliści od spraw podpałek pracują na miejscu zdarzenia. Na tym etapie nie mogę powiedzieć nic więcej”.

Dr Malkiewicz (45 l.), urodzony i wychowany w Szkocji, pracował w rejonie Seattle przez ponad piętnaście lat. Był pediatrą w szpitalu King County General, który opuścił przed dziewięcioma laty, by założyć własną klinikę. Zdobył szacunek i powszechne uznanie na polu onkologii dziecięcej. Specjalizował się w leczeniu białaczki.

Dr Angela Redmond, pracująca z doktorem Malkiewiczem w jego klinice, powiedziała: „Wszyscy jesteśmy w szoku po tym tragicznym wydarzeniu. Doktor Ziggy był wspierającym i szczerym współpracownikiem, oddanym swoim pacjentom. Każdy, kto go poznał, będzie zrozpaczony wiadomością o jego śmierci”.

Słowa zatańczyły Macfadyenowi przed oczami, sprawiając, że poczuł dziwną mieszaninę rozradowania i frustracji. Dzięki nowo zdobytym informacjom na temat spermy znalezionej na ubraniach Rosie wydawało się to odpowiednie, że Malkiewicz umarł jako pierwszy. Macfadyen był jednak rozczarowany, że dziennikarz nie wykazał się dostatecznym sprytem, by wygrzebać paskudne szczegóły z życia lekarza. W artykule robili z niego jakąś Matkę Teresę, a on wiedział, że prawda wyglądała zupełnie inaczej. Może powinien napisać do tego gryziopiórka i naprostować go w paru kwestiach.

A może to jednak nienajlepszy pomysł. Trudniej by mu było obserwować zabójców, gdyby mieli powód przypuszczać, że ktoś interesuje się sprawą Rosie Duff sprzed dwudziestu pięciu lat. Nie, lepiej nie wyjawiać jeszcze nikomu swoich zamiarów. Ale mógł przynajmniej dowiedzieć się więcej o szczegółach pogrzebu i zostawić tam mały znak, o ile będą w stanie go zauważyć. Nie zaszkodzi posiać ziarna niepokoju w ich sercach, by zaczęli odrobinę cierpieć. Bóg wie, że sami spowodowali dość cierpienia przez te wszystkie lata.

Macfadyen zerknął na zegar na ekranie komputera. Jeśli teraz wyjdzie z domu, zdąży dotrzeć do North Queensferry na czas, by złapać Alexa Gilbeya jadącego do pracy. Poranek w Edynburgu, a potem przejażdżka do Glasgow, by sprawdzić, co porabia David Kerr. Ale zanim się tym zajmie, zacznie jeszcze poszukiwania Johna Stobiego.

Dwa dni później śledził Gilbeya w drodze na lotnisko i patrzył, jak przechodzi odprawę na lot do Seattle. Minęło dwadzieścia pięć lat, a morderstwo wciąż trzymało zbrodniarzy razem. Po trochu oczekiwał, że zobaczy tu z Alexem Davida Kerra, ale nigdzie nie było po nim śladu. Gdy zaś pospieszył do Glasgow, by sprawdzić, czy może tam zgubił swą ofiarę, zastał Kerra w auli zajętego wykładem, tak jak doktor miał to w planie. Co za bezduszność, bez dwóch zdań.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

ALEX NIGDY WCZEŚNIEJ tak się nie cieszył, widząc światła pasa do lądowania na lotnisku w Edynburgu. Deszcz zacinał o okna samolotu, ale nic go to nie obchodziło. Chciał tylko znów znaleźć się w domu, usiąść w ciszy z Lynn, położyć rękę na jej brzuchu i poczuć rosnące w środku życie. Przyszłość. Jak wszystkie inne myśli przemykające mu przez głowę, tak i ta zaraz skojarzyła mu się ze śmiercią Ziggy'ego. Dziecko, którego jego najlepszy przyjaciel nigdy nie zobaczy, nigdy nie weźmie na ręce.

Lynn czekała na niego w hali przylotów. Wydawała mu się zmęczona. Chciałby, żeby po prostu dała sobie spokój z pracą. W końcu nie brakowało im pieniędzy. Ale ona niewzruszenie trwała przy swoim, upierając się, że będzie pracować aż do ostatniego miesiąca ciąży.

– Chcę spędzić urlop macierzyński z dzieckiem, a nie siedząc na tyłku i czekając, aż się pojawi – mówiła.

Była zdecydowana wrócić do pracy po sześciu miesiącach, lecz Alex zastanawiał się, czy później nie zmieni zdania.

Pomachał, spiesząc ku niej. Padli sobie w ramiona, przywierając do siebie, jakby nie widzieli się przez kilka tygodni, a nie dni.

– Tęskniłem za tobą – wymruczał w jej włosy.

– Ja za tobą też.

Odsunęli się o krok i ruszyli w stronę parkingu. Lynn wsunęła mu rękę pod ramię.

– Dobrze się czujesz?

Alex pokręcił głową.

– Nie za bardzo. Jestem załamany. Dosłownie. Jakby coś we mnie pękło i teraz była tam dziura. Bóg jeden wie, jak Paul daje radę przetrwać.

– Jak on się trzyma?

– Źle, jakby był bez reszty zagubiony. Organizacja pogrzebu dała mu coś, na czym mógł się skupić; zdołał oderwać myśli od tego, co stracił. Ale wczoraj wieczorem, kiedy wszyscy już porozjeżdżali się do domów, był jak zbłąkana dusza. Nie wiem, jak da radę się uporać z tą tragedią.

– Ma jakieś wsparcie?

– On i Ziggy mieli mnóstwo przyjaciół. Nie będzie osamotniony. Ale w gruncie rzeczy człowiek ostatecznie zostaje z tym sam, prawda? – Westchnął. – Ta cała sprawa pozwoliła mi zrozumieć, jakim jestem szczęściarzem. Mam ciebie i dziecko w drodze. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby cokolwiek ci się stało.

Lynn ścisnęła go za ramię.

– To naturalne, że nachodzą cię teraz podobne myśli. Utrata kogoś takiego jak Ziggy sprawia, że wszyscy czujemy się narażeni. Ale nie bój się, nic mi nie będzie.

Dotarli do samochodu i Alex zajął miejsce kierowcy.

– Kierunek: dom – powiedział. – Nie mogę uwierzyć, że jutro już jest Wigilia. Marzę jedynie o spokojnym wieczorze. Tylko ty i ja.

– Ach – mruknęła Lynn, poprawiając pas wokół wielkiego brzucha.

– O nie. Tylko nie twoja matka. Nie dzisiaj.

Lynn wyszczerzyła zęby.

– Nie, to nie ona. Ale niewiele lepiej. Przyjechał Mondo.

Alex zmarszczył brwi.

– Mondo? Myślałem, że miał jechać do Francji.

– Zmiana planów. Zamierzali spędzić parę dni w Paryżu u brata Hélène, ale jego żonę dopadła grypa, więc przebukowali bilety.

– A on co, przyjeżdża nas odwiedzić?

– Mówi, że ma w Fife jakąś sprawę do załatwienia, ale wydaje mi się, że czuje się winny, bo nie poleciał z tobą do Seattle.

Alex prychnął.

– No tak, zawsze prędko wymigiwał się od poczucia winy już po tym, jak coś zawalił. Ale to nigdy go nie powstrzymywało od robienia tych wszystkich rzeczy, po których czuł się winny.

Lynn położyła dłoń na jego udzie. Nie było w tym geście nic seksualnego.

– Nigdy mu tak naprawdę nie wybaczyłeś, prawda?

– Chyba nie. Cała ta afera poszła w niepamięć. Ale kiedy sprawy toczą się tak, jak w zeszłym tygodniu... Nie, myślę, że nigdy mu nie wybaczyłem. Częściowo za to, że wplątał mnie w to całe gówno lata temu tylko po to, żeby odwrócić uwagę glin od siebie. Gdyby nie powiedział MacIennanowi, że Rosie mi się podobała, nie sądzę, by w ogóle uznali nas za poważnych podejrzanych. Ale najbardziej nie potrafię mu wybaczyć tego, że jego głupi wyskok kosztował MacIennana życie.

– Myślisz, że Mondo się za to nie obwinia?

– No i bardzo dobrze, w końcu powinien. Ale gdyby tak walnie się nie przyczynił do wrobienia nas, potem nie czułby takiej potrzeby, żeby wszystkim pokazać, jaki jest absurdalnie nieszczęśliwy. A ja nie musiałbym się użerać z ludźmi uznającymi mnie za mordercę wszędzie, gdzie tylko poszedłem, przez resztę mojej kariery na uniwersytecie. Wybacz, ale w mojej opinii to wszystko wina Monda.

Lynn otworzyła torebkę i wyszukała monety na opłatę za przejazd przez most.

– Myślę, że on zawsze był tego świadomy.

– I pewnie dlatego tak bardzo się postarał, by dzielił nas jak największy dystans – westchnął Alex. – Przykro mi, że przez to nie jesteś z nim blisko.

– Nie bądź głupi – odparła Lynn, wręczając mu pieniądze, gdy zwolnili na drodze dojazdowej do Forth Road Bridge, którego majestatyczny łuk zapewniał najlepszy możliwy widok na trzy wspornikowe romby mostu kolejowego spinającego brzegi rzeki przy jej ujściu. – Jego strata. Gdy za ciebie wychodziłam, wiedziałam, że Mondo nigdy nie będzie się czuł komfortowo w tej sytuacji. Wciąż uważam, że dobrze trafiłam. O wiele bardziej wolę mieć w centrum mojego życia ciebie, a nie mojego neurotycznego starszego brata.

– Wybacz, że tak się to wszystko potoczyło, Lynn. On wciąż wiele dla mnie znaczy, sama wiesz. Jest częścią tak wielu dobrych wspomnień.

– Tak, wiem. Spróbuj o tym pamiętać, gdy dziś wieczorem najdzie cię ochota, żeby go udusić.

Alex otworzył okno, wzdrygając się, gdy krople zacinającego deszczu bryznęły na połowę jego twarzy. Wręczył monety inkasentowi i znów dodał gazu, czując, jak dom go przyciąga. Zawsze odnosił podobne wrażenie, kiedy zbliżał się do Fife. Zerknął na zegar na desce rozdzielczej.

– To kiedy ma się zjawić?

– Już się zjawił.

Alex wykrzywił usta. Żadnych szans na odreagowanie. Żadnej kryjówki.

Posterunkowa Karen Pirie truchtem wbiegła pod daszek przy wejściu do pubu i z ulgą otworzyła drzwi. Spowił ją powiew ciepłego, skwaśniałego powietrza zabarwionego nutami stęchłego piwa i papierosowego dymu. Był to zapach wyzwolenia. W tle, jak poznała, leciała muzyka z płyty St. Germaina *Tourist*. Nieźle. Wyciągnęła szyję, lustrując wczesnowieczornych pijących, by zobaczyć, kto się dziś zjawił. Wyłowiała wzrokiem stojącego przy barze Phila Parhatkę. Garbił ramiona nad piwem i paczką chipsów. Przepchnęła się przez tłum i przysunęła sobie stołek, by usiąść koło niego.

– Ja lubię breezery bacardi – powiedziała, dziabiąc go palcem pod żebra.

Phil wyrwał się z zadumy i zwrócił na siebie uwagę znękanego barmana. Zamówił jej drinka i oparł się wygodnie o bar. Zawsze wydawał się szczęśliwszy w towarzystwie niż pozostawiony sam sobie, przypomniawszy sobie Karen. Był zupełnie niepodobny do wyświechtanej telewizyjnej postaci samotnego gliny-indywidualisty, wymierzającego sprawiedliwość na własną rękę. Phil nie był też kimś, kogo nazwałaby duszą towarzystwa. On po prostu lubił trzymać się z ekipą. A ona nie miała nic przeciwko roli zastępczyni nieobecnej dziś grupy. Może sam na sam z nią zobaczy w niej kobietę.

Sięgnęła po swojego drinka, gdy tylko się pojawił, i pociągnęła solidny łyk.

– Tak lepiej – westchnęła. – Tego mi było trzeba.

– Grzebanie w pudłach z dowodami wzmaga pragnienie. Nie spodziewałem się tu ciebie dzisiaj. Myślałem, że pojedziesz prosto do domu.

– Nie, musiałam wrócić do biura i sprawdzić parę rzeczy w komputerze. Utrapienie, no ale jak trzeba, to trzeba. – Upiła jeszcze trochę alkoholu i pochyliła się konspiracyjnie w stronę kolegi. – I nigdy nie zgadniesz, kogo przyłapałam na myszkowaniu w moich dokumentach.

– Komendanta Lawsona – odparł Phil, nawet nie udając, że się zastanawia.

Karen odsunęła się rozzłoszczona.

– Skąd wiedziałeś?

– A kogo poza nim w ogóle obchodzi, jak nam idzie praca? Poza tym wisi ci nad plecami o wiele częściej niż komukolwiek innemu, odkąd zaczęliśmy te rewizje. Chyba podchodzi do twojej sprawy osobiście.

– No tak, w końcu był pierwszym policjantem na miejscu zbrodni.

– Owszem, ale był wtedy zwykłym posterunkowym. Nie prowadził tej sprawy ani nic takiego. – Phil podsunął Karen chipsy i dokończył swoje pierwsze piwo.

– Przecież wiem. Po prostu wydaje mi się, że czuje się bardziej związany z tym śledztwem niż z pozostałymi, które mamy na warsztacie. Ale i tak było śmiesznie, jak nakryłam go ślęczącego nad moimi papierami. Zazwyczaj o tej porze już dawno go nie ma. Myślałam, że wyskoczy ze skóry, gdy się odezwałam. Był tak pochłonięty czytaniem, że nie słyszał, jak weszłam.

Phil podniósł nową szklankę i łyknął złocistego trunku.

– Jakiś czas temu poszedł spotkać się z bratem denatki, no nie? Żeby mu powiedzieć o tym cyrku z dowodami?

Karen potrząsnęła palcami, jakby strzepywała z siebie coś, co się nieprzyjemnie czepia.

– Powiem ci, że z przyjemnością pozwoliłam mu się tym zająć. To nie byłaby miła rozmowa. „Dzień dobry panu. Przykro mi, ale zgubiliśmy dowody, które mogłyby w końcu doprowadzić do skazania mordercy pańskiej siostry. Tak bywa”. – Skrzywiła się. – A jak idzie twoja sprawa?

Phil wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. Myślałem, że na coś wpadłem, ale teraz ten trop wygląda na kolejną ślepią uliczkę. W dodatku mam na karku lokalnego posła gładzącego o prawach człowieka. Ta praca to ból dupy.

– Masz jakiegoś podejrzanego?

– Trzech. Nie mam za to żadnych porządnych dowodów. Wciąż czekam, aż przyślą mi z laboratorium wyniki badań DNA. To moja jedyna szansa, żeby jakoś ruszyć to śledztwo do przodu. A co z twoją sprawą? Kto według ciebie zabił Rosie Duff?

Karen rozłożyła ręce.

– Idę o zakład, że to był któryś z tej czwórki.

– Naprawdę myślisz, że to był jeden z tych studentów, którzy ją znaleźli?

Karen potaknęła.

– Wszystkie dowody poszlakowe na to wskazują. A poza tym jest coś jeszcze. – Urwała, czekając na zachętę z jego strony.

– No dobra, Sherlocku. Jestem zaintrygowany. Co jeszcze masz?

– Psychologię tego zabójstwa. Zawsze, gdy w grę wchodzi zabójstwo rytualne albo na tle seksualnym, psychiatrzy mówią nam, że takie zbrodnie nie dzieją się bez zapowiedzi. Można oczekiwać, że zabójca wcześniej podejmie parę prób.

– Jak Peter Sutcliffe?

– Właśnie. Sutcliffe nie stał się Rozpruwaczem z Yorkshire z dnia na dzień. Co prowadzi mnie prosto do mojego następnego argumentu. Zabójcy seksualni są trochę jak moja babcia. Powtarzają się.

Phil jęknął.

– O Boże, co za żart.

– Nie klaszcz, tylko dawaj kasę. Powtarzają się, bo zabijanie podnieca ich tak, jak normalnych ludzi podnieca pornografia. W każdym razie zmierzam do tego, że w całej Szkocji nie było żadnych innych przypadków, które można by powiązać z naszym zabójcą.

– Może wyjechał z kraju.

– Może. A może nasze miejsce zbrodni zostało starannie zaaranżowane. Może to w ogóle nie był tego rodzaju zabójca. Może jeden z tych chłopaków zgwałcił Rosie i spanikował. Może zrobili to wszyscy czterej. Nie mogli pozwolić, by przeżyła i zeznawała. Dlatego ją zabili. Ale upozorowali to zabójstwo na atak jakiejś maniakalnej, opętanej seksem bestii. Morderstwo w ogóle ich nie podnieciło, więc nigdy nie było mowy o tym, by mogło się powtórzyć.

– Myślisz, że czterech podchmielonych chłopaków do tego stopnia zachowałyby zimną krew po tym, jak dopiero co zabili dziewczynę?

Karen skrzyżowała nogi i wygładziła spódnicę. Zauważyła, że ją obserwowal, i zalała ją fala ciepła, która nie miała nic wspólnego z białym rumem.

– Oto jest pytanie, czyż nie?

– A jaka jest odpowiedź?

– Kiedy się czyta ich zeznania, jeden się wyróżnia. Student medycyny, Malkiewicz. Nie stracił głowy na miejscu zdarzenia, a jego zeznania są trochę klinicznie bezduszne. Z analizy odcisków palców wynika, że to on jako ostatni prowadził land rovera. Był też jednym z trzech wydzielaczy grupy z całej czwórki. Sperma mogła być jego.

– Cóż, to niezła teoria.

– Myślę, że zasługuje na kolejnego drinka. – Tym razem Karen zamówiła kolejkę. – Ale problem z teoriami jest taki – mówiła dalej ze świeżo napełnioną szklanką w dłoni – że potrzeba dowodów, by je poprzeć. Dowodów, których nie mam.

– A co z tym nieślubnym dzieckiem? Jego ojciec musi się gdzieś podziewać. Może to był on?

– Nie wiemy, kto jest ojcem. Brian Duff trzyma gębę na kłódkę w tej sprawie, a do Colina nie zdołałam jeszcze dotrzeć. Ale Lawson dał mi cynk, że zapewne był to gość, który nazywa się John Stobie. Wyjechał z miasta mniej więcej w odpowiednim czasie.

– Może wrócił?

– Tego właśnie szukał Lawson w moich papierach. Chciał sprawdzić, czy odkryłam cokolwiek pod tym kątem. – Karen wzruszyła ramionami. – Ale nawet jeśli Stobie tu wrócił, dlaczego miałyby zabijać Rosie?

– Może wciąż się w niej podkochiwał, ale ona nie chciała go już znać?

– Nie wydaje mi się. Mówimy o chłopaku, który wziął dupę w troki, bo Brian i Colin spuścili mu manto. Nie brzmi to, jakby był bohaterem, który powraca, by odzyskać utraconą miłość. Ale i tak go sprawdzę.

Wysłałam prośbę do naszych towarzyszków broni tam, gdzie teraz mieszka. Pójdą odbyć z nim małą pogawędkę.

– No tak, jasne. Na pewno będzie pamiętał, gdzie był pewnej grudniowej nocy dwadzieścia pięć lat temu.

Karen westchnęła.

– Wiem, że szanse są marne... Ale przynajmniej policjanci, którzy go przesłuchają, wyrobią sobie opinię na temat tego, czy wydaje się prawdopodobnym sprawcą. Ja wciąż obstawiam, że to Malkiewicz: sam albo ze swoimi kumplami. W każdym razie dość już o tym. Masz ochotę na curry, zanim indyk i kiełki opanują bar?

Mondo zerwał się na nogi, gdy tylko Alex wszedł do oranżerii, i niemal przewrócił przy tym swój kieliszek z czerwonym winem.

– Alex, witaj – odezwał się z nutą zdenerwowania w głosie.

Z jaką nagłością cofamy się w czasie, gdy jesteśmy wyrwani z codziennej rutyny i wrzuceni z powrotem między ludzi z naszej przeszłości, pomyślał Alex, zaskoczony swym spostrzeżeniem. Nie miał wątpliwości, że Mondo w pracy był pewny siebie i kompetentny. Ożenił się z kulturalną i wyrafinowaną kobietą, z którą robił kulturalne i wyrafinowane rzeczy, jakich Alex mógł się jedynie domyślać. Jednak stając twarzą w twarz ze swym powiernikiem z lat dojrzewania, Mondo znów zachowywał się jak znerwicowany nastolatek promieniujący wrażliwością i pragnieniem uwagi.

– Cześć, Mondo – rzekł ze zmęczeniem, osuwając się na krzesło naprzeciwko niego, i nalał sobie trochę wina.

– Dobrze ci się leciało? – Uśmiech Davida był prawie błagalny.

– Wiesz, że nigdy tak nie jest. Doleciałem do domu w jednym kawałku, co jest najlepszą rzeczą, jaką można powiedzieć o jakimkolwiek locie. Lynn szykuje kolację, lada chwila powinna usiąść z nami.

– Przepraszam, że tak się do was wprosiłem na wieczór, ale musiałem przyjechać do Fife na pewne spotkanie, a jutro już lecimy do Francji, więc to była jedyna okazja...

Wcale nie jest ci przykro, pomyślał Alex. Chcesz tylko zagłuszyć poczucie winy moim kosztem.

– Szkoda, że nie dowiedziałeś się o grypie swojej szwagierki trochę szybciej. Wtedy mógłbyś polecieć ze mną do Seattle. Weird się zjawił. – Alex mówił rzeczowym tonem, ale celowo chciał dopiec Mondowi.

Ten wyprostował się na krześle, unikając jego wzroku.

– Wiem, że według ciebie też powinienem tam być.

– Owszem. Ziggy był jednym z twoich najlepszych przyjaciół przez prawie dziesięć lat. Wiele dla ciebie zrobił. Zresztą, zrobił wiele dla nas wszystkich. Chciałem go za to uhonorować i sądzę, że ty też powinienes.

Mondo przeczesał ręką włosy. Wciąż były bujne i kręcone, choć tu i tam pojawiły się w nich już srebrne kosmyki. Wydawał się przez to egzotyczny pośród zwyczajnych Szkotów.

– A niech tam. Po prostu nie jestem za dobry w te klocki.

– Zawsze byłeś z nas wszystkich najbardziej wrażliwy.

Mondo spojrzał na Alexa z irytacją.

– Tak się składa, że uważam wrażliwość za cnotę, a nie wadę. I nie będę przeproszał za posiadanie jej.

– No to powinienes z wrażliwością pojąć powody mojej złości na ciebie. Mogę jeszcze zrozumieć, dlaczego unikasz nas, jakbyśmy cierpieli na jakąś zakaźną chorobę. Chciałeś uciec jak najdalej od wszystkich rzeczy i ludzi, którzy przypominali ci o morderstwie Rosie Duff i śmierci Barneya Macleannana. Ale powinienes był pojechać na pogrzeb Ziggy’ego, Mondo. Naprawdę powinienes tam być.

David sięgnął po swój kieliszek i zacisnął na nim mocno palce, jakby ten gest mógł go ocalić przed niezręcznością ich rozmowy.

– Pewnie masz rację.

– To co cię tu dzisiaj sprowadza?

Mondo odwrócił wzrok.

– Wydaje mi się, że rewizja sprawy Rosie Duff, którą zajmuje się policja z Fife, wydobyła na światło dzienne wiele rzeczy. Zrozumiałem, że nie mogę tego po prostu zignorować. Musiałem pogadać z kimś, kto rozumie, jak wyglądały tamte czasy. I ile Ziggy znaczył dla nas wszystkich.

Ku zdumieniu Alexa oczy Davida nagle zalśniły wilgocią. Mondo zamrugał gwałtownie, ale łzy już się polały. Odstawił kieliszek i zakrył twarz dłońmi.

W tym momencie Alex pojął, że on też nie był odporny na tę podróż w czasie. Zaprzagnął zerwać się na równe nogi i objąć Monda, który trząsał się z wysiłku, próbując zatamować w sobie żal. Powstrzymał się jednak, czując ukłucie dawnych podejrzeń.

– Przepraszam – wyszłochał Mondo. – Przepraszam, tak bardzo przepraszam.

– Za co? – zapytał delikatnie Alex.

Mondo podniósł wzrok. Oczy miał zamglone od łez.

– Za wszystko. Za wszystkie złe i głupie rzeczy, które zrobiłem.

– To naprawdę nie zawęża możliwych opcji – odparł Alex głosem łagodniejszym niż ironiczne słowa.

Mondo wzdrygnął się ze zranioną miną. Przyzwyczał się już, że akceptowano jego niedoskonałości bez komentarza ani krytyki.

– Głównie jest mi przykro z powodu Barneya MacLennana. Wiesz, że jego brat pracuje w zespole zajmującym się tymi nierozwiązanymi sprawami?

Alex pokręcił głową.

– Skąd miałbym o tym wiedzieć? A skoro już o tym mowa, skąd ty o tym wiesz?

– Zadzwoił do mnie. Chciał porozmawiać o Barneyu. Rozłączyłem się. – Mondo westchnął ciężko. – To już historia, no nie? Przyznaję, że zrobiłem głupią rzecz, ale byłem wtedy tylko dzieciakiem. Boże, gdyby zamknęli mnie wtedy za morderstwo, już bym znowu chodził wolno. Dlaczego nie mogą nas po prostu zostawić w spokoju?

– O czym ty mówisz? Dlaczego mieliby cię wtedy zamknąć za morderstwo? – zdziwił się Alex.

Mondo poprawił się lekko na krześle.

– Przenośnia. Nic poza tym. – Wysączył resztkę wina. – Słuchaj, będę już leciał – powiedział, podnosząc się z krzesła. – Zajrzę jeszcze tylko pożegnać się z Lynn.

Przeszedł pospiesznie obok Alexa, który popatrzył za nim zdezorientowany. Cokolwiek Mondo spodziewał się tu znaleźć, chyba się zawiódł.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

NIE BYŁO ŁATWO wyszukać punkt obserwacyjny, z którego miałyby dobry widok na dom Alexa Gilbeya. Macfadyen nie poddawał się jednak, wspinając się na skały i gramoląc po kępach szorstkiej trawy pod masywnymi żelaznymi wspornikami mostu kolejowego. W końcu odkrył idealny zakątek, przynajmniej na nocne obserwacje. W ciągu dnia byłby paskudnie odsłonięty, ale Gilbeya nigdy nie było w domu, gdy na dworze było jeszcze jasno. Kiedy jednak zapadał zmrok, Macfadyen znikał w czarnych czeluściach cieni pod mostem, skąd mógł patrzeć z góry prosto do ogrodu zimowego, gdzie Gilbey ze swoją żoną zawsze siadywali wieczorami, korzystając ze wspaniałej panoramy, na jaką mogli stamtąd spoglądać.

To nie było w porządku. Gdyby Gilbey zapłacił za swoje czyny, albo wciąż gnąłby w więzieniu, albo wiódł nędzną egzystencję, jaka przypadała w udziale większości ludzi po długiej odsiadce. Dostałby jakieś podłe mieszkanie komunalne z klatką schodową śmierdzącą szczynami i rzygami w okolicy, w której roiło się od ćpunów i małomiasteczkowych gangsterów. Nie zasługiwał na więcej. A już na pewno nie na tę ceną nieruchomości ze spektakularnym widokiem i potrójnymi szybami w oknach, które nie przepuszczały turkotu pociągów stukających po moście przez cały dzień i większą część nocy. Macfadyen chciał mu to wszystko odebrać, by Gilbey mógł pojąć, co ukradł jemu, biorąc udział w morderstwie Rosie Duff.

Ale to był plan na inny dzień. Ta noc polegała na czuwaniu. Wcześniej zajrzał do Glasgow. Czekał cierpliwie, aż pewien zakupowicz

zwolni miejsce, które – jak nauczyło go doświadczenie – gwarantowało idealny widok na zarezerwowany dla Kerra fragment uniwersyteckiego parkingu. Gdy obiekt jego obserwacji wyłonił się z budynku tuż po czwartej, Macfadyen z zaskoczeniem zorientował się, że nie kieruje się do Bearsden. Zamiast tego ich celem okazała się autostrada wijąca się przez centrum Glasgow, a następnie wystrzeliwująca na przełaj przez kraj do Edynburga. Po tym, jak Kerr wybrał zjazd prowadzący do Forth Bridge, Macfadyen uśmiechnął się wyczekująco. Wyglądało na to, że konspiratorzy jednak się spotkają.

Jego przewidywania okazały się w stu procentach trafne, ale nie od razu. Kerr zjechał z autostrady po północnej stronie ujścia, lecz zamiast za mostem skręcić z powrotem na południe i udać się do North Queensferry, zatrzymał się przy nowoczesnym hotelu z najlepszym widokiem, znajdującym się na skarpie z piaskowca górującej nad rzeką. Zaparkował samochód i pospieszył do środka. Kiedy Macfadyen wpadł do hotelu niecałą minutę później, po jego zwierzynie nie było ani śladu. Wykładowca nie siedział w barze ani w części restauracyjnej. Macfadyen kręcił się panicznie tam i z powrotem po ogólnodostępnych rewirach, a jego niespokojne, szybkie ruchy przyciągnęły kilka zaciekawionych spojrzeń zarówno personelu, jak i gości. Ale Kerr zniknął. Wściekły, że go zgubił, Macfadyen wybiegł na zewnątrz i walnął ręką w dach swojego samochodu. Chryste Panie, nie tak miało być. W co ten Kerr pogrywał? Czy zdał sobie sprawę, że jest śledzony, i specjalnie przyjechał tu, by wymknąć się temu, kto go ścigał? Macfadyen prędko się obrócił. Nie, samochód doktora wciąż stał tam, gdzie przedtem.

O co tu chodziło? To jasne, że Kerr miał się w tym miejscu z kimś zobaczyć, i to w tajemnicy. Ale z kim? Czyżby Alex Gilbey wrócił ze Stanów i zdecydował się spotkać ze swym współspiskowcem na neutralnym gruncie, by jego żona o niczym się nie dowiedziała? Nie dało

się tego odkryć w żaden oczywisty sposób. Przeklinając pod nosem, schował się znów w samochodzie i utkwiał wzrok w hotelowych drzwiach.

Nie musiał długo czekać. Mniej więcej dwadzieścia minut po tym, jak wszedł do budynku, Kerr wrócił do swego auta. Tym razem pojechał do North Queensferry. To wyjaśniało jedną kwestię. Z kimkolwiek spotkał się w hotelu, nie był to Gilbey. Macfadyen przyczał się na rogu uliczki, dopóki Kerr nie skręcił na podjazd Alexa. Dziesięć minut później zajmował już swoje stanowisko pod mostem, wdzięczny, że deszcz nieco zelżał. Podniósł swą potężną lornetkę do oczu i skupił uwagę na budynku pod sobą. Nikłe światło gdzieś z wnętrza domu przenikało do oranżerii, ale nie mógł dostrzec nic poza tym. Przesunął wzrok wzdłuż ściany i odnalazł owal światła z kuchni.

Zobaczył, jak Lynn Gilbey przechodzi przez pomieszczenie z butelką czerwonego wina w ręku. Nic przez parę długich minut, po czym lampy w ogrodzie zimowym zamrugały i rozjarzyły się. David Kerr przyszedł tam za kobietą i usiadł, podczas gdy ona odkorkowała butelkę i nalała wina do dwóch kieliszków. Macfadyen wiedział, że są rodzeństwem. Gilbey wziął ślub sześć lat po śmierci Rosie, kiedy miał dwadzieścia siedem lat, a jego wybranka dwadzieścia jeden. Ciekawe, czy znała prawdę o zdarzeniu, w jakie zamieszani byli jej brat i mąż. Mocno w to wątpił. Pewnie oplątali ją siecią kłamstw, a jej pasowało w nie wierzyć. Tak jak pasowało to policji. Lata temu wszyscy z radością wybrali najprostsze wyjście.

Ale on nie pozwoli im na to po raz drugi.

A teraz żona Gilbeya była w ciąży. Facet zostanie ojcem. Macfadyena wpieniała myśl, że ich dziecko dostąpi przywileju poznania swoich rodziców, że będzie chciane i kochane, a nie obwiniane o wszystko i przytłaczane wyrzutami. Kerr i jego przyjaciele odebrali mu szansę na podobne życie dwadzieścia pięć lat temu.

Zauważył, że rodzeństwo siedzące w oranżerii nie rozmawia za dużo. To mogło oznaczać jedną z dwóch rzeczy. Albo byli ze sobą tak blisko, że

nie potrzebowali trajkotania, by czuć się swobodnie w swym towarzystwie, albo dystans między nimi był tak wielki, że żadna gadka szmatka nie była w stanie go zmniejszyć. Ciekawe, która z hipotez była prawdą; z tej odległości nie był w stanie tego ocenić. Po około dziesięciu minutach kobieta zerknęła na zegarek i wstała, trzymając jedną rękę na krzyżu, a drugą na brzuchu. Weszła z powrotem do głównej części domu.

Gdy nie wracała przez kolejnych dziesięć minut, zaczął się zastanawiać, czy czasem gdzieś nie wyszła. Oczywiście, to miało sens. Gilbey miał dziś przylecieć z pogrzebu. Pewnie spotka się z Kerrem, by zdać mu raport. Omówią sobie wątpliwości, jakie wzbudziła w nich tajemnicza śmierć Malkiewicza. Mordercy znów w jednej drużynie.

Pochylił się i wyciągnął z plecaka termos. Mocna, słodka kawa, by go rozbudzić i dodać mu energii. Nie żeby jej potrzebował. Odkąd zaczął śledzić mężczyzn, których uważał za winnych śmierci swojej matki, miał wrażenie, że werwa wręcz go rozsadza. A gdy w nocy kładł się do łóżka, spał głębiej niż kiedykolwiek od czasów dzieciństwa. Stanowiło to kolejne potwierdzenie – jeśli jeszcze jakieś byłoby konieczne – że ścieżka, którą obrał, jest właściwa.

Minęła ponad godzina. Kerr co chwila zrywał się na nogi i krążył po oranżerii; czasem wychodził z pokoju, po czym niemal natychmiast wracał. Nie czuł się komfortowo, to nie ulegało wątpliwości. Wtedy niespodziewanie do pomieszczenia wkroczył Gilbey. Nie uścisnęli sobie dłoni i Macfadyen szybko się zorientował, że nie patrzy na niewymuszone, przyjacielskie spotkanie. Nawet przez lornetkę mógł stwierdzić, że żaden z mężczyzn nie czerpie przyjemności z rozmowy.

Mimo to nie spodziewał się, że Kerr nagle się załamie. W jednej chwili siedział spokojnie, w następnej zalewał się łzami. Dialog, który potem nastąpił, wydawał się pełen napięcia, ale nie potrwał długo. Kerr wstał gwałtownie i przeszedł koło Gilbeya. Cokolwiek zaszło między nimi, żaden nie był z tego zadowolony.

Macfadyen zawahał się przez moment. Powinien zostać tu i obserwować dalej czy pojechać za Kerrem? Jego stopy ruszyły się bezwiednie, jeszcze zanim świadomie podjął decyzję. Gilbey nigdzie się nie wybierał. Za to David Kerr już raz wyłamał się ze schematu. Może zrobi to ponownie.

Pobiegł z powrotem do samochodu i znalazł się na rogu w chwili, w której Kerr wyjeżdżał z cichej bocznej uliczki. Klnąc, Macfadyen rzucił się za kierownicę i wcisnął gaz do dechy, przez co ruszył z miejsca z piskiem opon. Niepotrzebnie się jednak martwił. Srebrne audi Kerra wciąż stało na skrzyżowaniu z główną ulicą, czekając na swoją kolej, by skręcić w prawo. Zamiast skierować się na most i do domu, doktor pojechał na północ drogą M90. Nie było dużego ruchu, więc Macfadyen bez problemu miał go na oku. W ciągu następnych dwudziestu minut miał już całkiem silne przeczucie odnośnie do tego, dokąd zmierzała jego zwierzyna. Kerr ominął Kirkcaldy i dom swoich rodziców, po czym skręcił na wschód w Standing Stane Road. Jechał do St. Andrews.

Gdy dotarli do obrzeży miasteczka, Macfadyen nieco się do niego zbliżył. Nie chciał go teraz zgubić. Audi zasygnalizowało skręt w lewo, kierując się w stronę Ogrodów Botanicznych.

– Ale cię tam ciągnie, co? – wymamrotał Macfadyen. – Nie możesz zostawić jej w spokoju.

Tak jak się spodziewał, audi podjechało na Trinity Place. Macfadyen zaparkował przy głównej drodze i zaczął spiesznie kroczyć cichą, podmiejską ulicą. Za zaciągniętymi zasłonami w oknach paliły się lampy, ale nie było widać innych śladów życia. Audi stało na końcu ślepej uliczki z wciąż włączonymi bocznymi światłami. Macfadyen minął samochód, zwrócił uwagę, że miejsce kierowcy było puste. Ruszył ścieżką biegnącą u podnóża wzniesienia, zastanawiając się, ile razy czterech studentów deptało po tym samym błocie, zanim przyszła noc, podczas której podjęli swą fatalną decyzję. Gdy podniósł wzrok i spojrzał w lewo, zobaczył to,

czego się spodziewał. Na grzbiecie wzgórza, ciemna sylwetka na tle nocy, stał Kerr, pochylając głowę. Macfadyen zwolnił kroku. Aż dziwne, jak wszystko nabierało sensu, podtrzymując jego przekonanie, że czterej mężczyźni, którzy znaleźli ciało jego matki, wiedzieli o jej śmierci o wiele więcej, niż kiedykolwiek byli zmuszeni przyznać. Trudno było pojąć, dlaczego policja zawiodła dwadzieścia pięć lat temu. Spartaczenie tak prostej sprawy wydawało się graniczyć z cudem. On sam osiągnął więcej w imię sprawiedliwości w ciągu paru miesięcy niż gliniarze w dwadzieścia pięć lat z pełnym zapleczem finansowym i zasobami ludzkimi. Bardzo dobrze, że nie polegał na Lawsonie i jego tresowanych małpach, by pomścili jego matkę.

Może jego wujek miał rację i organy ścigania były niewolnikiem uniwersytetu. A może trafił bliżej celu, gdy oskarżył policjantów o korupcję. Gdziekolwiek leżała prawda, świat zdążył się już zmienić. Minęły czasy dawnej służalczości. Nikt już nie drżał ze strachu przed uniwersytetem. A ludzie rozumieli, że policjantów da się przekupić równie łatwo, jak kogoś innego. Dlatego to pojedyncze jednostki takie jak on musiały dopilnować, by sprawiedliwości stało się zadość.

Gdy patrzył na Kerra, ten wyprostował się i ruszył z powrotem do swojego samochodu. Kolejny wpis w dzienniku winy, pomyślał Macfadyen. Kolejna cegiełka do muru.

Alex przekręcił się na bok i sprawdził godzinę. Za dziesięć trzecia. Od ostatniego spojrzenia na zegar minęło pięć minut. To bez sensu. Jego ciało było zdeorientowane lotem i zmianą stref czasowych. Próbując zasnąć na siłę, osiągnie tylko tyle, że obudzi Lynn. A skoro jej cykl snu był wyjątkowo zaburzony z powodu ciąży, nie chciał tego ryzykować. Wyślizgnął się spod kołdry i zadrżał lekko, gdy chłodne powietrze owiało mu skórę. Wychodząc z sypialni, złapał szlafrok i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

Co to był za dzień. Żegnając się z Pauliem na lotnisku, miał wrażenie, że go porzuca, a jego naturalne pragnienie, by być już w domu z Lynn, wydawało mu się samolubne. Podczas pierwszego lotu został wciśnięty na miejsce przy przegrodzie, przy którym nie było okna, a obok niego siedziała kobieta tak wielka, że był pewien, iż kiedy zechce wstać, cały rząd siedzeń podniesie się razem z nią. Druga część podróży okazała się nieco lepsza, ale na tym etapie był już zbyt zmęczony, by zasnąć. Dręczyły go myśli o Ziggym, nasączając mu serce ubolewaniem nad wszystkimi okazjami, które przegapił w ciągu ostatnich dwudziestu lat. A zamiast spędzić kojący wieczór w towarzystwie Lynn, musiał się zmierzyć z emocjonalnym wybuchem Monda. Rano miał obowiązek pojechać do biura, ale już teraz wiedział, że będzie do niczego. Westchnął i poszedł do kuchni, by nastawić czajnik. Może herbata ułagodzi jego nerwy na tyle, że poczuje się senny.

Z kubkiem w dłoni wędrował po domu, dotykając znajomych przedmiotów, jakby były talizmanami przywiązującymi go bezpiecznie do ziemi. W końcu znalazł się w pokoju dziecięcym i oparł o łóżeczko. To jest przyszłość, powiedział sobie. Przyszłość, którą warto mieć, która dawała mu możliwość, by jego życie oznaczało coś więcej niż tylko zarabianie i wydawanie.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Lynn. Zarys jej ciała był ciemny na tle ciepłego światła z korytarza.

– Chyba cię nie obudziłem? – zapytał.

– Nie, dałam radę zrobić to sama, bez żadnej pomocy. Różnica czasu nie daje ci spać? – Podeszła i objęła go ręką w pasie.

– Pewnie tak.

– A Mondo raczej nie pomógł.

Alex kiwnął głową.

– Mógłbym się obejść bez jego wizyty.

– Nie sędzę, żeby pomyślał o tym choćby przez chwilę. Mój samolubny brat uważa, że wszyscy znaleźliśmy się na tej planecie dla jego wygody. Wiesz, próbowałam go zbyć.

– Nie wątpię. Tylko że on zawsze miał talent do niesłyszenia tego, czego nie chciał usłyszeć. Ale nie jest złym człowiekiem, Lynn. Słabym i egocentrycznym owszem. Ale nie podłym.

Lynn otarła się głową o jego ramię.

– To dlatego, że jest taki przystojny. Był takim pięknym dzieckiem, że gdziekolwiek się udał, wszyscy mu pobjażali. Nienawidziłam go za to, kiedy byliśmy mali. Obiekt adoracji, mały aniołek Donatella. Ludzie byli nim oczarowani. A potem patrzyli na mnie i widać było ich zdumienie. Jakim cudem ten piękny chłopiec ma taką nieładną siostrę?

Alex zachichotał.

– A potem brzydkie kaczątko samo zmieniło się w pięknego łabędzia.

Lynn dźgnęła go łokciem w żebra.

– Jedną z cech, które zawsze w tobie kochałam, jest twoja zdolność do kłamania przekonująco w naprawdę nieistotnych kwestiach.

– Wcale nie kłamię. Kiedy miałaś mniej więcej czternaście lat, przestałaś być nieładna i stałaś się olśniewająca. Możesz mi wierzyć, w końcu jestem artystą.

– Chyba wciskaczem kitu. Nie, jeśli chodzi o wygląd, zawsze byłam w cieniu Monda. Dużo o tym ostatnio myślałam. O tym, jak wychowywali nas rodzice i o rzeczach, których nie chcę po nich powtarzać. Jeśli nasze dziecko okaże się piękne, nie chcę robić z tego wielkiej afery. Pragnę, by było pewne siebie, ale bez tego poczucia wyższości, które zatruiło Monda.

– W tej kwestii absolutnie nie będę się z tobą kłócił. – Alex położył rękę na jej nabrzmiałym brzuchu. – Słyszysz, maluszkę? Żadnego zarozumiałstwa, rozumiemy się? – Pochylił się i pocałował Lynn w czubek głowy. – To, że Ziggy zmarł tak nagle, okropnie mnie wystraszyło. Moim jedynym marzeniem jest patrzeć z tobą u boku, jak nasze dziecko dorasta.

Ale życie jest takie kruche. Teraz tu jesteśmy, a zaraz może nas nie być. Te wszystkie sprawy, które Ziggy zostawił niedokończone i teraz zostaną już takie na zawsze. Nie chcę, żeby coś podobnego spotkało mnie.

Lynn łagodnie wyjęła mu z dłoni kubek z herbatą i odstawiła na przewijak. Potem przytuliła go.

– Nie bój się – powiedziała. – Wszystko będzie dobrze.

Chciał jej uwierzyć. Wciąż był jednak zbyt świadomy swojej śmiertelności, by dać się całkowicie przekonać.

*

Czekając na brzęczyk sygnalizujący otwarcie drzwi, Karen Pirie ziewnęła tak szeroko, że aż coś chrupnęło jej w szczęce. Gdy rozbrzmiał, pchnęła je i wolno przeszła korytarzem. Kiwnęła głową strażnikowi, mijając jego biuro. Boże w niebiesiech, ależ nienawidziła tego magazynu dowodów. Wigilia, reszta świata szykuje się do celebracji świąt, a ona co? Miała wrażenie, że całe jej życie zawęziło się do tych przejść między półkami pełnymi archiwalnych pudeł, których zawartość zapakowana w worki opowiadała żałosne historie przestępstw popełnionych przez ludzi głupich, niedowartościowanych i zazdrosnych. Ale gdzieś pośród nich, była tego pewna, znajdowały się dowody, które otworzą dla niej jej nierozwiązaną sprawę. Nie stanowiły oczywiście jedynej drogi, jaką mogło podążać śledztwo. Wiedziała, że w którymś momencie będzie musiała ponownie przesłuchać świadków. Zdawała sobie jednak sprawę, że w przypadku takich starych dochodzeń fizyczne dowody stanowiły klucz. Przy użyciu nowoczesnych metod kryminalistycznych możliwa była sytuacja, że dowody rzeczowe w sprawie będą stanowiły dostateczne potwierdzenie winy, przez co zeznania świadków okażą się w większości zbędne.

Wszystko ładnie, pięknie, pomyślała Karen, ale w tym magazynie są setki pudeł. A ona musiała przejrzeć po kolei każde z nich. Według jej szacunków do tej pory udało jej się przebrnąć przez mniej więcej jedną czwartą kartonów. Jedynym pozytywnym rezultatem był fakt, że jej mięśnie ramion stały się silniejsze od targania pudeł w górę i w dół po składanej drabince. Przynajmniej jutro zacznie się jej urlop – dziesięć cudownych dni, podczas których jedyne pudełka, jakie będzie otwierać, będą pełne rzeczy o wiele bardziej pociągających niż pozostałości po przestępstwach.

Przywitała się z policjantem na służbie i zaczekała, aż otworzy dla niej drzwi drucianej klatki otaczającej półki pojemników. Protokół bezpieczeństwa stanowił najgorszą część jej zadania. Przy każdym pudle procedura wyglądała tak samo. Musiała zdjąć je z półki i przynieść do stolika, gdzie dyżurny policjant mógł mieć ją na oku. Potem trzeba było zapisać numer sprawy w głównym rejestrze i wpisać swoje nazwisko, numer identyfikacyjny oraz datę na kartce przyklejonej do pokrywki kartonu. Dopiero wtedy mogła otworzyć pudło i poszperać w jego zawartości. Kiedy już naoglądała się do woli i stwierdziła, że w środku nie ma szukanych przez nią rzeczy, musiała odłożyć je na miejsce i przejść przez cały ten otepiający proces od nowa. Jediną przerwą w monotonii były chwile, gdy jakiś inny funkcjonariusz przychodził, by sprawdzić coś w jednym z pudeł. Moment wytchnienia zazwyczaj trwał jednak krótko, bo przybysze niezmiennie mieli szczęście wiedzieć, gdzie znajdują się szukane przez nich dowody.

Nie istniał żaden łatwy sposób na zawężenie poszukiwań. Na początku Karen uznała, że najprościej będzie przejrzeć wszystkie pudła, które przywieziono tu z St. Andrews. Były w końcu posegregowane według numerów spraw, a te z kolei przydzielano chronologicznie. Jednakże proces łączenia archiwów dowodowych wszystkich

poszczególnych komisariatów w rejonie rozsiały kartony z St. Andrews po całym zbiorze. Zatem ta opcja odpadała.

Wtedy Karen zaczęła sprawdzać wszystko z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku. Nie znalazła nic ciekawego oprócz nożyka do tapet należącego do sprawy z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku. Potem zaatakowała kartony z roku poprzedzającego jej zbrodnię oraz następującego po nim. Tym razem odkryła nieprawidłowo przechowywaną dziecięcą tenisówkę, pamiątkę po nierozwiązanym śledztwie dotyczącym zniknięcia dziesięcioletniego chłopca w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku. Prędko zmierzała do punktu, w którym obawiała się, że z łatwością przegapi jedyną rzecz, na jakiej jej zależało, wyłącznie dlatego, że jej mózg był tak przyćmiony monotonią procesu poszukiwań.

Otworzyła puszkę dietetycznego irn-bru, pociągnęła duży łyk, który połaskotał jej kubki smakowe, i zaczęła pracę. Rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty. Trzecia półka. Wwlekła swe znużone ciało na pierwszy stopień drabinki, wciąż znajdującej się tam, gdzie zostawiła ją wczoraj, kończąc pracę. Wspięła się wyżej, wyciągnęła wybrane pudło i ostrożnie zeszła po aluminiowych stopniach.

Z powrotem przy stoliku wypełniła papiery i uniosła pokrywkę. Świetnie.

Dowody wyglądały jak odrzut ze sklepu z używanymi rzeczami, który przeznaczal swój dochód na cele charytatywne. Mozolnie zaczęła wyciągać jedną torebkę za drugą, sprawdzając, czy na żadnej z nich nie ma naklejonej etykiety z numerem sprawy Rosie Duff. Para dżinsów. Obrzydliwie brudny T-shirt. Kobięce majtki. Rajstopy. Biustonosz. Koszula w kratę. Żadna z tych rzeczy nie miała nic wspólnego z jej śledztwem. Ostatni ciuch wyglądał jak damski kardigan. Karen wyciągnęła torebkę z nim, nie mając żadnych oczekiwań.

Pobieżnie obrzuciła wzrokiem nalepkę. Potem zamrugała, nie wierząc własnym oczom. Znów sprawdziła numer. Nie ufała swej pamięci, więc wygrzebała z torby notatnik i porównała numer sprawy na okładce z tym na torebce, którą ścisnęła mocno w rękę.

Nie było wątpliwości. Karen znalazła swój przedświąteczny prezent.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Styczeń 2004 roku

Szkocja

MIAŁ RACJĘ. Był pewien wzór. Został zakłócony na czas świąt, co go zaniepokoiło. Ale teraz, już po sylwestrze, wszystko wróciło do normy. Żona wychodziła w każdy czwartkowy wieczór. Obserwował ją, obramowaną blaskiem, gdy otworzyły się frontowe drzwi willi w Bearsden. Chwilę później rozbłysły przednie światła jej samochodu. Nie wiedział, gdzie się wybierała, i nic go to nie obchodziło. Liczył się jedynie fakt, że zachowywała się zgodnie z jego przewidywaniami i zostawiła męża samego.

Szacował, że ma do dyspozycji dobre cztery godziny na wykonanie swego planu. Zmusił się jednak do cierpliwości. Niedorzecznie byłoby teraz podejmować ryzyko. Najlepiej poczekać, aż ludzie rozsiądą się już wygodnie w domach na wieczór, zapadną w fotele przed telewizorami. Nie mógł jednak zwlekać zbyt długo. Nie chciał, by jakiś mieszkaniec wyprowadzający swego rasowego psa na ostatnie siku wpadł na niego, gdy będzie się stąd zabierał. Podmiejska dzielnica, przewidywalna jak zegarynka. Objął się ramionami, by rozwiać obawy i stłumić wewnętrzny niepokój.

Podniósł kołnierz kurtki dla ochrony przed chłodem i przygotował się na czekanie. Serce biło mu szybko w piersi z niecierpliwości. W tym, co zamierzał, nie było przyjemności, jedynie konieczność. W końcu nie był jakimś chorym mordercą, zabijającym dla dreszczyku emocji. Był człowiekiem, który robi to, co musi.

David Kerr zmienił płyty w odtwarzaczu DVD i wrócił na fotel. Czwartkowe wieczory były czasem na folgowanie. Wtedy pozwalał sobie na swój na wpół sekretny występ. Gdy Hélène wychodziła spotkać się z koleżankami, on opadał na wygodne siedzisko i przyklejał wzrok do ekranu, by oglądać amerykańskie seriale, które ona uznawała za „telewizyjne bzdury”. Dzisiaj zdążył już obejrzeć dwa odcinki *Sześć stóp pod ziemią*, a teraz klikał pilotem, by znaleźć jeden ze swych ulubionych odcinków z pierwszego sezonu *Prezydenckiego pokera*.

Właśnie przestał nucić do wtóru pompatycznego, wzmagającego się motywu muzycznego, gdy zdało mu się, że usłyszał z dołu dźwięk tłuczonego szkła. Bez udziału świadomych myśli, jego mózg wyskalował współrzędne hałasu i zasygnalizował, że dobiegł on z tyłu domu. Prawdopodobnie z kuchni.

Gwałtownie wyprostował plecy i wcisnął przycisk wyciszenia na pilocie. Znow dobiegło go dźwięczenie szkła, więc zerwał się na nogi. Co, do diaska? Czyżby kot strącił coś w kuchni? A może istniało bardziej złowieszcze wytłumaczenie tych odgłosów?

David ostrożnie wstał z fotela, rozglądając się za potencjalną bronią. Nie miał zbyt dużego wyboru; Hélène była z zasady minimalistką w kwestii wystroju wnętrza. Chwycił ciężki kryształowy wazon z na tyle wąską szyjką, że zgrabnie mieściła mu się w dłoni. Przeszedł przez pokój na palcach z mocno bijącym sercem, wytyżając słuch. Wydawało mu się, że usłyszał chrupnięcie, jakby ktoś miażdżył szkło butami. Oprócz strachu wezbrał w nim gniew. Jakiś chlejus albo ćpun wdarł mu się do domu w poszukiwaniu pięięznego odpowiednika butelki taniego wina lub działki heroiny. Instykt podpowiadał mu, że powinien zadzwonić na policję, a potem usiąść i na nich zaczekać. Obawiał się jednak, że minie zbyt dużo czasu, zanim funkcjonariusze się tu zjawią. Żaden szanujący się włamywacz nie zadowolili się łupami znalezionymi w kuchni; ten ktoś na pewno zacznie buszować po budynku w poszukiwaniu lepszej zdobyczy,

a on będzie zmuszony do konfrontacji z grabieżcą. Poza tym wiedział z doświadczenia, że jeśli podniesie słuchawkę stąd, drugi aparat w kuchni kliknie, zdradzając jego zamiary. A to może naprawdę rozwścieczyć osobę plądrującą mu dom. Lepiej spróbować bezpośredniego podejścia. Wyczytał gdzieś kiedyś, że większość włamywaczy łatwo się płoszy. Może jeden tchórz zdoła przestraszyć drugiego.

David wziął głęboki oddech, by stłumić nieco ogarniającą go trwogę, po czym wolniutko uchylił drzwi salonu. Zerknął na korytarz na parterze, ale drzwi do kuchni były zamknięte i nie dawały żadnej wskazówki, co też mogło się dziać po ich drugiej stronie. Teraz jednak słyszał niedające się z niczym pomylić odgłosy kogoś poruszającego się tu i tam. Brzęk sztućców towarzyszący wysuwaniu szuflady. Trzask zamykanych drzwi szafki.

Do diabła z tym. Nie będzie stał spokojnie, kiedy ktoś rujnuje mu dom. David zszedł odważnie z piętra i z rozmachem otworzył drzwi do kuchni.

– Co tu się dzieje, do cholery? – krzyknął w ciemności. Sięgnął do pstryczka, ale kiedy nim poruszył, nic się nie stało. W przyćmionym świetle latarni padającym z ulicy dostrzegł szkło połyskujące na podłodze przy otwartym tylnym wejściu. Nikogo tu jednak nie było. Czyżby włamywacz zdążył się już ulotnić? Ze strachu włoski na karku i odsłoniętych ramionach stanęły mu dęba. Niepewnie zrobił krok do przodu prosto w mrok.

Za drzwiami coś poruszyło się niewyraźnie. David obrócił się, gdy napastnik wpadł na niego z impetem. Odniósł wrażenie, że bandzior był średniego wzrostu i średniej budowy; twarz zakrywała mu narciarska kominiarka. Poczuł uderzenie w brzuch, nie dość mocne, by zgiął się w pół, raczej dźgnięcie palcem niż cios pięścią. Włamywacz cofnął się o krok, dysząc ciężko. W tej samej chwili David zdał sobie sprawę, że ten człowiek trzyma w ręku nóż o długim ostrzu i poczuł gorącą linię bólu

przecinającą mu wnętrzności. Przyłożył dłoń do brzucha, zastanawiając się głupio, dlaczego czuje ciepło i wilgoć. Opuścił wzrok i zobaczył ciemną plamę rozszerzającą się na jego białej koszulce.

– Zraniłeś mnie – powiedział. Jego pierwszą reakcją było niedowierzenie.

Napastnik nic nie odrzekł. Zamachnął się i znów zadał mu cios nożem. Tym razem David poczuł cięcie głęboko w swoim ciele. Nogi ugięły się pod nim i zakaszłał, osuwając się do przodu. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzał, była para bardzo znoszonych butów do pieszych wędrowek. Gdzieś z daleka słyszał głos, ale rozlegające się dźwięki nie chciały złożyć się w całość w jego głowie. Bezładna mieszanina sylab, niemająca sensu. Tracąc przytomność, nie mógł oprzeć się myśli, że to wielka szkoda.

Gdy dwadzieścia minut przed północą zadzwonił telefon, Lynn spodziewała się usłyszeć głos Alexa przeproszającego za późne powiadomienie i oznajmiającego, że właśnie wychodzi z restauracji, w której podejmował kolację potencjalnego klienta z Göteborga. Nie była przygotowana na zawodzenie *banshee*, które zaatakowało ją, gdy tylko podniosła słuchawkę aparatu stojącego przy łóżku. Głos należał do kobiety bełkoczącej bez ładu i składu, ale wyraźnie udręczonej. Tylko tyle zdołała z początku pojąć.

Gdy dzwoniąca przerwała, by nabrać powietrza, Lynn od razu się wtrąciła.

– Kto mówi? – zapytała stanowczo, podenerwowana i wystraszona.

Kolejne paniczne szlochy. Wtedy, w końcu, ton zabrzmiał znajomo.

– To ja, Hélène. Boże, pomóż mi. Lynn, to straszne! Straszne! – Głos jej się załamał i Lynn usłyszała bezładny potok francuskich słów.

– Hélène? O co chodzi? Co się stało? – Teraz Lynn już krzyczała, próbując się przebić przez płataninę sylab. Przez słuchawkę dotarł do niej odgłos wciąganego głęboko powietrza.

– David. Myślę, że nie żyje.

Lynn zrozumiała słowa, ale nie mogła pojąć ich znaczenia.

– O czym ty mówisz? Co się stało?

– Wróciłam do domu, a on leży na podłodze w kuchni, wszędzie pełno krwi. Nie oddycha. Lynn, co mam zrobić? On chyba nie żyje.

– Zadzwoiłaś po karetkę? I po policję? – Surrealistyczne. To jest surrealistyczne. Lynn spieszyła się, że w takiej chwili przyszła jej do głowy podobna myśl.

– Zadzwoiłam. Są w drodze. Ale musiałam z kimś porozmawiać. Boję się, Lynn, tak się boję. Nie rozumiem. To okropne. Chyba oszalałam. Nie żyje. Mój David nie żyje.

Tym razem sens jej słów dotarł do Lynn. Odniosła wrażenie, że czyjaś zimna dłoń uciska jej klatkę piersiową, utrudniając oddychanie. Takie rzeczy nie powinny mieć miejsca. Nie może być tak, że podnosisz słuchawkę, oczekując telefonu od męża, a zamiast tego słyszysz, że twój brat nie żyje.

– Nie wiesz tego na sto procent – wymamrotała bezsilnie.

– Nie oddycha. Nie wyczuwam pulsu. I jest tyle krwi. On nie żyje, Lynn. Jestem pewna. Co ja teraz zrobię bez niego?

– Tyle krwi... czy ktoś go zaatakował?

– Co innego mogło się stać?

Lęk zalał Lynn jak zimny prysznic.

– Hélène, natychmiast wyjdź z domu. Zaczekaj na policję na zewnątrz. Ten ktoś może wciąż tam być.

Hélène wrzasnęła.

– O mój Boże! Myślisz, że to możliwe?

– Po prostu stamtąd wyjdź. Zadzwoń do mnie znowu, kiedy przyjedzie policja.

Połączenie urwało się. Lynn leżała jak porażona, niezdolna przetworzyć w głowie tego, co właśnie zaszło. Alex. Potrzebowała Alexa.

Ale H el ene potrzebowała go bardziej. W oszołomieniu kliknęła na numer jego komórki w szybkim wybieraniu. Gdy odebrał, rozbrzmiewające w tle odgłosy zgiełku panującego w restauracji zdawały się Lynn niestosowne i dziwaczne.

– Alex – powiedziała. Przez chwilę nie było słychać nic innego.

– Lynn? Czy to ty? Wszystko w porządku? Czy z tobą wszystko dobrze? – Jego niepokój był wręcz namacalny.

– Ze mną wszystko dobrze. Ale właśnie odbyłam straszną rozmowę z H el ene. Alex, ona mówi, że Mondo nie żyje.

– Zaczekaj chwilę, nic nie słyszę.

Dobiegł ją dźwięk odsuwanego krzesła i parę sekund później hałas nieco przycichł.

– Teraz lepiej – odezwał się Alex. – Nie zrozumiałem nic z tego, co powiedziałaś. W czym problem?

Lynn poczuła, jak jej opanowanie znika.

– Alex, musisz natychmiast jechać do Monda. Właśnie zadzwoniła do mnie H el ene. Stało się coś strasznego. Ona mówi, że David nie żyje.

– Co takiego?

– Wiem, to nieprawdopodobne. H el ene powiedziała, że Mondo leży na podłodze w kuchni i wszędzie jest krew. Proszę, pojedź tam i dowiedz się, co się dzieje. – Łzy popłynęły jej po policzkach.

– H el ene tam jest? W domu? I twierdzi, że Mondo nie żyje? Jezu Chryste!

Lynn zdusiła szloch.

– Ja też nie mogę tego pojąć. Alex, proszę, po prostu tam pojedź i zobacz, co się stało.

– Dobrze, już dobrze. Już lecę. Słuchaj, może Mondo jest tylko ranny. Może coś jej się pomyliło.

– Brzmiała tak, jakby nie miała wątpliwości.

– No tak, ale Hélène nie jest lekarzem, prawda? Trzymaj się, Lynn. Zadzwońię do ciebie, jak tylko tam dotrę.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Teraz łyzy ją dusiły, zmieniając jej słowa w hausty łapanego powietrza.

– Lynn, musisz postarać się uspokoić. Proszę.

– Uspokoić? Jak mam się uspokoić? Mój brat nie żyje!

– Nie wiemy tego na pewno. Lynn, pomyśl o dziecku. Musisz teraz zatroszczyć się o siebie. Jeśli wpadniesz w panikę, nie pomożesz Mondowi bez względu na to, co się stało.

– Jedź już, Alex! – krzyknęła Lynn.

– Właśnie wsiadam do auta.

Usłyszała kroki męża i połączenie się skończyło. Nigdy bardziej nie pragnęła mieć go przy sobie. Chciała też znaleźć się w Glasgow, u boku brata. Nieważne, jak układały się sprawy między nimi, wciąż łączyły ich więzy krwi. Nie potrzebowała przypomnienia Alexa, że była już niemal w ósmym miesiącu ciąży. Nie zamierzała zrobić nic, co naraziłoby jej dziecko na ryzyko. Jęknęła cichutko, otarła łyzy i spróbowała wygodnie się ułożyć. Proszę, Boże, niech Hélène się myli.

Alex nie pamiętał, by kiedykolwiek wcześniej jechał równie szybko. Tylko cudem dotarł do Bearsden, nie zauważył nawet raz błyskających niebieskich świateł we wstecznym lusterku. Przez całą drogę powtarzał sobie, że musiała zajść jakaś pomyłka. Nie dopuszczał do siebie myśli, że Mondo mógł umrzeć. Nie tak prędko po Ziggym. Oczywiście zdarzają się straszliwe zbiegi okoliczności. Czytało się o nich w makabrycznych artykułach w brukowcach albo oglądało relacje w dziennych programach w telewizji. Ale zawsze przytrafiały się one innym ludziom. Przynajmniej do tej pory.

Jego żarliwe nadzieje zaczęły zanikać, gdy tylko skręcił w spokojną uliczkę, na której mieszkali Mondo i Hélène. Chodnik przed domem

zajmowały trzy radiowozy. Na podjeździe stała karetka. To nie był dobry znak. Gdyby Mondo żył, dawno by stąd pomknęła do najbliższego szpitala, błyskając światłami i rycząc syreną.

Alex porzucił swój samochód za pierwszym policyjnym autem i pobiegł w stronę domu. Krzepki mundurowy w odblaskowej żółtej kurtce zagroził mu drogę na krańcu podjazdu.

– Czy mogę panu jakoś pomóc? – zapytał.

– To mój szwagier – zawołał Alex, próbując się przepchnąć obok niego.

Posterunkowy złapał go za ręce, stanowczo osadzając w miejscu.

– Proszę mnie przepuścić. David Kerr... jestem mężem jego siostry.

– Przykro mi, proszę pana. Na razie nikomu nie wolno tam wchodzić. To miejsce zbrodni.

– A co z Hélène? Jego żoną? Gdzie ona jest? Zadzwoń do mojej żony.

– Pani Kerr jest w środku, całkowicie bezpieczna.

Alex przestał napinać mięśnie. Policjant rozluźnił uścisk.

– Niech pan posłucha, naprawdę nie mam pojęcia, co tu się dzieje, ale wiem, że Hélène potrzebuje wsparcia. Czy mógłby pan zapytać swego szefa przez radio o pozwolenie i mnie wpuścić?

Posterunkowy zrobił niepewną minę.

– Tak jak już panu mówiłem, to jest miejsce zbrodni.

W głowie Alexa zabulgotała frustracja.

– I tak właśnie traktujecie ofiary? Trzymacie je z dala od rodziny?

Policjant z rezygnacją przyłożył urządzenie do ust. Odwrócił się lekko, upewniając się, że wciąż blokuje dostęp do domu, po czym wymamrotał coś do nadajnika. Radio zatrzeszczało w odpowiedzi. Po krótkiej, stłumionej wymianie zdań funkcjonariusz zwrócił się znów do Alexa.

– Czy mogę zobaczyć pański dokument tożsamości?

Zniecierpliwiony Alex wyciągnął portfel i wyjął z niego prawo jazdy. Wdzięczny, że zdecydował się na nowszą wersję ze zdjęciem, podał je policjantowi. Ten obejrzał dokument, po czym zwrócił mu go z uprzejmym skinieniem głowy.

– Jeśli zechce pan podejść do drzwi, jeden z moich kolegów z dochodzeniówki spotka się tam z panem.

Alex precyzyjnie się koło niego. Dziwnie odbierał własne nogi, jakby jego kolana należały do kogoś, kto nie wie, jak właściwie nimi poruszać. Gdy dotarł do drzwi, te otworzyły się z rozmachem i kobieta po trzydziestce obrzuciła go zmęczonym, cynicznym wzrokiem, jakby zapamiętywała dotyczące go szczegóły.

– Pan Gilbey? – zapytała, odsuwając się, by mógł wejść do przedsiionka.

– To ja. Co tu się stało? Hélène zadzwoniła do mojej żony. Mówiła, że Mondo chyba nie żyje.

– Mondo?

Alex westchnął, zniecierpliwiony własną tępotą.

– Takie ma przezwisko. Przyjaźnimy się od czasów szkolnych. David. David Kerr. Jego żona mówiła, że nie żyje.

Kobieta skinęła głową.

– Przykro mi, że muszę przekazać panu takie wieści, ale stwierdzono zgon pana Kerra.

Chryste, pomyślał Alex. Ale to przedstawiła.

– Nie rozumiem. Jak to się stało?

– Jest jeszcze za wcześnie, by to stwierdzić z całą pewnością. Wygląda na to, że został ugodzony nożem. Z tyłu domu są ślady włamania. Ale sam pan rozumie, na tym etapie nie możemy powiedzieć zbyt wiele.

Alex przejechał dłońmi po twarzy.

– To okropne. Boże, biedny Mondo. Co za tragedia. – Potrząsnął głową, odrętwiała i oszołomiony. – To się wydaje kompletnie nierealne.

Jezu. – Wziął głęboki oddech. Później będzie miał czas, by zająć się swoimi odczuciami. To nie był powód, dla którego Lynn kazała mu tu przyjechać. – Gdzie jest Hélène?

Kobieta otworzyła drzwi do wnętrza domu.

– W salonie. Zechce pan wejść?

Odsunęła się na bok i patrzyła, jak Alex mija ją i kieruje się prosto do pokoju wychodzącego na ogród od frontu. Hélène zawsze nazywała go bawialnią i Alex poczuł ukłucie winy za wszystkie okazje, gdy wraz z Lynn obśmiewali ją za tę pretensjonalność. Popchnął drzwi i wkroczył do środka.

Hélène siedziała na brzeżku jednej z olbrzymich kremowych kanap, skulona niczym staruszka. Gdy wszedł, podniosła wzrok. Jej oczy były jak podpuchnięte sadzawki rozpacz. Długie, ciemne włosy miała potargane wokół twarzy, zbłąkane kosmyki przylepiły jej się do kącika ust. Pogniecione ubrania wyglądały jak szydercza parodia jej zwyczajowego paryskiego szyku. Błagalnie wyciągnęła do niego ręce.

– Alex – powiedziała łamiącym się głosem.

Podszedł, usiadł przy niej i objął ją. Nie pamiętał, by kiedykolwiek wcześniej znalazł się równie blisko niej. Z zasady przy powitaniach kładli sobie dłoń lekko na ramieniu i całowali powietrze przy obu policzkach. Zaskoczyło go, jak muskularne wydawało się jej ciało. Jeszcze bardziej zaskoczony był tym, że to zauważył. Z wolna zaczął zdawać sobie sprawę, że szok zmienił go w człowieka, którego sam nie poznawał.

– Tak mi przykro – odezwał się, świadom, jak bezsensownie brzmią te słowa, ale nie potrafił ich uniknąć.

Hélène oparła się o niego, wyczerpana ze zmartwienia. Alex niespodziewanie dostrzegł, że w kącie salonu dyskretnie siedziała umundurowana funkcjonariuszka. Musiała sobie przynieść krzesło z jadalni, pomyślał bez związku. A więc Hélène nie zazna prywatności, mimo że właśnie doświadczyła potwornej straty. Nie trzeba było wiele, by

pojąć, że czekały ją te same podejrzliwe spojrzenia, które padały na Paula po śmierci Ziggy'ego, choć przypadek Monda wyglądał na tragiczne w skutkach włamanie.

– Mam wrażenie, że znajduję się w jakimś koszmarnym śnie. Chcę tylko się obudzić – rzekła znużona Hélène.

– Wciąż jesteś w szoku.

– Nie wiem, kim jestem. Ani gdzie jestem. Wszystko wydaje się nieprawdziwe.

– Ja też nie mogę w to uwierzyć.

– Po prostu tam tak leżał – powiedziała cicho Hélène. – Cały we krwi. Dotknęłam jego szyi, żeby sprawdzić, czy ma puls. Ale wiesz, byłam bardzo ostrożna, żeby nie pobrudzić się krwią. Czy to nie okropne? Leżał martwy na ziemi, a ja myślałam jedynie o tym, jak zrobili z was czterech podejrzanych, mimo że próbowaliście jedynie pomóc umierającej dziewczynie. I dlatego nie chciałam się pobrudzić krwią mojego Davida. – Konwulsyjnie szarpała chusteczkę na kawałki. – To okropne. Nie mogłam się zmusić, żeby go objąć, bo myślałam tylko o sobie.

Alex uścisnął jej ramię.

– To zrozumiałe, skoro znasz nasz przypadek. Ale nikt przecież nie uważa, że to miało jakikolwiek związek z tobą.

Hélène wydała zgrzytliwy dźwięk z głębi gardła i zerknęła na policjantkę.

– *On parle français, oui?*

Co to, do diabła, miało być?

– *Ça va* – odparł Alex, zastanawiając się, czy jego wakacyjny francuski wystarczy, by zrozumiał, co chciała mu przekazać Hélène. – *Mais lentement.*

– Powiem to w prostych słowach – rzekła w swoim ojczystym języku. – Potrzebuję twojej rady. Rozumiesz?

Alex kiwnął głową.

– Tak, rozumiem.

Hélène zadrzała.

– Nie wierzę, że w ogóle teraz o tym myślę, ale nie chcę, by wina za śmierć mojego męża spadła na mnie. – Złapała go mocno za rękę. – Boję się, Alex. Jestem żoną cudzoziemką. Jestem podejrzana.

– Nie sądzę, by tak było. – Alex próbował brzmieć pocieszająco, ale jego słowa zdawały się spływać po Hélène, nie zostawiając po sobie żadnego śladu.

Jego szwagierka kiwnęła głową.

– Alex, jest coś, co stawia mnie w złym świetle. Bardzo złym. Raz w tygodniu wychodziłam sama. David był przekonany, że spotykałam się z przyjaciółkami z Francji. – Hélène zgmiotła chusteczkę w ciasną kulkę. – Okłamywałam go. Mam kochankę.

– Ach – mruknął Alex. To było za wiele po wieściach, które już zdążył otrzymać dzisiejszego wieczoru. Nie chciał zostać powiernikiem Hélène. Nigdy jej nie lubił i nie sądził, że powinna mu się zwierzać ze swych sekretów.

– David nie miał o niczym pojęcia. Boże drogi, teraz żałuję, że do tego w ogóle doszło. Kochałam go, wiesz? Ale był taki zaborczy, jeśli chodzi o uczucia. Było mi ciężko. I tak jakiś czas temu spotkałam pewną kobietę. Nie przypominała Davida pod żadnym względem. Nie sądziłam, że tak się to skończy, ale zostałąśmy kochankami.

– Ach – chrząknął znów Alex.

Nie posługiwał się francuskim na tyle biegle, by zażądać od niej odpowiedzi, jak, do licha, mogła zrobić coś takiego Mondowi, jak śmiała twierdzić, że kochała mężczyznę, którego notorycznie zdradzała. Poza tym wywoływanie kłótni przy policjantce nie było najlepszym pomysłem. Nie trzeba było posługiwać się obcym językiem, by zrozumieć czyjś ton głosu i mowę ciała. Nie tylko Hélène miała wrażenie, że znajduje się w samym środku złego snu. Jeden z jego najdawniejszych przyjaciół

został zamordowany, a wdowa po nim właśnie wyznała mu, że ma lesbijski romans? Nie mógł tego teraz objąć umysłem. Takie rzeczy nie zdarzały się ludziom jego pokroju.

– Byłam z nią dziś wieczorem. Jeśli policjanci się o tym dowiedzą, pomyślą: „Aha! Miała kochankę, na pewno zaplanowały to razem”. Ale to nieprawda. Jackie nie była zagrożeniem dla mojego małżeństwa. Nie przestałam kochać Davida tylko dlatego, że sypiałam z kimś innym. Myślisz, że powinnam wyznać prawdę? Czy raczej siedzieć cicho i mieć nadzieję, że ta sprawa się nie wyda? – Odsunęła się odrobinę, by wbić zatroskany wzrok w oczy Alexa. – Nie wiem, co robić, i bardzo się boję.

Alex czuł, jak rzeczywistość wymyka mu się z rąk. W co ta Hélène, do cholery, pogrywa? Czy to jakiś groteskowy podwójny blef, a ona próbuje go przekonać, by stanął po jej stronie? Czy naprawdę była tak niewinna, jak wcześniej zakładał? Z trudem szukał w głowie francuskich słów, by wyrazić swoje zdanie.

– Nie wiem, Hélène. Nie sądzę, że powinnaś o to pytać akurat mnie.

– Potrzebna mi twoja rada. Byłeś w podobnej sytuacji. Wiesz, jak to wygląda.

Alex odetchnął głęboko, pragnąc być gdziekolwiek, byle nie tutaj.

– A co z tą twoją przyjaciółką Jackie? Zechce dla ciebie kłamać?

– Równie mocno jak ja nie będzie chciała zostać podejrzana. Tak, skłamałaby dla mnie.

– Kto o tym wie?

– O nas? – Hélène wzruszyła ramionami. – Chyba nikt.

– Ale nie masz pewności?

– Nigdy się nie ma całkowitej pewności.

– W takim razie uważam, że powinnaś wyznać prawdę. Bo jak policja wykryje twój romans później, cała sprawa będzie wyglądała o wiele gorzej. – Alex znów potarł twarz i odwrócił wzrok. – Nie wierzę, że rozmawiamy w ten sposób, a Mondo przecież dopiero co zginął.

Hélène odsunęła się od niego.

– Wiem, że pewnie masz mnie za oziębłą, Alex. Ale mam resztę życia, żeby opłakiwać mężczyznę, którego kochałam. A kochałam go, nie miej co do tego wątpliwości. Jednak w tej chwili chcę tylko upewnić się, że nie zostanę obarczona winą za coś, z czym nie miałam nic wspólnego. Ze wszystkich ludzi ty akurat powinieneś to zrozumieć.

– Niech ci będzie – odparł Alex, przestawiając się znów na angielski.
– Powiedziałaś już Sheili i Adamowi, co się stało?

Pokręciła głową.

– Rozmawiałam tylko z Lynn. Nie wiedziałam, co rzec rodzicom Davida.

– Chcesz, żebym to zrobił za ciebie?

Jednak zanim Hélène zdążyła odpowiedzieć, komórka Alexa zaświergotała radośnie w jego kieszeni.

– To Lynn – obwieścił, gdy ją wyciągnął i sprawdził numer na wyświetlaczu. – Halo?

– Alex? – odezwała się jego żona z przerażeniem w głosie.

– Jestem u nich w domu. Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Tak strasznie mi przykro. Hélène miała rację. Mondo nie żyje. Wygląda na to, że ktoś się tu włamał...

– Alex – przerwała mu Lynn. – Ja rodzę. Skurcze zaczęły się chwilę po naszej ostatniej rozmowie. Myślałam, że to fałszywy alarm, ale teraz łapią mnie już co trzy minuty.

– O Jezu! – Alex zerwał się z kanapy, rozglądając się po pokoju z paniką w oczach.

– Uspokój się. To normalne. – Lynn zaskowyczała z bólu. – Uch, jeszcze jeden. Zadzwońłam po taksówkę, powinna tu być lada chwila.

– Co... Co...

– Po prostu jedź do Simpsona. Spotkamy się na sali porodowej.

– Lynn, przecież jeszcze za wcześnie. – Alex w końcu zdołał ogarnąć myśli.

– To przez ten wstrząs. Takie rzeczy się zdarzają. Nic mi nie jest. Proszę, nie panikuj. Jesteś mi potrzebny opanowany. Wsiądź do auta i bardzo ostrożnie przyjeźdź do Edynburga, dobrze?

Alex przełknął ślinę.

– Kocham cię, Lynn. Kocham was oboje.

– Wiem o tym. Do zobaczenia wkrótce.

W telefonie zapadła cisza i Alex bezradnie spojrzał na Hélène.

– Zaczęła rodzić – stwierdziła jego szwagierka beznamiętnym tonem.

– Zaczęła rodzić – powtórzył jak echo Alex.

– No to jedź.

– Nie powinnaś być sama.

– Mam przyjaciółkę, do której mogę zadzwonić. Ty musisz być teraz z Lynn.

– Co za fatalne wyczucie czasu – powiedział Alex. Wcisnął komórkę z powrotem do kieszeni. – Zadzwonię. Przyjadę znowu, kiedy tylko będę mógł.

Hélène wstała z kanapy i poklepała go po ramieniu.

– Po prostu jedź do niej, Alex. Daj mi znać, jak poszło. Dziękuję, że przyjechałeś.

Alex wybiegł z salonu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

W POZNACZONYM CIEMNOPOPIELATYMI SMUGAMI mroku spowijającym miasto zaczęły się pojawiać brudne zacieki jaśniejszej szarości. Alex osunął się na zimną ławkę przy Simpson Memorial Pavilion. Policzki pierzchły mu od deszczu. Nic w jego życiu nie przygotowało go na taką noc. Przeszedł od zmęczenia do innego stanu świadomości, w którym miał wrażenie, że nigdy już nie zaśnie. Doznawał takiego emocjonalnego przeciążenia, że sam już nie wiedział, co tak właściwie czuje.

Nie pamiętał swojej jazdy powrotnej z Glasgow do Edynburga. W którymś momencie zadzwonił do swoich rodziców, gdzieś w umyśle mętnie majaczyła mu pełna poruszenia rozmowa z ojcem. Lęki przewalały mu się na oślep po głowie. Wszystkie te rzeczy, o których wiedział, że mogły pójść nie tak. Wszystkie te rzeczy, o których nie wiedział, ale był pewien, że mogły pójść nie tak u dziecka, które dojrzewało w łonie tylko przez trzydzieści cztery tygodnie. Żałował, że nie jest Weirdem i nie może tak jak on zawierzyć w coś mniej zawodnego niż zawód lekarza. Jak miałby sobie poradzić bez Lynn? Jak miałby sobie poradzić z dzieckiem, ale bez Lynn? Jak miałby sobie poradzić z Lynn, ale bez dziecka? Zwiastuny nie mogły być gorsze: Mondo leżał martwy w szpitalnej kostnicy, a Alex nie był tam, gdzie powinien, podczas najważniejszej nocy w swoim życiu.

Zostawił samochód gdzieś na parkingu Royal Infirmary i przy trzeciej próbie zdołał odnaleźć wejście na oddział położniczy. Zanim dotarł do recepcji, zdążył się już spocić i zadyszeć. Był wdzięczny, że pielęgniarki

od połogów widziały już tyle, że toczący dziko oczami, nieogolony facet bełkoczący jak idiota nawet się nie rejestrował na ich skali Richtera.

– Lynn Gilbey? A, tak. Zawieźliśmy ją prosto na porodówkę.

Alex próbował się skoncentrować na wskazówkach, powtarzając je sobie pod nosem, gdy pokonywał korytarze oddziału. Wcisnął guzik interkomu przy zabezpieczonych drzwiach i spojrzał z obawą w soczewkę kamery, mając nadzieję, że wygląda raczej na przyszłego ojca niż na szaleńca zbiegłego z psychiatryka. Po czasie, który zdawał mu się wiecznością, rozbrzmiał brzęczyk i drzwi się otworzyły, a on wpadł niezdarnie na oddział położniczy. Nie do końca wiedział, czego się spodziewał, ale na pewno nie opustoszałego holu i niepokojącej ciszy. Przystanął niepewnie. W tym momencie z jednego z korytarzy rozchodzących się promieniście we wszystkich kierunkach wyłoniła się pielęgniarka.

– Pan Gilbey? – zapytała.

Alex gorączkowo pokiwał głową.

– Gdzie jest Lynn?

– Proszę pójść za mną.

Podążył jej śladem tym samym korytarzem, z którego przyszła.

– Jak ona się czuje?

– Dobrze sobie radzi. – Kobieta zatrzymała się przy drzwiach z ręką na klamce. – Będzie pan musiał nam pomóc ją uspokoić. Trochę się stresuje. Były ze dwa spadki pulsu u płodu.

– Co to znaczy? Czy z dzieckiem wszystko w porządku?

– To nic poważnego.

Alex nienawidził, kiedy ludzie praktykujący medycynę mówili coś takiego. Zawsze brzmiało to jak bezczelne kłamstwo.

– Ale to o wiele za wcześnie. Dziecko ma tylko trzydzieści cztery tygodnie.

– Proszę spróbować się nie martwić. Matka i dziecko są w dobrych rękach.

Drzwi się uchyliły i Alex został skonfrontowany ze sceną, która w żaden sposób nie przypominała ich ćwiczeń w szkole rodzenia. Trudno było sobie wyobrazić coś, co bardziej odbiegałoby od marzenia jego i Lynn o naturalnym porodzie. Po sali krzątały się trzy kobiety w chirurgicznych strojach. Koło łóżka stał monitor z elektronicznym wyświetlaczem, który uważnie obserwowała czwarta kobieta w białym fartuchu. Lynn leżała na plecach z rozchyłonymi nogami i włosami przylepionymi do głowy od potu. Twarz miała purpurową i wilgotną, oczy szeroko rozwarte i pełne udręki. Cienka szpitalna koszula przylgnęła jej do skóry. Pod jej ciałem zniknęła rurka kroplówki stojącej obok łóżka.

– Do diabła, jak dobrze, że jesteś – sapnęła Lynn. – Alex, tak się boję. Podbiegł do niej i ujął ją za rękę. Ścisnęła mocno jego dłoń.

– Kocham cię – powiedział. – Świetnie sobie radzisz.

Kobieta w białym fartuchu zerknęła na niego.

– Witam, jestem doktor Singh – rzekła, dając znać, że zauważyła jego przybycie, po czym dołączyła do położnej u stóp łóżka. – Lynn, jesteśmy odrobinę zaniepokojeni tętnem dziecka. Nie robimy takich postępów, na jakie miałam nadzieję. Może trzeba będzie rozważyć cesarskie cięcie.

– Po prostu je ze mnie wyciągnijcie – jęknęła Lynn.

Jak na sygnał wokół zawrzały przygotowania.

– Dziecko utknęło – rzuciła jedna z położnych.

Doktor Singh szybko przestudiowała dane z monitora.

– Tętno spada – powiedziała.

Wszystko zaczęło się dziać szybciej, niż Alex był w stanie pojąć, gdy kurczowo ścisnął lepką dłoń żony. Do jego świadomości docierały sporadyczne zdania: „Zawieźcie ją natychmiast na salę”, „Założyć cewnik”, „Formularz zgody”. Wtedy popchnięto łóżko, drzwi się otworzyły i cała gromada pomknęła korytarzem w stronę sali operacyjnej.

Świat wokół Alexa zmienił się w rozmazaną plamę ożywionego działania. Czas zdawał się na przemian gnać z kopyta i pełznąć jak ślimak. Wtedy, gdy już niemal stracił nadzieję, usłyszał magiczne słowa: „To dziewczynka. Ma pan córkę”.

Łzy wezbrały mu w oczach, gdy obrócił się, by zobaczyć swoje dziecko. Usmarowane krwią, purpurowe, przerażająco nieruchome i ciche.

– O Boże. Lynn, to dziewczynka.

Ale Lynn zbytnio już odpłynęła, by cokolwiek zauważyć.

Położna pospiesznie zawinęła dziecko w kocyk i wybiegła z pomieszczenia.

Alex wstał.

– Czy wszystko z nią w porządku? – Wyprowadzono go z sali w stanie zamroczenia. Co się działo z jego córeczką? Czy w ogóle żyła? – Co się dzieje? – zażądał odpowiedzi.

Położna uśmiechnęła się do niego.

– Pańska córka wspaniale sobie radzi. Oddycha samodzielnie, a o to zawsze się martwimy w przypadku wcześniaków.

Alex osunął się na krzesło i ukrył twarz w dłoniach.

– Chcę tylko, żeby wszystko z nią było dobrze – wymamrotał przez łzy.

– Dobrze się trzyma. Waży dwa kilogramy i czterdzieści gramów, to porządna waga. Panie Gilbey, odbierałam porody wielu wcześniaków i muszę powiedzieć, że pańska mała jest jednym z najsilniejszych, jakie widziałam. To dopiero jej pierwsze minuty na tym świecie, ale myślę, że wszystko z nią będzie w porządku.

– Kiedy będę mógł ją zobaczyć?

– Powinni już wkrótce wpuścić pana na oddział neonatologii, by mógł ją pan obejrzeć. Nie będzie panu wolno jeszcze jej podnosić, ale skoro oddycha samodzielnie, pewnie będzie pan mógł ją potrzymać jutro albo nieco później.

– A co z Lynn? – zapytał, nagle czując się winny, że nie pomyślał o niej wcześniej.

– Właśnie zakładają jej szwy. To był dla niej trudny poród. Gdy skończą, będzie zmęczona i zdezorientowana, a także zła i niespokojna, że nie ma przy niej dziecka. Dlatego musi pan być silny dla jej dobra.

Nie pamiętał nic oprócz krótkiej, decydującej chwili, gdy po raz pierwszy spojrział na przezroczysty inkubator i zobaczył w nim swoją córkę.

– Czy mogę ją dotknąć? – zapytał oczarowany. Jej maleńka główka wyglądała na niezwykle kruchą, oczka miała zaciśnięte, a kosmyki ciemnych włosów przyklepione do czoła.

– Niech pan jej da palec do potrzymania – poinstruowała go położna.

Sięgnął niepewnie ku małej i pogłaskał pomarszczoną skórę na wierzchu jej dłoni. Maleńkie paluszki rozwarły się, po czym mocno zacisnęły na jego palcu. I wzięły jego serce w niewolę.

Siedział przy żonie, aż się obudziła. Wtedy opowiedział jej o ich małym cudzie. Lynn, blada i wyczerpana, zaszlochała.

– Wiem, że uzgodniliśmy, że damy jej na imię Ella, ale chciałabym ją nazwać Davina. Po Mondzie – obwieściła mu.

To było jak uderzenie obuchem. Alex nie poświęcił przyjacielowi ani jednej myśli od chwili, gdy dotarł do szpitala.

– O Jezu. – Poczucie winy zaczęło pożerać jego radość. – To wspaniały pomysł. Och, Lynn, nie wiem, co powiedzieć. Mam taki mętlik w głowie.

– Powinieneś jechać do domu. Przespać się trochę.

– Muszę podzwonić. Powiadomić ludzi.

Żona poklepała go po rękę.

– To może poczekać. Musisz się przespać. Jesteś padnięty.

Uległ i zostawił ją, obiecał zajrzeć do niej później. Zabrnął ledwie do wyjścia ze szpitala, gdy zdał sobie sprawę, że nie ma siły jechać do domu. Jeszcze nie teraz. Znalazł ławkę i runął na nią, zastanawiając się, jak da radę przetrwać następnych kilka dni. Urodziła mu się córka, ale ramiona wciąż miał puste. Stracił kolejnego przyjaciela i nie mógł choćby zacząć rozważać konsekwencji tego zdarzenia. Do tego musiał jakoś znaleźć w sobie siłę, by wspierać Lynn. Do tej pory zawsze dawał sobie radę bez większego trudu, opierając się na bezpieczeństwie świadomości, że kiedy zajdzie taka potrzeba, Ziggy albo Lynn niezawodnie będą po jego stronie.

Po raz pierwszy w swym dorosłym życiu Alex poczuł się straszliwie samotny.

James Lawson usłyszał o śmierci Davida Kerra następnego ranka w drodze do pracy. Gdy ta wiadomość dotarła do niego, nie mógł powstrzymać ponurego uśmiechu satysfakcji. Długo to trwało, ale w końcu zabójca Barneya Macleannana dostał to, na co zasłużył. Wtedy jego myśli pobiegły niepokojącym torem do Robina i motywu, jakiego mu dostarczył. Sięgnął po telefon samochodowy.

Gdy tylko dojechał na komendę, skierował kroki do biura nierozwiązanych spraw. Na szczęście jeszcze nie było tam nikogo oprócz komisarza Macleannana, który stał przy ekspresie do kawy i czekał, aż gorąca woda przesączy się przez zmielone ziarna do dzbanka pod spodem. Szum urządzenia zamaskował nadejście Lawsona i Robin aż podskoczył, gdy jego szef nagle się odezwał.

– Słyszałeś nowiny?

– Jakie nowiny?

– Davey Kerr został zamordowany. – Lawson zwięził oczy, przypatrując się bacznie komisarzowi. – Zeszłej nocy. W swoim domu.

Robin uniósł brwi.

– Chyba pan żartuje.

– Usłyszałem o tym w radiu. Przedzwoniłem do Glasgow, żeby się upewnić, że to nasz David Kerr, i co się okazuje? To był on.

– Co się tam stało? – Robin odwrócił się i wsypał łyżeczkę cukru do kubka.

– Na pierwszy rzut oka sprawa wyglądała na spartaczone włamanie. Wtedy jednak okazało się, że Kerr miał dwie rany kłute. Przeciętny spanikowany rabuś może zadać jeden cios nożem, ale potem weźmie nogi za pas. Ten dołożył wszelkich starań, żeby Kerr nie przeżył i czegoś potem przypadkiem nie zdradził.

– Co chce pan przez to powiedzieć? – zapytał Robin, podnosząc kubek.

– Nie ja, tylko policja ze Strathclyde. Jak to ujęli, sprawdzają różne tropy. – Lawson czekał, ale Robin nijak nie skomentował jego rewelacji. – Robinie, gdzie byłeś zeszłej nocy?

Podwładny zmierzył go gniewnym wzrokiem.

– A co to ma znaczyć?

– Uspokój się, człowieku. O nic cię nie oskarżam. Ale spójrzmy na to obiektywnie: jeśli ktokolwiek miał motyw, żeby zabić Davida Kerra, to właśnie ty. Ja oczywiście wiem, że nigdy byś czegoś takiego nie zrobił. Jestem po twojej stronie. Próbuję się tylko upewnić, że masz alibi. To wszystko. – Lawson położył dłoń na ramieniu Robina w pokrzepiającym geście. – Bo masz, prawda?

Komisarz przeczesał palcami włosy.

– O Boże, nie. Wczoraj były urodziny matki Diane i żona zabrała dzieciaki do Grangemouth. Wrócili dopiero po jedenastej wieczorem. Wcześniej byłem w domu sam. – Zmarszczył czoło ze zmartwienia.

Lawson pokręcił głową.

– To niedobrze. Po pierwsze spytają cię, dlaczego też nie pojechałeś do Grangemouth.

– Nie dogaduję się z teściową. Nigdy nie byliśmy w dobrych stosunkach. Dlatego Diane wykorzystuje moją pracę jako wymówkę, kiedy się nie pojawia. Ale to nie był pierwszy raz. Na litość boską, przecież to nie tak, że chciałem się wykręcić od wyjazdu, żebym mógł śmignąć aż do Glasgow i zabić Davida Kerra. – Robin zacisnął usta. – Każdego innego dnia uznałbym, że mi się poszczęściło. Ale wczoraj wieczorem... Kurwa. Jeśli się dowiedzą, co Kerr zrobił Barneyowi, mam przesrane.

Lawson sięgnął po kubek i też nalał sobie kawy.

– Ja nie pisnę słowa.

– Ale sam pan wie, jacy są policjanci. Komenda to pieprzona wylęgarnia plotek. Wieść o tej sprawie na pewno się rozniesie. Zaczną grzebać w przeszłości Kerra i ktoś sobie przypomni, że mój brat zginął, próbując go uratować po tej durnej próbie samobójczej. Gdyby to pan prowadził śledztwo, nie chciałby pan w takich okolicznościach pogawędzić z bratem Barneya? Upewnić się, czy czasem nie zdecydował, że nadszedł czas na wyrównanie rachunków? Tak jak mówiłem, mam przesrane. – Robin odwrócił się, przygryzając wargę.

Lawson znów ze współczuciem położył mu dłoń na ramieniu.

– Słuchaj, jeśli ktoś ze Strathclyde zacznie cię wypytywać, powiedz, że byłeś ze mną.

Robin wydawał się zszokowany.

– Zamierza pan dla mnie kłamać?

– Obaj będziemy kłamać. Bo obaj wiemy, że nie miałeś nic wspólnego ze śmiercią Davida Kerra. Spójrz na to w ten sposób. Oszczędzimy tamtejszej policji sporo czasu. Dzięki nam nie będą marnować energii na ciebie i będą mogli się skupić na szukaniu zabójcy.

Robin niechętnie skinął głową.

– Pewnie ma pan rację. Ale...

– Robinie, jesteś dobrym policjantem. Dobrym człowiekiem. W przeciwnym razie nie trafiłbyś do mojego zespołu. Wierzę w ciebie i nie

chę, żeby zszargali ci reputację.

– Dziękuję, panie komendancie. Doceniam pańskie zaufanie.

– Nie ma sprawy. Gdyby ktoś pytał, przyszedłem do ciebie do domu, wypiliśmy parę piw i rozegraliśmy kilka rundek pokera. Wygrałeś ode mnie jakieś dwadzieścia funtów, a potem wyszedłem koło jedenastej. Co ty na to?

– Mnie pasuje.

Lawson uśmiechnął się, stuknął swym kubkiem w kubek Robina i odszedł. Uważał, że taka właśnie była rola dowódcy. Zrozumieć, czego potrzebują twoi ludzie, i dostarczyć im to, zanim w ogóle się zorientują, że jest im to potrzebne.

Tego wieczoru Alex znów był w drodze, kierując się do Glasgow. Wcześniej, gdy w końcu dotarł do domu, telefon dzwonił natarczywie bez przerwy. Porozmawiał ze świeżo upieczonymi dziadkami z obu stron. Jego rodzice wydawali się niemal zawstydzeni swym radosnym podekscytowaniem w świetle tego, co wydarzyło się w domu Monda. Matka i ojciec Lynn mówili niespójnie, zdruzgotani koszmarem śmierci swego jedyne go syna. Wciąż było o wiele za wcześnie, by mogli czerpać jakąkolwiek pociechę z faktu, że urodziła im się pierwsza wnuczka. Wiadomość, że mała trafiła na oddział neonatologiczny, zdawała się jedynie kolejnym powodem do rozpacz y i strachu. Po tych dwóch rozmowach wyczerpany Alex czuł się jak żywy trup. Wysłał maila do przyjaciół i współpracowników swoich oraz Lynn, w którym w prostych słowach powiadomił ich o przyjściu Daviny na świat, po czym odłączył telefon od prądu i padł ze zmęczenia.

Gdy się obudził, nie mógł uwierzyć, że przespał zaledwie trzy godziny. Czuł się tak wypoczęty, jakby przeleżał nieprzytomny całą dobę. Wziął prysznic, ogolił się, w pośpiechu zjadł kanapkę i spakował aparat cyfrowy, po czym pojechał z powrotem do Edynburga. Znalazł Lynn na

oddziale neonatologicznym. Siedziała na wózku inwalidzkim i radośnie wpatrywała się w ich dziecko.

– Czyż nie jest piękna? – rzuciła.

– Oczywiście, że jest. Dali ci już ją potrzymać?

– To była najwspanialsza chwila w moim życiu. Ale ona jest taka maleńka. Alex, miałam wrażenie, że trzymam w ramionach powietrze. – Lynn posłała mu prędkie, zalęknione spojrzenie. – Nic jej nie będzie, prawda?

– Oczywiście, że nie. Wszyscy Gilbeyowie są twardzi.

Złapali się za ręce, pragnąc, by jego słowa okazały się prawdą.

Lynn spojrzała na męża zafrasowana.

– Alex, jest mi strasznie wstyd za siebie. Mój brat nie żyje, a ja myślę tylko o tym, jak bardzo kocham Davinę i jaki z niej mały skarb.

– Czuję się dokładnie tak samo. Jestem przeszczęśliwy, a potem coś mi przypomina o tym, co spotkało Monda, i z rozpaczą gwałtownie wracam na ziemię. Nie wiem, jak damy radę przez to przejść.

Zanim upłynęło popołudnie, Alexowi też dane było potrzymać córkę. Zrobił kilkadziesiąt zdjęć i pochwalił się małą przed swoimi rodzicami. Adam i Sheila Kerrowie nie czuli się wystarczająco dobrze, by przyjechać, a ich nieobecność przypominała Alexowi, że nie mógł na zawsze pozostać spowity rozkoszami dopiero co rozpoczętego ojcostwa. Gdy salowa przyniosła Lynn jej wieczorny posiłek, podniósł się na nogi.

– Powinienem znów zajrzeć do Glasgow. Sprawdzić, czy z Hélène wszystko w porządku.

– Nie musisz brać na siebie tej odpowiedzialności – zaprotestowała Lynn.

– Wiem. Ale to do nas zadzwoniła – przypomniał żonie. – Jej rodzina jest zbyt daleko stąd. Może potrzebuje pomocy z ustaleniami w sprawie pogrzebu. Poza tym jestem to winien Mondowi. Przez ostatnie lata nie

byłem zbyt dobrym przyjacielem i nie mogę mu już tego wynagrodzić. Ale był w końcu częścią mojego życia.

Lynn podniosła na niego wzrok ze smutnym uśmiechem. W jej oczach zalśniły łzy.

– Biedny Mondo. Cały czas myślę o tym, jaki przerażony musiał być przed śmiercią. I o tym, że umarł, nie mając szansy pogodzić się z ludźmi, których kochał... Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, przez co przechodzi teraz Hélène. Kiedy pomyślę, jak bym się czuła, gdyby coś się stało tobie albo Davinie...

– Nic mi się nie stanie. Ani Davinie – odparł Alex. – Obiecuję ci to.

Myślał teraz o tym przyrzeczeniu, pokonując kilometry między radością a smutkiem. Trudno było nie czuć się przytłoczonym ostatnimi wydarzeniami w jego życiu. Nie mógł sobie jednak pozwolić na uzalanie się nad sobą. Zbyt wiele teraz od niego zależało.

Zbliżając się do Glasgow, zadzwonił do Hélène. Automatyczna sekretarka przekierowała go na komórkę szwagierki. Zaklął i zjechał na pobocze, by ponownie odsłuchać wiadomość i zanotować numer. Hélène odebrała po drugim sygnale.

– Alex? Jak się czuje Lynn? Jak poszło?

Zaskoczyła go. Zawsze uważał Hélène za zbyt skupioną na własnych sprawach, by zawracać sobie głowę kimkolwiek oprócz siebie i Monda. To, że jej troska o Lynn i dziecko przebiła się przez warstwę jej rozpacz na tyle, że była to pierwsza rzecz, o którą zapytała, zdumiało Alexa.

– Mamy córeczkę. – Najważniejsze słowa, jakie wymówił w życiu. Poczuł, że ściska go w gardle. – Jest wcześniakiem, więc położyli ją w inkubatorze. Ale świetnie sobie radzi. I jest taka piękna.

– A co z Lynn?

– Cierpi w każdym znaczeniu tego słowa. Ale nic jej nie jest. A ty? Jak się trzymasz?

– Nie za dobrze. Ale chyba jakoś to znoszę.

– Słuchaj, właśnie do ciebie jadę. Gdzie jesteś?

– Najwyraźniej mój dom jest wciąż miejscem zbrodni. Mogę tam wrócić dopiero jutro. Zatrzymałam się u mojej przyjaciółki Jackie. Mieszka w Merchant City. Chcesz przyjechać tutaj?

Alex naprawdę nie miał ochoty stanąć twarzą w twarz z kobietą, z którą Hélène zdradzała Monda. Pomyślał o zasugerowaniu neutralnego gruntu, ale w świetle okoliczności wydawało mu się to dość nieczułe.

– Powiedz mi, jak tam dojechać.

Mieszkanie Jackie łatwo było znaleźć. Zajmowało połowę drugiego piętra w jednym z przerobionych magazynów, które stały się mieszkaniową odznaką sukcesu dla żyjących w mieście singli. Kobieta, która otworzyła drzwi, pod żadnym względem nie przypominała Hélène. Dżinsy miała stare, spłowiałe i porozdzierane na kolanach, koszulka bez rękawów ogłaszała, że była 100% Grrrrl i ukazywała muskuły, z pomocą których w opinii Alexa ta babka mogła pewnie wycisnąć na sztandze równowartość wagi swojego ciała i nawet się przy tym nie spocić. Tuż pod oboma bicepsami widniały zawile wytatuowane wzory celtyckich bransolet. Krótkie, ciemne włosy kobiety były postawione na jeża przy pomocy żelu, a spojrzenie, które mu posłała, było równie kłujące jak jej fryzura. Ściągnęła ciemne brwi nad bladymi, niebieskoszarymi oczami, a jej szerokie usta nie rozciągnęły się w powitalnym uśmiechu.

– Ty musisz być Alex – odezwała się, natychmiast zdradzając, że pochodzi z Glasgow. – Wejdz.

Alex ruszył za nią do loftu z rodzaju tych, jakie nigdy nie zaszczycały stron czasopism o wystroju wnętrz. Pora zapomnieć o sterylnym modernizmie, to było gniazdo kogoś, kto dokładnie wiedział, co i jak podane lubi. Ściana na końcu mieszkania od podłogi do sufitu była zabudowana półkami chaotycznie zawalonymi książkami, kasetami wideo, płytami i czasopismami. Przed nią leżały wielofunkcyjne hantle rzucone niedbale po jednej stronie. Część kuchenna charakteryzowała się

tym szczególnym nieładem, jaki wynika z regularnego użytkowania, a część salonową zajmowały kanapy bardziej nastawione na wygodę niż elegancję. Stolik kawowy ginał pod stosami gazet i czasopism. Ściany zdobiły wielkie, oprawione fotografie sportsmenek, od Martiny Navrátilovej po Ellen MacArthur.

Hélène siedziała skulona w rogu kanapy obitej dekoracyjnym gobelinowym materiałem, której oparcia świadczyły o obecności kota. Alex przeszedł po wypolerowanej drewnianej podłodze do swojej szwagierki, która uniosła twarz do ich zwyczajowej wymiany powietrznych buziaków. Oczy miała opuchnięte i podkrążone, ale poza tym wydawało się, że znów nad sobą panuje.

– Cieszę się, że przyszedłeś – powiedziała. – Dziękuję, że się zjawiliś, chociaż powinieneś teraz cieszyć się swoim nowo narodzonym dzieckiem.

– Tak jak mówiłem, mała jest wciąż na oddziale neonatologicznym. A Lynn jest wyczerpana. Pomyślałem, że może tu bardziej się przydam, ale... – Uśmiechnął się do właścicielki mieszkania. – Widzę, że jesteś pod dobrą opieką.

Jackie wzruszyła ramionami, ani na moment nie łagodząc swej wrogiej miny.

– Jestem dziennikarką freelancerką, więc mogę być trochę elastyczna, jeśli chodzi o godziny pracy. Chcesz coś do picia? Jest piwo, whisky i wino.

– Chętnie napiłbym się kawy.

– Skończyła się. Herbata ujdzie?

Nie ma to jak poczucie gościnności, pomyślał Alex.

– Może być herbata. Poproszę z mlekiem, bez cukru. – Przycupnęła na drugim krańcu kanapy, jak najdalej od Hélène. Jej oczy miały taki wyraz, jakby widziały zbyt wiele. – Jak się trzymasz?

Zamrugała powiekami.

– Staram się nic nie czuć. Nie chcę myśleć o Davidzie, bo gdy to robię, mam wrażenie, że serce mi pęka. Tak trudno uwierzyć, że świat pędzi naprzód, ale już bez niego. Muszę to po prostu przecierpieć, tak żeby się przy tym nie załamać nerwowo. Alex, policja zachowuje się strasznie. Pamiętasz tę nijaką dziewczynę, która siedziała wczoraj w kącie?

– Tę policjantkę?

– Tak. – Hélène parsknęła szyderczo. – Okazuje się, że uczyła się w szkole francuskiego. Zrozumiała naszą wczorajszą pogawędkę.

– O kurde.

– No właśnie, kurde. Komisarz prowadzący śledztwo przyszedł tu dziś rano. Najpierw pogadał sobie ze mną, pytał o mój związek z Jackie. Powiedział, że nie ma sensu kłamać, bo jego funkcjonariuszka usłyszała wszystko poprzedniego wieczoru. Więc wyznałam mu prawdę. Zachowywał się bardzo uprzejmie, ale widać było, że jest podejrzliwy.

– Zapytałaś go, co spotkało Monda?

– Oczywiście. – Jej twarz ściągnęła się z bólu. – Odparł, że może mi zdradzić bardzo niewiele. Szyba w drzwiach kuchennych była wybita, może przez włamywacza. Nie znaleźli jednak żadnych odcisków palców. Nóż, którym dźgnięto Davida, należał do naszego zestawu. Został wzięty ze stojaka w kuchni. Policjant powiedział, że z pozoru wygląda to tak, jakby David usłyszał jakiś hałas i poszedł to sprawdzić. Ale żebyś słyszał, jaki nacisk położył na te słowa. Z pozoru.

Wróciła Jackie, niosąc kubek z kalkomanią Marilyn Monroe, mocno pościeraną od mycia w zmywarce. Herbata w nim miała barwę intensywnej, ciemnej opalenizny.

– Dzięki – rzekł Alex.

Jackie usadowiła się na bocznym oparciu kanapy i położyła dłoń na ramieniu Hélène.

– Co za prymitywy. Żona ma kochankę, a zatem żona lub kochanka na pewno chciały się pozbyć męża. Nie potrafią sobie wyobrazić świata, w którym dorośli ludzie podejmują bardziej skomplikowane wybory. Próbowałam wyjaśnić temu gliniarzowi, że można uprawiać z kimś seks i zarazem nie marzyć o zabiciu innych partnerów tej osoby. Dupek spojrzał na mnie, jakbym była z innej planety.

W tej kwestii Alex zgadzał się z policjantem. Małżeństwo z Lynn nie uodporniło go na wdzięki innych kobiet, ale sprawiło, że wyrzekł się wszelkich pokus, by zacząć z nimi kręcić. Według niego romanse były dla ludzi, którzy trwali w związku z niewłaściwym partnerem. Mógł sobie tylko wyobrazić, jak byłby zrozpaczony, gdyby Lynn pewnego dnia wróciła do domu i powiedziała mu, że sypia z kimś innym. Poczł odrobinę współczucia dla Monda.

– Pewnie nie mają żadnych innych tropów, więc skupiają się na was – uznał.

– Ale ja tu jestem ofiarą, nie zbrodniarką – odparła z goryczą Héléne.
– Nie zrobiłam Davidowi żadnej krzywdy. Tyle że nie da się tego udowodnić. A ty sam wiesz, jak trudno pozbyć się podejrzeń, jak już ludzie zaczną cię wytykać palcami. To doprowadziło Davida do takiego szaleństwa, że próbował popełnić samobójstwo.

Alex zadrżał mimowolnie na to wspomnienie.

– Ta sprawa nie zajdzie równie daleko.

– Jasne, kurwa, że nie – wtrąciła Jackie. – Jutro rano pogadam z prawnikiem. Nie pozwolę, by policja cię szykanowała.

Na twarzy Héléne pojawiło się zmartwienie.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

– A dlaczego nie? – upierała się Jackie.

– Prawnikowi chyba trzeba wyznaczyć wszystko o sprawie. – Héléne posłała Alexowi dziwne spojrzenie z ukosa.

– Rozmowy między prawnikiem a jego klientem są objęte klauzulą poufności – odparła Jackie.

– W czym problem? – Alex nie wytrzymał. – Hélène, czy jest coś, o czym mi nie mówisz?

Jackie westchnęła i przewróciła oczami.

– Jezu, Hélène.

– Nie martw się, Jackie. Alex jest po naszej stronie.

Jackie posłała mu spojrzenie, które mówiło, że rozgryzła go lepiej niż jej kochanka.

– O czym mi nie powiedziałaś? – powtórzył pytanie Alex.

– To nie twój interes, jasne? – rozzłościła się dziennikarka.

– Jackie!

– Zapomnij o tym, Hélène. – Alex podniósł się z kanapy. – Wiesz, wcale nie muszę tu być – zwrócił się do Jackie. – Ale myślałem, że potrzebni wam teraz będą wszyscy przyjaciele, jakich uda wam się zgromadzić wokół siebie. Zwłaszcza z rodziny Monda.

– Powiedz mu – nakłaniała kochankę Hélène. – Bo inaczej wyjdzie stąd, myśląc, że naprawdę mamy coś do ukrycia.

Jackie spojrzała na Alexa wilkiem.

– Wczoraj wieczorem musiałam wyjść na jakąś godzinę. Zabrakło mi trawki, a chciałyśmy zapalić jointa. Mój diler to nie ten typ, który mógłby nam zapewnić alibi. A nawet gdyby się zgodził to zrobić, policja by mu nie uwierzyła. Więc teoretycznie każda z nas miała okazję, by zabić Davida.

Alex poczuł, jak jeżą mu się włoski na karku. Przypomniała mu się chwila z poprzedniego wieczoru, kiedy zastanawiał się, czy Hélène nim manipuluje.

– Powinnyście o tym powiedzieć policji – rzekł raptownie. – Jeśli odkryją wasze kłamstwo, nigdy nie uwierzą, że nie macie nic na sumieniu.

– W przeciwieństwie do ciebie? – sprowokowała go wzgardliwie Jackie.

Alexowi nie podobała się otaczająca go atmosfera półjawnej wrogości.

– Przeszedłem tu, żeby pomóc, a nie robić za chłopca do bicia – warknął ostro. – Czy mówili coś o tym, kiedy wydadzą ciało?

– Dziś po południu mają przeprowadzić sekcję zwłok. Powiedzieli, że kiedy skończą, będziemy mogli zająć się organizacją pogrzebu. – Hélène rozłożyła ręce. – Nie wiem, do kogo zadzwonić. Alex, co powinnam zrobić?

– Myślę, że musisz znaleźć zakład pogrzebowy w wykazie firm. Dać powiadomienie w gazetach i skontaktować się z bliskimi przyjaciółmi oraz krewnymi Monda. Jeśli chcesz, mogę wziąć na siebie rodzinę.

Hélène skinęła głową.

– To by mi bardzo pomogło.

Jackie uśmiechnęła się szyderczo.

– Pewnie nie przyjmą z radością telefonu od Hélène, kiedy już dowiedzą się o mnie.

– Lepiej by było, gdyby dało się tego uniknąć. Rodzice Monda mają już wystarczająco dużo zmartwień – odrzekł oziębło Alex. – Hélène, będziesz musiała zarezerwować jakieś miejsce na stypę.

– Stypę? – zdziwiła się Hélène.

– Obiad po pogrzebie – wytłumaczyła Jackie.

Hélène zamknęła oczy.

– Nie wierzę, że siedzimy tu i rozmawiamy o cateringu, kiedy mój David leży na stole w kostnicy.

– Ano tak – odparł Alex. Nie musiał wyrażać na głos swoich myśli; wina wisiała w powietrzu pomiędzy całą ich trójką. – Lepiej już pójdę.

– Czy ma już imię? Twoja córka? – zapytała Hélène, wyraźnie rozpaczliwie szukając niekontrowersyjnego tematu do poruszenia.

Alex popatrzył na nią nieco bojaźliwie.

– Zamierzaliśmy dać jej na imię Ella. Ale pomyśleliśmy... no, Lynn pomyślała, że chciałyby ją nazwać Davina. Po Mondzie. To znaczy, jeśli nie masz nic przeciwko.

Usta Hèlène zadrżały, a z kącików oczu popłynęły jej łzy.

– Och, Alex. Tak mi przykro, że nigdy nie poświęciliśmy więcej czasu, żeby bardziej się zaprzyjaźnić z tobą i z Lynn.

Alex pokręcił głową.

– Po co? Żebyśmy my też mogli się poczuć zdradzeni?

Hèlène odsunęła się, jakby ją uderzył.

Jackie ruszyła na Alexa, zaciskając opuszczone dłonie w pięści.

– Już czas, żebyś sobie poszedł.

– Czytasz mi w myślach – odparł. – Do zobaczenia na pogrzebie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

ZASTĘPCA KOMENDANTA LAWSON przysunął do siebie teczkę leżącą po drugiej stronie biurka.

– Wiązałem z nim wielkie nadzieje – westchnął.

– Ja też, panie komendancie – przyznała Karen Pirie. – Wiem, że dwadzieścia pięć lat temu nie znaleziono na kardiganie żadnych próbek biologicznych, ale myślałam, że z zaawansowanym sprzętem, jaki mamy teraz do dyspozycji, może znajdą się ślady czegoś, co moglibyśmy wykorzystać. Nasienie albo krew. Ale nie ma nic oprócz tych śmiesznych kropek farby.

– O których wiedzieliśmy już wcześniej. I wtedy też donikąd nas nie zaprowadziły. – Lawson od niechcienia otworzył teczkę i przebiegł wzrokiem krótki raport. – Problem w tym, że kardigan nie został znaleziony przy ciele. O ile dobrze pamiętam, był przerzucony przez żywopłot do czyjegoś ogrodu.

Karen potaknęła.

– Dom numer piętnaście. Sweter znaleziono dopiero ponad tydzień później. Do tego czasu spadł śnieg, stopniał, a potem padał jeszcze deszcz, co w żaden sposób nie ułatwiło sprawy. Pani Duff zidentyfikowała go jako jedną z rzeczy, które Rosie miała na sobie, kiedy wychodziła z domu tamtego wieczoru. Nigdy nie znaleźliśmy jej torebki ani płaszcza. – Karen prędko wertowała kartki, szukając odpowiedniej informacji w teczce trzymanej na kolanach. – Brązowy płaszcz za kolana z C&A, rozszerzany u dołu, z podszewką w kremowo-brązową pepitkę.

– Nigdy ich nie znaleźliśmy, bo nie wiedzieliśmy, gdzie szukać. Nie mieliśmy pojęcia, gdzie została zabita. Po tym, jak wyszła z Lammas, mogła zostać zabrana wszędzie w promieniu, no, powiedzmy, godziny jazdy samochodem. Przez most do Dundee, na południe przez hrabstwo Fife. Gdziekolwiek od Kirriemuir po Kirkcaldy. Mogła zostać zamordowana na łodzi, w oborze, dosłownie wszędzie. Jediną rzeczą, której mogliśmy być w miarę pewni, było to, że nie została zabita w domu w Fife Park, gdzie mieszkali Gilbey, Malkiewicz, Kerr i Mackie. – Lawson szurnął raport kryminalistyczny z powrotem w ręce Karen.

– A tak z ciekawości, panie komendancie... czy przeszukano jeszcze jakieś inne domy w Fife Park?

Lawson zmarszczył czoło.

– Nie wydaje mi się. A co?

– Zdałam sobie sprawę, że przecież Rosie Duff została zamordowana w czasie uniwersyteckiej przerwy od zajęć. Wiele osób już na pewno zdążyło pojechać do domu na święta. Istnieje duża szansa, że niektóre budynki w sąsiedztwie stały puste.

– Byłyby pozamykane. Doszłyby nas słuchy, gdyby ktoś z Fife Park zgłosił włamanie.

– Sam pan wie, jacy są studenci. Cały czas się nawzajem odwiedzają, wchodzą i wychodzą. Zdobycie klucza nie nastęczałoby wielu trudności. Poza tym nasza czwórka była już na ostatnim roku. Mogli z łatwością zostawić sobie klucz od innego domu, w którym mieszkali wcześniej.

Lawson spojrzał na Karen z aprobatą.

– Wielka szkoda, że nie było cię z nami wtedy przy śledztwie. Nie sądzę, byśmy w ogóle poszli podobnym tropem. Teraz jest już na to oczywiście za późno. A jak stoimy z poszukiwaniem dowodów? Jeszcze nie udało ci się skończyć?

– Miałam trochę wolnego w święta i Nowy Rok – odparła Karen obronnym tonem. – Ale wczoraj zostałam po godzinach i dokończyłam

sprawdzanie magazynu.

– A zatem to koniec? Fizyczne dowody w sprawie morderstwa Rosie Duff zniknęły bez śladu?

– Na to wygląda. Ostatnią osobą, która zaglądała do pudła z nimi, był komisarz Maclennan. Zrobił to tydzień przed swoją śmiercią.

Lawson zachnął się.

– Chyba nie sugerujesz, że Barney Maclennan usunął dowody związane z otwartym dochodzeniem w sprawie morderstwa?

Karen wycofała się pospiesznie. Wiedziała, że lepiej nie rzucać oskarżeń na kolegę policjanta, który zginął jako bohater.

– Nie, panie komendancie, wcale nie miałam na myśli czegoś takiego. Chciałam tylko powiedzieć, że cokolwiek się stało z ubraniami Rosie Duff, nie mamy śladu oficjalnych dokumentów, którym moglibyśmy podążać.

Lawson znów westchnął.

– To się zapewne stało lata temu. Pewnie skończyły w jakimś śmietniku. Jak Boga kocham, czasem tak sobie myślę, niektórzy ludzie, którzy dla nas pracują...

– Kolejna możliwość jest taka, że komisarz Maclennan wysłał je gdzieś na dodatkowe testy, a one nigdy nie wróciły, bo już nie mógł się o nie upomnieć, albo paczka zniknęła w czarnej dziurze, bo po śmierci nie mógł jej odebrać – zasugerowała ostrożnie Karen.

– Wina kogoś z zewnątrz... tak, to jest jakaś możliwość. Ale tak czy siak już nie znajdziesz tych ubrań. – Lawson zabębnił palcami o blat biurka. – No, to już koniec. Jedna stara sprawa zostanie nierozwiązana na zawsze. Nie uśmiecha mi się poinformowanie o tym syna Rosie. Dzwoni co drugi dzień z pytaniem, jak nam idzie.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że patolog przegapił ślady przebytej ciąży Rosie – rzekła Karen.

– W twoim wieku powiedziałbym to samo – przyznał Lawson. – Ale był stary, a starzy ludzie popełniają głupie błędy. Teraz jestem tego

świadomy, bo mam wrażenie, że sam zmierzam w tym kierunku. Wiesz, czasami się zastanawiam, czy ta sprawa od początku nie była przekłeta.

Karen wyczuwała jego rozczarowanie. Wiedziała też, jak mu dokuczało, bo sama miała identyczne odczucia.

– Nie sądzi pan, że kolejne rozmowy ze świadkami mogłyby być coś warte? Z czterema studentami?

Lawson wykrzywił usta.

– Z tym może być trudno.

– A to dlaczego, panie komendancie?

Lawson wysunął szufladę biurka i wyciągnął z niej egzemplarz „Scotsmana” sprzed trzech dni. Gazeta była otwarta na stronie z nekrologami. Popchnął ją w stronę Karen i postukał palcem w papier.

„Zawiadamiamy o śmierci dr. Davida Kerra z Garden Grove, Bearsden, Glasgow, ukochanego męża Héléne, brata Lynn, syna Adama i Sheili Kerrów z Duddingston Drive, Kirkcaldy. Pogrzeb odbędzie się w czwartek o godz. 14:00 w krematorium i Nekropolii Zachodniej przy ul. Tresta Road w Glasgow. Uprasza się o przynoszenie kwiatów jedynie przez rodzinę”.

Zaskoczona Karen podniosła wzrok znad gazety.

– Przecież nie mógł mieć więcej niż czterdzieści sześć, czterdzieści siedem lat. Umarł bardzo młodo.

– Powinnaś zwracać większą uwagę na wiadomości, Karen. Wykładowca z Uniwersytetu w Glasgow zadźgany przez włamywacza we własnej kuchni wieczorem w zeszły czwartek?

– To był *nasz* David Kerr? Ten, na którego mówili Mondo?

Lawson pokiwał głową.

– Szalony diament we własnej osobie. W poniedziałek rozmawiałem z komisarzem prowadzącym tę sprawę, żeby się upewnić, czy nic mi się nie pomyliło. Podobno w ogóle nie kupują tej teorii z włamywaczem. Żona miała romans.

Karen skrzywiła usta w grymasie.

– Paskudnie.

– Bardzo. To co, masz ochotę wyskoczyć po południu do Glasgow? Pomyślałem sobie, że moglibyśmy pożegnać na wieki jednego z naszych podejrzanych.

– Myśli pan, że pozostali trzej się zjawią?

Lawson wzruszył ramionami.

– Byli najlepszymi przyjaciółmi, ale od tamtego czasu minęło już dwadzieścia pięć lat. Po prostu będziemy musieli przekonać się o tym na własne oczy. Ale myślę, że nie będziemy dzisiaj przeprowadzali żadnych przesłuchań. Poczekamy jeszcze troszkę. W końcu nie chcemy, żeby nas oskarżyli o nietaktowność.

Ceremonia w krematorium odbywała się w sali z przewagą miejsc stojących. Mondo może i odciął się od rodziny oraz starych przyjaciół, ale wyglądało na to, że bez problemu znalazł dla nich zastępstwo. Alex siedział w pierwszej ławce, Lynn przycupnęła obok niego. Dwa dni po wyjściu ze szpitala wciąż poruszała się jak babuleńka. Próbował ją przekonać, by została w domu i odpoczywała, ale ona z niewzruszonym uporem oznajmiła, że nie ominie pogrzebu swego jedyne go brata. Poza tym, jak dowodziła, nie mając w domu dziecka, którym mogłaby się zająć w tym czasie, siedziałyby tylko pogrążona w smutnych rozmyślaniach. Lepiej być pośród rodziny. Alex nie miał na to dobrego kontrargumentu. Znalazła się tu więc i trzymała swego zmartwiałego ojca za rękę, by dodać mu otuchy w odwróconych rolach rodzica i dziecka. Miejsce dalej siedziała jej matka z twarzą niemal całkiem ukrytą za fałdami białej materiałowej chusteczki.

Hélène siedziała jeszcze dalej w tej samej ławce, z pochyloną głową i zgarbionymi ramionami. Wyglądała, jakby zamknęła się w sobie i postawiła nieprzeniknioną barierę między sobą a resztą świata. Przynajmniej miała dość rozsądku, by nie przybyć na pogrzeb uwieszona

na ramieniu Jackie. Wstała, powłócząc nogami, gdy pastor zapowiedział końcowy hymn.

Donośny początek Psalmu 23 w melodyce Crimond sprawił, że Alex poczuł gulę w gardle. Śpiew przez chwilę brzmiał niepewnie, gdy ludzie próbowali się dopasować do tonacji, po czym wzmógł się wokół niego. Co za banał, pomyślał, nienawidząc się za to, że wzruszył go tradycyjny hymn pogrzebowy. Uroczystość Ziggy'ego wydawała się o wiele bardziej szczerą, zdecydowanie lepiej honorowała człowieka niż ta ceremonia wybrukowana powierzchownymi elementami. Z tego, co wiedział, Mondo nigdy nie chodził do kościoła, nie licząc udziału w tradycyjnych rytuałach inicjacyjnych. Ciężkie zasłony rozsunęły się i trumna rozpoczęła swą ostatnią podróż.

Ostatni wers hymnu przebrzmiał, gdy zasłony zasunęły się za oddalającą się trumną. Pastor zaintonował błogosławieństwo, po czym ruszył głównym przejściem ku wyjściu z sali. Rodzina podążyła za nim; Alex zamykał tyły razem z Lynn opierającą się ciężko na jego ramieniu. Większość twarzy zmywała mu się w głowie w jedno, ale w połowie drogi rzuciła mu się w oczy tykowata sylwetka Weirda. Przywitali się oszczędnym skinieniem głowy, po czym Alex minął go, zmierzając do drzwi. Gdy już przez nie wychodził, spotkała go druga niespodzianka. Mimo że nie widział Jamesa Lawsona osobiście od czasów, kiedy wszyscy mówili na niego Jimmy, twarz policjanta wciąż wyglądała znajomo z powodu jego występów w mediach. To w złym guście, uznał, zajmując pozycję na samym końcu szeregu, wzdłuż którego żałobnicy przechodzili, składając kondolencje. Śluby i pogrzeby – podczas obu uroczystości etykieta wymagała, by podziękować ludziom za przybycie.

Ta procesja zdawała się trwać wieki. Sheila i Adam Kerrowie wydawali się na wskroś skonfundowani. Nie dość, że właśnie pogrzebali swoje dziecko, tak brutalnie zabrane z tego świata, to jeszcze musieli wysłuchiwać tych wszystkich kondolencji od ludzi, których nigdy

wcześniej nie spotkali i nigdy już więcej nie zobaczą. Alex zastanawiał się, czy była to dla nich jakaś pociecha, że tyle osób zjawilo się, by na zawsze pożegnać Monda. W jego przypadku uświadomiło mu to jedynie, jak bardzo oddalił się od przyjaciela w ostatnich latach. Nie znał tu prawie nikogo.

Weird trzymał się z tyłu niemal do samego końca. Gdy podszedł, delikatnie objął Lynn.

– Tak mi przykro z powodu twojej straty – powiedział. Uścisnął dłoń Alexa, drugą rękę kładąc mu na łokciu. – Zaczekam na zewnątrz.

Alex skinął głową.

W końcu ostatni żałobnicy jeden po drugim opuścili salę. Zabawne, pomyślał Alex. Lawson zniknął. Musiał wyjść innymi drzwiami. No i dobrze. Alex wątpił, czy zdołałby zachować uprzejmość w rozmowie z nim. Odprowadził swych teściów przez przerzedzony tłumek do samochodu podstawionego przed krematorium. Usadowił Lynn na siedzeniu, sprawdził, czy wszyscy znaleźli się na swoich miejscach, i pożegnał ich.

– Do zobaczenia później w hotelu. Muszę się tylko upewnić, że tu wszystko jest załatwione.

Było mu wstyd, że przez chwilę poczuł ulgę, gdy samochód wyjeżdżał z podjazdu. Wcześniej zostawił tu swoje auto, chcąc mieć pewność, że będzie miał do dyspozycji własne cztery kółka na wypadek, gdyby coś wymagało jego uwagi od razu po pogrzebie. W głębi duszy wiedział, że zrobił to, bo miał świadomość, że zapragnie odrobiny wytchnienia od przytłaczającej rozpaczyny członków swojej rodziny.

Obrócił się gwałtownie, gdy poczuł czyjąś dłoń na ramieniu.

– Ach, to ty. – Niemal roześmiał się z ulgi na widok Weirda.

– A kogo innego się spodziewałeś?

– Cóż, Jimmy Lawson czaił się z tyłu krematorium.

– Jimmy Lawson? Ten gliniarz?

– Dla ciebie Zastępca Komendanta Głównego Policji James Lawson – odparł Alex, idąc spod głównego wejścia do miejsca, gdzie rozłożono przyniesione kwiaty.

– Co on tu w ogóle robił?

– Napawał się chwilą? A bo ja wiem. Dowodzi teraz zespołem, który odgrzewa stare, nierozwiązane sprawy. Może chciał rzucić okiem na swoich głównych podejrzanych, sprawdzić, czy załamamy się pod wpływem emocji, padniemy na kolana i przyznamy się do winy.

Weird skrzywił się.

– Nigdy nie lubiłem tej całej katolickiej otoczki. Powinniśmy być na tyle dorośli, by zaakceptować własne poczucie winy. Nie chodzi o to, by Bóg zmazał wszystkie nasze złe uczynki tylko po to, żebyśmy mogli iść i grzeszyć dalej. – Zatrzymał się i odwrócił do Alexa. – Chciałem ci powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że Lynn bezpiecznie urodziła waszą córeczkę.

– Dzięki, Tom. – Alex wyszczerzył zęby. – Widzisz? Pamiętałem.

– Mała wciąż jest w szpitalu?

Alex westchnął.

– Ma lekki przypadek żółtaczki noworodków, więc zatrzymali ją jeszcze na kilka dni. Jest ciężko. Zwłaszcza Lynn. Przechodzisz przez to wszystko, a później wracasz do domu z pustymi rękoma. A potem trzeba było się uporać z tym, co spotkało Monda...

– Zapomnisz o tej niedoli, kiedy tylko mała znajdzie się w domu, ręcę za to. Będę o was wszystkich wspominał w modlitwach.

– O, to na pewno dużo pomoże – powiedział Alex.

– Zdziwiłbyś się – odparł Weird, nie obrażając się, bo też Alex nie miał zamiaru go urazić.

Szli spacerowym krokiem, popatrując na kwiatowe wyrazy oddania. Jeden z żałobników zbliżył się do nich, by spytać Alexa, jak dojechać do hotelu, gdzie miała się odbyć stypa. Gdy Alex obrócił się z powrotem

w stronę Weirda, zobaczył, że przyjaciel przykucnął nad jednym z wieńców. Podszedł bliżej, by zobaczyć, co przyciągnęło jego uwagę, i serce zabiło mu mocniej. Nie do odróżnienia od wieńca, który widzieli w Seattle: niewielkie, zgrabne koło ciasno splecione z białych róż i wąskolistnego rozmarynu. Weird oderwał karteczkę i wyprostował się.

– Ta sama wiadomość – oznajmił, podając ją Alexowi. – „Rozmarynku pamięci”.

Alex poczuł, że się poci.

– Nie podoba mi się to.

– No to jest nas dwóch. Alex, to nie może być przypadek. Ziggy i Mondo giną w podejrzanych okolicznościach... Nie, do diabła, nazwijmy to po imieniu. Ziggy i Mondo zostali zamordowani. A na ich pogrzebach pojawiają się identyczne wieńce. Z wiadomością, która łączy całą naszą czwórkę z nierozwiązaną sprawą morderstwa dziewczyny o imieniu wziętym od rozmarynu.

– Przecież to było dwadzieścia pięć lat temu. Jeśli ktoś zamierzał się mścić, na pewno już dawno by się do tego zabrał. – Alex próbował przekonać nie tylko Weirda, lecz także siebie. – Myślę, że ktoś po prostu próbuje nas przestraszyć.

Weird nie zgodził się z nim.

– Przez ostatnich kilka dni miałeś co innego na głowie, ale ja sporo o tym myślałem. Dwadzieścia pięć lat temu wszyscy interesowali się tą sprawą. Nie zapomniałem, jak mnie wtedy pobili. Nie zapomniałem nocy, kiedy wrzucili Ziggy’ego do Butelkowego Lochu. Nie zapomniałem, jak Mondo tak się nakręcił, że próbował się zabić. Jedynym powodem, dla którego to wszystko się skończyło, było to, że policjanci pogadali sobie twardo z Colinem i Brianem Duffami. Mieli ich na oku i kazali im się od nas odczepić. To ty mi wtedy powiedziałaś, że według Jimmy’ego Lawsons zostawili nas w spokoju tylko dlatego, że nie chcieli dokładać zmartwień swojej matce. Więc może zdecydowali się trochę poczekać.

Alex pokręcił głową.

– Ale dwadzieścia pięć lat? Czy ty byłbyś w stanie chować urazę przez tyle czasu?

– Pytasz złą osobę. Ale na świecie jest wielu ludzi, którzy nie uznają Jezusa Chrystusa za swego zbawcę, a ty wiesz równie dobrze jak ja, że Duffowie są zdolni do wszystkiego. Nie mamy pojęcia, co zaszło w ich życiu. Może wydarzyło się coś, co ponownie rozpałiło w nich dawny gniew. Może ich matka umarła. Może rewizja starych spraw przypomniawsza im, że mają rachunki do wyrównania, a teraz pewnie mogą się za to bezpiecznie zabrać. Są różne możliwości. Co do jednego nie ma wątpliwości: wygląda na to, że ktoś chce nas dopaść. I ktokolwiek to jest, ma do dyspozycji czas i środki. – Weird rozejrzał się nerwowo, jakby jego nemezis mogła kryć się pośród uczestników pogrzebu, którzy rozchodzili się właśnie do swoich samochodów.

– Teraz to brzmisz jak paranoik. – Alex nie chciał w tym momencie przypominać sobie owego aspektu młodzieńczych lat Weirda.

– Nie wydaje mi się. Sądzę, że mój tok myślenia ma sens.

– No to co sugerujesz? Co powinniśmy zrobić?

Weird otulił się ciaśniej płaszczem.

– Ja mam zamiar wsiąść jutro rano do samolotu i polecieć z powrotem do Stanów. Potem wyślę żonę i dzieci w jakieś bezpieczne miejsce. Jest mnóstwo dobrych chrześcijan żyjących w głuszy. Nikt się nie zbliży do mojej rodziny.

– A co z tobą? – Alex czuł, że zaraża się podejrzeniami Weirda.

Przyjaciel posłał mu stary, dobrze znany, wilczy uśmiech.

– Ja udam się na rekolekcje. Wspólnoty wiernych rozumieją, że ich pastory muszą od czasu do czasu pojechać na łono natury, by odnowić kontakt ze swą duchowością. I ja dokładnie tak zrobię. Telewizyjne kaznodziejstwo jest świetne pod tym względem, że można nakręcić film

bez względu na to, gdzie się akurat przebywa. Moje stadko nie zapomni o mnie podczas mojej nieobecności.

– Ale nie możesz wiecznie się ukrywać. Prędzej czy później będziesz musiał wrócić do domu.

Weird pokiwał głową.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Ale wiesz, nie będę siedział z założonymi rękami. Gdy tylko zniknę z rodziną z linii ognia, zatrudnię prywatnego detektywa, żeby zbadał, kto wysłał ten wieniec na pogrzeb Ziggy’ego. A jak się tego dowiem, będę wiedział, na kogo uważać.

Alex odetchnął.

– Wszystko sobie dokładnie obmyśliłeś, co?

– Im dłużej myślałem o tym pierwszym wieńcu, tym większe ogarniały mnie wątpliwości. A Bóg pomaga ludziom, którzy pomagają sami sobie, więc stworzyłem plan. Tak na wszelki wypadek. – Weird położył Alexowi dłoń na ramieniu. – Sugeruję, żebyś zrobił to samo. Teraz musisz się troszczyć nie tylko o własną skórę. – Przyciągnął go bliżej i uściskał. – Uważaj na siebie.

– Jakie, kurwa, wzruszające – rozległ się chrapliwy głos.

Weird odsunął się od Alexa i obrócił. Z początku nie mógł rozpoznać mężczyzny o ponurej twarzy, który łypał groźnie na nich obu. Potem lata dzielące go od tego wydarzenia zatarły się w jego pamięci i znów kulił się pod barem Lammas, z maltretowany i przerażony.

– Brian Duff – szepnął.

Alex powędrował wzrokiem od jednego do drugiego.

– To jest brat Rosie?

– Tak, to on.

Wszystkie pogmatwane emocje, które nie dawały Alexowi spokoju od wielu dni, nagle stopiły się we wściekłość.

– Przyszedłeś nacieszyć się pogrzebem?

– To akt sprawiedliwości, chyba tak się na to mówi? Jakiś morderczy gnojek załatwił drugiego morderczego gnojka. Tak, upajam się tą chwilą.

Alex rzucił się na niego, ale zatrzymał go mocny uścisk Weirda, który złapał go za ramię.

– Zostaw go. Brianie, nikt z nas nie skrzywdził Rosie w żaden sposób. Wiem, że czujesz potrzebę, by kogoś obwiniać, ale to nie był nikt z nas. Musisz w to uwierzyć.

– W nic nie muszę wierzyć. – Duff splunął na ziemię. – Naprawdę miałem nadzieję, że tym razem gliny w końcu przyskrzynią któregoś z was. Skoro tak się jednak nie stanie, to zadowolę się zgonem waszego kumpla.

– Oczywiście, że tak się nie stanie! Nigdy nie tknęliśmy twojej siostry i analiza DNA to wykaże! – krzyknął Alex.

Duff prychnął.

– Jakiego DNA? Piekielni idioci z policji zgubili dowody.

Alexowi opadła szczęka.

– Co? – wyszeptał.

– Słyszałeś. Długie ramię sprawiedliwości wciąż jest za krótkie, żeby was dosięgnąć. – Brian wykrzywił usta w szyderczym uśmiechu. – Ale to nie ocaliło waszego kumpla, co? – Odwrócił się i odszedł, nie zaszczycając ich kolejnym spojrzeniem.

Weird wolno pokręcił głową.

– Wierzysz mu?

– Po co miałyby kłamać? – Alex westchnął. – Wiesz co, szczerze miałem nadzieję, że w końcu całkiem oczyszczą nas z podejrzeń. Jak mogli być tak niekompetentni? Jak mogli zgubić jedyny dowód, który zdołałby zakończyć ten cały cholerny bajzel? – Machnął ręką na wieniec.

– Dziwisz się? Wtedy też niespecjalnie okryli się chwałą. Dlaczego tym razem miałyby być inaczej? – Weird pociągnął za kołnierz swego

płaszcz. – Wybacz, Alex, ale muszę już lecieć. – Uścisnęli sobie dłonie. – Będziemy w kontakcie.

Alex stał jak wrośnięty w ziemię, osłupiały prędkością, z jaką jego świat wywrócił się do góry nogami. Jeśli Brian Duff mówił prawdę, czy to był właśnie powód, dla którego pojawiały się te złowieszcze wieńce? A jeśli tak, czy ten koszmar się skończy, póki on i Weird jeszcze żyją?

Graham Macfadyen siedział w swoim aucie i obserwował krematorium. Wieńce były przebłyskiem geniuszu. Opłacało się wycisnąć jak najwięcej z każdej możliwej okazji. Nie poleciał do Seattle, by zobaczyć wrażenie, jakie wywołała pierwsza wiązanka, ale nie było wątpliwości, że tym razem Mackie i Gilbey zrozumieli przekaz. A to oznaczało, że mieli coś na sumieniu. Niewinni ludzie nawet by nie mrugnęli, widząc tego rodzaju przypomnienie.

Ich reakcja niemal wynagrodziła mu przyprawiającą o mdłości paradę hipokryzji, którą musiał przetrwać w krematorium. Było jasne, że pastor nie znał Davida Kerra za jego życia, więc nic dziwnego, że zdołał tak przekonująco wybielić go po śmierci. Ale jego brzydziło, gdy wszyscy potakiwali z mądrymi minami, chłonąc te duby smalone, świętoszkowato przyjmując obłudną fikcję.

Zastanawiał się, jak by wyglądali, gdyby wyszedł na przód krematorium i powiedział prawdę. „Panie i panowie, zebraliśmy się tu dzisiaj, żeby spopielić mordercę. Ten człowiek, którego w swoim mniemaniu znaliście, spędził całe swoje dorosłe życie, kłamiąc wam w żywe oczy. David Kerr udawał przyzwoitego członka społeczności. Ale w rzeczywistości wiele lat temu wziął udział w brutalnym gwałcie i morderstwie mojej matki, za które to zbrodnie nigdy nie poniósł kary. Kiedy więc przeglądacie w głowach swe wspomnienia o nim, przypomnijcie sobie moje słowa”. O tak, to by im starło z twarzy ten nabożny smutek. Niemal żałował, że tego nie zrobił.

To by jednak było pobłażaniem sobie. Nie wypadało tak się obnosić ze swoją krzywdą. Lepiej pozostać w cieniu. Zwłaszcza teraz, gdy niespodziewanie pojawił się jego krewny i wyraził wszystko za niego. Nie miał pojęcia, co wujek Brian powiedział Gilbeyowi i Mackiemu, ale bez wątpienia to nimi wstrząsnęło. Teraz na pewno już nie zapomną, czego się kiedyś razem dopuścili. Będą leżeli bezsennie w nocy, zastanawiając się, kiedy ich przeszłość w końcu ich dopadnie. To była przyjemna myśl.

Macfadyen patrzył, jak Alex Gilbey idzie do swojego samochodu, najwidoczniej nieświadomy wszystkiego, co się działo wokół niego.

– Nie ma nawet pojęcia, że jestem na tej planecie – wymamrotał. – Ale jestem tu, Gilbey. Jestem tu.

Włączył silnik i wyruszył w drogę, by pokręcić się na obrzeżach bufetu podczas stypy. Niesamowite, jak łatwo dało się zinfiltrować czyjeś życie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

PIEŁĘGNIARKA ZAPEWNIŁA ALEXA I LYNN, że Davina robi postępy. Oddychała prawidłowo bez podawanego dodatkowo tlenu, a jej żółtaczką niemowlęca ustępowała pod naporem fluorescencyjnych światła zalewających inkubator ze wszystkich stron zarówno w dzień, jak i w nocy. Gdy Alex trzymał małą w ramionach, zapominał o depresyjnej atmosferze pogrzebu Monda, ciągnącej się za nim od tamtej pory, i o strachu, który wzbudziła w nim reakcja Weirda na wieniec. Jedyną rzeczą, jaka mogłaby być lepsza od siedzenia z żoną i córeczką na oddziale neonatologicznym, byłoby robienie dokładnie tego samego w ich własnym salonie. A przynajmniej tak uważał przed rozmową pod krematorium.

Lynn, jak gdyby czytając mu w myślach, podniosła głowę znad piersi podczas karmienia Daviny.

– Jeszcze tylko parę dni i zabierzemy ją do domu.

Alex uśmiechnął się, ukrywając niepokój wywołany jej słowami.

– Już nie mogę się doczekać.

Gdy wracali później ze szpitala do domu, rozważał, czy wspomnieć żonie o wieńcu i wieściach od Briana Duffa. Nie chciał jednak rozstrajać jej nerwów, więc zdecydował się siedzieć cicho. Lynn poszła prosto do łóżka, wyczerpana kończącym się dniem, on zaś otworzył szczególnie dobrą butelkę shiraz oszczędzaną na wieczór, w którym zasługivaliby, żeby sobie dogodzić. Zaniósł wino do sypialni i nalał trochę do dwóch kieliszków.

– Powiesz mi w końcu, co cię gryzie? – zapytała Lynn, gdy wspiął się na łóżko i usiadł na kołdrze koło niej.

– Och, myślałem właśnie o Hélène i Jackie. Cały czas się zastanawiam, czy Jackie maczała palce w morderstwie Monda. Nie mówię, że go zabiła. Ale wygląda na to, że zna ludzi, którzy mogliby się tym zająć za odpowiednio dużą kwotę.

Lynn zrobiła kwaśną minę.

– Niemal bym chciała, żeby to była ona. Ta suka Hélène zasługuje na cierpienie. Jak mogła tak się czaić i zdradzać Monda, jednocześnie udając idealną żonę?

– Lynn, myślę, że ona naprawdę boleje nad jego stratą. Wierzę jej, kiedy mówi, że go kochała.

– Nawet się nie waż jej teraz bronić.

– Nie bronię jej. Ale bez względu na to, co jest między nią a Jackie, darzyła Monda uczuciem. To oczywiste.

Lynn zacisnęła usta.

– Będę musiała uwierzyć ci na słowo. Ale to nie tym się tak przejmujesz. Coś się stało między wyjściem z krematorium a twoim przyjazdem do hotelu. Czyżby Weird? Powiedział coś, co cię zdenerwowało?

– Słowo daję, jesteś jakąś czarownicą – poskarżył się Alex. – To nic takiego. Po prostu Weird znikował na punkcie jednej sprawy.

– To musiał być jakiś zabójczy bzik z Alfy Centauri, skoro tak na ciebie podziałał, mimo że masz tyle innych ważnych spraw na głowie. Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć? Czy to sprawa tylko dla chłopaków?

Alex westchnął. Nie lubił ukrywać rzeczy przed Lynn. Nigdy nie wierzył w stwierdzenie, że czasem lepiej jest o czymś nie wiedzieć. Nie w małżeństwie, które powinno być oparte na równości.

– W pewnym sensie. Naprawdę nie chcę zawracać ci tym głowy. Masz już dosyć zmartwień.

– Alex, przy tych wszystkich zmartwieniach, które mam, nie sądzisz, że chętnie przyjmę coś, co odwróci od nich moją uwagę?

– Tego chętnie nie przyjmiesz, kochanie. – Alex sączył wino, rozkoszując się jego rozgrzewającymi nutami. Żałował, że nie może po prostu nakierować całej swej świadomości na akt doceniania trunku i oderwać się od wszystkiego, co sprawia mu ból. – O niektórych sprawach lepiej nie wspominać.

– Jakoś nie potrafię ci uwierzyć. – Lynn oparła głowę o jego ramię. – No już, mów, o co chodzi. Sam wiesz, że dzięki temu poczujesz się lepiej.

– W zasadzie to wcale nie jestem pewien, czy tak będzie. – Westchnął ponownie. – Sam nie wiem, może powinienem ci powiedzieć. W końcu z nas dwojga to ty jesteś rozsądniejsza.

– Czego nikt z nas nigdy nie mógł powiedzieć o Weirdzie – dodała oschle Lynn.

I tak Alex wyznał jej wszystko o pogrzebowych wieńcach, usiłując jak najbardziej zbagatelizować ich znaczenie. Ku jego zaskoczeniu Lynn nie próbowała zdyskredytować całej historii jako paranoi Weirda.

– To dlatego próbujesz sobie wmówić, że Jackie wynajęła płatnego zabójcę – skomentowała. – Wcale mi się to nie podoba. Weird ma rację, podchodząc do tego poważnie.

– Może istnieje jakieś proste wyjaśnienie – zaproponował Alex. – Może ktoś, kto je przyniósł, znał ich obu.

– Przecież Mondo całkiem się odciął od swojej przeszłości. Jedyne osoby, które rzeczywiście mogły znać ich obu, muszą być z Kirkcaldy albo z St. Andrews. A tam wszyscy wiedzieli o sprawie Rosie Duff. Czegoś takiego się nie zapomina. A już na pewno nie, jeśli znało się ich na tyle dobrze, by przysłać wieńce na pogrzeby, gdy wyszło powiadomienie, by kwiaty przynosiła tylko rodzina – wytknęła Lynn.

– Nawet jeśli, to nie znaczy od razu, że ten ktoś ma wobec nas złe zamiary. Dobra, może ktoś chciał nam dopiec. Ale nie ma powodu

przypuszczać, że ta sama osoba popełniła dwa morderstwa z zimną krwią.

Lynn z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Alex, w jakim świecie ty żyjesz? Jestem jeszcze w stanie uwierzyć, że ktoś, kto chciał wam dopiec, zobaczył wiadomość o śmierci Monda. Przynajmniej stało się to w tym samym kraju, w którym doszło do morderstwa Rosie Duff. Ale jak ten ktoś zdołałby się dowiedzieć o śmierci Ziggy’ego wystarczająco wcześnie, by wysłać kwiaty na jego pogrzeb, jeśli nie był w tę śmierć w jakiś sposób zamieszany?

– Nie wiem. Ale teraz świat jest mały. Może ten ktoś ma kontakty w Seattle. A może ktoś z St. Andrews przeprowadził się tam i trafił na Ziggy’ego za pośrednictwem jego kliniki? W końcu Ziggy nie miał pospolitego nazwiska i był dobrze znany. Sama wiesz. Za każdym razem, gdy byliśmy w Seattle i wychodziliśmy zjeść coś na mieście z Ziggym i Paulem, ktoś zawsze podchodził, żeby się z nim przywitać. Ludzie nie zapominają lekarza, który zajmował się ich dzieckiem. Jeśli tak się stało, to naturalnie ten ktoś napisałby maila do domu o tym, że Ziggy umarł. A w takim miejscu jak St. Andrews podobne wieści rozeszłyby się w zawrotnym tempie. Taka teoria nie byłaby zbyt naciągana, co? – Alex mówił coraz bardziej zdenerwowanym tonem, desperacko próbując wymyślić coś, dzięki czemu nie musiałby uwierzyć w wersję sugerowaną przez Weirda.

– Jest trochę naciągana, ale może i by uszła. Mimo to nie możesz po prostu o tym zapomnieć. Nie możesz polegać na mało prawdopodobnej możliwości. Alex, musisz coś z tym zrobić. – Lynn odstawiła kieliszek i przytuliła go. – Nie możesz podejmować żadnego ryzyka, skoro lada dzień przywieziemy do domu Davinę.

Alex dopił wino, nie zwracając uwagi na jego jakość.

– To co powinienem zrobić? Ukryć się gdzieś z tobą i Daviną? Gdzie byśmy pojechali? I co z firmą? Nie mogę tak po prostu porzucić źródła mojego utrzymania, zwłaszcza gdy mamy dziecko do wykarmienia.

Lynn pogłaskała go po włosach.

– Spokojnie, nie twierdę, że musimy zaraz rzucać się na głęboką wodę, tak jak Weird. Wspomniałeś mi wcześniej, że Lawson przyszedł dziś na pogrzeb. Może udałbyś się z nim porozmawiać?

Alex prychnął.

– Z Lawsonem? Człowiekiem, który próbował okantować mnie za pomocą zupy z soczewicy i współczucia? Tym, który tak uparcie trzyma się tej sprawy, że pofatygował się popatrzeć, jak jednego z nas poddają kremacji? Myślisz, że zechce życzliwie mnie wysłuchać?

– Lawson może i was podejrzewał, ale przynajmniej nie pozwolił, żebyś zebrał cięgi.

Alex ześlizgnął się w dół łóżka i ułożył głowę na brzuchu Lynn, która skrzywiła się i odsunęła.

– Uważaj na moją ranę – mruknęła.

Przesunął się z powrotem, zadowolając się jej ramieniem.

– Roześmiałyby mi się w twarz.

– Albo wręcz przeciwnie, mógłby potraktować cię na tyle poważnie, by trochę popytać w tej sprawie. Ignorowanie działań jakiegoś samozwańczego obrońcy sprawiedliwości, jeśli to właśnie ma miejsce, nie leży w jego interesie. Choćby dlatego, że przez to policja wygląda jeszcze bardziej nieporadnie niż do tej pory.

– Nie słyszałaś jeszcze wszystkiego – powiedział Alex.

– To znaczy?

– Po pogrzebie stało się coś jeszcze. Brat Rosie Duff przyszedł pod krematorium. Dopilnował, żebyśmy z Weirdem dowiedzieli się, jak go cieszy ta chwila.

Lynn była zszokowana.

– Och, Alex. To okropne. Dla was wszystkich. Biedny człowiek. Nawet po tylu latach nie daje mu to spokoju.

– Czekał, to jeszcze nie koniec. Zdradził nam, że policja hrabstwa Fife zgubiła dowody w sprawie Rosie. Dowody, na które tak liczyliśmy, mając nadzieję, że zebrane z nich DNA oczyści nas z podejrzeń.

– Chyba żartujesz.

– Przykro mi, ale nie.

Lynn pokręciła głową.

– To kolejny powód, żeby iść i porozmawiać z Lawsonem.

– Myślisz, że się ucieszy, że przyszedłem mu to wypominać?

– Nic mnie nie obchodzi, co cieszy Lawsona. Za to ty musisz wiedzieć dokładnie, co się dzieje. Jeśli ktoś naprawdę życzy ci źle, może to właśnie fakt, że w jego opinii sprawiedliwości nie stanie się zadość, pchnął go do działania. Zadzwoń rano do Lawsona. Umów się z nim na spotkanie. Dzięki temu będę spokojniejsza.

Alex sturlał się z łóżka i zaczął rozbierać.

– Skoro tak, to obiecuję, że jutro zadzwonię. Ale nie wiń mnie potem, jeśli Lawson uzna, że samotny mściciel dobrze robi, i zdecyduje się mnie aresztować.

Ku zdziwieniu Alexa, gdy zadzwonił, by umówić się na spotkanie z Lawsonem, sekretarka zaproponowała mu termin na popołudnie tego samego dnia. Dzięki temu miał dość czasu, by wpaść na parę godzin do biura, ale przez to tylko nasiliło się jego poczucie, że traci kontrolę. Lubił mieć baczenie na codzienną pracę firmy, nie dlatego, że nie miał zaufania do swych pracowników, ale dlatego, że jeśli nie wiedział, co się akurat dzieje, czuł niepokój. Ostatnio jednak skupiał się tak bardzo na innych sprawach, że teraz musiał sporo nadrobić. Skopiował stertę służbowych notatek i raportów na płytę CD, licząc na to, że później w domu zdoła znaleźć chwilę, by je przejrzeć i odzyskać aktualny pogląd na sytuację. Chwytał kanapkę, by zjeść ją w samochodzie, i wyruszył w podróż powrotną do Fife.

Puste biuro, do którego został zaproszony, było około dwa razy większe od tego, w którym sam urzędował. Przywileje związane z rangą są zawsze o wiele bardziej widoczne w sektorze publicznym, pomyślał, oglądając ogromne biurko, wymyślnie oprawioną mapę hrabstwa i zdecydowanie wyeksponowane wyróżnienia Jamesa Lawsona. Usiadł na krześle przeznaczonym dla gości i z rozbawieniem zauważył, że było znacznie niższe od fotela znajdującego się naprzeciwko za biurkiem.

Nie musiał długo czekać. Drzwi za jego plecami otworzyły się i Alex podskoczył. Uznał, że czas nie był łaskawy dla Lawsona. Zastępca komendanta miał pomarszczoną i zniszczoną skórę z dwiema plamami wypieków na policzkach. Popękane żyłki świadczyły, że albo pił za dużo, albo spędzał zbyt wiele czasu wystawiony na działanie ostrych wschodnich wiatrów Fife. Jednak spojrzenie wciąż ma przenikliwe, odnotował w myślach Alex, gdy Lawson zmierzył go wzrokiem.

– Panie Gilbey – przywitał go policjant. – Przepraszam, że kazałem panu czekać.

– Nic nie szkodzi. Wiem, że na pewno jest pan bardzo zajęty. Doceniam, że znalazł pan dla mnie czas tak prędko.

Lawson przeszedł obok niego, nie podając mu ręki.

– Zawsze jestem zainteresowany, gdy ktoś związany ze śledztwem chce się ze mną zobaczyć. – Usiadł na swym skórzanym fotelu, prostując marynarkę od munduru.

– Widziałem pana na pogrzebie Davida Kerra – zaczął Alex.

– Miałem sprawy do załatwienia w Glasgow. Skorzystałem z okazji, by złożyć ostatnie uszanowanie.

– Nie sądziłem, że miejscowa policja darzyła Monda szacunkiem – odparł Alex.

Lawson niecierpliwie machnął ręką.

– Jak mniemam, pańska wizyta jest związana z ponownym otwarciem przez nas śledztwa w sprawie morderstwa Rosemary Duff?

– Nie bezpośrednio, ale tak. Jak idzie dochodzenie? Zrobiliście jakieś postępy?

Zdawało się, że te pytania irytują Lawsona.

– Nie mogę omawiać kwestii operacyjnych trwającego właśnie śledztwa z kimś na pańskiej pozycji.

– A co to dokładnie za pozycja? Przecież na pewno nie traktujecie mnie wciąż jako podejrzanego. – Alex był teraz odważniejszy niż w wieku dwudziestu jeden lat. Nie zamierzał puścić płazem takiej uwagi bez żadnego sprzeciwu.

Lawson przesunął trochę papierów po blacie biurka.

– Był pan świadkiem.

– A świadkom nie można powiedzieć, co się dzieje w śledztwie? Do prasy to lecicie od razu, gdy tylko trafi wam się jakiś przełom. Dlaczego mam mniej praw niż pierwszy lepszy dziennikarz?

– Z prasą też nie rozmawiam o sprawie Rosie Duff – rzekł sztywno Lawson.

– Czy to dlatego, że zgubiliście dowody?

Lawson posłał mu długie, harde spojrzenie.

– Bez komentarza – odparł.

Alex pokręcił głową.

– To mi nie wystarczy. Po tym, co przeszliśmy dwadzieścia pięć lat temu, myślę, że należy mi się coś więcej. Rosie Duff nie była wtedy jedyną ofiarą i dobrze pan o tym wie. Może nadszedł czas, żebym poszedł do prasy i opowiedział dziennikarzom, że policja wciąż traktuje mnie jak przestępcę, choć minęło tyle lat. A skoro już o tym mowa, może wspomniałbym też, że policja hrabstwa Fife spieprzyła rewizję morderstwa Rosie, gubiąc kluczowe dowody, które oczyściłyby mnie z zarzutów, a może nawet doprowadziły do aresztowania prawdziwego zabójcy.

Groźba wyraźnie sprawiła, że Lawson poczuł się niezręcznie.

– Nie reaguję dobrze na próby zastraszania, panie Gilbey.

– Ja też nie. Już nie. Naprawdę chce pan zobaczyć swoje nazwisko na pierwszych stronach wszystkich gazet i zostać opisanym jako gliniarz, który naruszył prywatność rodziny pogrążonej w żałobie podczas pogrzebu ich zamordowanego syna? Tego samego syna, którego niewinność wciąż była podawana w wątpliwość za sprawą niekompetencji pana i pańskiego zespołu?

– Nie ma potrzeby, by prezentował pan takie nastawienie – rzekł Lawson.

– Nie ma? A ja myślę, że zdecydowanie jest taka potrzeba. Ponoć prowadzicie tu rewizję nierozwiązanych spraw. Ja jestem kluczowym świadkiem. To ja znalazłem ciało. A mimo to nikt z tutejszej policji się do mnie nie odezwał. Kiepsko u was z gorliwością, co? A teraz dowiaduję się, że nie potraficie nawet upilnować torby z dowodami. Może powinienem jednak porozmawiać o tym ze śledczym, który faktycznie prowadzi tę sprawę, a nie z biurokratą trzymającym się kurczowo przeszłości.

Twarz Lawsonsą stężała.

– Panie Gilbey, to prawda, że mamy problem z dowodami w tej sprawie. W którymś momencie podczas ostatnich dwudziestu pięciu lat zginęły nam ubrania Rosie Duff. Wciąż próbujemy je zlokalizować, ale do tej pory zdołaliśmy odszukać jedynie kardigan, który znaleziono w pewnym oddaleniu od miejsca zbrodni. Na nim zaś nie ma ani odrobiny materiału biologicznego. Żadne ubrania, na których moglibyśmy coś znaleźć dzięki nowoczesnej technologii kryminalistycznej, nie są dla nas dostępne. Więc na chwilę obecną doświadczamy pewnych trudności. W zasadzie to policjantka dowodząca tym śledztwem chciała z panem porozmawiać, żeby ponownie sprawdzić pańskie oryginalne zeznania. Może udałoby wam się wkrótce spotkać?

– Jezu Chryste – zdenerwował się Alex. – Teraz w końcu chcecie mnie przesłuchać? Pan naprawdę nie rozumie, co? My wciąż cierpimy z powodu

tego zabójstwa. Czy pan zdaje sobie sprawę, że w ciągu ostatniego miesiąca dwóch z naszej czwórki zostało zamordowanych?

Lawson uniósł brwi.

– Dwóch?

– Ziggy Malkiewicz też zginął w podejrzanych okolicznościach. Tuż przed Bożym Narodzeniem.

Lawson przysunął sobie notatnik i zdjął nakrętkę z wiecznego pióra.

– Pierwsze słyszę. Gdzie to się stało?

– W Seattle, gdzie mieszkał od dwunastu lat. Podpalacz podłożył bombę zapalającą w jego domu. Ziggy zginął we śnie. Może pan spytać o potwierdzenie tamtejszą policję. Jedynym podejrzany, jakiego mają, jest partner Ziggy’ego, i muszę panu powiedzieć, że to najdurniejszy pomysł, na jaki mogli wpaść.

– Przykro mi z powodu śmierci pana Malkiewicza.

– Doktora Malkiewicza – poprawił Alex.

– Doktora Malkiewicza. Wciąż jednak nie rozumiem, dlaczego uważa pan, że obydwa te zgony są związane z morderstwem Rosie Duff.

– Właśnie po to chciałem się z panem dziś spotkać. Żeby wyjaśnić, dlaczego sądzę, że jest między nimi związek.

Lawson odchylił się do tyłu na swym fotelu, składając dłonie w trójkąt.

– Słucham pana uważnie, panie Gilbey. Interesuje mnie wszystko, co mogłoby rzucić trochę światła na ten konkretny ciemny kąt.

Alex po raz kolejny wytłumaczył sytuację z wieńcami. Kiedy tak siedział w samym centrum policyjnej komendy, teoria brzmiała w jego uszach nieprzekonująco. Wyczuwał przez biurko sceptycyzm Lawsona, gdy próbował nadać powagi tak drobnemu zdarzeniu.

– Wiem, że to brzmi jak paranoja – zakończył – ale Tom Mackie jest na tyle przekonany, że zamierza ukryć swoją rodzinę i zniknąć na jakiś czas. To nie jest decyzja, jaką się podejmuje ot tak.

Lawson uśmiechnął się kwaśno.

– Ach tak. Pan Mackie. Może cierpi na przypadek „drobnego przeholowania z narkotykami w latach siedemdziesiątych”? Wydaje mi się, że środki halucynogenne mogą powodować długoterminową paranoję.

– Nie sądzi pan, że powinniśmy to potraktować poważnie? Dwóch naszych przyjaciół zginęło w podejrzany sposób. Dwaj mężczyźni, którzy wiedli przyzwoite życie i nie mieli powiązań ze światem przestępczym. Którzy najwyraźniej nie mieli żadnych wrogów. A na obu pogrzebach pojawiają się wieńce odnoszące się bezpośrednio do śledztwa w sprawie morderstwa, w którym obaj byli traktowani jako podejrzani.

– Żaden z was nigdy nie został publicznie ogłoszony podejrzanym. A my zrobiliśmy, co w naszej mocy, by was chronić.

– No tak. Ale nawet po tym wszystkim jeden z waszych oficerów zginął w rezultacie presji, która na nas spadła.

Lawson raptownie się wyprostował.

– Cieszę się, że pan o tym pamięta. Bo w tym budynku też nikt o tym nie zapomniał.

– Jestem o tym przekonany. Barney MacLennan był drugą ofiarą tego zabójcy. I według mnie to samo tyczy się Ziggy’ego i Monda. Oczywiście niebezpośrednio. Ale myślę, że ktoś ich zabił, bo pragnął zemsty. A jeśli faktycznie tak było, to moje imię też jest na jego liście.

Lawson westchnął.

– Rozumiem, skąd u pana taka reakcja. Nie wydaje mi się jednak, by ktoś rozpoczął celowy program zemsty na waszej czwórce. Mogę panu zdradzić, że policja w Glasgow sprawdza obiecujące tropy, które nie mają nic wspólnego z morderstwem Rosie Duff. Przypadki się zdarzają i tym właśnie są oba te zgony. Przypadkami. Niczym więcej. Ludzie nie robią takich rzeczy, panie Gilbey. A już na pewno nie czekają na okazję przez dwadzieścia pięć lat.

– A co z braćmi Rosie? Bardzo chętnie brali się wtedy do bicia nas. Powiedział mi pan, że dostali od was ostrzeżenie. Że przekonaliście ich, by nie przysparzali kolejnych problemów swojej matce. Czy ich matka wciąż żyje? Czy może nie muszą się już martwić o jej samopoczucie? Czy to dlatego Brian Duff pojawił się na pogrzebie Monda, żeby z nas szydzić?

– To prawda, pan i pani Duff już nie żyją. Ale nie sądzę, by musiał się pan czegokolwiek obawiać ze strony ich synów. Sam spotkałem się z Brianem kilka tygodni temu. Nie wyglądał na osobę zaprzątniętą myślami o zemście. A Colin pracuje na zatoce. Był w domu na święta, ale nie przebywał w kraju w czasie, gdy zginął David Kerr. – Lawson wzięł głęboki oddech. – Ożenił się z jedną z moich koleżanek po fachu, Janice Hogg. Co za ironia, że to właśnie ona przyszła na pomoc panu Mackiemu, gdy Duffowie na niego napadli. Gdy wyszła za mąż, odeszła z policji, ale z pewnością nie zachęcałaby męża do łamania prawa na taką skalę. Myślę, że jeśli o nich chodzi, może pan być spokojny.

Alex słyszał przekonanie w głosie Lawsona, ale przyniosło mu ono jedynie niewielką ulgę.

– Brian nie zachowywał się wczoraj zbyt przyjaźnie.

– Nie, raczej bym się tego po nim nie spodziewał. Ale spójrzmy prawdzie w oczy: Brian i Colin nie byli wyrafinowanymi przestępcami. Gdyby zdecydowali się zabić pana i pańskich przyjaciół, pewnie podeszliby do was w zatłoczonym barze i odstrzelili wam głowy z dubeltówki. Misterne plany nigdy nie leżały w ich naturze – odparł oschle Lawson.

– Czyli to nam wyczerpuje listę potencjalnych podejrzanych. – Alex przesunął się na krześle, gotowy wstać.

– Nie do końca – rzekł cicho Lawson.

– Jak to? – Alex poczuł, że znów ogarnia go lęk.

Lawson miał minę winowajcy, jakby powiedział za dużo.

– Proszę to zignorować, tylko myślałem na głos.

– Chwileczkę. Nie może pan tak po prostu mnie zbyć. Co to znaczy: „Nie do końca”? – Alex wychylił się do przodu, sprawiając wrażenie, że zaraz przeskoczy nad biurkiem i chwyci Lawsona za nienagannie wyglądające klapy marynarki.

– Nie powinienem był o tym wspominać. Przepraszam, włączył mi się policyjny tryb myślenia.

– Przecież za to panu płacą, czyż nie? No już, niech mi pan powie, o kim pan pomyślał.

Lawson strzelił oczami na boki, jakby szukał drogi ucieczki, która nie wymagałaby minięcia Alexa. Przejechał palcami nad górną wargą i wziął głęboki oddech.

– O synu Rosie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

LYNN WLEPIAŁA WZROK w Alexa, ani na chwilę nie przestając lekko kołysać córeczki.

– Co proszę?

– Rosie miała syna. Nie odkryli tego przy oryginalnym śledztwie. Z jakiegoś powodu patolog nie zauważył oznak przebytej ciąży przy przeprowadzaniu sekcji. Lawson przyznał, że to był stary facet, cały rozlatany, a w dodatku lubił sobie popić. Ale powiedział też w jego obronie, że rana mogła przesłonić wszystkie ślady po ciąży. Rodzina, rzecz jasna, nie zamierzała o niczym wspomnieć, bo wiedzieli, że jeśli ludzie dowiedzą się o nieślubnym dziecku, Rosie zostanie natychmiast przedstawiona jako rozwiązła nastolatka, która wpadła, a zatem w niczym nie jest lepsza od innych. Społeczeństwo zdegradowałoby ją z roli niewinnej ofiary do dziewczyny, która sama się o to prosiła. Desperacko pragnęli chronić jej dobre imię. Nie można ich za to winić.

– Nie winię ich za to w najmniejszym stopniu. Wystarczy spojrzeć, jak złośliwie prasa potraktowała was. Każdy postąpiłby tak samo. Ale jakim cudem wieści o synu wyszły teraz na światło dzienne?

– Lawson powiedział, że chłopak był adoptowany. W zeszłym roku postanowił odnaleźć swoją biologiczną matkę. Wytropił kobietę prowadzącą niegdyś dom, w którym Rosie mieszkała w trakcie ciąży. Wtedy właśnie odkrył, że jednak nie czeka go szczęśliwy powrót na łono rodziny.

Davina zapłakała krótko i Lynn włożyła jej mały palec do buzi, uśmiechając się do niej z góry.

– To musiało być dla niego straszne doświadczenie. Na pewno trzeba wielkiej odwagi, by spróbować odnaleźć swoją biologiczną matkę. Raz cię już odrzuciła, Bóg wie z jakiego powodu, a ty wystawiasz się na potencjalny drugi policzek. Ale w sercu na pewno kurczowo trzymasz się nadziei, że powita cię z otwartymi ramionami.

– No właśnie. A potem odkrywasz, że ktoś wydarł ci tę szansę dwadzieścia pięć lat temu. – Alex pochylił się ku żonie. – Mogę ją trochę potrzymać?

– Jasne. Niedawno ją nakarmiłam, więc teraz powinna pospać przez jakiś czas. – Lynn delikatnie rozluźniła dłonie, którymi podtrzymywała córkę, i podała ją Alexowi, jakby mała była najcenniejszą i najbardziej kruchą rzeczą na świecie. Alex wsunął rękę pod wątlą szyję córeczki i przytulił ją do piersi. Davina zasepleniła coś miękko i przylgnęła do niego. – Czyli co, Lawson uważa, że to syn Rosie na ciebie czyha?

– Lawson uważa, że nikt na mnie nie czyha. Ma mnie za paranoicznego świra, który robi z igły widły. Bardzo się zmieszał, kiedy wymusnęła mu się informacja o synu Rosie. Potem cały czas mnie zapewniał, że chłopak nie skrzywdziłby nawet muchy. Tak w ogóle, to ma na imię Graham. Lawson nie chciał mi podać jego nazwiska. Podobno pracuje w branży informatycznej. Cichy, zrównoważony, skrajnie normalny – opowiadał Alex.

Lynn pokręciła głową.

– Nie wierzę, że Lawson tak to bagatelizuje. Kto według niego przysłał te wieńce?

– Nie ma pojęcia i nic go to nie obchodzi. Jedyne, co go martwi, to fakt, że jego ukochana rewizja starych spraw się sypie.

– Nie potrafiliby poprowadzić domu, a co dopiero śledztwa w sprawie morderstwa. Czy wyjaśnił ci jakoś, jakim cudem zgubili całe pudło dowodów sądowych?

– Nie zgubili całego pudła. Wciąż mają kardigan. Podobno znaleźli go oddzielnie. Był rzucony przez żywoptot do czyjegoś ogrodu. Badali go później niż całą resztę rzeczy Rosie i pewnie dlatego nie skończył w tym samym miejscu.

Lynn zmarszczyła czoło.

– Znaleźli kardigan później? Czekał, czekał, czy nie zrobili wam potem w domu drugiego przeszukania? Coś mi się kojarzy, jak Mondo narzekał, że wszędzie się pałętają parę tygodni po morderstwie.

Alex wyteżył pamięć.

– Po tym, jak przetrząsnęli wszystko po raz pierwszy... wrócili po Nowym Roku. Skrobali farbę ze ścian i sufitów. I chcieli wiedzieć, czy robiliśmy jakieś remonty. – Parsknął z niedowierzaniem. – Ta, jasne. A Mondo mówił, że podsłuchał, jak jeden z policjantów wspomniał coś o kardiganie. Uznał, że szukali swetra, który nosił ktoś z nas. Ale nie, to nie o to chodziło. Mówili o kardiganie Rosie – zakończył triumfalnie.

– To znaczy, że musiała być na nim farba – stwierdziła Lynn z zamyśleniem. – Dlatego brali próbki z waszego domu.

– Na to wygląda. No ale oczywiście nic u nas nie znaleźli. Bo inaczej wpadlibyśmy w jeszcze większe gówno.

– Ciekawe, czy po wznowieniu sprawy przeprowadzili powtórne testy. Czy Lawson coś o tym wspomniał?

– Nie wprost. Powiedział, że nie mają żadnych ubrań, które dałoby się wykorzystać do badań przy udziale nowoczesnych metod analizy.

– Co za bzdury. Teraz z farbą da się zrobić tyle rzeczy. Obecnie dostaję z laboratoriów o wiele więcej informacji niż jeszcze trzy lub cztery lata temu. Powinni sprawdzić te próbki. Musisz znowu zadzwonić do Lawsons i nalegać, by ponownie je przebadali.

– Samo badanie na nic im się nie przyda, jeśli nie mają z czym porównać wyników. Lawson nie zerwie się do działania tylko dlatego, że każę mu coś zrobić.

– Przecież mówiłeś, że chce rozwiązać tę sprawę.

– Gdyby mogli cokolwiek dzięki temu zyskać, na pewno już by to zrobili.

Lynn poczerwieniała z nagłego gniewu.

– Jezu, Alex, czy ty słyszysz, co mówisz? Zamierzasz po prostu siedzieć na dupie i czekać, aż w naszym życiu znów coś wybuchnie? Mój brat nie żyje. Ktoś wszedł do jego domu jak do siebie i go zamordował. Jedyna osoba, która mogłaby ci pomóc, uważa, że masz paranoję. Nie chcę, żebyś zginął. Nie chcę, żeby nasza córka dorastała bez żadnych wspomnień o tobie.

– A według ciebie ja tego chcę? – Alex przytulił Davinę mocniej do piersi.

– No to zacznij w końcu działać. Jeśli ty i Weird macie rację, osoba, która zabiła Ziggy’ego i Monda, teraz weźmie się za was. Jedynym sposobem, by się przed nią uchronić, jest znalezienie w końcu prawdziwego mordercy Rosie. Skoro Lawson tego nie robi, może ty powinieneś spróbować. Trzymasz w rękach najlepszą motywację, jakiej mógłbyś potrzebować.

Musiał przyznać jej rację. Od urodzin Daviny zalewały go emocje nieodmiennie zadziwiające go swoją głębią.

– Jestem producentem kartek okolicznościowych, a nie detektywem – zaprotestował słabo.

Lynn spojrzała na niego groźnie.

– A jak często obalano niesprawiedliwe wyroki sądu, bo jakiś zwykły człowiek nie chciał przestać węszyć?

– Nie mam pojęcia, od czego zacząć.

– Pamiętasz ten program o medycynie sądowej, który leciał parę lat temu w telewizji?

Alex jęknął. Nigdy nie zdołał się zarazić fascynacją żony uwielbiającej serialowe i filmowe thrillery. Jego zwyczajową reakcją na dwugodzinny

odcinek specjalny z Frostem, Morseem lub Wexfordem było sięgnięcie po notatnik i praca nad pomysłami na kartki.

– Ledwie – bąknął.

– Jeden z wypowiadających się w nim ekspertów mówił, że często nie opisują wszystkiego w swoich raportach. Śladowych dowodów, których nie da się zbadać, i tym podobnych. Jeśli te rzeczy nie przydadzą się policjantom, po prostu o nich nie piszą. Podobno wtedy obrona mogłaby ich użyć, żeby zamącić w głowach ławnikom.

– Nie rozumiem, co nam to daje. Nawet gdyby wpadły nam w ręce oryginalne raporty, nie wiedzielibyśmy, co do nich nie trafiło.

– Nie. Ale może zdołalibyśmy odszukać specjalistę, który je stworzył. Może zapamiętał coś, co w tamtym czasie wydawało się nieważne, ale teraz mogłoby coś oznaczać. Może nawet zachował swoje notatki. – Złość Lynn została pochłonięta przez jej entuzjazm. – Co o tym sądzisz?

– Sądzę, że hormony pomieszały ci w głowie – odparł Alex. – Myślisz, że jak zadzwonię do Lawsona i zapytam, kto napisał ich kryminalistyczne raporty, to mi powie?

– Oczywiście, że nie. – Lynn z niesmakiem wydeła usta. – Ale mógłby powiedzieć dziennikarzowi.

– Jedyni dziennikarze, jakich znam, piszą artykuły o stylu życia do niedzielnych dodatków.

– No to obdzwoń wszystkich i poproś, żeby znaleźli ci kogoś z branży, kto mógłby pomóc – poleciła Lynn tonem ucinającym dyskusję.

Alex wiedział, że gdy wpadała w taki nastrój, nie było sensu się z nią sprzeczać. Kiedy jednak, zrezygnowany, pogodził się z myślą o rewizji swoich kontaktów, w głowie zaświtał mu załączek pewnego pomysłu. Może zdoła upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Oczywiście może również zostać boleśnie usadzony. Istniał tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Szpitalne parkingi to dobre miejsca na obserwację, pomyślał Macfadyen. Mnóstwo ludzi wchodzi i wychodzi, zawsze znajdzie się ktoś, kto siedzi w aucie i na coś czeka. Oświetlenie jest solidne, więc można mieć pewność, że zobaczy się swoją ofiarę, kiedy przybędzie albo będzie opuszczała budynek. Nikt nie kwestionuje twojej obecności w tym miejscu, można siedzieć tam godzinami i nikt nie pomyśli, że zachowujesz się podejrzanie. Nie to co na przeciętnej podmiejskiej ulicy, gdzie każdy chce wiedzieć, czemu się tam kręcisz.

Ciekawiło go, kiedy Gilbey będzie mógł zabrać swoją córkę do domu. Zadzwoił do szpitala, by spróbować wyciągnąć od personelu tę informację, ale byli nieufni, nie zgodzili się powiedzieć nic ponad to, że niemowlę czuje się dobrze. W obecnych czasach wszystkie osoby odpowiedzialne w jakiś sposób za dzieci były bardzo uświadomione w kwestiach bezpieczeństwa.

Uraza, jaką czuł do córki Gilbeya, była przytłaczająca. Do niej nikt się nie odwróci plecami. Nikt jej nie odda obcym ludziom bez zastanowienia, jak sobie poradzi. Obcym ludziom, którzy będą wychowywać dziecko w atmosferze nieustającego lęku, że zrobi coś, co ściągnie mu na głowę arbitralny gniew. Jego rodzice nie znęcali się nad nim w sensie fizycznym. Sprawili jednak, że bez przerwy miał wrażenie, że czegoś mu brakuje, że zawsze jest czemuś winny. Nie wahali się również zrzucać winy za jego przywary na jego „złą krew”. Ale Macfadyen stracił okazję nie tylko do doświadczenia czułości i miłości. Rodzinne opowieści, którymi był karmiony jako dziecko, dotyczyły innych ludzi, nie jego. Nie miał pojęcia o własnej historii.

Nigdy nie będzie w stanie spojrzeć w lustro i zobaczyć w sobie odbicia rysów swojej matki. Nigdy nie będzie świadomy tych dziwnych przypadków zgodności, które trafiają się w rodzinie, gdy reakcje dziecka są wierną kopią reakcji rodziców. Płynął przez życie bez żadnych powiązań. Jedyna prawdziwa rodzina, jaką miał, wciąż go nie chciała.

A teraz dziecko Gilbeya dostanie wszystko, czego jemu odmówiono, choć jego ojciec był jedną z osób odpowiedzialnych za pozbawienie Grahama matki. Ta myśl dręczyła go, wryzała się głęboko do samego jestestwa jego pokurczonej duszy. To było niesprawiedliwe. Dziecko Gilbeya nie zasługiwało na bezpieczny, kochający dom, który miało niechybnie dostać.

Przyszedeł czas, by wymyślić jakiś plan.

Weird ucałował po kolei wszystkie swoje dzieci, gdy wsiadały do rodzinnego vana. Nie wiedział, kiedy je znów zobaczy, więc żegnanie ich w takich okolicznościach przypominało rozrywanie sobie serca na kawałki. Miał jednak świadomość, że jego obecny ból był znikomy w porównaniu z tym, co by czuł, gdyby nic nie zrobił i w wyniku jego bierności któremuś z nich stała się krzywda. Po kilku godzinach jazdy znajdą się bezpiecznie w górach, za palisadą ewangelickiej grupy survivalowców, której przewodził człowiek kiedyś pełniący w kościele Weirda rolę diakona. Weird wątpił, by sam rząd federalny mógł tam dorwać jego dzieci, a co dopiero działający w pojedynkę zabójca napędzany żądzą zemsty.

Po trochu uważał, że przesadza, ale uznał, że nie będzie słuchał tej części swego umysłu. Lata rozmów z Bogiem nie pozostawiły w nim wiele wątplenia w sobie, gdy przychodziło do podejmowania decyzji. Weird wziął żonę w ramiona i przytulił mocno.

– Dziękuję, że potraktowałaś moje podejrzenia poważnie – powiedział.

– Zawsze traktuję cię poważnie, Tom – wymruczała, gładząc go po jedwabnej koszuli. – Obiecuj mi, że zatroszczysz się o siebie równie dobrze, jak zatroszczyłeś się o nas.

– Muszę zadzwonić w jedno miejsce, a potem stąd znikam. Tam, gdzie pojedę, trudno będzie mnie śledzić i znaleźć. Ukryjemy się na jakiś

czas, zawierzmy Panu i wiem, że uporamy się z tym zagrożeniem. – Pochylił się, by pocałować ją długo i mocno. – Jedźcie z Bogiem.

Odsunął się i czekał, podczas gdy jego żona wsiadała do samochodu, a potem odpalała silnik. Dzieci pomachały mu na pożegnanie, podekscytowane myślą o przygodzie, dzięki której nie będą musiały chodzić do szkoły. Nie zazdrościł im trudnych warunków pogodowych wysoko w górach, ale wiedział, że dadzą sobie radę. Patrzył za odjeżdżającym samochodem, dopóki ten nie zniknął na końcu ulicy, po czym prędko wszedł z powrotem do domu.

Znajomy pastor z Seattle dał mu namiary na solidnego i dyskretnego prywatnego detektywa. Weird wystukał numer jego komórki.

– Tu Pete Makin – rozległ się głos po drugiej stronie, przeciągający z wolna samogłoski na zachodnią modłę.

– Mówi Tom Mackie. Wielebny Tom Mackie. Dostałem pana numer od wielebnego Polka.

– Lubię duchownych, którzy wtłaczają swym wiernym do głów szacunek do pracy – odparł Makin. – Jak mogę panu pomóc, pastorze?

– Muszę się dowiedzieć, kto zlecił przysłanie pewnego wieńca na pogrzeb, w którym brałem niedawno udział w pańskiej okolicy. Czy dałoby się to wyśledzić?

– Myślę, że tak. Czy może mi pan podać jakieś szczegóły?

– Nie wiem, jaka kwiaciarnia go wykonała, ale to była bardzo charakterystyczna kompozycja. Okrąg z białych róż i rozmarynu. Na karteczce był napis: „Rozmaryn ku pamięci”.

– „Rozmaryn ku pamięci” – powtórzył po nim Makin. – Ma pan rację, to dość niespotykane. Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek widział podobny wieniec. Ten, kto go zrobił, prawdopodobnie go zapamiętał. A teraz niech mi pan powie, kiedy i gdzie odbył się ten pogrzeb.

Weird przekazał detektywowi informacje, uważnie literując nazwisko Ziggy’ego.

– Ile czasu zajmie panu znalezienie odpowiedzi?

– To zależy. Zakład pogrzebowy może będzie w stanie udostępnić mi listę kwiaciarni, w których zazwyczaj się zaopatruje. Jeśli to się nie uda, będę musiał roztoczyć poszukiwania na dosyć sporym obszarze. Może to zająć kilka godzin, a może kilka dni. Jeśli zostawi mi pan swoje zamiary, będę pana informował o postępach na bieżąco.

– Nie będzie łatwo się ze mną skontaktować. Czy pasowałoby panu, gdybym dzwonił raz dziennie?

– Tak, nie ma problemu. Obawiam się jednak, że muszę poprosić o zaliczkę, zanim rozpocznę pracę.

Weird uśmiechnął się ironicznie. W obecnych czasach nie można było ufać nawet duchownym.

– Wyślę panu przelew. Jakiej kwoty pan sobie życzy?

– Pięćset dolarów powinno wystarczyć. – Makin podał Weirdowi dane potrzebne do przesłania pieniędzy. – Gdy tylko otrzymam wpłatę, zacznę działać. Dziękuję za zlecenie, wielebny.

Weird odłożył słuchawkę, dziwnie pokrzepiony rozmową z detektywem. Pete Makin nie marnował czasu na pytania, po co mu ta informacja, nie próbował też przedstawić zlecenia jako trudniejszego, niż było w rzeczywistości. Wydawał się, jak uznał Weird, człowiekiem, któremu można zaufać. Poszedł na piętro i zmienił swe kościelne ubrania na wygodne dżinsy, kremową koszulę z bawełny oxford i miękką, skórzaną kurtkę. Torbę miał już spakowaną, brakowało w niej jeszcze tylko Biblii leżącej na stoliku przy łóżku. Utknął ją w kieszeni z klapą, rozejrzał się po dobrze znanym pokoju, po czym zamknął oczy i odmówił krótką modlitwę.

Godzinę później opuszczał długoterminowy parking na lotnisku w Atlancie. Miał dość czasu, by spokojnie zdążyć na swój lot do San Diego. Zanim zapadnie noc, będzie już za granicą, anonimowy turysta w jakimś

tanym hoteliku w Tijuanie. Nie było to otoczenie, jakie normalnie by wybrał, dzięki czemu kryjówka będzie jeszcze bezpieczniejsza.

Ktokolwiek na niego polował, tam go nie znajdzie.

Jackie popatrzyła na Alexa spode łba.

– Nie ma jej tutaj.

– Wiem. To z tobą chciałem się zobaczyć.

Prychnęła, krzyżując ramiona na piersi. Dzisiaj miała na sobie skórzane dzinsy i obcisły czarny T-shirt. W jej brwi połyskiwał diament.

– Chcesz mnie ostrzec, żebym trzymała się od niej z daleka, co?

– A dlaczego uważasz, że w ogóle mnie to obchodzi? – zapytał chłodno Alex.

Jackie uniosła brwi.

– Jesteś Szkotem, mężczyzną, ona należy do twojej rodziny.

– Nie krzyw się tak, bo ci zostanie. Przyszedłem tu, bo myślę, że możemy wyświadczyć sobie nawzajem przysługę.

Jackie bezczelnie przekrzywiła głowę.

– Nie sypiam z facetami. Jeszcze tego nie rozpracowałeś?

Zirytowany Alex odwrócił się, żeby odejść. Zastanawiał się, dlaczego ryzykował gniew Lynn, w ogóle tu przychodząc.

– Marnuję tu czas. Pomyślałem po prostu, że mogłabyś się ucieszyć z propozycji, która uwolniłaby cię od podejrzeń ze strony policjantów.

– Zaczekaj chwilę. Dlaczego chcesz mi pomóc rozwiązać ten problem?

Zatrzymał się z jedną stopą na schodach.

– Nie z powodu twojego naturalnego uroku, Jackie. Dzięki temu ja też będę mógł się pozbyć pewnego zmartwienia.

– Nawet jeśli podejrzewasz, że mogłam zabić twojego szwagra.

Alex odchrząknął.

– Uwierz mi, spałbym w nocy o wiele spokojniej, gdybym myślał, że to ty go zabiłaś.

Jackie najeżyła się.

– Bo wtedy lesba dostałaby to, na co zasłużyła?

– Mogłabyś zapomnieć o swoich uprzedzeniach chociaż na pięć minut? – warknął podenerwowany Alex. – Cieszyłbym się, gdybyś to ty zabiła Monda, tylko z jednego powodu: bo to by znaczyło, że mnie nic nie grozi.

Jackie przechyliła głowę, wbrew sobie zaintrygowana jego słowami.

– Co za osobliwe stwierdzenie.

– Chcesz o nim podyskutować na klatce schodowej?

Wskazała mu drzwi i cofnęła się nieco.

– Lepiej wejdź do środka. Co masz na myśli, mówiąc, że coś ci „grozi”? – zapytała, gdy podszedł do najbliższego krzesła i usiadł.

– Mam pewną teorię dotyczącą śmierci Monda. Nie wiem, czy o tym słyszałaś, ale jeszcze jeden z moich przyjaciół zginął kilka tygodni temu w podejrzanych okolicznościach.

Jackie pokiwała głową.

– Hélène coś o tym wspominała. Ten ktoś chodził z tobą i Davidem na studia, dobrze mówię?

– Dorastaliśmy razem. Nasza czwórka. Byliśmy w szkole najlepszymi przyjaciółmi, a potem wszyscy poszliśmy na ten sam uniwersytet. Pewnej nocy, kiedy pijani wracaliśmy z imprezy, przypadkiem odkryliśmy ciało młodej kobiety...

– O tym też słyszałam – przerwała mu Jackie.

Alex był zaskoczony, jak wielką poczuł ulgę na wieść, że nie musi raz jeszcze opisywać ze szczegółami wszystkich następstw morderstwa Rosie.

– Ach tak? No to znasz już kontekst. Teraz słuchaj, wiem, że to brzmi jak wariactwo, ale myślę, że Mondo i Ziggy nie żyją, bo ktoś mści się za Rosie Duff. Tę zabiła przed laty dziewczynę.

– Skąd ten pomysł? – Na przekór sobie Jackie stanowią teraz uosobienie ciekawości. Siedziała z wysuniętą ku niemu głową, opierając łokcie na kolanach. Zwęszyła dobrą historię, która miała dość mocy, by na razie dziennikarka wzięła nieco w karby swoją wrogość.

– Kiedy o tym mówię, to się wydaje takie nieznaczące – rzekł Alex, po czym opowiedział jej o wieńcach. – Pełne imię Rosie brzmiało Rosemary – wyjaśnił na końcu.

Jackie uniosła brwi.

– To brzmi kurewsko upiornie – przyznała. – Nigdy się nie spotkałam z takim wieńcem. Trudno to zinterpretować, no chyba że faktycznie w odniesieniu do tej dziewczyny. Rozumiem, dlaczego masz rozstrojone nerwy.

– Policja nie zrozumiała. Zachowywali się tak, jakbym był maleńką staruszczką bojącą się ciemności.

Jackie prychnęła lekceważąco z głębi gardła.

– Oboje wiemy, jakie z nich bystrzachy. To co, o jakim zadaniu dla mnie myślałeś?

Alex był zażenowany.

– Lynn jest przekonana, że jeśli odkryjemy, kto naprawdę zabił Rosie Duff dwadzieścia pięć lat temu, to ta osoba, która wyładowuje się na nas, zrozumie, że musi przestać. Zanim będzie za późno dla nas dwóch, którzy jeszcze żyjemy.

– To ma sens. Nie dałbyś rady przekonać policji, by wznowili śledztwo? Z technologią, jaką mają teraz do dyspozycji...

– Już to zrobili. Policja z Fife ma taki program rewizji nierozwiązanych spraw, a morderstwo Rosie jest jedną z nich. Ale wydaje mi się, że natrafili na ścianę, przez którą nie mogą się przebić, głównie z powodu zgubionych fizycznych dowodów. Lynn wpadła na pomysł, że jeśli udałoby nam się odnaleźć eksperta od medycyny sądowej, który

napisał oryginalny raport, to mógłby nam opowiedzieć o tym, czego w nim nie uwzględnił.

Jackie pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Czasami pomijają pewne szczegóły, żeby nie dawać obronie żadnej przewagi. Więc chcesz, żebym wytropiła tego gościa i przeprowadziła z nim wywiad?

– Coś w tym stylu. Mogłabyś udawać, że zamierzasz napisać dogłębny artykuł o tej sprawie, skupiając się na oryginalnym śledztwie. Może udałoby ci się przekonać policję, żeby udostępniła ci materiały, którymi na pewno nie podzieliliby się chętnie ze mną.

Jackie wzruszyła ramionami.

– Warto spróbować.

– A zatem się zgadzasz?

– Będę z tobą szczerą, Alex. Niespecjalnie mnie obchodzi ratowanie ci tyłka. Ale masz rację. Ja też mogę coś w ten sposób zyskać. Jeśli pomogę ci znaleźć zabójcę Davida, policja się ode mnie odczepi. A teraz do rzeczy, z kim powinnam porozmawiać?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

WIADOMOŚĆ NA BIURKU JAMESA LAWSONA głośiła tylko: „Ekipa od nierozwiązanych spraw chciałyby się z panem widzieć jak najszybciej”. Nie brzmiała jak zapowiedź katastrofy. Wszedł do ich biura z poczuciem ostrożnego optymizmu, który został natychmiast potwierdzony widokiem butelki Famous Grouse i sześciu plastikowych kubków w rękach jego śledczych. Wyszczrzył zęby.

– Wygląda mi to na świętowanie.

Komisarz Robin MacLennan wystąpił naprzód i wręczył mu whisky.

– Właśnie otrzymałem wiadomość od policji z Wielkiego Manchesteru. Aresztowali mężczyznę podejrzanego o gwałt, który miał miejsce parę tygodni temu w Rochdale. Kiedy przepuścili wyniki testu DNA przez komputer, na coś trafili.

Lawson stanął jak wryty.

– Lesley Cameron?

Robin skinął głową.

Zastępca komendanta przyjął od niego whisky i wzniosł kubek w milczącym toaście. Tak jak w przypadku Rosie Duff, nigdy nie był w stanie zapomnieć morderstwa Lesley Cameron. Studentka uniwersytetu została zgwałcona i uduszona, gdy wracała do swojego akademika. Jej mordercy też nigdy nie znaleźli. Przez jakiś czas próbowali połączyć obie sprawy, ale nie było między nimi wystarczającego podobieństwa, żeby uzasadnić powiązanie. Nie wystarczyło po prostu stwierdzić, że w tamtym okresie w St. Andrews nie zdarzyły się inne gwałty zakończone morderstwem. Był wtedy świeżym nabytkiem w Wydziale Kryminalnym

i miał wyraźne wspomnienia z tych dyskusji. Osobiście nigdy nie wierzył w teorię o związku między obiema sprawami.

– Dobrze pamiętam to dochodzenie – oznajmił.

– Przeprowadziliśmy testy DNA na materiale z jej ubrań, ale w tym czasie w systemie nie pojawiła się zgodność – mówił Robin. Na jego szczupłej twarzy zagościły wcześniej niewidoczne zmarszczki mimiczne.

– Odłożyłem więc tę kwestię na później i dalej sprawdzałem przestępców seksualnych, którzy byli notowani już po morderstwie. Ślepa uliczka. Ale wtedy dostaliśmy telefon od policji Wielkiego Manchesteru. Wygląda na to, że mamy sprawcę.

Lawson poklepał go po ramieniu.

– Dobra robota, Robinie. Pojedziesz tam na przesłuchanie?

– No pewnie. Nie mogę się doczekać, aż zobaczę minę tego skurwiela, kiedy usłyszy, na jaki temat zamierzam sobie z nim pogadać.

– To wspaniała wiadomość. – Lawson uśmiechnął się promiennie do reszty zespołu. – Widzicie? Wystarczy jeden pomyślny przełom i już mamy sukces w garści. Jak idą pozostałe sprawy? Karen, jakieś wyniki w poszukiwaniach byłego chłopaka Rosie Duff? Tego, który według nas może być ojcem Macfadyena?

Karen skinęła głową.

– Nazywa się John Stobie. Miejscowi chłopcy ucięli sobie z nim pogawędkę. Uzyskali też swego rodzaju odpowiedź. Okazuje się, że Stobie ma niepodważalne alibi. Pod koniec listopada tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku złamał nogę w wypadku motocyklowym. W noc morderstwa Rosie był zagipsowany od uda do palców u stóp. Nie ma szans, by biegał po St. Andrews w środku śnieży.

Lawson uniósł brwi.

– Chryste, można by pomyśleć, że chłop ma jakieś kruche kości. Pewnie sprawdzili jego dokumentację medyczną?

– Dał im na to pozwolenie. Wygląda na to, że mówi prawdę, więc na tym trop się urywa.

Lawson odwrócił się lekko, odcinając siebie i Karen od reszty.

– Skoro tak mówisz. – Westchnął. – Rozważam nasłanie Macfadyena na Stobiego. Może wtedy da mi wreszcie spokój.

– Nadal zawraca panu głowę?

– Parę razy w tygodniu. Zaczynam żałować, że w ogóle wyszedł ze swojej nory.

– Wciąż muszę przesłuchać trzech pozostałych przy życiu świadków – przypomniała mu Karen.

Lawson wykrzywił usta.

– W zasadzie to tylko dwóch. Okazuje się, że Malkiewicz zginął w pożarze, zapewne podpaleniu, tuż przed Bożym Narodzeniem. A teraz, gdy David Kerr również został zamordowany, Alex Gilbey wbił sobie do głowy, że grasuje tu jakiś szalony mściciel i zabija ich jednego po drugim.

– Co takiego?

– Przyszedł się ze mną spotkać parę dni temu. To jakiś paranoiczny obłąd, ale nie chcę go w nim utwierdzać. Może lepiej będzie, jeśli na razie zrezygnujesz z tych przesłuchań. Nie sądzę, by do czegokolwiek ci się przydały po tych wszystkich latach.

Karen chciała mu się sprzeciwić. Wcale nie oczekiwała wielkich rewelacji wypływających w rozmowach ze świadkami, ale była zbyt rzetelną policjantką, by bez wyrzutów sumienia zostawić jakiegokolwiek tropy niezbadane.

– Nie sądzi pan, że Gilbey może mieć rację? W końcu to dość duży zbieg okoliczności. Macfadyen pojawia się na scenie, odkrywa, że nie ma nadziei, byśmy ujęli mordercę jego matki, a potem dwóch pierwotnych podejrzanych pada trupem.

Lawson przewrócił oczami.

– Za długo tkwisz w tym biurze dochodzeniowym, Karen. Zaczynasz halucynować. To jasne, że Macfadyen nie odgrywa własnego kina zemsty w stylu Charlesa Bronsona. To szanowany profesjonalista, na miłość boską, a nie jakiś opętany samozwańczy mściciel. Nie będziemy go obrażać, wzywając go na przesłuchanie w sprawie dwóch morderstw, które nawet nie miały miejsca w naszym rewirze.

– Zrozumiano – rzekła Karen.

Lawson położył jej dłoń na ramieniu w ojcowskim geście.

– Zapomnijmy na razie o Rosie Duff. Śledztwo nijak nie posuwa się do przodu. – Przesunął się z powrotem do głównej grupy. – Robinie, czy siostra Lesley Cameron nie jest czasem profilerką kryminalną?

– Zgadza się. Doktor Fiona Cameron. Była zaangażowana w sprawę Drew Shanda w Edynburgu parę lat temu.

– Tak, teraz sobie przypominam. Może powinieneś zadzwonić do doktor Cameron i ją uprzedzić. Poinformować, że przesłuchujemy podejrzanego. I dopilnuj, żeby biuro prasowe też się o tym dowiedziało. Ale dopiero po rozmowie z doktor Cameron. Nie chcę, żeby przeczytała o wszystkim w gazecie, zanim usłyszy to z pierwszej ręki, czyli od nas. – To był wyraźny koniec rozmowy. Lawson dopił swoją whisky, po czym skierował się do wyjścia. Zatrzymał się na progu i odwrócił z powrotem do podwładnych. – Wspaniały wynik, Robinie. Dzięki niemu wszyscy dobrze wypadamy. Dziękuję.

*

Weird odepchnął od siebie talerz. Tłuste jedło dla turystów, a porcje takie wielkie, że wystarczyłyby do wykarmienia całej rodziny biednych Meksykanów przez dzień albo dwa, pomyślał smętnie. Nie cierpiał tego oderwania od swych codziennych zajęć. Wszystkie rzeczy, które umilały mu życie, wydawały się teraz odległym snem. Istniał limit pocieszenia,

które mógł uzyskać wyłącznie ze swej wiary. Co stanowiło dowód – gdyby go potrzebował – że nie dorastał do własnych ideałów.

Po tym, jak kelner sprzątnął resztki jego polecanego przez restaurację burrito, Weird wyciągnął komórkę i zadzwonił do Pete'a Makina. Po uprzejmym powitaniu przeszedł od razu do rzeczy.

– Zrobił pan jakieś postępy?

– Na razie mam jedynie negatywne wyniki. Zakład pogrzebowy podał mi nazwy trzech sklepów, które najczęściej dostarczają im kwiaty na ceremonie, ale w żadnym z nich nie wykonano wieńca, który odpowiadałby opisowi, jaki mi pan przekazał. Wszyscy kwiaciarze zgodzili się, że to niecodzienna, wyróżniająca się kompozycja. Na pewno by ją sobie przypomnieli, gdyby wyszła spod ich rąk.

– W takim razie co teraz?

– Cóż... w najbliższej okolicy jest jeszcze pięć czy sześć kwiaciarni. Obejdę je wszystkie i zobaczymy, czy coś znajdę. Ale to może zająć parę dni. Jutro muszę się stawić w sądzie. Zeznaję w sprawie o oszustwo i może się to przeciągnąć do następnego dnia. Ale niech się pan nie martwi, wielbny. Odezwę się do pana, gdy tylko będę mógł.

– Dziękuję, że jest pan ze mną taki szczery, panie Makin. Zadzwonię za parę dni, żeby zobaczyć, jak rozwija się sytuacja. – Weird rozłączył się i schował komórkę z powrotem do kieszeni.

Sprawa jeszcze się nie wyjaśniła. A jej końca nie było widać.

Jackie włożyła nowe baterie do dyktafonu, upewniła się, że ma w torbie kilka długopisów, po czym wysiadła z samochodu. Była miło zaskoczona czynnością rzeczownika prasowego policji, do którego zadzwoniła po wizycie Alexa.

Miała gotowy bajer do sprzedania. Pisze obszerny artykuł do czasopisma, w którym porównuje metody używane przez policję w śledztwach dotyczących morderstw dwadzieścia pięć lat temu i obecnie.

Olśniło ją, że najłatwiejszym sposobem zrozumienia takich starych dochodzeń będzie skorzystanie z osiągnięć policjantów zajmujących się rewizjami nierozwiązanych spraw, takich jak program wdrożony przez komendę w Fife. W ten sposób uzyskałaby informacje od śledczego będącego na bieżąco ze wszystkimi szczegółami sprawy. Podkreśliła, że nie ma zamiaru w żaden sposób krytykować policji. Tekst miał traktować wyłącznie o zmianach w procedurach i praktyce, które wywołał rozwój kryminalistyki i uaktualnianie przepisów prawa.

Rzecznik prasowy oddzwonił do niej następnego dnia.

– Ma pani szczęście. Zajmujemy się sprawą, która wydarzyła się niemal dokładnie dwadzieścia pięć lat temu. I tak się składa, że nasz zastępca komendanta był pierwszym policjantem na miejscu zbrodni. Zgodził się udzielić pani wywiadu. Zaaranżowałem również dla pani spotkanie z posterunkową Karen Pirie, która pracuje nad rewizją tej sprawy. Ma wszystkie szczegóły w małym palcu.

I oto Jackie pokonywała zasieki bastionu policji hrabstwa Fife. Z zasady nie czuła nerwów przed wywiadami. Zajmowała się nimi na tyle długo, że nie miały jej czym przerazić. Dawała sobie radę z każdym rodzajem rozmówców: nieśmiałymi, bezczelnymi, podekscytowanymi, przestraszonymi, nachalnie się reklamującymi i zblazowanymi, zatwardziałymi przestępcami i skrzywdzonymi ofiarami. Dzisiaj jednak zdecydowanie krążyła jej we krwi adrenalina wywołana podnieceniem. Nie kłamała, mówiąc Alexowi, że ona też może coś zyskać, zgadzając się na jego plan. Po naradzie z nim leżała przez kilka godzin, nie mogąc zasnąć, boleśnie świadoma, ile szkód w jej życiu mogły narobić podejrzenia w związku ze śmiercią Davida Kerra. Przygotowała się więc na dzisiejszy wywiad: wybrała konserwatywny ubiór i celowo postarała się wyglądać jak najmniej groźnie. Choć raz w jej uszach było więcej dziurek niż kolczyków.

Trudno sobie wyobrazić zastępcę komendanta jako młodego posterunkowego, uznała, sadowiąc się naprzeciwko niego. Sprawiał wrażenie jednego z tych ludzi, którzy rodzili się, już dźwigając na barkach troski tego świata, a dziś wydawały się one szczególnie mu ciężać. Nie mógł mieć dużo więcej niż pięćdziesiąt lat, ale wyglądałby bardziej na miejscu na murawie do gry w kule, niż prowadząc kryminalne śledztwa w obrębie całego hrabstwa Fife.

– Dziwny ten pani pomysł na artykuł – powiedział, kiedy już się sobie przedstawili.

– Tak naprawdę to nie. Ludzie biorą teraz tak wiele za pewnik, kiedy w grę wchodzi policyjne śledztwa. Dobrze jest im przypomnieć, jak daleko zaszliśmy w relatywnie krótkim czasie. Oczywiście muszę się dowiedzieć o wiele więcej, niż będę w stanie umieścić w ostatecznej wersji artykułu. Zawsze odrzuca się około dziewięćdziesięciu procent materiału.

– A dla jakiego pisma będzie ten artykuł? – zapytał Lawson swobodnym tonem.

– „Vanity Fair” – odparła Jackie bez zawahania. Zawsze dobrze było kłamać na temat zlecniodawcy. Ludzie nabierali wtedy przekonania, że nie marnują na ciebie czasu.

– No cóż, jestem do pani dyspozycji – rzekł Lawson z wymuszoną wesołością, szeroko rozłożywszy ręce.

– Bardzo doceniam tę okazję. Wiem, że jest pan niezwykle zajęтым człowiekiem. Dobrze, w takim razie cofnijmy się do tej nocy w grudniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku. W jaki sposób został pan zaangażowany w całą sprawę?

Lawson odetchnął ciężko przez nos.

– Byłem wtedy na patrolu na nocnej zmianie. To znaczy, że całe dyżury spędzałem na drogach, jeśli nie liczyć przerw na mały posiłek. Widzi pani, nie jeździłem jednak przez całą noc. – Uśmiechnął się półgębkiem. – Nawet wtedy mieliśmy budżetowe ograniczenia.

W zaleceniach kazano nam nie jeździć więcej niż sześćdziesiąt pięć kilometrów podczas każdej zmiany. Krążyłem więc po centrum miasteczka w porze zamknięcia pubów, a potem znajdowałem sobie cichy zakątek i parkowałem tam, dopóki nie dostałem jakiegoś wezwania. Co wcale nie zdarzało się często. St. Andrews było dość spokojnym miejscem, zwłaszcza podczas przerw w zajęciach akademickich.

– To pewnie było strasznie nudne – odezwała się Jackie, sympatyzując z nim.

– Ma pani rację. Zazwyczaj brałem ze sobą radio tranzystorowe, ale nigdy nie udawało mi się znaleźć nic ciekawego do posłuchania. Najczęściej parkowałem przy wejściu do Ogrodów Botanicznych. Lubiałem to miejsce. Było ładne i spokojne, a dało się z niego dojechać do każdej części miasta w kilka minut. Tamtej nocy trafiła nam się piekielna pogoda. Śnieg sypał z przerwami przez cały dzień i kiedy przyszedł środek nocy, wszędzie leżała już gruba warstwa. Dlatego miałem spokojną zmianę. Z powodu zamieci większość ludzi została w domu. Potem, koło czwartej nad ranem, zobaczyłem, jak jakaś postać wyłania się z chmury śniegu. Wsiadłem z auta i powiem pani szczerze, że przez chwilę zastanawiałem się, czy nie zostanę zaatakowany przez nachlanego szaleńca. To był młody chłopak, dyszał ciężko, cały pokryty krwią, pot ściekał mu po twarzy. Wyrzucił z siebie, że na Hallow Hill leży ranna dziewczyna.

– Musiał pan być okropnie zaskoczony – zachęciła go do zwierzeń Jackie.

– Najpierw pomyślałem, że to jakiś pijacki żart studenta. Ale on bardzo nalegał, żebym z nim poszedł. Powiedział, że potknął się o nią w śniegu i że dziewczyna obficie krwawi. Prędko pojąłem, że był naprawdę roztrzęsiony i wcale mnie nie nabierał. Skontaktowałem się więc z bazą przez radio, powiadomiłem dyżurnego, że jadę sprawdzić zgłoszenie o rannej kobiecie na Hallow Hill, wsadziłem chłopaka do samochodu i...

– To był Alex Gilbey, prawda?

Lawson uniósł brwi.

– Dobrze się pani przygotowała.

Jackie wzruszyła ramionami.

– Przeczytałam wycinki z gazet, to wszystko. A zatem zabrał pan Gilbeya z powrotem na wzgórze? Co pan tam zastał?

Lawson skinął głową.

– Gdy tam dotarliśmy, Rosie Duff już nie żyła. Wokół jej ciała stało kolejnych trzech chłopaków. Wtedy musiałem zabezpieczyć miejsce zbrodni i wezwać wsparcie przez radio. Poprosiłem o przyjazd mundurowych i ludzi z Wydziału Kryminalnego, po czym sprowadziłem czterech świadków ze wzgórza, żeby znaleźli się dalej od zwłok. Otwarcie przyznaję, że nie miałem pojęcia, co robić. Nigdy wcześniej nie spotkałem się z taką sytuacją. W tamtej chwili nie wiedziałem też, czy nie stoję w środku burzy śnieżnej w towarzystwie czterech morderców.

– Nie sądzi pan, że gdyby to oni ją zabili, bieg po pomoc z pewnością byłby ostatnią rzeczą, jaka przyszłaby im do głowy?

– Niekoniecznie. To byli inteligentni młodzi ludzie, w pełni zdolni do wymyślenia takiego podwójnego blefu. Uznałem za swoje zadanie nie mówić nic, co wskazywałoby, że żywię wobec nich jakiegokolwiek podejrzenia, bo bałem się, że czmychną w noc i będziemy mieli jeszcze większy problem. W końcu nie miałem pojęcia, kim byli.

– Wygląda na to, że odniósł pan sukces, bo zaczęli z panem na przyjazd kolejnych policjantów. Co się działo potem? Proceduralnie?

Jackie w skupieniu wysłuchiwała opowieści Lawsons o wszystkich wydarzeniach na miejscu zbrodni aż do momentu, gdy zawiózł czterech młodzieńców na komisariat.

– I na tym tak naprawdę skończyło się moje bezpośrednie zaangażowanie w tę sprawę – zakończył zastępca komendanta. – Wszystkimi dalszymi przesłuchaniami zajmowali się policjanci

z dochodzeniówki. Musieliśmy ściągnąć do pomocy funkcjonariuszy z innych wydziałów, bo nie mieliśmy dość ludzi, by samemu zająć się sprawą takiego kalibru. – Lawson odsunął fotel od biurka. – A teraz, jeśli mi pani wybaczy, każę przysłać tu posterunkową Pirie, by się panią zajęła. Zdoła pani opowiedzieć o śledztwie o wiele więcej niż ja.

Jackie podniosła swój dyktafon, ale go nie wyłączyła.

– Ma pan takie żywe wspomnienia z tamtej nocy – powiedziała, nasączając głos podziwem.

Lawson nacisnął przycisk interkomu.

– Margaret, poproś tu Karen. – Posłał Jackie uśmiech zdradzający polectaną próżność. – W tym zawodzie trzeba być skrupulatnym. Zawsze sporządzałem dokładne notatki. Poza tym musi pani pamiętać, że w St. Andrews morderstwa zdarzają się bardzo rzadko. W ciągu dziesięciu lat mojej służby w tym miasteczku mieliśmy tylko kilka przypadków. Więc oczywiście to utkwilo mi mocno w pamięci.

– I nigdy nie udało wam się nikogo aresztować?

Lawson zacisnął usta.

– Nie. Policjantom bardzo ciężko jest żyć z tym brzemieniem. Wszystko wskazywało na czterech studentów, którzy znaleźli ciało, ale nigdy nie zdobyliśmy przeciwko żadnemu z nich czegoś więcej niż poszlaki. Bazując na tym, gdzie leżało ciało, miałem przeczucie, że może był to jakiś rodzaj zabójstwa rytualnego, ale ten pomysł spełził na niczym i nigdy więcej nie spotkaliśmy się w naszym rejonie z podobną zbrodnią. Przykro mi to stwierdzić, ale zabójca Rosie Duff wciąż cieszy się wolnością. Oczywiście ludzie, którzy popełniają tego typu zbrodnie, często je powtarzają. Z tego wynika, że może ten ktoś siedzi już za kratkami za inne morderstwo.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę wejść – zawołał Lawson.

Kobieta, która wkroczyła do gabinetu, była całkowitym przeciwieństwem Jackie. Tam, gdzie dziennikarka była gibka i zwinna, Karen Pirie była toporna i pozbawiona gracji. Łączyła je jednak niedająca się ukryć iskra inteligencji, którą natychmiast dostrzegły w sobie nawzajem. Lawson przedstawił je sobie, po czym zręcznie skierował je obie do wyjścia.

– Powodzenia z artykułem – powiedział i stanowczo zamknął za nimi drzwi.

Karen poprowadziła Jackie po schodach do mieszczącego się piętro wyżej biura ich zespołu.

– Jest pani z Glasgow? – zapytała, gdy się wspinały.

– Tam się urodziłam i wychowałam. To wspaniałe miasto. Jak to mówią, każdy znajdzie tam coś dla siebie.

– To wygodnie dla ludzi z pani branży. Co sprawiło, że zainteresowała się pani tą sprawą?

Jackie natychmiast powtórzyła jej swoją historyjkę. Karen zdawała się widzieć w niej sens. Otworzyła drzwi do biura i wprowadziła ją do środka. Jackie rozejrzała się po pomieszczeniu, zauważając tablice korkowe pełne poprzipinanych zdjęć, map i notatek. Parę osób siedzących przy komputerach podniosło wzrok, gdy weszły, po czym wróciło do pracy.

– Tak przy okazji, nie muszę chyba dodawać, że wszystko, co pani zobaczy albo usłyszy w tym biurze, a co ma związek z obecnymi dochodzeniami albo jakkolwiek inną sprawą, jest poufne. Rozumiemy się? – rzekła policjantka.

– Nie jestem reporterką kryminalną. Nie interesuje mnie nic poza tym, o czym zgodziła się pani mi opowiedzieć. Zaręczam, że nie będzie żadnego ukradkowego szpiegowania.

Karen uśmiechnęła się. Spotkała w życiu zaledwie kilku dziennikarzy, a większości z nich nigdy by nie uwierzyła, gdyby twierdzili, że nie ukradną dziecku lizaka. Ale ta kobieta wydawała się inna. Na cokolwiek

polowała, nie uderzy z rozpędu, a potem nie zbiegnie oszukańczo z miejsca wypadku. Karen wskazała Jackie długi stół na kozłach stojący pod ścianą, na którym rozłożyła uprzednio materiały dotyczące oryginalnego śledztwa.

– Nie wiedziałam, ile szczegółów chce pani poznać – przyznała niepewnie, mierząc wzrokiem leżący przed nimi stos dokumentów.

– Muszę pojąć, jak śledztwo posuwało się naprzód. Jakie badano możliwości. I oczywiście – Jackie wybrała wyjątkowo skromną minę ze swego repertuaru – ponieważ zajmuję się dziennikarstwem, a nie historią, będą mi potrzebne nazwiska ludzi zaangażowanych w śledztwo oraz całe tło, jakie może mi pani nakreślić. Mam na myśli policjantów, patologa, kryminologów, tego typu sprawy.

– Pewnie, mogę pani podać nazwiska. Jeśli chodzi o tło, posiadam jedynie pobieżne informacje. Kiedy ta sprawa wstrząsnęła naszą społecznością, miałam zaledwie trzy lata. No i oczywiście oficer prowadzący, Barney MacLennan, zginął w trakcie dochodzenia. Wiedziała pani o tym, prawda?

Jackie potaknęła.

Karen mówiła dalej.

– Jediną ważniejszą osobą zajmującą się pierwotnie tą sprawą, którą udało mi się poznać, jest David Soanes, spec od medycyny sądowej. To on odwalił całą robotę, mimo że podpis na raporcie należy do jego szefa.

– Dlaczego tak się stało? – zapytała nonszalancko Jackie, próbując nie okazać euforii wywołanej faktem, że tak szybko i z taką łatwością udało jej się zdobyć to, czego chciała.

– Standardowa praktyka. Szef laboratorium podpisuje wszystkie raporty, choć czasem nawet nie dotknął żadnego dowodu. Dzięki temu dokument robi wrażenie na ławnikach.

– To tyle, jeśli chodzi o zeznania ekspertów – skomentowała sardonicznie Jackie.

– Robimy, co trzeba, żeby wsadzić złych ludzi za kratki – odparła Karen. Z jej strudzonego tonu jasno wynikało, że nie ma ochoty przyjmować defensywnej postawy w dyskusji na temat tak oczywistej kwestii. – W każdym razie w tym przypadku nie moglibyśmy trafić lepiej. David Soanes jest jednym z najbardziej drobiazgowych ludzi, jakich dane mi było poznać. – Policjantka wygięła usta w uśmiechu. – A obecnie to on podpisuje raporty innych. Jest profesorem medycyny sądowej na Uniwersytecie Dundee. Zajmują się tam wszystkimi naszymi kryminalistycznymi zleceniami.

– Czy mogłabym porozmawiać także z nim?

Karen wzruszyła ramionami.

– Jest całkiem przystępny. No dobrze, to od czego zaczniemy?

Dwie zdecydowanie monotonne godziny później Jackie w końcu zdołała od niej uciec. Wiedziała teraz więcej, niż kiedykolwiek by chciała o policyjnych procedurach w Fife pod koniec lat siedemdziesiątych. Nie przychodziło jej do głowy nic bardziej frustrującego niż zdobycie potrzebnych informacji na samym początku wywiadu, a potem konieczność kontynuowania go mimo wszystko z obawy, że wyda się jej ukryty cel. Oczywiście Karen nie pozwoliła jej obejrzeć oryginalnego raportu kryminalistycznego, ale Jackie wcale tego nie oczekiwała. Dostała to, po co przyszła. Teraz wszystko zależało od Alexa.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

ALEX STAŁ ZAPATRZONY W NOSIDEŁKO. Była tu, w miejscu, do którego należała. Ich córka, w ich domu. Luźno owinięta białym kocykiem, marszcząc buzię we śnie, Davina sprawiała, że jego serce śpiewało. Straciła tę poporodową wynędzniałość, która tak bardzo go przerażała przez pierwsze dni jej życia. Teraz wyglądała jak inne noworodki, a jej twarz nabierała indywidualnych cech. Chciał rysować jej nowy portret każdego dnia, by nigdy nie zapomnieć żadnego niuansu zachodzących w niej zmian.

Wypełniała jego zmysły. Gdy pochylał się nad nią nisko i wstrzymywał oddech, mógł usłyszeć leciutki szmer wciąganego przez nią powietrza. Jego nozdrza drżały, wyłapując niedający się z niczym pomylić zapach dziecka. Alex wiedział, że kocha Lynn, ale nigdy wcześniej nie czuł w sercu tak obezwładniającej potrzeby chronienia kogokolwiek. Lynn miała rację – musi zrobić wszystko, co w jego mocy, aby upewnić się, że będzie na miejscu, by obserwować, jak jego córka dorasta. Zdecydował, że później zadzwoni do Paula, żeby podzielić się z nim doniosłością tego wieczoru. Zrobiłby to, gdyby Ziggy wciąż żył, a Paul zasługiwał na to, by wiedzieć, że wciąż jest częścią ich życia.

Odległy dźwięk dzwonka oderwał go od wychwalania w myślach Daviny. Alex musnął śpiącą córeczkę najłżej, jak potrafił, po czym tyłem wyszedł z pokoju. Dotarł do drzwi frontowych parę sekund po Lynn, która wyglądała jak rażona piorunem po tym, jak zobaczyła stojącą na progu Jackie.

– A co ty tu robisz? – zapytała gniewnie.

– Alex ci nie powiedział? – odparła dziennikarka, przeciągając nieco wyrazy.

– Czego mi nie powiedział? – Lynn rozciągnęła swą złość również na męża.

– Poprosiłem Jackie o pomoc – oznajmił.

– No właśnie. – Jackie wydawała się bardziej rozbawiona niż obrażona.

– Poprosiłeś ją? – Lynn nawet nie próbowała ukryć pogardy. – Babę, która miała motyw, by zamordować mojego brata, i kontakty, które jej to umożliwiały? Alex, jak mogłeś?

– Zrobiłem to, bo wiedziałem, że ona też może coś w ten sposób zyskać. Co za tym idzie, mogłem zaufać, że nas nie wyda, by dzięki temu zdobyć artykuł na pierwszą stronę – wytłumaczył, usiłując udobruchać żonę, zanim Jackie się obruszy i odmaszeruje w noc, nie mówiąc mu, czego się dowiedziała.

– Nie zaproszę jej do mojego domu – oznajmiła kategorycznie Lynn. Alex wyrzucił ręce w górę.

– Niech ci będzie. W takim razie pozwól tylko, że wezmę płaszcz. Pójdziemy do pubu, jeśli nie masz nic przeciwko, Jackie.

Dziennikarka wzruszyła ramionami.

– Wszystko mi jedno. Ale ty stawiasz.

W milczeniu zeszli z łagodnego wzgórza do pubu. Alex nie był skłonny przeproszać za wrogość Lynn, a Jackie nie wydawała się chętna, by ją rozdmuchiwać. Gdy usiedli już wygodnie, każde z kieliszkiem czerwonego wina, Alex pytająco uniósł brwi.

– No i? Jakiś postęp?

Jackie wyglądała na zadowoloną z siebie.

– Zdobyłam nazwisko eksperta od medycyny sądowej, który badał dowody w sprawie Rosie Duff. A najlepsze jest to, że wciąż siedzi w tym

biznesie. Jest profesorem na Uniwersytecie Dundee. Nazywa się David Soanes i podobno jest zajebisty.

– Kiedy możesz iść się z nim spotkać? – zapytał Alex.

– Nie zamierzam się z nim spotykać. To twoje zadanie.

– Moje zadanie? Nie jestem dziennikarzem. Dlaczego miałby się zgodzić na rozmowę ze mną?

– Ty tu masz coś do stracenia. Zdaj się na jego łaskę i poproś o wszystkie informacje, jakich może ci udzielić, które mogłyby ci pomóc ruszyć tę sprawę z miejsca.

– Nie wiem, jak się przeprowadza wywiad – bronił się Alex. – I jak niby miałbym przekonać Soanesa, żeby mi cokolwiek zdradził? Przecież nie będzie chciał, żeby wyszło na to, że wcześniej coś przegapił.

– Alex, zdołałeś mnie namówić, żebym nadstawiała dla ciebie karku, a szczerze, to nawet nie lubię ani ciebie, ani twojej wrednej, małostkowej zoneczki. Dlatego myślę, że pewnie dasz radę urobić Davida Soanesa, żeby ci powiedział wszystko, co chcesz wiedzieć. Zwłaszcza że nie będziesz pytał o to, co przegapił, tylko o rzeczy, których nie dało się wtedy poddać analizie. Takie, których nie bez powodu nie umieścił w swoim raporcie. Jeśli podchodzi poważnie do swojej pracy, powinien z chęcią ci pomóc. Poza tym istnieje duże ryzyko, że nie będzie chciał rozmawiać z dziennikarką, która mogłaby go przedstawić jako niekompetentnego. – Jackie upiła łyk wina, skrzywiła się i wstała. – Daj mi znać, jak odkryjesz coś, co uwolni mnie od podejrzeń.

Lynn siedziała w oranżerii, obserwując światła na ujściu rzeki. Wilgotne powietrze tworzyło wokół nich rozmyte aureole, dodając im więcej tajemniczości, niż na to zasługiwały. Usłyszała, jak otwierają się drzwi wejściowe i Alex zawołał: „Już jestem!”. Zanim jednak zdołał do niej dołączyć, znów rozległ się dzwonek. Ktokolwiek przyszedł, nie była w nastroju, by się z nim spotkać.

Przytłumione głosy nabrały wyrazistości, rozbrzmiewając coraz bliżej, ale wciąż nie mogła poznać, kim jest ich późny gość. Wtedy otworzyły się drzwi i do ogrodu zimowego wkroczył Weird.

– Lynn! – zakrzyknął. – Słyszałem, że masz mi do pokazania swą piękną córeczkę!

– Weird! – zawołała ze zdumieniem wymalowanym na twarzy. – Jesteś ostatnią osobą, której bym się tu spodziewała.

– To dobrze – odparł. – Miejmy nadzieję, że wszyscy inni też będą tak myśleć. – Spojrzał na nią troskliwie. – Jak się trzymasz?

Lynn uścisnęła go, gdy wyciągnął ku niej ramiona.

– Wiem, że to zabrzmi głupio, skoro tak rzadko widywaliśmy się z Mondem, ale tęsknię za nim.

– To w pełni rozumiąłem. Wszyscy za nim tęsknimy i zawsze będziemy tęsknić. Był częścią nas, a teraz go zabrakło. To, że jest obecnie z Bogiem, stanowi marną pociechę, jeśli się weźmie pod uwagę, ile straciliśmy wraz z jego odejściem.

Przez chwilę stali w milczeniu, po czym Lynn odsunęła się.

– Ale co ty tutaj robisz? Myślałam, że po pogrzebie poleciałeś z powrotem prosto do Stanów.

– Bo tak było. Wysłałem żonę i dzieciaki w góry, w miejsce, w którym nie znajdzie ich nikt, kto ma ze mną jakiś problem. A potem sam zniknąłem. Przekroczyłem granicę z Meksykiem. Lynn, nie jedź do Tijuany, o ile nie masz niezniszczalnego żołądka. Jedzenie mają tam najgorsze na świecie, ale prawdziwa niestrawność dotyczy duszy, gdy widzi się zderzenie ekstrawaganckiej zamożności Stanów i skrajnej nędzy Meksyku. Było mi wstyd za mój przybrany kraj i jego mieszkańców. Wiedziałaś, że Meksykanie nawet malują swoje osły w paski jak u zebry, żeby turyści mogli robić sobie z nimi zdjęcia? Do takich rzeczy ich doprowadziliśmy.

– Oszczędź nam kazania, Weird. Mów, co cię sprowadza – burknęła Lynn.

Pastor wyszczerzył zęby.

– Już zapomniałem, że potrafisz być szczerą do bólu. Cóż, po pogrzebie Monda gnębił mnie dość spory niepokój. Wynająłem więc prywatnego detektywa z Seattle. Chciałem odkryć, kto wysłał ten wieniec na pogrzeb Ziggy’ego. A on znalazł odpowiedź. Taką, która dała mi dobry powód, by znów tu przyjechać. Poza tym uznałem, że to będzie ostatnie miejsce, gdzie ten ktoś, kto być może mnie szuka, będzie się spodziewał mnie znaleźć. Najciemniej jest pod latarnią.

Alex przewrócił oczami.

– Nie ulega wątpliwości, że przez ostatnie lata nauczyłeś się paru teatralnych sztuczek. Powiesz nam w końcu, czego się dowiedziałeś?

– Człowiek, który wysłał te wieńce, mieszka tu, w Fife. A dokładnie w St. Monans. Nie wiem, kim jest, ani jaki ma związek z Rosie Duff, ale nazywa się Graham Macfadyen.

Alex i Lynn wymienili zaniepokojone spojrzenia.

– My wiemy, kim on jest – przyznał Alex. – A przynajmniej możemy zgadywać z dużą dozą prawdopodobieństwa.

Teraz z kolei Weird zrobił zaskoczoną i zniecierpliwioną minę.

– Wiecie? Skąd?

– To syn Rosie Duff – wyjaśniła Lynn.

Weird wybałuszył oczy.

– Rosie miała syna?

– Nikt o nim wtedy nie wiedział. Został adoptowany tuż po urodzeniu. Musiał mieć trzy albo cztery lata, kiedy zginęła – wytłumaczył Alex.

– O Boże – westchnął Weird. – No cóż, to by miało sens, prawda? Pewnie dopiero niedawno dowiedział się o tym, że została zamordowana, tak?

– Spotkał się z Lawsonem po tym, jak zaczęli rewizję nierozwiązanych spraw. Zaczął poszukiwania swojej biologicznej matki zaledwie parę miesięcy wcześniej.

– Jeśli uznał, że to wasza czwórka ją zabiła, to miałyby motyw – wtrąciła Lynn. – Musimy się dowiedzieć więcej o tym Macfadyenie.

– Powinniśmy sprawdzić, czy był w Stanach w tamtym tygodniu, kiedy zginął Ziggy – oznajmił Alex.

– Jak to zrobimy? – zapytała Lynn.

Weird podniósł rękę.

– Lotnisko w Atlancie to główny węzeł Deltę. Jeden z moich parafian zajmuje tam dość wysokie stanowisko. Myślę, że zgodziłby się zdobyć dla nas listy pasażerów. Podobno linie lotnicze cały czas wymieniają się takimi informacjami. Do tego mam dane karty kredytowej Macfadyena, co może ułatwić sprawę. Jeśli nie macie nic przeciwko, to może potem do niego przedzwonię?

– No pewnie – zgodził się Alex, po czym przekrzywił głowę. – Czyżbym słyszał Davinę? – Skierował się do drzwi. – Przyniosę ją tutaj.

– Dobra robota, Weird – pochwaliła przyjaciela Lynn. – Nigdy bym nie pomyślała, że taki z ciebie metodyczny zbieracz informacji.

– Zapominasz, że kiedyś byłem matematykiem, i to cholernie dobrym. Cała reszta to były po prostu desperackie próby, by nie wyrosnąć na takiego samego człowieka jak mój ojciec. Czego, dzięki Bogu, udało mi się uniknąć.

Alex wrócił z Daviną popłakującą mu w ramionach.

– Myślę, że jest głodna.

Weird wstał i spojrzał z góry na maleńkiego noworodka.

– Och – powiedział głosem aksamitnym jak mleko. – Jaka piękna. – Podniósł wzrok na Alexa. – Teraz rozumiesz, dlaczego jestem zdeterminowany, by wyjść cało z tej afery.

Macfadyen, siedzący właśnie pod mostem, obserwował z góry całą scenę. To był wieczór pełen wydarzeń. Po pierwsze, przyszła ta kobieta. Widział ją wcześniej na pogrzebie; patrzył, jak wdowa Kerr odjeżdża w jej samochodzie. Śledził je do mieszkania w Merchant City, a potem, parę dni później, pojechał za Gilbeyem w to samo miejsce. Zastanawiał się, jaki miała z nimi związek, jak wpasowywała się w skomplikowany wzór. Czy była po prostu przyjaciółką rodziny? A może kimś więcej?

W każdym razie nie została tu ciepło przyjęta. Poszła z Gilbeyem do pubu, ale zostali tam raptem na jednego drinka. Potem, gdy Gilbey wrócił do domu, zjawiała się prawdziwa niespodzianka. Mackie powrócił do Szkocji. Powinien siedzieć bezpiecznie w Georgii, prowadząc duchowo stadko swoich wiernych. A teraz był znowu tutaj, w Fife, w towarzystwie swojego partnera w zbrodni. Ludzie nie porzucają tak swobodnie swojego ustabilizowanego życia, o ile nie mają ku temu dobrego powodu.

To był jego dowód. Dało się to poznać po ich minach. Nie patrzył na radosne spotkanie dawno niewidzianych przyjaciół ani na ludzi zgromadzonych, by świętować przywiezienie córki Gilbeya ze szpitala. Tych dwóch miało coś do ukrycia, sekret, który przyciągnął ich do siebie w chwili zagrożenia. Strach sprawił, że znów zaczęli krążyć nawzajem po swoich orbitach. Byli przerażeni, że nieunikniona kara, która dopadła ich przyjaciół morderców, teraz spotka ich samych. Tulili się do siebie, łaknąc poczucia bezpieczeństwa.

Macfadyen uśmiechnął się ponuro. Lodowata ręka przeszłości wyciągała się nieuchronnie po Gilbeya i Mackiego. Dziś w nocy nie będą spać spokojnie. I właśnie tak powinno być. Miał wobec nich plany. A im bardziej przestraszeni będą teraz, tym lepiej będzie, gdy jego zamiary się spełnią. Nacieszyli się dwudziestoma pięcioma latami spokoju; to więcej, niż było dane jego matce. Teraz ten czas dobiegł końca.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

NASTAŁ SZARY, DŹDŻYSTY PORANEK. Posępna, gęsta mgła znad wybrzeża przesłaniała widok z North Queensferry. Gdzieś w oddali syrena przeciwmgielna okrętu wymuczała swe przygnębiające ostrzeżenie, jak krowa w żałobie po martwym cielaku. Alex, nieogolony i przyćmiony od przerywanego snu, oparł się łokciami o blat śniadaniowego stołu i patrzył, jak Lynn karmi Davinę.

– To była dobra czy zła noc? – zapytał żonę.

– Myślę, że w miarę średnia – odparła, ziewając. – Dziecko w tym wieku trzeba karmić regularnie co kilka godzin.

– Pierwsza w nocy, trzecia trzydzieści, szósta trzydzieści. Jesteś pewna, że to niemowlak, a nie jakiś obżarciuch?

Lynn pokazała zęby w uśmiechu.

– Jak prędko wędnie pierwszy kwiat miłości – zakpiła.

– Gdyby naprawdę tak było, naciągnąłbym poduszkę na głowę i z powrotem zasnął, zamiast wstać, zrobić ci herbatę i zmienić małej pieluchę – odparł Alex obronnym tonem.

– Gdyby Weird nie przyjechał, mógłbyś spać w pokoju gościnnym.

Alex pokręcił głową.

– Nie chcę spać w osobnym pokoju. Zobaczymy, jak nam pójdzie.

– Ale potrzebujesz snu. W końcu prowadzisz firmę.

Alex prychnął.

– W przerwach między jeżdżeniem po kraju i konsultacjami z ekspertami od medycyny sądowej?

– No właśnie. Nie przeszkadza ci, że Weird do nas przyjechał?

– A dlaczego miałyby mi to przeszkadzać?

– Tak się tylko zastanawiałam. Od dziecka mam podejrzliwą naturę. Wiesz, zawsze mi się wydawało, że z waszej czwórki tylko on mógłby zabić Rosie. Więc czuję się trochę niepewnie, kiedy tak niespodziewanie się tu zjawiał.

Alex był zakłopotany.

– Według mnie to właśnie całkiem oczyszcza go z podejrzeń. Jaki mógłby mieć motyw, żeby zacząć nas zabijać po dwudziestu pięciu latach?

– Może usłyszał o tym policyjnym programie powrotu do starych spraw i przestraszył się, że po tych wszystkich latach któryś z was może wskazać na niego?

– Zawsze testujesz granice możliwości, co, Lynn? On jej nie zabił. Nie byłby do tego zdolny.

– Ludzie robią straszne rzeczy po zażyciu narkotyków. Z tego, co pamiętam, Weird nigdy sobie niczego nie żałował. Ukradł wtedy land rovera, a ona pewnie знаła go na tyle dobrze, że mogła się zgodzić, by ją podwiózł. A potem przeszedł to niespodziewane, dramatyczne nawrócenie. Wiesz, to mogło wynikać z poczucia winy.

Alex pokręcił głową.

– To mój przyjaciel. Zorientowałbym się, gdyby to był on.

Lynn westchnęła.

– Pewnie masz rację. Czasami trochę mnie ponosi. Po prostu jestem teraz bardzo podenerwowana. Wybacz.

Gdy mówiła, do kuchni wkroczył Weird. Wykapany i ogolony, wyglądał jak okaz zdrowia i siły.

Alex rzucił na niego okiem i jęknął.

– O Boże, jesteś jak Tygrysek.

– Macie w pokoju gościnnym wspaniałe łóżko – rzekł Weird, rozglądając się po pomieszczeniu w poszukiwaniu ekspresu do kawy.

Przeszedł przez kuchnię i zaczął otwierać szafki, aż znalazł kubki. – Spałem jak dziecko.

– Nie sądzę – odparła Lynn. – No chyba że budziłeś się z płaczem co trzy godziny. Nie dopadły cię dolegliwości związane ze zmianą czasu?

– Nigdy ich nie doświadczam – oznajmił pogodnie Weird, nalewając sobie kawy. – Alex, kiedy wyruszamy do Dundee?

Alex drgnął lekko.

– Muszę najpierw zadzwonić i umówić się na spotkanie.

– Oszalałeś? Chcesz mu dać okazję do odmowy? – oburzył się Weird, grzebiąc w chlebaku. Wyciągnął trójkątny farl i mlasnął. – Mmm. Nie jadłem takich od lat.

– Czuj się jak u siebie – powiedział Alex.

– Tak też czynię. – Weird urządził nalot na lodówkę, szukając masła i sera. – Nie, Alex. Żadnych telefonów. Po prostu zjawimy się tam i damy ludziom jasno do zrozumienia, że nie znikniemy, dopóki profesor Soanes nie znajdzie dla nas okienka.

– Co takiego? Żeby mógł z niego wyskoczyć? – Alex nie mógł oprzeć się pokusie, by ponaśmiewać się trochę z Weirda i jego przysposobienia amerykańskich idiomów. Brzmiały tak dziwacznie, wypowiedane z akcentem, który w ciągu jednej nocy stał się wyraźnie bardziej szkocki.

– Boki zrywać. – Weird znalazł sobie talerz oraz nóż, po czym usiadł przy stole.

– Nie sądzisz, że profesora może to ociupinkę zdenerwować? – zapytała Lynn.

– Myślę, że to mu pokaże, jak poważnie traktujemy tę sprawę – odparł. – W mojej opinii tak właśnie postąpiliby dwaj faceci, którzy boją się o swoje życie. To nie pora na uprzejmości, stateczność i posłuszeństwo. Przyszedł czas, by powiedzieć: „Jesteśmy naprawdę przerażeni, a pan może nam pomóc”.

Alex zamrugał.

– Na pewno chcesz jechać tam ze mną? – Surowe spojrzenie jego przyjaciela zatrzymałoby w pół kroku nawet nieposłusznego nastolatka. Alex poddał się, wyrzucając ręce w górę. – No dobra. Daj mi pół godziny.

Lynn popatrzyła za mężem z troską wypisaną na twarzy.

– Nie martw się, Lynn – powiedział pastor. – Będę go pilnował.

Parsknęła śmiechem.

– O Boże, Weird, niech to nie będzie moja jedyna nadzieja.

Weird przełknął kęs farla i zastanowił się nad jej słowami.

– Wiesz, Lynn, naprawdę nie jestem już osobą, którą pamiętasz – rzekł poważnie. – Zapomnij o fazie nastoletniego buntu. Zapomnij o nadużywaniu alkoholu i narkotykach. Pomyśl o tym, że zawsze miałem odrobione zadania domowe i wypracowania napisane na czas. Tylko pozornie wyglądałem na wykolejeńca. Pod całą tą otoczką byłem równie porządnym młodzieńcem jak Alex. Wiem, że wszyscy śmiejecie się w duchu, że macie telewizyjnego ewangelistę na liście adresów do wysyłania bożonarodzeniowych kartek, a kartki od was zawsze są piękne, dziękuję bardzo. Ale mimo całej mej kwiecistości bardzo poważnie podchodzę do swojej wiary i pracy. Kiedy mówię, że będę pilnował Alexa, możesz mi wierzyć, że będzie ze mną równie bezpieczny, jak w każdym innym towarzystwie.

Utemperowana, ale z nadal tłącą się w niej podejrzliwością, Lynn przesunęła córeczkę od jednej piersi do drugiej.

– Proszę, słoneczko. – Skrzywiła się na wciąż obce uczucie, gdy twarde dźwiasty zacisnęły się na jej sutku. – Wybacz. Po prostu trudno mi zapomnieć o czasach, kiedy znałam cię najlepiej.

Weird dopił kawę i wstał od stołu.

– Rozumiem. Ja wciąż myślę o tobie jak o niemądrej małolacie śliniącej się na myśl o Davidzie Cassidym.

– Ty dupku.

– Pójdę się teraz trochę pomodlić – oznajmił Weird, zacierając do drzwi. – Mnie i Alexowi przyda się wszelka możliwa pomoc.

Z zewnątrz Old Fleming Gymnasium w ogóle nie odpowiadało wyobrażeniom Alexa o tym, jak powinno wyglądać laboratorium kryminalistyczne. Utknięty w wąskiej alejce budynek z wiktoriańskiego piaskowca pokryty był brudem narastającym od stuleci. Konstrukcja nie była brzydka, jej pojedynczy poziom proporcjonalnie dzieliły wysokie, łukowate okna w stylu włoskim. Po prostu nie wyglądała na miejsce, w którym dochodziło do przełomów medycyny sądowej.

Weird wyraźnie odniósł takie samo wrażenie.

– Jesteś pewien, że to tutaj? – zapytał z wahaniem u wylotu uliczki.

Alex wskazał mu budynek po drugiej stronie ulicy.

– Tam jest kawiarnia OTI. Według wskazówek ze strony internetowej uniwersytetu, właśnie tu powinniśmy skręcić.

– Bardziej przypomina mi bank niż salę gimnastyczną lub laboratorium – uznał pastor, niemniej jednak ruszył wąskim przejściem śladem Alexa.

Recepcja nie zdradzała zbyt wiele. Za biurkiem siedział i klepał w klawiaturę młody mężczyzna z ciężkim przypadkiem łuszczycy i ubiorem zainspirowanym stylem beatników z lat pięćdziesiątych. Spojrzał na nich z uwagą zza okularów o grubych, czarnych oprawkach.

– W czym mogę pomóc?

– Zastanawialiśmy się, czy moglibyśmy zamienić słówko z profesorem Soanesem – oznajmił Alex.

– Czy byli panowie umówieni?

Alex pokręcił głową.

– Nie. Ale bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdyby zgodził się nas przyjąć. Chodzi o śledztwo, nad którym kiedyś pracował.

Recepcjonista faliście kręcił głową na boki niczym hinduski tancerz.

– Nie sądzę, by to było możliwe. Profesor jest niezwykle zajęтым człowiekiem.

– To tak jak my – wciął się Weird, wychylając się ku niemu. – I chcemy z nim porozmawiać o sprawie życia lub śmierci.

– Mój Boże – odparł młody człowiek. – Toż to Tommy Lee Jones rodem z Tayside.

Jego komentarz powinien zabrzmieć obraźliwie, ale wypowiedział go rozbawionym tonem tak pełnym admiracji, że nie było mowy o żadnej złośliwości.

Weird posłał mu harde spojrzenie.

– Możemy poczekać – wtrącił Alex, zanim między tą dwójką zdążyła się zrodzić wrogość.

– Będziecie panowie musieli. Profesor prowadzi teraz seminarium. Pozwolę sobie sprawdzić jego dzisiejszy harmonogram. – Postukał w klawiaturę. – Czy mogą panowie wrócić o trzeciej? – zapytał po paru sekundach.

Weird skrzywił się.

– Mamy łązić po Dundee przez pięć godzin?

– Wspaniale, trzecia nam pasuje – rzekł Alex, piorunując przyjaciela wzrokiem. – Chodź, Tom.

Podali recepcjoniście swoje nazwiska, podstawowe informacje dotyczące sprawy Rosie i numer komórki Alexa, po czym wyszli z budynku.

– Ale z ciebie czaruś – odezwał się Alex, gdy szli z powrotem do auta.

– Zauważ jednak, że osiągnęliśmy nasz cel. Gdyby to zależało od pana suplikanta z recepcji, mielibyśmy szczęście, gdyby udało nam się umówić z profesorem przed końcem semestru. To co chcesz robić przez następnych pięć godzin?

– Moglibyśmy pojechać do St. Andrews – zasugerował Alex. – To zaraz za mostem.

Weird stanął jak wryty.

– Chyba żartujesz.

– Nie. Mówię całkiem poważnie. Myślę, że nie zaszkodzi, jeśli przypomnimy sobie trochę okolicę. Nie martw się, nie sądzę, by po tylu latach ktoś nas tam rozpoznał.

Dłoń Weirda powędrowała do miejsca na jego piersi, gdzie zazwyczaj wisiał krzyż. Pastor cmoknął z niezadowoleniem, gdy potarł palcami jedynie materiał ubrania.

– Niech będzie – zgodził się. – Pod warunkiem że będziemy się trzymali z dala od Butelkowego Lochu.

Jazda do St. Andrews była osobliwym, zakłócającym rzeczywistość doświadczeniem. Po pierwsze, jako studenci prawie nigdy nie mieli dostępu do samochodu, więc wcześniej nie patrzyli na miasteczko z perspektywy człowieka zmotoryzowanego. Po drugie, po drodze mijali budynki, których nie było tam za ich uniwersyteckich czasów. Rozciągnięte szeroko betonowe mury hotelu Old Course, neoklasyczny walec Muzeum Uniwersytetu St. Andrews, oceanarium Sea Life Centre za wiecznie nieugiętym budynkiem klubu Royal and Ancient, świątyni golfa.

Weird czuł się nieswojo, wyglądając przez okno.

– Trochę się tu zmieniło.

– Oczywiście, że tak. Minęło prawie ćwierć wieku.

– Pewnie dość często tu przyjeżdżasz?

Alex pokręcił głową.

– Nie postawiłem tu nogi od dwudziestu lat.

Przejechał powoli ulicą The Scores, po czym ostatecznie wcisnął swoje bmw na miejsce parkingowe dopiero co zwolnione przez kobietę w renaulcie.

Wysiedli w milczeniu z auta i pieszo ruszyli niegdyś znajomymi trasami. Alex pomyślał, że przypomina to chwilę, gdy po tych wszystkich latach znów zobaczył Weirda. Kościec się nie zmienił. Nie dało się go

pomylić z nikim innym ani wziąć kogoś obcego za niego. Ale powierzchnia nie była już taka jak wcześniej. Pewne zmiany były subtelne, inne gruntowne. Tak samo czuł się, spacerując po St. Andrews. Niektóre sklepy znajdowały się nadal w tych samych lokalizacjach i wciąż miały identyczne fasady. Paradoksalnie to właśnie one wyglądały dziwnie nie na miejscu, jakby w jakiś sposób ominęło je zakrzywienie czasoprzestrzeni, które objęło resztę miasteczka. Sklep ze słodyczami wciąż trwał niezmiennie jak pomnik narodowego umiłowania cukru. Alex rozpoznał restaurację, gdzie zjedli swój pierwszy chiński posiłek; smaki były obce i dezorientujące dla podniebień przytępionych znaną im starą, dobrą kuchnią. Wtedy było ich czterech, beztrojskich i pewnych siebie. Nie miały się ich żadne złe przeczucia. *A teraz zostało ich tylko dwóch.*

Nie dało się uciec od uniwersytetu. W szesnastotysięcznym miasteczku jedna trzecia mieszkańców zarabiała dzięki niemu na życie, a gdyby jego budynki w zagadkowy sposób z dnia na dzień obróciły się w proch, zostawiłyby po sobie ziejące w krajobrazie wyrwy przypominające dziury po zębach. Studenci pomykali ulicami. Od czasu do czasu Alexowi i Weirdowi migały charakterystyczne czerwone flanelowe togi, którymi ich właściciele owijali się dla ochrony przed chłodem. Trudno było uwierzyć, że kiedyś oni również robili to samo. Alex na chwilę cofnął się o lata. Przypomniawszy sobie Ziggy'ego i Monda w dystyngowanym sklepie z odzieżą męską, przymierzających swe nowe togi. Alex i Weird musieli się zadowolić takimi z drugiej ręki, ale za to w pełni skorzystali z okazji, by w ramach odwetu źle się zachowywać i naginali cierpliwość pracowników sklepu do granic możliwości. Ta myśl wydawała mu się teraz dziwna i odległa, jakby oglądał film, a nie wspomnienie.

Gdy zbliżyli się do West Port, przez kamienne łuki masywnej bramy zobaczyli znajomą pierzeję baru Lammas. Weird zatrzymał się gwałtownie.

– To mi strzępi nerwy, Alex. Nie mogę tego znieść. Chodźmy już stąd. Alex nawet się ucieszył z tej propozycji.

– To co, jedziemy z powrotem do Dundee?

– O nie, mój drogi. Wróciłem do Szkocji po części dlatego, żeby przycisnąć tego Grahama Macfadyena w kwestii wieńców. St. Monans nie jest daleko stąd, prawda? Pojedźmy tam i zobaczmy, co ma na swoje usprawiedliwienie.

– Jest środek dnia. Będzie w pracy – zauważył Alex, przyspieszając, by dotrzymać kroku Weirdowi zamaszycie kierującemu się z powrotem do samochodu.

– No to przynajmniej obejrzymy sobie jego dom. I może wrócimy tam po rozmowie z profesorem Soanese.

Alex z rezygnacją pojął, że kiedy Weird wpadał w taki nastrój, nie było sensu się z nim kłócić.

Macfadyen nie rozumiał, jaki był ich cel. Siedział na swym stanowisku niedaleko domu Gilbeya od siódmej rano i poczuł rozgrzewającą radość płynącą z satysfakcji, gdy obaj wsiedli do samochodu i ruszyli w drogę. Partnerzy w zbrodni wyraźnie coś planowali. Śledził ich przez Fife aż do Dundee i podążył za nimi uliczką Small's Wynd. Gdy tylko zniknęli w starym budynku z piaskowca, pospieszył ich śladem. Tabliczka na drzwiach głosiła, że mieści się tu Wydział Kryminalistyki, co trochę zbiło go z tropu. Czego szukali? Po co tu przyszli?

Bez względu na to, czym to coś było, nie zajęło im wiele czasu. W ciągu dziesięciu minut znów znaleźli się na ulicy. Niemal ich zgubił przy zjeździe na most Tay Bridge, ale zdołał ich dogonić, gdy zwolnili, by skręcić w drogę prowadzącą do St. Andrews. Potem miał mały problem ze znalezieniem miejsca parkingowego i ostatecznie zostawił samochód na czyimś podjeździe, blokując wyjazd.

Nie spuszczał ich z oczu, gdy spacerowali po miasteczku. Wydawało się, że nie zmiierzają w żadne konkretne miejsce. Parę razy wracali po własnych śladach, przemierzając w tę i w tę ulice North Street, Market Street i South Street. Na szczęście Mackie był dość wysoki, by wyróżniać się spośród innych ludzi, więc nie było zbyt trudno podążać ich tropem. Wtedy pojął nagle, że ich z pozoru bezcelowa wędrówka przybliżała ich coraz bardziej do West Port. Szli do Lammas. Mieli czelność przejść przez barowe drzwi i odwiedzić miejsce, gdzie upatrzyli sobie jego matkę na ofiarę.

Pot zrosił Macfadyenowi górną wargę, mimo że dzień był zimny i wilgotny. Wskaźniki ich winy mnożyły się z każdą kolejną godziną. Gdyby byli niewinni, trzymaliby się z dala od baru Lammas. Gdyby byli niewinni i mieli trochę szacunku. Ale poczucie winy przyciągało ich do tego miejsca jak magnes, był tego pewien.

Zatopił się w myślach do tego stopnia, że prawie na nich wpadł. Zatrzymali się nieoczekiwanie na środku chodnika, a on szedł dalej. Z sercem tłukącym mu się w piersi, obszedł ich, odwracając twarz. Chwilę później skręcił na próg jakiegoś sklepu i spojrzał do tyłu, zaciskając w kieszeniach dłonie lepkie od potu. Nie wierzył własnym oczom. Stchórzyli. Odwrócili się plecami do West Port i ruszyli z powrotem South Street w kierunku, z którego przyszli.

Musiał prawie zerwać się do biegu, żeby ich nie zgubić, gdy poszli skrótem przez serię zaułków. Wybór wąskich alejek zamiast szerszych dróg wydawał się Macfadyenowi krzykliwym wyrazem poczucia winy. Gilbey i Mackie chowali się przed światem, kryjąc się przed oskarżycielskim wzrokiem ludzi, który w ich wyobraźni bombardował ich na każdej ulicy.

Zanim dotarł do swego samochodu, jechali już w stronę katedry. Klnąc pod nosem, Macfadyen usiadł za kierownicą i niecierpliwie dodał gazu. Prawie ich dogonił, gdy spotkał go okrutny cios od losu. Przy końcu

Kinkell Braes trwały roboty drogowe i otwarty był tylko jeden pas kontrolowany światłami. Gilbey pomknął naprzód w chwili, gdy żółte zmieniało się na czerwone, jakby wiedział, że musi uciekać. Gdyby między nimi nie było żadnego innego pojazdu, Macfadyen zaryzykowałaby i przejechała na czerwonym, ale blokował go van z częściami zamiennymi do samochodów. Wściekle walnął pięścią w kierownicę, kipiąc ze złości przez minuty, które upłynęły, zanim w końcu znów rozbłysło zielone światło. Van zaczął wpełzać na wzgórze, a Macfadyen siedział mu na ogonie. Przejechał jednak dobrych parę kilometrów, zanim był w stanie go wyprzedzić. Tak naprawdę wiedział, że nie ma już szans dogonić bmw Gilbeya.

Czuł, że zbiera mu się na płacz. Nie miał pojęcia, dokąd się udali. Ten konsternujący poranek nie dał mu żadnych wskazówek. Rozważył powrót do domu. Mógłby sprawdzić komputery, zobaczyć, czy pojawiło się coś nowego. Nie widział w tym jednak sensu. Internet mu nie powie, dokąd pojechali Gilbey i Mackie.

Mógł być pewien jedynie tego, że prędzej czy później wrócą do North Queensferry. Przeklinając się za swe niedociągnięcia, Macfadyen zdecydował, że równie dobrze może tam pojechać od razu.

W chwili gdy Graham Macfadyen mijał rozgałęzienie drogi, które zawiodłoby go do domu, Weird i Alex siedzieli właśnie przed jego lokum.

– Zadowolony? – zapytał Alex.

Weird zdążył już pokonać ścieżkę i na próżno załomotać w drzwi. Potem obszedł cały dom, zaglądając przez okna do środka. Alex był pewien, że w każdej chwili może zjawić się policja, zaalarmowana przez jakiegoś wścibskiego sąsiada. Ale to nie była okolica, w której ludzie spędzali cały dzień w domu.

– Przynajmniej wiemy, gdzie go znaleźć – oznajmił Weird. – Wygląda na to, że mieszka sam.

– Skąd to przekonanie?

Weird spojrział na niego jak na głupka.

– Nie widać tu kobiecej ręki, co?

– Dosłownie żadnych przejawów. No dobra, miałeś rację. To była strata czasu. – Weird zerknął na zegarek. – Chodź, znajdziemy porządny pub i zjemy jakiś lunch. A potem możemy wracać do nadobnego Dundee.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

PROFESOR DAVID SOANES był pyzaty męczyzną o budowie misia. Z zaróżowionymi policzkami, kurtynką kręconych białych włosów wokół lśniącej łysiny na czubku głowy i niebieskimi oczami z prawdziwym błyskiem był niepokojąco podobny do ogolonego Świętego Mikołaja. Zaprosił Alexa i Weirda do maleńkiego boks, w którym ledwie starczyło miejsca na jego biurko i dwa krzesła dla gości. Pokój był spartański; jedyną dekorację stanowił certyfikat ogłaszający Soanesa honorowym obywatelem miasta Srebrenicy. Alex nie chciał myśleć, co profesor musiał zrobić, by zasłużyć na ten zaszczyt.

Soanes wskazał im krzesła i usiadł na swoim miejscu. Jego okrągły brzuch stykał się z blatem biurka. Ekspert zacisnął usta i bacznie im się przyjrzał.

– Fraser powiedział mi, że chcą panowie porozmawiać o sprawie Rosemary Duff – rzekł po długiej chwili. Głos miał głęboki i afektowany jak dickensowski bożonarodzeniowy pudding. – Mam parę pytań, które chciałbym wam najpierw zadać. – Zerknął na trzymaną kartkę. – Alex Gilbey i Tom Mackie. Zgadza się?

– Tak – odparł Alex.

– I nie jesteście dziennikarzami?

Alex wyłowił swą wizytówkę i podał mu ją.

– Ja prowadzę firmę produkującą kartki okolicznościowe. Tom jest pastorem. Nie jesteśmy dziennikarzami.

Soanes uważnie przestudiował wizytówkę, obracając ją nieco, by sprawdzić, czy wytłoczenia są prawdziwe. Potem uniósł krzaczastą białą

brew.

– Dlaczego interesuje was sprawa Rosemary Duff? – zapytał raptownie.

Weird nachylił się ku niemu.

– Jesteśmy dwoma z czterech chłopaków, którzy znaleźli ją umierającą w śniegu dwadzieścia pięć lat temu. Nasze ubrania pewnie trafiły pod pański mikroskop.

Soanes lekko przekrzywił głowę. Zmarszczki w kącikach jego oczu niemal niezauważalnie się napięły.

– To było bardzo dawno temu. Dlaczego przyszliście tu dzisiaj?

– Sądzymy, że ktoś chce nas zabić – obwieścił Weird.

Tym razem Soanes uniósł obie brwi.

– Nie nadążam. Co to ma wspólnego ze mną albo z Rosemary Duff?

Alex położył rękę na ramieniu Weirda.

– Z naszej czwórki, która była na Hallow Hill tamtej nocy, dwóch zmarło w ciągu ostatnich sześciu tygodni. Obaj zostali zamordowani. Wiem, że to może być zwykły przypadek. Ale na obu pogrzebach znaleźliśmy identyczne wieńce z napisem „Rozmaryn ku pamięci” i mamy podstawy, by przypuszczać, że wysłał je syn Rosie Duff.

Soanes zmarszczył czoło.

– Wydaje mi się, że wybraliście złe miejsce, panowie. Powinniście porozmawiać z policją z Fife, która właśnie przeprowadza rewizję różnych spraw, w tym właśnie tej.

Alex pokręcił głową.

– Już u nich byłem. Komendant Lawson w zasadzie powiedział mi, że mam paranoję, przypadki się zdarzają, a ja powinienem zabierać się z jego biura i przestać się martwić. Myślę jednak, że nie ma racji. Myślę, że ktoś nas zabija, bo jest przekonany, że to my zamordowaliśmy Rosie. Jedyne sposobem, by się ratować, jaki przyszedł mi do głowy, to odkrycie, kto naprawdę za tym stoi.

Twarz Soanesa na ułamek sekundy przybrała nieodgadniony wyraz, gdy usłyszał nazwisko Lawsona.

– Mimo wszystko wciąż nie do końca rozumiem, co was tu przywiodło. Moje osobiste zaangażowanie w tę sprawę dobiegło końca dwadzieścia pięć lat temu.

– Jesteśmy tu, bo policja zgubiła dowody – wtrącił Weird, niezdolny długo wytrzymać bez dźwięku własnego głosu.

– Chyba się mylicie, panowie. Niedawno przeprowadziliśmy dla nich testy jednego z nich. Nie znaleźliśmy jednak choćby śladu DNA.

– Przebadaliście kardigan – wyjaśnił Alex. – Ale wszystkie ważne rzeczy, ubrania ze śladami krwi i spermy, zniknęły.

Zainteresowanie profesora niezaprzeczalnie i gwałtownie wzrosło.

– Zgubili oryginalne dowody?

– Tak mi powiedział Lawson – potwierdził Alex.

Soanes z niedowierzaniem potrząsnął głową.

– Przerażające. Ale niezbyt zaskakujące przy takim dowództwie. – Zmarszczył czoło w wyrazie dezaprobaty. Alex był ciekaw, co jeszcze zrobiła policja hrabstwa Fife, że straciła jego szacunek. – No cóż, nie jestem pewien, co w waszej opinii mógłbym dla was zrobić bez najważniejszych fizycznych dowodów.

Alex wziął głęboki oddech.

– Wiem, że to pan pracował wtedy nad tą sprawą. Dowiedziałem się też, że eksperci od medycyny sądowej nie zawsze wspominają o wszystkich szczegółach w swoich raportach. Zastanawiałem się, czy było coś, czego dwadzieścia pięć lat temu nie napisał pan w swoim sprawozdaniu. Mam na myśli szczególnie kwestie związane z farbą, skoro z dowodów został jedynie kardigan, a po tym, jak policjanci go znaleźli, przyszedli do naszego domu i wzięli stamtąd próbki farb.

– A dlaczego miałbym cokolwiek wam powiedzieć, zakładając, że to, o czym mi mówicie, naprawdę miało miejsce? To zdecydowanie nie jest

normalna praktyka. Przecież w zasadzie byliście podejrzanymi.

– Nie podejrzanymi, tylko świadkami – odparł gniewnie Weird. – A pan powinien nam pomóc, bo jeśli pan tego nie zrobi i ktoś nas zamorduje, trudno panu będzie wyprostować sprawy z Bogiem i własnym sumieniem.

– I dlatego, że naukowcy powinni dążyć do poznania prawdy – dodał Alex. Uznał, że czas zaryzykować. – A ja odnoszę wrażenie, że jest pan człowiekiem, któremu zależy na prawdzie, w przeciwieństwie do policji, której generalnie zależy na wynikach.

Soanes oparł łokieć na biurku i poprzytykał palcami dolną wargę, ukazując wilgotną mięsistość jej wewnętrznej części. Spojrzał na nich, jakby długo i poważnie rozważał ich prośbę. Potem wyprostował się zdecydowanie i otworzył kartonową teczkę, jedyny przedmiot leżący na jego biurku. Zerknął przelotnie na jej zawartość, po czym podniósł wzrok i popatrzył w ich pełne oczekiwania oczy.

– Mój raport dotyczył głównie krwi i nasienia. Krew należała wyłącznie do Rosie Duff, a sperma, jak założyliśmy, pochodziła od jej zabójcy. Ponieważ ten, kto ją zostawił, był wydzielaczem, zdołaliśmy ustalić jego grupę krwi. – Przewertował parę kartek. – Znaleźliśmy też trochę włókien. Tania, brązowa wykładzina przemysłowa i kilka włókien z materiału szarografitowych dywaników używanego przez kilku producentów w ich samochodach średniej kategorii. Trochę psiej sierści pasującej do springer spaniela należącego do właściciela pubu, w którym pracowała panna Duff. Wszystko to opisałem dokładnie w moim raporcie. – Soanes wyłapał zawód w spojrzeniu Alexa i uśmiechnął się leciutko. – Oprócz tego mam jeszcze swoje notatki. – Wyciągnął pakiet odręcznie zapisanych kartek. Popatrzył na nie przez chwilę, mrużąc oczy, po czym wyjął z kieszeni kamizelki okulary połówki w złotych oprawkach i nasadził na nos. – Moje pismo zawsze było dość problematyczne – rzekł oschle. – Od lat nie zaglądałem do tych materiałów. A teraz, co my tu

mamy? Krew... nasienie... błoto. – Przewrócił parę kartek pokrytych maleńkim, ciasnym pismem. – Włosy... A, no właśnie, farba. – Dziabnął stronę palcem i podniósł wzrok. – Co wiecie o farbie?

– Emulsyjna na ściany, połyskowa na drewno – powiedział Weird. – Tyle właśnie wiem o farbie.

Soanes po raz pierwszy się uśmiechnął.

– Farba składa się z trzech głównych elementów. Po pierwsze, mamy spoiwo, zazwyczaj jakiś rodzaj polimerów. To ta trwała substancja, która zrujnuje wam malarski kombinezon, jeśli go natychmiast nie doczyścicie. Potem mamy rozpuszczalnik, z zasady jest to organiczny płyn. Spoiwo jest wymieszane z rozpuszczalnikiem, by stworzyć powłokę o konsystencji umożliwiającej rozprowadzanie jej pędzlem lub wałkiem. Rozpuszczalnik rzadko ma jakieś znaczenie w medycynie sądowej, bo zazwyczaj wyparowuje na długo przed tym, gdy dochodzi do testów. No i mamy też pigment, czyli substancję nadającą kolor. Wśród najbardziej rozpowszechnionych pigmentów wyróżniamy dwutlenek tytanu i tlenek cynku, by uzyskać biel, ftalocyjaniny dla kolorów niebieskich, chromian cynku dla żółci i tlenek miedzi dla czerwieni. Jednak każda partia farby ma swą własną, unikalną mikroskopową sygnaturę. Dlatego da się poddać plamę farby analizie i powiedzieć dokładnie, co to za rodzaj. Istnieją całe biblioteki próbek farb, z którymi możemy porównywać poszczególne przykłady. Oczywiście oprócz składu farby patrzymy też na fizyczny kształt. Czy farba jest rozchlapana? Czy to kropla? Czy została zeskrobana? – Wyciągnął w górę palec. – Zanim zaczniecie zadawać pytania, nie jestem ekspertem od farb. To nie moja specjalizacja.

– A mnie pan już prawie oszukał – rzekł Weird. – Co w takim razie mówią pańskie notatki o farbie na kardiganie Rosie?

– Pański przyjaciel lubi przechodzić do rzeczy, czyż nie? – zwrócił się Soanes do Alexa, na szczęście bardziej z rozbawieniem niż z irytacją.

– Po prostu wiemy, jak cenny jest pański czas – odparł Alex, krzywiąc się w duchu na swoje lizodupstwo.

Soanes znów zajrzał do notatek.

– No tak – skwitował. – Nasza farba to bładoniebieska, alifatyczna, poliuretanowa emalia. Nie jest to typowa farba do malowania domu. Takich farb używa się raczej na łodziach albo do wyrobów z włókna szklanego. Nie mieliśmy żadnego stuprocentowego trafienia, ale przypominała kilka farb okrętowych w naszej bibliotece referencyjnej. Najciekawszy był profil kropelek. Miały kształt miniaturowych łezek.

Alex zmarszczył brwi.

– Co z tego wynika?

– To znaczy, że farba nie była wilgotna, gdy trafiła na ubranie. To były maciupkie kropelki wyschniętej farby, które bez wątpienia przeniosły się na odzież dziewczyny z powierzchni, na której leżała. Zapewne z dywanu.

– Czyli ktoś malował coś w miejscu, gdzie leżała? I trochę pobrudził dywan? – dopytywał się Weird.

– Niemal na pewno. Muszę jednak wrócić do tego nietypowego kształtu. Gdyby farba skapnęła z pędzla albo rozbryzgała się na dywanie, kropelki różniłyby się od siebie. A w tym przypadku wszystkie kropelki, które przebadaliśmy, dzieliły ten sam profil.

– Dlaczego nie uwzględnił pan tego wszystkiego w raporcie? – zdziwił się Alex.

– Bo nie potrafiliśmy tego wyjaśnić. Dla prokuratury bardzo niebezpiecznie jest mieć za świadka eksperta, który odpowiada: „Nie wiem”. Dobry prawnik obrony zostawiłby pytania o farbę na sam koniec, więc ławnikom najbardziej utkwilby w pamięci mój ówczesny szef, który kręci głową i przyznaje, że nie zna odpowiedzi. – Soanes wepchnął papiery z powrotem do teczki. – Więc nie wpisaliśmy tych informacji do raportu.

Przyszła pora na jedyne pytanie, które tak naprawdę się liczy, pomyślał Alex.

– Czy gdyby ponownie spojrział pan na ten dowód, byłby pan w stanie odkryć coś nowego?

Soanes zerknął na niego znad okularów.

– Ja osobiście? Nie. Może ekspert sądowy specjalizujący się w farbach zdołałby wykonać bardziej użyteczną analizę. Nie muszę chyba jednak wspominać, że po dwudziestu pięciu latach wasze szanse na zidentyfikowanie źródła farby są znikome.

– To już nasze zmartwienie – powiedział Weird. – Może pan zbadać tę farbę? Zrobi to pan?

Soanes pokręcił głową.

– Jak już mówiłem, zdecydowanie nie jestem ekspertem w tej dziedzinie. A nawet gdybym był, nie mógłbym autoryzować testów bez uprzedniego zlecenia ze strony policji z Fife. A oni nie prosili o żadne badania farby. – Zamknął swą teczkę gestem kończącym sprawę.

– A to dlaczego? – chciał wiedzieć Weird.

– Zakładam, że w ich opinii to wyrzucanie pieniędzy w błoto. Powtórzę raz jeszcze, że na tak późnym etapie szanse na trafienie są wyjątkowo nikłe.

Rozczarowany Alex zgarbił się na swoim krześle.

– A ja nie dam rady przekonać Lawsona, żeby zmienił zdanie. Wspaniale. Myślę, że właśnie podpisał pan mój wyrok śmierci.

– Nie powiedziałem, że nie da się przeprowadzić żadnych testów – odparł łagodnie Soanes. – Mówiłem tylko, że nie możemy ich przeprowadzić tutaj.

– A jak mamy je niby przeprowadzić gdzieś indziej? – zezłościł się Weird. – Nie posiadamy żadnych próbek.

Soanes pociągnął lekko swą dolną wargę. Potem westchnął.

– Nie mamy żadnych biologicznych dowodów. Ale wciąż mamy farbę. Sprawdziłem to, zanim przyszlście.

Znów otworzył teczkę i wyciągnął z niej plastikowy arkusz podzielony na kieszonki. W nich znajdował się tuzin szkiełek mikroskopowych. Profesor wybrał trzy i ułożył je w rzędzie na biurku. Alex zagapił się na nie chciwie. Nie do końca wierzył własnym oczom. Drobinki farby wyglądały jak maleńkie płatki niebieskawego popiołu z papierosa.

– Da się je poddać analizie? – zapytał, ledwo odważając się czuć nadzieję.

– Oczywiście – potaknął Soanes. Wyjął z szuflady papierową torebkę i położył na szkiełkach, po czym przesunął je odrobinę bliżej Alexa i Weirda. – Weźcie je. Mamy ich więcej, gdyby trzeba było wykonać niezależne testy, jeśli przyjdzie co do czego. Tylko, rzecz jasna, musicie pokwitować ich odbiór.

Dłoń Weirda wystrzeliła i przykryła szkiełka. Pastor włożył je delikatnie do torebki, po czym wsunął ją do kieszeni.

– Dzięki – powiedział. – To gdzie mam się podpisać?

Gdy Weird skrobał swe nazwisko na dole strony rejestru, Alex spojrział z ciekawością na Soanesa.

– Dlaczego zdecydował się pan nam pomóc?

Profesor zdjął okulary i delikatnie odłożył je na bok.

– Ponieważ nie cierpię nierozwiązanych zagadek – przyznał, wstając zza biurka. – Niemal równie mocno jak niedbałej policyjnej roboty. A poza tym nie chciałbym mieć was na sumieniu, jeśli wasza teoria okaże się prawdziwa.

– Dlaczego skreścamy? – zdziwił się Weird, gdy dotarli na przedmieścia Glenrothes i Alex włączył prawy kierunkowskaz.

– Chcę poinformować Lawsona, że to Macfadyen wysłał wieńce, i spróbować go przekonać, żeby zlecił Soanesowi analizę tych próbek,

które ma.

– Strata czasu – mruknął Weird.

– Nie większa niż powrót do St. Monans, żeby popukać w drzwi pustego domu.

Weird powstrzymał się od dalszych komentarzy i pozwolił Alexowi pojechać na komendę.

W recepcji Alex poprosił o spotkanie z Lawsonem.

– Przyszliśmy w związku ze sprawą Rosemary Duff – dodał.

Zostali skierowani do poczekalni, gdzie zajęli miejsca i zaczęli czytać informacje z plakatów o stoncy ziemniaczanej, osobach zaginionych i przemocy domowej.

– Niesamowite, jak winny się czuję, po prostu tu siedząc – wyszeptał Alex.

– Ja nie – odparł Weird. – Ale to może dlatego, że odpowiadam przed wyższą władzą.

Po kilku minutach podeszła do nich krępa kobieta.

– Jestem posterunkowa Pirie – przywitała się. – Przykro mi, ale komendant Lawson nie może się z panami spotkać. Natomiast to ja prowadzę sprawę Rosemary Duff. Może zdołam pomóc.

Alex pokręcił głową.

– Chcę się zobaczyć z Lawsonem. Poczekam na niego.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe. Jest na parodniowym urlopie.

– Pojechał na ryby – sarknął ironicznie Weird.

Zaskoczona Karen Pirie przyznała mu rację.

– Owszem, tak się właśnie składa. Pojechał nad jezioro – dodała, zanim zdołała się powstrzymać.

Weird wydawał się nawet bardziej zdziwiony od niej.

– Naprawdę? Tak sobie tylko powiedziałem.

Karen spróbowała zamaskować zmieszanie.

– Pan Gilbey, czy tak? – zapytała, patrząc uważnie na Alexa.

– Zgadza się. Skąd pani...?

– Widziałam pana na pogrzebie doktora Kerra. Proszę przyjąć moje kondolencje.

– Właśnie w tej sprawie przyszliśmy – oznajmił Weird. – Jesteśmy przekonani, że osoba, która zabiła Davida Kerra, planuje zabić też nas.

Karen odetchnęła głęboko.

– Komendant Lawson podzielił się ze mną treścią swojej rozmowy z panem Gilbeyem. Jak panu wtedy powiedział – spojrzała na Alexa – tak naprawdę nie ma pan podstaw, by się bać.

Weird aż sapnął z oburzenia.

– A co pani powie na to, że te wieńce wysłał nie kto inny, jak Graham Macfadyen?

– Wieńce? – Karen zdawała się zdezorientowana.

– Przepraszam, mówiła pani, że wie o rozmowie Alexa z Lawsonem?
– wytknął jej Weird.

Alex interweniował, zastanawiając się przelotnie, jak też grzesznicy muszą się męczyć w kontaktach z WeirDEM. Opowiedział Karen o osobliwych kwiatowych aranżacjach i z satysfakcją stwierdził, że potraktowała jego słowa poważnie.

– Dziwna sprawa, przyznaję. To jednak nie znaczy, że pan Macfadyen jeździ po świecie i zabija ludzi.

– Skąd w takim razie wiedział o morderstwach? – zapytał Alex, szczerze pragnąc poznać odpowiedź.

– Oto jest pytanie, prawda? – rzekł twardo Weird.

– Może zobaczył informację o śmierci doktora Kerra w którejś z gazet. Dużo się o niej pisało. Myślę też, że nie było mu trudno dowiedzieć się o panu Malkiewicz. Świat jest teraz mały dzięki internetowi – oznajmiła Karen.

Alex znów poczuł, że grunt usuwa mu się spod nóg. Dlaczego wszyscy z takim uporem wzbraniли się przyjąć do wiadomości teorię, która jemu wydawała się oczywista?

– Ale z jakiego powodu miałyby wysłać te wieńce, jeśli nie uważa, że jesteście winni śmierci jego matki?

– Od takiego przekonania do morderstwa jest jeszcze bardzo daleko – zauważyła Karen. – Rozumiem, że czuje pan wielką presję, panie Gilbey. Ale nic z tego, co mi panowie opowiedzieliście, nie wydaje się sugerować, że grozi wam niebezpieczeństwo.

Weird wyglądał, jakby dostał apopleksji.

– Ilu z nas musi umrzeć, zanim zaczniecie nas traktować poważnie?

– Czy ktoś panom groził?

Weird skrzywił się.

– Nie.

– Czy otrzymywaliście głuche telefony od nieznananych numerów?

– Nie.

– Czy zauważyliście, by ktoś kręcił się koło waszych domów?

Weird spojrzał na Alexa, który pokręcił głową.

– W takim razie przykro mi, ale nie mogę nic zrobić.

– To akurat nieprawda – zaproponował Alex. – Może pani zlecić nową analizę farby znalezionej na kardiganie Rosie Duff.

Karen rozwarła szeroko oczy ze zdumienia.

– Skąd pan wie o farbie?

Głos sfrustrowanego Alexa aż kipiał od gniewu.

– Byliśmy świadkami. Podejrzanymi we wszystkim oprócz nazwy. Myśli pani, że nie zauważyliśmy, jak pani koledzy skrobali nam ściany i przyklejali taśmę do wszystkich dywanów? To jak, posterunkowa Pirie? Może byście się tak w końcu przyłożyli do szukania mordercy Rosie?

Rozdrażniona jego słowami Karen wyprostowała plecy.

– To właśnie robię od paru miesięcy, panie Gilbey. A oficjalne stanowisko policji jest takie, że analiza farby jest nieopłacalna, ze względu na znikome szanse znalezienia odpowiednika po tych wszystkich latach.

Furia, którą Alex tłumił od wielu dni, wezbrała w nim nagle.

– Nieopłacalna!?! Jeśli istnieje jakiś trop, to powinniście go sprawdzić! – wrzasnął. – W końcu nie macie żadnych innych drogich testów do zrobienia, co? Nie po tym, jak zgubiliście jedyne dowody, które mogły nas w końcu oczyścić z podejrzeń! Czy pani ma w ogóle pojęcie, jak nas wtedy skrzywdziliście swoją niekompetencją? Zniszczyliście nam życie. – Wskazał na Weirda. – Jego zmalretowali. Ziggy’ego wrzucili do Butelkowego Lochu. Mógł umrzeć. Mondo próbował się zabić i przez to zginął Barney MacLennan. A gdyby Jimmy Lawson nie zjawił się w odpowiednim momencie, ja też zostałbym pobity. Więc niech pani tak tu nie stoi i mi nie mówi, że coś się nie opłaca. Niech się pani, do kurwy nędzy, w końcu weźmie do roboty! – Obrócił się na pięcie i wyszedł z poczekalni.

Weird nie ruszył się z miejsca, nie odrywał wzroku od Karen Pirie.

– Słyszała pani – rzekł. – Niech pani powie Lawsonowi, żeby zwinął żyłkę i zaczął nas w końcu chronić.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

JAMES LAWSON ROZCIAŁ BRZUCH RYBY i zanurzył ręce w jamie, zaciskając palce na śliskich wnętrznościach. Wydał usta w grymasie obrzydzenia, czując na skórze oślizgłe organy. To, co właśnie robił, było pogwałceniem typowej dla niego wybredności w zachowaniach. Wyciągnął trzewia i upewnił się, że krew i śluz nie rozlewają się poza obręb gazety, którą zawczasu rozpostarł. Potem położył pstrąga obok pozostałych trzech złapanych dzisiejszego popołudnia.

Nieźle jak na tę porę roku, uznał. Usmaży dwa na podwieczorek, a resztę schowa do maleńkiej lodówki w przyczepie. Będą w sam raz na śniadanie, zanim rano wyruszy do pracy. Podniósł się i włączył pompę, która zasilala niewielki zlew strumieniem zimnej wody. Zapisał sobie w pamięci, by przywieźć parę dodatkowych dwudziestolitrowych baniaków, gdy następnym razem będzie się wybierał do swej kryjówki nad brzegiem Loch Leven. Dziś rano wlał zawartość zapasowej butli do zbiornika i choć w sytuacji awaryjnej zawsze mógł polegać na miejscowym rolniku, który wynajmował mu pole, nie chciał przymuszać go do okazywania dobrej woli. Od dwudziestu lat, kiedy to postawił tu przyczepę, nieodmiennie trzymał się na uboczu. Tak właśnie czuł się swobodnie. Tylko on, radio i sarta thrillerów. Prywatny zakątek, do którego mógł uciec od stresów pracy i rodzinnego życia, by znów naładować baterie.

Otworzył puszkę młodych ziemniaczków, osuszył je i pokroił w kostkę. Czekając, aż rozgrzeje się duża patelnia do smażenia ryby i ziemniaków, niechlujnie zgniótł gazetę wokół flaków i wcisnął ją do

plastikowej siatki. Po posiłku dorzuci tam skórę i ości, po czym zawiąże ciasno i zostawi na schodkach przyczepy, żeby wyrzucić ją rano do śmietnika. Nie było nic gorszego od spania w smrodzie resztek swojego połowu.

Wrzucił na patelnię duży kawał smalcu i obserwował, jak z sykiem zmienił kolor na przezroczysty, po czym dodał ziemniaki. Pomieszał je trochę, a gdy zaczęły brązowieć, ostrożnie ułożył koło nich dwa pstrągi i polał je odrobiną soku z cytryny firmy Jif. Znajome skwierczenie i trzaski strzelającego tłuszczu rozweseliły go, zapach zapowiadał przepyszną ucztę. Gdy skończył smażyć, zsunął swój obiad z patelni na talerz i usiadł przy stole, by się nim rozkoszować. Idealne wycucie czasu. Charakterystyczny motyw muzyczny z radiowej opery mydlanej *The Archers* popłynął z odbiornika dokładnie w chwili, gdy Lawson rozciął nożem chrupiącą skórę pierwszego pstrąga.

Był w połowie posiłku, gdy usłyszał dźwięk, który nie powinien się tu rozlec. Trzaśnięcie samochodowych drzwi. Grające urządzenie zagłuszyło warkot silnika zbliżającego się pojazdu, ale zamknięcie drzwi było na tyle głośne, że przebiło się przez radionowełę o codziennym życiu mieszkańców angielskiej wsi. Lawson zastygł na chwilę w bezruchu, po czym sięgnął do odbiornika i wyłączył go, wyęzając słuch, by wychwycić wszystkie dźwięki dochodzące z zewnątrz. Ukradkiem odsunął minimalnie zasłonę. Tuż za bramą na pole zauważył kształt samochodu. Oszacował, że to mały albo średni hatchback. Golf, astra, focus. Coś w tym rodzaju. W ciemności trudno było dostrzec więcej szczegółów. Omiótł wzrokiem przestrzeń między bramą a swoją przyczepą. Żadnego ruchu.

Wtedy rozległo się łomotanie do drzwi, a jemu serce prawie wyskoczyło z piersi. Kto to był, u diabła? Z tego, co wiedział, dokładne położenie jego wędkarskiej kryjówki znali jedynie rolnik i jego żona. Nigdy nie przywoził tu kolegów z pracy ani przyjaciół. Jeśli wybierali się

razem na ryby, spotykał się z nimi na swojej łodzi nieco dalej wzdłuż wybrzeża, aby bezwzględnie chronić swą prywatność.

– Chwileczkę! – zawołał. Wstał od stołu i skierował się w stronę drzwi z jednym tylko przystankiem, by złapać ostry jak brzytwa nóż do patroszenia. Miał w życiu do czynienia z mnóstwem przestępców, którzy mogli chcieć wyrównać z nim rachunki, więc nie zamierzał dać się złapać w bezbronnej pozycji. Trzymając jedną stopę za drzwiami, uchylił je odrobinę.

W promyku światła wylewającym się na stopnie przyczepy stał Graham Macfadyen. Lawson nie rozpoznał go od razu. Od ich ostatniego spotkania syn Rosie stracił na wadze. Oczy płonęły mu gorączkowo nad zapadniętymi policzkami, a włosy miał w tłustych strąkach.

– Co ty tu robisz, do cholery? – zapytał gniewnie Lawson.

– Muszę z panem porozmawiać. Na komendzie powiedziano mi, że wziął pan parę dni wolnego, więc pomyślałem, że na pewno przyjechał pan tutaj. – Ton Macfadyena brzmiał rzeczowo, jakby nie było nic dziwnego w tym, że zwykły obywatel pojawia się niezapowiedzianie na progu wędkarskiej przyczepy Zastępcy Komendanta Głównego Policji.

– Jak, do diabła, mnie tu znalazłeś? – Niepokój sprawił, że Lawson zaczął się zachowywać nieco agresywnie.

Macfadyen wzruszył ramionami.

– W dzisiejszych czasach można się dowiedzieć wszystkiego. Z okazji ostatniego awansu udzielił pan wywiadu dziennikarzowi „Fife Record”. Tekst jest na ich stronie internetowej. Powiedział pan, że lubi łowić ryby i ma swoje ulubione miejsce nad Loch Leven. Nie ma tu wielu dróg, które biegną blisko jeziora. Jeździłem po okolicy, aż w końcu przyuważyłem pański samochód.

Coś w jego zachowaniu zmroziło Lawsona do szpiku kości.

– Tak nie wypada – stwierdził. – Jeśli chcesz rozmawiać o policyjnych sprawach, przyjdź do mojego biura.

Macfadyen wydawał się zirytowany.

– Ale to ważne. Nie mogę czekać. I nie będę rozmawiał z nikim innym. Pan rozumie moją sytuację. To z panem muszę to przedyskutować. Jestem tu teraz, więc dlaczego by tego nie załatwić od razu? Musi mnie pan wysłuchać. Mogę panu pomóc.

Lawson chciał zamknąć drzwi, ale Macfadyen wyciągnął rękę i je zablokował.

– Będę tu stał i krzychał, dopóki mnie pan nie wpuści. – Nonszalancja w jego głosie nie pasowała do zdeterminowanej miny.

Lawson rozważył za i przeciw. Macfadyen nie wydawał mu się potencjalnie skłonny do agresji. Ale z drugiej strony nigdy nic nie wiadomo. W razie czego miał nóż. Lepiej będzie wysłuchać natręta i wtedy się go pozbyć. Puścił drzwi, by otworzyły się do końca, i cofnął się trochę, ani na chwilę nie odwracając się plecami do niemile widzianego gościa.

Macfadyen wszedł do środka i wyszczerzył zęby w uśmiechu, rozpoczynając zaburzone wypaczenie normalnej rozmowy.

– Bardzo przytulnie się pan tu urządził. – Wtedy jego wzrok padł na stół i Graham przybrał przeproszającą minę. – Przeszkodziłem panu w podwieczorku. Bardzo przepraszam.

– Nie ma sprawy – skłamał Lawson. – O czym chciałeś ze mną porozmawiać?

– Zwierają szyki. Garną się do siebie, próbując uniknąć swego przeznaczenia – rzekł Macfadyen, jakby to cokolwiek wyjaśniało.

– Kto zwierza szyki? – zapytał Lawson.

Macfadyen westchnął, jakby był sfrustrowanym nauczycielem szkolącym wyjątkowo tępego praktykanta.

– Zabójcy mojej matki – powiedział. – Mackie wrócił. Mieszka teraz u Gilbeya. Tylko tak czują się bezpiecznie. Oczywiście się mylą. To żadna ochrona. Do tej pory nie wierzyłem w przeznaczenie, ale jak inaczej

opisać to, co się ostatnio przytrafiło ich czwórce? Gilbey i Mackie na pewno też to czują. Bez wątpienia boją się, że czas im się kończy, tak jak skończył się ich przyjaciołom. No i rzeczywiście tak jest. Chyba że zapłacą odpowiednią cenę. To, że się tak zebrali, jest jak wyznanie win. Na pewno pan to widzi.

– Może i masz rację. – Lawson obrał strategię rozjemczą. – Ale tego typu wyznanie nie przejdzie w sądzie.

– Przecież wiem – zniecierpliwił się Macfadyen. – Ale teraz są najbardziej odsłonięci. Boją się. Trzeba wykorzystać tę chwilę słabości, żeby ich skłócić. Musi ich pan aresztować i zmusić do wyznania prawdy. Obserwowałem ich. Mogą pęknąć w każdej chwili.

– Nie mamy dowodów – przypomniał mu Lawson.

– Przyznają się do winy. Jakiego więcej dowodu trzeba? – Macfadyen nie odrywał wzroku od policjanta.

– Ludzie często myślą w podobny sposób, ale zgodnie ze szkockim prawem samo przyznanie się do winy nie wystarczy, by doprowadzić do skazania. Muszą być dowody potwierdzające.

– To nie może być prawda – zaprotestował Macfadyen.

– Takie jest prawo.

– Musi pan coś zrobić. Zmusić ich do przyznania się, a potem znaleźć dowody, które sprawią, że pójdą do więzienia. To pańska praca – mówił Macfadyen, coraz bardziej podnosząc głos.

Lawson pokręcił głową.

– To tak nie działa. Posłuchaj, obiecuję, że pójdę z nimi porozmawiać. Ale to wszystko, co mogę zrobić.

Macfadyen zacisnął prawą dłoń w pięść.

– Nic to pana nie obchodzi, co? Żadnego z policjantów to nie obchodzi.

– Obchodzi mnie – rzekł Lawson – ale muszę działać zgodnie z prawem. I ty również.

Macfadyen chrząknął dziwnie z głębi gardła jak pies dławiący się kością kurczaka.

– Myślałem, że pan rozumie – oznajmił oziębło, chwytając za klamkę i szarpiąc. Drzwi otworzyły się z rozmachem i trzasnęły w ścianę.

Macfadyen zniknął, połknięty przez panujące na zewnątrz ciemności. Wilgotny chłód nocy wdarł się w przytulny zaduch panujący w przyczepie i stłumił stęchłe zapachy gotowania, zastępując je bagienną nutą. Lawson stał w drzwiach jeszcze długo po tym, jak Graham Macfadyen cholerycznie wycofał swe auto z pola, z oczami jak dwie ciemne studnie zmartwienia.

Lynn była ich przepustką do Jasona McAllistera. I nie zgodziła się z nikim zostawić Daviny, nawet z Alexem. Dlatego też wyprawa, która mogła być łatwą przedpołudniową przejażdżką do Bridge of Allan, zmieniła się w skomplikowaną operację. To zadziwiające, jaki niemowlę musi mieć podróżny ekwipunek, pomyślał Alex po trzeciej i ostatniej rundce do samochodu, przechylając się na bok pod łącznym ciężarem fotelika dziecięcego i swojej córki. Wózek. Plecak z pieluszkami, chusteczkami pielęgnacyjnymi, muślinowymi ściereczkami, dwiema zmianami ubrania, tak na wszelki wypadek. Zapasowe kocyki, również na wszelki wypadek. Czysty sweter dla Lynn, bo wymiotne pociski nie zawsze lądowały na muślinowych ściereczkach. Nosidło z chusty. Alex był tylko lekko zdziwiony, że nie musi zabrać ze sobą jeszcze kuchennego zlewu.

Przeciągnął tylny pas przez zabezpieczenia przenośnego fotelika i sprawdził, czy wszystko dobrze się trzyma. Nigdy wcześniej nie martwił się o wytrzymałość pasów, ale teraz przyłapał się na rozważaniach, w jakim tak naprawdę stopniu są niezawodne w przypadku zderzenia. Pochylił się nad siedzeniem, poprawił śpiącej córce wełnianą czapkę i pocałował ją, po czym lękliwie wstrzymał oddech, gdy się poruszyła. Proszę, niech nie wyje przez całą drogę do Bridge of Allan, pomodlił się

w duchu. Nie sądził, by poradził sobie z poczuciem winy, gdyby tak się stało.

Lynn oraz Weird dołączyli do niego i wszyscy zapakowali się do samochodu. Kilka minut później byli już na autostradzie, a Weird postukał go w ramię.

– Wiesz, na autostradzie powinno się jechać szybciej niż sześćdziesiąt kilometrów na godzinę – zauważył. – Przez ciebie się spóźnimy.

Tłumiąc troskę o swój cenny ładunek, Alex posłusznie wdepnął mocniej pedał gazu. Był równie chętny jak Weird, by popchnąć ich śledztwo do przodu. Jason McAllister zdawał się dokładnie takim człowiekiem, jakiego potrzebowali, by zrobić następny krok. Praca Lynn w zawodzie restauratorki obrazów dla szkockich galerii narodowych sprawiła, że kobieta stała się znawczynią w temacie farb, jakich artyści używali w różnych epokach. Znaczyło to również, że musiała znaleźć sobie do pomocy własnego eksperta, który analizował próbki z obrazów, by Lynn mogła je odtworzyć tak wiernie, jak to tylko było możliwe. Zdarzały się również przypadki, w których autentyczność pewnych dzieł stawała pod znakiem zapytania. Wtedy próbki farb musiały zostać poddane testom, by sprawdzić, czy pochodzą z właściwych ram czasowych i czy są zgodne z materiałami użytymi przez tego samego malarza do jego innych prac, których pochodzenie nie było kwestionowane. Człowiekiem, który pomagał Lynn od naukowej strony tych dochodzeń, był Jason McAllister.

Był zatrudniony w prywatnym laboratorium kryminalistycznym niedaleko Uniwersytetu w Stirling. Większą część swego stażu pracy spędzał, analizując drobiny farb z wypadków samochodowych dla policji lub firm ubezpieczeniowych. Od czasu do czasu trafiały mu się ciekawe odstępstwa od rutyny w postaci morderstw, gwałtów lub poważnych

napaści, ale działo się to zbyt rzadko, by zapewnić Jasonowi wystarczającą odmianę do wykorzystania jego talentów.

Podczas prywatnego pokazu dzieł Poussina wytropił Lynn i oznajmił jej, że pasjonują go farby. Na początku uznała, że ten nieco dziwaczny młodzieniec zachowuje się pretensjonalnie, udając, że ma powiązania z wielką sztuką. Potem jednak zdała sobie sprawę, że mówił do bólu dosłownie. Ni mniej, ni więcej. Entuzjazmem nie napawała go scena przedstawiona na płótnie, tylko struktura substancji użytych do stworzenia obrazu. Wręczył Lynn swoją wizytówkę i kazał jej obiecać, że zadzwoni do niego, gdy następnym razem trafi jej się jakiś problem. Zapewnił ją kilkakrotnie, że spisze się lepiej niż każdy jej dotychczasowy współpracownik.

Tak się złożyło, że tamtego wieczoru Jasonowi poszczyło się z wyczuciem czasu. Lynn miała już po dziurki w nosie nadętego dupka, na którym wcześniej była zmuszona polegać. Był to człowiek edynburskiej starej daty, który nie mógł przestać traktować kobiet protekcyjnie. Mimo że w zasadzie zajmował stanowisko technika laboranta, odnosił się do Lynn, jakby była popychadłem, którego zdanie w ogóle się nie liczy. Z ważną restauracją mającą na horyzoncie Lynn drżała na myśl o ponownej pracy z nim. Jason spadł jej jak z nieba. Od samego początku nie zdarzył się żaden przypadek, by traktował ją z wyższością. Jeśli już był jakiś problem, to raczej przeciwnej natury. Jason zdawał się zakładać, że ma taką samą wiedzę jak on i Lynn straciła już rachubę, ile razy musiała powtarzać mu, by zwolnił trochę i mówił do niej językiem przypominającym angielski. Mimo to ich współpraca była o niebo lepsza niż alternatywa.

Nie minęło dziesięć minut po tym, jak Alex i Weird wrócili do domu z torebką próbek farby, a Lynn już wisiała na telefonie, pogrążona w rozmowie z Jasonem. Zgodnie z jej oczekiwaniami zareagował jak

dziecko, które właśnie się dowiedziało, że spędzi wakacje w Disneylandzie.

– Muszę najpierw iść na spotkanie, ale o dziesiątej będę już wolny.

Za sugestią Alexa Lynn próbowała powiedzieć, że wypłaci mu honorarium z własnej kieszeni, ale Jason zbył jej ofertę.

– Od czego są przyjaciele? – zapytał autorytatywnie. – Poza tym mam już powyżej uszu lakierów samochodowych. Ratujesz mnie od śmierci z wynudzenia. Dawaj tu tę farbę, kobieto!

Laboratorium okazało się zaskakująco atrakcyjnym, nowoczesnym, jednopiętrowym budynkiem stojącym na własnej działce przy głównej drodze. Okna znajdowały się wysoko w ścianach z brązowej cegły, a kamery monitoringu strzegły budowli pod każdym kątem. Zanim dotarli do recepcji, musieli zostać przepuszczeni przez dwie pary drzwi bezpieczeństwa z interkomem.

– Bywałem w więzieniach ze słabszą ochroną – skomentował Weird.
– Czym oni się tu zajmują? Produkcją broni masowej zagłady?

– Dostają niezależne zlecenia kryminalistyczne z Urzędu Korony. Od prawników obrony również – wyjaśniła Lynn, gdy czekali na Jasona. – Muszą być w stanie zademonstrować, że wszelkie dowody, które zostaną powierzone ich pieczy, będą bezpiecznie przechowywane.

– Czyli robią tu badania DNA i wszystko inne? – zapytał Alex.

– A co? Już masz wątpliwości, czy jesteś prawdziwym ojcem? – zakpiła Lynn.

– Z wątpliwościami zaczekam, aż Davina wyrośnie na nastolatkę z piekła rodem – odparł Alex. – Nie, pytam wyłącznie z ciekawości.

– Oprócz farb badają też DNA, włosy i włókna – wytłumaczyła Lynn.

W tym momencie krzepki mężczyzna podszedł i położył jej dłoń na ramieniu.

– Przywiozłaś dziecko – zauważył, pochylając się, by zajrzeć do nosidełka. – Hej, jest prześliczna. – Wyszczrzył zęby do Lynn. –

Większość niemowlaków ma takie twarze, jakby pies na nich usiadł. Ale ona wygląda jak prawdziwa mała osóbka. – Wyprostował się. – Jestem Jason – przywitał się, przenosząc niepewnie wzrok z Weirda na Alexa.

Przedstawili mu się po imieniu. Alex przebiegł wzrokiem po jego koszulce klubu Stirling Albion, bojówkach z wypchanymi po brzegi kieszeniami i włosach postawionych na jeża, z końcówkami utlenionymi na blond w odcieniu, który nie występuje normalnie w naturze. Z wyglądu Jason zdawał się osobą, która czuje się swobodnie w każdym pubie w piątkowy wieczór z butelką designerskiego lagera w ręku. Oczy miał jednak przenikliwe i czujne, a ruchy spokojne i opanowane.

– Chodźcie, zapraszam – poinstruował ich. – Pozwólcie, że poniosę małą – dodał i sięgnął po nosidło. – Ale z niej pięknotka.

– Nie uważałbyś tak o trzeciej nad ranem – zażartowała Lynn z nieukrywaną matczyną dumą.

– Pewnie nie. Przy okazji, bardzo mi przykro z powodu twojego brata – rzekł, niezręcznie zerkając na nią przez ramię. – To musiało być okropne.

– Nie jest łatwo – przyznała Lynn, gdy podążali za Jasonem wąskim korytarzem o ścianach pomalowanych na jasnoniebieski kolor. Na jego końcu skręcili do onieśmielającego laboratorium. W każdym kącie połyskiwały tajemnicze urządzenia. Blaty robocze były schludne i czyste. Technik oglądający coś uważnie przez okular sprzętu, który Alex uznał za futurystyczny mikroskop, nawet nie drgnął, gdy stłoczyli się w pomieszczeniu.

– Mam wrażenie, jakbym zanieczyszczał to miejsce samym oddechem – przyznał Alex.

– Przy farbach to nie jest wielki problem – odparł Jason. – Gdybym zajmował się DNA, nie mielibyście szans, żeby zobaczyć cokolwiek z bliska. No dobrze, to wyjaśnijcie mi jeszcze raz dokładnie, co mi przynieśliście.

Alex powtórzył mu, co Soanes wyjawiał im poprzedniego popołudnia.

– Profesor uważa, że prawdopodobieństwo znalezienia trafienia jest znikome, ale może zdołasz wywnioskować coś nowego z kształtu kropli – zakończył.

Jason zerknął na szkiełka.

– Wygląda na to, że trzymali je w dobrych warunkach, co ułatwi sprawę.

– Co z nimi zrobisz? – zaciekawiał się Weird.

Lynn jęknęła.

– Żałuję, że o to zapytałeś.

Jason parsknął śmiechem.

– Nie słuchaj jej, ona tylko lubi udawać ignorantkę. Mamy do dyspozycji wachlarz różnych metod do analizy spoiwa i pigmentu. Oprócz użycia mikrospektrofotometrii w celu ustalenia koloru, możemy również dokładniej zbadać kompozycję próbek farby. Spektroskopia w podczerwieni z transformacją Fouriera, pirolityczna chromatografia gazowa, skaningowa mikroskopia elektronowa... tego typu sprawy.

Weird był oszołomiony.

– Co nam to da? – zapytał Alex.

– Mnóstwo różnych informacji. Jeśli to odprysk, dowiemy się, z jakiej pochodzi powierzchni. W przypadku lakierów samochodowych analizujemy różne warstwy i mamy bazę danych, do której możemy się odnieść, by ustalić markę, model i rok produkcji. Z kropelkami możemy w zasadzie osiągnąć to samo, oczywiście z wyłączeniem szczegółów dotyczących powierzchni, bo farba nigdy na nią nie trafiła.

– Ile to wszystko będzie trwało? – zapytał Weird. – Widzisz, czas nie jest po naszej stronie.

– Będę się tym zajmował po pracy, więc pewnie jakieś parę dni. Postaram się to zrobić jak najszybciej, ale równocześnie podejść do zadania najbardziej profesjonalnie, jak się da. Nie ma innej opcji. Jeśli

wasze podejrzenia są słuszne, wszyscy możemy wylądować w sądzie, by zeznawać w sprawie tej farby, więc nie pójdę na żadne ustępstwa. Dam wam też pokwitowanie, że dostałem od was te próbki, na wypadek gdyby ktoś później próbował to podważyć.

– Dzięki, Jasonie – odezwała się Lynn. – Jestem twoją dłużniczką.

Uśmiechnął się szeroko.

– Lubię, jak kobiety tak mówią.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

JACKIE DONALDSON ZDARZYŁO SIĘ już kilka razy pisać o pukaniu do drzwi nad ranem, byciu zaganianym do radiowozu czekającego przed domem, pędzie pustymi ulicami i całkowicie rozstrajającym nerwy czekaniu w ciasnym pomieszczeniu woniejącym innymi ludźmi. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że któregoś dnia sama tego doświadczy, zamiast jedynie dokumentować cudze przeżycia.

Obudził ją dzwonek domofonu. Zarejestrowała, że była trzecia czterdzieści siedem w nocy, po czym powlekła się do drzwi, nieprzytomnie nakładając po drodze szlafrok. Gdy usłyszała przez urządzenie głos komisarza Darrena Heggiego, pierwsze, o czym pomyślała, to że coś złego przytrafiło się Hélène. Nie rozumiała, czemu żądał, by go wpuściła o takiej porze, ale nie sprzeczała się z nim. Wiedziała, że to by była strata czasu.

Heggie wtarabanił się do jej mieszkania w towarzystwie kobiety w cywilnym ubraniu i dwóch umundurowanych funkcjonariuszy, którzy wlekli się z tyłu z lekko zawstydzonymi minami. Komisarz nie marnował czasu na gadanie o niczym.

– Jacqueline Donaldson, jest pani zatrzymana pod zarzutem spisku w celu popełnienia morderstwa. Może być pani zatrzymana na okres sześciu godzin bez aresztowania i ma pani prawo do komunikowania się z adwokatem. Nie musi pani powiedzieć niczego oprócz swego imienia i adresu. Czy rozumie pani przyczynę swego zatrzymania?

Jackie wydała z siebie lekkie, pogardliwe prychnięcie.

– Rozumiem, że ma pan prawo mnie zatrzymać. Nie rozumiem za to, dlaczego pan to robi.

Jackie od początku nie lubiła Heggiego. Jego spiczastego podbródka, małych oczek, brzydkiej fryzury, taniego garnituru i pyszałkowatości. Przy ich wcześniejszych spotkaniach był jednak uprzejmy, czasem wręcz przepraszający. Teraz emanował jedynie opryskliwą efektywnością.

– Proszę się ubrać. Policjantka pójdzie z panią. My zaczekamy na zewnątrz. – Heggie odwrócił się i wygonił mundurowych na klatkę schodową.

Zmieszana, ale zdeterminowana, by nie dać tego po sobie poznać, Jackie cofnęła się do sypialnej części mieszkania. Wyciągnęła z szuflady pierwszy lepszy T-shirt i sweter, wzięła z krzesła dżinsy, po czym rzuciła wszystko na podłogę. Jeśli coś pójdzie nie tak, stanie przed urzędnikiem sądowym bez żadnej szansy, by przebrać się w inne ciuchy. Poszperała w czeluściach garderoby w poszukiwaniu swej jedynej porządnej garsonki. Potem odwróciła się plecami do policjantki, która nie miała zamiaru spuścić jej z oka, i ubrała się.

– Muszę skorzystać z łazienki – oznajmiła.

– Będzie pani musiała zostawić otwarte drzwi – odparła beznamiętnie kobieta.

– Myślicie, że się czymś naszprycuję, czy coś?

– To dla pani własnego dobra – rzekła funkcjonariuszka znudzonym tonem.

Jackie załatwiła się, po czym przygładziła włosy, odgarniając je do tyłu za pomocą zimnej wody. Spojrzała w lustro, zastanawiając się, kiedy będzie miała następną okazję, by to zrobić. Teraz wiedziała już, jak czuły się osoby, o których pisała. Potwornie. Przewracało jej się w żołądku, jakby od kilku dni nie spała, a oddech zdawał się więznąć w gardle.

– Kiedy będę mogła zadzwonić do mojego prawnika? – zapytała.

– Jak już będziemy w komisariacie – nadeszła odpowiedź.

Pół godziny później siedziała zamknięta w małym pokoiku z Tonym Donatellem, człowiekiem z trzypokoleniowej rodziny prawników zajmujących się sprawami karnymi, którego poznała podczas pierwszych miesięcy swojej pracy w roli dziennikarki w Glasgow. Byli bardziej przyzwyczajeni do spotkań w barach niż na komendach, ale Tony miał dość taktu, by o tym nie wspomnieć. Był również na tyle delikatny, by nie przypominać jej, że gdy ostatnim razem reprezentował ją w komisariacie, skończyła z policyjną kartoteką.

– Chcą cię przesłuchać w sprawie śmierci Davida – poinformował ją.

– Ale pewnie sama się już zorientowałaś.

– To jedyne morderstwo, z jakim jestem choćby w niewielkim stopniu powiązana. Zadzwoiłeś do Hélène?

Tony odkaszlnął lekko i oschle.

– Okazuje się, że ją też zgarnęli.

– Powinam była się domyślić. No dobra, to jaki mamy plan?

– Czy w niedawnej przeszłości zrobiłaś cokolwiek, co można by niewłaściwie zinterpretować jako wydarzenie łączące cię ze śmiercią Kerra? – zapytał Tony.

Jackie pokręciła głową.

– Nic a nic. Tony, to nie jest żadna wstrętna zmowa. Hélène i ja nie miałyśmy nic wspólnego z morderstwem Davida.

– Jackie, nie mów w imieniu Hélène. To ty jesteś moją klientką i to twoje czyny mnie interesują. Jeśli coś przyszło ci do głowy: przypadkowa uwaga, żartobliwy e-mail, cokolwiek, co może stawiać cię w złym świetle, nie będziemy odpowiadać na żadne pytania. Mur milczenia. Jednak jeśli jesteś pewna, że nie masz się czym martwić, będziemy odpowiadać. Co chcesz zrobić?

Jackie nerwowo pomacała kolczyk w brwi.

– Słuchaj, jest coś, o czym powinieneś wiedzieć. Nie byłam z Hélène przez cały czas. Wyskoczyłam z domu mniej więcej na godzinę. Musiałam

się z kimś spotkać. Nie mogę ci powiedzieć z kim, ale uwierz mi, nie zrobimy z tego alibi.

Tony wydawał się zmartwiony.

– To niedobrze – stwierdził. – Może powinnaś wybrać opcję „bez komentarza”.

– Tylko że nie chcę. Wiesz, jak to źle wygląda dla zatrzymanego.

– To twoja decyzja. Ale moim zdaniem w tych okolicznościach milczenie może się okazać dla ciebie lepsze.

Jackie zastanowiła się nad tym długo i poważnie. Nie sądziła, by policja mogła w jakiś sposób dowiedzieć się o jej wyjściu.

– Odpowiem na ich pytania – oznajmiła w końcu.

Pokój przesłuchań nie krył żadnych niespodzianek dla kogoś obeznanego ze światem seriali o gliniarzach. Jackie i Tony siedzieli naprzeciwko Heggiego i policjantki, która towarzyszyła mu w mieszkaniu. Z tak bliskiej odległości zapach płynu po goleniu komisarza wydawał się zjełczały. Dwie kasety kręciły się w tandemie w urządzeniu stojącym na brzegu stołu. Po zakończeniu formalności Heggie od razu przystąpił do ataku.

– Jak długo zna pani Hélène Kerr?

– Od około czterech lat. Spotkałam ją i jej męża na przyjęciu zorganizowanym przez naszego wspólnego znajomego.

– Jaka jest natura waszego związku?

– Przede wszystkim jesteśmy przyjaciółkami. A okazjonalnie także kochankami.

– Jak długo jesteście kochankami? – Z oczu Heggiego wyzierał głód, jakby myśl o Jackie i Hélène razem była potencjalnie równie satysfakcjonująca, jak przestępca przyznający się do winy.

– Od mniej więcej dwóch lat.

– Jak często spotykałyście się w tym celu?

– Prawie każdego tygodnia spędzałyśmy razem któryś wieczór. Uprawiałyśmy seks przy większości tych okazji. Ale nie zawsze. Tak jak mówiłam, przyjaźń jest najważniejszym elementem naszych relacji.

Zachowanie spokoju i obiektywności pod wnikliwym wzrokiem śledczych okazało się dla Jackie trudniejsze, niż się tego spodziewała. Wiedziała jednak, że musi trzymać nerwy na wodzy, bo każdy wybuch mógł zostać uznany za przejaw czegoś więcej niż zwykły stres.

– Czy David Kerr wiedział, że sypia pani z jego żoną?

– Nie sędzę.

– Musiała być pani wściekła, że Hélène Kerr została z nim – podsunął Heggie.

Bystra obserwacja, pomyślała. I niewygodnie bliska prawdy. Wystarczyło odrobinę zagłębić się we własne uczucia, by Jackie przekonała się, że nie jest jej przykro z powodu śmierci Davida Kerra. Kochała Hélène, więc była rozgoryczona i zmęczona resztkami, którymi karmiła ją kochanka. Już od dawna pragnęła czegoś więcej.

– Wiedziałam od początku, że nie zamierza porzucić męża. Pasowało mi to.

– Trudno mi w to uwierzyć – odparł policjant. – Odtrącała panią, wołała swojego męża, a pani to nie przeszkadzało?

– To nie było odtrącanie. Taki układ pasował nam obu. – Jackie wychyliła się do przodu, wykorzystując otwartą mowę ciała, by udąć szczerłość. – Nasz romans to była tylko odrobina rozrywki. Cenię sobie swoją wolność. Nie chcę dać się uwięzić.

– Doprawdy? – Heggie zerknął do swych notatek. – A zatem pani sąsiad kłamał, mówiąc, że słyszał, jak wrzeszczycie na siebie i drzecie koty, bo pani Kerr nie chciała opuścić męża?

Jackie pamiętała tę awanturę. W trakcie ich związku zdarzyło im się kilka pamiętnych scysji. Parę miesięcy temu poprosiła Hélène, by poszła z nią na czterdzieste urodziny jej przyjaciela. Hélène popatrzyła na nią

wzrokiem pełnym niedowierzania. To wykraczało poza podstawowe zasady, nie powinny w ogóle poruszać takiego tematu. Jackie dała wtedy upust wszystkim swoim frustracjom i wybuchła gwałtowna kłótnia. Ostra wymiana zdań prędko zmieniła kierunek, gdy Hélène zagroziła, że wyjdzie i nigdy nie wróci. Takiej perspektywy Jackie nie mogła znieść, więc się poddała. Nie miała jednak zamiaru podzielić się tym z Heggim i jego przydupaską.

– Na pewno kłamał – stwierdziła. – Przez ściany tych loftów za cholere nic nie słyhać.

– Podobno słyhać, jak się ma otwarte okna – rzekł komisarz.

– Kiedy ta rozmowa miała rzekomo mieć miejsce? – przerwał mu Tony.

Kolejny rzut oka w notatki.

– Pod koniec listopada.

– Czy naprawdę pan sugeruje, że moja klientka miała otwarte okna w mieszkaniu pod koniec listopada w Glasgow? – zapytał kpiąco prawnik.

– Tylko tyle pan ma? Plotki i wysane z palca donosy sąsiadów z nadpobudliwą wyobraźnią?

Heggie przez chwilę wbijał w niego wzrok, zanim się odezwał.

– Pana klientka ma historię przemocy.

– Nieprawda. Ma jeden wpis do akt za napaść na policjanta, gdy przeprowadzała reportaż z demonstracji przeciwko podwyżkom podatków, a jeden z pańskich kolegów z entuzjazmem wziął ją za jedną z protestujących. Nie można tego nazwać historią przemocy.

– Uderzyła policjanta w twarz.

– Po tym, jak przeciągnął ją za włosy po ziemi. Gdyby to naprawdę był brutalny atak na funkcjonariusza policji, to nie uważa pan, że sąd zdecydowałby się na poważniejszy wyrok niż sześć miesięcy w zawieszeniu? Jeśli nie ma pan nic więcej, nie sądzę, by miał pan powód przetrzymywać moją klientkę choćby chwilę dłużej.

Heggie popatrzył wilkiem na nich oboje.

– Była pani z panią Kerr wieczorem tego dnia, gdy zamordowano jej męża?

– Zgadza się – przytaknęła ostrożnie Jackie. Tu właśnie zaczynała stąpać po cienkim lodzie. – To był nasz zwyczajowy czas na spotkanie. Hélène zjawiała się mniej więcej o wpół do siódmej. Zjadłyśmy rybę, którą przyniosłam, wypiliśmy trochę wina i poszłyśmy do łóżka. Wyszła około jedenastej. Dokładnie tak jak zwykle.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

Jackie uniosła brwi.

– Nie wiem jak pan, komisarzu, ale kiedy ja się z kimś Kocham, nie zapraszam sąsiadów do towarzystwa. Telefon zadzwonił parę razy, ale go nie odebrałam.

– Mamy świadka, który twierdzi, że widział panią idącą do samochodu około dziewiątej tamtego wieczoru – oznajmił triumfalnie Heggie.

– Waszemu świadkowi musiały się pomylić dni – odparła Jackie. – Byłam z Héléne przez cały wieczór. Czy to kolejny z moich sąsiadów-homofobów, którego pouczyliście, jak składać obciążające zeznania?

Tony drgnął na swym krześle.

– Słyszał pan odpowiedź mojej klientki. Jeśli nie ma pan nic nowego do dodania, nalegam, byśmy zakończyli to przesłuchanie.

Heggie odetchnął ciężko.

– Proszę jeszcze o chwilę cierpliwości, panie Donatello. Podzielę się teraz z państwem zeznaniem świadka, które uzyskaliśmy wczoraj.

– Czy mogę je zobaczyć? – zapytał Tony.

– Wszystko w swoim czasie. Denise?

Towarzyszająca mu funkcjonariuszka otworzyła teczkę, którą trzymała na kolanach, i położyła przed swym zwierzchnikiem kartkę papieru. Heggie oblizał usta i zaczął opowiadać.

– Wczorajszego dnia aresztowaliśmy dilerę, zwykłą płotkę. Aż się palił, by dać nam coś, co mogłoby nas skłonić do potraktowania go ulgowo. Pani Donaldson, czy zna pani mężczyznę zwanego Gary Hardie?

Serce szarpnęło się Jackie w piersi. A co to miało w ogóle do rzeczy? To nie z Garym widziała się tamtego wieczoru, ani z żadnym z jego kolegów.

– Wiem, kim on jest – odparła, odwlekając nieuniknione. To wyznanie niczego nie dowodziło: każdy, kto czytał szkockie gazety albo oglądał krajową telewizję, rozpoznałby to imię. To była sensacja, gdy kilka tygodni temu Gary Hardie wyszedł wolno z Sądu Najwyższego w Glasgow po jednej z największych spraw o morderstwo, jakie to miasto widziało od lat. Podczas procesu różnie go nazywano: baronem narkotykowym, człowiekiem, który za nic ma ludzkie życie, do cna bezdusznym geniuszem zbrodni. Jednym z zarzutów, które musieli rozważyć ławnicy, było twierdzenie, że zapłacił zabójcy na zlecenie, by ten zlikwidował jego rywala w interesach.

– Czy kiedykolwiek spotkała pani Gary’ego Hardiego?

Jackie poczuła pot w dole pleców.

– Tak, ale jedynie w profesjonalnym wymiarze.

– Mówi pani o swojej profesji czy jego? – zapytał Heggie, przysuwając się z krzesłem bliżej stołu.

Jackie szyderczo przewróciła oczami.

– No wie pan co, komisarzu? Jestem dziennikarką. Moja praca polega na tym, że rozmawiam z ludźmi, którzy pojawiają się w wiadomościach.

– Ile razy się z nim pani spotkała? – naciskał Heggie.

Jackie wypuściła powietrze przez nos.

– Trzy razy. Rok temu przeprowadziłam z nim wywiad do artykułu dla czasopisma. Tematem były współczesne gangi w Glasgow. Potem zrobiłam z nim kolejny wywiad, kiedy oczekiwał na proces, do artykułu, który chciałam napisać, kiedy sprawa w sądzie już się skończy. A kilka

tygodni temu poszłam z nim na drinka. Utrzymywanie kontaktów jest dla mnie ważne. W ten sposób dostaję historie, których nikt inny nie ma szansy zdobyć.

Heggie miał sceptyczną minę. Spuścił wzrok na stronę z zeznaniem.

– Gdzie to spotkanie miało miejsce?

– W Ramblas. To taka kawiarnia w...

– Wiem, gdzie jest Ramblas – przerwał jej Heggie. Znów zerknął na leżącą przed nim kartkę. – Podczas tego spotkania pewna koperta zmieniła właściciela. Przeszła z pani rąk do Hardiego. Gruba koperta, pani Donaldson. Zechce nam pani powiedzieć, co w niej było?

Jackie próbowała nie zdradzić po sobie, jak była zszokowana.

Tony poruszył się koło niej.

– Chciałbym porozmawiać z moją klientką na osobności – rzekł prędko.

– Nie, Tony, nie trzeba – pohamowała go Jackie. – Nie mam nic do ukrycia. Kiedy umawiałam się z Garym na spotkanie, powiedział mi, że ktoś pokazał mu artykuł o nim, a jemu spodobało się zdjęcie, które zamieściło czasopismo. Chciał dostać parę odbitek na własność. Dałam więc kilka do wywołania i wzięłam ze sobą do Ramblas. Jeśli mi pan nie wierzy, może pan sprawdzić w laboratorium fotograficznym. Nie mają dużo zleceń na czarno-białe fotki. Może je pamiętają. Mam również rachunek w mojej teczce dla księgowości.

Tony wychylił się nieco do przodu.

– Widzi pan, komisarzu? Nic złowieszczego. Tylko zwyczajna dziennikarka, która próbuje uszczęśliwić dobry kontakt. Jeśli na tym kończą się pana nowe materiały, nie widzę powodu, dla którego miałby pan przetrzymywać moją klientkę choćby chwilę dłużej.

Heggie wydawał się lekko podminowany.

– Czy poprosiła pani Gary’ego Hardiego o zabicie Davida Kerra? – zapytał.

Jackie pokręciła głową.

– Nie.

– Czy poprosiła pani Gary’ego Hardiego o skontaktowanie pani z kimś, kto mógłby zamordować Davida Kerra?

– Nie. Coś takiego nigdy nie przeszło mi przez myśl. – Jackie uniosła teraz wysoko głowę, wysuwając podbródek. Jej strach ustąpił.

– Ani razu nie pomyślała pani, o ile piękniejsze mogłoby być życie bez Davida Kerra? I jak łatwo można by je sobie zagwarantować?

– Co za brednie! – Jackie uderzyła otwartymi dłońmi w stół. – Dlaczego marnuje pan czas na mnie, zamiast wykonywać swoją pracę?

– Ale ja wykonuję swoją pracę – odparł spokojnie Heggie. – Dlatego właśnie pani tu jest.

Tony zerknął na zegarek.

– Już niedługo, panie komisarzu. Proszę albo aresztować moją klientkę, albo ją wypuścić. Ta rozmowa dobiegła końca. – Położył dłoń na ręce Jackie.

Minuta w policyjnym pokoju przesłuchań wydawała się trwać bardzo długo. Heggie milczał, nie spuszczając wzroku z dziennikarki. W końcu odsunął krzesło od stołu.

– Przesłuchanie zakończone o godzinie szóstej dwadzieścia pięć. Może pani iść – powiedział niechętnie. Wcisnął guzik wyłączający magnetofon kasetowy. – Nie wierzę pani, pani Donaldson – oznajmił, podnosząc się. – Myślę, że razem z Hélène Kerr uknułyście spisek, by zabić Davida Kerra. Myślę, że chciała ją pani mieć dla siebie i wyszła pani tamtego wieczoru, by zapłacić wynajętemu przez siebie zabójcy. I zamierzam to udowodnić. – Stał na progu i odwrócił się do niej jeszcze raz. – To dopiero początek.

Gdy za policjantami zamknęły się drzwi, Jackie ukryła twarz w dłoniach.

– Jezu Chryste.

Tony zebrał swoje rzeczy, po czym objął ją ramieniem.

– Dobrze sobie poradziłaś. Nic na ciebie nie mają.

– Widziałam ludzi sądzonych na podstawie jeszcze bardziej wydumanych dowodów. Strasznie się mnie uczepili. Nie przestaną szukać, dopóki nie znajdą kogoś, kto potwierdzi, że tamtej nocy byłam poza domem. Jezu. Nie wierzę, że właśnie wyciągnęli tę sprawę z Garym Hardiem.

– Szkoda, że nie wspomniałaś mi o tym wcześniej – rzekł Tony, poluzowując krawat i przeciągając się.

– Wybacz. Nie miałam pojęcia, że z tym wyskoczą. W końcu nie myślę o Garym Hardiem każdego dnia. A on w ogóle nie miał z tym nic wspólnego. Wierzysz mi, Tony, prawda? – zaniepokoiła się Jackie. Jeśli nie potrafiła przekonać własnego prawnika, nie miała szans w starciu z policją.

– To, w co ja wierzę, nie ma znaczenia. Chodzi wyłącznie o to, co mogą ci udowodnić. A na razie nie znaleźli nic, czego dobry adwokat nie obaliłby w ciągu paru minut. – Tony ziewnął. – Wspaniały sposób na spędzenie nocy, co?

Jackie podniosła się.

– Wynośmy się z tej pieprzonej dziury. Nawet powietrze jest tu skażone.

Tony wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ktoś powinien podarować Heggemu na następne urodziny przyzwoity płyn po goleniu. To, czym się oblał, śmierdziało jak skunks w rui.

– Zapaszek Paco Rabanne nie wystarczy, żebym uznała go za człowieka – warknęła Jackie. – Czy Hélène też tu trzymają?

– Nie. – Tony wziął głęboki oddech. – Myślę, że dobrze by było, gdybyście na jakiś czas przestały się widywać.

Jackie posłała mu spojrzenie, w którym mieszały się rozczarowanie i ból.

– Dlaczego?

– Bo jeśli będziecie się trzymać z daleka od siebie, trudniej wam będzie udowodnić, że pozostajecie w zмовie. Jeśli będziecie się spotykać, może to wyglądać tak, jakbyście omawiały strategie, by wasze zeznania się zgadzały.

– Co za głupota – odparła stanowczo. – Na litość boską, jesteśmy przyjaciółkami. Kochankami. Do kogo innego człowiek się zwraca po wsparcie i pocieszenie? Jeśli zaczniemy się unikać, wyjdzie na to, że zaszło między nami coś kłopotliwego. Jeśli H el ene zapragnie mojego towarzystwa, to je dostanie. Koniec dyskusji.

Tony wzruszył ramionami.

– Twoja wola. Płacisz za radę, nieważne, czy z niej skorzystasz, czy nie.

Otworzył drzwi i wyprowadził ją na korytarz. Jackie złożyła podpis przy odbiorze swoich rzeczy, po czym razem ruszyli do wyjścia.

Tony pchnął drzwi prowadzące na ulicę i zamarł. Mimo wczesnej pory na chodniku kulili się już trzej kamerzyści i garstka dziennikarzy. Gdy tylko zobaczyli Jackie, zaczęli się przekrzykiwać: „Hej, Jackie, aresztowali cię?”, „Jackie, czy ty i twoja dziewczyna wynajęłyście zabójcę?”, „Jak to jest być podejrzewaną o morderstwo, Jackie?”.

Brała udział w takich scenach niezliczoną ilość razy, ale nigdy z tej perspektywy. Nie przypuszczała, że może istnieć gorsze uczucie od tego, gdy policja wyciąga cię z łóżka w środku nocy i traktuje jak kryminalistkę. Teraz wiedziała, że była w błędzie. Zdrada, jak właśnie odkryła, miała niezmiernie bardziej gorzki smak.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

CIEMNOŚCI W GABINECIE GRAHAMA MACFADYENA rozpraszała jedynie upiorna poświata bijąca od monitorów. Na dwóch, których akurat nie używał, wygaszacze ekranu wyświetlały pokaz slajdów ze zdjęć, które zeskanował na swój komputer. Ziarniste fotografie jego matki, które ukazały się w gazetach, posępne ujęcia Hallow Hill, nagrobek na Cmentarzu Zachodnim i zdjęcia, które w ostatnich dniach zrobił z ukrycia Gilbeyowi i Mackiemu.

Macfadyen siedział przy komputerze, układając tekst. Na początku chciał po prostu złożyć oficjalną skargę na Lawsona i jego podkomendnych za ich beczynność. Jednak wizyta na stronie szkockiego rządu dowiodła mu daremności tego zamiaru. Jakikolwiek zażalenie by wysłał, zostałyby ono rozpatrzone przez policję hrabstwa Fife, a oni przecież nie skrytykują czynności własnego zastępcy komendanta. Chciał satysfakcji, a nie, by zrobili z niego balona.

Zdecydował się więc opisać całą historię i rozesłać kopie do reprezentującego go parlamentarzysty w Westminster, swego posła Szkockiego Parlamentu i wszystkich ważnych mediów informacyjnych w Szkocji. Im więcej jednak pisał, tym bardziej zaczynał się martwić, że zostanie uznany za kolejnego fana teorii spiskowych i zlekceważony. Albo gorzej.

Obgryzał skórki wokół paznokci i zastanawiał się, co powinien zrobić. Ukończył swą miażdżącą krytykę na temat niekompetencji policji w Fife i ich odmowy, by poważnie potraktować sprawę dwóch morderców znajdujących się na ich terenie. Potrzebował jednak czegoś jeszcze, by

sprawić, że ludzie obudzą się i zauważą, co się wokół nich dzieje. Czegoś, co spowoduje, że nikt już nie będzie mógł zignorować jego skarg ani sposobu, w jaki los niezaprzeczalnie wskazał palcem zabójców jego matki.

Dwa zgony powinny były wystarczyć, by zapewnić mu rezultat, którego pragnął. Ludzie byli jednak tacy ślepi. Nie widzieli tego, co mieli pod samym nosem. Mimo tych wszystkich wydarzeń sprawiedliwość do tej pory nie zatriumfowała, a on wciąż był jedyną osobą będącą w stanie to dostrzec.

Dom zaczynał przypominać obóz dla uchodźców. Alex był przyzwyczajony do życia w tempie, które razem z Lynn wykształcili sobie przez lata. Składały się nań posiłki w przyjaznej atmosferze, spacery wzdłuż wybrzeża, wyjścia na wystawy i do kina, od czasu do czasu spotkania z przyjaciółmi. Wiedział, że wielu ludzi uznałoby ich za nudnych, ale on miał więcej oleju w głowie. Lubił swoje życie. Rozumiał, że wiele się zmieni, gdy pojawi się dziecko, i był gotów powitać te zmiany całym sercem, mimo że tak naprawdę nie miał pojęcia, jaki będzie ich zakres. Nie spodziewał się jednak Weirda instalującego się w pokoju gościnnym ani przybycia Héléne i Jackie, jednej zrozpaczonej, a drugiej płonącej gniewem. Miał wrażenie, że został najechany, znękanym cudzym bólem i wściekłością do tego stopnia, że nie był już pewien, co sam właściwie czuje.

Zszokował go widok tych dwóch kobiet na jego progu, szukających schronienia przed prasą koczującą przed ich domami. Jak mogły sobie w ogóle wyobrazić, że będą tu mile widziane? Lynn w pierwszym odruchu kazała im się zameldować w hotelu, ale Jackie upierała się, że dom Gilbeyów jest jedynym miejscem, gdzie nikt nie będzie ich szukał. Zupełnie jak Weird, pomyślał ze znużeniem Alex.

Héléne wybuchła szlochem i przeprosiła za to, że zdradzała Monda. Jackie bez skrępowania wypomniała Lynn, że zgodziła się zaryzykować

i pomóc Alexowi. Lynn mimo to nie zmieniła stanowiska, że w jej domu nie ma dla nich miejsca. Wtedy Davina zaczęła zawodzić. Lynn zatrzęsnęła Héléne i Jackie drzwi przed nosem i jak burza odeszła do dziecka, posyłając Alexowi ostrzegawcze spojrzenie, by nie ośmielił się wpuszczać ich do środka. Weird wyślizgnął się za drzwi, mijając przyjaciela, i dogonił kobiety, kiedy wsiadały do samochodu. Gdy wrócił godzinę później, wyjawiał, że zameldował je w pobliskim hotelu pod swoim nazwiskiem.

– Dostały małą chatkę pośród drzew – zdał relację ze swych poczyniń. – Nikt nie wie, że tam są. Dadzą sobie radę.

Niezaprzeczalna galanteria Weirda sprawiła, że choć wieczór zaczął się niezręcznie, to wkrótce wszyscy pokonali zdenerwowanie, połączeni wspólnym celem i konwersacją okraszoną obfitą ilością wina. Cała trójka zasiadła przy stole w kuchni przy zaciągniętych żaluzjach chroniących ich przed mrokiem zapadającej nocy. Opróżniali butelki alkoholu, wyczerpująco omawiając sytuację. Ale sama rozmowa o tym, co ich trapi, nie wystarczyła. Musieli podjąć jakieś działania.

Weird całym sercem opowiadał się za konfrontacją z Grahamem Macfadyenem. Chciał zażądać wyjaśnień na temat wieńców dostarczonych na pogrzeby Ziggy’ego i Monda. Został jednak zakrzyczany przez Alexa i Lynn. Bez dowodów potwierdzających jego związki z morderstwami tylko ostrzegą Macfadyena, że żywią wobec niego podejrzenia. W ten sposób nie wydobędą z niego wyznania winy.

– Nic mnie nie obchodzi, czy go to zaalarmuje – oznajmił Weird. – Może dzięki temu się wycofa, zadowolony tym, co już zrobił, a nas dwóch zostawi w spokoju.

– Albo gdzieś się zaszyje i wymyśli jeszcze trudniejsze do wykrycia sposoby, jak nas dopaść. Weird, jemu się nigdzie nie spieszy. Ma całe życie na pomszczenie swojej matki – wytknął Alex.

– Zakładając oczywiście, że to on zabił Monda, a nie jakiś zabójca wynajęty przez Jackie – powiedziała Lynn.

– Dlatego właśnie Macfadyen musi się przyznać – rzekł Alex. – Jeśli jedynie wycofa się w cień, nie oczyści nikogo z podejrzeń.

Kontynuowali tę bezowocną rozmowę, brnąc w ślepe uliczki, które od czasu do czasu ożywiało jedynie głośne kwilenie Daviny, gdy budziła się gotowa na kolejne karmienie. Potem na nowo przeżywali dawne czasy. Alex i Weird przypominali sobie, jakie zniszczenia poczyniły w ich życiu pogłoski, które spadły na ich ostatni rok w St. Andrews niczym toksyczny deszcz. Weird pierwszy stracił cierpliwość do tych wspominek. Dopił wino i wstał.

– Muszę zaczerpnąć trochę świeżego powietrza – oznajmił. – Nie zamierzam dać się zastraszyć i do końca życia chować się za zamkniętymi drzwiami. Idę na spacer. Czy ktoś zechciałby mi towarzyszyć?

Nikt się nie zgłosił. Alex miał zamiar przygotować kolację, a Lynn karmiła Davinę. Weird pożyczył od przyjaciela woskowaną kurtkę i wyprawił się w stronę wybrzeża. Na przekór wszystkiemu chmury, które przez cały dzień spowijały szczelnie niebo, odpłynęły. Niebo było klarowne, garbaty księżyc wisiał nisko pomiędzy mostami. Temperatura spadła o kilka stopni, więc Weird skulił ramiona, chowając szyję w kołnierzu kurtki, gdy zimny nadmorski wiatr powiał znad zatoki Firth. Skręcił w stronę cieni zalegających pod mostem kolejowym, wiedząc, że jeśli wespnie się na cypel, zostanie nagrodzony wspaniałym widokiem z góry na ujście rzeki, wyspę Inchcolm i rozpościerające się za nimi Morze Północne.

Gdy tylko znalazł się na dworze, poczuł się lepiej. Człowiek zawsze był bliżej Boga pod gołym niebem, bez przytłaczającego tłumu ludzi wokół siebie. Weird myślał, że pogodził się ze swoją przeszłością, ale wydarzenia z ostatnich kilku dni uświadomiły mu niewygodną więź z młodym mężczyzną, którym był kiedyś. Chciał pobyć trochę sam, by

móc odbudować swą wiarę w zmiany, które w sobie poczynił od tamtej pory. Spacerując, myślał o tym, jak daleko zaszedł, jak ciężki bagaż zrzucił po drodze dzięki swej wierze w odkupienie, które oferowała mu religia. Jego rozważania stały się pogodniejsze, zrobiło mu się lżej na sercu. Jeszcze dziś wieczorem zadzwoni do rodziny. Chciał usłyszeć ich głosy podnoszące go na duchu. Kilka słów zamienionych z żoną oraz z dziećmi i poczuje się jak człowiek budzący się z koszmaru. W praktyce nic się nie zmieni. Był tego świadomy. Ale będzie w stanie z większą siłą walczyć z tym, co zaserwuje mu los.

Wiatr zaczął się wzmacniać, wyjąc i rycząc wokół niego. Weird przystanął, by złapać oddech, świadomy odległego pomruku samochodów przejeżdżających przez most drogowy. Dobiegł go stukot pociągu zbliżającego się do mostu kolejowego, więc odchylił głowę do tyłu, wyciągając szyję, by popatrzeć na przypominający makietę pojazd pięćdziesiąt metrów nad nim.

Nie zobaczył ani nie usłyszał ciosu, który cisnął go na kolana w straszliwej parodii modlitwy. Drugie uderzenie trafiło go w zębra i powaliło z chrzęstem na ziemię. Miał mętne wrażenie, że dostrzega ciemną postać dzierżącą coś przypominającego kij baseballowy, zanim trzeci cios po ramionach sprawił, że jego rozbieganymi myślami wstrząsnął ból. Szarpał palcami szorstką trawę, szukając oparcia, by móc odczołgać się poza zasięg kija. Czwarte uderzenie smagnęło go z tyłu po udach. Padł na brzuch, tracąc szansę na ucieczkę.

Wtedy, równie nagle, jak się zaczął, atak się skończył. To było jak powrót do wydarzeń sprzed dwudziestu pięciu lat. Przez miazmaty bólu i otępienia Weird ledwo zdawał sobie sprawę, że skądś dobiegały krzyki i ujadanie małego psa, dziwnie niepasujące do sytuacji. Poczował ciepły, nieprzyjemny oddech, a potem mokry, szorstki język liżący go po twarzy. To, że wciąż cokolwiek czuł, wydawało mu się takim błogosławieństwem, że pozwolił sobie na płacz.

– Tyś mnie wybawił od mych nieprzyjaciół – próbował powiedzieć. Potem wszystko pociemniało.

– Nie pojedę do szpitala – upierał się Weird.

Powtórzył to już tak wiele razy, że Alex uznał to za niezbity dowód wstrząśnienia mózgu. Jego przyjaciel siedział przy stole w kuchni sztywny z bólu i równie nieelastyczny w kwestii pomocy medycznej. Z twarzy odpłynął mu wszelki kolor, a długi obrzęk po uderzeniu ciągnął mu się od prawej skroni do potylicy.

– Myślę, że masz połamane żebra – stwierdził Alex. Również nie po raz pierwszy.

– Których mi nawet niczym nie obwiążą – odparował Weird. – Miałem już wcześniej złamane żebra. Dadzą mi tylko tabletki przeciwbólowe i każą je brać, aż poczuję się lepiej.

– Bardziej się martwię wstrząśnieniem mózgu – powiedziała Lynn, przypadając do niego z kubkiem mocnej, słodkiej herbaty. – Proszę, wypij. To pomaga na szok. A jeśli znowu zwymiotujesz, to pewnie masz to wstrząśnienie i wtedy zabieramy cię do szpitala w Dunfermline.

Weird wzdrygnął się.

– Nie, tylko nie do Dunfermline.

– Nie jest z nim tak źle, skoro wciąż jest w stanie żartować z Dunfermline – orzekł Alex. – Przypominasz sobie coś z napaści?

– Przed pierwszym ciosem w ogóle nic nie zauważyłem. Potem byłem całkiem skołowany. Widziałem ciemny kształt. To był chyba mężczyzna, może wysoka kobieta. Z kijem baseballowym. Ale żenada, co? Musiałem wrócić ze Stanów do Szkocji, żeby mnie ktoś obił pałą do baseballa.

– Nie widziałeś twarzy?

– Myślę, że ten ktoś miał maskę albo coś w tym stylu, bo nie widziałem nawet bladego zarysu twarzy. Potem zemdlałem. Kiedy się

ocknąłem, klęczał przy mnie wasz sąsiad. Był absolutnie przerażony. A potem zrzygałem się na jego psa.

Mimo afrontu, jaki spotkał jego jacka russella, Eric Hamilton pomógł Weirdowi stanąć na nogi i podpierał go przez obejmującą czterysta metrów drogę do domu Alexa i Lynn. Wymamrotał coś o tym, że spłoszył rabusia, po czym zbył ich wylewne podziękowania i wtopił się z powrotem w noc; nie chciał nawet wypić oferowanej mu z wdzięcznością whisky.

– Już wcześniej nie miał o nas zbyt dobrego mniemania – wyjaśniła Lynn. – Jest emerytowanym księgowym, a nas uważa za artystyczną cyganerię. Tak więc nie martw się, nie zrujnowałeś przepięknej przyjaźni. Ale mimo wszystko musimy zawiadomić policję.

– Zaczekajmy do rana. Wtedy będziemy mogli porozmawiać bezpośrednio z Lawsonem. Może teraz potraktuje nas poważnie – zaproponował Alex.

– Myślisz, że to był Macfadyen? – zapytał Weird.

– To nie Atlanta – wtrąciła Lynn – tylko mała, spokojna wioska w Fife. Nie wydaje mi się, żeby w North Queensferry kiedykolwiek kogoś napadnięto. A gdybyś już chciał kogoś obrabować, to czy wybrałbyś olbrzyma koło czterdziestki, skoro tylu emerytów każdego wieczoru wyprowadza swoje pieski na spacer po przybrzeżu? To nie był przypadkowy atak, tylko zamierzony.

– Zgadzam się z Lynn – oznajmił Alex. – Ta napaść pasuje do schematu poprzednich morderstw ucharakteryzowanych, by udawać coś innego. Podpalenie, włamanie, napad na tle rabunkowym. Gdyby Eric akurat się tam nie zjawił, już byłbyś martwy.

Zanim którekolwiek zdołało coś odpowiedzieć, rozległ się dzwonek do drzwi.

– Ja otworzę – zaoferował Alex. Wrócił, prowadząc policjanta. – Pan Hamilton zgłosił napaść – wyjaśnił. – Posterunkowy Henderson przyjechał, by spisać zeznanie. To jest pan Mackie – dodał.

Weird zdołał się uśmiechnąć, mocno zaciskając usta.

– Dziękuję, że pan przyszedł – powiedział. – Proszę usiąść.

– Pozwolę sobie zacząć od pańskich danych – rzekł Henderson, wyjmując notatnik i sadowiąc się przy stole. Rozpiął swą okazałą, przeciwdeszczową kurtkę od munduru, ale jej nie zdjął. Pewnie specjalnie ich szkolono w znoszeniu gorąca, żeby nie musieli tracić wrażenia dużych rozmiarów, które zapewniał im policyjny ubiór, pomyślał bez związku Alex.

Weird podał swoje pełne imię i adres, po czym wytłumaczył, że odwiedza właśnie starych przyjaciół: Alexa i Lynn. Gdy wyjawiał, że jest pastorem, Henderson speszył się, jakby było mu wstyd, że rabuś z podlegającego mu rewiru przywalił duchownemu.

– Co dokładnie zaszło? – zapytał.

Weird zrelacjonował skąpe szczegóły, które zapamiętał z ataku.

– Przykro mi, że nie mogę powiedzieć panu więcej. Było ciemno, a ja zostałem uderzony znienacka – wyjaśnił.

– Napastnik się nie odzywał?

– Nie.

– Nie zażądał pańskich pieniędzy albo portfela?

– Nic nie mówił.

Henderson potrząsnął głową.

– Kiepska sprawa. Takie rzeczy praktycznie się nie zdarzają w naszej wiosce. – Podniósł wzrok na Alexa. – Jestem zaskoczony, że sam nas pan nie powiadomił.

– Bardziej się martwiliśmy, czy z Tomem wszystko w porządku – wtrąciła Lynn. – Próbowaliśmy go przekonać, by dał się zabrać do szpitala, ale on wydaje się zdeterminowany, by podejść do sprawy stoicko.

Henderson skinął głową.

– Myślę, że pani Gilbey ma rację, wielebny. Nie zaszkodzi, jeśli lekarz obejrzy pańskie obrażenia. Oprócz oczywistych korzyści dla pana, dzięki

badaniom zdobędziemy oficjalny raport o rozmiarach szkód poniesionych na zdrowiu, który się przyda, jeśli złapiemy sprawcę.

– Może rano – odparł Weird. – Teraz jestem na to zbyt zmęczony.

Henderson zamknął notes i odsunął się od stołu.

– Będziemy pana informować o wszelkich postępach w śledztwie.

– Jest jeszcze coś, co mógłby pan dla nas zrobić – rzekł Alex.

Henderson spojrzał na niego pytająco.

– Wiem, że to zabrzmia całkiem bezsensownie, ale czy mógłby pan przesłać kopię swojego raportu do komendanta Lawsona?

Henderson zdawał się nieco zakłopotany tą prośbą.

– Pan wybaczy, ale nie do końca rozumiem, po co...

– Nie chcę, żeby to zabrzmiało protekcyjnie, ale to naprawdę długa i skomplikowana historia, a my wszyscy jesteśmy zbyt zmęczeni, by się w nią teraz zagłębiać. Pan Mackie i ja zajmujemy się z komendantem Lawsonem pewną bardzo delikatną sprawą i istnieje możliwość, że ten napad nie był przypadkowy. Chciałbym, aby zobaczył ten raport, żeby po prostu był świadomy, co tu zaszło dzisiaj wieczoru. Rano i tak chcę z nim o tym porozmawiać, więc pomogłoby mi, gdyby był na bieżąco w tej sprawie.

Żadna z osób, która widziała, jak Alex przekonuje swoich pracowników, by bardziej się starali, nie byłaby zaskoczona jego spokojną asertywnością.

Henderson rozważył jego słowa z niepewnością wyzierającą z oczu.

– To nie jest standardowa procedura – stwierdził z wahaniem.

– Zdaję sobie z tego sprawę, ale to nie jest też standardowa sytuacja. Zaręczam, że to się na panu nie odbije negatywnie. Jeśli wolałby pan raczej, by to komendant skontaktował się z panem... – Alex celowo nie dokończył zdania.

Henderson podjął decyzję.

– Wyślę kopię raportu na Komendę Główną. Wspomnę, że to na pańską prośbę.

Alex odprowadził go do drzwi. Stał na progu i patrzył, jak policyjny samochód ostrożnie wyjeżdża z podjazdu na ulicę. Zastanawiał się, kto czyha w ciemnościach, czekając na odpowiedni moment. Dreszcz przebiegł mu po plecach. Wcale nie od zimnego, nocnego powietrza.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

TELEFON ZADZWONIŁ TUŻ PO SIÓDMEJ. Obudził Davinę i przestraszył Alexa. Po ataku na Weirda nawet najcichszy dźwięk przenikał do jego świadomości, domagając się zanalizowania i oszacowania ryzyka. Ktoś wrogi śledził jego i Weirda, przez co wszystkie jego zmysły zostały postawione w stan gotowości. W rezultacie prawie wcale nie spał. Słyszał, jak Weird szurał w nocy po domu, pewnie poszukując kolejnych tabletek przeciwbólowych. Nie były to typowe nocne odgłosy i serce łomotało mu w piersi, dopóki ich nie rozpracował.

Chwycił słuchawkę, zastanawiając się, czy Lawson siedzi już przy swoim biurku z raportem Hendersona w poczcie przychodzącej. Nie był przygotowany na jowialność Jasona McAllistera.

– Cześć, Alex – powitał go radośnie ekspert od farb. – Wiem, że świeżo upieczeni rodzice zawsze wstają z kurami, więc uznałem, że się nie pogniewasz, jeśli zadzwonię tak wcześnie. Słuchaj, mam dla ciebie garść informacji. Mógłbym zaraz przyjechać i wszystko ci przekazać, zanim udam się do pracy. Pasuje ci to?

– Jak najbardziej – odparł ze znużeniem Alex.

Lynn odsunęła kołdrę, na wpół nieprzytomnie przeszła przez pokój do łóżeczka Daviny i wyciągnęła ją z niego, stękając przy tym.

– Kapitalnie. Będę za pół godziny.

– Znasz adres?

– Jasne. Parę razy umawiałem się u was z Lynn na spotkania. Do zobaczenia.

Rozłączył się. Alex podciągnął się na łóżku, a Lynn wróciła na swoje miejsce razem z dzieckiem.

– To był Jason – oznajmił Alex. – Już do nas jedzie. Lepiej wezmę prysznic. Nie wspominałaś mi wcześniej, że jest daleko spokrewniony z Osłem ze *Shreka*. – Pochylił się i ucałował córkę w czubek głowy, gdy Lynn przystawiła ją do piersi.

– Czasem jest trochę męczący – zgodziła się z nim żona. – Nakarmię Davinę, a potem narzucę szlafrok i do was dołączę.

– Nie sądziłem, że tak szybko będzie miał dla nas jakieś wyniki.

– Przypomina mi ciebie z czasów, kiedy właśnie założyłeś swoją firmę. Kocha to, co robi, więc nie przeszkadza mu, ile czasu na to poświęca. I chce się dzielić swoją radosną twórczością ze wszystkimi wokół.

Alex zatrzymał się z ręką wyciągniętą po szlafrok.

– Ja byłem taki sam? To cud, że nie zażądałaś rozwodu.

W kuchni zastał Weirda. Po pastorce widać było paskudne przejścia. Jedyne kolor na jego twarzy pochodził od sińca, który rozlał się jak teatralny makijaż wokół jego oczu. Siedział dziwnie, trzymając w rękach kubek.

– Wyglądasz koszmarnie – przywitał go Alex.

– I tak też się czuję. – Weird upił łyk kawy i skrzywił się. – Dlaczego nie macie w domu porządnych leków przeciwbólowych?

– Bo nie mamy w zwyczaju strasznie się upijać – odparł Alex przez ramię, po czym wyszedł do przedpokoju, by otworzyć drzwi.

Jason wpadł do kuchni niemalże na palcach, pełen werwy z podekscytowania. Pobieźnie obrzucił wzrokiem Weirda, po czym popatrzył na niego ponownie, tym razem uważniej, przyswajając sobie jego wygląd. Jego zachowanie przypominało komediowy skecz.

– Kurde mol, człowieku. Co ci się przytrafiło?

– Napastnik z kijem baseballowym – odpowiedział mu lakonicznie Alex. – Nie żartowaliśmy, mówiąc, że to może być sprawa życia lub śmierci. – Nalał Jasonowi kawy. – Jestem pod wrażeniem, że masz coś dla nas tak prędko – dodał.

Jason wzruszył ramionami.

– Kiedy już się za to zabrałem, nie było wcale trudno. Zrobiłem mikrospektrofotometrię, by ustalić kolor, a potem przepuściłem próbkę przez chromatograf gazowy, żeby zbadać skład. Wynik nie pasował jednak do niczego z mojej bazy danych.

Alex westchnął.

– Cóż, tego się spodziewaliśmy.

Jason podniósł palec.

– Ale widzisz, Alex, jestem człowiekiem pomysłówym i zaradnym. Parę lat temu spotkałem na jednej konferencji takiego gościa. Jest najbardziej obeznany z farbami na świecie. Pracuje dla FBI i twierdzi, że ma największą bazę danych dotyczącą farb, jaka istnieje w poznanej przez nas części kosmosu. Poprosiłem go więc, by porównał moje wyniki ze swoimi zbiorami, i bingo! Mamy trafienie! – Jason rozłożył szeroko ręce, jakby oczekiwał oklasków.

Lynn wkroczyła do kuchni akurat na czas, by usłyszeć tę konkluzję.

– W takim razie co to za farba? – zapytała.

– Nie będę was zanudzał danymi technicznymi. Została wyprodukowana przez mały zakład w New Jersey w połowie lat siedemdziesiątych. Nadaje się do pokrywania włókna szklanego i niektórych rodzajów uformowanego tworzywa sztucznego. Rynkiem docelowym byli budowniczcy i właściciele łodzi. Dawała wyjątkowo odporne wykończenie, przez co trudno ją było zadrapać i nie łuszczyła się nawet w ekstremalnych warunkach pogodowych. – Jason otworzył plecak i pogrzebał w nim, aż w końcu wyciągnął wygenerowaną komputerowo kartę kolorów. Jasnoniebieski fragment był obrysowany czarnym

markerem. – Tak właśnie wyglądała ta farba – oznajmił, dając im kartkę do obejrzenia. – Dobra wiadomość jest taka, że dzięki jakości wykończenia, jeśli jakimś cudem wasze miejsce zbrodni przetrwało do dziś, istnieje szansa, że zdołacie wziąć z niego próbkę do porównania. Naszą farbę sprzedawano głównie na Wschodnim Wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, ale trochę też eksportowano do Zjednoczonego Królestwa i na Karaiby. Wytwórnia splajtowała pod koniec lat osiemdziesiątych, więc nie da się stwierdzić, kiedy interesująca nas partia wylądowała w naszych stronach.

– A zatem Rosie mogła zostać zabita na łodzi? – dociekał Alex.

Jason cmoknął z powątpiewaniem.

– Jeśli tak było, to musiała być spora łódź.

– Skąd taki wniosek?

Technik teatralnym gestem wyciągnął z plecaka plik kartek.

– Tu właśnie na scenę wkraczają kropelki farby i ich kształt. Mamy tutaj maleńkie łożki. I ze dwa tycie fragmenty włókien, które w mojej opinii pochodzą z płytek wykładzinowych. A te dane tworzą nam już historię. Kropelki spadły z pędzla, kiedy coś malowano. Nasza farba jest bardzo „ruchliwa”, co oznacza, że opadała w naprawdę miniaturowych kropelkach. Malująca osoba pewnie nawet tego nie zauważyła. Zazwyczaj taka praktycznie niewidoczna mgiełka powstaje, kiedy człowiek maluje coś nad swoją głową, zwłaszcza jeśli ma w pełni wyciągnięte ramię. A ponieważ praktycznie nie ma różnic w kształcie kropelek, można wydedukować, że tak właśnie było: ktoś malował coś nad sobą z niezmienną odległości. Żaden z tych wniosków nie pasuje do kadłuba łodzi. Nawet jeśli odwróciłoby się go do góry nogami, żeby go wymalować od środka, raczej nie miałyby to miejsca w pomieszczeniu z wykładziną na podłodze, prawda? A kropelki miałyby różną wielkość, bo część powierzchni byłaby bliżej malującego, pojmujecie?

Umilkł na chwilę i rozejrzał się po kuchni. Wszyscy potrząsali głowami, urzeczeni jego entuzjazmem.

– W takim razie co nam zostaje? Jeśli to była łódź, to wasz sprawca malował zapewne wnętrze kajuty, a konkretnie jej sufit. Wykonałem kilka eksperymentów z bardzo podobną farbą. By uzyskać ten efekt, musiałem sięgać ręką naprawdę wysoko. Małe łódki nie mają tak dużej przestrzeni w kajutach, więc to musiałyby być naprawdę duża łajba.

– O ile to w ogóle była łajba – odrzekła Lynn. – A mogło to być coś innego? Na przykład wnętrze barakowozu albo przyczepy kempingowej?

– Mogło. Chociaż w przyczepie raczej nie kładzie się wykładziny, nie? To mogła być też szopa albo garaż, z tego względu, że farby przeznaczone do włókna szklanego dobrze się sprawdzają również na azbeście, a w latach siedemdziesiątych było go wszędzie o wiele więcej.

– Czyli w ogólnym rozrachunku nowe informacje nijak nie posuwają nas do przodu – skwitował Weird z rozczarowaniem w głosie.

Rozmowa rozgałęziła się teraz na kilka tematów. Alex przestał jednak słuchać. Coś tykało mu w mózgu, gonitwa myśli pchnięta w ruch przez coś, co przed chwilą usłyszał. W umyśle zaczęły mu się tworzyć połączenia, związki między pozornie niezwiązanymi ze sobą informacjami skuwały się w łańcuch przyczyn i skutków. Kiedy już pozwolił zaistnieć pierwszej myśli, będącej wcześniej nie do pomyślenia, tyle innych zdarzeń nabrało sensu. Teraz pytanie brzmiało, co z tym zrobi.

Nagle Alex zdał sobie sprawę, że zupełnie wypadł z rozmowy. Pozostała trójka patrzyła na niego wyczekująco, spodziewając się odpowiedzi na pytanie, którego nawet nie usłyszał.

– Co takiego? – mruknął. – Wybaczcie, zamyśliłem się.

– Jason pytał, czy chcesz, żeby napisał oficjalny raport z analizy – powiedziała Lynn. – Żebyś mógł go pokazać Lawsonowi.

– Tak, to świetny pomysł – odparł. – Genialne, Jasonie, naprawdę jestem pod wrażeniem.

Gdy Lynn odprowadzała kolegę do drzwi, Weird zaczął świdrować Alexa wzrokiem.

– Wpadłeś na jakiś pomysł, Gilly. Znam to spojrzenie.

– Wcale nie. Łamałem sobie tylko głowę, próbując sobie przypomnieć, czy ktoś z Lammas miał łódź. Przychodziło tam paru rybaków, no nie? – Alex odwrócił się plecami do przyjaciela i udawał, że jest zajęty, wsuwając do tosterka dwie kromki chleba.

– Jak już o tym wspomniałeś... Powinniśmy przypomnieć o tym Lawsonowi – powiedział Weird.

– Pewnie. Kiedy zadzwoni, możesz mu to przekazać.

– Dlaczego ja? A ty gdzie wtedy będziesz?

– Muszę iść na kilka godzin do biura. Zaniedbywałem ostatnio swoją firmę. A wiesz, biznes sam się nie prowadzi. Mam dziś rano parę spotkań, na których naprawdę muszę się pojawić.

– Czy to bezpieczne, że będziesz tak jeździł w pojedynkę?

– Nie mam wyboru – odparł Alex. – Ale wydaje mi się, że będę w miarę bezpieczny w pełnym świetle dnia na drodze do Edynburga. I wrócę na długo przed zmierzchem.

– Lepiej, żeby tak właśnie było. – Lynn wróciła z naręczem porannych gazet. – Okazuje się, że Jackie nie myliło przeczucie. Ich zdjęcia są na wszystkich pierwszych stronach.

Pograżony w myślach Alex żuł swój tost, podczas gdy Lynn i Weird przeglądali gazety. Kiedy nie patrzyli, wziął kartę kolorów, którą zostawił im Jason, i wsunął ją do kieszeni spodni. Wykorzystał chwilę ciszy w rozmowie, by oznajmić, że wychodzi, pocałował żonę i śpiące dziecko, po czym opuścił dom.

Powoli wyjechał swoim bmw z garażu na ulicę, a następnie obrał kierunek ku autostradzie wiodącej przez most do Edynburga. Kiedy

jednak dojechał do ronda, zamiast skręcić na M90 na południe, wybrał zjazd prowadzący na północ. Ten, kto na nich polował, znalazł się teraz na jego terenie. Alex nie miał czasu na siedzenie na spotkaniach.

Lynn wsiadła za kierownicę swego samochodu z poczuciem ulgi, z którego nie była dumna. Zaczynała się czuć klaustrofobicznie we własnym domu. Nie mogła nawet wycofać się do swojego atelier i odzyskać spokoju, pracując nad najnowszym obrazem. Wiedziała, że nie powinna prowadzić, nie tak prędko po cesarskim cięciu, ale musiała gdzieś się wyrwać. Potrzeba zrobienia zakupów okazała się idealnym pretekstem. Obiecała Weirdowi, że w supermarkecie poprosi kogoś z obsługi o dźwiganie dla niej wszystkich ciężkich rzeczy. Potem otuliła ciepło Davinę, wsadziła ją do nosidełka i uciekła z domu.

Postanowiła jak najlepiej wykorzystać chwilę wolności i pojechać do wielkiego Sainsbury's w Kirkcaldy. Jeśli po zakupach zostałoby jej jeszcze dość energii, zawsze mogła odwiedzić rodziców. Nie widzieli Daviny, odkąd została zabrana ze szpitala do domu. Może wizyta małej wnuczki pomogłaby rozproszyć gnębiący ich ponury nastrój. Potrzebowali czegoś, co pozwoli im zrozumieć, że powinni się skupić bardziej na przyszłości niż na przeszłości.

Gdy zjechała z autostrady w Halbeath, na desce rozdzielczej zaświeciła się lampka sygnalizująca niski poziom paliwa. Rozum podpowiadał jej, że miała go wciąż wystarczająco dużo, by dojechać do Kirkcaldy i z powrotem, ale nie zamierzała podejmować żadnego ryzyka, skoro wiozła ze sobą dziecko. Włączyła kierunkowskaz przy zjeździe na parking ze stacją benzynową i wolno podtoczyła się do dystrybutorów, całkiem nieświadoma, że pewien samochód siedział jej na ogonie, odkąd opuściła North Queensferry.

Lynn zatankowała, po czym pospiesznie poszła do budynku, by zapłacić. Gdy czekała, aż płatność jej kartą kredytową zostanie

zaakceptowana, wyrzwała na zewnątrz.

Z początku nie mogła zrozumieć, na co patrzy. To, co się tam działo, było niewłaściwe, całkiem niewłaściwe. Potem wszystko pojęła. Wrzasnęła ile sił w płucach i rzuciła się do drzwi, po drodze upuszczając torebkę, z której wysypała się cała zawartość.

Za jej samochodem stał srebrny volkswagen golf z włączonym silnikiem i szeroko otwartymi drzwiami kierowcy. Drzwi od strony pasażera w jej aucie również były uchylone i zasłaniały osobę, która zaglądała właśnie do środka. Gdy Lynn z rozmachem popchnęła ciężkie drzwi stacji, mężczyzna wyprostował plecy. Miał gęste, czarne włosy, które opadały mu na oczy. W rękach ścisnął mocno nosidełko z Daviną. Zerknął w jej kierunku, po czym pobiegł do swojego samochodu. Krzyki Daviny przecięły powietrze niczym ostrze noża.

Mężczyzna na wpół rzucił, na wpół wepchnął kosz z dzieckiem na siedzenie pasażera i wskoczył za kierownicę. Lynn niemal go dopadła. Porywacz wcisnął gaz do dechy i auto wyrwało się naprzód z piskiem opon na asfalcie.

Nie zważając na ból promieniujący z jej połowicznie zaleczonej blizny, Lynn rzuciła się na dziko skręcającego golfa, gdy przemykał koło niej. Jej desperacko wyciągnięte palce nie zdążyły się jednak na niczym zacisnąć i z rozpędu upadła na kolana.

– Nie! – wrzasnęła, bijąc pięściami w ziemię. – Nie! – Próbowała wstać, by dobiec do swojego samochodu i ruszyć w pogoń, lecz nogi nie dawały jej oparcia i znów poleciała na ziemię, czując szarpiącą udrękę.

Euforia rozpierała Grahama Macfadyena, gdy mknął jak pocisk drogą A92, oddalając się od stacji benzynowej w Halbeath. Udało mu się. Miał dziecko. Zerknął na nie przelotnie, upewniając się, że nic mu nie jest. Przestało wyc jak *banshee*, gdy tylko wjechali na drogę szybkiego ruchu. Słyszał gdzieś, że dzieci lubią uczucie jazdy samochodem, a to, które

porwał, zdawało się potwierdzać ową teorię. Popatrzyło na niego swymi niebieskimi oczami, obojętne i spokojne. Po zjeździe z dwupasmówki skierował się na boczne drogi, by uniknąć policji. Postanowił, że zatrzyma się gdzieś w polu i porządnie przypnie nosidełko z dzieckiem. Nie chciał jeszcze, żeby stało mu się coś złego. To Alexa Gilbeya pragnął ukarać, a im dłużej dziecko będzie żyło i miało się dość dobrze, tym gorsze będzie cierpienie jego ojca. Zatrzyma berbecia jako zakładnika tak długo, jak będzie mu potrzebny.

Jego uprowadzenie okazało się śmiesznie łatwe. Ludzie naprawdę powinni lepiej troszczyć się o własne dzieci. Zadziwiająco, że więcej z nich nie wpadało w łapy obcych indywiduów.

Dzięki temu w końcu zostanie wysłuchany, pomyślał. Zabiorę dziecko do siebie i zabarykaduję drzwi. To będzie oblężenie. Media zjawią się tłumnie i dostanie szansę, by wytłumaczyć, dlaczego został zmuszony do podjęcia tak ekstremalnych działań. Kiedy ludzie usłyszą, jak policja z Fife chroniła zabójców jego matki, zrozumieją powód, który popchnął go do czynu tak niezgodnego z jego charakterem. A jeśli to wciąż nie wystarczy, no cóż... miał jeszcze jednego asa w rękawie. Łypnął na ospałe dziecko.

Lawson pożałuje, że go nie posłuchał.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

ALEX ZJECHAŁ Z AUTOSTRADY w Kinross. Przejechał przez spokojne miasteczko targowe i zostawił je za sobą, zmierzając w stronę Loch Leven. Kiedy Karen Pirie wymusnęło się, że Lawson pojechał na ryby, powiedziała „jezioro”, zanim ugryzła się w język. A w Fife było tylko jedno jezioro, w którym poważny poławiacz mógłby zanurzyć wędkę. Alex nie mógł przestać myśleć o swym niedawnym odkryciu. W głębi serca wiedział, że żaden z ich czwórki nie zabił Rosie, a także nie potrafił sobie wyobrazić, jak dziewczyna samotnie brnie w tumanach śniegu, stanowiąc łatwą zdobycz dla jakiegoś nieznajomego, dlatego zawsze skłaniał się ku teorii, że zamordował ją jej tajemniczy chłopak. A jeśli planowało się uwieść dziewczynę, nie zabierało się jej do szopy albo garażu. Zapraszało się ją do swego domu. A potem przypomniał sobie uwagę wtrąconą podczas jednej z niedawnych rozmów. Coś nie do pomyślenia nagle stało się jedyną możliwością, która miała sens.

Majająca wysoko bryła wzgórza Bishop wznosiła się po jego prawej stronie niczym śpiący dinozaur, odcinając zasięg jego komórki. Nieświadomy wydarzeń dziejących się w innych miejscach, Alex wypełniał misję. Wiedział dokładnie, czego szuka. Nie wiedział tylko, gdzie mógłby to znaleźć.

Jechał wolno, skręcając we wszystkie gospodarskie dróżki i boczne ścieżyny, które wiodły ku brzegom jeziora. Lekka mgiełka unosiła się nad powierzchnią stalowoszarej wody, tłumiąc dźwięki i dodając jego wyprawie niepożądaną upiorności. Alex zatrzymywał się przy każdej bramie, jaką napotykał, wysiadał z samochodu i wychylał się przez płoty,

lustrując pola, by nie przegapić obiektu swych poszukiwań. Gdy przemoczył kostki w wysokiej trawie, pożałował, że nie ubrał się bardziej odpowiednio. Nie chciał jednak zaalarmować Lynn, zdradzając swym wyglądem, że wcale nie wybierał się do biura.

Nie spieszył się, metodycznie posuwał się wzdłuż brzegu jeziora. Spędził prawie godzinę, grasując po małym polu kempingowym dla przyczep turystycznych, ale nie znalazł tam tego, co go interesowało. Wcale nie był zaskoczony tym faktem. Nie spodziewał się, że zostanie obiekt swego polowania w miejscu, do którego mieli dostęp przeciętni obywatele.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy jego zrozpaczona żona składała policjantom wstępne oświadczenie, Alex popijał kawę w przydrożnej herbaciarni i smarował masłem domowej roboty bułeczkę, próbując na powrót rozgrzać nieco przemarznięte ciało po wizycie na kempingu. Nie miał zielonego pojęcia, że coś było nie w porządku.

Pierwszy funkcjonariusz, który pojawił się na miejscu zdarzenia, zastał tam zachowującą się nieskładnie kobietę z pobrudzonymi dłońmi i kolanami džinsów, zanoszącą się żalosnym płaczem przed budynkiem stacji benzynowej. Poważnie strapiony sprzedawca stał bezradnie koło niej, a kierowcy przyjeżdżali i zaraz odjeżdżali z niezadowoleniem, gdy tylko dowiadywali się, że nie zostaną obsłużeni.

– Sprowadź tu natychmiast Jimmy’ego Lawsons! – krzyczała na policjanta kobieta, gdy pracownik stacji wyjaśniał mu, co się stało.

Próbował zignorować jej żądania, prosząc przez radio o pilne wsparcie. Wtedy złapała go za kurtkę i opryskała śliną, wciąż drąc się i domagając, by sprowadził tu zastępcę komendanta z Wydziału Kryminalnego. Próbował odeprzeć jej atak, sugerując, że może chciałaby zadzwonić po męża, przyjaciółkę, kogokolwiek.

Lynn odepchnęła go pogardliwie i jak burza wbiegła z powrotem do budynku. Z rozrzuconej sterty rzeczy, które wysypały się wcześniej z jej torebki, wygrzebała swoją komórkę. Wybrała numer Alexa, ale wkurzający głos z nagrania obwieścił jej, że abonent jest obecnie niedostępny.

– Kurwa! – wrzasnęła. Palce nieporadnie ślizgały jej się po klawiszach, ale zdołała zadzwonić pod swój domowy numer.

Kiedy Weird odebrał, zawyła.

– Tom, on porwał Davinę! Ten drań porwał moją córkę!

– Co takiego? Kto ją porwał?

– Nie wiem. Chyba Macfadyen. Ukradł moje dziecko. – Wybuchła płaczem. Łzy spływały jej potokami po policzkach i dławiły.

– Lynn, gdzie jesteś?

– Na stacji benzynowej w Halbeath. Zatrzymałam się tylko po paliwo. Nie było mnie raptem przez minutę... – Lynn zakrztusiła się i upuściła telefon, który wylądował u jej stóp. Przykucnęła, opierając się o stojak ze słodyczami. Objęła ramionami głowę i zaszlochała. Nie miała pojęcia, ile czasu minęło, zanim usłyszała cichy, uspokajający, kobiecy głos. Podniosła wzrok i spojrzała nieznajomej w twarz.

– Jestem komisarz Cathy Mcintyre – przedstawiła się policjantka. – Czy może mi pani opowiedzieć, co zaszło?

– Ten człowiek nazywa się Graham Macfadyen. Mieszka w St. Monans – oznajmiła Lynn. – Ukradł moje dziecko.

– Zna go pani? – zapytała komisarz Mcintyre.

– Nie. Nie znam. Ale on żywi urazę do mojego męża. Myśli, że Alex zamordował jego matkę. Tyle że oczywiście się myli. To obłąkany człowiek. Już zdążył zabić dwie osoby. Niech mu pani nie pozwoli zabić mojej małej. – Słowa Lynn płynęły rwąco jedno za drugim, przez co brzmiała jak niezrównoważona. Spróbowała wziąć głęboki oddech i czknęła. – Wiem, że wydaję się szalona, ale naprawdę nie jestem. Musi

pani skontaktować się z komendantem Jamesem Lawsonem. On wie wszystko o tej sprawie.

Komisarz McIntyre wyraźnie się wahała. Ten przypadek znacznie wykraczał poza jej umiejętności i miała tego świadomość. Do tej pory zdołała jedynie przekazać wszystkim załogom radiowozów i pieszym patrolom, by wypatrywali srebrnego golfa kierowanego przez ciemnowłosego mężczyznę. Może wezwanie Lawsons oszczędzi jej upokorzenia.

– Proszę zostawić to mnie – orzekła i wyszła z budynku, by rozważyć swoje możliwości.

Weird siedział w kuchni, wściekając się z powodu własnej niezdatności do pomocy. Modlitwa była wspaniała, ale człowiek musiał zyskać o wiele wyższy poziom wewnętrznego spokoju, by osiągnąć coś użytecznego przy jej pomocy. Jego wyobraźnia pracowała na pełnych obrotach, ukazując mu sceny z jego własnymi dziećmi w rękach porwacza. Wiedział, że na miejscu Lynn nie byłby w stanie wykrzesać z siebie żadnej racjonalnej reakcji. Musiał wpaść na coś konkretnego, co mogłoby pomóc.

Spróbował dodzwonić się do Alexa, ale on nie odbierał komórki, a ludzie z jego biura oznajmili, że nie widzieli go i nie mieli od niego wieści przez cały ranek. A zatem Alex również zniknął. Weird tak naprawdę nie był zaskoczony; podejrzewał, że Alex miał na głowie coś, czym planował się dziś zająć.

Znów sięgnął po telefon, krzywiąc się nawet przy tak drobnym ruchu, po czym zapytał informację o numer komendy w Fife. Potrzebował całej potęgi swej perswazji, by dotrzeć aż do sekretarki Lawsons.

– Naprawdę muszę porozmawiać z komendantem – przekonywał. – To pilne. Pewien człowiek właśnie porwał dziecko, a ja mam w tej sprawie niezwykle ważne informacje – perorował kobiecie, która była

niewątpliwie równie biegła w nieudzieleniu odpowiedzi, jak on w namawianiu.

– Pan Lawson jest na spotkaniu – oznajmiła mu sekretarka. – Jeśli zostawi pan swoje nazwisko i numer telefonu, poproszę go, by do pana zadzwonił, kiedy znajdzie chwilę.

– Pani nie rozumie, co ja mówię, co? Porwano dziecko i jego życie wisi na włosku. Jeśli cokolwiek mu się stanie, może się pani założyć o swoją emeryturę, że w ciągu godziny pójdę do prasy i telewizji i opowiem im, jak zawałacie swoją robotę. Jeśli natychmiast nie da mi pani Lawsona do telefonu, zostanie pani kozłem ofiarnym.

– Nie ma potrzeby tak się unosić, proszę pana – odparła chłodno kobieta. – Czy może pan powtórzyć swoje nazwisko?

– Wielebny Tom Mackie. Lawson zechce ze mną pomówić, zaręczam to pani.

– Proszę chwilę poczekać.

Weird szalał w środku ze złości do melodii gorączkowego concerto grosso. Po czasie ciągnącym się w nieskończoność usłyszał głos, który rozpoznał mimo upływu lat.

– Lepiej, żeby to było coś ważnego, panie Mackie. Zostałem wyciągnięty ze spotkania z komendantem, żeby z panem porozmawiać.

– Graham Macfadyen uprowadził dziecko Alexa Gilbeya. Nie mogę uwierzyć, że siedzi pan na jakimś spotkaniu, kiedy dzieją się takie rzeczy – warknął Weird.

– Co pan powiedział?

– W pańskim rejonie doszło do kradzieży dziecka. Około piętnastu minut temu Macfadyen porwał Davinę Gilbey. Na litość boską, ona ma tylko parę tygodni.

– Nic mi o tym nie wiadomo, panie Mackie. Proszę powiedzieć wszystko, co pan wie.

– Lynn Gilbey zatrzymała się, żeby zatankować na stacji benzynowej w Halbeath. Kiedy płaciła, Macfadyen wyciągnął jej dziecko z samochodu. Policja już tam jest. Dlaczego nikt pana nie powiadomił?

– Czy pani Gilbey rozpoznała Macfadyena? Czy kiedykolwiek go widziała? – zapytał stanowczo Lawson.

– Nie. Ale kto inny chciałby w taki sposób skrzywdzić Alexa?

– Ludzie porywają dzieci z wielu różnych powodów, panie Mackie. To może nie być sprawa osobista. – Głos Lawsons brzmiał uspokajająco, ale nie odniósł pożądanego efektu.

– Oczywiście, że to jest sprawa osobista! – wydarł się Weird. – Wczoraj wieczorem ktoś próbował spałować mnie na śmierć. Powinien pan mieć na biurku raport z tego zdarzenia. A dziś rano ktoś porwał dziecko Alexa. Znowu zamierza się pan upierać, że to czysty przypadek? Bo nas pan nie przekona. Musi pan ruszyć dupę i znaleźć Macfadyena, zanim coś się stanie dziecku.

– Stacja w Halbeath, tak?

– Tak. Niech pan tam natychmiast jedzie. Ma pan na tyle wysokie stanowisko, żeby zmusić swoich podwładnych do działania.

– Najpierw porozmawiam z moimi ludźmi w terenie. W międzyczasie, panie Mackie, niech pan spróbuje się nie niepokoić.

– Tak, jasne. To będzie bułka z masłem.

– Gdzie jest pan Gilbey? – zapytał Lawson.

– Nie wiem. Mówił, że jedzie do swojego biura, ale się tam nie pojawił. A jego komórka nie odpowiada.

– Proszę zostawić to mnie. Ktokolwiek porwał dziecko, odnajdziemy je i odstawimy z powrotem do domu.

– Wiesz co, Lawson, brzmiś jak najgorszy typ serialowego gliny. Po prostu coś zrób. Wytrop Macfadyena. – Weird trzasnął słuchawką.

Próbował wmówić sobie, że coś osiągnął, ale sam w to nie wierzył. To było bez sensu. Nie mógł tak po prostu siedzieć w domu i nic nie robić.

Znów sięgnął po telefon i zapytał informację o numer firmy taksówkarskiej.

Lawson wbijał wzrok w telefon. Macfadyen przekroczył wszystkie granice. Powinien był to przewidzieć, ale zawiódł w tej kwestii. A teraz było za późno, by coś z nim zrobić. Ta sprawa mogła całkiem wymknąć się spod kontroli. A kto wie, co się wtedy stanie. Z trudem utrzymując pozory opanowania, skontaktował się z pomieszczeniem kontrolnym służb i zażądał raportu z wydarzeń w Halbeath.

Gdy tylko usłyszał słowa „srebrny volkswagen golf”, jego mózg przywołał wspomnienie spaceru ścieżką przed domem Macfadyena i obraz jego samochodu na podjeździe. Nie było wątpliwości. Macfadyen postradał rozum.

– Połącz mnie z osobą dowodzącą na miejscu zdarzenia – rozkazał.

Bębnił palcami w biurko, aż nadeszła odpowiedź ze stacji benzynowej. To był scenariusz z piekła rodem. Co, do diabła, planował Macfadyen? Czyżby mścił się na Gilbeyu za domniemaną krzywdę wyrządzoną jego matce? Czy też w jego działaniach kryło się coś więcej? Nieważne, jakie kierowały nim pobudki – niemowlę było w niebezpieczeństwie. Zazwyczaj w przypadku uprowadzenia dziecka motywacja porywacza była prosta. Chciał dziecka dla siebie. Zajmował się nim, otaczał miłością i uwagą. W tym przypadku było inaczej. Córka Gilbeya była pionkiem w chorej grze Macfadyena, na czymkolwiek by ona polegała. A jeśli programista uważał, że w ten sposób mści się za morderstwo matki, sam też mógł się ostatecznie posunąć do zabójstwa. Lawson nie śmiał myśleć o konsekwencjach takiego scenariusza. Żołądek mu się ścisnął, gdy rozważał, co to by oznaczało.

– No, szybciej... – mruknął.

W końcu w słuchawce zatrzeszczał głos.

– Mówi komisarz Mcintyre.

Przynajmniej dowodzi tam kobieta, pomyślał z ulgą Lawson. Pamiętał Cathy McIntyre. Miała rangę sierżanta w Wydziale Kryminalnym, kiedy on był umundurowanym inspektorem w Dunfermline. Była dobrą policjantką, zawsze działała zgodnie z zasadami.

– Cathy, mówi Lawson.

– Tak jest, panie komendancie. Właśnie miałam do pana dzwonić. Matka porwanego dziecka nazywa się Lynn Gilbey. Prosiła, żeby pan tu przyjechał. Wydaje się przekonana, że pan wie, o co w tym wszystkim chodzi.

– Porywacz odjechał srebrnym volkswagenem golfem, zgadza się?

– Tak jest, panie komendancie. Próbujemy zidentyfikować tablice rejestracyjne na nagraniach z kamer przemysłowych, ale mamy tylko ujęcia samochodu w ruchu. Zaparkował tuż za autem pani Gilbey, więc podczas postoju tablice były niewidoczne.

– Zostaw kogoś przy tym zadaniu. Ale chyba wiem, kto to zrobił. Nazywa się Graham Macfadyen. Mieszka w St. Monans, Carlton Way dwanaście. Podejrzewam, że tam właśnie zabrał dziecko. Wydaje mi się też, że jego celem było wzięcie zakładnika. Spotkamy się tam, na końcu jego ulicy. Nie zabieraj ze sobą zbyt wielu ludzi, ale niech ktoś zawiezie tam panią Gilbey osobnym samochodem, w którym wyłączycie radio. Ja zorganizuję grupę negocjatorów i powiem ci dokładnie wszystko, co wiem, kiedy już będę na miejscu. Nie trać czasu na tej stacji benzynowej, Cathy. Widzimy się w St. Monans.

Lawson zakończył połączenie i zacisnął mocno powieki, próbując się skoncentrować. Uwalnianie zakładników było najtrudniejszym zadaniem, z jakim mierzyła się policja. Radzenie sobie z osobami rozpaczającymi po stracie bliskich to w porównaniu z tym pestka. Znów połączył się z centralą i nakazał mobilizację zbrojnej jednostki reagowania oraz zespołu negocjatorów specjalizujących się w uwalnianiu zakładników.

– Aha, i wezwijcie też inżyniera od telekomunikacji. Chcę całkiem odciąć Macfadyenowi kontakt ze światem zewnętrznym.

Na sam koniec Lawson zadzwonił do Karen Pirie.

– Bądź gotowa na parkingu za pięć minut – warknął. – Wyjaśnię po drodze.

Był już prawie przy drzwiach, gdy zadzwonił telefon na jego biurku. Powalczył chwilę ze sobą, czy go odebrać, po czym zawrócił.

– Lawson – rzucił do słuchawki.

– Dzień dobry, panie Lawson. Tu Andy z biura prasowego. Właśnie skontaktował się z nami „Scotsman” i przekazał nam bardzo niecodzienną historię. Dostali e-mail od człowieka, który twierdzi, że porwał dziecko, ponieważ policja z Fife chroni morderców jego matki. Winą obarcza konkretnie pana. Podobno wiadomość jest bardzo długa i szczegółowa. Mają mi ją przesłać. Ogółem pytają, czy to prawda. Czy zajmujemy się właśnie porwaniem dziecka?

– O Jezu – jęknął Lawson. – Miałem okropne przeczucie, że zdarzy się właśnie coś takiego. Słuchaj, Andy, mamy tu bardzo delikatną sytuację. Istotnie zostało porwane dziecko. Sam nie znam jeszcze wszystkich faktów. Musisz porozmawiać z kimś z centrali, oni ci to dokładnie wytłumaczą. Podejrzewam, że dostaniesz mnóstwo telefonów w tej sprawie. Przekaż ludziom tyle operacyjnych szczegółów, ile tylko zdołasz. Zwołaj konferencję prasową na popołudnie, najpóźniej jak się da. Ale podkreślaj jak najmocniej, że facet jest niezrównoważony psychicznie i nie powinni dawać wiary jego wynurzeniom.

– Czyli oficjalnie twierdzimy, że to świrus – podsumował Andy.

– W zasadzie tak. Ale traktujemy całą sprawę bardzo poważnie. Stawką jest życie dziecka. Nie chcę, żeby jakiś nieodpowiedzialny reporter powiedział coś, co doprowadzi porywacza do ostateczności. Jasne?

– Tak jest. Już się za wszystko zabieram. Odezwę się później.

Lawson zaklął pod nosem i spiesznie ruszył do drzwi. Zapowiadał się paskudny dzień.

Weird poprosił taksówkarza, by ten po drodze skręcił jeszcze do centrum handlowego w Kirkcaldy. Kiedy tam dotarli, wręczył mu zwitek banknotów.

– Wyświadczyć mi przysługę, kolego. Widzisz, w jakim jestem stanie. Podskocz no tam i kup mi komórkę, jedną z tych na kartę. I parę doładowań. Muszę mieć jakąś łączność ze światem.

Piętnaście minut później byli już z powrotem w drodze. Weird wyłowił z kieszeni kartkę, na której zapisał sobie numery telefonów Alexa i Lynn. Znów spróbował dodzwonić się do przyjaciela. Alex wciąż nie odpowiadał. Gdzie też, na Boga, się podziewał?

Macfadyen wpatrywał się w dziecko z konsternacją. Zaczęło płakać zaraz po tym, jak wniósł je do domu, ale wtedy nie miał czasu się nim zająć. Musiał wysłać e-maile, by świat dowiedział się, co się dzieje. Miał wszystko przygotowane. Wystarczyło tylko połączyć się z siecią i po kilku kliknięciach myszki jego manifest trafił do wszystkich organizacji informacyjnych w kraju oraz większości stron internetowych z wiadomościami. Teraz będą musieli zwrócić na niego uwagę.

Odszedł od komputerów i wrócił do salonu, gdzie zostawił na podłodze nosidełko z dzieckiem. Wiedział, że powinien zostać z nim, by policja nie rozdzieliła ich przy szturmowaniu domu, ale jego ryk strasznie go rozpraszał, więc je przeniósł, by móc się skoncentrować. Pozaciągał zasłony w salonie oraz wszystkich pozostałych pomieszczeniach. Przybił nawet gwoździem koc do ramy okna w łazience, mimo że szyba w nim była matowa i na co dzień niczym niezakryta. Zdawał sobie sprawę, jak wyglądały obłęzenia – im mniej gliniarze wiedzieli o tym, co się działo w domu, tym lepiej dla niego.

Dziecko wciąż płakało. Jego zawodzenie ścichło i przeszło w stonowane marudzenie, ale gdy tylko wszedł do pokoju, znów zaczęło się drzeć. Jego krzyki wwiercały mu się w mózg jak wiertarka, przez co nie mógł myśleć. Musiał je jakoś uciszyć. Podniósł je delikatnie i przyłożył do klatki piersiowej. Wrzaski wzmogły się do tego stopnia, że poczuł, jak rezonują mu w piersi. Przyszło mu do głowy, że może miało brudną pieluchę. Położył je na posadzce i odwinął kocyk, w który było opatulone. Pod spodem miało kurteczkę z polaru. Rozpiął ją, a potem odpiął też kamizelkę pod spodem i zatrzasłki po wewnętrznej stronie jego nóżek. Ile warstw potrzebował ten cholerny bachor? Może było mu po prostu za gorąco?

Poszedł po rolkę ręczników papierowych i znów ukląkł przy dziecku. Odkleił taśmę trzymającą pieluchę ciasno wokół jego brzucha i wzdrygnął się ze wstrętem. Boże, co za ohyda. W dodatku zielona. Marszcząc nos z obrzydzeniem, zdjął z dziecka brudną pieluchę i wytarł mu pupę do czysta. Prędko, by nie wypłynęło z niego nic nowego, przełożył je na gruby plik papierowych ręczników.

Tak się starał, a ono wciąż płakało. Jezu Chryste, co musiał zrobić, żeby w końcu zamknęło japę? Było mu potrzebne żywe, przynajmniej na razie, ale ten jazgot doprowadzał go do szału. Pacnął je mocno po purpurowej buzi i zyskał krótką chwilę wytchnienia. Jednak gdy tylko zdumione dziecko znów nabrało powietrza w płuca, wrzaski rozbrzmiały jeszcze głośniej.

Może powinien je nakarmić? Znów udał się do kuchni i nalał do filiżanki trochę mleka. Usiadł i ułożył dziecko niezręcznie w zgięciu swojego ramienia, tak jak to widział w telewizji. Wsadził mu palec do ust i spróbował nakapać do nich trochę płynu. Mleko pociekło niemowlakowi po brodzie i zmoczyło mu rękaw. Ponowił próbę i tym razem dziecko zaczęło mu się wyrywać, zaciskając małe dłonie w piąstki i kopiąc

nózkami. Jakim cudem ten mały diabeł nie wiedział, jak ma przełykać? Dlaczego zachowywał się tak, jakby Graham usiłował go otruć?

– Co, do cholery, jest z tobą nie tak? – wściekł się z krzykiem.

Dziecko zeszywniało mu w ramionach i rozpłakało się jeszcze żałośniej.

Walczył z nim jeszcze przez chwilę, ale bez rezultatów. Wtedy zniecka szloch ustał. Niemowlę zasnęło w mgnieniu oka, jakby ktoś odłączył je od prądu. W jednej chwili tonęło we łzach, a w następnej już miało zamknięte oczy i na nic nie reagowało. Macfadyen powoli podniósł się z kanapy i odłożył je do nosidełka, zmuszając się do łagodnych ruchów. Ostatnią rzeczą, jaką mógłby znieść w tym momencie, było wznowienie tych demonicznych wrzasków.

Wrócił do swoich komputerów, planując zalogować się na parę stron, by sprawdzić, czy już relacjonują jego historię. Nie był bardzo zaskoczony, gdy na ekranach pojawiła się informacja o utracie połączenia. Przewidywał, że policja odetnie jego linię telefoniczną. Jakby coś takiego miało go powstrzymać. Odłączył komórkę od ładowarki, podpiął ją do laptopa krótkim kablem i zainicjował połączenie wdzwaniane. Pewnie, to będzie niczym jazda na mule po tym, jak prowadziło się ferrari. Ale mimo że ściągnięcie czegokolwiek trwało karygodnie długo, wciąż miał połączenie z siecią.

Jeśli wydawało im się, że uciszą go z taką łatwością, to srodze się mylili. Był przygotowany na długie oblężenie i wiedział, że zwycięży w tym starciu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

ENTUZJAZM ALEXA ZACZAŁ SIĘ WYCZERPYWAĆ. Naprzód popychało go jedynie zawzięte przekonanie, że gdzieś tu znajdzie odpowiedź, której tak desperacko poszukiwał. Musiało tak być. Objechał już południową stronę jeziora i teraz poruszał się wzdłuż brzegu ku północnej. Stracił rachubę, ile pól już obejrzał. Przyciągał zaciekawiony wzrok gęsi, koni, owiec, a raz nawet lamy. Mgliście świtało mu w głowie, że czytał kiedyś, iż pasterze trzymają lamy w swoich stadach, by chroniły je przed lisami, ale za żadne skarby nie potrafił stwierdzić, jak te wielkie, leniwe kudłacze z rzęsami, za które dałaby się zabić niejedna modelka, miałyby odstraszać zwierzęta równie nieulekłe jak przeciętny lis. Kiedyś przywiezie tu Davinę, by pokazać jej tę lamę. Jak już będzie starsza, na pewno będzie nią zachwycona.

Dróżka, którą jechał, biegła obok godnej politowania farmy. Budynki były podupadłe, rynny odpadały od dachów, a farba na ramach okiennych się łuszczyła. Gospodarstwo wyglądało jak cmentarz dla maszyn, które od pokoleń zmieniały się milcząco w rdzę. Wychudły owczarek collie z szalonym błyskiem w oczach szarpał się na łańcuchu, szczekając wściekle i bezowocnie, gdy Alex go mijał. Sto metrów za bramą na podwórzu koleiny zrobiły się głębsze, a między nimi rosła mizerna trawa. Alex rozchlaprywał kołami kałuże, krzywiąc się, gdy jakiś kamień zazgrzytał o podwozie.

Po lewej stronie w wysokim żywopłocie ziała brama, więc zatrzymał się ze znużeniem. Obszedł auto od przodu i wychylił się nad metalowymi kratami. Spojrzał w lewo i dostrzegł kilka brudnobrązowych krów żałośnie

przeżuwających swój pokarm. Pobieźnie zerknął w prawo i aż się zachłysnął. Nie wierzył własnym oczom. Czyżby to była prawda?

Zaczął szamotać się z zardzewiałym łańcuchem, który zamykał bramę. Bez pytania wszedł na pole i na powrót zaplątał ogniwa wokół słupa. Przeszedł przez pastwisko, nie zważając na błoto ani odchody przylepiające się do jego drogich amerykańskich mokasynów. Im bardziej się zbliżał do swego celu, tym większej nabierał pewności, że znalazł to, czego szukał.

Nie widział interesującej go przyczepy od dwudziestu pięciu lat, ale pamięć podpowiadała mu, że to była właśnie ta. Dwukolorowa, tak jak w jego wspomnieniach. Kremowa na górze, szarozielona na dole. Barwy wyblakły, ale wciąż dało się je rozpoznać. Gdy stanął tuż przy niej, oszacował, że nadal była w niezłym stanie. Małe stosy pustaków ułożone na obu końcach utrzymywały koła nad ziemią, a dach i parapety nie były porośnięte mchem. Butwiejąca guma wokół okien została pociągnięta jakimś szczeliwem, by woda nie przesączała się do środka, co zauważył, obchodząc ostrożnie przyczepę. Nie wyglądało na to, by ktokolwiek tu był. Szyby zakryto jasnymi zasłonkami. Około dwudziestu metrów za przyczepą furka w płocie pozwalała na dojście do jeziora, gdzie Alex dostrzegł wyciągniętą na brzeg łódź wiosłową.

Odwrócił się znów w stronę przyczepy i zapatrzył na nią. Prawie nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Jakie były szanse, że ją znajdzie? Pewnie nie takie nikłe, jak mu się z początku wydawało. Ludzie pozbywali się mebli, dywanów, samochodów. Ale przyczepy zostawały i zaczynały żyć własnym życiem. Pomyślał o parze staruszków, którzy mieszkali naprzeciwko domu jego rodziców. Mieli tę samą niewielką, dwuosobową przyczepę od czasów, gdy był nastolatkiem. Kiedy nastawało lato, w każdy piątkowy wieczór mocowali ją do samochodu i jechali na wycieczkę. Niezbyt daleko, tylko na wybrzeże do Leven lub Elie. Czasem, gdy naprawdę zaszaleli, wybierali się przez most Forth do Dunbar albo North Berwick.

A w niedzielę wieczorem wracali tak zachwyceni, jakby zdobyli biegun północny. Więc tak naprawdę Alex nie był zbyt zaskoczony, że posterunkowy Jimmy Lawson zatrzymał sobie przyczepę, w której mieszkał, kiedy dopiero budował swój przyszły dom. Zwłaszcza że każdy wędkarz potrzebuje miejsca do spania w swoim zacisznym zakątku. Większość ludzi postąpiłaby tak samo.

Tylko że oczywiście większość ludzi nie zatrzymałaby sobie miejsca zbrodni.

– Czy teraz w końcu wierzysz Alexowi? – zapytał Weird ze złością. Wrażenie wywołane jego słowami psuł nieco fakt, że kulił się w sobie, obejmując ramieniem zebra, by nie ocierały się o siebie przy spazmach bólu.

Policja przybyła dosłownie parę chwil przed nim, więc na miejscu zastał widoczny chaos. Mężczyźni w kamizelkach kuloodpornych, czapkach polowych i z karabinami kręcili się po ulicy, podczas gdy inni funkcjonariusze biegali w tę i w tę, zajęci własnymi niejasnymi zadaniami. Co ciekawe, chyba nikt nie zwracał na niego uwagi. Utykając, wysiadł z taksówki i obrzucił wzrokiem otoczenie. Prędko spostrzegł Lawsona, pochylającego się nad mapą rozpostartą na masce samochodu. Obok niego, z telefonem przyciśniętym do ucha, stała policjantka, z którą on i Alex rozmawiali na komendzie.

Weird podszedł do nich, a gniew i obawy podziały na niego jak środki przeciwbólowe.

– Hej, Lawson – zawołał z odległości kilku kroków. – Jesteś z siebie dumny?

Zastępca komendanta obrócił się zaskoczony z miną winowajcy. Szczęka mu opadła, gdy jego oczy odfiltrowały urazy na twarzy Weirda i w końcu go rozpoznał.

– Tom Mackie? – zapytał niepewnie.

– We własnej osobie. Czy teraz w końcu wierzysz Alexowi? Ten szajbus przetrzymuje tam jego dziecko. Zabił już dwie osoby, a ty tylko stoisz z boku i liczysz na to, że ułatwi ci zadanie i zabije trzecią.

Lawson pokręcił głową. Weird widział lęk w jego oczach.

– To nieprawda. Robimy wszystko, co w naszej mocy, by wydostać stamtąd bezpiecznie dziecko państwa Gilbeyów. A pan nie wie, czy Graham Macfadyen jest winien czegokolwiek poza tym porwaniem.

– Nie? A kto inny według ciebie mógł zabić Ziggy’ego i Monda? I kto inny, do diabła, tak mnie pobił? – Wskazał palcem swoją twarz. – Prawie mnie zabił wczoraj wieczorem.

– Rozpoznał go pan?

– Nie, byłem zbyt zajęty czepianiem się życia.

– W takim razie tkwimy wciąż w tym samym miejscu. Brak dowodów, panie Mackie. Brak dowodów.

– Słuchaj no, Lawson. Żyliśmy z ciężącą na nas śmiercią Rosie Duff przez dwadzieścia pięć lat. Ni stąd, ni zowąd pojawia się jej syn. Zaraz potem dwóch z nas zostaje zamordowanych. Na litość boską, człowieku, dlaczego ty jeden nie widzisz, że to przyczyna i skutek? – Teraz Weird już krzyczał, nieświadomy, że kilku policjantów obserwuje go uważnie beznamiętnym wzrokiem.

– Panie Mackie, próbuję tu zorganizować skomplikowaną operację. To, że pan tu stoi i szafuje bezpodstawnymi zarzutami, naprawdę w niczym nam nie pomaga. Teorie są zawsze ładne, piękne, ale my działamy na podstawie dowodów. – Lawson był już wyraźnie wściekły.

Stojąca obok Karen Pirie skończyła rozmawiać przez telefon i dyskretnie przesunęła się bliżej Weirda.

– Nie znajdziecie dowodów, dopóki nie zaczniecie ich szukać – piekił się pastor.

– To nie do mnie należy rozwiązywanie zagadek morderstw spoza mojej jurysdykcji – warknął Lawson. – Marnuje pan mój czas, panie

Mackie. A jak sam pan zauważył, życie dziecka może być zagrożone.

– Zapłacisz za to – oznajmił Weird. – Oboje zapłacicie – dodał i obrócił się, by potępić też Karen. – Ostrzegaliśmy was, a wy nawet nie kiwnęliście palcem. Jeśli Davinie spadnie choćby włos z głowy, przysięgam, Lawson, pożałujesz, że się urodziłeś. A teraz mów, gdzie jest Lynn.

Lawson wzdrygnął się w duchu, gdy przypomniał sobie moment, w którym Lynn Gilbey dojechała na miejsce. Wyskoczyła z radiowozu i rzuciła się na niego, tłukąc pięściami w jego klatkę piersiową i krzycząc coś niezrozumiale. Karen Pirie elegancko wkroczyła wtedy do akcji, otaczając ramionami rozgorączkowaną kobietę.

– Siedzi w tamtym białym vanie. Karen, zabierz pana Mackiego do wozu zbrojnej jednostki reagowania i zostań tam z nim i panią Gilbey. Nie chcę, żeby nam tu biegali jak tykające bomby, kiedy wszędzie wokół mamy porozstawianych strzelców wyborowych.

– Tyle ci powiem: kiedy to wszystko się skończy, to się z tobą rozliczę – zagroził Weird, gdy Karen odprowadzała go na bok.

– Nie liczyłbym na to, panie Mackie – odpowiedział Lawson. – Jestem wysokiej rangi oficerem policji i groźby wobec mnie są poważnym przestępstwem. Proszę stąd odejść i zorganizować jakieś spotkanie modlitewne. Niech pan się zajmie swoją robotą, a ja się zajmę swoją.

Carlton Way wyglądała jak boczna uliczka w wymarłym miasteczku. Nic się nie poruszało. W ciągu dnia zawsze było tu spokojnie, ale dzisiaj wszystko przycichło wręcz nadnaturalnie. Pracownik nocnej zmiany spod siódemki został wyrwany z łóżka, gdy policja załomotała do drzwi z tyłu jego domu. Zamroczony mężczyzna został nakłoniony do ubrania się i podążenia za dwoma funkcjonariuszami stojącymi na progu przez płot w dalekim kącie ogrodu i dalej przez boiska sportowe do głównej drogi, gdzie opowiedziano mu historię tak nieprawdopodobną, że uznałby ją za

podpuchę, gdyby nie przytłaczająca obecność policjantów i blokada na drodze, odcinająca Carlton Way od reszty świata.

– To był ostatni? Ewakuowaliście już wszystkich mieszkańców? – zapytał Lawson komisarz McIntyre.

– Tak jest, panie komendancie. Jedynym sposobem łączności z Macfadyenem jest teraz specjalna linia telefoniczna tylko do naszego użytku, a wszyscy członkowie jednostki szturmowej są już rozstawieni wokół domu.

– W porządku. Zatem bierzmy się do pracy.

Dwa oznakowane policyjne samochody i van wjechały w kolumnie na Carlton Way. Zaparkowały w szeregu przed domem Macfadyena. Lawson wysiadł z pierwszego pojazdu i podszedł do negocjatora Johna Duncana, który stał za vanem, skąd nie dało się go zobaczyć z budynku.

– Mamy pewność, że jest w środku? – zapytał Duncan.

– Tak mówią nasi technicy. Termografia czy inne cuda. Jest tam z dzieckiem. Oboje wciąż żyją.

Duncan wręczył Lawsonowi słuchawki i podniósł własny zestaw z mikrofonem podpięty do telefonu, który zapewniał mu łączność z domem. Macfadyen odebrał po trzecim sygnale, ale na linii zalegała cisza.

– Graham? Czy to ty? – zapytał Duncan pewnym, ale przy tym ciepłym głosem.

– Kto mówi? – Macfadyen wydawał się zaskakująco odprężony.

– Nazywam się John Duncan. Jestem tu, aby się przekonać, co możemy zrobić w celu rozwiązania tej sytuacji w taki sposób, by nikomu nie stała się krzywda.

– Nie mam panu nic do powiedzenia. Chcę rozmawiać z Lawsonem.

– W tej chwili go tu nie ma. Ale przekażę mu wszystko, co mi powiesz.

– Lawson albo nikt. – Ton Macfadyena był uprzejmy i poufały, jakby dyskutowali o pogodzie lub piłce nożnej.

– Tak jak mówiłem, pana Lawsona tu teraz nie ma.

– Nie wierzę panu, panie Duncan. Ale możemy poudawać, że mówi mi pan prawdę. Nigdzie mi się nie spieszy... Mogę poczekać, aż go pan znajdzie – oznajmił Macfadyen i odłożył słuchawkę.

Duncan spojrział na Lawsona.

– Koniec rundy pierwszej. Damy mu pięć minut, a potem zadzwonię ponownie. W końcu zacznie mówić.

– Tak pan sądzi? Mnie się wydawał całkiem spokojny. Nie uważa pan, że jednak powinienem z nim porozmawiać? Może dzięki temu odniesie wrażenie, że damy mu to, czego żąda?

– Jeszcze za wcześnie na ustępstwa, panie komendancie. Musi nam coś dać pierwszy, zanim my damy mu cokolwiek w zamian.

Lawson westchnął głęboko i odwrócił się od niego. Nienawidził poczucia, że nie ma nad czymś kontroli. Ta sprawa zmieni się w medialny cyrk, a prawdopodobieństwo potwornego zakończenia było o wiele, wiele większe niż szczęśliwa alternatywa. Znał się na oblężeniach. Prawie zawsze źle się dla kogoś kończyły.

Alex rozważał swoje możliwości. W każdym innym przypadku rozsądnie byłoby teraz odejść stąd i udać się na policję. Oni przysłaliby tu swój zespół kryminalistyków i rozłożyli przyczepę na części w poszukiwaniu choćby jednej kropli krwi albo drobinki farby w kształcie łezki, dzięki której dałoby się jednoznacznie ustalić związek między jej wnętrzem i śmiercią Rosie Duff.

Ale jak miałyby to zrobić, skoro wspomniana przyczepa była własnością Zastępcy Komendanta Głównego Policji? Lawson wstrzymałby śledztwo, zakończyłby je, zanim w ogóle by się na dobre zaczęło. Przyczepa niewątpliwie poszłaby z dymem, a winą obarczono by jakichś

wandali. I co by wtedy zostało? Nic oprócz zbiegów okoliczności. Obecność Lawsons tak blisko miejsca, gdzie Alex potknął się o ciało Rosie. Wtedy nikt nie poświęcił temu faktowi żadnej uwagi. W latach siedemdziesiątych w Fife policja była wciąż poza wszelkim podejrzeniem; ci dobrzy, trzymający w szachu tych złych. Nikt nigdy nie zastanowił się, dlaczego Lawson nie widział zabójcy wiozącego ciało Rosie na Hallow Hill, mimo że zaparkował swój radiowóz przy najbardziej prawdopodobnej trasie. Ale świat się zmienił i w tej nowej rzeczywistości możliwe było zakwestionowanie prawości ludzi pokroju Jamesa Lawsons.

Jeśli to on był tajemniczym mężczyzną w życiu Rosie, to nic dziwnego, że nie chciała ujawniać jego tożsamości. Jej bracia chuligani nie znieśliby związku siostry z gliniarzem. A potem Lawson zawsze pojawiał się, gdy coś groziło któremuś z ich czwórki, jakby mianował się ich aniołem stróżem. Poczucie winy, pomyślał Alex. Poczucie winy nakazywałoby mu tak zrobić. Choć Lawson zabił Rosie, wciąż miał w sobie dość przyzwoitości, by nie chcieć, żeby ktoś inny zapłacił za jego zbrodnię.

Ale żadne z tych okoliczności nic nie udowadniały. Szanse, by przepytac świadków sprzed dwudziestu pięciu lat i znaleźc jakiegoś, który by widział Rosie z Jimmym Lawsonem, były zerowe. Jedyne rzetelne dowód znajdował się w przyczepie i jeśli Alex czegoś teraz nie zrobi, potem będzie za późno.

Ale co miałyby zrobić? Nie był obeznany w metodach włamywaczy. Otwieranie cudzych samochodów w nastoletnich czasach było czymś zupełnie innym od grzebania wytrychem w zamku, a gdyby wyważył drzwi, Lawson stałby się czujny. W innej sytuacji może uznałby to za dzieło jakichś dzieciaków albo bezdomnego włóczęgi. Ale nie teraz. Nie przy tak wielkim zainteresowaniu sprawą Rosie Duff. Nie mógłby sobie pozwolić na zlekceważenie tak potencjalnie niebezpiecznego wydarzenia. Kto wie, może spaliłby przyczepę.

Alex odsunął się nieco i zastanowił przez chwilę. Zauważył świetlik w dachu. Może dałby radę się przez niego precyzyjnie? Ale jak się dostać na górę? Istniał tylko jeden sposób. Potruchnął z powrotem do bramy, otworzył ją i wjechał autem na grząskie pole. Po raz pierwszy w życiu zapragnął być jednym z tych idiotów, którzy jeżdżą po mieście wielkimi potworami z napędem na cztery koła i nastawieniem typu „kij ci w oko”. Ale nie, on musiał być szpanerem z tym swoim bmw 535. Co pocnie, jeśli utknie w błocie?

Podjechał powoli do przyczepy i zatrzymał się równolegle do jej końca. Otworzył bagażnik i wyciągnął z niego standardowy samochodowy zestaw narzędzi. Obcęgi, śrubokręt, klucz. Schował do kieszeni wszystko, co mogłoby mu się przydać, zdjął marynarkę i krawat, po czym zamknął klapę. Wspiął się na maskę, a z niej na dach bmw. Stamtąd nie było już daleko na dach przyczepy. Jakoś zdołał odbić się mocno i podciągnąć, skrobiąc palcami, by znaleźć oparcie.

Na górze było obrzydliwie. Dach był zarazem lepki i oślizgły. Brud przywierał Alexowi do ubrań i dłoni. Świetlik okazał się wypukłym plastikowym kloszem o wymiarach około siedemdziesięciu pięciu centymetrów na trzydzieści. Trudno będzie się precyzyjnie przez taki otwór. Alex wepchnął śrubokręt pod skraj okienka i spróbował je podważyć.

Na początku ani drgnęło. Jednak po kilku próbach w różnych punktach wzdłuż krawędzi w końcu poluzowało się nieco i pozwoliło się trochę podnieść, skrzypiąc przy tym. Zlany potem Alex otarł twarz wierzchem dłoni i zajrzał do środka. Obrotowe metalowe ramię z regulowaną śrubą podtrzymywało świetlik tak, że dało się go podnosić i opuszczać z wnętrza przyczepy. Nie pozwalało też otworzyć go z jednej strony szerzej niż na kilka centymetrów. Alex jęknął. Będzie musiał odkręcić metalowe ramię, a potem przykręcić je z powrotem.

Nieporadnie spróbował ustawić się pod odpowiednim kątem. Trudno było w ogóle uchwycić śruby, jako że nikt ich nie ruszał, od kiedy zostały umieszczone w odpowiednich miejscach ponad ćwierć wieku temu. Napinał mięśnie i walczył z ich oporem, aż w końcu pierwsza śruba poruszyła się w swym zagłębieniu, a potem druga poszła w jej ślady. Nareszcie świetlik otworzył się na pełną szerokość.

Alex spojrzał w dół. Nie było tak źle, jak mogłoby być. Oszacował, że jeśli opuści się ostrożnie, zdoła dosięgnąć ławy biegnącej wzdłuż jednej ściany salonowej części przyczepy. Wziął głęboki oddech, zacisnął mocno dłonie na krawędzi otworu i ześlizgnął się do środka.

Miał wrażenie, że ramiona wyskoczą mu ze stawów, gdy musiały gwałtownie przyjąć ciężar jego pełnej wagi. Szukając oparcia, zamachał szaleńczo nogami, jakby pedałowal, ale po kilku sekundach po prostu się puścił.

W przyćmionym świetle wydawało mu się, że w przyczepie niewiele się zmieniło od chwili, gdy siedział w niej tyle lat temu. Wtedy nic go nie tknęło, że znalazł się w tym samym miejscu, w którym Rosie została skazana na gwałtowną śmierć. Nie czuć było wymownego zapachu, nie widać było zdradliwych zacieków krwi, żadna paranormalna skaza nie sprawiła, że poczuł nerwowe napięcie.

Teraz znalazł się tak blisko rozwiązania. Ledwo mógł się zmusić, by podnieść wzrok na sufit. A co, jeśli od tamtej pory Lawson zdążył przemalować go już kilkanaście razy? Czy mimo to wciąż znajdzie tu jakiś dowód? Odczekał, aż serce uspokoi mu się trochę i znów zacznie bić w tempie zbliżonym do normalnego, po czym mamrocząc modlitwę do Boga, którego odnalazł Weird, odchylił głowę i spojrzał w górę.

Psiakrew. Sufit nie był niebieski, tylko kremowy. Wszystko na próżno. Jednak Alex nie zamierzał stąd wyjść z pustymi rękami. Wspiął się na ławę i wybrał fragment w samym rogu, gdzie trudno będzie cokolwiek

zauważyć. Ostrem końcem śrubokręta odskrobał trochę farby i złapał płatki do koperty, którą wziął ze swojej aktówki.

Gdy zebrał odpowiednią ilość, zszedł z powrotem na podłogę i wybrał dość spory obrzynek. Z jednej strony był kremowy. Z drugiej niebieski. Alex poczuł, że trzęsą mu się nogi, więc osunął się ciężko na siedzenie, gdy zawładnęły nim emocje. Wyciągnął z kieszeni kartę kolorów zostawioną im przez Jasona i spojrzał na błękitny prostokąt, który pobudził jego pamięć wzrokową i ożywił wspomnienie sprzed dwudziestu pięciu lat. Uniósł skraj zasłony, by wpuścić do przyczepy trochę światła, i przytknął płatek farby do próbki jasnoniebieskiego koloru. Prawie zniknął na jej tle.

Łzy zaszczypały Alexa w oczy. Czy to ostatecznie rozwiąże sprawę?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

DUNCAN JESZCZE TRZY RAZY próbował wciągnąć Grahama Macfadyena w rozmowę, ale on stanowczo upierał się, że będzie mówił tylko z Lawsonem, z nikim innym. Pozwolił negocjatorowi usłyszeć płacz Daviny, ale to było jedyne ustępstwo, na jakie się zgodził.

Zirytowany Lawson uznał, że dłużej już tego nie wytrzyma.

– Czas ucieka. Dziecko cierpi, a nam media patrzą na ręce. Daj mi ten telefon. Teraz ja z nim porozmawiam – zdecydował.

Jedno spojrzenie na poczerwieniałą twarz dowódcy wystarczyło, by Duncan oddał mu słuchawkę.

– Pomogę panu trzymać się wytyczonego toru negocjacji.

Lawson połączył się z domem.

– Graham? To ja, James Lawson. Wybacz, że tak długo trwało, zanim zdołałem się tu zjawić. Jak rozumiem, chcesz ze mną porozmawiać?

– A żebyś wiedział, że chcę. Ale zanim przejdziemy do rzeczy, powinienem wspomnieć, że nagrywam to połączenie. Nasza rozmowa jest transmitowana na żywo przez internet. Wszystkie media otrzymały adres URL, więc na pewno uważnie śledzą każde nasze słowo. Tak przy okazji, nie macie co próbować zamknąć tej strony. Ustawiłem wszystko tak, by przeskakiwała z serwera na serwer. Zanim zdołacie odkryć, skąd pochodzi sygnał, jego lokalizacja zdąży się już zmienić.

– Grahamie, nie musisz tego robić.

– A właśnie że muszę. Myślałeś, że zdołasz odizolować mnie w domu, odcinając linie telefoniczne, ale rozumiesz jak człowiek z minionego stulecia. Ja jestem przyszłością, Lawson, a ty należysz już do historii.

– Jak się czuje dziecko?

– To okropny wrzód na tyłku. Cały czas tylko się wydziera. Bardzo mnie denerwuje. Ale ma się dobrze. Przynajmniej na razie. Jeszcze nie stała mu się żadna krzywda.

– Już je krzywdzisz, trzymając je z dala od matki.

– To nie moja wina, tylko Alexa Gilbeya i jego przyjaciół. Przez nich ja nie mogę być blisko mojej matki. Zamordowali ją. Alex Gilbey, Tom Mackie, David Kerr i Sigmund Malkiewicz zamordowali moją matkę, Rosie Duff, szesnastego grudnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku. Najpierw ją zgwałcili, a potem zabili. A policja hrabstwa Fife nigdy nie postawiła ich w stan oskarżenia za popełnienie tej zbrodni.

– Grahamie – przerwał mu Lawson – to już przeszłość. Teraz musimy się zatroszczyć o przyszłość. Twoją przyszłość. Im szybciej zakończymy to, co się dzieje, tym lepiej będzie ona wyglądać.

– Nie traktuj mnie, jakbym był idiotą, Lawson. Wiem, że pójdę za to do więzienia. Nie ma znaczenia, czy wydam wam mojego zakładnika, czy nie. Nic tego nie zmieni, więc przestań obrażać moją inteligencję. Ja nie mam nic do stracenia, ale za to mogę sprawić, że ktoś jeszcze otrzyma bardzo poważny cios. A teraz, o czym to ja mówiłem? A tak. O mordercach mojej matki. Nigdy nie zostali aresztowani. A kiedy niedawno ponownie otworzyliście jej sprawę, trąbiąc z pompą o tym, jak DNA pomoże wam rozwiązać stare śledztwa, okazało się, że zgubiliście dowody. Jak mogliście to zrobić? Jak mogliście zgubić coś równie ważnego?

– Tracimy kontrolę – szepnął Duncan. – A on mówił o dziewczynce bardzo bezosobowo. To zły znak. Niech pan skieruje rozmowę znowu na dziecko.

– Porwanie Daviny niczego w tej sprawie nie zmieni, Grahamie.

– Już zmieniło. Teraz nie będziecie mogli zamieść sprawy morderstwa mojej matki pod dywan. Cały świat się dowie, co narobiliście.

– Grahamie, robię, co w mojej mocy, by odnaleźć zabójcę twojej matki.

W słuchawce zatrzeszczał histeryczny śmiech.

– O tak, wiem o tym. Po prostu nie mam zaufania do twoich sposobów. Chcę, żeby ci mordercy cierpieli w tym życiu, nie w następnym. Umierają jak bohaterowie. Ludzie nie mają pojęcia, jacy byli naprawdę. To właśnie wynika z twoich działań.

– Grahamie, musimy porozmawiać o twojej obecnej sytuacji. Davina potrzebuje swojej matki. Może przyniesiesz ją do nas i pogadamy o twoich skargach? Obiecuję ci, że cię wysłuchamy.

– Oszalałeś? Tylko trzymając dziecko tutaj, zapewniam sobie twoją uwagę. Planuję wykorzystać tę przewagę najdłużej, jak zdołam, zanim to się skończy. – Połączenie urwało się nagle, gdy Macfadyen gwałtownie rzucił słuchawką.

Duncan próbował ukryć frustrację.

– No cóż, przynajmniej teraz już wiemy, co go gryzie.

– Porąbało go. Nie możemy z nim negocjować, jeśli transmituje wszystko na cały świat. Kto wie, jakie jeszcze szalone oskarżenia wymyśli? Powinniśmy go wysłać do psychiatryka, a nie mu pobłażać. – Lawson walnął ręką w bok vana.

– Zanim będziemy mogli to zrobić, musimy wyciągnąć z domu jego i dziecko.

– Do kurwy nędzy! – rozzłościł się Lawson. – Za godzinę się ściemni. Wtedy przypuścimy szturm na dom.

Duncan osłupiał.

– Panie komendancie, to zdecydowanie wbrew zasadom postępowania.

– Tak jak porwanie dziecka – odparł przez ramię Lawson, odchodząc do swojego samochodu. – Nie będę stał i czekał, kiedy jego życiu zagraża niebezpieczeństwo.

Alex wyjechał z powrotem na ścieżkę z nieprzepartym poczuciem ulgi. W paru momentach nachodziły go poważne wątpliwości, czy uda mu się opuścić pole bez pomocy traktora. Ale jednak się udało. Wyciągnął telefon, planując zadzwonić do Jasona, by mu powiedzieć, że jedzie do niego z czymś bardzo interesującym. Brak zasięgu. Cmoknął z irytacją i ostrożnie ruszył poślubionym brzdami traktem w stronę głównej drogi.

Gdy znalazł się blisko Kinross, jego komórka zabrzęczała. Chwyił ją. Cztery wiadomości.

Poklikał kciukiem w odpowiednie klawisze, by je odsłuchać. Pierwsza była od Weirda, który lapidarnie kazał mu zadzwonić do domu, gdy tylko to usłyszy. Druga również była od niego. Tym razem przyjaciel podyktował mu numer komórki. Trzecia i czwarta pochodziły od dziennikarzy, proszących, by do nich oddzwonił.

Co się tu, do diabła, wyrabiało? Alex skręcił na parking przy pubie na przedmieściach i wybrał numer podany przez Weirda.

– Alex? Dzięki Bogu! – wykrzyknął pastor. – Nie prowadzisz teraz, co?

– Nie, zjechałem na parking. Co się dzieje? Właśnie odebrałem te wszystkie wiadomości.

– Alex, musisz to przyjąć spokojnie.

– Co takiego? Coś się stało Davinie? Lynn? O co chodzi?

– Miało miejsce coś strasznego. Ale nikomu nic nie jest.

– Weird, do cholery, mów, co się dzieje! – ryknął Alex z sercem panicznie dudniącym mu w piersi.

– Macfadyen porwał Davinę – oznajmił Weird wolno i wyraźnie. – Trzyma ją jako zakładniczkę. Ale nic jej nie jest. Nie zrobił jej żadnej krzywdy.

Alex miał wrażenie, że ktoś sięgnął do wnętrza jego ciała i wyrwał mu serce. Cała miłość, jaką niedawno w sobie odkrył, zdawała się zmieniać w mieszaninę strachu i furii.

– Co z Lynn? Gdzie ona jest? – wydusił.

– Jest z nami przed domem Macfadyena w St. Monans. Zaczekaj chwilę, dam ci ją do telefonu.

Minął moment, po czym Alex usłyszał cień zwykłego głosu Lynn.

– Alex, gdzieś ty był? On porwał Davinę. Porwał nasze dziecko.

Wyczuwał łyzy kryjące się za chrypiącym tonem jego żony.

– Byłem z dala od cywilizacji. Nie mogłem znaleźć zasięgu. Już do ciebie jadę, Lynn. Trzymaj się. Nie pozwól im nic zrobić. Już jadę i wiem coś, co kompletnie zmieni sytuację. Nie pozwól im na żaden ruch, rozumiesz? Wszystko będzie dobrze. Słyszysz? Wszystko będzie dobrze. Daj mi jeszcze na chwilę Weirda. – Zapalił silnik i wyjechał z parkingu.

– Alex? – Usłyszał napięcie w głosie przyjaciela. – Ile ci zajmie dojazd?

– Jestem w Kinross. Jakies czterdzieści minut? Weird, znam prawdę. Wiem, co się przytrafiło Rosie, i mam na to dowód. Kiedy Macfadyen się o tym dowie, zrozumie, że nie musi się dalej mścić. Musisz powstrzymać policję przed wszystkimi działaniami, które mogłyby narazić Davinę na niebezpieczeństwo, dopóki nie opowiem mu, co odkryłem. To prawdziwa bomba.

– Zrobię, co w mojej mocy. Ale trzymają nas z dala od centrum dowodzenia.

– Weird, zrób, co trzeba. Bez względu na wszystko. I zaopiekuj się dla mnie Lynn, dobrze?

– Oczywiście. Po prostu przyjeźdź najszybciej, jak możesz. Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Alex wcisnął gaz do dechy i pojechał tak, jak jeszcze nigdy. Niemal życzył sobie, by go zatrzymano za przekroczenie prędkości. Wtedy dostałby policyjną eskortę. Syreny i światła utorowałyby mu drogę aż do East Neuk. Tego właśnie teraz potrzebował.

Lawson rozejrzał się po nawie kościoła, który zajęli do swoich celów.

– Zespół wsparcia technicznego może wskazać, w których pokojach znajdują się Macfadyen i dziecko. Do tej pory Macfadyen spędzał większość czasu w pomieszczeniu na tyłach domu. Dziecko czasami jest z nim, a czasami w pokoju od ulicy. Wszystko powinno więc być jasne. Poczekamy, aż będą osobno, a wtedy jeden oddział wejdzie od frontu i przejmie dziecko. Drugi oddział wedrze się od tyłu i osaczy Macfadyena. Zaczekamy, aż się ściemni. Latarnie na ulicy będą wyłączone. Facet nie będzie w stanie ni cholery nic zobaczyć. Akcja ma przebiec jak w zegarku. Chcę, żebyście wydostali dziecko całe i zdrowe. Macfadyen to inna sprawa. Jest niestabilny psychicznie. Nie wiemy, czy jest uzbrojony, czy też nie. Mamy powody przypuszczać, że zabił już dwie osoby. Sądzymy też, że raptem wczoraj wieczorem dokonał brutalnego napadu. Gdyby ktoś mu nie przeszkodził, prawdopodobnie zabiłby znowu. Sam powiedział, że nie ma już nic do stracenia. Jeśli wykona jakikolwiek gest sugerujący, że sięga po broń, upoważniam was do otwarcia ognia. Czy ktoś ma jakieś pytania?

W kościele zapadła cisza. Policjanci należący do zbrojnej jednostki reagowania doskonalili swoje umiejętności właśnie na takie akcje. Pomieszczenie stało się naczyniem pełnym testosteronu i adrenaliny. To był moment, w którym strach otrzymał nowe imię.

Macfadyen postukał w klawisze i kliknął myszką. Połączenie z internetem przez komórkę było koszmarnie powolne, ale w końcu zdołał załadować swoją rozmowę z Lawsonem na stronę. Wysłał kolejny e-mail do serwisów informacyjnych, z którymi kontaktował się wcześniej; dał im znać, że mogą zająć miejsca w pierwszym rzędzie, by obejrzeć oblężenie jego domu, jeśli wejdą na jego witrynę, bo tam ludzie będą mogli usłyszeć na własne uszy, co się dzieje.

Nie łudził się, że zdoła kontrolować przebieg wypadków do samego końca. Był jednak zdeterminowany wyreżyserować, ile tylko się da, i zrobić wszystko, co konieczne, by jego historia trafiła na pierwsze strony gazet. Jeśli ceną miało być życie dziecka, to trudno. Był na to gotowy. Był w stanie to zrobić, wiedział o tym. Nieważne, czy przez ten czyn jego imię stanie się w brukowcach synonimem zła. Nie będzie jedynym czarnym charakterem tej historii. Nawet jeśli Lawson zarządził blokadę informacji, on już zdołał wypuścić je w świat. Lawson nie da rady zakneblować internautów, nie powstrzyma rozprzestrzeniania się faktów. Zastępca komendanta musiał się już zorientować, że Macfadyen miał asa w rękawie.

Gdy zadzwonią do niego ponownie, wyłoży kawę na ławę. Ujawni w pełni dwulicowość policji. Opowie światu, jak nisko upadła sprawiedliwość w Szkocji.

Nadszedł dzień sądu.

Alex został zatrzymany przy policyjnej blokadzie. Przed sobą widział taką masę pojazdów służb ratunkowych, że ledwie dostrzegał czerwono-białe barierki przy wjeździe na Carlton Way. Opuścił szybę, świadomy, że jest brudny i rozczochrany.

– Jestem ojcem – powiedział policjantowi, który nachylił się ku niemu. – To moje dziecko porwano. Moja żona gdzieś tu jest, muszę być przy niej.

– Czy ma pan przy sobie jakiś dokument tożsamości? – zapytał posterunkowy.

Alex wyciągnął swoje prawo jazdy.

– Jestem Alex Gilbey. Proszę, niech mnie pan przepuści.

Funkcjonariusz porównał jego twarz ze zdjęciem na dokumencie, po czym odwrócił się, by zgłosić przez radio jego przybycie. Wrócił chwilę później.

– Pan wybaczy, panie Gilbey. Musimy zachować ostrożność. Jeśli zechce pan zaparkować o tam, na poboczu, ktoś zaprowadzi pana do żony.

Alex podążył za kolejnym policjantem w żółtej odblaskowej kurtce do białego minibusa. Otworzył drzwi. Lynn wyskoczyła ze swego miejsca i rzuciła mu się w ramiona, gdy wciąż stał na stopniach. Cała się trzęsła, czuł, jak mocno bije jej serce. Nie istniały słowa, które mogłyby opisać ich ból. Po prostu przyłgnęli do siebie, a ich udręka i przerażenie były wręcz namacalne.

Przez długą chwilę oboje milczeli, aż odezwał się Alex.

– Wszystko będzie dobrze. Wiem, jak to zakończyć.

Lynn spojrzała na niego podpuchniętymi, zaczerwienionymi oczami.

– Jak, Alex? Nie dasz rady tego naprawić.

– Dam radę, Lynn. W końcu znam prawdę. – Spojrzał ponad jej ramieniem i zobaczył Karen Pirie siedzącą przy drzwiach koło Weirda. – Gdzie jest Lawson?

– Na odprawie – poinformowała go Lynn. – Zaraz powinien wrócić. Wtedy będziesz mógł z nim pomówić.

Alex pokręcił głową.

– Nie chcę rozmawiać z nim, tylko z Macfadyenem.

– Nie ma takiej możliwości, panie Gilbey – rzekła Karen. – Sprawą zajmują się wyszkoleni negocjatorzy. Ludzie, którzy wiedzą, co robią.

– Pani nie rozumie. On musi się o czymś dowiedzieć i tylko ja mogę mu to przekazać. Nie chcę mu grozić. Nie chcę go nawet błagać. Po prostu muszę mu coś powiedzieć.

Karen westchnęła.

– Wiem, że jest pan bardzo zdenerwowany, panie Gilbey. Ale może pan narobić wiele szkód mimo swych najlepszych intencji.

Alex delikatnie wyswobodził się z ramion Lynn.

– Chodzi mu o Rosie Duff, prawda? Porwał nam dziecko, bo myśli, że miałem coś wspólnego z jej morderstwem.

– Wszystko na to wskazuje – przyznała ostrożnie Karen.

– A co, jeśli pani powiem, że mogę odpowiedzieć na jego pytania?

– Jeśli posiada pan informacje dotyczące tej sprawy, to ze mną powinien pan rozmawiać.

– Wszystko w swoim czasie, przyrzekam. Ale Graham Macfadyen zasługuje na to, by jako pierwszy usłyszał prawdę. Proszę. Niech mi pani zaufa. Mam swoje powody. To życie mojej córki jest tu na szali. Jeśli nie pozwoli mi pani porozmawiać z Macfadyenem, pójdę stąd i opowiem wszystko prasie. A niech mi pani wierzy, że to nie wyjdzie wam na dobre.

Karen rozważyła sytuację. Gilbey wydawał się spokojny. Niemal zbyt spokojny. Nie została przeszkolona, jak radzić sobie w tego typu wypadkach. Zazwyczaj odesłałaby go do kogoś stojącego wyżej w hierarchii, ale Lawson był zajęty czymś innym. Może negocjator będzie odpowiednią osobą, by sobie z tym poradzić.

– Chodźmy pogadać z Duncanem. On pozostaje w kontakcie z Macfadyenem. – Wygramoliła się z vana i przywołała jednego z mundurowych. – Zostań, proszę, z panią Gilbey i z panem Mackiem.

– Idę z mężem – zbuntowała się Lynn. – Nie zostawię go ani na chwilę.

Alex ujął ją za rękę.

– Pójdziemy razem – oświadczył Karen.

Policjantka wiedziała, że z nimi nie wygra.

– No dobrze, chodźmy. – Poprowadziła ich w stronę kordonu blokującego wjazd na ulicę, przy której mieścił się dom Macfadyena.

Alex nigdy wcześniej nie czuł się równie żywy. Był świadomy ruchu swych mięśni przy każdym stawianym kroku. Jego zmysły zdawały się wyostrzone, wszystkie dźwięki i zapachy natężone niemal nie do zniesienia. Wiedział, że nigdy nie zapomni tego krótkiego spaceru. To był najważniejszy moment w jego życiu i był zdeterminowany, by postąpić właściwie. Przecwiczył sobie tę rozmowę podczas szaleńczej jazdy do St.

Monans i był przekonany, że znalazł odpowiednie słowa, by odzyskać swoją córkę.

Karen poprowadziła ich do białego vana zaparkowanego przed znanym Alexowi domem. W zapadającym zmroku wszystko zdawało się powleczone posępnością, odzwierciedlając uczucia osób zaangażowanych w obłąkanie. Karen zabębniła w drzwi pojazdu, a te odsunęły się na bok. W szczelinie pojawiła się głowa Johna Duncana.

– Posterunkowa Pirie, prawda? Co mogę dla ciebie zrobić?

– To są państwo Gilbeyowie. Pan Gilbey chce porozmawiać z Macfadyenem.

Zaniepokojony Duncan uniósł brwi.

– Nie sądzę, by to był dobry pomysł. Jediną osobą, z którą on chce rozmawiać, jest komendant Lawson. A on rozkazał nam nie dzwonić ponownie, dopóki nie wróci.

– Macfadyen musi usłyszeć, co mam mu do powiedzenia – rzekł z naciskiem Alex. – Rozpętał to wszystko, bo chce, żeby świat dowiedział się, kto zabił jego matkę. Myśli, że to byliśmy my: ja i moi przyjaciele. Ale się myli. Dzisiaj odkryłem prawdę i uważam, że to on pierwszy powinien ją poznać.

Duncan nie zdołał ukryć zaskoczenia.

– Mówi pan, że wie, kto zabił Rosie Duff?

– Tak.

– W takim razie powinien pan złożyć zeznanie któremuś z policjantów – orzekł stanowczo negocjator.

Twarz Alexa drgnęła z emocji, zdradzając, z jakim trudem się kontrolował.

– Tam w środku jest moja córka. Mogę to zakończyć. Każda minuta opóźnienia, gdy nie pozwala mi pan z nim porozmawiać, to kolejna minuta, podczas której ona jest zagrożona. Porozmawiam z Macfadyenem, z nikim innym. A jeśli mi pan na to nie pozwoli, pójdę do

prasy. A dziennikarzom opowiem, że mam środki, by zakończyć to porwanie, ale wy nie pozwalacie mi ich użyć. Naprawdę chce pan, żeby tak brzmiało pańskie zawodowe epitafium?

– Nie ma pan pojęcia, co pan robi. Nie jest pan profesjonalnym negocjatorem.

Alex poznał, że to była ostatnia próba oporu.

– Cały ten pana profesjonalizm na nic się jeszcze nie zdał, prawda? – wtrąciła Lynn. – Alex przez całą swoją karierę negocjuje z ludźmi. Jest w tym bardzo dobry. Niech mu pan pozwoli spróbować. Przyjmiemy pełną odpowiedzialność za to, co się stanie.

Duncan popatrzył na Karen, która wzruszyła ramionami. Wziął głęboki oddech i westchnął.

– Będę cały czas słuchał – oznajmił. – Jeśli uznam, że sytuacja wymyka się spod kontroli, przerwę połączenie.

Alexowi z ulgi aż zakręciło się w głowie.

– Zgoda. Do dzieła.

Duncan wyniósł telefon na zewnątrz i założył słuchawki na uszy. Wręczył kolejną parę Karen i podał aparat Alexowi.

– W pańskie ręce.

Telefon zadzwonił raz. Drugi. Trzeci. Macfadyen odebrał w połowie czwartego sygnału.

– Wróciłeś po więcej, Lawson? – zapytał głos na drugim końcu linii.

Brzmi tak normalnie, pomyślał Alex. Zupełnie nie jak człowiek, który porwał dziecko i decyduje o jego życiu lub śmierci.

– To nie Lawson. Mówi Alex Gilbey.

– Nie mam ci nic do powiedzenia, ty morderczy draniu.

– Poświęć mi minutę. Muszę ci coś przekazać.

– Jeśli zamierzasz się wypierać zabójstwa mojej matki, to nie musisz się wysilać. I tak ci nie uwierzę.

– Wiem, kto zabił twoją matkę, Grahamie. I mam na to dowód. Tutaj, w mojej kieszeni. To drobiny farby, która pasuje do tej znalezionej na jej ubraniu. Zeskrobałem je dziś po południu z wnętrza przyczepy stojącej przy Loch Leven. – Jedyłą odpowiedzią był odgłos wciągane go gwałtownie powietrza. Alex brnął dalej. – Oprócz nas tamtej nocy w pobliżu był ktoś jeszcze. Ktoś, na kogo nikt nie zwrócił uwagi, bo ten ktoś miał powód, by tam być. Spotkał się z twoją matką, gdy skończyła pracę, i zabrał ją do swojej przyczepy. Nie wiem, co tam zaszło, ale podejrzewam, że pewnie nie zgodziła się z nim przespać i wtedy ją zgwałcił. Gdy pojawił się, zdał sobie sprawę, że nie może puścić jej wolno, bo ona komuś o tym opowie. To by zrujnowało jego życie. Dlatego ugodził ją nożem. A potem zawiózł ją na Hallow Hill i zostawił tam na śmierć. I nikt go nigdy nie podejrzewał, bo był przedstawicielem prawa.

Karen Pirie stała struchlała z rozdziawionymi ustami, wlepiając wzrok w Alexa, gdy pojęła implikacje tego, co mówił.

– Powiedz, jak się nazywał – szepnął Macfadyen.

– Jimmy Lawson. Grahamie, to Jimmy Lawson zamordował twoją matkę. Nie ja.

– Lawson? – W słuchawce rozbrzmiał niemalże szloch. – To jakiś podstęp, Gilbey.

– To nie jest żaden podstęp, Grahamie. Tak jak mówiłem, zdobyłem na to dowód. Co masz do stracenia, jeśli zdecydujesz się mi uwierzyć? Przerwij to, co robisz, a w końcu będziesz miał szansę zobaczyć, jak sprawiedliwość triumfuje.

Na linii zapadła długa cisza. Duncan przysunął się odrobinę bliżej, gotów wyrwać Gilbeyowi telefon. Alex celowo obrócił się trochę, mocniej zaciskając dłoń na słuchawce. Wtedy Macfadyen znów się odezwał.

– Myślałem, że robi to, bo tylko w taki sposób sprawiedliwości mogło stać się zadość. I nie podobała mi się jego metoda, bo chciałem, żebyście cierpieli. Ale on to robił w trosce o siebie.

Graham opowiadał, ale zdumiony Alex nie miał pojęcia o czym.

– Co takiego robił?

– Zabijał was.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

KIR CIEMNOŚCI OPADŁ NA CARLTON WAY. W ponurym mroku poruszały się jeszcze czarniejsze sylwetki, trzymające samopowtarzalne karabiny blisko swych kuloodpornych kamizelek. Przebyły teren z bezgłośną gracją lwa polującego na antylopę. Członkowie jednostki uderzeniowej zbliżyli się do domu, po czym rozbiegli w obu kierunkach, pochylając się, gdy mijali okna. Następnie przegrupowali się po obu stronach frontowych i tylnych drzwi. Każdy z mężczyzn usiłował oddychać cicho i równomiernie, serca dudniły im jak bębny wzywające do bitwy. Palce upewniły się, że maleńkie słuchawki znajdują się na miejscu. Nikt nie chciał przegapić sygnału do działania, kiedy ten w końcu nadejdzie. Jeśli nadejdzie. To nie był czas na dwuznaczności. Kiedy rozbrzmi należyte słowo, zademonstrują swe oddanie sprawie.

Nad ich głowami unosił się śmigłowiec. Technicy nie odrywali wzroku od ekranów z obrazem termowizyjnym. To na nich spoczywała odpowiedzialność za dopilnowanie, by szturm odbył się we właściwej chwili. Pot szczypał ich w oczy i wilgotniały im dłonie, gdy skupiali się na dwóch jaskrawych kształtach. Kiedy pozostawały oddzielnie, mogli dać sygnał do rozpoczęcia akcji. Ale gdy zlewały się w jedno, wszyscy zamierali w bezruchu. Tu nie było miejsca na błąd. Nie, gdy w grę wchodziło życie dziecka.

Teraz wszystko zależało od jednego człowieka. Zastępca Komendanta Głównego Policji James Lawson szedł ulicą Carlton Way ze świadomością, że to będzie ostatni ruch w tej grze.

Alex nie mógł pojąć znaczenia słów, które właśnie usłyszał od Macfadyena.

– Co takiego? – zapytał.

– Widziałem go wczoraj wieczorem. Z kijem baseballowym. Pod mostem. Jak uderzał twojego kumpla. Myślałem, że chciał sprawiedliwości. Myślałem, że dlatego to robi. Ale jeśli to on zabił moją matkę...

Alex uczepił się tej jednej rzeczy, której był pewien.

– To był on, Grahamie. Mam na to dowód. – Nagle połączenie się urwało. Skonsternowany Alex odwrócił się do Duncana. – Co jest, do cholery?

– Dość tego – oznajmił negocjator, zrywając z głowy słuchawki. – Nie pozwolę, żeby to poszło na cały świat. Co ty, do diabła, wyrabiasz, Gilbey? Zawarłeś jakiś układ z Macfadyenem, żeby zrobić Lawsona?

– O czym pan mówi? – zdenerwowała się Lynn.

– To był Lawson – powtórzył Alex.

– Słyszałam. Mówiłeś, że to on zabił Rosie. – Lynn ścisnęła jego ramię.

– Nie tylko Rosie. Zabił też Ziggy'ego i Monda. I próbował wykończyć Weirda. Macfadyen go wtedy zobaczył – przekazał jej Alex zamyślnym tonem.

– Nie wiem, co to za gierki... – zaczął Duncan, ale urwał w pół zdania, gdy zauważył przybycie Lawsona.

Blady i spocony zastępca komendanta obrzucił wzrokiem całą grupę, zdezorientowany i wyraźnie wściekły.

– Jasna cholera, co wy tu robicie? – krzyknął, wskazując na Alexa i Lynn. Potem naskoczył na Karen. – Kazałem ci ją trzymać w vanie jednostki szturmowej. Jezu, co za pierdolony cyrk. Zabieraj ich stąd, no już!

Na chwilę zapadła cisza, którą przerwała Karen Pirie.

– Panie komendancie, przed chwilą padły tu bardzo poważne oskarżenia, o których musimy porozmawiać...

– Karen, do kurwy nędzy, to nie jest klub dyskusyjny. Jesteśmy w samym środku operacji, w której waży się ludzkie życie! – wściekł się Lawson i podniósł radio do ust. – Czy wszyscy są na pozycjach?

Alex wytrącił Lawsonowi nadajnik z ręki.

– Słuchaj no, ty gnoju... – Zanim zdołał dodać coś więcej, Duncan powalił go na ziemię. Alex siłował się z policjantem, szarpiąc głową, by móc krzyknąć. – Znamy prawdę, Lawson! Zabiłeś Rosie. Zabiłeś moich przyjaciół. To koniec. Nie możesz już dłużej się z tym kryć.

Oczy Lawsons zapłonęły furia.

– Jesteś równie szalony jak on! – Pochylił się i podniósł radio, podczas gdy na Alexa skoczyło jeszcze dwóch mundurowych.

– Panie komendancie – rzekła natarczywie Pirie.

– Nie teraz, Karen! – wybuchnął Lawson. Odwrócił się do niej plecami, znów przysuwając nadajnik do ust. – Czy wszyscy są na pozycjach?

Odpowiedzi zatrzęszczały w słuchawce, którą miał w uchu. Zanim Lawson zdążył coś dodać, usłyszał głos dowódcy wsparcia technicznego siedzącego w śmigłowcu: „Wstrzymać ogień. Cel z zakładnikiem”.

Lawson wahał się jedynie przez sekundę.

– Wchodzimy! – zawołał. – Jazda, jazda!

Macfadyen był gotów zmierzyć się ze światem. Słowa Alexa Gilbeya odbudowały jego wiarę w to, że sprawiedliwość może jeszcze zwyciężyć. Postanowił oddać mu córkę. By zapewnić sobie niezagrożone przejście, wziął ze sobą nóż. Ostatnia polisa ubezpieczeniowa, dzięki której bez przeszkód wyjdzie za drzwi i odda się w ręce czekającej na niego policji.

Był już w połowie drogi do drzwi frontowych, niosąc Davinę utkniętą pod pachą jak paczkę, a w drugiej ręce trzymając nóż kuchenny, gdy jego

świat eksplodował. Przednie i tylne drzwi wyłamały się z framug. Mężczyźni krzyčili w ogłuszającej kakofonii głosów. Jaskrawe białe flary wybuchły, oślepiając go. Instynktownie przyciągnął dziecko do piersi, zbliżając je do ręki z nożem. W całym tym chaosie zdawało mu się, że ktoś zawołał: „Puść ją!”.

Zamarł jak sparalizowany. Nie mógł jej puścić.

Główny strzelec uznał, że życie dziecka jest zagrożone. Rozstawił szeroko stopy, ustabilizował rękę trzymającą broń i wycelował w głowę porywacza.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

*Kwiecień 2004 roku
Pasma Błękitne, Georgia*

WIOSENNE PROMIENIE SŁOŃCA zamigotały nad drzewami, gdy Alex i Weird wyszli na górską grań. Pastor poprowadził przyjaciela ku skale wystającej poza krawędź zbocza i wspiął się na nią, po czym usiadł na jej skraju, dyndając w powietrzu długimi nogami. Sięgnął do plecaka i wyjął małą lornetkę. Przepatrzył skarpe, a potem wręczył sprzęt Alexowi.

– Prosto w dół, a potem lekko na lewo.

Alex wyostrzył obraz i skierował lornetkę na tereny w dole. Nagle pojął, że ma w polu widzenia dach ich chaty. Postaci biegające wokół budynku to były dzieci Weirda. Dorośli siedzący przy piknikowym stole – Lynn i Paul. A brzdąc wymachujący nóżkami na kocyku to była Davina. Obserwował, jak jego córeczka rozkłada szeroko ręce i chichocze, patrząc na drzewa. Miłość do niej przeszła go niczym stygmaty.

Tak mało brakowało, by ją stracił. Gdy usłyszał strzał, miał wrażenie, że pęknie mu serce. Krzyk Lynn poniósł się echem w jego głowie, jakby zwiastował koniec świata. Minęła cała wieczność, zanim jeden z uzbrojonych policjantów wyłonił się z wnętrza domu, trzymając w ramionach Davinę, ale nawet wtedy Alex nie poczuł ulgi. Gdy podeszli bliżej, widział tylko krew.

Jednak cała ta krew pochodziła od Macfadyena. Strzelec wyborowy idealnie trafił w swój cel. Twarz Lawsona wyrażała tak zupełny brak emocji, że równie dobrze mogłaby być wykuta z granitu.

W zamieszaniu, które nastąpiło potem, Alex oderwał się od żony i córki na wystarczająco długą chwilę, by odciągnąć na stronę Karen Pirie.

– Musi pani zabezpieczyć przyczepę.

– Jaką przyczepę?

– Wędkarską przyczepę Lawsona. Przy Loch Leven. To w niej zabił Rosie Duff. Farba na suficie pasuje do próbek z kardiganu Rosie. Kto wie, może gdzieś uchowały się też ślady krwi.

Karen spojrzała na niego z niesmakiem.

– Naprawdę pan oczekuje, że potraktuję te wstrętne oskarżenia poważnie?

– Ale to prawda. – Wyciągnął z kieszeni kopertę. – Mam tu drobiny farby, które udowodnią, że mam rację. Jeśli pani pozwoli Lawsonowi wrócić do przyczepy, on ją zniszczy. Dowody pójdą z dymem. Nie może pani do tego dopuścić. Ja naprawdę nie zmyślam – dodał, rozpaczliwie próbując sprawić, by mu uwierzyła. – Duncan też słyszał, co powiedział Macfadyen. Że widział, jak Lawson zaatakował wczoraj wieczorem Toma Mackiego. Pani dowódca nie zawaha się przed niczym, by zniszczyć wskazujące na niego dowody. Niech go pani aresztuje i zabezpieczy przyczepę.

Karen patrzyła na niego z twarzą bez wyrazu.

– Sugeruje pan, żebym aresztowała zastępcę komendanta policji, mojego zwierzchnika?

– Policja ze Strathclyde aresztowała Hélène Kerr i Jackie Donaldson na podstawie o wiele słabszych dowodów niż te, o których usłyszała pani dziś po południu. – Alex z trudem zachowywał spokój. Nie mógł uwierzyć, że właśnie teraz cała sprawa wymyka mu się z rąk. – Gdyby Lawson nie był tym, kim jest, w ogóle by się pani nie wahała.

– Ale jest tym, kim jest. Wielce szanowanym, wysokim rangą oficerem policji.

– Wysoko postawieni ludzie też popełniają zbrodnie. Dlatego tym bardziej powinna to pani potraktować poważnie. Myśli pani, że nie będą o tym jutro pisały wszystkie gazety? Jeśli pani sądzi, że Lawson jest niewinny, to niech mu pani pozwoli tego dowieść.

– Żona pana woła – rzekła lodowato Karen. Odeszła, zostawiając go bez odpowiedzi.

Mimo to wzięła sobie do serca jego słowa. Nie aresztowała Lawsona, ale zgromadziła paru umundurowanych funkcjonariuszy i dyskretnie się z nimi oddaliła. Następnego ranka do Alexa zadzwonił Jason w radosnym uniesieniu, by poinformować go, że wśród techników kryminalistyki rozeszła się pogłoska, iż późnym wieczorem poprzedniego dnia jego koledzy z Dundee zgarnęli do analizy pewną przyczepę. Gra się rozpoczęła.

Alex opuścił lornetkę.

– Czy oni wiedzą, że ich szpiegujesz?

Weird wyszczerzył zęby.

– Zawsze im powtarzam, że Bóg widzi wszystko, a ja mam z nim bezpośredni kontakt.

– Założę się, że tak jest. – Alex położył się na plecach, pozwalając, by słońce osuszyło pot perlący mu się na twarzy. Zadyszał się przy wspinaczce na stromy szczyt. Podczas marszu nie było czasu na rozmowy. To była pierwsza okazja, by mógł pogadać z Weirdem sam na sam, odkąd przyjechali tu poprzedniego dnia. – W zeszłym tygodniu odwiedziła nas Karen Pirie – wyznał.

– Jak ona się miewa?

Alex zdążył już pojąć, że to było typowe pytanie z ust Weirda. Nie: „Co miała na swoje usprawiedliwienie?”, tylko: „Jak ona się miewa?”. Uznał, że w przeszłości zbyt często nie doceniał przyjaciela. Może teraz będzie miał szansę jakoś mu to wynagrodzić.

– Chyba wciąż jest bardzo wstrząśnięta. Tak samo jak większość gliniarzy w Fife. To dość spore zaskoczenie, kiedy odkrywasz, że twój dowódca jest gwałcicielem i wielokrotnym mordercą. Taki skandal pociąga za sobą poważne konsekwencje. Wydaje mi się, że połowa policjantów dalej wierzy, że ja i Graham Macfadyen sprokurowaliśmy całą tę historię.

– A zatem Karen przyszła, żeby zdać ci sprawozdanie?

– Tak jakby. Oczywiście odebrano jej tę sprawę. Musiała przekazać śledztwo dotyczące śmierci Rosie policjantom spoza Fife, ale zaprzyjaźniła się z jednym facetem z ich zespołu, dzięki czemu wciąż wie co i jak. I należą jej się podziękowania, że zechciała przyjść i podzielić się z nami najnowszymi ustaleniami.

– A mianowicie?

– Skończyli przeczesywać przyczepę. Znaleźli nie tylko farbę odpowiadającą tej z kardiganu, lecz także drobne ślady krwi w miejscu, gdzie ława była przymocowana do podłogi. Pobrali krew od braci Rosie i z ciała Macfadyena, bo wszystkie próbki DNA pochodzące od Rosie oczywiście przepadły, więc do porównania musieli użyć DNA bliskich krewnych. Podobno wynik testów dobitnie wskazuje, że krew znaleziona w przyczepie Lawsona pochodziła od Rosie Duff.

– Niesamowite! – Weird był pod wrażeniem. – Po tych wszystkich latach wpadł z powodu odrobiny farby i kropli krwi.

– Jeden z jego dawnych kolegów z pracy zgłosił się na policję z zeznaniem, że Lawson zwykł się przechwalać, jak zabija czas podczas nocnych zmian, zapraszając panienki do swojej przyczepy, żeby się z nimi przespać. A nasze zeznania potwierdzają, że był tamtej nocy bardzo blisko miejsca, w którym znaleźliśmy ciało. Prokuratura na początku trochę się wahała, ale potem zdecydowali się go oskarżyć. Kiedy Lawson o tym usłyszał, załamał się i wszystko wyznał. Karen powiedziała, że wyglądało to tak, jakby nie mógł już dłużej znieść tego ciężaru. Podobno to się

zdarza dosyć często. Mówiła, że w wielu przypadkach, kiedy mordercy zostają przyparci do muru, mają poczucie, że muszą się pozbyć brzemienia wszystkich złych uczynków, jakie popełnili w życiu.

– Więc dlaczego Lawson zabił Rosie?

Alex westchnął.

– Spotykał się z nią od kilku tygodni, a ona nie chciała pójść na całość. Zeznał, że pozwalała mu na trochę pieszczot, ale potem wyraźnie wyznaczała granicę, co doprowadzało go do szaleństwa. Wtedy ją zgwałcił. Podobno powiedziała mu, że pójdzie prosto na policję, a on nie wiedział, jak sobie z tym poradzić, więc chwycił nóż do filetowania i ją zadźgał. Śnieg sypał już wtedy gęsto, więc pomyślał, że nikt raczej nie będzie się kręcił po ulicach i porzucił ją na Hallow Hill. Chciał, żeby to wyglądało na rytualne morderstwo. Był przerażony, kiedy zdał sobie sprawę, że policja nas podejrzewa. Oczywiście nie chciał sam zostać złapany, ale twierdzi, że nie chciał też, by ktoś inny został wrobiony w tę zbrodnię.

– Jak szlachetnie z jego strony – sarknął cynicznie Weird.

– Mam wrażenie, że naprawdę tak było. Popatrz, wystarczyło, by rzucił jedno małe kłamstwo, i wpakowałby któregoś z nas po uszy w gówno. Kiedy MacLennan dowiedział się o land roverze, Lawson mógł po prostu powiedzieć, że wypadło mu z głowy, że widział tam wcześniej ten samochód. Albo jadący w stronę Hallow Hill, albo zaparkowany przed Lammas w porze zamknięcia.

– Jedynie Bóg zna prawdę, ale pewnie możemy założyć, że faktycznie nie chciał nas pogrążyć. Wiesz, po tych wszystkich latach Lawson musiał być przekonany, że zabójstwo Rosie uszło mu na sucho. Nic nigdy nie wskazywało na niego, nawet w najmniejszym stopniu.

– No właśnie. To my płaciliśmy za jego winy. Lawsonowi udało się przeżyć dwadzieścia pięć lat pozornie bez skazy. A wtedy Komendant Główny Policji ogłosił, że zaczną ponownie badać dawne nierozwiązane

sprawy. Karen mówi, że Lawson pozbył się fizycznych dowodów, kiedy po raz pierwszy skazano kogoś w sądzie na podstawie DNA. Wtedy wciąż znajdowały się w St. Andrews, więc nie miał najmniejszego problemu z dostępem do nich. Kardigan w którymś momencie naprawdę przypadkiem trafił do złego pudła, kiedy przenoszono dowody z jednego magazynu do drugiego, ale reszty ubrań, tych z biologicznymi próbkami, pozbył się własnoręcznie.

Weird zmarszczył brwi.

– Jakim cudem kardigan został znaleziony w zupełnie innym miejscu niż ciało?

– Kiedy Lawson wracał z Hallow Hill do swojego radiowozu, znalazł sweter leżący w śniegu. Upuścił go, wnosząc ciało Rosie na wzgórze. Więc po prostu wcisnął go w najbliższy żywopłot. Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył, było trzymanie go w swoim aucie. Skoro wszystkie ważne dowody zaginęły, musiał uznać, że da radę bezpiecznie przebrnąć przez tę rewizję zarządzoną przez komendanta.

– I wtedy na scenę niespodziewanie wkroczył Graham. Jedyne czynnik, którego Lawson nie mógł przewidzieć, ponieważ rodzina Rosie tak rozpaczliwie próbowała zachować szacunek otoczenia. Oto zjawił się ktoś, komu naprawdę zależało na wyjaśnieniu okoliczności jej śmierci. Domagał się odpowiedzi. Ale wciąż nie rozumiem, dlaczego Lawson zdecydował się nas pozabijać jednego po drugim – powiedział Weird.

– Karen twierdzi, że Macfadyen nie dawał Lawsonowi spokoju. Cały czas żądał, żeby ponownie przesłuchano świadków. W szczególności nas. Był przekonany, że to my zabiliśmy Rosie. W plikach, które miał na komputerze, znalazły się też notatki z przebiegu jego rozmów z Lawsonem. W jednym miejscu napisał, że zdziwiło go, iż Lawson nie zauważył tamtej nocy nic podejrzanego, choć siedział w pobliżu w swoim radiowozie. Kiedy zapytał go o to, Lawson wydawał się bardzo spięty, więc Macfadyen założył, że denerwował się oskarżeniem o zaniedbanie swoich

obowiązków. Ale w rzeczywistości Lawson nie chciał, by ktokolwiek zaczął się zastanawiać nad tym, co robił tamtej nocy. Nikt nie kwestionował jego obecności w pobliżu miejsca zbrodni, ale jeśli pominie się nas, jedyną osobą, o której można z całą pewnością stwierdzić, że była wtedy w okolicy, jest sam Lawson. Gdyby nie był policjantem, z miejsca stałby się głównym podejrzanym.

– Ale mimo wszystko, dlaczego po tylu latach wziął nas na celownik?

Alex niespokojnie zmienił pozycję na kamieniu.

– Właśnie tę część historii trudno przyjąć. Lawson twierdzi, że był szantażowany.

– Szantażowany? Przez kogo?

– Przez Monda.

Weird zdębiał.

– Monda? Chyba żartujesz. Co za chore, głodne kawałki opowiada ten typek.

– Nie wydaje mi się, żeby kłamał. Pamiętasz dzień, w którym zginął Barney MacLennan?

Weird wzdrygnął się.

– Jak mógłbym zapomnieć?

– Lawson był na samym przedzie z osób ciągnących wtedy linę. Widział, co zaszło. Podobno MacLennan trzymał się Monda, ale ten spanikował, kopnął go i zrzucił do morza.

Weird na moment przymknął oczy.

– Chciałbym móc powiedzieć, że w to nie wierzę, ale dokładnie tak zachowałby się Mondo. Mimo to nie rozumiem, jak to się ma do szantażowania Lawsona.

– Po tym, jak już wciągnęli Monda na klif, zapanował chaos. Lawson zajął się nim, poszedł z nim do karetki. Powiedział mu, że widział, co się stało. Przysiągł, że dopilnuje, by Mondo dostał najwyższy możliwy wyrok za to, co zrobił. I wtedy Mondo zrzucił swoją małą bombę. Wyznał, że

któregoś wieczoru przed Lammas zauważył, jak Rosie wsiadła do policyjnego wozu Lawsona. Lawson wiedział, że gdyby to się wydało, miałyby przesrane. Dlatego zawarł pakt z Mondem. Jeśli Mondo nic nie powie o tym, co widział, on zrobi to samo.

– To nie tyle szantaż, co gwarantowane wzajemne unicestwienie – rzekł gniewnie Weird. – Co poszło nie tak?

– Gdy tylko policja przekazała opinii publicznej wieści o rewizji spraw, Mondo udał się do Lawsona i oznajmił mu, że ceną za jego dalsze milczenie ma być zostawienie go w spokoju. Nie chciał, by zrujnowali mu życie po raz drugi. Powiedział też, że się zabezpieczył i podzielił z kimś informacjami o tym, co kiedyś zobaczył. Tylko oczywiście nie sprecyzował, któremu z nas to niby wyjawiał. Dlatego właśnie Lawson tak nalegał, by Karen skupiła się na fizycznych dowodach, a nie na ponownych przesłuchaniach świadków, czyli nas. Kupił sobie w ten sposób trochę czasu, by zdążyć zabić każdego, kto mógł poznać prawdę. Ale wtedy trochę przekombinował. Chciał stworzyć sytuację, w której od razu znalazłby się ktoś podejrzany o zabójstwo Monda. Podsunął Robinowi MacIennanowi motyw, zdradzając mu szczegóły śmierci Barneya. Zanim jednak Lawson zdołał zamordować Monda, Robin MacIennan skontaktował się z naszym przyjacielem, a ten spanikował i znów zaaranżował spotkanie z Lawsonem. – Alex uśmiechnął się krzywo. – To właśnie była ta sprawa, którą miał do załatwienia w Fife tego wieczoru, gdy przyjechał się ze mną spotkać. W każdym razie Mondo oskarżył Lawsona, że ten złamał swoją część umowy. Myślał, że skoro był starszy, to zrobił się też sprytniejszy. Postraszył go, że ujawni swoją tajemnicę pierwszy i jeśli Lawson ogłosi wtedy, że Mondo zabił Barneya MacIennana, będzie to wyglądało tak, jakby w desperacji chciał oczernić swego oskarżyciela, bo został zapędzony w kozi róg. – Alex potarł dłonią twarz.

Weird jęknął.

– Biedny, głupi Mondo.

– Ironia całej sprawy jest taka, że gdyby nie obsesja Grahama Macfadyena, Lawson miałyby szansę osiągnąć swój cel i zabić nas wszystkich.

– Jak to?

– Gdyby Graham nie śledził w internecie każdej wzmianki o nas czterech, nigdy by się nie dowiedział o śmierci Ziggy’ego i nie wysłałby tego wieńca. Przez to nigdy byśmy nie powiązali morderstw Ziggy’ego i Monda, a Lawson mógłby bez pośpiechu czekać na okazję, by wykończyć też nas. Ale nawet w tych mniej sprzyjających okolicznościach Lawson mącił, ile tylko mógł. W rozmowie ze mną specjalnie powiedział mi jak najwięcej o Grahamie, chociaż udawał, że wymknęło mu się to przez przypadek. No i wyjawiał też Robinowi MacLennanowi, jak czynną rolę odegrał Mondo w śmierci jego brata. W ten sposób trochę się ubezpieczał. Chytry drań po zabójstwie Monda poszedł do Robina i zaoferował, że zapewni mu alibi, na co Robin przystał, bo przez myśl mu nie przeszło, że to działa w dwie strony i w ten sposób on zapewnia alibi prawdziwemu mordercy.

Weird zadrżał i podciągnął nogi, przyciskając kolana do klatki piersiowej. Poczł ostre ukłucie w żebrach, cień dawnego bólu.

– Ale dlaczego zaatakował też mnie? Musiał zdać sobie sprawę, że żaden z nas nie ma pojęcia, czego świadkiem był kiedyś Mondo, bo w przeciwnym wypadku skonfrontowalibyśmy się z nim po jego śmierci.

Alex westchnął.

– Na tym etapie wkopał się już zbyt głęboko. Z powodu wieńców Macfadyena zauważyliśmy związek między dwoma zabójstwami, które miały wyglądać na kompletnie przypadkowe. Żeby się z tego wykaraskać, musiał sprawić, by to Macfadyen wyglądał na mordercę. A on nie poprzestałby na dwóch z nas, prawda? Zabijałby, aż pozbyłby się nas wszystkich.

Weird ze smutkiem pokręcił głową.

– Co za obłąd. Ale dlaczego na pierwszą ofiarę wybrał Ziggy’ego?

Alex jęknął.

– Z tak banalnego powodu, że można nad nim tylko zapłakać. Podobno wykupił sobie wakacje w Stanach jeszcze przed ogłoszeniem rewizji nierozwiązanych spraw.

Weird oblizwał usta.

– To znaczy, że równie dobrze mogło paść na mnie?

– Tak, gdyby zdecydował się pojechać na ryby w twojej części kraju.

Weird zamknął oczy i złączył palce na podołku.

– A co z Ziggym i Mondem? Co policja zamierza zrobić w sprawie ich zabójstw?

– Obawiam się, że tu nie ma dobrych wieści. Mimo że Lawson wszystko wyśpiewał niczym prawdziwy ptaszek, prokuratura nie ma dowodów, dzięki którym dałoby się go powiązać z morderstwem Monda. Był bardzo, bardzo ostrożny. Nie ma alibi na tamten wieczór, ale upiera się, że był wtedy w swojej przyczepie, więc nawet jeśli policja znajdzie jakiegoś sąsiada, który zezna, że samochód Lawsons nie stał wtedy przed jego domem, nic to nie zmieni.

– Czyli ujdzie mu to na sucho.

– Na to wygląda. Szkockie prawo głosi, że przyznanie się do winy musi być poparte dowodami, żeby prokuratura mogła wygrać sprawę. Ale policja w Glasgow obchodzi teraz Héléne i Jackie szerokim łukiem, więc jest to jakiś sukces.

Sfrustrowany Weird uderzył otwartą dłońią w skałę.

– A co z Ziggym? Czy policja z Seattle lepiej się spisała?

– Trochę. Ale nie bardzo. Wiemy, że Lawson był w Stanach na tydzień przed śmiercią Ziggy’ego. Twierdzi, że był na wyprawie wędkarskiej w południowej Kalifornii. Ale coś się nie zgadza. Kiedy zwrócił auto do

wypożyczalni, miało na liczniku około czterech tysięcy kilometrów więcej, niż zdołałyby nabić, jeżdżąc po okolicy.

Weird kopnął piętami w skałę.

– Zgaduję, że taką odległość trzeba pokonać, żeby dojechać z południowej Kalifornii do Seattle i z powrotem.

– Właśnie. Ale znowu brakuje dowodów, które by na to bezpośrednio wskazywały. Lawson jest za sprytny. Nie używał swojej karty kredytowej nigdzie poza miejscami, w których miał powód być. Karen mówi, że policjanci z Seattle chodzą po sklepach budowlanych i motelach, pokazując jego zdjęcie, ale jak dotąd bez rezultatów.

– Niewiarygodne, że kolejne morderstwo ujdzie mu płazem – piekił się Weird.

– Myślałem, że wierzysz w potężniejszy sąd niż ten ludzki.

– To, że Bóg nas osądzi, nie znaczy, że jesteśmy zwolnieni z obowiązku życia w moralności – odrzekł poważnie Weird. – Jednym ze sposobów, w jaki okazujemy miłość bliźnim, jest powstrzymywanie ich przed uleganiem ich najgorszym instynktom. Posyłanie przestępców do więzienia jest po prostu ekstremalnym przykładem takiego zachowania.

– Jestem pewien, że przestępcy czują się dzięki temu kochani – odparł sardonicznie Alex. – Karen przekazała mi jeszcze jedną nowinę. W końcu zapadła decyzja, że nie oskarżą Lawsons o usiłowanie morderstwa za jego atak na ciebie.

– Cholera, a to dlaczego? Przecież im mówiłem, że chętnie przyjadę znowu, żeby zeznawać.

Alex podniósł się do siadu.

– Teraz, gdy Macfadyen nie żyje, nie ma dowodów, że to Lawson cię pobił.

Weird westchnął.

– O rany. Przynajmniej nie zdoła się już wywinąć od kary za zamordowanie Rosie. W zasadzie chyba nie ma większego znaczenia, czy

prokuratura postawi mu zarzuty za to, co próbował mi zrobić. Wiesz, zawsze się szczyliłem tym, jak sprytnie sobie radzę w życiu – zadumał się – ale tamtego wieczoru wyszedłem na spacer pełen brawury. Ciekawe, czy byłbym równie odważny lub równie głupi, gdybym wiedział, że polują na mnie dwie osoby, a nie jedna.

– Powinieneś być za to wdzięczny. Gdyby Macfadyen nas nie szpiegował, do tej pory nie mielibyśmy pojęcia, że Lawson był ze swoim samochodem na miejscu zdarzenia.

– Wciąż trudno mi uwierzyć, że nie zareagował, kiedy Lawson zaczął mnie prać na kwaśne jabłko – rzekł rozgoryczony Weird.

– Może chciał, ale uprzedził go Eric Hamilton – westchnął Alex. – Pewnie nigdy się tego nie dowiemy.

– Najważniejsze jest to, że w końcu dowiedzieliśmy się, kto zabił Rosie – orzekł Weird. – Ta sprawa była jak drzazga wbita w ciało przez dwadzieścia pięć lat, a teraz w końcu udało się ją wyciągnąć. Dzięki tobie zdołaliśmy zniwelować działanie trucizny, która zainfekowała naszą czwórkę.

Alex posłał mu zaciekawione spojrzenie.

– Czy zastanawiałeś się kiedyś...?

– Czy to naprawdę mógł być któryś z nas?

Alex skinął głową.

Weird rozważył jego pytanie.

– Wiedziałem, że to nie mógł być Ziggy. Kobiety go nie interesowały, a nawet wtedy nie chciał się poddać żadnej terapii. Mondo nie miałby dość zimnej krwi, by trzymać gębę na kłódkę, gdyby to był on. A ty, Alex... Cóż, powiem tylko, że nie mogłem wykoncypować, jak dałbyś radę porzucić Rosie na Hallow Hill. Nigdy nie miałeś w ręku kluczyków do tego land rovera.

Alex był zszokowany.

– I tylko z tego powodu uznałeś, że to nie mogłem być ja?

Weird uśmiechnął się.

– Masz na tyle silną psychikę, by po czymś takim trzymać język za zębami. Jesteś w stanie zachować całkowite opanowanie nawet pod presją, ale kiedy już wybuchasz, to dosłownie jak wulkan. Rosie strasznie ci się podobała... Szczerze? Przeszło mi to przez myśl. Ale gdy tylko nam powiedzieli, że Rosie została napadnięta gdzieś indziej i później porzucona na wzgórzu, wiedziałem, że to nie mogłeś być ty. Uratowała cię logistyka.

– Dzięki za zaufanie. – Alex czuł się zraniony.

– Sam zapytałeś. A ty? Kogo podejrzewałeś?

Alex miał dość przyzwoitości, by przybrać skruszoną minę.

– Przez chwilę podejrzewałem ciebie. Zwłaszcza gdy odnalazłeś Boga. Wydawało mi się, że takie zachowanie pasuje do winnego człowieka. – Spojrzał ponad wierzchołkami drzew na odległy horyzont, gdzie góry zachodziły na siebie w niebieskawej mgiełce. – Często się zastanawiam, jak inaczej wyglądałoby moje życie, gdyby tamtego wieczoru Rosie przyjęła moje zaproszenie i przyszła na imprezę. Wciąż by żyła. Mondo i Ziggy też. Nasza przyjaźń przetrwałaby w znacznie lepszym stanie. I żylibyśmy bez poczucia winy.

– Może poślubiłbyś Rosie, a nie Lynn – skomentował odrobinę drwiąco Weird.

– Nie. – Alex zmarszczył brwi. – Tak by się nigdy nie stało.

– A niby czemu nie? Nitki łączące nas z życiem, jakie wiemy, są w rzeczywistości bardzo cienkie. Przecież ci się podobała.

– To zadurzenie by mi przeszło. A ona nigdy by się nie zadowoliła takim chłopakiem jak ja. Była na to zbyt dojrzała. Poza tym myślę, że już wtedy wiedziałem, że to właśnie Lynn mnie ocali.

– Ocali przed czym?

Alex uśmiechnął się leciutko do siebie.

– Przed wszystkim.

Skierował wzrok w dół na domek i polanę, gdzie znajdowały się osoby, które zawładnęły jego sercem. Po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat miał przyszłość, a nie tylko przeszłość ciężącą mu jak młyński kamień. Była jak dar, na który w końcu zasłużył.

PODZIĘKOWANIA

Z NIEZMIERNĄ PRZYJEMNOŚCIĄ udało mi się w końcu napisać książkę, która nie wymagała żmudnego wyszukiwania informacji. Niemniej jednak jestem wdzięczna za pomoc zza kulis Sharon z That Café, Wendy z „St. Andrews Citizen”, doktor Julii Bray z Uniwersytetu w St. Andrews i antropolog sądowej, doktor Sue Black.

Jak zawsze moje starania zostały ulepszone dzięki sugestiom ze strony redaktorek, Julii Wisdom oraz Anne O'Brien, mojej konsultantki redakcyjnej Lisanne Radice, agentki Jane Gregory oraz mojej radczyni prawnej i pierwszej czytelniczki Brigid Baillie.